OSW | 35 LAT

Uporządkować rzeczywistość

Poradnik analityczny Ośrodka Studiów Wschodnich

pod redakcją Wojciecha Konończuka i Marka Menkiszaka

OSW | 35 LAT

Uporządkować rzeczywistość

Poradnik analityczny Ośrodka Studiów Wschodnich

pod redakcją Wojciecha Konończuka i Marka Menkiszaka

Warszawa 2025

OSW | 35 LAT
OŚRODEK STUDIÓW WSCHODNICH
im. Marka Karpia

© copyright by
Ośrodek Studiów Wschodnich im. Marka Karpia

redakcja
Tomasz Strzelczyk

współpraca
Katarzyna Kazimierska, Matylda Skibińska, Szymon Sztyk

opracowanie graficzne
Urszula Gumińska-Kurek

skład
Urszula Gumińska-Kurek, Wojciech Mańkowski

reprodukcja na okładce
Leon Chwistek, *Miasto Fabryczne*, około 1920, Muzeum Narodowe w Warszawie

WYDAWCA
Ośrodek Studiów Wschodnich im. Marka Karpia
ul. Koszykowa 6a, Warszawa
tel. +48 22 525 80 00
osw.waw.pl

ISBN 978-83-68327-39-7

Spis treści

5 **Wstęp**
Wojciech Konończuk, Marek Menkiszak

9 **Wyostrzyć obraz. O metodzie analitycznej OSW**
Wojciech Konończuk

29 **Między wiedzą a polityką. Jak być analitykiem-doradcą w czasach kryzysu ekspertyzy**
Adam Eberhardt

39 **„Swetry", „garnitury" i sztuczna inteligencja, czyli dramat w trzech aktach**
Olaf Osica

49 **Sztuka pisania: jak stworzyć analizę, aby dotrzeć do odbiorcy**
Marek Menkiszak

69 **Jak analizować politykę bezpieczeństwa: pasja i systematyczna praca z Polską jako punktem odniesienia**
Justyna Gotkowska

77 **Zmagania z tarczą i mieczem. Służby specjalne jako wyzwanie analityczne**
Piotr Żochowski

93 **Sztukowanie brakujących puzzli, czyli jak badać wojnę**
Andrzej Wilk

107 **Ćwiczenia z myślenia – o analizie energetyki**
Agata Łoskot-Strachota

121 **Czy da się przewidzieć przyszłość? Foresight strategiczny w służbie analizy międzynarodowej**
Karol Wasilewski

133 **Niemcy na kozetce, czyli jak analizować i nie zwariować**
Anna Kwiatkowska

153 **Przereklamowana zagadka. Rosja jako wyzwanie analityczne**
Maria Domańska

175 **„Ukrainie sława", ekspertom biada: wyzwania i dylematy analizy ukraińskiej**
Tadeusz Iwański, Sławomir Matuszak

193 **Analityczna konfrontacja z dyktaturą. Próby zrozumienia Białorusi**
Kamil Kłysiński

207 **Magiczna, a jednak realna – jak badać Litwę**
Joanna Hyndle-Hussein

223 **Czechy – sąsiad lubiany i pozornie znany**
Krzysztof Dębiec

237 **Słowacka kultura strategiczna i jej podłoże historyczne. Kilka uwag o rusofilstwie**
Mateusz Gniazdowski

253 **Środkowoeuropejski „inny": jak badać Węgry Orbána?**
Andrzej Sadecki

269 **Niepozorna kraina pozorów, czyli jak badać Mołdawię**
Kamil Całus

283 **Rumunia: łacińska wyspa tajemnic**
Kamil Całus

297 **Bałkany Zachodnie, czyli jak badać peryferie peryferii**
Marta Szpala

313 **Zrozumieć Kaukaz, czyli kilka uwag o metodzie reporterskiej w analityce**
Wojciech Górecki

327 **Turcja – kanarek w kopalni porządku międzynarodowego. Dwugłos analityczny**
Karol Wasilewski, Krzysztof Strachota

345 **Azja Centralna – w pogoni za nieuchwytnym**
Krzysztof Strachota

361 **To (nie) Chinatown – analizować politykę Izraela na swoich warunkach**
Marek Matusiak

377 **Zerkając za „bambusową kurtynę": analizowanie Chińskiej Republiki Ludowej**
Michał Bogusz, Jakub Jakóbowski

393 **Biogramy autorów**

Wstęp

Wojciech Konończuk, Marek Menkiszak

W grudniu 2025 r. mija 35 lat od powstania Ośrodka Studiów Wschodnich – publicznej instytucji analitycznej, której główne zadanie polega na badaniu istotnych wydarzeń i procesów w otoczeniu międzynarodowym Polski. Aby uczcić rocznicę w sposób charakterystyczny dla OSW, ofiarowujemy Czytelnikom publikację pod wieloma względami inną niż wszystkie dotychczasowe.

Uporządkować rzeczywistość. Poradnik analityczny Ośrodka Studiów Wschodnich to praca, na którą składa się 25 esejów napisanych przez analityków OSW oraz jego trzech byłych dyrektorów. Ich kluczowy cel to podzielenie się zgromadzoną wiedzą i doświadczeniem na temat tego, jak badać różne kraje, regiony i kwestie międzynarodowe. W ciągu trzech i pół dekady służby dla państwa Ośrodek wypracował charakterystyczną metodologię pracy, doskonaloną przez kolejne pokolenia tworzących go ludzi, ich odkrycia, pasje, poczucie misji, w tym w procesie uczenia się na popełnianych błędach.

Książka zaprasza Czytelnika za kulisy naszej „kuchni analitycznej" i pokazuje, w jaki sposób patrzymy na zagadnienia objęte – stopniowo poszerzającym się wraz z priorytetami Polski i wymaganiami czasów – „obszarem mandatowym" OSW. Wszystkim tekstom przyświeca kilka podstawowych pytań: jak zajmować się danym państwem czy regionem? Jaka jest specyfika tych badań oraz ich baza źródłowa? Jakie wnioski płyną z długoletniego doświadczenia autorów – specjalistów w swoich dziedzinach? Jakich błędów można uniknąć? Co nie jest takie, jakie się na pozór wydaje?

O czym konkretnie piszemy? O metodzie analitycznej, tworzeniu tekstów, współdziałaniu z decydentem i prognozowaniu. Kolejne rozdziały pomagają zrozumieć, jak zgłębiać tematy branżowe i przekrojowe – wojskowość, służby specjalne, bezpieczeństwo czy energetykę. Najobszerniejsze części poświęcono kluczowym państwom wchodzącym w obszar zainteresowania OSW – Rosji, Niemcom, Ukrainie, Białorusi, Litwie, Czechom, Słowacji, Węgrom, Mołdawii, Rumunii, Turcji, Izraelowi oraz Chinom. Inne dotyczą specyfiki badania regionów – Kaukazu Południowego, Azji Centralnej i Bałkanów Zachodnich.

Eseje składające się na *Poradnik*... różnią się pod względem formy i stylu – tak jak różnią się drogi edukacji, doświadczenia zawodowe i osobowości ludzi Ośrodka. Jedne bliższe są tekstom popularnonaukowym, inne publicystyce, a niektóre nawet reportażowi. Wszystkie natomiast łączy dążenie do pokazania, jak można uporządkować i rozumieć otaczającą nas rzeczywistość międzynarodową. Czytelnik odnajdzie w nich nie tylko wyłożenie często złożonych zagadnień, lecz także refleksje autorów, praktyczne studia przypadków oraz wspomnienia i anegdoty z podróży studyjnych. Ten pozorny eklektyzm jest zamierzony i ujęty w ramy poszczególnych rozdziałów tematycznych.

Struktura i charakter materiałów powodują, że czasami celowo nie unikamy powtarzalności wątków i wybranych problemów – choćby w odniesieniu do różnych państw czy zagadnień badawczych. Czytelnik wiele razy utwierdzi się w przekonaniu, że analizując rozmaite kwestie, należy sięgać głębiej, pod powierzchnię rzeczywistości, oraz podróżować, aby samodzielnie „zobaczyć, dotknąć i powąchać" to, o czym piszemy. Konieczne jest również poznawanie lokalnych źródeł, wychodzenie poza zastane „bańki", a nade wszystko – odnoszenie się do przedmiotów analizy ze zrozumieniem, ale i krytycyzmem.

Zapraszamy na pokład „okrętu Koszykowa" i dzielimy się metodami pracy OSW (część „kart" zachowując oczywiście przy sobie), aby zachęcić Czytelnika do dalej idącej i krytycznej refleksji o rzeczywistości międzynarodowej. Do oddzielania ziarna pogłębionej, profesjonalnej analizy opartej na gromadzonej wiedzy i umiejętnościach od plew szybkiego, lecz powierzchownego komentarza.

Pod wieloma względami praca ta jest na polskim gruncie pionierska. Wierzymy, że zebrane przez ponad trzy dekady działalności OSW doświadczenie pozwala przekazać Czytelnikowi sporo cennej i nieoczywistej wiedzy, którą przez ten czas zdobyliśmy, a przy okazji pokazać praktykę funkcjonowania naszej instytucji.

Warto przy tym zaznaczyć, że w poprzednich latach Ośrodek podejmował fragmentaryczne próby przedstawienia wypracowywanej metody badawczej. Wspomnijmy o publikacji *Okręt Koszykowa. Warszawski Ośrodek Studiów Wschodnich* pod redakcją Jacka Borkowicza, Jacka Cichockiego i Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz (PWN, 2007), która dotyka m.in. tych zagadnień. Częścią procesu

tworzenia własnego know-how był też raport *Doradztwo w polityce zagranicznej RFN – inspiracje dla Polski* (OSW, 2008). Niezwykle istotna pozycja to *Zmierzyć arszynem. Marek Karp i Ośrodek Studiów Wschodnich* (Znak, OSW, 2024) Andrzeja Brzezieckiego, ukazująca korzenie i pierwsze 15 lat działalności OSW. Wreszcie kilka miesięcy temu wspólnie z Wydawnictwem Scholar wydaliśmy książkę Wojciecha Zajączkowskiego *Rozumieć politykę międzynarodową. Metody analizy źródeł otwartych*. Jej autor – uznany analityk i doświadczony dyplomata – w pierwszym okresie istnienia OSW współtworzył jego ekspertyzę rosyjską.

Poradnik… oddajemy w ręce odbiorcy zainteresowanego sytuacją międzynarodową w wymiarach politycznym, gospodarczym i dotyczącym bezpieczeństwa. Wyjątkowo szeroką panoramę tematów prezentujemy w nadziei, że przyczyni się to do lepszego zrozumienia trudnej materii, jaką jest badanie poszczególnych państw, regionów i przekrojowych zagadnień międzynarodowych.

Wyostrzyć obraz. O metodzie analitycznej OSW

Wojciech Konończuk

Umiejętność analizowania rzeczywistości międzynarodowej jest niezwykle cenna, choć trudna do opanowania. Nie istnieje żadna pewna metoda czy program gwarantujące uzyskanie swoistej „licencji" na skuteczne poznanie i zrozumienie danego społeczeństwa, państwa, regionu, zjawisk czy relacji międzynarodowych. Nie posiada jej ani Ośrodek Studiów Wschodnich, ani żadna inna instytucja analityczna na świecie. Nie będzie odkrywcze stwierdzenie, że historia pełna jest przykładów złych diagnoz i błędnych decyzji politycznych, które wynikały z nietrafionych analiz lub z nieuzasadnionej pewności siebie decydentów, którzy zignorowali dostarczone im wartościowe ekspertyzy.

Celem tego eseju jest opisanie metody analitycznej OSW, którą najkrócej można określić jako taki sposób podejścia do poszukiwania i analizowania wiedzy, aby możliwie wszechstronnie i całościowo zrozumieć rzeczywistość międzynarodową otaczającą Polskę i na nią wpływającą. Obszar mandatowy Ośrodka obejmuje ok. 40 państw położonych na dwóch kontynentach, w tym tak różne jak Rosja, Niemcy, Chiny czy Turcja. Tak zakreślone pole ekspertyzy uzupełniają tematy przekrojowe – bezpieczeństwo, energetyka i transport.

Przez ponad trzy dekady istnienia OSW kolejnym pokoleniom tworzących go specjalistów udało się wypracować własną metodę analizy międzynarodowej. Aby nie brzmiało to zbyt pretensjonalnie, wypada dodać, że w znacznym stopniu czerpie ona z klasycznego podejścia do badań, typowego dla wielu znakomitych centrów analitycznych na świecie. Zarazem składają się na nią również elementy autorskie, które kreują specyficzny i pod pewnymi względami unikalny

charakter instytucji. Rzecz jasna badanie właściwie każdego państwa, regionu czy zagadnienia międzynarodowego wymaga przyjęcia odrębnej perspektywy, niemniej istnieją też uniwersalne zasady, które to ułatwiają – niezależnie od przedmiotu analizy.

Fundament, czyli wiedza kompleksowa

W świecie ośrodków badawczych istnieje półżartobliwe powiedzenie, że nie każdy analityk jest ekspertem. Niesie ono za sobą słuszne przekonanie, że kluczową kwalifikacją niezbędną do analizy międzynarodowej jest wiedza specjalistyczna. Podkreślmy przy tym od razu, że (najczęściej) młody człowiek przyjmowany do pracy w OSW lub w innej instytucji analitycznej w swoim biogramie czy na wizytówce pisze zwykle „analityk/analityczka", choć często znajduje się dopiero na początku trudnej drogi do nazwania się ekspertem w danej dziedzinie. Budowanie fachowej ekspertyzy to bowiem proces mozolnego doskonalenia się, który trwa wiele lat i w gruncie rzeczy nigdy się nie kończy. Studia mogą dać dobrą bazę, ale nie ma decydującego znaczenia, czy ktoś ukończył stosunki międzynarodowe, historię, ekonomię, socjologię czy jakikolwiek inny kierunek. Najważniejsza jest ciekawość świata, pasja do zajmowania się danym zagadnieniem oraz chęć dalszego uczenia się, w dużym stopniu poprzez proces samokształcenia.

Dobry analityk musi wyróżniać się kompleksową i sukcesywnie aktualizowaną wiedzą z możliwie wielu dziedzin. Tylko takie podejście otwiera szeroką perspektywę badawczą i pozwala zagłębić się w niuanse rzeczywistości. Jeśli ktoś zajmuje się konkretnym państwem i uwagę skupia jedynie na jego polityce wewnętrznej bądź zagranicznej, lecz nie umie tej wiedzy skontekstualizować i uzupełnić o znajomość społeczeństwa, gospodarki, ale również oprzeć się na gruntownej orientacji w tamtejszej historii i kulturze, to w jego analizie zabraknie bardzo ważnych elementów. Poznanie, odczytanie i zrozumienie kraju, a tym bardziej regionu, zajmuje więc wiele lat i trudno tu o drogę na skróty.

Analityk posiadający głęboką wiedzę korzysta więc z różnorodnych mediów, ma dobrze ustawiony tzw. *timeline* w sieciach społecznościowych, zna materiały analityczne czy naukowe tych badaczy, którzy zajmują się podobnymi tematami, czyta książki, ogląda filmy, a w jego książce telefonicznej znajdują się numery wielu ludzi z kraju swej specjalizacji – co, jak się dalej przekonamy, bywa bardzo przydatne. Współcześnie istnieje problem nie tyle z dostępem do informacji, co z ich nadmiarem. Zalew doniesień medialnych, w tym tych pochodzących np. z Telegramu, Facebooka czy X, na tyle przytłacza, że kluczową umiejętnością staje się ich skuteczne filtrowanie, aby oddzielić to, co najważniejsze, od treści mniej lub mało znaczących albo wręcz kłamliwych. Jeśli jej

nie opanujemy, grozi nam utknięcie w gąszczu faktów, pseudofaktów czy opinii, z których niewiele wynika.

Niezbędne są przy tym krytyczne podejście do źródeł oraz ich weryfikacja, aby przekaz, który wyjdzie z OSW na zewnątrz, czy to w formie analizy, briefingu bądź podcastu, był wiarygodny i rzetelny. Długo trzeba pracować na markę, łatwo zaś nadszarpnąć wizerunek. Poza sprawdzeniem prawdziwości danej informacji (najczęściej przez jej potwierdzenie w innym źródle) nieodzowna jest wiedza o właścicielach danej gazety, portalu internetowego czy kanału na Telegramie, w tym o ich powiązaniach politycznych i biznesowych. Można ją uzyskać dzięki stałemu monitoringowi danych mediów oraz zachowując w pamięci przekazy z przeszłości, ewentualnie publikowane „przecieki". Ważna jest przy tym znajomość biografii zawodowej poszczególnych dziennikarzy, co niejednokrotnie może pomóc zrozumieć kontekst danej publikacji.

Analizowanie krajów, które nie mają wolnej prasy ani niezależnych dziennikarzy (z wyjątkiem emigracyjnych), wymaga specyficznych kompetencji. Do grona takich państw zaliczają się Białoruś, Rosja i Chiny. W tych przypadkach nawet śledzenie mediów propagandowych może wszakże dostarczyć wielu przydatnych informacji. Warto pamiętać, że wytrawni sowietolodzy nie pomijali lektury sowieckiej „Prawdy". Istotne jest bowiem nie tylko, o czym i jak piszą rządowe gazety czy mówią propagandowe stacje telewizyjne, lecz także, co przemilczają. Z tonu narracji można zaś wysnuć wnioski dotyczące linii politycznej reżimu wobec jakiegoś zjawiska, wydarzenia czy innego państwa.

Kilka lat temu prowadziłem badania nad sowiecką okupacją jednego z powiatów we wschodniej Polsce i postanowiłem przeanalizować zawartość gazety, którą okupanci wydawali w latach 1939–1941 na potrzeby tego niewielkiego regionu. Okazało się, że jedyny zachowany egzemplarz znajduje się w Rosyjskiej Bibliotece Państwowej w Moskwie. Kiedy już do niego dotarłem, ku mojemu zdziwieniu okazał się on – mimo oczywistego wymiaru ideologicznego – niezwykle przydatnym źródłem. Spod propagandowego wymiaru przebijały bowiem liczne cenne szczegóły wskazujące m.in. na problemy z zainstalowaniem tam nowych władz, opór społeczny, trudności organizacyjne, aprowizacyjne i gospodarcze. Słowem, trzeba umieć czytać między wierszami, a treść poddawać wnikliwej analizie.

Dziś Ośrodek Studiów Wschodnich na bieżąco monitoruje propagandowe media rosyjskie, białoruskie czy chińskie, których doniesienia, sposób i ton komentowania niektórych wydarzeń oraz pomijanie innych stanowią wartościowe źródło informacji. Dotyczy to mediów nie tylko ogólnokrajowych, lecz także regionalnych i lokalnych, gdzie można wyszukać wiele przydatnych treści. Również oficjalne strony zamieszczające ogłoszenia o przetargach publicznych mogą stanowić kopalnię wiedzy. Aby jednak nie zdradzać wszystkich „tajemnic

kuchni", poprzestańmy na stwierdzeniu, że analizowanie państw autorytarnych czy neototalitarnych to temat na oddzielny artykuł.

Umiejętnością poniekąd oczywistą, która musi wyróżniać dobrego analityka, jest znajomość języków obcych. Trudno zajmować się Niemcami czy Rosją, nie władając odpowiednio niemieckim i rosyjskim. Przy tym powinien to być poziom na tyle zaawansowany, aby potrafić wyłapywać najróżniejsze subtelności językowe, ale też swobodnie rozmawiać podczas – o czym w dalszej części – podróży studyjnych.

Trudniejsza jest sprawa, gdy analizujemy np. Kaukaz Południowy, gdzie leżą trzy państwa z zupełnie niepodobnymi do siebie językami urzędowymi. Do pewnego stopnia kaukaskim *lingua franca* wciąż pozostaje rosyjski, a niebawem zapewne stanie się nim angielski, ale może się zdarzyć, że nasz rozmówca, „zwykły człowiek", może nie władać żadnym z nich. Podobnie wygląda sytuacja w Azji Centralnej, gdzie rosyjski jest w odwrocie, a wielu przedstawicieli młodszego pokolenia posługuje się nim słabo lub wcale. Z kolei gdy zajmujemy się Ukrainą, nie wystarczy jedynie bierna znajomość ukraińskiego, bo po rosyjsku już od dawna część naszych rozmówców nie chce z nami rozmawiać.

Historia – przyjaciółka w poznaniu

Richard Pipes, wybitny historyk Rosji, cztery lata po rozpadzie Związku Sowieckiego (co przewidział) krytykował sowietologów za to, że zignorowali historię jako nieistotną oraz „odmówili czytania sowieckich powieści i poezji, a przynajmniej nie brali ich pod uwagę". W efekcie „przegapili wszystko, co było ważne w społeczeństwie sowieckim i co ostatecznie sprawiło, że nie mogło ono funkcjonować: ludzkie aspiracje i niezadowolenie". Pipes uchwycił tym samym sedno problemu podejścia do źródeł umożliwiających poznanie ważnego wymiaru badanego przez nas świata polityczno-społecznego.

Skupmy się najpierw na znaczeniu historii. Jej znajomość jest niezbędna do zrozumienia współczesności gdziekolwiek na świecie. Nawet jeśli Juliusz Mieroszewski przesadził, pisząc ponad pół wieku temu na łamach „Kultury", że „polityka w 70, a może nawet 80 procentach jest dyskusją na temat historii", to niewątpliwie miał rację, że „polityka jest dalszym ciągiem historii". Oddziaływanie polityczne historii jest odmienne w różnych państwach, ale można znaleźć bardzo wiele przykładów waśni sąsiedzkich o jej interpretację, sporów wewnętrznych o znaczenie danego wydarzenia czy zadawnionych, ale silnie obecnych urazów jednego narodu wobec innego ze względu na tragiczną lub trudną przeszłość.

W wielu wypadkach nie da się wręcz wyjaśnić polityki danego państwa bez zrozumienia, jak patrzy ono na historię własną i obcą, na ile pozostaje ona w nim obecna – zarówno w społeczeństwie, jak i w działaniach władz – oraz czy

instrumentalizuje się ją na użytek polityczny. Nie pojmiemy postępowania Rosji bez analizy tekstów (pseudo)historycznych Władimira Putina. Ważny wymiar aktualnych stosunków czesko-słowackich nie ujawni się, jeśli nie zaznajomimy się z historią Czechosłowacji. Nie uda się uchwycić istoty polityki wschodniej III RP bez odwołania się do historii i tradycji relacji polsko-rosyjskich w ostatnich wiekach. Specyficzne podejście RFN do Izraela wynika z tego, co wydarzyło się między Niemcami a Żydami w czasie II wojny światowej. Sposób postrzegania Japonii w Korei Południowej i Chinach to konsekwencja relacji historycznych między tymi narodami... Przykłady można mnożyć niemal bez końca.

Każde państwo – przyznając to otwarcie bądź negując – prowadzi politykę historyczną, nawet jeśli nie nazywa jej tymi słowami. Bez poznania dziejów nie rozszyfrujemy zatem tego starego jak cywilizacja „wynalazku". W dorobku OSW znajdziemy wiele raportów analizujących politykę historyczną tego czy innego państwa. W każdym wypadku stanowi ona istotny wymiar jego rzeczywistości politycznej i społecznej, z ważnymi implikacjami dla polityki zagranicznej. Nic dziwnego, że wielu ekspertów w swoim podręcznym księgozbiorze posiada pozycje dotyczące historii.

Poznanie przeszłości jest też niezbędne do lepszego diagnozowania współczesnej polityki danego państwa, opartej na ogół właśnie na tradycji. Zrozumienie zimnowojennej polityki USA wobec Związku Sowieckiego, ze wszystkimi jej ograniczeniami, strachami oraz niechęcią do działań aktywnych, pomoże nam wyjaśnić dzisiejsze podejście Stanów Zjednoczonych do putinowskiej Rosji i jej agresji na Ukrainę. Nie chodzi jednak tylko o odleglejszą historię. Przewagą doświadczonego analityka lub stojącego za nim zespołu jest szczegółowa wiedza o polityce z ostatnich lat czy wręcz dwóch–trzech dekad. Często mamy bowiem do czynienia z powtarzalnością metod, ciągłością interesów, a czasami również z powrotem do władzy polityków znanych z wcześniejszej aktywności.

„Tak zdobędziesz dobro, którego nie zdobędziesz" – kultura i literatura

Niedocenianymi zwykle narzędziami dostępu do innej rzeczywistości są kultura i literatura danego narodu czy państwa. Tymczasem ich poznanie jest wręcz konieczne, jeśli chcemy lepiej zrozumieć postawy społeczeństw i decyzje rządzących. Zwłaszcza że polityka uchodzi czasami za kontynuację kultury za pomocą innych środków. Politykę zaś tworzą ludzie ukształtowani w procesie państwowej edukacji szkolnej, w trakcie której poznawali dzieła należące do rodzimego kanonu. Warto dowiedzieć się, co z tego wynieśli.

Utwór literacki powie nam nieraz więcej o jakimś wymiarze polityki danego państwa, wpływie jego historii na współczesność czy ważnym problemie

społecznym niż długotrwałe monitorowanie wydarzeń. Pisarz nierzadko bywa lepszym specjalistą od rzeczywistości niż analityk polityczny, a przy tym potrafi posłużyć się innym, bardziej plastycznym językiem i zajrzeć w zakamarki duszy, czego raczej próżno szukać w klasycznych tekstach eksperckich. Aby nie być gołosłownym, przytoczmy kilka przykładów.

Żadna analiza polityki historycznej Federacji Rosyjskiej – z jej wyparciem sowieckich zbrodni i faktyczną heroizacją zbrodniarzy – nie powie nam więcej niż mistrzowskie powieści Siergieja Lebiediewa, 44-letniego emigranta. Ileż warte są słowa narratora z jego wybitnej *Granicy zapomnienia* (2010): „Uzmysłowiłem sobie, że bandycki świat zwyciężył, że łagier pokonał nie-łagier, łagier nie odszedł, po prostu rozproszył się w pejzażu".

Izraelską trudną pamięć o Holocauście oraz przewrotny stosunek Izraelczyków do Polski i Niemiec znakomicie ukazuje niewielka powieść Yishaia Sarida *Potwór pamięci* (2017). Z jaką mocą brzmią słowa jednego z jej bohaterów, kilkunastoletniego Izraelczyka, wypowiedziane podczas wycieczki szkolnej do Auschwitz: „Wydaje mi się, że aby przetrwać, musimy być trochę nazistami. (...) Czasami nie ma innej rady i należy walić również w niewinnych. Trudno przecież odróżnić terrorystów od zwykłych ludzi, a dziecko, które dziś jest dzieckiem, jutro może wyrosnąć na terrorystę".

Nie pojmiemy tożsamości ukraińskiej bez lektury wierszy Tarasa Szewczenki, który dla naszych sąsiadów jest kimś znacznie ważniejszym niż trójka polskich wieszczów razem wzięta, swoistym ojcem założycielem narodu. Fenomen to chyba nieporównywalny z jakimkolwiek innym państwem europejskim. Z kolei zakamarki ukraińskiej pamięci, w tym dotyczącej stosunku do polskiego dziedzictwa na ziemiach ukraińskich, pomoże zrozumieć *Dom dla Doma* (2017) utalentowanej powieściopisarki Wiktorii Ameliny, która zginęła dwa lata temu w wieku 37 lat podczas rosyjskiego ataku. Który analityk umiałby w podobny sposób ukazać brzemię sowieckiego dziedzictwa: „A może ten kraj nie rozsypał się, tylko rozlał, jak rzeka na wiosnę albo olej z butelki? To by wszystko tłumaczyło. Ogromny, straszny kraj rozbił się, rozlał, jak rozlewa się czasem olej, kupiony na bazarze przy dworcu przez jakąś lwowską panią domu. Kraj rozpływał się po bruku strumyczkami, rzekami. Nie tak łatwo posprzątać to z ulic".

O traumie Ormian, uchodźstwie i niezakończonych rozrachunkach z przeszłością głęboko, jak żadna analiza, opowie *Księga szeptów* (2009) Varujana Vosganiana, rumuńskiego pisarza ormiańskiego pochodzenia, a zarazem byłego ministra gospodarki Rumunii: „Tam, gdzie narody nie walczyły już między sobą, biorąc oddech po wojnie, zaczynali wojować ze sobą ludzie tej samej nacji. Zamiast obuchów zabijały słowa. Zimna i bezlitosna, nad Europą zawisła inna wojna, w której największym zabójcą było słowo".

Przykłady odwołań do wybitnych utworów literackich, które pomogą uchwycić rzeczywistość polityczną i społeczną, można mnożyć. Warto więc pamiętać, że literatura piękna stanowi przydatne narzędzie do poznania obszaru naszych badań, dzięki któremu – parafrazując Zbigniewa Herberta – zdobędziemy dobro, którego w inny sposób nie zdobędziemy.

Diagnoza ta odnosi się zresztą do całego wymiaru kultury, w tym popkultury, której znajomość powinna uzupełniać naszą wiedzę o danym państwie i społeczeństwie wyniesioną z innych materiałów i danych. Im bardziej różnorodne będą nasze źródła, tym korzystniej wpłyną na głębokość naszego rozumienia. Pomocna będzie zatem orientacja w sztuce, będącej swoistym zwierciadłem, w którym odbija się historia i wartości niematerialne danego narodu czy społeczeństwa. Wizyty w galeriach obrazów i muzeach historycznych powinny być obowiązkowym punktem w trakcie wyjazdów studyjnych badacza.

Przykładowo w Kijowie koniecznie trzeba zobaczyć, co aktualnie pokazuje PinchukArtCentre, niezwykle ciekawa galeria sztuki współczesnej, założona przez jednego z najbogatszych Ukraińców. Choć czasowo musimy zarzucić podróże do Rosji, to warto śledzić aktywność w dziedzinie mecenatu na Zachodzie niektórych superzamożnych osób z nią związanych. Wizyta w Blavatnik Building, nowym skrzydle londyńskiej Tate Modern, lub Blavatnik School of Government na Uniwersytecie Oksfordzkim może stanowić dobry punkt wyjścia do rozważań o tym, co podobne donacje mówią nam o donatorach oraz instytucjach je przyjmujących. Temat to niszowy, ale gdy rozwiniemy go od nitki do kłębka, ujawni nam się rzeczywistość, której istnienia dotychczas nie podejrzewaliśmy. A zarazem uwidoczni się jeszcze jedna warstwa wiedzy pomagająca zrozumieć złożoność otaczającego nas świata. Przy tej okazji poczyńmy refleksję, że koniecznie trzeba znać biografie polityków, biznesmenów, oligarchów i innych osób publicznych. Wielokrotnie pomogą nam one prześwietlić stosowane mechanizmy, pokażą zależności, rzucą nowe światło na daną sprawę.

Wracając do sztuki – do naszego poznania wiele wniesie również znajomość historii architektury danego państwa, w której często zapisane są jego losy, ambicje, sukcesy lub traumy. O niemieckiej polityce historycznej i rozliczeniach z ciemną przeszłością sporo powie nam obserwowany tam proces odbudowy na wielką skalę zabytków zniszczonych w czasie II wojny światowej. Z kolei o zawiłościach aspiracji i wyborów tożsamościowych Macedonii Północnej opowie nam wycieczka po Skopje, które jest miejscem bodaj największej koncentracji nowo wzniesionych budynków w stylu architektury klasycznej w Europie (pomińmy ich walory estetyczne). W Aszchabadzie zaś zobaczymy budowle odzwierciedlające ambicje przywódców niepodległego Turkmenistanu, będące świadectwem fenomenu politycznego trudnego do zignorowania.

Warto wreszcie pamiętać o kinie – tym współczesnym i tym należącym już do klasyki, a także o... scenie muzycznej. Z filmami może być nieco podobnie jak z literaturą – otwierają one przed nami nowe obszary poznawcze, często świetnie uzupełniając wiedzę z innych źródeł. Wybitny sowiecki dramat *Idź i patrz* (1985), jeden z najlepszych obrazów wojennych w historii światowego kina, powie nam wiele o tragicznych losach ziem białoruskich w XX wieku, a zarazem o naturze niemieckiej okupacji. Bez tego kontekstu trudno rozwikłać specyfikę i tożsamość tego tak dotkniętego przez totalitaryzmy narodu. Niemiecki serial *W niemieckim domu* (2023) to znakomita wiwisekcja nie-pamięci naszych sąsiadów zza Odry o zbrodniach wojennych, podważająca rozpowszechnione, choć nieprawdziwe przekonanie, że naród ten wzorowo rozliczył się ze swojej nazistowskiej przeszłości. Świetnie zagrany rosyjski serial *Słowo pacana. Krew na asfalcie* (2023) ukazuje powszechność przemocy i agresji w Rosji, zaś dramat *Dureń* odsłania mechanizmy ważne dla zrozumienia funkcjonowania tamtejszego społeczeństwa. Kinematografia jest istotna, bo nie tylko osadza nasze myślenie w kontekście społecznym czy rzeczywistości politycznej danego okresu, lecz także tłumaczy linię propagandową władz.

Prawidłowości, czyli o potrzebie poznania kultury strategicznej

Historia, kultura i literatura wpływają na coś, co określamy mianem kultury strategicznej, którą posiada większość państw, szczególnie tych o długiej tradycji państwowości. Nieco upraszczając, termin ten oznacza zbiór reguł, wartości, postaw i wzorców myślenia politycznego charakterystyczny dla danego kraju, a wyrastający z jego doświadczeń historycznych oraz korzeni kulturowych. Kultura strategiczna kształtuje się przez pokolenia, a zachodzące w niej zmiany są powolne i zwykle mocno rozciągnięte w czasie. Jej dobre rozpoznanie to proces trudny i pełen pułapek, ale konieczny, gdyż to z niej wynikają często takie, a nie inne decyzje polityczne, sposób postrzegania siebie, innych aktorów państwowych i rzeczywistości międzynarodowej. Najkrócej rzecz ujmując – kultura strategiczna to istotne prawidłowości w funkcjonowaniu państwa, które możemy zdiagnozować, a które ułatwią nam ocenę jego działań politycznych oraz ich prognozowanie.

Opanowanie rzeczywistości politycznej, gospodarczej i społecznej na wielu poziomach wymaga nie tylko codziennego wysiłku monitorowania aktualnych wydarzeń, lecz także zapoznania się z najistotniejszym dorobkiem tych, którzy byli przed nami. Zgłębianie kultury strategicznej można sobie ułatwić, gdyż na ogół nie trzeba „odkrywać Ameryki", czyli dochodzić do ustaleń poczynionych wcześniej przez innych. Ważne książki i artykuły, czasem sprzed kilkudziesięciu laty, a nawet jeszcze starsze, to dla badacza bardzo przydatne narzędzia poznawcze.

Klasyczne prace z dziedziny myśli strategicznej czy historii danego państwa mogą okazać się nieocenione w analizowaniu jego współczesnej polityki. Weźmy jako przykład Rosję, której mechanizmy państwowe i *modus operandi* w znacznym stopniu pozostają niezmienne mimo zmieniających się systemów i ustrojów politycznych. Można wręcz stwierdzić, że nie ma w tej części świata innego państwa, które na przestrzeni ostatnich wieków w tak rozległym zakresie kontynuuje swoją kulturę strategiczną. A skoro tak, to warto dowiedzieć się, jak ją diagnozowali ci, którzy robili to przed nami. Niezbędne jest odwołanie do klasyków – od Astolphe'a de Custine'a, Józefa Piłsudskiego, Włodzimierza Lenina (*sic!*), Mariana Zdziechowskiego, Jana Kucharzewskiego, po Włodzimierza Bączkowskiego, Jerzego Niezbrzyckiego, Leopolda Łabędzia, Seweryna Bialera, Adama Ulama, Richarda Pipesa, Jamesa H. Billingtona czy Alaina Besançona. To tylko wybrane postaci. Możemy mieć jednak gwarancję, że ich prace ułatwią nam zrozumienie, jak działa i myśli dzisiejsza Rosja.

Nieprzypadkowo w tym krótkim spisie dominują badacze z Polski. Doświadczenie wymuszonego obcowania z rosyjskim imperium owocuje bowiem unikalną zdolnością do głębokiego, wręcz instynktownego dekonstruowania jego polityki, co łatwiej przychodzi przedstawicielom narodów sąsiadujących z Rosją. Aby nie pozostać gołosłownym, przytoczmy kilka przykładów.

Swoisty podręcznik rosyjskiej strategii – *Dziecięca choroba „lewicowości" w komunizmie* Lenina – pomaga pojąć putinowską Rosję. Wódz bolszewików podsunął argumenty pozwalające nazywać Rosję państwem wojennym o myśleniu darwinowskim – w jego ocenie historia dowodzi, że pokój to jedynie chwila wytchnienia przed wojną. Nawoływał przy tym do dokładnego, ostrożnego, uważnego, umiejętnego i obowiązkowego wykorzystania każdej, nawet najmniejszej, rysy między wrogami. Józef Piłsudski pokazywał przewrotność uczuć Rosjan, dzisiaj w szczególny sposób doświadczaną przez Ukraińców, gdy pisał, że „Rosjanie są łatwi i zdolni do uczucia nawet wielkiej przyjaźni i będą was kochać szczerze i serdecznie, jak brata, dopóki nie poczują, że w sercu swoim jesteście wolnym człowiekiem i boicie się ich miłości, w której dominującym pierwiastkiem jest żądza opieki nad wami, inaczej mówiąc: władzy".

Ileż są warte słowa Włodzimierza Bączkowskiego sprzed ponad 80 lat przekonujące, że „Rosja jest silna, ale słabością Zachodu", zaś „skuteczna [z nią] walka jest możliwa tylko przy stosowaniu metody ofensywnej, a defensywna postawa Zachodu jest źródłem jego naturalnych i nieuniknionych klęsk". Studiowanie prac Niezbrzyckiego o dywersji pomoże zrozumieć współczesne działania propagandy rosyjskiej oraz istotę poczynań Moskwy: „Rosja nie nadaje się do żadnych porównań na przestrzeni ludzkości. (...) Istota imperializmu rosyjskiego nie była i nie jest należycie rozumiana. Wynika ona bowiem nie tylko z poczucia siły, lecz także z poczucia słabości i niższości wobec świata

zewnętrznego. Naprawdę ten imperializm rozumieją tylko ci, którzy już są przez niego pochłonięci i trawieni". Z kolei Pipes przekonywał, że liderzy sowieccy „nie czynili radykalnego rozróżnienia między militarnymi a niemilitarnymi środkami prowadzenia polityki zagranicznej, postrzegając środki dyplomatyczne, ekonomiczne, psychologiczne i wojskowe jako kontinuum". Równie dobrze mógłby to być wniosek odnoszący się do obecnego reżimu na Kremlu.

Warto zatem poznać najważniejsze prace naszych wielkich poprzedników, którzy zajmowali się danym krajem przed nami. Nie znajdziemy tam rzecz jasna odpowiedzi na wszystkie współczesne dylematy analityczne. Ich ustalenia nierzadko jednak oszczędzą nam czas, pozwolą potwierdzić intuicje lub pomogą ubrać w słowa stawiane hipotezy. Konstruowanie współczesnych diagnoz na ustaleniach i osiągnięciach wcześniejszych badaczy to zresztą oczywistość we wszystkich dziedzinach nauki, nie inaczej powinno być zatem w analizie.

Pamięć instytucjonalna i „akademia OSW"

Gdy 22 grudnia 1990 r. premier Tadeusz Mazowiecki podpisał uchwałę Rady Ministrów nr 210/90, która zmieniała status Ministerstwa Współpracy Gospodarczej z Zagranicą, głosząc, że „dodaje się po przecinku wyrazy *Ośrodek Studiów Wschodnich*", założyciel i pierwszy dyrektor OSW Marek Karp nie wiedział jeszcze, jaki kształt przybierze ta instytucja. Od samego początku najważniejszym jej zadaniem była i pozostaje apolityczna praca dla Państwa Polskiego. Trzeba było wszakże znaleźć wzór, którym przynajmniej na starcie można by się inspirować.

Punktem odniesienia stał się Instytut Naukowo-Badawczy Europy Wschodniej w Wilnie, jedna z najlepszych przedwojennych instytucji sowietologicznych w Europie. Istotne znaczenie miały również odwołania do tradycji polskiej myśli wschodniej, w szczególności „Kultury" Jerzego Giedroycia i środowiska eksperckiego II RP skupionego wokół Włodzimierza Bączkowskiego i jego „Biuletynu Polsko-Ukraińskiego". Było jednak jasne, że czasy się zmieniły, a wraz z nimi sposoby i instrumenty badawcze. Dlatego OSW musiał wypracowywać własne metody, choć pamiętał o przeszłości. Symbolem tego jest wiszące w reprezentacyjnej sali Ośrodka zdjęcie Marka Karpia i profesora Stanisława Swianiewicza, jednego z filarów instytutu wileńskiego, wykonane w Londynie w 1983 r.

W pierwszych latach po utworzeniu OSW z zaciekawieniem patrzył na zachodnie instytucje analityczne. Efektem tego były wizyta dyrekcji w londyńskim Chatham House oraz przede wszystkim kontakty z Niemieckim Instytutem Spraw Międzynarodowych i Bezpieczeństwa (SWP), niezależnym ośrodkiem powstałym w 1962 r. i finansowanym z budżetu federalnego. Podpatrywaniu najlepszych towarzyszyło poszukiwanie i tworzenie własnych rozwiązań.

Marek Karp i kolejni dyrektorzy OSW świadomie dążyli do stworzenia nie tyle kolejnego urzędu państwowego, ile profesjonalnej instytucji – silnej, rzetelnej, dbającej o jakość i wypracowującej swoją markę w kraju i za granicą. Po 1989 r. Polska, pozbawiona wielowiekowych instytucji, musiała tworzyć je od zera.

Dobre zaprogramowanie OSW i jego dalszy rozwój oparto na trzech głównych filarach.

Po pierwsze, każda instytucja, organizacja społeczna czy przedsiębiorstwo potrzebuje poczucia misji i etosu. Tworzy to ramy funkcjonalne i buduje świadomość, że jest się częścią ważnego projektu, który ma głęboki sens. Stąd słowa Marka Karpia do nowo przyjętych: „Wchodzi Pan/Pani na pokład instytucji, która ma jeden fundamentalny cel – pracę dla Państwa Polskiego". W administracji podejście rzadkie, na wszystkich robiło wrażenie i zapadało w pamięci na długo.

Po drugie, każda szanująca się organizacja musi stworzyć i chronić coś, co nazywa pamięcią instytucjonalną. Jest to mocny fundament, który zawiera w sobie zgromadzone doświadczenie oraz nabywaną w formie ciągłej wiedzę pozwalającą na zachowanie zdolności do efektywnego i nieprzerwanego działania pomimo rotacji kadr czy reorganizacji. Pamięć instytucjonalna umożliwia nieustanne doskonalenie i wznoszenie kolejnego „piętra" w konstrukcji organizacji.

Po trzecie wreszcie, umiejętność wiązania pracowników z instytucją na długie lata, co z jednej strony podtrzymuje pamięć instytucjonalną, a z drugiej sprawia, że nowi mogą uczyć się od tych z większym stażem i bardziej doświadczonych. Wspominaliśmy już wyżej, że rzadko zdarza się, iż osoby rozpoczynające na „okręcie Koszykowa" swój nowy rozdział zawodowy są już ukształtowanymi i dojrzałymi analitykami bądź analityczkami. Dlatego najczęściej rozpoczyna swoją analityczną edukację w nieformalnej „akademii OSW". Pierwszy szczebel to przydzielenie do jednego z kilku zespołów. Regularne spotkania działowe, dyskusje formalne i nieformalne, wewnętrzne recenzowanie tekstów tworzą ramy nauki rzemiosła analitycznego. OSW skupia bowiem trzy pokolenia badaczy. Najstarsi mają ponad dwudziestoletnie doświadczenie, najmłodsi – dwu-, trzyletnie.

Drugi szczebel to spotkania, dyskusje i recenzowanie tekstów, ale na forum całego Ośrodka. Im więcej interakcji i okazji do wymiany opinii, tym większa szansa na naukę od innych, doskonalenie własnego warsztatu. To także dobry sposób dzielenia się informacjami między sobą, aby poszczególne zespoły OSW wiedziały, czym zajmują się inne, i aby syntetyzować wiedzę. Komunikacja – np. Zespołu Środkowoeuropejskiego z Zespołem Niemiec i Europy Północnej – pozwala na wyjście z własnej terytorialnej „bańki", rozszerza horyzonty badawcze, nadaje potrzebny kontekst, „naraża" na niestandardowe, krytyczne pytania od innych, a tym samym stanowi zaporę przed myśleniem grupowym.

Każda instytucja analityczna powinna dążyć do tego, aby jej eksperci, mający swoje specjalizacje krajowe lub regionalne, byli zarazem możliwie uniwersalni w rozumieniu złożoności procesów międzynarodowych.

Dorobek organizacji musi być łatwo dostępny dla każdego pracownika, aby ten mógł szybko sprawdzić, co na dany temat napisano przed nim. Pomaga w tym nie tylko dobra wyszukiwarka na stronie internetowej OSW (zawierającej publiczne analizy powstałe od 2010 r.), lecz także baza opracowań w ośrodkowym intranecie, gdzie można znaleźć wszystkie teksty napisane od początku istnienia instytucji. Trwają również prace nad wspomaganym przez sztuczną inteligencję systemem, który pozwoli przeszukiwać i syntetyzować dowolne teksty i źródła OSW. Ponadto w saloniku im. „Kultury", jednym z pomieszczeń, gdzie przyjmowani są goście, oprawione w tomy i wyeksponowane są wszystkie upublicznione dotąd wydawnictwa Ośrodka – łącznie ponad 200 grubych woluminów. Świadectwo ciągłości oraz dowód, że OSW ma już pokaźny dorobek i się na nim opiera.

Trzeba jeszcze wspomnieć o regularnie organizowanych wykładach gościnnych i seminariach roboczych dla osób spoza instytucji, głównie obcokrajowców. Zwykle są nimi badacze, akademicy, byli lub urzędujący dyplomaci lub politycy, którzy przyjeżdżają na zaproszenie OSW lub (częściej) są zapraszani na Koszykową przy okazji ich pobytu w Warszawie.

Od pewnego czasu Ośrodek inwestuje też w dwu- lub trzymiesięczne staże badawcze (*fellowships*) kilku swoich pracowników rocznie w wybranych prestiżowych centrach analitycznych za granicą – od Brukseli i Berlina po Waszyngton i Tajpej.

Generalnym celem wszystkich tych działań jest to, aby nowo zatrudnieni możliwie szybko rozwinęli skrzydła, zaadaptowali się w zespole, poczuli się jego częścią i przejęli etos OSW, a ci bardziej doświadczeni – mieli jak najlepsze warunki, by nieustannie się doskonalić.

Podróże studyjne kształcą

Marny jest los badacza, który opiera swoją wiedzę tylko na informacjach z mediów, doniesieniach agencyjnych i źródłach internetowych. Dlatego dobry analityk powinien jak najczęściej wychodzić zza biurka. Od początku swojego istnienia OSW rozwija podróże studyjne, które są nieodłączną częścią pracy ekspertów. Muszą oni znać kraje, którymi się zajmują, z autopsji, a to umożliwiają tylko regularne wyjazdy badawcze. Pozwalają one na konfrontowanie wiedzy czerpanej z mediów z sytuacją „w polu", w celu jej ciągłej weryfikacji.

Przynajmniej raz w roku, choć zwykle częściej, każdy analityk odbywa co najmniej tygodniową podróż studyjną do kraju lub regionu, którym się zajmuje.

W jej trakcie od rana do często późnego wieczoru spotyka się z miejscowymi ekspertami, dziennikarzami, politykami, dyplomatami, przedstawicielami administracji i każdym, kto jest w stanie poszerzyć jego wiedzę. Służy to nie tylko uzyskaniu niedostępnych powszechnie informacji, lecz przede wszystkim zderzeniu tego, co się nam wydaje, z realną sytuacją na miejscu. Mowa tu zarówno o stolicy i dużych miastach, jak i – obowiązkowo – o prowincji. Trzeba poczuć obiekt badawczy, stać się na chwilę częścią społeczeństwa w analizowanym kraju. W wielu przypadkach lepiej jest raz coś zobaczyć, niż sto razy o tym przeczytać.

Podróże studyjne to także poznawanie sposobu myślenia innych społeczeństw oraz ich poczucia humoru, kuchni, obyczajów, muzeów. Podczas wyjazdów ważne są interakcje z tzw. zwykłymi ludźmi – w środkach komunikacji, na bazarze, na ulicy, w restauracji, w taksówce i wielu innych miejscach. Niewątpliwie przyda nam się umiejętność zadawania pytań. Daje to świetną sposobność do zdobywania oraz weryfikowania informacji i własnych tez, przekonania się, jakie odczucia wyrażają przedstawiciele danego społeczeństwa w tej czy innej sprawie. Aby trafnie interpretować działania innych, trzeba zrozumieć ich mentalności. Punkt wyjścia stanowi otwarcie się na nową rzeczywistość, umiejętność słuchania i autokrytyczne założenie, że możemy nie mieć racji.

Podczas podróży na Białoruś można było sprawdzić między innymi, jak i czy w ogóle młodzi mieszkańcy tego kraju, ukształtowani już w systemie edukacyjnym za rządów Alaksandra Łukaszenki, mówią po białorusku, co sądzą o Polsce, Unii Europejskiej i Rosji. Kilku analityków OSW niemal nieprzerwanie przypatrywało się kijowskiemu Majdanowi w trakcie obu ukraińskich rewolucji. Byli oni również na Krymie, gdy w 2014 r. wchodziły tam „zielone ludziki", i w Donbasie, gdy pojawili się tam „separatyści". Na żywo przysłuchiwali się wiecom CDU i AfD podczas kampanii wyborczej w Niemczech. W Serbii, Gruzji, Armenii i – gdy było to jeszcze możliwe – w Rosji obserwowali ruchy protestu i rozmawiali z ich uczestnikami. W Finlandii i Kirgistanie zjeździli pogranicze z odpowiednio Rosją i Chinami, aby poznać powstającą infrastrukturę graniczną. Podobnych przykładów „polowego" wymiaru analizy można wyliczyć znacznie więcej.

Trudno przecenić tak zdobyte doświadczenie, dostrzeżone emocje społeczne, zetknięcie się z bezpośrednimi uczestnikami wydarzeń i pozyskaną w ten sposób wiedzę. Wszystko to sprawia, że dysponujemy obszerniejszym materiałem faktograficznym do oceny i wyciągania wniosków, dzięki czemu tworzone później analizy są głębsze, a dla odbiorców wiarygodniejsze. Wiele znaczyła niedawna wizyta analityków OSW w Chersoniu, mieście zamkniętym ze względu na pobliską linię frontu, i możliwość zobaczenia na własne oczy, jak wygląda życie pod ciągłym obstrzałem rosyjskich dronów.

Dużą wagę mają też liczne zaproszenia na seminaria i konferencje zarówno w kraju, jak i za granicą, często prestiżowe, z udziałem ważnych polityków i ekspertów. Daje to świetną sposobność do dyskusji i wymiany opinii, jak również otwiera kolejne pole poznawcze. Aktywność seminaryjna OSW rozciąga się od Europy, Turcji i Azji Centralnej po Stany Zjednoczone, Chiny, Japonię i Australię.

Obok różnych form wyjazdów poza Polskę w OSW organizowane są spotkania lub seminaria, na ogół z udziałem gości z zagranicy – od ekspertów i dziennikarzy po polityków i przedstawicieli administracji innych państw. Mają one charakter roboczy i odbywają się niemal codziennie, a w skali roku jest ich kilkaset. Każde z nich nie tylko wyciąga analityków zza biurka, lecz także daje im możliwość zetknięcia się ze specjalistą w danej dziedzinie, insiderem czy decydentem politycznym. Kolejny ważny aspekt, który pozwala wiedzieć i rozumieć więcej. Zarazem spotkania te rodzą też bezcenną okazję do promowania przez Ośrodek polskiego punktu widzenia w trwającej nieustająco międzynarodowej wymianie myśli i opinii. Ten wymiar „dyplomacji publicznej" stanowi istotną część działalności OSW.

Błędy, intuicja i niewiedza

Ważnym elementem procesu kształcenia jest refleksja nad błędami popełnianymi w analizowaniu rzeczywistości. Młody analityk zwykle ma odwagę w stawianiu wniosków, nierzadko graniczącą wręcz z brawurą. Po pierwszych spektakularnych, niemożliwych do uniknięcia pomyłkach jego pewność siebie zostaje zachwiana, co jest wszakże procesem korzystnym i nie należy nikogo za owe pomyłki karać. Z czasem bowiem badacz pojmie, że w jego dziedzinie nie ma nic gorszego niż przekonanie o własnej nieomylności i posiadaniu rzekomej „licencji" na rozumienie otaczającego nas świata.

Kolejne pomyłki, przestrzelone diagnozy są naturalne i nie da się ich uniknąć. Sprawiają jednak, że rodzi się coś, co można nazwać pokorą analityczną. Zdobywa się bezcenne doświadczenie, zaczyna się pojmować wcześniej niedostrzegane niuanse badanej rzeczywistości. Umiejętność uczenia się na własnych błędach oraz praktyka badawcza, której towarzyszy stale pogłębiana wiedza, to niezbędne składowe przysposobienia do roli eksperta. Zarazem istnieje równoległa tendencja do racjonalizowania popełnionych błędów oraz ich wypierania. To postawa szkodliwa. Pomyłki będą nam towarzyszyć do końca naszej kariery analitycznej, kluczowe jest dążenie do ich minimalizowania, a co za tym idzie doskonalenia się w sztuce analizy, ale też wyciągania wniosków na przyszłość.

Oczywiste są błędy w prognozowaniu, szczególnie tym średnio- i długoterminowym. Choć to temat na oddzielny tekst, poczyńmy w tym zakresie kilka krótkich uwag. Zadaniem analityka jest wyjaśnianie rzeczywistości, a nie

przewidywanie przyszłości, co najczęściej jest niemożliwe. Nie umiemy prognozować tego, co nadejdzie, a cała historia ludzkości podsuwa pełno przykładów, gdy zaistniało coś, co „nie miało prawa się wydarzyć". Weźmy choćby liczne zakończone fiaskiem działania Stanów Zjednoczonych w ciągu ostatnich kilku dekad. Najsilniejsze mocarstwo świata, mimo dysponowania ogromnym aparatem analitycznym i wywiadowczym, i tak ponosi wiele spektakularnych porażek.

Najczęściej już *ex post* analitycy są w stanie wyjaśnić, dlaczego do pomyłek doszło i całe wydarzenie przekonująco zracjonalizować. Nie znaczy to, że nie należy prognozować, zwłaszcza że często oczekują tego decydenci. Przewidywanie staje się możliwe, gdy dzięki wytrwałemu procesowi poznawczemu jesteśmy w stanie zdiagnozować w badanym środowisku istnienie pewnych reguł i prawidłowości w praktyce politycznej danego państwa. Jeśli pozostają one nienaruszone, nasze szanse na trafną prognozę są wysokie. Nie zmienia to faktu, że wydarzenia, których nikt (lub niemal nikt) nie przewidział, zdarzają się regularnie i naiwnością byłoby zakładanie, że kiedyś będzie inaczej.

Prognozowanie może wspierać lub uzupełniać intuicja badawcza. Jest to ni mniej, ni więcej tylko nasza reakcja na jakieś wydarzenie, zjawisko lub proces bazująca na całej zgromadzonej przez nas wiedzy i na doświadczeniu. To one dostarczają nam wskazówek, jakie wnioski z analizowanego zdarzenia wysnuć lub jaką prognozę postawić. Intuicja zapewne się sprawdzi, gdy zidentyfikujemy znane z wcześniejszej praktyki działania, zachowania czy elementy, które umiejscowione będą w zdiagnozowanych już wcześniej ramach systemowych. Sytuacja się skomplikuje, kiedy tylko część elementów będzie znana z poprzedniej praktyki, a towarzyszyć będą im nowe, jeszcze nierozpoznane, które będą zmieniać lub transformować ustalony porządek. Gdy zaś większość elementów rzeczywistości lub wręcz wszystkie z nich będą nowe i nie będą się mieścić w dotychczasowym systemie, a nawet będą go rozsadzać, oznacza to, że należy mówić o procesach rewolucyjnych. Trzeba jednak mieć na uwadze, że intuicja może nas regularnie zawodzić, gdy zbytnio jej zaufamy i zrezygnujemy z krytycznego myślenia.

Przejawem zaawansowania analitycznego jest uświadomienie sobie własnej niewiedzy. Pół biedy, jeśli opanowanie brakującej wiedzy to wyłącznie kwestia czasu. Gorzej, gdy pole niewiedzy będzie wynikało z przyczyn obiektywnych, czyli niemożności zdobycia danych czy informacji, które się na ową niewiedzę składają. Jak zajrzeć za kulisy procesów podejmowania decyzji politycznych w państwach niedemokratycznych? Jak prognozować zachowania polityków uznawanych za mało racjonalnych? Analizując takie państwa jak Rosja, Białoruś, Chiny, Iran czy Turkmenistan, jesteśmy skazani na znaczny deficyt wiedzy, często niemożliwej do uzupełnienia. Najgorsza sytuacja jest wówczas, gdy nie wiemy, czego nie wiemy. Może, choć nie musi wynikać to z naszej ignorancji.

Mogą bowiem istnieć nieujawnione czynniki wpływające na rozwój wydarzeń czy procesów, których nie jesteśmy w stanie się domyślić.

W otaczającym nas świecie powiedzenie, że czegoś nie wiemy, może być aktem odwagi. Narażamy się na reakcję w rodzaju: „To co z ciebie za ekspert?!". W efekcie więcej poklasku u odbiorców mediów czy decydentów politycznych zyskują „wszystkowiedzący" komentatorzy, potrafiący rzekomo wyjaśnić każde zdarzenie – szczególnie ci, którzy potrafią mówić w sposób wzbudzający zaufanie. Podobna pseudoekspertyza wyrządza wiele szkód, zaś formułujące ją osoby na ogół nie rozumieją, że zwyczajnie nie rozumieją. Dlatego eksperci komentujący w mediach dane wydarzenie rzadko pozwalają sobie na wyznanie o istniejącym (obiektywnym) polu niewiedzy. Dodajmy, że ów deficyt informacyjny dotyczy nie tylko ich, lecz że wszyscy inni znajdują się w podobnej sytuacji. Odpowiedzialne będzie zatem powiedzenie, że się czegoś nie wie, a zarazem wytłumaczenie, dlaczego i z czego to wynika.

Pułapki rzeczywistość

Świat jest mechanizmem niezwykle złożonym, wielopłaszczyznowym, dynamicznym i nieustannie się zmieniającym. Warto sobie uświadomić, że analityk – podobnie jak każdy człowiek – ma naturalną tendencję do upraszczania, redukowania, ignorowania lub świadomego pomijania niektórych faktów, co siłą rzeczy musi prowadzić do wykrzywiania obrazu rzeczywistości, a tym samym mylnego jej rozumienia. Ponadto skłonni jesteśmy do poszukiwania argumentów na rzecz potwierdzenia naszych tez, a co za tym idzie – selekcjonujemy informacje, odrzucając te, które nam nie pasują.

Na stawianie wniosków wpływają również ludzkie emocje, w szczególności obawa lub strach, nadmierna pewność siebie, uprzedzenia, złość, sympatie lub ich brak. Nie da się być badaczem ulegającym „-filii" (czechofilii, ukrainofilii, etc.) czy „-fobii" (germanofobii, rusofobii, etc.). Wypacza to percepcję, powoduje brak dystansu do analizowanego obiektu czy państwa, a tym samym rzutuje na efekty pracy. Czym innym jest natomiast zrozumiały element fascynacji, podziwu czy po prostu zaciekawienia. Trudno zajmować się długo czymś, czego nie lubimy. Wreszcie – każdy badacz operuje w ramach jakiegoś systemu wartości i narażony jest na pokusę postrzegania rzeczywistości przez pryzmat własnego doświadczenia.

Naturalne jest przenoszenie schematów myślenia dotyczących własnego kraju czy kręgu cywilizacyjnego na inne. Wpisywanie badanego obiektu w naszą umysłowość to jeden z najczęściej popełnianych błędów. W efekcie próbujemy na siłę szukać podobieństw i wciskać odmienną rzeczywistość we własne ramy myślowo-mentalne, dostosowując ją do naszego kulturowego sposobu

postrzegania świata. Wszystko to wpływa nieuchronnie na zniekształcone postrzeganie przez nas charakteru danego zjawiska, zaburza jego istotę i prowadzi do fałszywej analizy rzeczywistości.

Wyjście ponad własną umysłowość, zakorzeniony stereotyp i niemierzenie innych swoją miarą nie jest proste. Niewątpliwie trudno opanować umiejętność patrzenia na badane państwo, region czy system polityczny bez uprzedzeń, sformułowanych wcześniej wniosków opartych na przekonaniu, że „inny" musi być podobny do nas. Pocieszeniem w wymagającym zadaniu poznawania mogą być słowa Bączkowskiego pod adresem badających Rosję, zwykle postrzeganą jako państwo wyjątkowo skomplikowane: „Zagadka Rosji nie jest jednak nie do rozwiązania, a trudność w znalezieniu klucza polega na odmiennej od zachodniej treści cywilizacji rosyjskiej". Zalecenie, aby wyjść poza własny paradygmat kulturowy i spróbować wczuć się w badany obiekt, pozostaje niezmiennie aktualne.

Każdy analityk powinien też pamiętać, że liczne państwa próbują narzucić innym swój pożądany obraz. Dotyczy to w szczególności tych, które dysponują zasobami umożliwiającymi prowadzenie ofensywnej polityki informacyjnego wpływania na świat, i zdolnych do wypracowania sobie odpowiedniego instrumentarium i skutecznej *soft power*. Rzecz jasna kreują one wizerunek własny daleki od obiektywnego, by nie powiedzieć, że często fałszywy. Jeszcze de Custine pisał, że w Rosji „okłamywanie [świata zewnętrznego] jest profesją", co dzisiaj wydaje się jeszcze aktualniejsze.

Należy zatem pamiętać, że badający konkretne państwo często jest poddawany działaniom sponsorowanym przez nie i mającym mu to utrudnić. Co gorsza, takie zabiegi wymierzone są przede wszystkim w społeczeństwa i elity polityczne kraju pochodzenia badacza. W rezultacie przebicie się z analizą i rekomendacjami do decydentów politycznych, szczególnie jeśli rozmijają się one z rozpowszechnioną percepcją danego zjawiska, procesu czy państwa, staje się utrudnione. W takiej sytuacji analityk idzie pod prąd, a jego szanse na sukces maleją.

Analiza w erze AI

Metody analityczne podlegają nieustającej aktualizacji i weryfikacji. Dochodzą nowe instrumenty badania świata – od różnorodnych funkcji sieci społecznościowych po sztuczną inteligencję. Zwłaszcza AI niesie wiele wyzwań dla analityków z różnych dziedzin. Mimo że ułatwia pracę w niektórych jej najprostszych wymiarach, niezbędne jest w jej przypadku podejście krytyczne. Znajdujemy się ledwie na początku rozwoju AI, która wszakże już dziś rodzi liczne ryzyka dla pozyskiwania informacji. W szczególności dotyczą one nowych możliwości oddziaływania dezinformacyjnego i hierarchizowania przez nią źródeł, na co

korzystający ze sztucznej inteligencji nie ma wpływu, pozbawiony jest bowiem wiedzy o tym, jak działa zastosowany w niej mechanizm.

Zarazem jednak AI stawać się będzie ważnym narzędziem wsparcia analityka w selekcjonowaniu treści, redukowaniu szumu informacyjnego, ale też w wyszukiwaniu w nich głębszych zależności i rysujących się trendów. Ilość generowanych codziennie na świecie danych istotnych z punktu widzenia analizy międzynarodowej – liczb, wypowiedzi, wpisów w mediach społecznościowych, artykułów – rośnie wykładniczo. Już dziś zasób ten wykracza poza zdolności poznawcze „nieuzbrojonego" ludzkiego oka.

Ośrodek Studiów Wschodnich należy do miejsc, które poszukują sposobów wykorzystania możliwości, jakie otwierają nowe technologie, np. do analizowania olbrzymich zbiorów danych (*big data*). Od pewnego czasu zespoły analityczne w istotny sposób wspiera analityk do spraw danych ilościowych. Efekty tej pracy znajdują praktyczne zastosowanie m.in. w badaniu mechanizmów obchodzenia sankcji czy optymalizowaniu przepływów transportowych i ich skutecznym programowaniu.

Doświadczenia pracy z danymi w OSW wskazują jednak, że analiza ilościowa opierająca się nawet na największych zbiorach i dużych mocach obliczeniowych nie może obejść się bez spotkania z jakościowym znawcą tematu, który jest niezbędny do interpretacji wyników. Długie szeregi liczb i niezrozumiałe „artefakty" w międzynarodowym handlu towarami objętymi sankcjami często nabierają sensu dopiero wtedy, gdy porozmawia się z celnikami pracującymi na granicach UE czy operatorami logistycznymi w tureckich portach. Prawdziwe odkrycia w rozpracowywaniu dużych zbiorów danych pojawiają się dopiero w efekcie spotkania obu tych światów.

Rozwój i przyszłe możliwości AI niosą wprawdzie wyzwania dla tradycyjnej analizy, lecz nie można z tego powodu obrażać się na rzeczywistość. Należy łączyć to, co najlepsze w klasycznym podejściu do rozumienia rzeczywistości, czyli kompleksową wiedzę i umiejętności układania puzzli, z ułatwianiem sobie pracy i otwieraniem nowych horyzontów, w tym dzięki zastosowaniu nowoczesnych technologii.

Podsumowanie – analityk i jego zadania

O klasie dobrego analityka świadczy rozległa wiedza, oparta na możliwie najszerszym zakresie źródeł, w idealnym przypadku erudycyjna. Erudycyjność bowiem, podobnie jak dążenie do syntezy, jest wręcz niezbędna, aby widzieć las, a nie tylko drzewa. Pozwala również na wyjście z tarczą w trakcie różnych formatów dyskusyjnych, gdy trzeba szybko sięgać do własnych zasobów intelektualnych z rozmaitych dziedzin. Osiągnięcie takiego poziomu zajmuje wiele lat

wypełnionych ciężką pracą, setkami lektur, rozmów, polemik, sporów i podróży badawczych, wymaga też refleksji nad błędami, które nieuchronnie się na tej drodze popełni. Słowem – nieustannej pracy nad sobą.

Proces samokształcenia analityka nigdy się nie kończy i wymaga ciągłej aktualizacji wiedzy, regularnych kontaktów z badanym państwem, doskonalenia własnego warsztatu i realistycznego diagnozowania nowych trendów. Nie uważa się on za nieomylnego, nie jest mu obca pokora intelektualna, zna granice swoich kompetencji i potrafi przyznać się do niewiedzy, a także wziąć odpowiedzialność za swoje słowa. Konieczna przy tym jest ciekawość świata, umiejętność krytycznego myślenia i pasja do obszaru badawczego – to cechy, na które zwracamy baczną uwagę w trakcie rekrutowania kandydatów do pracy w OSW.

Proces kształtowania nowych analityków, ale też doskonalenia całego zespołu Ośrodka przebiega w ramach instytucji z 35-letnią tradycją, pielęgnowaną pamięcią instytucjonalną, zgromadzonym doświadczeniem i swoistą „mądrością grupową". Ów format jest niezwykle ważny co najmniej z dwóch powodów. Po pierwsze, tworzy pole do uczenia się od siebie wewnątrz wspólnoty analitycznej opartej wprawdzie na hierarchii, ale w której panują stosunki partnerskie, dobra atmosfera i duch wolnomyślicielstwa. Po drugie, badanie wielu państw, a tym bardziej skomplikowanych kwestii międzynarodowych, przerasta możliwości jednego człowieka i wymaga tworzenia wieloosobowych zespołów oraz efektywnego zorganizowania ich pracy.

Analityk powinien lubić swoją pracę, a najlepiej, żeby była ona jego hobby. Również dlatego, że czasami „nigdy" z niej nie wychodzi, a już z pewnością nie jest ona ośmiogodzinna. Musi on jednak rozumieć, że gromadzenie wiedzy, umiejętność poruszania się w zalewie informacji oraz zdolność do ich interpretowania, czyli powiedzenia nie tylko, co się stało, lecz także dlaczego i co z tego wynika, nie są celami samymi w sobie. Ważny jest wymiar praktyczny, czyli upowszechnianie wniosków analitycznych zarówno w społeczeństwie, jak i wśród decydentów, co stanowi nadrzędne zadanie OSW. Analiza sytuacji musi stanowić nieodłączną część procesu podejmowania decyzji. Jej efekty przekazujemy za pomocą zarówno metod tradycyjnych, jakimi są różne formy ekspertyzy pisanej, jak i podcastów, które stają się coraz powszechniejszym sposobem percepcji wiedzy.

Metoda analityczna praktykowana w OSW opiera się na wypracowywanych od 1990 r. i sprawdzonych wzorcach, ale zarazem jest otwarta na zmiany i doskonalenie. Jej stałym celem pozostaje zaś ciągłe dążenie do możliwie najdoskonalszego wyostrzenia rzeczywistości, tak aby obserwowany przez nas jej obraz był jak najpełniejszy.

Między wiedzą a polityką. Jak być analitykiem-doradcą w czasach kryzysu ekspertyzy

Adam Eberhardt

W ostatnich dwóch dekadach grunt pod nogami zawodowych analityków zachwiał się. Jeszcze niedawno pozycję zapewniał sam dostęp do informacji – często niepełnych, niezweryfikowanych, ale rzadkich. Ekspertem był ten, kto wiedział więcej lub wiedział pierwszy. Obecnie bariery wejścia na rynek uległy zatarciu. Informacja stała się powszechna, przeszkoda językowa – łatwiejsza do ominięcia. Podstawową „walutą" w świecie analizy jest nie tyle sama informacja czy zdolność jej właściwej interpretacji, ile umiejętność przebicia się z własną narracją. Media społecznościowe pozwalają budować zasięgi szczególnie tym, którzy – dzięki chwytliwym tezom – potrafią znaleźć klucz do emocji odbiorców. To sprawia, że rosnąca konkurencja – zjawisko samo w sobie korzystne, mobilizujące badaczy do wysiłku, a jednocześnie zapewniające czytelnikom pluralizm poglądów – niesie ze sobą zagrożenie dla rzetelności oferowanej ekspertyzy.

Równolegle do upowszechniania się informacji i wzrostu konkurencji na rynku opinii postępuje zjawisko znacznie głębsze: erozja zaufania do ekspertów jako takich. Wpierw internet, potem sieci społecznościowe, a wreszcie sztuczna inteligencja wywróciły nasz świat, przekształciły media i politykę, tworząc ułudę łatwych odpowiedzi na trudne pytania. Wydaje się, że przełom pod tym względem nastąpił wraz z pandemią COVID-19. To, co wcześniej uchodziło za domenę specjalistów – prognozy dotyczące mutacji wirusa i kolejnych fal zakażeń, znalazło się w wirze emocji społecznych. W ciągu kilku miesięcy słowo „ekspert" straciło w wielu środowiskach neutralność

i zaczęło być kojarzone z zaangażowaniem ideologicznym, interesem korporacji lub „dyktatem elit". Przeciętny obywatel wyposażony w kilka wykresów z social mediów coraz częściej czuł się uprawniony do kontestowania wiedzy, którą przez lata uznawano za fachową. Co więcej, nierzadko okazywał się nie bardziej bezradny niż zawodowi epidemiolodzy. Ów trend antyekspercki wyznaczają, jak w większości sfer, Stany Zjednoczone, gdzie ponownej prezydenturze Donalda Trumpa towarzyszy ostra retoryka antyelitarystyczna – wyśmiewanie „ekspertów z Harvardu", stawianie znaku równości między wiedzą a opinią.

Tak się rodzi świat, w którym każdy może podawać się za eksperta i niczego nie traktuje się jako bezspornej ekspertyzy. Nie wystarcza gromadzenie danych i formułowanie trafnych obserwacji – na bardzo konkurencyjnym rynku idei przekuwanie wiedzy w rekomendacje będące w stanie oddziaływać na politykę wymaga coraz więcej wysiłku. Dotyczy to szczególnie opłacanych z budżetu państwa instytucji analitycznych, takich jak Ośrodek Studiów Wschodnich, których ustawową misją jest wspieranie administracji doradztwem w wypracowywaniu polityki zagranicznej. Tym różnią się analitycy podmiotów państwowych od naukowców, których badania nie muszą mieć (choć w wielu przypadkach byłoby to zasadne) bezpośredniego, natychmiastowego waloru aplikacyjnego, czy od analityków prywatnych think tanków, których rytm działalności wyznaczają zazwyczaj warunki komercyjnego finansowania.

Od wiedzy do rekomendacji

Celem niniejszego eseju jest refleksja na temat wyzwań stojących przed analitykiem-doradcą, który w wirze zmian wywołanych postępującą rewolucją informacyjną stara się utrzymać wpływ na decydenta, służąc ekspertyzą w zakresie wypracowywania polityki (w tym przypadku zagranicznej). Tekst ten nie ma ambicji całościowego przedstawienia tajników warsztatu analitycznego czy opisu zależności między pracą analityczną a doradczą. Zagadnienie to zostało dobrze opracowane, a zainteresowanych nim warto skierować do świetnej książki badacza i dyplomaty, byłego eksperta OSW Wojciecha Zajączkowskiego *Rozumieć politykę międzynarodową. Metody analizy źródeł otwartych* (wyd. OSW i Scholar, Warszawa 2025).

Tytułem wprowadzenia poprzestańmy jedynie na wskazaniu, że analityk zajmuje się realiami takimi, jakimi są. Jego zadanie polega na porządkowaniu danych, dostrzeganiu zależności, sygnalizowaniu zjawisk i formułowaniu wniosków opartych na faktach. Zbiera, przetwarza i diagnozuje – z dystansem, który pozwala mu zachować bezstronność i rzetelność metodologiczną. Skuteczny doradca wychodzi od tych samych przesłanek, ale musi funkcjonować

w zupełnie innej logice. Od analityka-doradcy wymaga się nie tylko świetnego, pozbawionego stronniczości rozumienia złożoności świata, lecz przede wszystkim umiejętności jego upraszczania – nie przez zafałszowanie, lecz wybór tego, co kluczowe politycznie. Stoi przed nim wyzwanie w postaci dokładnego rozważenia wszystkich możliwych scenariuszy, a następnie pomocy w wyborze tego pożądanego oraz zarysowanie ścieżki dojścia do niego. Doradztwo polega na przekładaniu wiedzy na rekomendacje.

Dobrze sformułowana rekomendacja to dopiero połowa sukcesu – trzeba jeszcze umieć dotrzeć z nią do decydenta oraz przekonać go, by uczynił z niej politykę. W swojej książce Zajączkowski przytacza wspomnienia George'a F. Kennana – amerykańskiego dyplomaty, sowietologa i autora słynnego „długiego telegramu" z lutego 1946 r., którego tezy stały się podstawą amerykańskiej strategii powstrzymywania Związku Sowieckiego. Zwracał on uwagę na konieczność uwzględniania w zaleceniach horyzontu poznawczego odbiorcy i stwierdzał, że skierowana do niego analiza „przynosi coś, co już nie jest kwalifikowane jako szaleństwo, a jeszcze nie stało się banałem".

Rytm pracy

Siła instytucji analitycznej wynika nie tyle (czy nie tylko) z obiektywnej wartości przygotowywanych materiałów, ile ze zdolności do odczytania potrzeb i ograniczeń adresata, a zatem trafienia do niego w dosłownym i przenośnym znaczeniu tego słowa. To zadanie w pierwszej kolejności kierownictwa owego podmiotu, ale nierzadko spada ono również na barki szefów zespołów tematycznych i towarzyszących im ekspertów, specjalistów z wybranej dziedziny.

Doradztwo wymaga empatii poznawczej: wejścia w buty odbiorcy, poznania rytmu polityki, wyczucia odpowiedniego momentu i posługiwania się przekonującym językiem. Trzeba doskonale rozpoznać zarówno przedmiot badań, jak i specyfikę zamawiającego owe badania. Jak zauważył współzałożyciel i wicedyrektor OSW, a później polityk-decydent Bartłomiej Sienkiewicz, „[kto] nie rozumie «bliskiego» (potrzeb własnego rządu, uwarunkowań polityki własnego kraju itp.), to jak ma zrozumieć «dalekie» (inny kraj, inną kulturę, inną politykę czy rzeczywistość społeczną)?" (*Jak to się robi? Radykalny poradnik analityczny* [w:] J. Borkowicz, J. Cichocki, K. Pełczyńska-Nałęcz (red.), *Okręt Koszykowa*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2007, s. 102).

Z perspektywy analityka-doradcy nie istnieje jeden modelowy decydent. Prezydent, premier, parlamentarzysta, minister, sekretarz lub podsekretarz stanu, dyrektor departamentu – każdy z nich może być właściwym adresatem ekspertyzy, ale każdy funkcjonuje też w innej logice i w odmiennym rytmie pracy. Często zdarza się, że newralgiczną rolę w relacji doradca–decydent mogą

odgrywać osoby niepodejmujące decyzji politycznych, jak urzędnicy średniego szczebla, a szczególnie asystenci polityczni. Ich przydatność wynika z faktu, że dysponują możliwością regularnego, realizowanego w rozmaitych formach kontaktu z decydentem. To poprzez nich niekiedy najlepiej przebija się treść analityczna.

Im wyżej w hierarchii struktur państwa znajduje się odbiorca, tym więcej rozpraszających go obowiązków musi wypełniać, a zarazem tym więcej decyzji w istotnych, często skomplikowanych sprawach podejmuje każdego dnia. Przez to znacznie mniej czasu może przeznaczyć na każdą ze spraw, którymi się zajmuje. To zaś oznacza ograniczoną zdolność absorpcji wiedzy i konieczność prowadzenia skondensowanej komunikacji – hasłowej, pozbawionej zbędnego kontekstu. Gdy decydent raz uzna, że poświęcony czas nie był wart korzyści z otrzymanego briefingu, będzie mniej skory do ponownego zasięgnięcia opinii eksperta.

Istnieje jeszcze jedna prawidłowość: im wyższa pozycja adresata analizy w aparacie państwowym, tym nie tylko większe deficyt jego czasu i mnogość obowiązków, lecz z reguły także silniejsza presja polityczna towarzysząca procesowi decyzyjnemu. To powoduje, że decydent bardzo często kieruje się motywacją natury defensywnej – na ogół potrzebuje rady eksperta wówczas, gdy chce zminimalizować ryzyko popełnienia błędów, szczególnie takich, które mogą ujrzeć światło dzienne i stać się przedmiotem krytyki medialnej. Analogicznie, każdą formułowaną przez doradcę rekomendację zwykle najpierw ocenia się pod kątem ryzyka i ewentualnych kosztów politycznych, a dopiero potem rozważa jej walory merytoryczne.

Rzeczywistość polityczna czasów rewolucji informacyjnej narzuca rytm, w którym tematy strategiczne są zazwyczaj wypierane przez kwestie doraźne. Decydent najczęściej potrzebuje nie pełnej, wyczerpującej zagadnienie ekspertyzy, lecz użytecznych *talking points*: kilku naczelnych argumentów, zwięzłej narracji, punktu zaczepienia do wystąpienia publicznego, wizyty zagranicznej czy komentarza dla mediów. Doradca nie ma w tym zakresie wyboru: żeby być efektywnym, musi uszanować, że aktualne wyzwania mają pierwszeństwo nad sprawami ważniejszymi, ale przy tym trudniejszymi i bardziej czasochłonnymi. Opisywany stan rzeczy niesie oczywiście potencjalnie bardzo negatywne konsekwencje dla analityka – rośnie niebezpieczeństwo, że będzie on przyjmował rolę specjalisty od public relations, pomagającego formułować retorykę zastępującą niekiedy działanie lub usprawiedliwiającą już podjęte decyzje.

W cztery oczy z decydentem

Świat szybko się zmienia, co sprawia, że rolą doradcy staje się nie tyle edukowanie mocodawcy, ile wspieranie go w szybkim porządkowaniu coraz bardziej

skomplikowanej i płynnej rzeczywistości oraz tłumaczenie, czemu warto zająć się jakąś bieżącą sprawą bądź zaniechać jakichś szkodliwych posunięć. Ale nie tylko – briefing przed konferencją czy wizytą zagraniczną, a już zwłaszcza towarzyszenie w owej wizycie – samej z siebie nieraz zdominowanej przez kwestie protokolarne, merytorycznie nieistotne – to również szansa, żeby przy okazji spraw doraźnych przemycić te w odczuciu doradcy znacznie ważniejsze, pozostające dotąd na uboczu zainteresowania decydenta.

Bezpośredni kontakt ma pierwszorzędne znaczenie jeszcze z jednego powodu: kluczowym warunkiem skutecznego doradztwa jest postawienie właściwych pytań. Dziś politycy często nie mają czasu, a niekiedy i wystarczającej wiedzy, by konkretnie określić, czego tak naprawdę potrzebują. Jeszcze częściej zamówienia na notatki formułują asystenci lub inni podwładni, którzy nie znają pełnego kontekstu i błędnie definiują problem. W efekcie analityk odpowiada na pytanie nieprecyzyjne bądź zupełnie niepotrzebne. Od tego zaś tylko krok do wzajemnego rozczarowania eksperta i decydenta.

Wraz z rewolucją technologiczną, która narzuca skrótowość i wirtualność, pielęgnowanie bezpośredniego kontaktu z adresatem ekspertyzy nabrało zatem szczególnej rangi. Dopiero dzięki niemu można zrozumieć, co jest naprawdę istotne z punktu widzenia procesu decyzyjnego, jak wyglądają kulisy orzeczenia, które musi zostać wypracowane. Nierzadko zdarza się, że polityk z racji realizowanych zadań oraz dostępu do innych źródeł dysponuje dodatkowym zasobem informacji, którego nie posiada ekspert. Wiedza ta może mieć decydujący wpływ na przygotowywanie rekomendacji, wprowadzać korekty do sposobu rozumowania badacza. Dlatego doradztwo zaczyna się nie od pisania, a od rozmowy.

Nie oznacza to, że ustny briefing jest ważniejszy niż pisemna notatka. Zwykle zależy to od stopnia skomplikowania sprawy. Jeżeli decydent musi podjąć decyzję zero-jedynkową (ograniczającą się do przyjęcia lub odrzucenia jakiegoś scenariusza), to na ogół kontakt bezpośredni wyrasta na istotniejszy. Jeżeli zaś sprawa jest skomplikowana, wielowątkowa i wymaga włączenia w jej załatwienie machiny biurokratycznej, to notatka zawierająca czytelne tezy oraz podział na części kontekstową, analityczną i rekomendacyjną staje się nieodzowna, gdyż decydent może ją zadekretować na współpracowników, uruchamiając tym samym proces wdrażania polityki. Z tego względu można przyjąć jako regułę, że najlepsza metoda doradztwa to bezpośredni briefing, w czasie którego na stół trafia przygotowana zawczasu notatka. Rozmowa pozwala łatwiej utwierdzić decydenta w słuszności jakichś działań, a notatka daje nadzieję, że temat nie zostanie zapomniany wraz z opuszczeniem przez doradcę rządowego gabinetu.

Gdy wszystko się wali...

Więź pomiędzy decydentem a ekspertem-doradcą najczęściej wytwarza się w sytuacjach kryzysowych. To momenty, w których rytm codziennej pracy administracji zostaje zakłócony przez wydarzenia międzynarodowe wymagające natychmiastowej reakcji, niekiedy poza standardowymi godzinami urzędowania i poza utartymi procedurami. W takich chwilach ten pierwszy potrzebuje nie tyle pogłębionych wielostronicowych analiz, ile stałego, kompetentnego wsparcia kogoś, kto umie pod presją czasu rozpoznać sytuację, podpowiedzieć możliwe scenariusze i pomóc zorientować się w chaosie. To właśnie w czasie kryzysów następuje najsurowsza weryfikacja przydatności zaplecza eksperckiego.

Wtedy też najczęściej ujawnia się przewaga państwowej instytucji analitycznej nad prywatnym think tankiem. Polega ona na ciągłości badania zagadnienia pozostającego dotąd poza radarem zainteresowania innych, a więc na możliwości czerpania z osobistego, nieraz wieloletniego doświadczenia zatrudnionego na etat eksperta oraz skumulowanej wiedzy kontekstowej całej instytucji. Pomimo postępu technologicznego w zakresie analizy OSINT (źródeł otwartych) w sytuacjach kryzysowych nic nie zastąpi „nosa analitycznego", który powstaje po długim obcowaniu z tematem. Unaocznia się wówczas różnica pomiędzy wiedzą, którą da się pozyskać dzięki owym nowym technologiom – powierzchowną i niewystarczająco krytyczną wobec źródeł, a niekiedy bezwiednie powielającą dezinformację – a dogłębnym rozumieniem zachodzącego zjawiska. Doradca, który okaże się pomocny w warunkach nadzwyczajnych, gdy inni milczą lub się wahają, nerwowo przeszukując zasoby internetowe, ma szansę zdobyć zaufanie decydenta przekładające się na ich dalszą relację.

Tym bardziej że, jak już wspomniano, rywalizacja o jego uwagę jest obecnie wyjątkowo zacięta. Polityk funkcjonuje w permanentnym szumie informacyjnym. Minister czy wiceminister codziennie otrzymuje dziesiątki pism, notatek i raportów: z własnego resortu, innych pionów administracji, placówek zagranicznych. Do tego dochodzą wiadomości klauzulowane przygotowane przez cywilne i wojskowe służby specjalne – szczególnie przyciągające uwagę, bo sprawiające, zazwyczaj niesłusznie, wrażenie wiedzy tajemnej. Ale to nie wszystko: w gabinecie decydenta często włączony jest program telewizji informacyjnej, która – nawet wyciszona – wciąż emituje „żółte paski", rozpraszające uwagę i wpływające na odbiór bieżących wydarzeń. Dodatkowy szum informacyjny generuje smartfon z setkami lub tysiącami obserwowanych kont na platformach społecznościowych. W takim środowisku przebicie się z przekazem to dla każdego eksperta chcącego pełnić funkcję doradcy ogromne wyzwanie.

W obliczu przesytu informacyjnego i dewaluacji opinii postępującej wskutek rewolucji technologicznej doradca musi nie tylko przekonać mocodawcę do własnych rekomendacji. Nierzadko pierwszy krok stanowi skorygowanie

uproszczonych, emocjonalnych lub zwyczajnie błędnych wyobrażeń, które przyswoił on pod wpływem nieustannych bodźców medialnych. Dlatego dobrym przyzwyczajeniem analityka-doradcy jest monitorowanie dominujących narracji: czytanie prasy, oglądanie programów telewizyjnych i śledzenie mediów społecznościowych. Tylko znając aktualny krajobraz informacyjny, może on świadomie przeciwdziałać deformacjom poznawczym u polityka i skutecznie oddziaływać na postrzeganie przezeń rzeczywistości.

Kwestia zaufania

Instytucja doradcza oferująca briefing musi – aby być przydatną – dostarczać realnej wartości dodanej, wychodzącej poza szum medialny. W tym celu warto u odbiorcy wywołać wrażenie ekskluzywności. To niebagatelne zadanie wymagające nie tylko trafnej treści, lecz także inicjatywy i wykorzystania odpowiednich narzędzi. Czasem wystarczy krótka wiadomość przez szyfrowany komunikator, innym razem kilkuzdaniowa notatka do przeczytania w smartfonie, a w niektórych sytuacjach obszerniejszy materiał dostarczony za pośrednictwem sekretariatu lub asystenta czy wreszcie niedługa rozmowa bezpośrednia. Kluczową rolę odgrywa zdolność dostosowania formatu do sytuacji: trzeba być obecnym, gdy decydenta ciekawi dany temat, ale nie dokładać kolejnych bodźców, gdy nie poświęca mu on uwagi. Co więcej, należy przy tym uwzględnić osobowość konkretnego odbiorcy, w tym jego stopień responsywności i otwartość na różne kanały komunikacji.

Zainteresowanie polityka wsparciem eksperckim wymaga jeszcze jednego, być może najważniejszego elementu – zaufania. Decydent musi mieć pewność, że materiały otrzymywane od doradcy są rzetelne, nieskażone lobbingiem politycznym czy biznesowym oraz ambicjami eksperta. Zaufanie nakazuje również dyskrecję – dzieląc się informacjami wrażliwymi, rozważając swoje plany i mówiąc otwarcie o własnych wątpliwościach, ten pierwszy musi wiedzieć, że nie ryzykuje przecieku.

Opisywana relacja powinna się także opierać na specyficznym układzie odpowiedzialności, w którym ekspert – pomimo współczesnej pokusy w postaci mediów społecznościowych – pozostaje w cieniu. Po wyjściu z budynku rządowego nie upublicznia faktu doradztwa, a już tym bardziej jego treści. Wymaga się też od niego zrozumienia, że to polityk podejmuje decyzje. To on ma prawo do publicznego skonsumowania ich ewentualnego sukcesu i to on zostanie obarczony konsekwencjami ewentualnego błędu – a nie siedzący w cieniu doradca. Rolą tego ostatniego jest zaś pojęcie i zaakceptowanie tej asymetrii oraz lojalność wobec procesu decyzyjnego. Wspomaganie w zakresie wypracowywania polityki zagranicznej nie oznacza jej prowadzenia.

Zmęczenie rutyną

Istnieje jeszcze jeden potężny wróg doradcy, a mianowicie rutyna. Chodzi przy tym zarówno o tę analityczną, skutkującą powielaniem wcześniejszych sądów mimo zmieniających się realiów (co wychodzi poza temat niniejszego eseju), jak i – co ważniejsze – tę w stosunkach z odbiorcą. Znużenie formą prowadzi do utraty uwagi. Nawet najlepiej zaprojektowane biuletyn czy notatka informacyjna potrzebują od czasu do czasu odświeżenia – zmiany szaty graficznej, rytmu, długości, konstrukcji, a niekiedy języka. W świecie przesytu informacyjnego nie wystarczy być merytorycznym – trzeba też być zauważalnym, a to oznacza nieustanne poszukiwanie wyrazistości. Inaczej newsletter w skrzynce mailowej zostanie zignorowany, a po jakimś okresie może i przekierowany do folderu „spam".

Rewolucja informacyjna spowodowała, że rządowe instytucje analityczne także musiały odnaleźć się w nowych publicznych kanałach komunikacji: najpierw założyły strony internetowe promujące swoje wybrane (te pozbawione komponentu rekomendacyjnego) analizy i obszerniejsze raporty, później media społecznościowe (Twitter/X, Facebook), a następnie zaczęły tworzyć podcasty i materiały wideo (Spotify, YouTube). W przypadku OSW to właśnie te ostatnie, uruchomione w marcu 2019 r. i dynamicznie rozwijane w następnych latach, bardzo szybko stały się rozpoznawalnym nośnikiem ekspertyzy. Wbrew pozorom nie miały one wyłącznie charakteru popularyzatorskiego – często słuchali ich po godzinach najważniejsi decydenci.

Uczestnictwo rządowych podmiotów doradczych w debacie publicznej oraz ich intensywne działania na rzecz upowszechniania własnej ekspertyzy w mediach tradycyjnych czy internetowych nie były oczywistością jeszcze kilka-kilkanaście lat temu. Pozostawanie na uboczu owej debaty budowało wrażenie elitarności (i korzystnej wizerunkowo tajemniczości), ale przede wszystkim służyło większej koncentracji na zadaniu podstawowym – wspieraniu wypracowywania przez władze polityki zagranicznej. W dzisiejszych czasach wszechpotęgi mediów społecznościowych zamykanie się w wieży z kości słoniowej jest jednak strategią samobójczą. Grozi bowiem utrwalaniem się w opinii publicznej przekonania, że dany instytut pomimo zasilania pieniędzmi publicznymi jest bezużyteczny, w przeciwieństwie do licznych brylujących w sieci prywatnych think tanków i ekspertów. Taki pogląd oddziaływałby na decydentów, zwłaszcza tych dopiero obejmujących stanowiska, pozbawionych doświadczenia współpracy z państwowymi instytucjami analitycznymi. Prowadziłoby to do ich marginalizacji w newralgicznym obszarze eksperckiego wspomagania administracji. Z pojawiającą się na skutek rewolucji technologicznej konkurencją państwowe instytucje badawcze muszą zatem rywalizować również na jej boisku – poprzez rozmaite kanały nowych mediów.

Choć doradztwo nigdy nie sprowadzało się jedynie do poprawności analitycznej czy trafności rekomendacji, to w dobie kryzysu ekspertyzy szczególnego znaczenia nabierają właśnie inne kompetencje: rozumienie rytmu polityki, umiejętność budowania i utrzymywania relacji z decydentem oraz zdolność przebicia się z przekazem w warunkach szumu informacyjnego. Konkurować trzeba nie tylko na poziomie treści, lecz także formy, dynamiki i obecności w przestrzeni publicznej. W świecie, w którym autorytet eksperta jest coraz częściej podważany, a dostęp do informacji nie stanowi już przewagi, doradztwo to nie formalny status ani zapisana w ustawie rola instytucjonalna, lecz sztuka codziennego potwierdzania swojej przydatności.

„Swetry", „garnitury" i sztuczna inteligencja, czyli dramat w trzech aktach

Olaf Osica

Analitycy lubią myśleć o sobie jako o niezależnych interpretatorach rzeczywistości, w której centrum znajduje się metoda analityczna, tj. zestaw filtrów, które odpowiednio dobrane potrafią ukazać oczom realny kształt rzeczy. Tymczasem zarówno sama profesja, jak i narzędzia, którymi się w niej posługujemy, to jedynie elementy całego systemu dostarczania wiedzy, obejmującego też oczekiwania odbiorcy, kontekst kulturowy, źródła owej wiedzy i narzędzia jej pozyskiwania oraz zdolność do konkurowania na rynku informacji i idei.

System ten na naszych oczach ulega właśnie gwałtownej dekonstrukcji. Jej katalizatorem była rewolucja informacyjna mediów społecznościowych, a ostatnim aktem będzie zapewne upowszechnienie generatywnej sztucznej inteligencji jako źródła nie tylko wiedzy, lecz przede wszystkim analizy i opartej na niej polityki.

* * *

Analiza to wprawdzie specyficzny, ale jednak produkt. Wprawdzie sformułowanie to można odebrać (niesłusznie) jako deprecjonowanie znaczenia zajmujących się nią osób i ich pracy, lecz nie zmienia to faktu, że ignorowanie klienta i rynku może sprowadzić nawet najlepszy w oczach twórcy materiał do roli nieistotnego manifestu profesjonalizmu, który zginie w tłumie i szumie codziennych wydarzeń. Dlatego o jakości ekspertyzy ostatecznie przesądza nie wierność sztywnym regułom warsztatu, ale skuteczność w uchwyceniu tego, co kluczowe dla badanego zjawiska, i przekonaniu do tego adresata, czyli wpłynięcie na jego

postrzeganie rzeczywistości. Trafność analizy, zawsze możliwa do weryfikacji dopiero *ex post*, nie zależy od metody analitycznej (o czym niżej). Ma natomiast duże znaczenie dla budowy zaufania odbiorcy.

To, czy analiza spełnia swoją funkcję, zawsze opiniuje zamawiający. Polityk, szef firmy czy urzędnik – to oni decydują o tym po lekturze dostarczonego materiału. I to ich przygotowanie – wiedza, doświadczenie, kultura pracy (lub jej brak) oraz rozmowy – jest kluczowe dla uznania danego materiału za spełniający oczekiwania albo ocenienia go jako pozbawiony wartości lub błędny. Adresata nie interesuje metoda, choć ze względu na to, że stanowi ona część ekspertyzy, warto być gotowym na uchylenie tajemnic warsztatu. Paradoksalnie może się to niekiedy okazać trudniejsze do wykonania niż proste zaprezentowanie wniosków. Dlatego pierwszy test świadomego posługiwania się metodą analityczną wiąże się z umiejętnością opowiedzenia o niej.

Ale czy dobra analiza nie powinna być zdolna obronić się sama? Czy nie jest tak, że im większa jej profesjonalność – tzn. uwzględnienie złożoności badanych realiów, oparcie na sprawdzonej metodzie i wartościowych źródłach – tym większa siła jej rażenia? Niekoniecznie.

Dominujący model doradztwa – czy w polityce, czy w biznesie – zakłada sięganie nie tyle po samą analizę, co po ludzi mających dar rozmowy z decydentami i cieszących się opinią osób potrafiących nadać kierunek sprawom, zainteresować innych danym problemem i zaplanować działania, czyli przełożyć ideę na praktykę. A trzeba zaznaczyć, że kompetencji tej nie można określić mianem powszechnej. To, czy są oni ekspertami lub sami sięgają po wiedzę ekspercką, stanowi kwestię wtórną i zależy całkowicie od zaufania, którym darzy ich decydent. W Wielkiej Brytanii uosobieniem wpływowego doradcy był architekt kampanii brexitowej i główny strateg Borisa Johnsona Dominic Cummings. Nie był on ekspertem dziedzinowym, ale jego umiejętność łączenia danych, narracji i emocji – oraz budowy wokół tych elementów strategii – uczyniła go jednym z najpotężniejszych ludzi w państwie.

Podobną funkcję, choć w innym kontekście, pełnił jako główny strateg Donalda Trumpa podczas jego pierwszej kadencji Steve Bannon, który radykalnie przekształcił język polityki i wprowadził do Białego Domu logikę wojny kulturowej. On także nie był ekspertem akademickim, ale doskonale rozumiał mechanizmy oddziaływania na emocje i tożsamości społeczne.

Za rządów Baracka Obamy najsilniejszą pozycję osiągnęła z kolei Valerie Jarrett. Również nie była kojarzona z posiadaniem dziedzinowej wiedzy eksperckiej, ale miała ogromne przełożenie na decyzje prezydenta, szczególnie w sprawach społecznych, równościowych i etycznych. Z jej odpowiednikami za czasów poprzedników Obamy łączyły ją – jak pisał w 2008 r. „The Wall Street Journal" – „żarliwe poczucie lojalności oraz konsekwentna odmowa publicznego

powiedzenia czegokolwiek, co mogłoby stawiać kandydata w złym świetle – albo go przyćmić".

Z kolei w Europie kontynentalnej za ikonę uważano Christopha Heusgena, który przez 12 lat – od 2005 do 2017 r. – pełnił funkcję głównego doradcy do spraw międzynarodowych Angeli Merkel. O jego sile świadczyła nie tylko bazująca na ogromnym zaufaniu kanclerz ranga, lecz także skuteczna marginalizacja resortu spraw zagranicznych w polityce Niemiec.

Czy i w jakim zakresie wspomniane osoby realnie korzystały z dostarczanych im analiz lub same potrafiły rozpracowywać problemy w oparciu o własne wyuczone lub instynktowne umiejętności, pozostanie tajemnicą ich pracy.

Z powyższych akapitów wypływa prosty wniosek: znajomość odbiorcy, jego poglądów, wiedzy i doświadczenia jest dla efektywnej „sprzedaży" konkluzji płynących z ekspertyzy tak samo ważna jak metoda obrana przy jej tworzeniu – a być może nawet ważniejsza. Otwiera to niestety pole do wykorzystywania rozmaitych technik manipulacji, jeśli adresat pozostaje na nie podatny. Kwestie etyczne zawsze stanowią jednak składową relacji międzyludzkich, także w obszarze współpracy analityka z decydentem. Dotyczy to nie tylko tworzenia materiału, lecz także jego prezentacji. Ekspert wchodzący w buty decydenta sprzeniewierza się swojej profesji. Z kolei zamawiający, który szuka w ekspertyzie jedynie potwierdzenia swoich przekonań, nie jest dla analityka ciekawym partnerem.

Postulat skrajania ekspertyzy pod odbiorcę nie nawołuje zatem do rezygnacji z rzetelności badawczej na rzecz mówienia tego, co decydent chciałby usłyszeć, aby zyskać jego przychylność. Chodzi natomiast o zrozumienie jego potrzeb, a następnie pokazanie mu możliwych interpretacji wydarzeń i kierunków działania oraz ich konsekwencji.

* * *

Metody analityczne – a świat nauki i rozmaitych instytucji badawczych rozwinął ich wiele – da się porównać do instrukcji obsługi urządzeń lub gier. Ich główne zadanie polega na utwierdzeniu badacza w przekonaniu, że jego tok rozumowania ma wewnętrznie spójną konstrukcję i na końcu doprowadzi do wniosków znajdujących oparcie w prezentowanych źródłach, a nie jego opiniach albo światopoglądzie.

Oczywiście metodę trzeba odpowiednio dobrać do problemu, z którym się mierzymy. Inną wybierzemy, gdy za cel analizy obraliśmy zaprojektowanie nowej polityki publicznej, stworzenie prawa przez parlament krajowy czy Komisję Europejską albo śledzenie trendów i kreślenie scenariuszy na potrzeby wypracowania planów ewentualnościowych przez Sojusz Północnoatlantycki lub szukanie odpowiedzi na priorytety polityki Trumpa wobec Rosji.

W dojrzałych organizacjach fundamentem jest wyraźnie opisany cykl analizy politycznej. Składają się na niego działania obiektywizujące etapy pracy nad ekspertyzą i wymuszające na analityku logiczną spójność: od zdefiniowania problemu, przez zebranie źródeł, po stworzenie scenariuszy i zaprezentowanie możliwych rozwiązań lub interpretacji rzeczywistości. Jeden z najbardziej znanych i najczęściej wykorzystywanych modeli opisał Eugene Bardach w *A Practical Guide for Policy Analysis: The Eightfold Path to More Effective Problem Solving*. Nie są to jednak reguły wyryte w kamieniu. Można jest modyfikować. Z jednym wyjątkiem. Bez względu na to, jaki model postępowania przyjmiemy, pierwszym krokiem musi być zawsze poprawne zdefiniowanie problemu, postawienie pytań badawczych lub po prostu pojęcie celu analizy. I tu pojawia się największe wyzwanie.

Niewielu decydentów czy w polityce, czy w biznesie potrafi tak zadać pytania lub sprecyzować kwestię, która ich nurtuje, aby mogły się one stać punktem wyjścia do dalszych prac: zbierania źródeł, konstruowania scenariuszy lub przedstawiania konkluzji. Wielu ma natomiast skłonność do formułowania pytań badawczych w taki sposób, że od razu sugerują one kierunek analizy i mogą przesądzać o konkluzjach. Przykładowo materiał odpowiadający na pytanie „dlaczego Ukraina nie może wygrać wojny z Rosją?" będzie wskazywał inny kierunek pracy niż tekst mający rozwiązać problem brzmiący „jakie są szanse Ukrainy na wygranie wojny z Rosją".

W takich sytuacjach analitykowi nie wolno biernie przyjmować sugerowanej (świadomie bądź nie) ścieżki myślenia decydenta – powinien ją umieć obiektywizować, rozbijając zagadnienie na mniejsze elementy i pokazując konteksty, w których możliwe są alternatywne rozstrzygnięcia. Odbiorca musi być przez analityka „dociskany" pytaniami dokładnie tak jak aplikacje LLM, które dopiero po zadaniu im kilku potrafią podać wartościową odpowiedź.

* * *

Trzymanie się sztywnych reguł metody analitycznej nie gwarantuje jednak, że analiza będzie skuteczna, czyli prawidłowo zinterpretuje rozwój wydarzeń i ich konsekwencje. Przyszłość zawsze pozostaje niewiadomą, a im bardziej złożony i oddalony w czasie problem – tym większe ryzyko, że nieznajomość faktów i brak źródeł będą rekompensowane przekonaniami analityka, szukającego na siłę ładu i logiki tam, gdzie ich nie ma.

Philip E. Tetlock – psycholog polityczny, autor *Expert Political Judgment* i współtwórca Good Judgment Project – poddał testom trafności przewidywania setki zawodowych ekspertów. Przypisywali oni prawdopodobieństwa różnym scenariuszom, a ich prawidłowość mierzono (m.in. miarą Briera, czyli indeksem jakości prognoz probabilistycznych) i porównywano z prostymi punktami

odniesienia, takimi jak „brak zmiany" czy równe prawdopodobieństwa wystąpienia tego czy innego zjawiska. Wniosek z tych badań autor zawarł w słynnej metaforze, że „przeciętny ekspert był mniej więcej tak trafny jak szympans rzucający lotkami" – średni wynik badanych okazał się porównywalny z losowym trafieniem, a przy dłuższych horyzontach czasowych niektórzy z nich wypadali gorzej niż wspomniany szympans.

Nie oznacza to jednak, że wszyscy progności są bezradni. Tetlock wykazał bowiem istotne różnice w ich stylach myślenia – odwołując się za Isaiahem Berlinem (*Jeż i lis. Esej o wizji historii u Tołstoja*) do metafory o lisach i jeżach autorstwa starożytnego poety-wojownika Archilocha, stwierdził, że eksperci myślący jak lisy radzili sobie lepiej niż ci rozumujący jak jeże.

Jeże „wiedzą jedną wielką rzecz". Opierają się na jednej teorii i szukają jej potwierdzeń. Przez to rzadziej aktualizują oceny oraz lubią proste, mocne narracje i skrajne prawdopodobieństwa. Ich tok myślenia cechuje przewidywalność, gdyż świat, w który wierzą, też jest względnie przewidywalny. Tak rozumujący specjaliści osiągali więc dobre wyniki w relatywnie nieskomplikowanych sytuacjach i stabilnym otoczeniu działającym według jasnych reguł.

Lisy z kolei „wiedzą wiele małych rzeczy". Łączą różne źródła i modele, rozbijają problem na części i zaczynają od spojrzenia z zewnątrz. Dlatego eksperci tak myślący uzyskiwali lepsze rezultaty w złożonych, zmiennych środowiskach – tam, gdzie otoczenie wysyłało sprzeczne sygnały. Nie szukając na siłę wzorców, lecz przyglądając się dynamice procesów, łatwiej dostrzegali możliwe scenariusze i ich rezultaty.

„Jeże zostały pokonane przez lisy" – konkludują Tetlock i Dan Gardner w książce *Superprognozowanie. Sztuka i nauka prognozowania* – „I nie wygrały tylko dlatego, że zachowywały się jak tchórze, grając zachowawczo z prognozami na 60% czy 70%, podczas gdy jeże śmiało stawiały 90% albo 100%. Lisy miały prawdziwą zdolność przewidywania. Jeże – nie".

Metoda analityczna może być zatem zarówno siłą eksperta, jeśli jest on świadom jej (i swoich) ograniczeń, jak i przyczyną jego porażki – gdy wyrasta na „strefę intelektualnego komfortu", a nie jeden z wielu kluczy przymierzanych do problemu. Oczywiście może też dojść do sytuacji, w której trafna analiza i prognoza wynikną po prostu ze „szczęśliwego trafu", a nie takiego czy innego postępowania.

Rozróżnienie na jeże i lisy pozwala nam również narysować linię między dwoma dominującymi podejściami do analizowania wydarzeń i procesów wszędzie tam, gdzie tworzenie analiz stanowi świadomy akt zmagania się z rzeczywistością, a nie zwykłą wymianę opinii.

Pierwsze z nich kładzie nacisk na **spójność metody** pod kątem jej podwalin ideowych czy teoretycznych. Siłą rzeczy narzuca to pewną strukturę

myślenia i generuje ryzyko ograniczania opcji interpretacyjnych lub nawet zamykania się na nie. W dużym uproszczeniu echa tej postawy znajdujemy w patrzeniu na świat przez pryzmat powtarzalnych wzorców ideowych (prymat prawa i instytucji kontra prymat siły i przymusu), w dążeniu do budowania wewnętrznie harmonijnych opowieści, nawet gdy zebrany materiał wskazuje na luki w wiedzy o wydarzeniach, albo w usilnym szukaniu przyczynowości i odrzucaniu przypadku czy zbiegów okoliczności.

Takie nastawienie często w sposób niezamierzony skutkuje bardziej podtrzymywaniem rozmaitych narracji o świecie niż poszukiwaniem i odkrywaniem mechaniki wydarzeń i procesów, aby narracje te poddawać krytycznej ocenie. Jest to zajęcie prostsze, niewymagające dużych zasobów i zespołów eksperckich.

Drugie podejście koncentruje się na **technice analizy**, czyli stosowaniu różnych zabiegów, aby obejrzeć wydarzenie lub problem z kilku perspektyw. Znajomość teorii lub ujęć badawczych jest wtedy wtórna wobec umiejętności wychodzenia poza własną strefę komfortu oraz otwierania się na informacje i wiedzę niezgodne z własnym światopoglądem.

W praktyce tzw. ustrukturyzowane techniki analityczne to metody pomagające ograniczać błędy myślenia. Nie zastępują one intuicji, ale mają za zadanie podważać intuicyjne osądy poprzez wskazywanie na możliwości odmiennych ujęć tego samego zagadnienia. Pomagają unikać znanych błędów poznawczych (jak myślenie grupowe czy efekt potwierdzenia, czyli ignorowanie dowodów i źródeł, które przeczą wcześniejszym interpretacjom). Ich stosowanie sprzyja lepszemu definiowaniu problemów, a jeśli to możliwe – testowaniu zasadności przyjętych założeń.

Niektóre spośród tych technik, jak burza mózgów czy „adwokat diabła", są względnie proste do wytrenowania i stosowania. Inne – jak analiza alternatywnych przyszłości lub analiza oponenta (*red team analysis*) – cechują się większą złożonością i wymagają długiego treningu, zaangażowania zasobów i czasu. Ich znajomość pozwala jednak odcedzić szum informacyjny od informacji, a także zarządzać największym wyzwaniem każdego analityka: formułowaniem konkluzji w oparciu o szczątkowe lub niepełne dane.

Skoro wspólnota analityczna rozwinęła przez dekady tak zaawansowane narzędzia i metody badawcze, to skąd bierze się przekonanie ogromnego odsetka środowisk eksperckich, że polityka abdykuje w obliczu „antynauki"? Dlaczego zamiast zwrotu w stronę wiedzy, profesjonalnej analizy i strategii opartej na pogłębionej znajomości procesów społecznych i politycznych obserwujemy wyścig na emocje, a fakty ustępują pod ciężarem opinii, jeśli ta ostatnia osiągnęła wystarczająco duży zasięg w mediach społecznościowych?

* * *

Jak z goryczą zauważali w 2017 r. Oliver Geden i Lars Brozus z Fundacji Wiedza i Polityka (SWP), think tanku rządu federalnego Niemiec: „O ile wcześniej politycy podejmowali trud przedkładania własnych ekspertyz, o tyle dzisiaj ogłaszają z przekonaniem, że wiedza ekspercka jest w zasadzie pozbawiona znaczenia i lepiej zdać się na «zdrowy rozsądek ludzi» albo «fakty alternatywne»". Co gorsza, „ekspertyza, która jest kompatybilna z istniejącymi preferencjami w ramach instytucji polityczno-administracyjnych, ma większe szanse na bycie wziętą pod uwagę. Wiedza, która podważa stanowisko aktorów politycznych albo wydaje się stawiać aparat administracyjny przed ogromnymi wyzwaniami natury operacyjnej, jest natomiast często ignorowana. Idea, aby dowody naukowe były oparciem dla prowadzenia praktycznej polityki, obróciła się więc w swoje przeciwieństwo: to ona kształtuje już nie tylko sposób odbioru (recepcji) badań, ale i proces ich powstawania". Co poszło nie tak? Kto zawinił?

Polityka nigdy nie działała w oparciu o rozpisany przez ekspertów plan. Drogi decyzji politycznych są kręte i często prowadzą w ciemności. Tak było zawsze. Nowym zjawiskiem w polityce jest jednak traktowanie wiedzy jako produktu w najlepszym razie nieprzydatnego do rządzenia, a w najgorszym jako gorsetu, który krępuje swobodę ruchów.

Robin Niblett, były dyrektor brytyjskiego think tanku Chatham House, przekonywał w artykule *Rediscovering a sense of purpose: the challenge for western think-tanks*, opublikowanym w 2018 r. na łamach „International Affairs", że instytucje analityczne stanęły w obliczu zagrożenia trwałego odłączenia się od realnych procesów społeczno-politycznych. Zmieniły się bowiem sposoby uprawiania i legitymizowania polityki, a także hierarchie społeczne. Polityka nie wynika już z odgórnego aplikowania rozwiązań powstałych w głowach decydentów, z udziałem między innymi ekspertów, lecz stanowi reakcję na procesy oddolne. Refleksja ta rodzi pytanie o sens istnienia samych ekspertów jako neutralnych czy apolitycznych badaczy rzeczywistości – kwestionuje się nie tylko ich zdolność do wpływania na świat, lecz także zasadność takiej ambicji.

Z taką perspektywą zgodziłoby się zapewne gros polityków. Kryzys, z jakim przyszło się mierzyć liberalnym demokracjom, ma źródła zarówno w błędach decydentów, jak i w dominującym przez lata konsensusie eksperckim, w licznych obszarach co najmniej głuchym na zmiany społeczne, a często oderwanym od codzienności i zdrowego rozsądku. Okazało się jednak, że suflowana „bezalternatywność" polityki ma w efekcie wyjątkowo wiele alternatyw, czego dowodzą brexit, agresja Rosji na Ukrainę czy polityka Trumpa.

I choć winy nie rozkładają się po równo, a błędy w prognozach to po prostu część pracy każdego analityka, to po dekadach kohabitacji „swetrów"

(analityków) i „garniturów" (decydentów) te ostatnie wydają się zdeterminowane, aby uwolnić się od ciężaru besserwisserów, którzy nie dysponując ani mandatem wyborców, ani wyczuciem polityki, próbują „tylnymi drzwiami" narzucać własne rozwiązania.

Skala i siła tego trendu nie jest wszędzie taka sama. Tam, gdzie kultura polityczna jedynie markowała zainteresowanie wiedzą inną, niż ta potrzebna do zdobycia i utrzymania władzy, zmieniło się tylko tyle, że niechęć do korzystania z zaplecza merytorycznego (lub brak takowego) przy tworzeniu strategii nie sprawia już, iż kraje te negatywnie wyróżniają się na tle innych. A dzisiaj dodatkowo nie wydaje się to już powodem do wstydu.

W państwach o dojrzałym podejściu do polityki mamy jednak do czynienia ze zmianą wyraźną, skutkującą większą ostrożnością i wybiórczością w sięganiu po rady ekspertów lub wręcz odrzuceniem ich – jak pokazuje spektakularny upadek pozycji i znaczenia Rady Bezpieczeństwa Narodowego Stanów Zjednoczonych, której metodę wypracowywania polityki zastąpiono biznesowym instynktem prezydenta.

* * *

Ale prawdziwy koniec sagi o metodzie analitycznej, definicji analityka i jego miejsca w systemie pozyskiwania, tworzenia i dystrybucji wiedzy dopiero przed nami. Za sprawą generatywnej sztucznej inteligencji (AI) i opartych na niej aplikacjach zmieni się wszystko, choć nie od razu i nie dla wszystkich.

Rozwój AI wprowadza fundamentalną zmianę we wszystkich obszarach funkcjonowania społeczeństw, polityki i gospodarki. Nie ma więc powodu, dla którego sfera analityki – zarówno analizy danych, jak i analizy dyskursu – miałaby zostać w tej rewolucji technologicznej pominięta. Raczej będzie to jedna z pierwszych dziedzin, w które uderzy jej fala.

Jeszcze kilka lat temu sztuczną inteligencję traktowano głównie jako narzędzie techniczne do analizowania danych, prognozowania i automatyzacji procesów administracyjnych. Dziś coraz częściej pojawia się pytanie: czy może ona zastąpić eksperta w roli zarówno autora, jak i doradcy politycznego?

Na poziomie **operacyjnym** – tak. AI już teraz potrafi analizować duże zbiory danych szybciej niż jakikolwiek człowiek. Może modelować skutki polityk publicznych, tworzyć symulacje budżetowe, badać nastroje społeczne w czasie rzeczywistym oraz identyfikować nieoczywiste korelacje na podstawie informacji pozyskiwanych z nieograniczonej liczby źródeł. Jest też w stanie pisać oraz tworzyć wykresy i wizualizacje. Wszystko to w czasie i z precyzją dla nas nieosiągalnymi. Jedno „ale": trzeba umieć zadawać właściwe pytania i wiedzieć, jak odczytać lub zinterpretować odpowiedzi.

Na poziomie **strategicznym** – jeszcze nie. AI nie ma własnych wartości, doświadczenia moralnego ani zmysłu politycznego. Analiza kontekstowa pozostaje jej największą słabością, choć można śmiało założyć, że to kwestia czasu, żeby opanowała i ten element. Sztuczna inteligencja sugeruje zatem optymalne scenariusze, ale nie rozstrzyga, które z nich są słuszne. Decyzje polityczne zawsze będą wymagały ludzkiego rozumu i sumienia. Tak więc AI potrafi wspierać zarówno eksperta, jak i polityka, ale ich nie zastąpi – chyba że jeden i drugi jej na to pozwolą.

Decydent czy urzędnik może jednak sam na swoje potrzeby zostać ekspertem i traktować aplikacje LLM jako partnera do rozmowy, którym tradycyjnie był… ekspert. Ten z kolei nie będzie już źródłem wiedzy, lecz przede wszystkim **kuratorem i moderatorem** systemów AI. Jego zadanie będzie polegało na zadawaniu właściwych pytań, ocenie wyników i rozpoznawaniu potencjalnych konsekwencji podpowiadanych interpretacji lub decyzji. Pytania o metodę analityczną zostaną w takiej sytuacji zastąpione przez metodę zadaniowania agentów AI.

Technologia sztucznej inteligencji staje się wobec tego zarówno ewentualnym wsparciem, jak i zagrożeniem. Może ułatwić i usprawnić współpracę analityków z decydentami, choć oba podmioty dramatu będą musiały na nowo określić w niej swoją rolę. Będzie to od nich wymagało dużego wysiłku, aby zachować suwerenność myślenia i zdolność do patrzenia na świat bez cyfrowego filtra. Rozwój znaczenia mediów społecznościowych – od narzędzi dzielenia się informacją po instrument tworzenia opowieści o rzeczywistości – pokazuje trudność tego zadania. Czas reakcji i wygoda użytkownika (po co pytać analityka, skoro wystarczy sięgnąć po aplikację w telefonie?) będą sprzyjały zamykaniu się w bańce analiz generowanych przez AI.

Możliwe zatem również, że technologia ta stanie się gwoździem do trumny relacji zawodowej analityk–decydent, która przy wszystkich mankamentach i wzajemnych pretensjach pozwala na wymianę wiedzy i budowanie ram wspólnego myślenia o przyszłości.

Sztuka pisania: jak stworzyć analizę, aby dotrzeć do odbiorcy

Marek Menkiszak

Pisanie materiałów analitycznych to istota, swoista sól pracy analityka, który całe lata poświęca zgłębianiu swojego obszaru mandatowego. Codziennie spędza długie godziny na poszukiwaniu informacji w internecie i sieciach społecznościowych. Wiele dni zajmują mu podróże w teren, w trakcie których doświadcza niekiedy najróżniejszych przygód, co wymaga odporności na trudy, a także spotkania i seminaria, gdzie potrzeba uwagi, skupienia, ale i cierpliwości. To wszystko buduje jego wiedzę i doświadczenie oraz pobudza intuicję – te trzy przymioty składają się na „świętą trójcę" kształtującą dobrego analityka. Całe to bogactwo jest jednak niczym, jeśli nie wykorzystuje się go do komunikacji z odbiorcą, do przekazania w możliwie krótkiej i przejrzystej formie tego, co uważamy za najważniejsze.

Niniejszy materiał stanowi próbę bardzo skrótowego podzielenia się przez autora doświadczeniami z ponad 30 lat pracy analitycznej, w tym niemal 20 na stanowisku kierownika Zespołu Rosyjskiego w OSW, a co za tym idzie – redaktora cudzych tekstów tego typu. Trzy dekady funkcjonowania w roli wykładowcy akademickiego i prowadzącego zajęcia metodologiczne skłaniają do wniosku, że warto przekazywać swoją wiedzę także szerszemu gronu osób zajmujących się – profesjonalnie lub amatorsko – analityką polityczną.

Poznaj odbiorcę swego, czyli dla kogo piszemy

Aby dobrze pisać, warto przede wszystkim mieć świadomość tego, dla kogo się to robi. Dla OSW ci najistotniejsi odbiorcy, dla których pracujemy, to urzędnik

państwowy, wojskowy i funkcjonariusz, w uproszczeniu – **przedstawiciel administracji**. Jesteśmy wszak publicznym ośrodkiem analitycznym podległym Kancelarii Prezesa Rady Ministrów.

Wśród naszych czytelników znajdziemy reprezentantów wszystkich szczebli aparatu państwowego – od szeregowego pracownika ministerstwa czy innego urzędu poprzez parlamentarzystę aż po premiera i prezydenta. Im wyższe stanowisko, tym trudniejsze zadanie i ostrzejsze zasady formułowania przekazu. Wynika to z jednej strony z potężnego deficytu czasu i uwagi „klienta", z drugiej – z zalewu informacji wymagających jego uwagi i szybkiej reakcji, a z trzeciej – obciążenia stresem będącym konsekwencją odpowiedzialności za decyzje i ich egzekwowanie. Dlatego tak newralgicznym wyzwaniem jest wczucie się w potrzeby odbiorcy tak specyficznego jak przedstawiciel administracji czy – zwłaszcza – decydent, odpowiadanie na jego liczne zamówienia, ale jeszcze częściej pisanie z własnej inicjatywy, by informować, wyjaśniać, ostrzegać i zwracać uwagę na to, co ważne. A przy tym czynić to nie dla siebie i własnego samozadowolenia, lecz dla owego adresata i z uwzględnieniem jego priorytetów, a tak naprawdę – dla realnego podmiotu w postaci Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, w imię tego, co górnolotnie nazywamy racją stanu.

Elementem tego podejścia jest dostosowanie objętości tekstu do charakteru i rangi odbiorcy: eksperci mogą otrzymywać materiały kilkudziesięciostronicowe (co zdarza się coraz rzadziej), szeregowi urzędnicy – kilkustronicowe, dyrektorzy urzędów i ministrowie – dajmy na to dwustronicowe, a prezydentowi czy szefowi rządu nie ma sensu zawracać głowy przekazem dłuższym niż liczącym jedną stronę.

Taki sposób pisania, kształtowany przez ponad trzy dziesięciolecia funkcjonowania OSW i nieustannie doskonalony, stanowi jedno ze źródeł naszego sukcesu. Najwyższą nagrodą dla analityka – poza czasami pismami pochwalnymi i podziękowaniami – są cytaty z jego materiałów pojawiające się w wypowiedziach, wystąpieniach czy tekstach decydentów, a zwłaszcza udane projekty, których koncepcje współtworzyliśmy.

Nie możemy jednak ignorować pozostałych kategorii odbiorców. Jedna z nich to **reszta ekspertów, nasi koledzy z krajowych i zagranicznych think tanków** (wszystkie publiczne analizy powstałe przy Koszykowej są tłumaczone na angielski), a także – nierzadko wysocy **urzędnicy i dyplomaci z innych państw**, nawet odległych. Musimy mieć świadomość, że nasze teksty publiczne to element niekończącej się debaty – zarówno wewnątrzpaństwowej, jak i międzynarodowej. Pojawiające się w cudzych materiałach nowe informacje i odmienne oceny są dla nas szansą na pozyskanie wiedzy, ale też sposobem konfrontowania własnych tez z cudzymi i ich weryfikacji. To samo koleżanki i koledzy z innych ośrodków robią z naszymi treściami. Wszystko to służy doskonaleniu własnej

analizy, lecz także stanowi zasadniczą składową naszej współpracy z licznymi instytucjami analitycznymi oraz promowania polskiego punktu widzenia na arenie międzynarodowej, co należy do ustawowych zadań Ośrodka.

W trakcie zagranicznych spotkań setki razy słyszałem od znanych ekspertów i urzędników – choćby w Departamencie Stanu USA, brytyjskim Foreign Office, niemieckim Auswärtiges Amt, Kwaterze Głównej NATO albo Europejskiej Służbie Działań Zewnętrznych UE – „OSW? Jasne, znamy i czytamy. Gratulacje! Dzięki za waszą pracę!". To oczywiście powód do dumy, ale przede wszystkim jeden z dowodów sensowności naszej pracy.

Nieocenione wsparcie zapewniają nam polskie placówki dyplomatyczne rozsiane po całym globie. Wspaniali dyplomaci, fachowcy i patrioci nie tylko szeroko wspomagają nas w podróżach studyjnych i organizowaniu spotkań, lecz także sami zapraszają nas na różne wydarzenia i promują nasze materiały analityczne w języku angielskim. Dzięki temu stajemy się elementem polskiej dyplomacji, tej publicznej i niepublicznej, tworząc synergię w zewnętrznej aktywności RP.

Wymieniając odbiorców treści OSW, nie wolno pominąć tych kluczowych, jakimi są **polscy obywatele**, w pierwszym rzędzie ci zainteresowani problematyką przezeń poruszaną. Ważną rolą Ośrodka jest bowiem edukacja publiczna, próba rzetelnego objaśniania złożonej rzeczywistości międzynarodowej. Służymy w ten sposób polskiemu narodowi – suwerenowi – i podatnikowi, z którego ciężko zarobionych pieniędzy OSW otrzymuje dotację budżetową, będącą faktycznie jego jedynym źródłem utrzymania. To tym ważniejsze, że:

1. W państwie demokratycznym niezwykle istotne znaczenie ma wewnętrzna komunikacja strategiczna. Tylko świadomy obywatel otrzymujący wiarygodne informacje i rzetelne oceny może budować swoją odporność przed – coraz bardziej agresywną i zmasowaną – wrogą dezinformacją i propagandą, jak również podejmować dojrzałe decyzje polityczne, wybierając zwierzchników politycznych i administracyjnych;
2. Ci ostatni nie czerpią wiedzy wyłącznie z niepublicznych, a niekiedy niejawnych materiałów – są równocześnie konsumentami informacji publicznej, w pierwszej kolejności tej przekazywanej za pośrednictwem internetu i sieci społecznościowych. Zatem także my walczymy o uwagę i zainteresowanie osób korzystających z licznych dostępnych źródeł. Czynimy to m.in. poprzez współpracę z mediami – kluczowymi we wspomaganiu naszej komunikacji publicznej. Szczególnie cenimy sobie długoletnią kooperację z wieloma profesjonalnymi dziennikarzami.

Zarazem coraz większą rolę w sukcesie Ośrodka odgrywają jego własne media, niekiedy nazywane OSW TV, za które odpowiada rosnący w siłę Zespół Mediów. Nasze koleżanki i koledzy, świetni specjaliści, rozwijają coraz więcej

kanałów komunikacyjnych w rzeczywistości, w której zarówno nadawanie treści, jak i ich odbiór trwa coraz krócej, co siłą rzeczy niesie konieczność upraszczania naszych filmów dokumentalnych i mniejszych form. W tej sytuacji wywiady, podcasty, rolki i posty w mediach społecznościowych wyrastają nie tylko na liczącą się opcję alternatywną względem materiałów umieszczanych na stronie WWW, lecz także na pierwszoplanowy kanał promocji tychże.

Skoro wiemy już, dla kogo tworzymy, przejdźmy do istoty problemu: jak pisać dobre – czytane ze zrozumieniem – teksty analityczne, z których część stanie się komponentami procesu decyzyjnego, czyli w pewnym sensie będzie rzeczywistość nie tylko opisywać i wyjaśniać, lecz nawet kształtować?

Sztuka pisania bez pisania, czyli co robimy, zanim zaczniemy tworzyć materiał

Na początku musimy poczynić istotne zastrzeżenie. Nie pierwszy raz pada tu określenie „materiał analityczny". O takim właśnie będzie mowa. Musimy więc go sobie **zdefiniować**. Nie każdy tekst powstały w OSW ma charakter analityczny – tworzymy notatki służbowe i sprawozdania, przygotowujemy prezentacje na spotkania i wystąpienia, pisemne tezy do ustnych briefingów, wreszcie: artykuły naukowe, teksty publicystyczne, eseje, rozdziały książek i całe monografie. To nie materiały analityczne. Te ostatnie mają często ograniczoną objętość, a za cel – opis wybranego problemu. Temu służy ich **warstwa informacyjna**, odpowiadająca na cztery standardowe pytania:

- **Kto?** (był aktorem lub uczestnikiem wydarzenia czy interakcji),
- **Co? (się wydarzyło),**
- **Gdzie? (doszło do tego) oraz**
- **Kiedy? (w jakim czasie się to stało).**

Przy tym kolejność odpowiedzi na nie bywa najczęściej inna – zwykle na początek wysuwa się dwa ostatnie.

Podstawowe zadanie takiego tekstu polega zaś na wyjaśnianiu, a często również prognozowaniu. Realizuje je **warstwa analityczna**, odpowiadająca na takie pytania jak:

- **Dlaczego się to wydarzyło?**,
- **Co to oznacza?,**
- **Jak to rozumieć?,**
- **Czego to dowód lub przejaw?,**
- **Do czego może to prowadzić?,**
- **Jakie mogą być tego konsekwencje?**

To właśnie istota materiału analitycznego, cechującego się też specyficznym językiem (o czym pod koniec niniejszego tekstu).

Jeżeli mamy już świadomość „gatunku literackiego" owego materiału, to musimy zdefiniować jego temat oraz ramy czy granice, a następnie – punkt ciężkości i ewentualnie punkt zaczepienia (wyjaśnienie tych pojęć znajduje się poniżej).

Temat może nam zostać zadany. W OSW sytuacja taka dotyczy zwykle tzw. zamówień. Zamówienie to pismo, mail lub telefon z jakiejś instytucji lub komórki administracji z prośbą o dostarczenie tekstu o określonym zagadnieniu, najczęściej z listą pytań, na jakie powinien odpowiadać, i terminem realizacji, liczonym od godzin do tygodni. Większość analiz inicjuje jednak sam Ośrodek – jego pracownik, a niekiedy kierownik zespołu czy członek dyrekcji.

Właśnie tutaj pojawia się potrzeba określenia **ram czy granic tekstu** i jego **punktu ciężkości**. Chodzi o to, że każdą kwestię da się opisać na najrozmaitsze sposoby, inaczej zdefiniować problem i skonstruować narrację. Przede wszystkim należy zadać sobie pytanie, o czym ma być dany materiał. Paradoksalnie równie istotna jest jednak odpowiedź na inne – o czym on NIE będzie. Dlaczego? Jeżeli nie ustalimy głównego wątku czy głównych wątków analizy (właśnie je nazywamy punktem ciężkości), jej wątków pobocznych, kontekstowych lub ilustracyjnych, ale także tego, jakie sprawy wychodzą już poza jej ramy i nie zostaną w niej podjęte (lub tylko zasygnalizowane), to możemy utracić nad nią kontrolę. Może wówczas powstać publikacja na temat zasadniczo różny od pierwotnie zamierzonego.

Aby zwiększyć atrakcyjność analizy i zachęcić do jej lektury, warto wykorzystać **punkt zaczepienia**. To fakt, zdarzenie lub obejmujący najwyżej kilka takich elementów zbiór (w ostatnim z przypadków trzeba strzec się nadmiaru). Jeśli takiego istotnego zdarzenia lub zdarzeń brak, wolno nam je zastąpić zbiorczym punktem zaczepienia wychodzącym od tezy. W praktyce może on przybrać postać zdania o takiej np. treści: „W ostatnim czasie możemy zaobserwować…" (tu definiujemy zjawisko ilustrowane przez ciąg zdarzeń).

Element ten pełni kilka funkcji: służy wprowadzeniu tematu tekstu, bywa, że stanowi pretekst do powstania materiału, oraz osadza go w bieżącej sytuacji. Z tych względów jest interesujący dla odbiorcy i przekonuje go, że analiza traktuje o sprawie aktualnej i ważnej.

Choć czasem punkt zaczepienia w dużym stopniu pokrywa się z tematem, to najczęściej jest od niego znacznie węższy. Przykładowo analiza poświęcona polityce zagranicznej jakiegoś państwa lub jakiemuś jej elementowi może za taki punkt obrać wystąpienie szefa dyplomacji bądź innego urzędnika wysokiego szczebla, publikację ciekawego dokumentu lub strategii albo istotną decyzję w tej sferze. Punkt zaczepienia dostarcza ważkich informacji czy argumentów potwierdzających tezy, ale sam w sobie nie wyczerpuje kwestii.

Jego użycie nie zawsze jest jednak konieczne lub wręcz możliwe – zwłaszcza gdy piszemy tekst dłuższy (na przykład raport), bardziej przekrojowy i ponadczasowy (a nie doraźny). W takim przypadku często zwyczajnie nie da się przytoczyć jakichkolwiek istotnych bieżących wydarzeń albo ich przydatność narracyjna rodzi wątpliwości. Nie należy wówczas szukać punktu zaczepienia na siłę, lecz zastąpić go zwykłym wprowadzeniem tematu materiału, wskazującym na przyczyny jego istotności, względnie od razu przejść do jego zasadniczego przesłania.

Dbanie o kręgosłup, czyli o znaczeniu konstrukcji tekstu

Nie ma dobrej analizy bez właściwej, logicznej konstrukcji. To ona stanowi kręgosłup utrzymujący ciało tekstu i podstawę jego przejrzystości, pozwalającej dotrzeć z przekazem do odbiorcy. Jeżeli osoba siadająca do materiału o objętości powyżej kilku stron dopiero zaczyna swoją przygodę w zawodzie analityka lub z innego powodu ma kłopot z przenoszeniem myśli na papier (dziś – plik), to powinna rozważyć sporządzenie przed rozpoczęciem pracy **planu tekstu**. Składa się on zazwyczaj z tytułu roboczego oraz kilku punktów wskazujących kolejność poszczególnych części i problemy w nich poruszane.

Można też przygotować coś więcej – **konspekt tekstu**. Od planu różni się on szczegółowością – odzwierciedla dwa lub więcej poziomów analizy. Punktom towarzyszą tu zatem przypisane im podpunkty (i ewentualnie jeszcze niższe poziomy konstrukcji). Ponadto może zawierać przyporządkowane do tych elementów tezy lub hipotezy robocze.

Nietrudno dostrzec, że taki plan, a szczególnie konspekt to w istocie dość precyzyjnie zaprojektowana i rozpisana konstrukcja przyszłej analizy. Warto przy tym dodać, że jedna z metod pisania, polecana zwłaszcza początkującym, polega na zamianie konspektu na właściwy tekst poprzez wypełnianie jego elementów treścią. Nie istnieje jeden uniwersalny **model konstrukcji** tekstu analitycznego. Jej wybór, często podyktowany tematyką, należy z reguły do autora. Przeanalizujmy pokrótce kilka tych najpopularniejszych.

Model chronologiczny

Należy do typowych i dawniej często stosowanych. Wbrew nazwie nie polega on po prostu na relacjonowaniu i komentowaniu kolejnych wydarzeń. Standardowo tekst pisany zgodnie z nim składa się z trzech części.

Pierwsza dotyczy genezy danego problemu, zjawiska czy wydarzenia – charakteryzuje jego czynniki i uwarunkowania. Odpowiada zatem na pytania: „Dlaczego do tego doszło?", „Co o tym zdecydowało?". Odnosi się więc do przeszłości.

Druga opisuje istotę problemu w czasie rzeczywistym. Odpowiada na pytania informacyjne: „Co się dzieje?" i analityczne: „Jak to rozumieć?", „Co to

oznacza?", czyli dotyczy teraźniejszości (która, jak wiadomo, nie istnieje, ale zostawmy ten problem filozofom i fizykom, a sami załóżmy roboczo, że chodzi o ostatnie dni).

Trzecia zawiera prognozę. Odpowiada na pytania: „Jakie to może mieć konsekwencje?", „Do czego to może prowadzić?", „Czego powinniśmy się spodziewać?". Mówi więc o przyszłości – zarówno tej najbliższej, liczonej w dniach, jak i potencjalnie dalszej – obejmującej lata, a nawet dekady.

W tym miejscu musimy uczynić dygresję. Jak wspomniano na wstępie, nie wolno zapominać o wczuwaniu się w potrzeby odbiorcy, tym bardziej tak specyficznego jak decydent. Co jest najważniejsze dla takiego człowieka? Sądzę, że odpowiedź na dwa pytania:

1. **Jak rozumieć to, co się dzieje?** Bynajmniej niekoniecznie wiedzieć, co się stało w sensie faktograficznym – tu niemal zawsze szybsze są media, co generuje wyzwanie w postaci selekcji wagi doniesień lub ryzyko pominięcia istotnych szczegółów. Względnie wiedza ta pochodzi od osób z obiegu wewnętrznego, korzystających często z informacji niepublicznych lub niejawnych, z którymi trudno konkurować, opierając się wyłącznie na źródłach otwartych;
2. **W jakim kierunku mogą potoczyć się wydarzenia?** (przede wszystkim w najkrótszej perspektywie czasowej).

Odpowiedź na nie jest niezbędna do podjęcia właściwej decyzji. Kiedy to zrozumiemy i zaakceptujemy, warto wyjść temu naprzeciw i zmienić narrację tekstu. W jaki sposób? Przesuwając na początek część poświęconą teraźniejszości, odnoszącą się do bieżących wydarzeń. Posunięcie to wzmocni także umieszczenie tam punktu zaczepienia. Dopiero potem wróćmy do przeszłości i przeanalizujmy genezę zagadnienia – jak najkrócej, bo to z reguły fragment najmniej interesujący dla adresata z administracji publicznej.

Kiedy temat, nasza wiedza i/lub zapotrzebowanie odbiorcy tego wymaga, dobrze przejść jak najszybciej do części ostatniej – **prognozy**. Choć jest ona dla niego najciekawsza, to nasze zakrzywianie czasu z uwagi na elementarne zasady logiki nie może iść tak daleko, aby umieszczać ją na początku. Ominięciu tego problemu służą pewne omówione dalej zabiegi. Podobnie rzecz się ma z podstawowymi regułami formułowania przewidywań, o których również powiemy później.

Model przedmiotowy

Niemal każdy temat da się podzielić na zagadnienia, a problem – na aspekty. Przykładowo politykę państwa X można rozpatrywać jako: politykę wewnętrzną, politykę gospodarczą, politykę zagraniczną oraz ewentualnie politykę

bezpieczeństwa i obrony. Sfery te mogą być przedmiotami kolejnych rozdziałów analizy i można je dalej podzielić na wątki (kwestie gospodarcze chociażby na energetykę, finanse, handel, przemysł i jego branże oraz usługi – lub zupełnie inaczej), a wnioski i prognozę umieścić na końcu każdej części lub całości. Taką konstrukcję częściej wykorzystujemy w publikacjach przekrojowych i o większej objętości – jak raporty.

Model podmiotowy

W tym przypadku temat dzielimy na aktorów lub strony, np. państwa. Model ten można zastosować, gdy materiał dotyczy jakiejś interakcji, zwłaszcza konfliktu albo porozumienia. Kolejne części tekstu nazywamy wówczas choćby następująco: interesy i polityka państwa X, interesy i polityka państwa Y, interesy i polityka państwa Z, ewentualnie końcowe wnioski wynikające z ich oddziaływania.

Oczywiście na poszczególnych poziomach analizy mamy prawo używać różnych modeli. Jeśli na poziomie podstawowym korzystamy z przedmiotowego, to na niższym (wątków) możemy zdecydować się na podmiotowy – lub odwrotnie. Należy jednak zachować konsekwencję w stosowaniu danego modelu na określonym poziomie, gdyż mieszanie kilku grozi powstaniem wrażenia chaosu.

Model tezowy

To zupełnie inny, a jednocześnie stosunkowo najatrakcyjniejszy dla odbiorcy z administracji model. Wybrawszy go, z czystym sumieniem pozwalamy sobie zapomnieć – przynajmniej na najwyższym poziomie konstrukcji – o chronologii wydarzeń oraz podziale przedmiotowym czy podmiotowym. Tu logika narracji opiera się na wybranych tezach.

W tym modelu punkt wyjścia do tworzenia tekstu stanowi zadanie sobie pytania: „Co najważniejszego mam do przekazania odbiorcy?". Po sformułowaniu, dajmy na to, trzech twierdzeń lub przesłań staną się one osią konstrukcyjną materiału: część pierwsza obejmie wprowadzenie tezy pierwszej i jej uzasadnienie itd. W takiej sytuacji umieszczanie na końcu wniosków czy podsumowań nie ma sensu, gdyż to na nich opiera się cały tekst.

W przypadku tej kompozycji trzeba natomiast pamiętać o konieczności **odwrócenia standardowego modelu narracyjnego**. Dla wymienionych wcześniej modeli typowa była kolejność: najpierw przesłanki (co się dzieje lub działo?), potem wnioski (co to oznacza lub o czym to świadczy?). Tutaj zaś na początku każdej części umieszczamy pojedyncze wnioski, a dopiero potem ilustrujemy je informacjami uzasadniającymi je.

Pora na dygresję. Jak już wspomniano, na każdy materiał analityczny składają się **warstwy informacyjna i analityczna**. W przeszłości dominowały

modele, w których fragmenty faktograficzne występowały przed – powiązanymi z nimi – analitycznymi. Dziś coraz częściej mieszamy je w ramach poszczególnych części – niekiedy rozdzielamy traktujące o nich akapity, a czasem tworzymy akapity przeplatające zdania informacyjne i analityczne. Jedna zasada pozostaje niezmienna: czytelnik musi móc rozpoznać, gdzie ma do czynienia z (bardziej zobiektywizowaną) informacją, a gdzie – z (bardziej subiektywną) analizą, gdzie znajdzie opinie innych, a gdzie – co kluczowe – komentarz autora.

Centralne miejsce w tekstach analitycznych zajmuje, jak sama nazwa wskazuje, **analiza**. Dlatego najczęstszy błąd dopiero zaczynających je tworzyć polega na rozwlekłym i drobiazgowym opisywaniu wydarzeń i relacjonowaniu cudzych wypowiedzi. Jeśli tylko forma i temat nie narzucają charakteru sprawozdania (np. z wystąpienia czy dyskusji), to takie postępowanie traktujemy jako błąd formalny.

Przytoczmy tu anegdotę z historii OSW. Na jednym z niegdysiejszych posiedzeń kolegium redagujących teksty (obecnie proces ten odbywa się online) członek dyrekcji wygłosił maksymę brzmiącą „Najważniejsze są tezy, fakty się dobierze". Wzbudził tym zrozumiałą wesołość zebranych – wszak słowa te można by pozornie odebrać jako zachętę do świadomej manipulacji. Byłaby ona dla analityka grzechem śmiertelnym. Samo sformułowanie – przyznajmy: niefortunne – miało przekazać prostą prawdę: nie należy mnożyć przytaczanych w analizie faktów, ale zorganizować ich prezentację tak, aby ilustrowały tezy, które chcemy przekazać.

Co poeta miał na myśli, czyli jak uczynić tekst czytelnym

Nie wystarczy napisać logicznie ustrukturyzowanego materiału zawierającego przesłanki i wnioski – by dotrzeć z jego przesłaniem do odbiorców, trzeba sprawić, by był maksymalnie klarowny. W tym celu korzystamy z licznych zabiegów, które teraz omówimy w kolejności, w jakiej przeważnie występują w tekstach.

Na pierwszy ogień idzie zatem **tytuł**. Jest on istotny, nawet bardzo – jego atrakcyjność niekiedy wręcz przesądza o tym, czy publikacja zostanie w ogóle przeczytana. W naszych analizach stosujemy dwa typy tytułów – **informacyjne** i **informacyjno-analityczne**. Te pierwsze są prostsze, gdyż ich główne zadanie to poinformowanie o temacie tekstu. Drugie, trudniejsze, mają ambicję uwzględnienia też naczelnego przesłania – tezy analitycznej. W odniesieniu do obu trzeba zaś pamiętać o kilku standardowych regułach.

- Tytuł musi być **spójny z treścią**. Oznacza to, że powinien odpowiadać punktowi ciężkości pracy, nawiązywać do jej podstawowego wątku. Nie może

wprowadzać czytelnika w błąd, odwołując się do motywu pobocznego. Czasami trzeba dokonać wyboru, dlatego z reguły ostateczny tytuł ustalamy dopiero po napisaniu całości.

- Tytuł musi być **zwięzły, proporcjonalny do objętości** tekstu. W przypadku form krótkich (do trzech stron) standardem jest tytuł kilkuwyrazowy, mieszczący się w jednej linijce. Dopiero te średnie (na ogół pięć–siedem stron) lub duże (kilkanaście–kilkadziesiąt stron) pozwalają decydować się na tytuły dłuższe, dwuwierszowe, zwykle składające się z dwóch członów – informacyjnego i tezowego.
- Tytuł ma być **jasny i prosty**. Tutaj dotykamy coraz powszechniejszego w analityce problemu – skłonności do ulegania pokusie używania tytułów *clickbaitowych* (mających przyciągnąć kontrowersyjnym tematem czy ostrą tezą). To podyktowane próbą zachęcenia czytelnika do lektury zjawisko rodzi potencjalne niebezpieczeństwo w postaci zacierania się różnicy między materiałami analitycznymi i publicystycznymi (o czym dalej, w części poświęconej językowi). Jak zawsze nie wolno nam zapominać o wyczuciu i zdrowym rozsądku. Możemy – i robimy tak coraz częściej – korzystać z tytułów zawierających grę słów lub delikatną ironię – jest to akceptowalne, przynajmniej dopóty, dopóki żywimy uzasadnione przekonanie, że odbiorca je zrozumie.
- Tytuł ma **wyjaśniać zagadnienie i odpowiadać na pytania**, a nie je zadawać i zaciemniać sprawę. W przypadku analiz tworzenie tytułów tajemniczych i zawierających niejasne skróty myślowe, typowych dla tekstów publicystycznych, mających prowokować czytelnika, to błąd. Dobry tytuł da się zrozumieć bez czytania reszty materiału!

Błędem jest także posługiwanie się w tytułach pytaniami otwartymi („Co to oznacza?", „Do czego to doprowadzi?" etc.). Jeśli używamy znaku zapytania, to powinien on sugerować tylko niepewność co do tezy (w tytule informacyjno-analitycznym).

Tak wyśrubowane kryteria powodują, że w OSW wokół tytułów wybuchają niekiedy ostre polemiki. W rzadkich, skrajnych sytuacjach tytuł krótkiej analizy może powstawać dłużej niż ona sama.

Wymienione zasady stosujemy też w odniesieniu do **śródtytułów** (czyli tytułów poszczególnych części). One również dzielą się na informacyjne i informacyjno-analityczne. Trzeba przy tym pamiętać o konsekwencji: wszystkie śródtytuły powinny być tego samego typu – mieszanie skutkuje powstaniem wrażenia chaotyczności. Mają takie same zadania jak tytuły, a także kilka dodatkowych. Po pierwsze ujawniają konstrukcję tekstu, czyniąc ją przejrzystą. Po drugie umożliwiają selektywną lekturę. Stanowią w ten sposób kolejny ukłon pod adresem członków administracji. Idea jest prosta: decydent – człowiek

bardzo zajęty – rzadko ma czas na dokładne zapoznanie się z materiałem. Najpierw przebiega więc wzrokiem całość, zwracając uwagę na tytuł i to, co bezpośrednio pod nim, następnie czyta śródtytuły, a na koniec wybiera fragmenty, na których się skupi.

Śródtytuły pozwalają łatwo nawigować po treści, sugerując, gdzie odbiorca znajdzie to, czego szuka, i na czym winien się skoncentrować. Im bardziej pomożemy mu w tej selekcji, zwracając uwagę na newralgiczne partie tekstu, tym więcej czasu oszczędzi. W OSW stosujemy więc regułę, że każdą kilkustronicową analizę (optymalnie już taką o objętości przekraczającej wyraźnie jedną stronę) dzielimy na opatrzone śródtytułami części. Długi, gęsty tekst zwarty potrafi bowiem zniechęcić każdego, kto ma z nim kontakt.

Kolejny wyjątkowo istotny element stanowi **lead**. To trudne do przetłumaczenia angielskie pojęcie ze świata mediów określa specyficzną część krótkiej lub średniej analizy umieszczoną tuż pod tytułem i poprzedzającą tekst zasadniczy. W praktyce lead ma postać pojedynczego akapitu lub dwóch akapitów zajmujących od kilku linijek do jednej trzeciej strony (w zależności od długości całego materiału).

Lead ma warstwę informacyjną i warstwę analityczną, ułożone na rozmaite sposoby. Często mamy do czynienia z jednym akapitem informacyjnym i jednym analitycznym, ale równie dobrze elementy te mogą być wymieszane. Warstwa informacyjna zawiera punkt zaczepienia (zwykle na początku) i potencjalnie inne fundamentalne informacje, a analityczna – ważniejsza od niej – wybrane podstawowe tezy wraz z ewentualną krótką prognozą.

Lead to nie streszczenie, lecz swoisty tekst w tekście, pigułka treści. Wynika to z jego zadania w analizie: decydent ma go szybko przeczytać i dzięki temu zorientować się w kluczowych poruszanych zagadnieniach. W razie braku czasu nie musi kontynuować lektury. Jeśli zaś nim dysponuje, pogłębi swój zasób wiadomości na podstawie reszty materiału, zawierającej szerszy zakres treści.

Lead, poprzez częściowe powtórzenie (najlepiej nieco innymi słowami) informacji i wniosków, wzmacnia przekaz całego materiału. Chodzi w szczególności o najważniejsze tezy – te w skrajnych wypadkach mogą pojawić się w tekście kilkakrotnie (lepiej bez dosłownego powtarzania): w tytule, właśnie leadzie, śródtytułach i treści głównej. W formach dłuższych zamiast leadu zwykle stosujemy tezy w formie odrębnych akapitów oznaczonych punktorami (buletami), a w tych quasi-naukowych – również klasyczne streszczenia (zestawienie pierwszoplanowych elementów w kolejności ich występowania).

Przejdźmy do **tekstu zasadniczego**. W nim warto skorzystać ze środków rozgęszczających. Do prostych zabiegów tego typu należy chociażby unikanie długich akapitów, utrudniających przyswojenie treści. Nie zapominajmy o podziale poszczególnych części na **akapity oddzielone prześwitami**. Ich zadanie

nie polega tylko – i nie przede wszystkim – na zapobieganiu znużeniu (którego ryzyko wzrasta wraz z długością zwartych partii tekstu), lecz także na informowaniu czytelnika o przechodzeniu do kolejnych wątków (odpowiadających często podpunktom w konspekcie). Nie wolno nam zatem pokusić się o arbitralność – wydzielenie akapitów musi wynikać z logiki konstrukcyjnej materiału, przy okazji przez nie ujawnianej. Przerwa graficzna to sygnał dla odbiorcy: uwaga, teraz powiemy o czymś nieco innym.

Kolejny poziom stanowią – dziś rzadziej stosowane – **akapity nieoddzielone prześwitami**, czyli zaczynające się po prostu od nowego wiersza. Z tego subtelnego zabiegu korzystamy najczęściej, gdy chcemy wskazać następny podwątek lub przeprowadzić wyliczenie („po pierwsze", „po drugie" itd.). Również w tym przypadku nie ma miejsca na dowolność. Zastosowanie tego środka musi odzwierciedlać głębszy poziom konstrukcji tekstu.

Analizę uczytelnia także użycie **wytłuszczeń**, zwanych potocznie boldami. Warto to robić, jeśli zasady panujące w danej instytucji i konwencja na to pozwalają, gdyż to jeden z najsilniejszych środków komunikacji z odbiorcą. Wytłuszczenie zwraca mu niejako uwagę: przeczytaj koniecznie ten fragment, bo uważam go za wyjątkowo ważny.

Warunkiem skuteczności boldowania – i każdego innego narzędzia tego typu – jest umiar. Jeśli w liczącym dwie strony materiale wytłuścimy w sumie jedną stronę, to moc oddziaływania tego środka radykalnie spadnie – nastąpi jego inflacja. Gdy bowiem uznamy prawie wszystko za wyjątkowo istotne, w rzeczywistości nic już takowym nie będzie. Dlatego z metody tej należy korzystać proporcjonalnie do rozmiarów tekstu. O ile w dużym raporcie możemy sobie pozwolić na wytłuszczanie pojedynczych akapitów, o tyle w notatce o objętości do 5 tys. znaków – co najwyżej pojedynczych zdań lub ich części w wybranych akapitach. Boldujmy fundamentalne tezy i wnioski, a tym bardziej słowa klucze.

To również kolejny sposób na ujawnienie kompozycji w najkrótszych materiałach analitycznych, nawet tych niemających śródtytułów. Wówczas wytłuszczone słowa klucze (przykładowo „**wewnątrzpolityczny**", „**gospodarczy**" i „**bezpieczeństwa**" we fragmentach dotyczących konsekwencji polityk w różnych sferach) mogą je zastąpić, pozwalając odbiorcy jednym spojrzeniem ogarnąć cały tekst i zorientować się w jego strukturze.

Lepszej czytelności, szczególnie tez, sprzyja też opatrywanie ich **punktorami** (buletami). Te czarne kropki na początku akapitów powinny sygnalizować przejście do następnej istotnej informacji, zwłaszcza wniosku. W praktyce OSW wykorzystujemy je m.in. w krótkich tezowych analizach specyficznego typu, niedawno udoskonalonych (noszą miano analiz B). Formę tę wyróżnia podział na dwie części – lead i komentarz. Pierwotnie pierwsza z nich ograniczała się do

warstwy informacyjnej (jako składowa jednostronicowej analizy), a dziś kończy się zwięzłymi wnioskami analitycznymi. Nade wszystko uwagę zwraca jednak druga – niezawierająca śródtytułów, lecz serię poprzedzonych punktorami akapitów stanowiących komentarz analityczny. Dla wzmocnienia przekazu ich inicjalne zdania – zawierające tezę otwierającą – wytłuszczamy. Reszta to dodatkowe dane i poszerzone wnioski przyporządkowane konkretnym twierdzeniom organizującym materiał.

Punktory ułatwiają także pisanie, ponieważ dzięki nim nie musimy się przejmować płynnością narracji, choć część odbiorców uważa zachowanie ciągłości wywodu za sporą zaletę. Tych z pewnością ucieszy, jeśli skorzystamy z tzw. **łączników** – charakterystycznych zdań spajających partie tekstu tworzonego w formacie ciągłym ze śródtytułami (w OSW nazywanym analizą A). Owe łączniki znajdują się na końcu danej części (gdzie zapowiadają następną) albo na początku kolejnej (wtedy odwołują się do poprzedniej). Sprawiają, że materiał czyta się płynniej, a poszczególne jego części logicznie się ze sobą wiążą. Bez nich tekst może wyglądać na sztucznie sklejony z samodzielnych elementów, bez jasnego uzasadnienia ich wzajemnego położenia.

Specjalny rodzaj łącznika stanowi zdanie wprost sugerujące strukturę tekstu (znajdujące się we wstępie do długiego materiału albo w inicjalnej części krótkiego). Sprawia ono, że nie trzeba powtarzać łączników pomiędzy następującymi po sobie częściami, gdyż zapowiada kolejność wątków, przykładowo omawiających poszczególne sfery polityki lub konsekwencje zdarzenia. Analizę klasyczną, zawierającą śródtytuły (w nomenklaturze OSW – A) można porównać do ręcznej skrzyni biegów, a wspomnianą powyżej niej dwuelementową, wykorzystującą punktory (B) – do automatu. Ten drugi zapewnia wygodę, ale niektórzy uważają za rasowych tylko kierowców używających przekładni manualnej lub przynajmniej potrafiących ją umiejętnie obsługiwać. Podobnie sprawa się ma z analitykami – prawdziwą szkołą i sprawdzianem warsztatu jest niewątpliwie analiza A.

Wreszcie – warto wyjaśnić **rolę cytatów**. Trzeba ich, podobnie jak wytłuszczeń, używać powściągliwie, z umiarem. Cudze wypowiedzi w tekście analitycznym przytacza się standardowo za pomocą mowy zależnej – „powiedział, że…", „stwierdził, iż…", „zasugerował, że…"). Ostatnie z tych wyrażeń przydaje się zarazem jako metoda ujawniania ukrytego przekazu (wiadomości, którą ktoś chciał zakomunikować nie wprost, lecz poprzez porównanie, aluzję, ironię itp.). Umiejętność dekodowania takich treści to jednak temat na inną okazję.

Kiedy zatem stosować cytaty? W większej liczbie – wyłącznie w materiałach relacjonujących ważne wystąpienia czy reakcje i zazwyczaj tylko wtedy, gdy ktoś powiedział coś wyjątkowo istotnego lub kontrowersyjnego, a wierne przekazanie jego słów niesie silny przekaz ilustrujący tezę. Warunkiem

jest przeświadczenie o tym, że odbiorcy zrozumieją cytat. Jeśli nie mamy takiej pewności, to natychmiast wyjaśnijmy jego znaczenie albo umieśćmy go w kontekście analitycznym. Jednocześnie długość cytatów należy ograniczyć do niezbędnego minimum i dostosować do objętości tekstu: od fraz (części zdań) w krótkim do najwyżej kilku zdań w dłuższym. Warto też pamiętać, iż nadużywanie tego zabiegu w typowej analizie stanowi błąd charakterystyczny dla początkujących oraz sugeruje niesamodzielność myślenia, a przynajmniej trudności w formułowaniu własnych opinii.

Zamiast kryształowej kuli, czyli wyzwania związane z prognozowaniem

Prognozowanie to najbardziej problematyczna część analityki, w tym tworzenia tekstów z tej dziedziny. Jak stwierdził duński fizyk Niels Bohr: „Przewidywanie jest bardzo trudne, szczególnie jeśli idzie o przyszłość". W tym zabawnym aforyzmie leży wbrew pozorom głęboka prawda, bo istnieją państwa (niektórymi z nich zajmujemy się w Ośrodku), gdzie nieprzewidywalna jest także przeszłość. Jak więc prognozować? To zagadnienie poruszono w innym rozdziale niniejszego podręcznika – tu zasygnalizuję tylko, co moim zdaniem odgrywa w tym procesie rolę pierwszoplanową z punktu widzenia pisania bieżących tekstów analitycznych, w których prognoza stanowi tylko jeden z elementów.

Łatwiej zacząć od tego, **jak NIE przewidywać**. W pierwszej kolejności nie wolno tworzyć **prognozy uniwersalnej**. Przykładem takowej jest żartobliwe powiedzenie wybitnego trenera reprezentacji narodowej w piłce nożnej Kazimierza Górskiego: „Mecz można wygrać, przegrać albo zremisować". To generalnie zdanie prawdziwe – istnieje graniczące z pewnością prawdopodobieństwo, że któryś z tych trzech scenariuszy się ziści. Zdajemy sobie jednak sprawę, że w nadzwyczajnych okolicznościach mecz może zostać przerwany, a następnie pozostać – przynajmniej przez jakiś czas – nierozstrzygnięty.

Przytaczam tę sentencję nie bez powodu, bo często spotykaną formą, która ją przypomina, jest **prognoza trójscenariuszowa** (powszechna zwłaszcza w materiałach na tematy gospodarcze). W jej ramach mamy zwykle do wyboru wariant optymistyczny, pesymistyczny i średni, niekiedy zwany bazowym lub realistycznym. To schemat dość wygodny dla autora analizy, ale właściwie pusty dla jej adresata, o ile ten pierwszy nie oszacuje prawdopodobieństwa wystąpienia przedstawionych scenariuszy. Bez tego każda prognoza – zarówno trójscenariuszowa, jak i zawierająca więcej (nawet kilkanaście czy kilkadziesiąt) wariantów – jest dla decydenta niemal bezwartościowa, ponieważ nie pomoże mu podjąć decyzji w sytuacji, gdy – jak śpiewa Anita Lipnicka – „wszystko się może zdarzyć".

Mimo to takie wieloscenariuszowe prognozy powstają, w tym nieraz na zamówienie, ale ich cel to nie przewidzenie przyszłości, lecz zmuszenie analityków i odbiorców do uruchomienia myślenia krytycznego i wyobraźni, przemyślenia i zorganizowania własnej argumentacji czy szukania niestandardowych problemów i sposobów ich rozwiązywania.

Aby uczynić prognozę cenniejszą pod względem praktycznym, należy – jak zauważono powyżej – **określić prawdopodobieństwo** urzeczywistnienia się poszczególnych scenariuszy. Można to zrobić na dwa sposoby.

Pierwszy polega na użyciu takich wyrażeń jak: „z pewnością", „bardzo prawdopodobnie", „najprawdopodobniej", „prawdopodobnie", „zapewne", „niewykluczone", „być może", „raczej nie", „mało prawdopodobne", „bardzo mało prawdopodobne", „skrajnie mało prawdopodobne", „wykluczone".

Wiele instytucji na świecie przygotowało dokumenty (wytyczne, regulaminy, słowniki) dość precyzyjnie definiujące prawdopodobieństwo opisywane danymi sformułowaniami. Potocznie takie zwroty stosowane w tekstach nazywamy **bezpiecznikami**. Ich funkcja to zwrócenie uwagi czytelnika na – odpowiednio regulowany – poziom niepewności stwierdzenia, będącej dla analityka chlebem powszednim. Nadużywanie tych konstrukcji stanowi błąd i ogranicza wartość materiału.

Skoro nie mamy pewności niemal czegokolwiek, to jaki jest w ogóle sens czytania analizy? Czy nie lepiej stworzyć tekst całkowicie pozbawiony bezpieczników, tworzony *ex cathedra* („będzie tak…", „doprowadzi to do…")? Rozwiązanie takie, bardzo atrakcyjne dla odbiorcy, niesie jednak zarazem wysokie ryzyko dla autora, zwłaszcza jeśli jego przewidywania regularnie nie będą się sprawdzały. Może to skutkować sugestiami zmian kadrowych. To samo może jednak spotkać analityka nadużywającego bezpieczników, co sugeruje niewystarczające kompetencje.

Druga metoda wyznaczania prawdopodobieństwa prognozy polega na przypisaniu poszczególnym scenariuszom **procentowej szansy** na urzeczywistnienie (np. scenariusz A – 60%, B – 30%, C – 10%). To bardzo czytelny sygnał dla adresata, jak traktować poszczególne warianty. Oczywiście takie szacowanie wymaga sporej wiedzy i doświadczenia, a ponadto jest obarczone znacznym ryzykiem błędu.

Warto poruszyć jeszcze jedną niebagatelną regułę prognozowania w tekście analitycznym. Dotyczy ona **kolejności scenariuszy**: na początku ich listy należy koniecznie umieścić ten najbardziej prawdopodobny, a potem owo prawdopodobieństwo powinno stopniowo maleć. Taki układ odzwierciedla typową percepcję – czytelnik więcej uwagi poświęca pierwszym partiom materiału (a co gorsza może nie mieć czasu doczytać go do końca).

Jeżeli natomiast jesteśmy dość mocno (przykładowo na 90%) przekonani co do kierunku rozwoju sytuacji, to ułatwmy odbiorcy zadanie, prezentując mu

prognozę jednoscenariuszową, ewentualnie opatrzoną miękkimi bezpiecznikami. To forma bardzo atrakcyjna dla „klienta", gdyż pozbawia go potencjalnych dylematów – wówczas ryzyko pomyłki bierze na siebie autor.

Aby język giętki powiedział, co pomyśli głowa, czyli o języku analitycznym

Niewątpliwie coś takiego jak **język analityczny** istnieje. Kojarzy się z prostym, lecz nie prostackim słownictwem, z chłodnym, niezdradzającym emocji dystansem do przedmiotu analizy, z maksymalnym obiektywizmem oraz z koncentracją na istocie treści i unikaniu pustosłowia. A także z nieco lakonicznym, oszczędnym stylem, jaki cechował teksty Juliusza Cezara. Wspomina o tym bard „Solidarności" Jacek Kaczmarski w jednym ze swoich utworów, w którym przytacza słynne zdanie otwierające dzieło Cezara *O wojnie galijskiej* – „Gallia est omnis divisa in partes tres…" (Cała Galia dzieli się na trzy części…).

Język ten łatwiej jednak opisać przez opozycję niż cechy swoiste. Podporządkowuje się naczelnej funkcji materiału analitycznego, którą stanowi możliwie proste, ale nie nadmiernie upraszczające wyjaśnienie złożonej rzeczywistości. Staje zatem w opozycji m.in. do **języka potocznego** i **publicystycznego**, charakteryzujących się korzystaniem ze sformułowań silnie nacechowanych emocjonalnie – bo też często mają one wywołać u odbiorcy właśnie emocje (pozytywne lub negatywne). W analizie natomiast na określenia takie jak „piękny", „brzydki", „wspaniały", „niesamowity", „paskudny" czy „łajdak", „bydlak", „geniusz" i „bandyta" są zakazane – chyba że znalazły się w czyjejś wypowiedzi, przytoczonej w określonym celu. Idealny tekst analityczny nie pozwala więc domyślić się osobistych emocji autora wobec danej kwestii. W materiale takim nie należy również używać pytań retorycznych – chwytu popularnego w publicystyce – ani wyrażeń roztaczających aurę tajemniczości.

W tym miejscu trzeba poczynić ważne zastrzeżenie. Analityk musi brać pod uwagę zarówno uzus (zwyczaj językowy, rozpowszechnione, szeroko stosowane nazewnictwo), jak i względy racji stanu. Ten pierwszy sugeruje – choć nie przesądza – kiedy używać określenia „terrorysta" czy „partyzant". Te drugie każą pisać przykładowo „nielegalna aneksja Krymu" – bo tak wygląda i stan faktyczny, i ocena politycznoprawna ze strony naszego państwa – a nie „powrót Krymu do macierzy" lub „(ponowne) zjednoczenie Krymu z Rosją" – jak głosi rosyjska propaganda. Sformułowania tego typu nie naruszają zatem zasady obiektywizmu i neutralności językowej.

Język analityczny nie jest **wyrafinowany literacko**, barokowy. Unikamy budowania długich, skomplikowanych zdań wielokrotnie złożonych, wystrzegamy się nasycania tekstu zwrotami obcojęzycznymi (piszemy raczej „przykład"

niż „egzemplifikacja"). Generalnie nie popisujemy się erudycją językową, bo pamiętamy, że chodzi przede wszystkim o dotarcie z przekazem do różnorodnego adresata (w tym o zróżnicowanym poziomie wiedzy). Naszą ambicją jest, aby materiał został zrozumiany przez każdego parlamentarzystę i zwykłego obywatela.

Język analityczny przeciwstawiamy też **językowi naukowemu i specjalistycznemu**. Niemal każda branża dysponuje żargonem, za którego pomocą jej pracownicy komunikują się z podobnymi sobie. Chemik bez trudu wyjaśni, czym jest oksydacyjna dekarboksylacja kwasu pirogronowego, a ekonomista – krótkoterminowy kredyt akceptacyjno-rembursowy o charakterze rewolwingowym. My nie możemy jednak ryzykować, że materiału OSW lub jego części nie pojmie odbiorca docelowy. Rodzi to dylematy, ponieważ nasze analizy poświęcamy niekiedy zagadnieniom specjalistycznym czy branżowym. Wówczas jako autorzy i redaktorzy musimy zadać sobie pytanie, czy czytelnik zna dane pojęcie (jak transakcja typu *swap*, *benchmark* czy *unbundling*) oraz odróżnia podobne, ale nie tożsame terminy (jak PKB w cenach stałych czy bieżących, nominalne czy z uwzględnieniem parytetu siły nabywczej). Jeśli nie, przy pierwszym użyciu koniecznie zdefiniujmy krótko dane pojęcie. Jeśli zaś korzystamy z nich w tekstach często i w pewnym momencie dochodzimy do wniosku, iż nasz adresat został już „wyedukowany", to możemy owego definiowania zaniechać. Takie zmiany zachodzą z czasem. Przykładowo nie tłumaczymy już za każdym razem, że LNG to gaz płynny (a raczej jeden z jego rodzajów), bo piszemy o tym od wielu lat.

To ostatnie nasuwa wreszcie temat stosowania **akronimów** oraz **nazw geograficznych**. Niektóre z tych pierwszych (choćby ONZ, NATO czy OPEC) są tak szeroko znane i tak często przez nas przytaczane, że nie musimy ich rozwijać. W odniesieniu do innych (jak OUBZ – Organizacja Układu o Bezpieczeństwie Zbiorowym, EUG – Euroazjatycka Unia Gospodarcza) warto to jednak uczynić przy pierwszym użyciu. Podobnie rzecz się ma z miejscowościami, o których piszemy. Niemal każdy wie, gdzie leżą Waszyngton, Londyn, Berlin, Moskwa czy Pekin (oraz państwa, których są stolicami). Lepiej natomiast określić położenie takich miejsc jak Nalczyk czy Magas – wspomnieć o Inguszetii lub przynajmniej Kaukazie Północnym. Za każdym razem winniśmy się przy tym posiłkować empatią i wyczuciem.

Zamiast zakończenia: o czasie – wrogu analityka

Znane powiedzenie mówi, że czas to pieniądz. Wskazuje ono na wartość, jaką stanowi prędkość czyjejś pracy, a jednocześnie na konieczność oszczędzania czasu. Odnosi się też do analiz: wiele powyższych porad ma na celu w pierwszej kolejności troskę o czas odbiorcy, zwłaszcza tego kluczowego – decydenta.

Czas niesie także potężne wyzwanie dla analityka. Olbrzymie tempo i złożoność toczących się procesów i zachodzących wydarzeń, zalew informacji (a coraz częściej dezinformacji) i rosnąca trudność ich selekcji, premiowanie szybkości przekazywania wiedzy kosztem jej jakości, nacisk (również w przypadku decydenta) na momentalną reakcję – z tym wszystkim musi zmierzyć się bezpośrednio autor. Między innymi dlatego najkrótsza stosowana w OSW forma analityczna ma objętość około 20 linijek i dociera szybko na smartfony adresatów znajdujących się na odpowiedniej liście wysyłkowej.

Zmiany w naturze obiegu informacji działają przeciwko rzetelnej, jakościowej analizie. Generują presję szybkiego odnoszenia się do zdarzeń. Taki stan rzeczy zwiększa naszą odpowiedzialność i wystawia nas na poważny stres. Rzadko kiedy – bo jedynie w przypadku publikacji dłuższych lub średnich (w OSW mających postać „Komentarzy") – mamy możliwość dłuższej, pogłębionej refleksji nad danym zagadnieniem przed stworzeniem materiału.

Na nagłe istotne wydarzenia analityk musi odpowiadać natychmiast. Bywa, że na przeczytanie informacji, znalezienie pierwotnego i pełnego źródła (o ile takowe istnieje), analizę kontekstu, zapoznanie się z reakcjami innych, osobistą refleksję i napisanie krótkiego materiału ma ledwie godzinę lub dwie. Takie sytuacje ujawniają przewagę profesjonalistów nad amatorami. Ci pierwsi bazują na swojej wiedzy i doświadczeniu, które pozwala im m.in. lepiej interpretować dane w oparciu o znajomość kontekstu (to, co zaskakuje licznych postronnych obserwatorów, dla eksperta może stanowić potwierdzenie od dawna znanego schematu wypowiadania się czy działania danego podmiotu).

Dużą przewagę daje również znajomość zasad krytyki źródeł. Amator poda dalej sensacyjną informację przeczytaną w anonimowym kanale na Telegramie, a fachowiec dostrzeże w niej manipulację nakierowaną na upowszechnienie *fake newsa*. Pamiętajmy jednak, że nie wolno nam ulegać schematom i rutynie – wrogom doświadczonych analityków.

Odporność na stres i zdolność do pracy w trudnych warunkach to zatem nieodłączne cechy dobrego autora analiz. Często musi on ważyć względy szybkości i głębi tekstu i znaleźć złoty środek. Niektóre zasady pisania, o których mówiliśmy wcześniej, muszą wówczas ulec jeśli nie zawieszeniu, to przynajmniej złagodzeniu. Liczy się bowiem cel nadrzędny: dotarcie z przekazem tam, gdzie to potrzebne, i wtedy, kiedy to potrzebne.

* * *

Ten z konieczności krótki przegląd zasad i wskazówek, mający charakter wstępu do zagadnienia pisania tekstów analitycznych, dalece nie wyczerpuje tematu. Nie stanowi także zbioru uniwersalnego, lecz jedynie omawia pewne

metody wykorzystywane w OSW, a następnie przefiltrowane przez osobiste doświadczenie autora.

Każdy analityk zatrudniony w Ośrodku przechodzi w początkach pracy swoistą „tresurę" pisania. W ogniu krytyki ze strony koleżanek i kolegów oraz przełożonych – dyskusja to jedno z podstawowych narzędzi naszej pracy, a „szczerość to norma w naszym klubie" – szybko pozbywa się zbyt wysokiego mniemania o własnych umiejętnościach w tej dziedzinie. Również ci bardziej doświadczeni starają się stale doskonalić warsztat, bo – jak wiemy – uczymy się przez całe życie.

Uważny czytelnik mógłby ze złośliwą satysfakcją wytknąć autorowi niniejszego tekstu, że nie zastosował się w nim do szeregu zasad, jakie pryncypialnie głosił. Zarzut ten skwituję krótko: tak, bo to nie jest tekst analityczny.

Jak analizować politykę bezpieczeństwa: pasja i systematyczna praca z Polską jako punktem odniesienia

Justyna Gotkowska

Dziś (prawie) każdy zna się na bezpieczeństwie, jak również ma sprecyzowane zdanie na temat tego, czy NATO działa bądź nie, czy możemy liczyć już tylko na USA lub nie należy liczyć na nie w ogóle (bo Waszyngton wycofuje się z Europy) oraz czy Polska powinna lub nie wspierać budowę europejskiej armii i przekształcanie Unii Europejskiej w NATO bis. W debacie publicznej możemy też usłyszeć, że powinniśmy zrezygnować z sojuszniczych mrzonek i samodzielnie budować własne zdolności przy jednoczesnym sprzymierzaniu się głównie z państwami regionu nordycko-bałtyckiego i/lub Turcją. Pojawiają się już także opinie, że w ogóle nie powinniśmy się wychylać i być zbyt asertywni (względem Rosji), bo – jak pokazują niektóre badania opinii publicznej – w przypadku wojny gros Polaków kraju bronić nie będzie. Duża część osób wypowiadających się publicznie w tych kwestiach ma też zdanie na temat czasu, scenariusza, skali i rodzaju konfliktu z Moskwą.

Ten tekst będzie o tym, jak być (bądź stawać się) odpowiedzialnym analitykiem do spraw bezpieczeństwa, mającym oparcie w gruntownej ekspertyzie, który w swoich tekstach za punkt odniesienia przyjmuje polskie interesy i zachowuje wewnętrzny kompas analizy bazującej na faktach. Będzie i o tym, jak działać w świecie, w którym dotychczasowe filary polskiej polityki są częściowo podważane, polaryzacja zaczyna się przekładać na kwestie strategiczne, do niedawna wyjęte ze sporu politycznego, a w debacie publicznej głośno słychać „geopolityczne" narracje i pojawia się coraz więcej rosyjskiej dezinformacji.

„Generaliści" i „szczególarze"

Zapewnienie i utrzymanie bezpieczeństwa państwa, szczególnie w naszym regionie Europy, stało się w ostatniej dekadzie priorytetem w związku z agresywną polityką Federacji Rosyjskiej (FR), przekierowywaniem przez Stany Zjednoczone uwagi na Indo-Pacyfik, rosnącą rolą Chin, pragnących podważyć ukształtowany przez USA powojenny porządek globalny oraz zbyt wolnym budzeniem się Europy Zachodniej z pozimnowojennego letargu. Pytanie więc, jak odpowiedzialnie i rzetelnie budować szerszą ekspertyzę oraz formułować wnioski i rekomendacje w obszarze polityki bezpieczeństwa i obronnej w realiach, które stają się coraz bardziej labilne i złożone – w sytuacji międzynarodowej, w której nie ma prostych zero-jedynkowych odpowiedzi i w której na bezpieczeństwo Polski wpływają liczne czynniki: wynik i konsekwencje wojny na Ukrainie, procesy przebiegające w Rosji, zmiany polityczne w Waszyngtonie, przekształcenia w politykach wewnętrznych i bezpieczeństwa państw europejskich, dynamika wydarzeń na teatrze indopacyficznym czy transformacja organizacji regionalnych i globalnych.

W Polsce, ale i w innych państwach europejskich mamy najczęściej do czynienia z „generalistami" – ekspertami wypowiadającymi się na większość tematów związanych z bezpieczeństwem i obronnością – oraz analitykami „sektorowymi", zajmującymi się szczegółowo wybranymi zagadnieniami z tej dziedziny. Ci pierwsi analizują rozliczne kwestie polityczne i wojskowe – od postępowania USA, poprzez NATO i rolę UE, po Rosję i Chiny – często nie dysponując gruntowną wiedzą o niektórych z tych zagadnień. Zafascynowani takimi ludźmi młodzi adepci zawodu analityka do spraw polityki bezpieczeństwa przejawiają aspiracje do funkcjonowania w przestrzeni medialnej i eksperckiej na podobnych zasadach, posiadając pobieżną wiedzę i czasem niewielką chęć wgłębiania się w poszczególne tematy.

Zarazem w instytucjach analitycznych i na uniwersytetach zatrudnieni są eksperci „sektorowi" – od NATO, unijnej polityki bezpieczeństwa, spraw nuklearnych lub potencjału militarnego FR, przemysłu zbrojeniowego, modernizacji polskich sił zbrojnych czy polityk obronnych poszczególnych państw Sojuszu Północnoatlantyckiego – którzy swoją wiedzę nieraz łączą z szerszą krajową lub regionalną (ale nie wojskową) ekspertyzą. Każda z tych specjalizacji ma rację bytu – w razie potrzeby zarówno opinia publiczna, jak i decydenci powinni móc zapoznać się z rzetelną analizą dotyczącą francuskiej polityki bezpieczeństwa, reform i modernizacji Bundeswehry czy wspierania obronności przez Unię Europejską. Skupienie się na wąskiej problematyce już jednak nie wystarcza, z kolei zbyt generalny ogląd może sprawiać, że analityk nie bierze pod uwagę procesów toczących się pod powierzchnią medialnego zainteresowania albo powiela skrzywione publiczne narracje na dany temat.

Spójrzmy na jeden z jaskrawszych przykładów. Na początku kwietnia 2025 r. wybuchła szerzona przez część dziennikarzy i komentatorów polityki bezpieczeństwa panika dotycząca wycofania amerykańskich żołnierzy i systemów Patriot z lotniska w podrzeszowskiej Jasionce. Pobieżnie przedstawianą informację w kontekście amerykańsko-rosyjskich negocjacji mających na celu zakończenie wojny na Ukrainie przez kilka dni uznawano za symbol początku „zdrady" Polski przez Stany Zjednoczone w ramach dialogu pomiędzy Waszyngtonem a Moskwą o przyszłości bezpieczeństwa europejskiego.

Niewiele osób śledziło procesy zachodzące w NATO na tyle wnikliwie, żeby połączyć tę kwestię z podjętą na szczycie Sojuszu Północnoatlantyckiego w Waszyngtonie w lipcu 2024 r. decyzją o przekazaniu odpowiedzialności za zabezpieczanie transportów wojskowych na Ukrainę natowskim strukturom i europejskim sojusznikom. Inicjatywa ta, wysunięta jeszcze przez administrację Joego Bidena, wynikała z jednej strony z konieczności przeprowadzenia przeglądu technicznego samych patriotów, a z drugiej – z chęci sojuszniczego „zabezpieczenia" w ten sposób logistyki dostaw wojskowych dla Kijowa przed możliwymi zmianami, które mógłby wprowadzić Donald Trump. Opisana powyżej sytuacja pokazuje, że bez systematycznego i dokładnego monitoringu procesów przebiegających w państwach sojuszniczych oraz w takich organizacjach jak NATO czy UE pewne wydarzenia lub decyzje można ocenić zupełnie fałszywie.

Jak rozwijać ekspertyzę w obszarze bezpieczeństwa?

Budowa rzetelnej ekspertyzy w dziedzinie bezpieczeństwa wymaga lat (głównie samodzielnej) pracy. Przygoda ta z reguły zaczyna się od zaciekawienia polityką jakiegoś państwa w tym zakresie lub fascynacji nią w kontekście jego mniej lub bardziej skomplikowanej historii czy społecznego nastawienia do użycia sił zbrojnych oraz aspiracji, potrzeb i wyzwań w obliczu dynamicznie zmieniających się relacji międzynarodowych. Zrozumienie, jak dane elity i społeczeństwo myślą o swoim bezpieczeństwie, jakie czynniki oddziałują na polityków i zwykłych obywateli oraz jak wyglądają podziały w kraju w tej sferze, ma kluczowe znaczenie dla wypracowania podstaw analitycznego instrumentarium, które następnie można powielać przy wdrażaniu się w inne zagadnienia związane z bezpieczeństwem.

Oprócz ciekawości niezbędne są pewna doza empatii i umiejętności wczucia się w sposób myślenia elit rządzących określonym państwem, a zarazem dystans pozwalający na chłodną ocenę badanych procesów. Takie instrumentarium agregujące informacje o polityce bezpieczeństwa danego kraju z wiedzą polityczną, historyczną i społeczną stanowi dobry fundament pogłębiania swojej ekspertyzy oraz poszerzania jej o kolejne tematy „sektorowe" – związane z politykami

innych państw i organizacji (NATO, UE itp.), relacjami transatlantyckimi, celami i narzędziami FR czy Chin.

Analityk wychodzący z analizy politycznej musi też uzupełnić swoją wiedzę wojskowo-techniczną. Również tutaj nieodzowna jest ciekawość – tego, jak funkcjonuje wojsko. Aby odpowiedzialnie zajmować się problematyką bezpieczeństwa, trzeba zaznajomić się z kwestiami zwierzchnictwa, systemu dowodzenia, rodzajów i ukompletowania sił zbrojnych danego państwa, ich zdolności i zadań oraz przeszłych i obecnych misji i operacji wojskowych. Należy wiedzieć choćby, czym są i z czego składają się korpus, dywizja, brygada i batalion, oraz pojąć – nawet tylko na ogólnym poziomie – jak określone siły zbrojne funkcjonują w kontekście narodowym i sojuszniczym (szczegóły zawsze można doczytać).

Jednocześnie niezbędna okazuje się przynajmniej podstawowa znajomość działania najważniejszych systemów uzbrojenia. Analityk musi mniej więcej orientować się, z czego składa się bateria obrony powietrznej, jaki ma zasięg oraz jakie są możliwości systemów bardzo krótkiego, krótkiego czy średniego zasięgu. To samo tyczy się m.in. lotnictwa taktycznego i transportowego, fregat, korwet i okrętów podwodnych, systemów artyleryjskich, ciężkiego sprzętu pancernego oraz nowych technologii. Bez takiego kontekstu dywagacje o praktycznych działaniach wojskowych jakiegoś państwa ani ocena jego potencjału nie oprą się na rzetelnej wiedzy.

Zajmujący się bezpieczeństwem muszą więc mieć w sobie pasję, żeby samemu stopniowo dokształcać się w tym obszarze. Każdy ze specjalistów skupiających się na kwestiach politycznych powinien mieć na swoim koncie kilka tekstów poświęconych zagadnieniom wojskowo-technicznym, które wydają się relewantne dla analizy politycznej. W dzisiejszych uwarunkowaniach jako wart podjęcia można wskazać choćby temat rakietowych systemów dalekiego zasięgu bazowania lądowego – począwszy od ostatnich uzgodnień europejskich, poprzez amerykańskie zdolności tego typu mające zostać rozmieszczone w Europie, po istniejące europejskie technologie i możliwości ich rozwoju oraz ich rolę w całościowej strategii odstraszania Rosji.

W pracy analityka do spraw polityki bezpieczeństwa przydają się więc zarówno pasja i empatia, jak i dystans, chęć pogłębiania wiedzy i zainteresowanie praktycznymi aspektami działania systemu obronnego państwa. Z tego punktu widzenia przelot samolotem CASA lub wejście na pokład fregaty i dokładne jej obejrzenie powinny być po prostu ekscytującym doświadczeniem. Polityka bezpieczeństwa i obronna nie jest tematem ani męskim, ani kobiecym, lecz po prostu fascynującym. Kobiety zajmujące się nim na pewno mają trudniej na samym początku – w zdominowanym przez mężczyzn środowisku traktuje się je niekiedy z przymrużeniem oka. Paradoksalnie jednak jeżeli mają w sobie pasję i wolę systematycznej pracy, to konieczność bycia świetnie przygotowaną

do każdej rozmowy czy odpowiadania na pytania – i polityczne, i wojskowo-techniczne – może im po pewnym czasie zapewnić przewagę nad kolegami.

Punkt odniesienia – Polska

Ekspertyza dotycząca bezpieczeństwa nie funkcjonuje w próżni – zwłaszcza po aneksji Krymu przez Rosję w 2014 r. i jej pełnoskalowej inwazji na Ukrainę w 2022 r. Na analizę i ocenę określonych procesów musi wpływać kontekst wzmacniania bezpieczeństwa kraju, a to z kolei oznacza konieczność dobrego poznania założeń i filarów polskiej polityki bezpieczeństwa (w tym jej historii). Celami tejże są skuteczne odstraszanie Rosji od podejmowania agresywnych działań wobec Polski i NATO oraz utrzymanie suwerenności i integralności terytorialnej państwa. Strategia RP w tej sferze od lat bazuje na kilku filarach: wzmacnianiu krajowego potencjału obronnego, rozwijaniu obrony zbiorowej w Sojuszu Północnoatlantyckim, utrzymaniu amerykańskiej obecności w Europie i na wschodniej flance, kooperacji z członkami NATO w regionach nordycko-bałtyckim i środkowoeuropejskim oraz współpracy z największymi europejskimi sojusznikami i motywowaniu ich do znaczniejszych inwestycji obronnych (przy UE wspierającej wszystkie te procesy). Wśród polskich elit politycznych – z mniejszymi lub większymi odchyleniami – nadal panuje konsensus co do tego, że nasza strategia powinna się składać z tych elementów, lecz trzeba przyznać, że od kilku lat on kruszeje, o czym w ostatniej części tego tekstu.

Analizy pozbawione punktu odniesienia, o którym mowa powyżej, mają mniejszą wartość dla odbiorców albo zwyczajnie prowadzą na manowce. Bo jeśli nie jest nim krótko-, średnio- i długofalowe wzmacnianie bezpieczeństwa Polski, ale chęć rozwijania abstrakcyjnej europejskiej autonomii w tym obszarze, to zupełnie inaczej ocenimy procesy zachodzące w unijnej polityce bezpieczeństwa i damy inne rekomendacje. Znajomość interesów RP i jej polityki bezpieczeństwa w ostatnich latach to jedno, a wiedza na temat polskich sił zbrojnych i przemysłu zbrojeniowego – drugie. Jeśli nie orientujemy się, czego Polska z perspektywy wojskowej będzie potrzebowała od sojuszników w razie wojny, to nie będziemy w stanie ocenić, czy rozbudowa marynarki wojennej danego sojusznika europejskiego kosztem jego wojsk lądowych przy jednoczesnych inwestycjach w nowe technologie niesie dla nas korzyści.

Polski analityk do spraw bezpieczeństwa uczestniczący w dyskursie międzynarodowym, choćby zajmował się nad Wisłą Niemcami, Francją, NATO lub UE, przez zagranicznych ekspertów i dziennikarzy zawsze będzie postrzegany jako analityk wyjaśniający polską politykę oraz ewolucję Sił Zbrojnych RP i naszego przemysłu zbrojeniowego. Dlatego jeśli chce zabierać głos oraz być słuchanym na europejskich i transatlantyckich seminariach i konferencjach, musi

stopniowo posiąść wiedzę i na te tematy. Zewnętrznych odbiorców interesuje punkt odniesienia, jakim jest Polska, a umiejętna argumentacja ułożona pod kątem wzmacniania jej interesów, tj. wyjaśnianie, dlaczego określone procesy na szczeblu międzynarodowym, w NATO czy UE Warszawa uznaje za słuszne bądź nie, stanowi ważny instrument wpływu na dyskusje międzynarodowe.

Wewnętrzny kompas w niestabilnym świecie

Wróćmy do zagadnienia chwiejącego się konsensusu odnośnie do kierunków polskiej polityki bezpieczeństwa. Pełnoskalowa agresja Rosji na Ukrainę i neoimperialne ambicje Moskwy w stosunku do naszego regionu w naturalny sposób rozbudzają w kraju niepewność co do metod zapewniania bezpieczeństwa RP w obliczu coraz większej niepewności co do dotychczasowych koordynat jej polityki. Widzimy, że USA przekierowują uwagę polityczną i wojskową na Indo-Pacyfik, a europejscy sojusznicy nie inwestują wystarczająco we własną obronność. Do tego dochodzi polaryzacja w Polsce, która zaczyna przekładać się również na obszar bezpieczeństwa. Wraz z rosnącą obecnością popularnych „geopolitycznych" narracji w polskim dyskursie publicznym skutkuje to podważaniem wyżej wymienionych filarów polskiej strategii bezpieczeństwa. Oczywiste pozostaje, że poszczególne elementy tej strategii same w sobie są niewystarczające, ale wszystkie razem wzięte są niezbędne.

Do tego jesteśmy konfrontowani z rosyjskimi działaniami dezinformacyjnymi wymierzonymi m.in. w Polskę i inne państwa wschodniej flanki NATO. Kroki te mają doprowadzić do dalszego pogłębienia podziałów politycznych i społecznych oraz ograniczenia zaufania elit do sojuszy i organizacji międzynarodowych, a także negatywnie oddziaływać na relacje z sojusznikami regionalnymi, europejskimi i z Waszyngtonem oraz na stosunek do Kijowa. I tak jak warto zauważać słabości Sojuszu Północnoatlantyckiego, niewystarczające inwestycje największych państw europejskich w obronność czy znaki zapytania dotyczące zaangażowania Stanów Zjednoczonych w bezpieczeństwo Europy, tak trzeba zarazem dostrzegać daleko idące pozytywne zmiany, które zaszły w ostatnich latach – zarówno w NATO, jak i wśród krajów członkowskich organizacji. USA – mimo spodziewanych redukcji amerykańskiej obecności wojskowej w Europie – również pozostaną niezwykle ważnym komponentem utrzymania dzisiejszego systemu bezpieczeństwa.

Formułując publiczne analizy, oceny i rekomendacje, eksperci w omawianym obszarze powinni więc brać pod uwagę i ten kontekst polityki bezpieczeństwa. Te – czytane też poza granicami kraju – materiały powinny być traktowane jako element komunikacji strategicznej wobec Rosji i sojuszników. Wszyscy uczestnicy dyskursu publicznego dotyczącego bezpieczeństwa i obronności

powinni zdawać sobie sprawę, że Kreml podejmuje decyzje na podstawie postrzeganej przezeń rzeczywistości (zapominając przy tym, że częściowo kształtuje ją własnymi dezinformacyjnymi działaniami), a niekoniecznie faktów. Krajowa debata wskazująca przede wszystkim na słabości własnych i sojuszniczych sił zbrojnych oraz euroatlantyckiego systemu bezpieczeństwa, a zarazem kwestionująca natowskie gwarancje w przypadku wojny będzie tylko zachęcać Moskwę do militarnych prób podważenia tych zobowiązań.

Zmagania z tarczą i mieczem. Służby specjalne jako wyzwanie analityczne

Piotr Żochowski

Mroczny świat służb specjalnych i jego tajemnice budzą emocje, a sensacyjne doniesienia o aktywności tych podmiotów przyciągają uwagę i rodzą pokusę snucia spekulacji, często graniczących z teoriami spiskowymi. Bez odpowiedzi pozostaje pytanie, czy ośrodek analityczny pracujący na otwartych źródłach może w sposób rzetelny zajmować się instytucjami, których cechą charakterystyczną jest utajnienie informacji o swojej strukturze, budżecie i kadrach, wykorzystującymi dezinformację jako skuteczną metodę maskowania własnej aktywności.

Osoba opisująca sektor bezpieczeństwa znajduje się w gorszej sytuacji niż analityk zajmujący się polityką wewnętrzną czy zagraniczną danego państwa, jego gospodarką lub nastrojami społecznymi. Tego pierwszego ograniczają skąpe źródła, których wiarygodności często nie da się zweryfikować. Delikatność zagadnienia powoduje, że trudno mu też pozyskać informacje w rozmowach prowadzonych podczas delegacji zagranicznych. Nawet w idealnej sytuacji, kiedy znajdujemy się w państwie przyjaznym (jak choćby Ukraina), toczenie dyskusji na ten temat jest sprawą bardzo wrażliwą, a zbytnie zainteresowanie sytuacją w służbach może przyciągnąć ich uwagę do pytającego.

Skoro napotykamy trudności warsztatowe, to czy warto podejmować wysiłek analityczny? To zależy od możliwości sformułowania pytania badawczego, które pozwoliłoby przyjąć szerszy punkt widzenia i umieścić służby w określonym systemie politycznym. Dobrze kierować się przy tym roboczą maksymą „Poznaj pozycję i rolę służb specjalnych, a dowiesz się, z jakim państwem masz

do czynienia". Ale może lepiej to pytanie zmodyfikować i zapytać: „Co system bezpieczeństwa wewnętrznego mówi o danym państwie?". Pozwoli to uniknąć zajmowania się sensacyjnymi doniesieniami o działalności służb i pomoże zrozumieć, jakie znaczenie ma polityka bezpieczeństwa dla sposobu zarządzania aparatem państwowym, gospodarką i społeczeństwem. Co ważne, odpowiadając na to pytanie, warto je rozszerzyć o kwestie kulturowe – przykładowo sprawdzić, czy służby tworzą swoją mitologię i czy są obecne w popkulturze.

Co za czort ci „siłowicy"?

Pod koniec lat 90. XX wieku w OSW podjęto decyzję, aby niewielki zespół analityków skoncentrował się na zmianach zachodzących w rosyjskim sektorze bezpieczeństwa. Rozpoczęto publikację periodyku „Rosyjskie Służby Specjalne", później zamienionego w biuletyn „Bezpieczeństwo i Obronność". Oba miały charakter wewnętrzny i były rozsyłane do instytucji państwowych. Łącznie ukazywały się od 1998 do 2016 r. Obecnie mogą stanowić przydatne źródło do badania tego okresu (dostępne są w bibliotece OSW). Ktoś może zadać pytanie: dlaczego wydawnictwa te nie ukazywały się publicznie? Na pewno ze względu na „branżowość" tematu, ale i styl pracy Ośrodka, będącego przede wszystkim zapleczem informacyjno-analitycznym administracji publicznej.

Skupienie uwagi na tzw. sektorze siłowym ograniczało się początkowo do Rosji. Wynikało to z ówczesnej sytuacji wewnętrznej w tym państwie i polityki prezydenta Borysa Jelcyna, który już w 1993 r. porzucił tamtejszy „sen o demokracji" i brutalnie rozprawił się ze zbuntowanym parlamentem. W 1995 r. utworzono Federalną Służbę Bezpieczeństwa (FSB), co zakończyło nieudane, często pozorne eksperymenty mające zreformować schedę po osławionym KGB. Po 1991 r. obecność „byłych" oficerów odnotowywano w wielu środowiskach politycznych, biznesie, bankowości czy firmach ochroniarskich. Pojawiły się wątpliwości, czy „rozpierzchnięcie się" kadr potwierdzało tezę o końcu „imperium KGB", które od czasów, gdy jego przewodniczącym został Jurij Andropow, podejmowało działania ukierunkowane na przejęcie kontroli nad zarządzaniem komunistycznym państwem. Czy przypadkiem nie mamy do czynienia z „powtórką z rozrywki" w nowej odsłonie? Czy owi „siłowicy" aspirują do roli elity politycznej?

Zróbmy tu mały przerywnik. W języku polskim rusycyzm „siłowicy" (niektórzy z niezrozumiałych względów błędnie używają określenia „siłownicy") zagościł już na stałe. Kim są ci ludzie? Czy do tej grupy należy zaliczyć wojskowych? W OSW przyjęliśmy definicję zawężającą, wykluczającą przedstawicieli sił zbrojnych, a włączającą do tego grona osoby służące w różnorakich służbach specjalnych, ale też w MSW. W rosyjskich realiach wyżsi oficerowie pełnią

marginalną funkcję w rządzeniu krajem, a ich pozycję osłabia fakt, że to kontrwywiad wojskowy FSB nadzoruje sytuację w armii.

Prowadzona mozolnie analiza rozproszonych danych dotyczących zmian w służbach specjalnych, w tym kadrowych, oraz obecności „siłowików" w instytucjach cywilnych, władzach lokalnych i biznesie pozwoliła w drugiej połowie lat 90. XX wieku postawić tezę o przejmowaniu sterów przez „ludzi w pagonach". Po dojściu do władzy Władimira Putina wszystko stało się jasne: ludzie z cienia zostali elitą państwową, a ideologia „czekistowska" wyrosła na fundament państwowości.

„Czekizm" – kolejny rusycyzm, który zakotwiczył się w tekstach opisujących Rosję – to zarazem słowo klucz pozwalające zrozumieć, jak tamtejsi rządzący widzą otaczającą ich rzeczywistość, stawiając na pierwszym miejscu konieczność zagwarantowania „bezpieczeństwa państwa" we wszystkich sferach życia politycznego, gospodarczego i społecznego. W optyce „czekistów" złotym środkiem zapewniającym stabilność władzy jest przejęcie totalnej kontroli nad krajem i tłumienie wszelkich przejawów samodzielnego myślenia czy inicjatywy mogących podważyć system autorytarny. „Czekizm" to również wizytówka przynależności do uprzywilejowanej grupy predystynowanej do rządzenia państwem i nadzorowania obywateli. W 2000 r. były szef FSB Nikołaj Patruszew, przemawiając do podległych mu oficerów, stwierdził, że są oni „współczesną nową szlachtą" i gwarantem stabilności. Niewątpliwie określenia te wpisują się w etos i swoiście rozumianą misję pracowników rosyjskich służb, przekonanych, że stanowią opokę państwa. A poniekąd również uznających, że państwo to oni.

Chcąc zrozumieć, jak istotny dla rozwoju sytuacji w Federacji Rosyjskiej (FR) jest „bezpieczniacki" sposób myślenia osób kierujących aparatem państwowym, analitycy zajmujący się dotychczas mapowaniem obecności i przejawów aktywności „siłowików" musieli zmienić podejście do tematu. Od początku tego wieku OSW skupił się na kompleksowym badaniu systemu bezpieczeństwa wewnętrznego tego kraju. Aby uświadomić sobie, jak obszerne jest to zagadnienie, wystarczy spojrzeć na liczbę instytucji o kompetencjach obejmujących zadania związane właśnie z zapewnieniem bezpieczeństwa państwa. Wymieńmy je: FSB, Służba Wywiadu Zagranicznego, Główny Zarząd Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych, czyli wywiad wojskowy, do 2004 r. znany pod do dziś używaną w publicystyce nazwą Główny Zarząd Wywiadowczy (GRU), Federalna Służba Ochrony (a w jej składzie Służba Łączności i Informacji Specjalnej oraz Służba Bezpieczeństwa Prezydenta) oraz tajemniczy Główny Zarząd Programów Specjalnych, podległy gospodarzowi Kremla.

Ale to nie koniec: trzeba było się też zająć Ministerstwem Spraw Wewnętrznych – uwzględnić jego rolę w represjonowaniu społeczeństwa za pomocą formacji zmilitaryzowanych, takich jak służba graniczna FSB, powstała

na bazie wojsk wewnętrznych MSW Gwardia Narodowa, zwana wewnętrzną armią Putina – nie zapominając o Ministerstwie ds. Sytuacji Nadzwyczajnych.

Jakby tego było mało, do aparatu bezpieczeństwa zaliczyliśmy także dyspozycyjną prokuraturę czy Komitet Śledczy FR, zajmujący się przestępstwami zagrażającymi bezpieczeństwu państwa. W międzyczasie doszło do zmian strukturalnych: w 2003 r. rozwiązano Federalną Agencję Łączności Rządowej i Informacji (FAPSI), a jej kompetencje przejęły inne służby, powołano Federalną Służbę Kontroli Narkotykowej (FSKN) oraz podporządkowano Federalną Służbę Graniczną FSB, natomiast w 2016 r. włączono FSKN i służbę migracyjną do MSW oraz stworzono Federalną Służbę Wojsk Gwardii Narodowej. Odrębną kwestię stanowiło monitorowanie struktur wspierających instytucje bezpieczeństwa – organizacji kozackich i rosnących jak grzyby po deszczu różnorakich firm ochroniarskich.

Przyglądając się konsolidacji i aktywności instytucjonalnej sektora siłowego FR, dosyć szybko dało się wskazać priorytety jej polityki bezpieczeństwa. Uczyniono nimi: przeciwdziałanie emancypacji regionów i separatyzmowi, walkę z terroryzmem i przestępczością narkotykową, doskonalenie metodologii analizy sytuacyjnej oraz powołanie nowych i doskonalenie istniejących centrów sytuacyjnych w regionach. Za nadrzędne zadania uznano neutralizację (czasami przybierającą formę eliminacji) opozycji politycznej oraz dyscyplinowanie przedstawicieli elit politycznych i gospodarczych przejawiających ciągoty do osiągnięcia większej autonomii. Pojawiły się nowe wyzwania związane z prognozowaniem zagrożeń ze strony rosyjskich służb dla NATO i UE – intensyfikacja działań wywiadowczych, wojny informacyjne, cyberbezpieczeństwo, wsparcie działań militarnych, sabotaż i dywersja, zabójstwa polityczne, wspieranie przestępczości zorganizowanej.

Z biegiem czasu OSW odchodził – głównie ze względu na brak wiarygodnych informacji – od szczegółowej obserwacji aktywności poszczególnych instytucji bezpieczeństwa na rzecz analizy kultury strategicznej FR. Zrozumienie myślenia „siłowików", w dużej mierze odwołującego się do tradycji Wszechrosyjskiej Komisji Nadzwyczajnej do Walki z Kontrrewolucją i Sabotażem (osławionej Czeki), GPU, NKWD i KGB, pozwoliło wykazać, że afirmacja służb specjalnych nie jest wyłącznie częścią państwowej propagandy, ale wpływa na sposób prowadzenia polityki bezpieczeństwa.

Sąsiedzi z Białorusi i Ukrainy

Opisując doświadczenia OSW związane z badaniem instytucji bezpieczeństwa naszych wschodnich sąsiadów, nie można pominąć, choćby zdawkowo, tematyki białoruskiej i ukraińskiej.

W przypadku Białorusi skoncentrowaliśmy się na poszukiwaniu odpowiedzi na pytania, czy tamtejszy sektor bezpieczeństwa stanowi kontynuację sowieckiego KGB oraz jak kształtują się kontakty i współpraca z Rosjanami. W odróżnieniu od Kijowa, gdzie w ustawie o Służbie Bezpieczeństwa Ukrainy (SBU) uwzględniono rozwiązania zachodnioeuropejskie, Mińsk nie podjął próby stworzenia własnej struktury instytucji odpowiedzialnej za bezpieczeństwo i nie zrezygnował ze schedy po Dzierżyńskim i Andropowie. Dominującą rolę w zapewnieniu stabilności reżimu odgrywa KGB. Długoletnie rządy Alaksandra Łukaszenki potwierdziły jego przywiązanie do sowieckiego wzorca. Utrzymano Wojska Wewnętrzne MSW, a wywiad zagraniczny – inaczej niż w Rosji – nie uzyskał autonomii, lecz pozostał elementem KGB. Jedyna istotna zmiana, wymuszona obiektywną koniecznością rozwoju zdolności cyfrowych, polegała na utworzeniu podległego Łukaszence Centrum Operacyjno-Analitycznego zajmującego się kontrolą internetu i operacjami hakerskimi.

Wskutek wsparcia rosyjskiej inwazji na Ukrainę Mińsk stał się ostatecznie częścią przestrzeni bezpieczeństwa militarnego FR, a białoruskie służby specjalne realizują zadania wspierające interesy Moskwy. Taki cel ma organizowanie przerzutu migrantów przez granice z Polską i państwami bałtyckimi z udziałem własnych pograniczników i KGB. Przedmiotami analizy pozostają ocena potencjału represyjnego i szykanowanie osób niechętnych reżimowi, za co w dużej mierze odpowiada MSW. Prześladowaniami politycznymi zajmuje się tam Zarząd Zwalczania Przestępczości Zorganizowanej. Miejscowe instytucje bezpieczeństwa w obecnym kształcie są fundamentem władzy i – co ważne – zintensyfikowały poczynania mające zdezintegrować białoruską emigrację polityczną.

Na Ukrainie obserwowana na przestrzeni ponad trzech dekad dynamika zmian politycznych stawiała wyzwanie innego rodzaju. Badanie sytuacji w sektorze bezpieczeństwa wewnętrznego pomagało w ustaleniu stanu reform zmierzających do zbliżenia tego państwa do europejskich wzorców zarządzania tą sferą. Kierowaliśmy się dewizą „Pokaż nam stan służb specjalnych, a określimy stopień postępu zmian demokratycznych". Wśród najważniejszych tematów znalazły się: ocena krajowej aktywności służb, kwestia wykorzystywania ich do porachunków politycznych oraz przyzwalanie na powstawanie schematów korupcyjnych.

Monitorowanie skali korupcji oraz opiniowanie skuteczności przeciwdziałania jej i walki z przestępczością gospodarczą od lat pozostaje zresztą odrębnym zagadnieniem. Warto podkreślić, że na Ukrainie nadal duży problem generują spory kompetencyjne pomiędzy Narodowym Biurem Antykorupcyjnym (NABU) a SBU, która pomimo deklarowanej reformy nie zamierza zrezygnować ze ścigania przestępstw gospodarczych. Inną bolączką wynikającą z tamtejszych realiów systemowych są przypadki „ręcznego sterowania" służbami przez

Biuro Prezydenta. Wciąż zdarza się też, że mają one powiązania ze światem przestępczym, co potwierdziło zwolnienie wiosną 2025 r. wysoko postawionego funkcjonariusza SBU odpowiedzialnego za zwalczanie finansowania terroryzmu.

Rosyjska agresja odsunęła częściowo ukraińskie problemy z czasów pokoju na drugi plan. Aktywność miejscowych służb specjalnych – nie tylko przeciwstawiających się wrogiej agenturze, lecz także skutecznie operujących na terytorium FR – zapewniła niepowtarzalne doświadczenie innym państwom poprzez wskazanie metod wykorzystania potencjału tych organów w trakcie wojny. Inwazja stanowiła zarazem stress test dla struktur bezpieczeństwa i ujawniła liczne przypadki wcześniejszej infiltracji choćby SBU przez Rosjan. W ukraińskich służbach zaniedbano bieżącą weryfikację kadr, w rezultacie czego wielu funkcjonariuszy było skłonnych podjąć bądź kontynuować współpracę z najeźdźcami, kierując się przede wszystkim motywacją finansową. W lutym 2025 r. pod zarzutem szpiegostwa na rzecz FSB zatrzymano Dmytra Koziurę, szefa Centrum Antyterrorystycznego SBU – od 2018 r. miał on przekazywać informacje z jej kwatery głównej. Pikanterii sprawie dodaje fakt, że do jego krewnych należy generał FSB. W maju 2024 r. aresztowano dwóch pułkowników Zarządu Ochrony Państwa, którzy na zlecenie rosyjskich służb mieli planować zamach na prezydenta Wołodymyra Zełenskiego.

Agresja silnie wpłynęła na zakres aktywności SBU. W jej składzie znalazły się wysoko wyspecjalizowane podmioty prowadzące działania stricte militarne. Służba organizuje precyzyjne uderzenia we wrogie cele strategiczne (np. ataki dronowe na most Krymski) oraz przenosi wojnę na terytorium przeciwnika, przygotowując ataki na jego wyższych wojskowych. W grudniu 2024 r. w jednym z nich zginął generał Igor Kiriłłow – szef Wojsk Ochrony Radiologicznej, Chemicznej i Biologicznej Sił Zbrojnych FR.

Wzrosła również aktywność i efektywność wywiadu wojskowego (HUR) – jego rozmach i potencjał szkodzenia Rosji robią wrażenie. W lipcu 2024 r. potwierdził on dostarczenie tuareskim rebeliantom informacji wywiadowczych i wsparcia wojskowego, które umożliwiły przeprowadzenie zasadzki na konwój wagnerowców i sił rządowych Mali. Doświadczenia służb ukraińskich w wojnie z agresorem niosą też pouczającą wiedzę, jak prowadzić działania ofensywne i kontrwywiadowcze.

Kłopoty metodologiczne

Wydany przez OSW w 2017 r. raport *Środki aktywne. Rosyjski towar eksportowy* to publikacja, która nie chce się zestarzeć. Opisane w nim podejście do prowadzenia agresywnej polityki wobec konkurentów przy udziale służb specjalnych pozostaje aktualne. Niemal każdy dzień przynosi nowe wiadomości

potwierdzające, że *modus operandi* stosowany przez Związek Sowiecki jest nadal „twórczo" rozwijany przez FR.

Rosyjskiego i białoruskiego systemu instytucji bezpieczeństwa nie można porównywać do analogicznych rozwiązań Zachodu. W Rosji brak precyzyjnego rozgraniczenia zakresów obowiązków służb sprawia, że nie da się korzystać z ich klasycznego podziału na wywiadowcze, kontrwywiadowcze i ochrony porządku prawnego. We wspomnianym powyżej tekście podjęliśmy próbę wskazania najważniejszych wyzwań stojących przed analitykami zajmującymi się tym sektorem. Wbrew pozorom służby FR nie są wyłącznie narzędziem bezpieczeństwa, lecz także integralną składową aparatu władzy. Dysponują szerokim spektrum pełnomocnictw, a każda z nich należy do instrumentarium Kremla. Ze względu na utajnienie trudno je dogłębnie poznać. Embargo informacyjne obejmuje ich strukturę organizacyjną, zasoby kadrowe (dla porównania na Ukrainie liczbę etatów w SBU wpisano w ustawę kompetencyjną) i fundusze (wydatki tych instytucji znajdziemy nie tylko w pozycji „Bezpieczeństwo i ochrona porządku prawnego" – znaczną ich część ukryto w innych rozdziałach budżetu, nawet takich jak kultura czy szkolnictwo). Mogą ponadto zdobywać środki spoza budżetu.

Oprócz funkcji właściwych dla organów bezpieczeństwa – informacyjnej, ochronnej, kontrolnej, prewencyjnej, represyjnej – rosyjskie służby odgrywają dodatkowo role „integracyjną" (spajają aparat administracyjny) i „moderacyjną" (kreują zjawiska i fakty pożądane z punktu widzenia rządzących). Niesie to konsekwencje zarówno dla sektora, jak i reżimu w FR. Funkcja integracyjna stawia instytucje bezpieczeństwa w pozycji autonomicznej wobec innych podmiotów władzy wykonawczej oraz nadrzędnej – względem administracji państwowej (regionalnej, terytorialnej).

Zarządzane bezpośrednio przez Kreml służby są uwikłane politycznie – wykonują zadania związane z nadzorowaniem przedstawicieli elit. Wśród cech putinizmu należy wymienić nieoficjalność relacji i nietransparentność procesu podejmowania decyzji. Nieformalny porządek prawny zapewnia ciągłość równie nieformalnym zobowiązaniom instytucjonalnym służb na styku polityki, tzw. biznesu siłowego i przestępczości zorganizowanej. Biznes ten cieszy się wsparciem państwa i tajnością. Prowadzi to do upowszechniania się wad ustroju politycznego i gospodarczego FR, w tym korupcji i nadużywania władzy. Z tego powodu opisując uprzywilejowaną pozycję tamtejszych służb specjalnych, trzeba pamiętać, że nie oznacza ona ich pełnej skuteczności. Brak efektywnej kontroli zwiększa pokusę korzystania z nadużyć i podejmowania nieprzepisowych działań, co potwierdzają skandale korupcyjne z udziałem organów bezpieczeństwa oraz skala ich nielegalnej przemocy, w tym dopuszczanie się zabójstw politycznych. Dodatkowo konstrukcja rosyjskiego sektora bezpieczeństwa generuje wewnętrzne konflikty o zakres oddziaływania

poszczególnych podmiotów, lecz są one zazwyczaj wyciszane, a informacje na ich temat nie trafiają do opinii publicznej. Moskwa uznaje, że nagłaśnianie i rozliczanie afer groziłoby narażeniem na szwank wizerunku państwa i jego instytucji bezpieczeństwa.

Nie wolno też zapominać, że popularna teza „służby rządzą Rosją" – choć atrakcyjna – jest z gruntu fałszywa. Współczesną Rosją od ponad dwóch dekad rządzą ludzie ukształtowani przez służby specjalne, którzy przynieśli stamtąd bagaż doświadczenia zawodowego, profesjonalne nawyki i spojrzenie na poczynania polityczne jako specyficzną operację specjalną.

Bez kontekstu ani rusz

Wszystko to sprawia, że opisanie roli służb specjalnych w kompleksie działań wspomagających politykę władz nie jest łatwym zadaniem. Wątek ten obejmuje również niedostępne w źródłach otwartych dane o aktywności wywiadu i kontrwywiadu ofensywnego, tj. tajnych operacjach ofensywnych, często mających charakter skomplikowanych i długofalowych kombinacji operacyjnych podporządkowanych realizacji celu politycznego. Uwzględniają one uczestnictwo oficerów służb operujących za granicą, użycie zasobów agenturalnych, prowadzenie działań inspiracyjnych (często pod obcą flagą), organizowanie kanałów finansowania inicjatyw z dziedziny wsparcia polityki zagranicznej FR, a w wielu przypadkach – użycie przemocy.

Osobnym zagadnieniem jest stosowanie technologii cybernetycznych do osłabiania infrastruktury krytycznej innych państw. Postępowanie tego typu należy wprawdzie zaliczyć do przedsięwzięć wsparcia, lecz ma ono właściwości punktowych ataków wpisujących się w scenariusze działań kinetycznych. Jednocześnie akcje w cyberprzestrzeni polegające na wykradaniu danych wrażliwych wykorzystuje się do osiągnięcia celu politycznego, przykładowo dyskredytacji polityka obcego kraju, czego oczekiwanym efektem może być chociażby destabilizacja tamtejszej sceny politycznej.

Dla analityków bazujących na otwartych źródłach informacji poważne wyzwanie niesie nawet wstępna identyfikacja obszarów zagrożonych aktywnością rosyjskich służb specjalnych. Refleksja na ten temat wymaga bowiem umieszczania obserwowanych sytuacji w kontekście strategicznych i taktycznych celów FR, a także wytypowania pól szczególnego zainteresowania operacyjnego organów bezpieczeństwa oraz potencjalnych instytucji i środowisk podatnych na oddziaływanie z ich strony. Nie obejdzie się więc bez stałego monitoringu i analizowania wydarzeń politycznych i gospodarczych oraz procesów społecznych, jak również wyciągania wniosków uzasadniających tezę o udziale w nich rosyjskich służb.

Trzeba pamiętać, że przez dziesięciolecia instytucje te rozwinęły sztukę prowadzenia działań osłonowych i maskujących. Utrudnia to często prawidłowe określenie zagrożenia, m.in. w wyniku tworzenia przez służby obrazu „fałszywego agenta", co przejawia się manifestowaniem jawności, podsuwaniem prostych rozwiązań poprzez uwypuklanie prorosyjskości osób czy organizacji (aktywność nieukrywanego „lobby prorosyjskiego", popularyzowanie teorii spiskowych, nadawanie szczególnej rangi wydarzeniom o marginalnym znaczeniu). Groźni nie są ludzie otwarcie prorosyjscy, ale ci, którzy umiejętnie budując swoją wiarygodność, przemycają narracje korzystne dla Kremla.

W takich przypadkach z pomocą może przyjść odwołanie się do historycznych doświadczeń rosyjskich służb, w tym z zakresu organizowanych przez nie przedsięwzięć wsparcia. Dlatego warto zapoznać się z popularną w FR literaturą „czekistowską", oficjalną wersją dziejów organów bezpieczeństwa czy wspomnieniami emerytowanych oficerów wywiadu i kontrwywiadu. Tu niezbędna okazuje się znajomość rosyjskiego – bez niej nie zrozumiemy paradygmatów obowiązujących w świecie tarczy i miecza.

Skrzynka z narzędziami

Analiza instytucji bezpieczeństwa danego państwa oznacza w istocie analizę jego polityki bezpieczeństwa. Wymaga ona podejścia interdyscyplinarnego oraz posiadania wiedzy o wydarzeniach politycznych, sytuacji w elitach, stanie gospodarki kraju czy głównych kierunkach polityki zagranicznej władz. Powszechnie wiadomo, że tam, gdzie widzimy oficjalne zaangażowanie dyplomatyczne czy biznesowe, trzeba też szukać przykładów aktywności służb specjalnych.

Podkreślmy: analityk tylko w niewielkim stopniu przypomina dziennikarza śledczego. Pracuje na powszechnie dostępnych źródłach otwartych, lecz musi je wcześniej wstępnie uporządkować i skategoryzować pod względem wiarygodności.

Podstawę procesu badania polityki bezpieczeństwa Rosji, Białorusi i Ukrainy stanowią następujące źródła:

- oficjalne dokumenty państwowe – doktryny bezpieczeństwa narodowego i wojskowe, ustawy kompetencyjne, regulaminy organów odpowiedzialnych za bezpieczeństwo państwa (np. służb specjalnych, resortów spraw wewnętrznych, policji, służb granicznych, urzędów migracyjnych, prokuratur i sądów powszechnych),
- międzynarodowe umowy o współpracy w dziedzinie bezpieczeństwa, szczególnie ważne przy opisie wspólnej białorusko-rosyjskiej przestrzeni

bezpieczeństwa (w tym kooperacji w sferze ochrony granic Państwa Związkowego) czy współpracy rosyjsko-chińskiej,

- informacje publikowane przez instytucje odpowiedzialne za politykę bezpieczeństwa (w Rosji, na Białorusi i Ukrainie najważniejszymi podmiotami wpływającymi na ten obszar są rady bezpieczeństwa kierowane przez przywódców poszczególnych państw),
- w miarę możliwości oficjalne dane dotyczące planowania i realizacji budżetu,
- dane publikowane przez państwowe urzędy statystyczne (na temat migracji, skali przestępczości itp.),
- w miarę możliwości badania opinii publicznej pozwalające opisać stosunek społeczeństwa do polityki władz w sferze bezpieczeństwa – poziom zaufania do instytucji, stan poczucia bezpieczeństwa własnego, ocena polityków i reprezentantów administracji państwowej w kontekście ich odpowiedzialności za bezpieczeństwo państwa); w dzisiejszych realiach problematykę tę poruszają jedynie ukraińskie sondażownie,
- oficjalne wypowiedzi urzędników wysokiego szczebla (przywódcy, premierzy, ministrowie, parlamentarzyści, szefowie organów bezpieczeństwa), których treść pozwala określić priorytety administracji w sferze bezpieczeństwa oraz opisać cele polityki państwa w tej dziedzinie i środki do nich prowadzące,
- materiały agencji prasowych i opiniotwórczych serwisów informacyjnych (w tym portali śledczych ujawniających pozyskane dane identyfikujące aktywność służb specjalnych, a nawet personalia oficerów – m.in. The Insider, iStories, Bellingcat), publikacje ekspertów zajmujących się omawianą problematyką,
- treści pojawiające się na wyselekcjonowanych kontach w sieciach społecznościowych, zamieszczających informacje o wydarzeniach związanych ze sferą bezpieczeństwa państwowego i społecznego; w przypadku Rosji i Białorusi ich podstawowym źródłem jest komunikator Telegram, a Ukrainy – również Facebook. Wartościowych informacji o instytucjach bezpieczeństwa Białorusi dostarczają także byli funkcjonariusze resortów siłowych działający w emigracyjnej organizacji BEPOL,
- ekspertyzy i raporty zagranicznych ośrodków analitycznych zajmujących się problematyką bezpieczeństwa, materiały z konferencji eksperckich,
- literatura fachowa opisująca historię polityki bezpieczeństwa danego państwa, pozwalająca na wskazanie kluczowych i trwałych tendencji w tym obszarze (wymaga to zapoznania się z ewolucją struktur służb od czasów ZSRR do współczesnych),
- dane pochodzące od służb specjalnych państw NATO i UE ujawniających przypadki aktywności obcych służb specjalnych na ich terytorium,

- analiza biograficzna umożliwiająca obserwację karier funkcjonariuszy, np. administracji cywilnej (na początku XXI wieku przydawała się do potwierdzania wzrostu liczby oficerów FSB we władzach obwodowych); szukanie „dziur" w życiorysach lub informacji wskazujących, że dana osoba ma powiązania ze służbami specjalnymi (*vide* kazus Igora Sieczina, który w latach 80. XX wieku był tłumaczem w Mozambiku),
- analiza przypadków pozwalająca poznać metody działania służb (np. otrucie Aleksandra Litwinienki, kierunki ataków hakerskich, posunięcia mające wpłynąć na zmianę sytuacji politycznej w danym państwie),
- propaganda kreowana przez służby (jak przedstawia się je w filmach sensacyjnych, książkach i mediach).

Ocenę rosyjskich i białoruskich źródeł bardzo utrudnia niemożność ich weryfikacji. Od początku pełnoskalowej agresji na Ukrainę oba kraje cenzurują informacje uznawane za wrażliwe, a podawane przez nie dane należy traktować jako szacunkowe i mało wiarygodne – trzeba podchodzić do nich z dużą ostrożnością. Poprawna ocena polityki informacyjnej Moskwy i Mińska wymaga doświadczenia analitycznego, aby uniknąć ryzyka wpadnięcia w pułapkę dezinformacji. Należy pamiętać, że formułowane przez kremlowską propagandę oskarżenia pod adresem zachodnich służb w związku z ich rzekomymi agresywnymi zamiarami często stanowią w istocie deklarację zamiarów służb rosyjskich.

W odniesieniu do Ukrainy, dostosowującej się do zachodnich standardów funkcjonowania administracji publicznej, problem ten praktycznie nie występuje. Nie oznacza to, że władze w Kijowie nie dbają o zachowanie tajemnicy, zwłaszcza w czasie wojny. Ograniczeniu rozpowszechniania podlegają informacje o liczebności organów bezpieczeństwa czy potencjale mobilizacyjnym. Wśród atutów Ukrainy należy wymienić wiarygodne ośrodki socjologiczne oraz aktywność niezależnych ekspertów i dziennikarzy śledczych ujawniających nieprawidłowości w instytucjach odpowiedzialnych za bezpieczeństwo i mówiących głośno o zagrożeniach mogących ograniczać odporność państwa – wykorzystywaniu służb specjalnych do celów politycznych, korupcji w administracji (w tym w instytucjach odpowiedzialnych za ochronę granicy) itp.

Czujność, czujność i jeszcze raz czujność

Czas dodać łyżkę dziegciu do tej analitycznej beczki miodu. Nie ma ludzi nieomylnych, a działanie w pośpiechu i chęć szybkiej odpowiedzi na stawiane pytania w zestawieniu z pobieżnym zapoznaniem się ze źródłami narażają nas na błędy. Spróbujmy przedstawić grzechy główne popełniane w opisie służb specjalnych.

Pierwszy to prezentowanie instytucji siłowych jako monolityczne i operujące w oparciu o jasno wyznaczone kompetencje. Jest to nieuzasadnione

uproszczenie. Podchodzenie do rosyjskich czy białoruskich organów bezpieczeństwa jak do zwykłych agencji wywiadowczych czy kontrwywiadowczych może prowadzić do ignorowania ich roli w polityce wewnętrznej, kontrolowaniu mediów czy nadzorowaniu działalności biznesowej.

Przez długie lata FSB uważano za służbę kontrwywiadowczą pełniącą przy tym funkcję policji politycznej. A wystarczyło wnikliwie śledzić zmiany wprowadzane do jej ustawy kompetencyjnej: w 2006 r. ni stąd, ni zowąd w opisie funkcjonowania FSB pojawiła się „działalność wywiadowcza". Oznacza to, że podmiot ten włączono w działania aktywne za granicą – nie tylko w państwach byłego ZSRR, lecz także tych należących do NATO i UE.

Podobnie jest z traktowaniem wywiadu wojskowego jako organu prowadzącego militarne operacje specjalne i ograniczającego się do pozyskiwania danych wywiadowczych o stanie sił zbrojnych potencjalnego przeciwnika. Kazus pracującego dla tej instytucji Pawła Rubcowa vel Pablo Gonzáleza ujawnił, że zadanie pseudodziennikarza polegało na tzw. targetowaniu osób, które mogły się stać podatne na rozpowszechnianie rosyjskiej narracji, ale zajmował się on też zbieraniem informacji o przedstawicielach rosyjskiej i białoruskiej opozycji. To drugie polecenie potwierdza, że podział kompetencji między miejscowymi służbami jest nieostry. W tym wypadku wywiad wojskowy infiltrował środowiska opozycyjne, a więc udzielał się poza sferą wojskową.

Badacz może również ulec nadmiernej demonizacji służb. W świecie wojny hybrydowej opisuje się je jako wszechmocne, bezbłędne organizacje o nieograniczonych możliwościach. Przed popełnieniem grzechu przeszacowania może ochronić nas krytyczne, często intuicyjne wyczulenie na fakt, że tego rodzaju przekazy stanowią element narracji samych organów bezpieczeństwa, które prowadzą wojnę psychologiczną mającą na celu zdezinformowanie i sparaliżowanie przeciwnika.

Inny błąd polega na pomijaniu kontekstu historycznego i politycznego służb. Opowiadanie o ich działalności bez uwzględnienia ich ewolucji oraz uczestnictwa w kreowaniu polityki wewnętrznej i zagranicznej (np. roli wysokich rangą oficerów w zarządzaniu państwem, kierowaniu przez szefa wywiadu zagranicznego polityką historyczną) spłyca opis specyfiki systemu politycznego.

Następna bolączka skutkująca zubożeniem obrazu aktywności organów bezpieczeństwa to marginalizowanie znaczenia współpracy międzynarodowej. Wystarczą lista porozumień dwustronnych o kooperacji w sferze bezpieczeństwa i zdawkowe doniesienia o spotkaniach szefów tych podmiotów, żeby zmapować sojuszników reżimu (przykładem niech będzie współdziałanie białoruskiego KGB ze służbami wietnamskimi, które zatrzymały i wydały Mińskowi żołnierza walczącego wcześniej na Ukrainie w białoruskim Pułku Kalinowskiego).

Tym, czego nie da się obejść, jest nieweryfikowalność źródeł. Wiele informacji o służbach pochodzi od „dobrze poinformowanych" lub stanowi obiekt spekulacji. Opieranie się na niesprawdzonych danych z mediów społecznościowych lub na pojedynczych relacjach to proszenie się o porażkę. Nie ma dobrej odpowiedzi na pytanie, czy da się uniknąć takiego postępowania – zwłaszcza kiedy przeciek powielają osoby cieszące się renomą rzetelnych ekspertów o dużym doświadczeniu.

Za przykład niech posłuży sytuacja z początków agresji na Ukrainę. W marcu 2022 r. sieci społecznościowe, a później media obiegła wiadomość o aresztowaniu szefa V Służby FSB Siergieja Biesiedy, któremu ponoć postawiono zarzuty dezinformowania Kremla co do rzeczywistej sytuacji społecznej i faktycznej skali nastrojów prorosyjskich na Ukrainie oraz defraudację funduszy operacyjnych. Co wydarzyło się naprawdę, nie wiemy do dzisiaj. Latem 2024 r. potwierdzono, że 70-letni Biesieda pełni funkcję doradcy dyrektora FSB, a w marcu 2025 r. uczestniczył w Rijadzie w amerykańsko-rosyjskich rozmowach poświęconych uregulowaniu konfliktu. Dlaczego ten przykład jest ważny? Doniesienie o niepotwierdzonym aresztowaniu posłużyło do formułowania pochopnych wniosków o utracie przez służbę zdolności operacyjnych i o potencjalnych radykalnych zmianach w jej kierownictwie. Nic takiego się nie stało.

Z dużą ostrożnością należy podchodzić do sensacyjnych sygnałów o rzekomym poważnym kryzysie w strukturach bezpieczeństwa, o permanentnej „wojnie służb". Taka ocena była uzasadniona w latach 90., lecz przenoszenie tego schematu myślenia w 2025 r. to zabieg wątpliwy i mylący. Pod koniec pierwszej dekady XXI wieku w przekazie medialnym i eksperckim panowała teza o osłabieniu rosyjskiego wywiadu wojskowego. Powstała ona wskutek powierzchownej analizy informacji o wdrożeniu reformy Sił Zbrojnych FR. W 2009 r. brygady specnazu GRU podporządkowano dowódcom okręgów wojskowych. Nie zmniejszyło to potencjału wywiadowczego służby, a wskazywało, że armia zaczyna przygotowywać się do ewentualnego konfliktu zbrojnego. Wojna na Ukrainie, aktywność wywiadu wojskowego odnotowywana i zwalczana w państwach europejskich oraz jego udział w ekspansji FR w Afryce świadczą o utrzymywaniu przez tę służbę silnej pozycji.

Nie wolno również zapominać, że kremlowski aparat bezpieczeństwa, prowadzący na niespotykaną dotąd skalę zmasowaną operację dezinformacyjną, chce nas ubezwłasnowolnić i zaszczepić w nas nieufność do otoczenia. W skrajnym przypadku prowadzi to do sytuacji, kiedy otwierając przysłowiową lodówkę, zastanawiamy się, czy nie czai się w niej agent. Przemycanie poglądu o wszechmocności rosyjskich czy innych służb otępia i zawęża ogląd zewnętrznego świata, a wtedy tylko krok dzieli nas od stwierdzenia, że osaczyła nas wroga

agentura. W erze wojen informacyjnych dystans i odporność psychiczna stały się niezbędnym „narzędziem" wspierającym analityka.

Stirlitz obnażony

Zakończmy optymistycznym akcentem. W 2018 r. „Rzeczpospolita" opublikowała mój tekst o nieudanej próbie otrucia Siergieja Skripala. Oto fragment:

> Rosyjskie służby specjalne tracą swój największy atut, jakim było skuteczne przekonywanie otaczającego świata o swym wysokim profesjonalizmie i nadzwyczajnej skuteczności. Portal Bellingcat wykonał gigantyczną pracę umożliwiającą zidentyfikowanie danych personalnych oficerów rosyjskiego wywiadu wojskowego. Ujawnił przy tym, że rosyjski system bezpieczeństwa nie posiada bajkowej czapki niewidki chroniącej go przed dobrze przygotowanym kontratakiem, a uchodzące dotąd służbom rosyjskim nonszalancja i pewność siebie zostały ukarane.
>
> Ośmieszenie rosyjskiej służby, uchodzącej od dziesięcioleci za najbardziej elitarną i najlepiej utajnioną, jest dla Kremla ciosem boleśniejszym niż fiasko konkretnej operacji. Oficerowie Głównego Zarządu Sztabu Generalnego zostali przedstawieni światu jako postacie żywo przypominające bohatera dowcipów o Stirlitzu, asie sowieckiego wywiadu, spopularyzowanym przez serial Siedemnaście mgnień wiosny. Do dzisiaj furorę robi anegdota, jak Stirlitz szedł ulicami Berlina, ale coś zdradzało jego tajną profesję: czapka uszanka, walonki, a może ciągnący się za nim spadochron.

Przytoczyłem ten wyimek, gdyż opisując aktywność obcych służb specjalnych i przytaczając przykłady ich wpadek, budujemy własną odporność i wzmacniamy podmioty państwowe odpowiedzialne za nasze bezpieczeństwo. Monitorowanie sytuacji wokół instytucji bezpieczeństwa to także istotny element szerszej analizy polityki wewnętrznej w danym kraju – poszerza opis sytuacji w elitach, sygnalizuje ewentualne konflikty na szczytach władzy.

Dawno minął już czas, kiedy stawiano pytanie, czy mamy się bać wrogich służb. Na strach nie ma miejsca, przyszła pora na działania. W ostatnich latach świadomość istnienia stałego zagrożenia ze strony rosyjskich czy białoruskich organów tego typu przestała wzbudzać jedynie mrożącą krew w żyłach sensację. Polityka bezpieczeństwa państw wschodniej i północnej flanki NATO pokazuje, jak w relatywnie niedługim okresie da się skutecznie ograniczyć szkodliwość przedsięwzięć podejmowanych przez rosyjskie służby.

Niezależnie od rozwoju sytuacji politycznej w Europie zagrożenie ze strony Moskwy będzie trwale i silnie wpływało na kształtowanie odporności

społeczeństw. Poświęcanie uwagi instytucjom bezpieczeństwa w Rosji i na Białorusi pozostanie ważnym czynnikiem umożliwiającym ocenę agresywności danego państwa, jak również stanu posiadanego przez nie potencjału szkodzenia. Pozwoli to efektywniej przeciwdziałać ich posunięciom.

Sztukowanie brakujących puzzli, czyli jak badać wojnę

Andrzej Wilk

Pierwszą ofiarą wojny jest prawda.
Gubernator Kalifornii Hiram Johnson w trakcie dyskusji w Senacie USA o wydatkach na wojnę i stratach ponoszonych przez walczącą we Francji armię amerykańską, 1918

Rosja ma tylko dwóch sojuszników – armię i flotę.
Car Aleksander III

Na pierwszy rzut oka sprawa wydaje się prosta: wystarczy policzyć żołnierzy, czołgi i rakiety plus resztę żelastwa w obu potencjalnie wrogich lub walczących ze sobą armiach i można stwierdzić, że armia A jest słabsza od B lub armia C niechybnie pokona D. Takie podejście pomija jednak szereg kluczowych czynników: wyszkolenie, motywację, morale, dowodzenie i sztukę wojenną, organizację i zgranie pododdziałów, innowacyjność, zaawansowanie technologiczne i kulturę techniczną, transport i łączność, zapasy amunicji, materiałów pędnych i smarów itd. A jeśli na dodatek licząc żołnierzy i ich wyposażenie, będziemy mieli do wyboru całą gamę niekoniecznie zbieżnych ze sobą liczb z różnych zakątków „galaktyki" informacyjnej?

Gdyby zaś wojna trwała dłużej – jak ma to miejsce w przypadku trwającej agresji Rosji na Ukrainę – to co ze zdolnościami państwa do jej prowadzenia? Jak wyglądają jego możliwości gospodarcze i finansowe, nastawienie ludności i potencjał mobilizacyjny? Jakim przemysłem zbrojeniowym dysponuje? Co może otrzymać od sojuszników? – o ile odpowiedni przemysł i sojuszników w ogóle posiada. Co w przypadku, gdy badana armia stanowi zbrojne przedłużenie polityki kraju różniącego się od nas cywilizacyjnie? A co jeśli na dodatek spora część naszego społeczeństwa uważałaby, że doskonale zna się na tej armii, z uporem godnym lepszej sprawy prezentując o niej sprzeczne ze sobą opinie?

Siły Zbrojne Federacji Rosyjskiej (FR) – bo głównie o nich będzie mowa w tym tekście – tkwiąc w rozdarciu pomiędzy byciem drugą najsilniejszą armią świata a kolosem na glinianych nogach, zadania ekspertowi nie ułatwiają.

Sprawa przestaje być prosta i aby przeprowadzić szczegółową analizę, potrzeba sztabu – dosłownie i w przenośni. Ale nawet on nie zawsze uchroni się od błędów w ocenach. Zajmowanie się wojskowością i wojnami na obszarze posowieckim przypomina bowiem spacer po polu minowym.

Granica cywilizacyjna i co z niej wynika

Przystępując do badania owego obszaru z perspektywy polskiej czy – szerzej – zachodniej, stosunkowo szybko zauważymy różnice w postrzeganiu i rozumieniu rzeczywistości pomiędzy nami a społeczeństwami tam mieszkającymi. Dotyczy to nie tylko sfery wojskowej, lecz także całokształtu zdarzeń zachodzących w szeroko pojętym „rosyjskim świecie" (*russkim mirze*). Koncepcja ta kojarzy się najczęściej z doktryną państwa rządzonego przez Władimira Putina, budowanego w oparciu o specyficznie rozumianą ideę Rosji. Rozpatrywana jest ona w kontekstach kulturowo-cywilizacyjnym, rywalizacji międzynarodowej i religijnym, przy czym każdy z nich przynosi swoiste zawężenie tematu, więc najlepsze rozwiązanie to przyjęcie możliwie całościowego podejścia. W „ruskim świecie" da się pomieścić dosłownie wszystko, co wiąże się ze znaną nam Rosją i rosyjskością. W istocie trudno nie odnieść wrażenia, że to odrębna cywilizacja – co zresztą znajduje potwierdzenie w coraz częściej powtarzanych tam słowach o „cywilizacji rosyjskiej".

W porządku omawianego państwa cała aktywność polityczna ma de facto charakter wojskowy czy też – patrząc z szerszej perspektywy – organizowana jest przez konflikt (z wrogami wewnętrznymi i/lub zewnętrznymi, zależnie od potrzeby). Wojsko to najwyższy stopień zorganizowania społeczeństwa, a wojna – najważniejszy przejaw jego aktywności. Współczesna Rosja stanowi kontynuację Wielkiego Księstwa Moskiewskiego w jego postaci ukształtowanej po podboju mongolskim i wchłonięciu przez nie ziem i ludów Wielkiego Stepu. Istnieje jednak coś, co mimo tego dziedzictwa odróżnia jej mieszkańców od Azjatów: Imperium Rosyjskie budowały po części elity europejskie, głównie niemieckie, które szybko upajały się naturą i zakresem władzy, jaką oferowała im absolutystyczna Rosja. Dzięki nim państwo rządzone z Petersburga uzyskało formę, która zewnętrznie przypominała europejską, ale pozostało azjatyckie w treści. Trudno czasem nie mieć wrażenia, że Rosja to mongolska horda z pruskim szlifem.

Tę odmienność oddaje wspomnienie z Sewastopola z 9 maja 2010 r. Jak zgodnie stwierdzają rozmówcy, rocznica Dnia Zwycięstwa to największe święto w tym położonym na ukraińskim Krymie mieście sławy rosyjskiego oręża. Ale dla obserwatora z Polski słowo „defilada" przestaje być najwłaściwszym określeniem głównego oficjalnego wydarzenia tego dnia. Owszem, pododdziały

reprezentujące różne formacje i jednostki rosyjskiej Floty Czarnomorskiej kroczą dziarsko, a za nimi lud Sewastopola idzie niemal jak w procesji. Szczególnie wzruszają starsze panie z ikonami Stalina (z aureolą, a jakże), przy których już niemal nie dziwią obrazy świeżo wyniesionego na ołtarze Kościoła prawosławnego admirała Fiodora Uszakowa. Ów obserwator z Polski myśli: „Bożego Ciała nie mają, trzeba je czymś zastąpić". Gdzieś w tym radosnym, mniej lub bardziej zdyscyplinowanym przemarszu ruskiego miru niewielka delegacja państwa-gospodarza – pododdział ukraińskiej 36 Brygady Piechoty Morskiej. Wprawne oko wyłapie.

Specjalnie na defiladę przyjechała grupa młodych ludzi z (także ukraińskiego) Doniecka – górnicy. Świętują od rana, a im bardziej świętują, tym bardziej są z „ich" rosyjskiej floty dumni. Krążownik rakietowy „Moskwa" – zatopiony 12 lat później przez Ukraińców – wzbudza nie mniejszy entuzjazm niż bramka decydująca o zwycięstwie Szachtara. A młodzi ludzie? Cóż, w 2014 r. ogromna większość z nich nie stanęła w obronie ukraińskiego Donbasu. Po defiladzie – czy procesji – świętuje całe miasto. Rodzinne i koleżeńskie pikniki organizowane są w plenerze. Ogólna radość trwa do wieczora. O zmierzchu z utrzymaniem pionu najlepiej radzą sobie dzieci, które wcześniej nie usnęły ze zmęczenia.

Mieszkańcy Sewastopola i górnicy z Doniecka są otwarci i serdeczni do momentu, gdy gość z Polski pozostaje w poetyce doskonale pamiętanego jeszcze wówczas na obszarze posowieckim serialu *Czterej pancerni i pies*. Kiedy zaś próbuje poruszać jakieś trudne tematy – z historii Rosji i ZSRR oraz wzajemnych relacji z Polską i, szerzej, Zachodem – to mu się bardziej lub mniej dyskretnie i grzecznie sugeruje, by tego nie robił. Trudne tematy nie istnieją, a jeśli były czy są, to nie ma sensu ich rozpamiętywać. „Komu to służy? Tylko naszym wspólnym wrogom!". Pozostaje być zachwyconym krążownikiem rakietowym „Moskwa". No, może jeszcze okrętem podwodnym „Ałrosa", zwłaszcza w zestawieniu z tym złomem „Zaporoże", co to go Ukraińcy trzymają w „rosyjskim" doku i naprawić nie potrafią.

Były i są na terenach ruskiego miru jednostki, z którymi człowiekowi z Zachodu rozmawia się dobrze i swobodnie, o czym kilka słów dalej. Problemu nie generuje to, że mają inne poglądy i uważają je za jedynie słuszne, lecz ich powiązanie ze specyficznym systemem wartości. Przeciętni Rosjanie najczęściej godzą się z rolą przedmiotów polityki państwa, swoistych trybików w militarystyczno-mocarstwowej machinie, w której życie współobywateli (ale już niekoniecznie ich własne) ma znaczenie mniejsze niż inne narzędzia znajdujące się w dyspozycji imperium.

Najlepiej opisać to za pomocą kolejnego wspomnienia. Sierpień 2000 r., po katastrofie atomowego okrętu podwodnego „Kursk". Górnik (znów górnik, ale podejście jest typowe nie tylko dla tego zawodu) z Workuty: „No tak, ponad

setka chłopaków zginęła [to przykre – AW], ale TAKI OKRĘT żeśmy stracili! [to prawdziwa tragedia – AW]". „Cywilizacja rosyjska" czy – jak kto woli – ruski mir myśli inaczej, a przez to często podejmuje działania co najmniej trudne do zrozumienia z naszej perspektywy.

W bagnie źródeł

Komentarz górnika o katastrofie „Kurska" potwierdza rangę, jaką zwłaszcza w Rosji cieszą się wiadomości dotyczące sfery militarnej. Ich ilość na niemal całym obszarze posowieckim jest ogromna. Likwidacja ZSRR i ogłoszona przez jego ostatniego przywódcę Michaiła Gorbaczowa głasnost (ros. *гласность* – jawność, otwartość) skutkowały m.in. lawiną ukazujących się publicznie materiałów o byłej armii sowieckiej – wcześniej objętych ściśle strzeżoną tajemnicą – a następnie o formacjach militarnych powstałych na jej gruzach. Wraz z krzepnięciem putinowskiej Rosji ich charakter ulegał stopniowej zmianie, a informacja w coraz większym stopniu stawała się dezinformacją.

Drogą tą podążyła również łukaszenkowska Białoruś. Do lutego 2022 r. swoista głasnost w kwestiach związanych z wojskowością utrzymywała się natomiast na Ukrainie, a i pełnoskalowa wojna nie zdołała jej w pełni zlikwidować. Postęp dezinformacji nie ograniczył jednak ilości słowa drukowanego i materiałów audiowizualnych, przez które trzeba przebrnąć, badając militarne aspekty funkcjonowania byłych republik sowieckich. Systematycznie poszerza ona zaś swoją przestrzeń życiową w internecie, jednak nie zawsze kosztem tradycyjnych nośników. Jeden człowiek nie da rady wszystkiego obejrzeć, przeczytać i wysłuchać. Przed badaczem trudna sztuka wyboru.

Jak zatem ma się sprawa z rosyjskimi źródłami wiedzy mogącej posłużyć do analizowania sektora wojskowego? Czy wszystko, co się w nich pojawia, to nieprawda? Odpowiedź na drugie pytanie jest przecząca. Co więcej, w warstwie stricte informacyjnej Rosjanie prawie zawsze opierają się na faktach. Dezinformują natomiast poprzez odpowiednio dobrane interpretacje i przyjętą narrację. Jeśli w tamtejszych źródłach pojawiają się wieści o wynaturzeniach w jednostce wojskowej numer taki i taki, ewentualnie o wykrwawieniu się batalionu w walkach o stację honorowego krwiodawstwa w „Krwiopijsku", to najprawdopodobniej takie sytuacje miały miejsce i prędzej lub później się potwierdzą. Zarazem jeśli w tamtejszych źródłach pojawiają się wieści o pomyślnym zakończeniu prób z nową rakietą balistyczną i skierowaniu jej do produkcji, ewentualnie o zajęciu kolejnej wsi w Donbasie, najprawdopodobniej takie sytuacje także miały miejsce i prędzej lub później się potwierdzą. Ogólnie rzecz biorąc, warto być cierpliwym. Natomiast budowany na podstawie takowych (najczęściej kilku pokrewnych) informacji całościowy obraz Sił Zbrojnych FR czy jakiejkolwiek

wojny z ich udziałem, co wciąż serwują nam Rosjanie, a od 2022 r. także – przeważnie ku pokrzepieniu serc – Ukraińcy, będzie fałszywy.

Jeśli mamy się posługiwać pojęciami z zakresu sztuki wojennej, to na poziomie taktycznym, najniższym, dotyczącym szczegółów, a nie całościowej oceny jakiejś sytuacji, Rosjanie zwykle nie kłamią. Trzeba jednak pamiętać, że ta „prawdomówność" odnosi się wyłącznie do zdarzeń, szczególnie takich, które trudno ukryć lub – zwykle – nie ma potrzeby tego robić. Nie obejmuje ona natomiast sfery deklaracji i opinii, w tamtejszym przekazie z reguły wymieszanej z faktami. Sztandarowy przykład to określanie nowo wprowadzanych do służby typów uzbrojenia mianem „niemający odpowiedników w świecie" (ros. *не имеющий аналогов в мире*). Wbrew zdaniu niektórych zachodnich analityków zwrot ten nie odnosi się do danych taktyczno-technicznych (które z reguły pozostają niejawne), ale stanowi formę promocji skierowaną na ogół do własnego społeczeństwa.

Dezinformacja pojawia się na szczeblu operacyjnym – gdzie z odpowiednio dobranych prawdziwych wydarzeń tworzy się fałszywy obraz całości – a dominuje na poziomie strategicznym (najwyższym, z innej perspektywy można o nim rzec – politycznym), na którym FR stara się wmówić światu, że jest ofiarą agresji Ukrainy i/lub Zachodu. Na tym ostatnim istnieje jeden wyjątek, w którym rosyjski przekaz zgadza się z rzeczywistością: jeśli Moskwa konsekwentnie powtarza, że coś niesie żywotne zagrożenie dla jej specyficznie rozumianego interesu narodowego, i wręcz wprost grozi interwencją zbrojną, to w sprzyjających jej okolicznościach się na to zdecyduje. Rozumowanie to dotyczy jednak tylko potencjalnego konfliktu konwencjonalnego, czym innym zaś jest w jej retoryce straszak atomowy. Kreml zdaje się mieć świadomość, że użycie broni jądrowej to ostateczność, a w wojnie nuklearnej – przynajmniej na obecnym poziomie rozwoju technologicznego – nie będzie zwycięzców. Zdaje się także przekonany, że analogicznie rozumują pozostałe mocarstwa atomowe. Dzięki temu może mniej lub bardziej oficjalnie straszyć tych, którzy jej nie mają, lecz na straszeniu poprzestaje. Owszem, trudno wykluczyć użycie przez Rosję broni jądrowej, gdyby wrogie armie maszerowały na jej stolicę. Jeszcze trudniej jednak wyobrazić sobie sytuację, w której to nie ona jest agresorem. Warto o tym pamiętać w kontekście oceny potencjalnych przyszłych działań militarnych FR.

Skoro Rosjanie na poziomie taktycznym zasadniczo posługują się faktami, to w czym problem? Otóż w tym, że nigdy nie przedstawiają ich w sposób kompleksowy – w opisie wydarzeń zawsze pomijają istotne elementy. Czytając wywiad z dowódcą brygady zmechanizowanej z Centralnego Okręgu Wojskowego, poza standardową, „ogólnowojskową" laurką dla jednostki poznamy otczestwo (imię ojca) jej szefa, ale często zabraknie informacji o miejscu jej dyslokacji – o numerze, strukturze i liczebności nie wspominając. Nie poznamy

liczby dostarczonych czołgów lub samolotów (inna sprawa z okrętami – pod czujnym okiem satelitów trudno je ukryć), a przede wszystkim nie dowiemy się nic o problemach. Co więcej, wszystkie dane zostaną potraktowane niezwykle wybiórczo. Przeczytamy wywiad z przykładowym dowódcą z Jurgi, a kilkunastu jego odpowiedników nigdy nie poznamy, chyba że któryś malowniczo polegnie i dostanie pogrzeb z honorami. Doniesienia o przekazanym uzbrojeniu pojawią się tylko wtedy, gdy dostawy będą zbyt duże, by je ukryć lub – odwrotnie – gdy Moskwa uzna za stosowne je nagłośnić. Dodatkowo wyłowienie ziarenka przydatnej wiedzy wymaga czasami przebrnięcia przez wiele akapitów lub nawet stron tekstowego bagna.

Z przeciwnej strony rosyjskiej infosfery – tej uchodzącej za mniej lub bardziej niezależną od Kremla – funkcjonują źródła prezentujące sprawy niekorzystne dla armii i floty bądź wręcz je dyskredytujące. Tu również nie znajdziemy kompletu informacji. Często owe źródła są jak odbicie oficjalnego przekazu w krzywym zwierciadle, przy czym zbędna zawartość – wspomniane tekstowe bagno – dominuje w prawie każdym zakątku przestrzeni informacyjnej FR. Bywa jednak, że publikowane treści – nadzwyczaj klarowne – mają charakter swoistego wentylu bezpieczeństwa, zwłaszcza gdy dotykają zagadnień rozgrywających się na styku przeciętnego Rosjanina i machiny wojskowej państwa (*vide* m.in. zbierający dane o poległych w wojnie na Ukrainie portal Mediazona).

Przeciętny obywatel FR nie czytuje natomiast gazet pokroju „Kommiersanta" czy „The Moscow Times", skąd o bolączkach krajowej wojskowości dowiaduje się przedstawiciel tamtejszych elit i – nierzadko – zachodni analityk. Podobnie jak poprzednie kategorie źródeł prasa ta też podchodzi do tematu wybiórczo. Jeśli zaś pojawiają – czy raczej pojawiały – się w niej materiały kompleksowe, jak wydawane przez „Kommiersant" raporty *Cała armia rosyjska*, to zawierały one sporą dawkę dezinformacji. Było to wszak informacyjne wejście z poziomu taktycznego na operacyjny.

Opisując całokształt swojej wojskowości czy odnosząc się do sytuacji ekstraordynaryjnych (roboczo zaliczmy do nich wojnę), Rosjanie tworzą wiele interpretacji i alternatywnych wersji rzeczywistości (naprawdę trudno wymyślić coś ponadto). Manipulując realiami, popełniają jednak błędy, dzięki którym także da się pozyskać ciekawe, a niekiedy decydujące dla odtworzenia przebiegu wydarzeń fakty.

Wróćmy do katastrofy „Kurska" z sierpnia 2000 r. Niedzielne wieczorne wydanie głównego programu informacyjnego na Pierwom Kanale – najważniejszej stacji telewizyjnej w kraju. Prezenter podaje, że norwescy nurkowie zeszli do wraku i w rufowej śluzie odnaleźli zwęglone zwłoki marynarzy (przypomnijmy: Rosjanie podobno nie byli w stanie tam zejść, czym tłumaczyli brak akcji ratunkowej). Traf chciał, że w rzeczywistości pogoda pokrzyżowała pierwotne plany

ekipy i trafiła ona na okręt dopiero w poniedziałek – tylko nikt nie powiadomił o tym telewizji, która miała już gotowy materiał. Baczni obserwatorzy uzyskali dzięki temu potwierdzenie, że wbrew przekazowi Moskwy Rosjanie znaleźli się we wraku wcześniej, ale nie w celu ratowania załogi. Układankę uzupełniły lokalne media z Dagestanu, wystawiając nekrologi specjalistom z tamtejszych zakładów, którzy na pokładzie „Kurska" nadzorowali niefortunny test nowej rakietotorpedy. Prawdziwa wersja wydarzeń wprawdzie znalazła się wśród kilkunastu innych lansowanych tuż po katastrofie przez rosyjskie media, ale była na tyle prozaiczna, że początkowo mało kto się nią zainteresował.

Czy zbierając wszystkie te rozrzucone po różnych mediach odpryski wiedzy, uda się złożyć całościowy obraz Sił Zbrojnych FR (o ich aktywności nawet nie wspominając)? W dużej mierze tak, lecz pod warunkiem że badacz ma czas i determinację, by sięgnąć dwie lub trzy dekady wstecz. W okresie względnej otwartości mediów w latach 90. XX wieku w Rosji pojawiły się bowiem liczne materiały, które wciąż – mimo upływu lat – mogą służyć jako swego rodzaju szkielet, do którego daje się dopasować nawet najnowsze strzępy danych. Istotną rolę odgrywają tu dokumenty wymiany informacji w ramach traktatu o konwencjonalnych siłach zbrojnych w Europie (CFE), wydane chałupniczo w niewielkim nakładzie i oczywiście na przekór przyjętym przez Kreml zobowiązaniom – dziś białe kruki.

W badaniu rosyjskiej wojskowości nadal znajduje zastosowanie „zabytkowa" obecnie metoda zbierania informacji, czyli kontakt ze słowem drukowanym. W papierowych wydaniach gazet i periodyków poruszających problematykę militarną często można wyczytać więcej niż w wersjach elektronicznych. Chodzi o drobiazgi, acz z perspektywy analityka stanowiące ważne puzzle – jak doniesienia w „kronice towarzyskiej" miesięcznika „Morskoj sbornik" wskazujące na sformowanie z marynarzy Floty Bałtyckiej na potrzeby agresji na Ukrainę 9 Pułku Zmechanizowanego. Wydania papierowe, mimo wojny wciąż przez OSW prenumerowane i docierające do Polski okrężnymi drogami, mają też inną przewagę nad internetowymi – ich zawartość nie ulega zmianie, co w wędrówce labiryntem rosyjskiej dezinformacji odgrywa rolę niebagatelną. Zapoczątkowana aneksją Krymu inwazja nie tylko ostatecznie przechyliła szalę na korzyść sieci, lecz także wysunęła na plan pierwszy wieści pojawiające się w serwisach społecznościowych. Przewodzi im Telegram – wytwór rosyjski, ale z powodzeniem wykorzystywany w działaniach informacyjnych przez obie strony konfliktu, ze strukturami Sił Zbrojnych Ukrainy włącznie. Konsekwencją upowszechnienia elektronicznych źródeł informacji, a zwłaszcza dominacji przekazu telegramowo-iksowego (dawniej twitterowego), jest niestety nadprodukcja doniesień niemających pokrycia w rzeczywistości (należy podkreślić, że za ich puszczeniem w obieg nie zawsze stoi czyjaś zła wola), co w ogromnej

większości wyjaśnia się po kilku, najdalej kilkudziesięciu godzinach. Jeśli tylko sytuacja na to pozwala, warto być cierpliwym.

Czy w obliczu problemów z ogromem ukazujących się w Rosji doniesień wiedzy o rosyjskiej wojskowości nie warto poszukać gdzieś indziej? Wszak przy okazji konfliktu zbrojnego na Ukrainie sążniste raporty na temat potencjału militarnego FR wydają Amerykanie, Brytyjczycy, Francuzi, o Ukraińcach nie wspominając. Jeśli chcemy badać, a nie wpisywać się w powszechną w przekazie medialnym narrację, w warunkach wojennych ściśle podporządkowaną bieżącej polityce Kijowa i jego partnerów, odpowiedź jest przecząca. Ukraina i państwa NATO, w tym Polska, dysponują źródłami wywiadowczymi, lecz informacji faktycznie z nich pochodzących nie ujawniają. Ukraiński wywiad zdaje się z tego schematu wyłamywać, ale musimy pamiętać, że prowadzenie wojny informacyjnej należy do jego głównych zadań. W tym przypadku trzeba stawiać podobne pytania jak w odniesieniu do źródeł rosyjskich, bo wojna całkiem profesjonalnie dezinformować nauczyła również obrońców. Trafiające do publicznego obiegu wieści o wojskowości agresora – i korzystne, i niekorzystne – prawie zawsze pochodzą z Rosji. I wszyscy z nich korzystają, z Ukraińcami włącznie. Pozyskane w trakcie własnych badań dane dobrze przy tym skonfrontować z pracą innych, gdyż zawsze można przeoczyć coś istotnego.

Warto rozmawiać, nie licząc na wiele

Specyficzną składową aktywności eksperta od wojskowości są bezpośrednie kontakty z zajmującymi się zagadnieniami z tego zakresu przedstawicielami obszaru zainteresowania, innymi słowy – osobowymi źródłami informacji. Podobnie jak w lotnictwie wojskowym najłatwiej identyfikować ich w systemie swój–obcy. Z dużą dozą prawdopodobieństwa wolno przyjąć, że swój – przykładowo Gruzin lub Ukrainiec – uczciwie podzieli się posiadanym zasobem wiadomości, zaś jeśli wyprowadzi analityka znad Wisły na manowce, to zwykle wskutek nie złej woli, lecz ograniczeń narzuconych przez sytuację, braku orientacji zderzonego z potrzebą zademonstrowania, że wie się więcej od przybysza z dalekiej Europy etc. Kontaktujący się z Polakami ukraiński żołnierz najczęściej nie będzie opowiadał o niepowodzeniach (choć o deficytach w wyposażeniu już tak) oraz skupi się na własnym odcinku odpowiedzialności (frontu) jako jedynym mu znanym.

Budując na podstawie takich przekazów pełny obraz rzeczywistości, należy pamiętać, że to tylko jeden z jego komponentów. Na innym odcinku frontu i w innej jednostce sytuacja potrafi bowiem wyglądać zupełnie inaczej, a każdy z ukraińskich żołnierzy opowie swoją bieżącą, lokalną prawdę. Z Rosjanami nie będzie tak prosto – tym bardziej że badacza wojskowego z Polski z założenia

traktują oni jak szpiega, co piszącemu te słowa od 2011 r. uniemożliwia swobodne podróże do i po FR.

Wspomnienie z Moskwy – grudzień 2001 r. Jak przystało na kraj armią i flotą stojący, ekspertów militarnych zatrzęsienie. Chętni do rozmowy, otwarci, elokwentni, uśmiechnięci, można by rzec – europejscy. W przyjemnej formie rozprawiają na tematy poruszane przez prasę uchodzącą za niezależną od linii Kremla (*vide* przykładowo „Nowaja gazieta") czy portale internetowe. Czasem zaserwują wiedzę „tajemną" – wrzucą szczegół z „Tiechniki i wooruženija" albo innego fachowego periodyku z resortowymi włącznie. W końcu kto o zdrowych zmysłach czyta w Polsce wydawnictwa Ministerstwa Obrony FR? W tym zatrzęsieniu trafia się człowiek, który jeszcze na etapie kontaktów pomiędzy Moskwą a Warszawą bardzo się cieszy na spotkanie, ale gdy w końcu ma się ono odbyć, kluczy: przez trzy dni zmienia daty i miejsca rozmowy. Kiedy wreszcie do niej dochodzi, nie odzywa się za dużo. Mówi natomiast o rzeczach trudnych do znalezienia w mediach, a i przekaz ma inny niż jego błyskotliwi koledzy. Można odnieść wrażenie, że się boi. Po kilku miesiącach przekazane przez niego informacje zaczynają się potwierdzać. Przypadek, który więcej się nie powtórzy.

Elita moskiewskich ekspertów od wojskowości opowiadała zaś o tym, o czym jej zdaniem gość – nie tylko znad Wisły – chciałby usłyszeć. Do sierpnia 2008 r. powtarzała, że rosyjska armia jest w stanie katastrofalnym. Kolokwialnie mówiąc, ludzie ci wieszali psy na sztabie generalnym, ministrze obrony, a nawet prezydencie. Swobodnie wyjeżdżali na Zachód, gdzie wszystko powtarzali po raz kolejny, wracali do siebie i znów wyjeżdżali. Coś tu nie pasuje – akurat w tak newralgicznej dziedzinie panuje „wolność słowa", a za wydawałoby się znacznie mniejsze naruszenia „majestatu" armii imperium w 2006 r. zamordowano Annę Politkowską. Sytuacja wyjaśnia się w sierpniu 2008 r., kiedy to zszokowanemu agresją na Gruzję światu główna „europejska" twarz rosyjskiej ekspertyzy wojskowej – Paweł Felgengauer – tłumaczy, że Siły Zbrojne FR podniosły się z kolan i kroczą drogą ku potędze. A z tym katastrofalnym stanem to nie do końca była prawda.

Wspomnienie z Brukseli – maj 2008 r. Stali przedstawiciele państw NATO komentują śmiechem „rusofobiczny" raport OSW wskazujący na rosnące zagrożenie militarne ze strony Rosji dla jej sąsiadów. Trzy miesiące później nie jest im już do śmiechu, za to bardzo interesują się naszymi opracowaniami.

Mając ku temu merytoryczne podstawy wynikające z możliwie rzetelnej kwerendy źródeł, warto trzymać się swojego zdania, nawet jeśli chwilowo reszta świata kupuje zupełnie odmienną narrację, a jakiś inny ekspert na podstawie własnych (lub prawie własnych) doświadczeń, bijąc się w piersi, przekonuje, że jest jeszcze inaczej. I zachować we wdzięcznej pamięci człowieka z Moskwy, który również nie wpisywał się w narrację, a za to jako jedyny mówił prawdę.

Doświadczenie uczy pokory

Jak zauważono we wstępie, analiza wojskowości i wojen na obszarze posowieckim przypomina spacer po polu minowym. Analogia ta – jeśli weźmiemy pod uwagę swoistość badań – wydaje się ze wszech miar uzasadniona. Poruszamy się wszak – co już wcześniej wyjaśniono – po terenie odmiennym cywilizacyjnie, korzystając ze strzępów wyłowionej z informacyjnego bagna mapy. Najczęściej minami są przyjęte za pewnik nieprawdziwe doniesienia i błędne prognozy, rzadziej te postawione na podstawie rzetelnie opracowanego materiału źródłowego. Bywają także tematy miny – wykraczające poza kanoniczny obszar badawczy, w przypadku których analityk, zamiast odznaczyć się należną pokorą – z zapałem podejmuje przerastające go wyzwanie. Ja nie dam rady? Potrzymajcie mi kufel! Po wejściu na minę piwo wylewa się na głowę.

Doświadczenie uczy owej niezbędnej pokory, ale nawet gdy sprawia już wrażenie naprawdę dużego, i tak od błędów uciec się nie da. Ich przebogatą skarbnicą jest wojna rosyjsko-ukraińska, za której analityczne motto może służyć stare polskie przysłowie „co nagle, to po diable". Tempo działań, spotęgowane zapotrzebowaniem na informację ze strony przełożonych, nierzadko nie pozwalało ekspertowi wykazać się należytą cierpliwością.

Najczęstsze i najbardziej spektakularne pomyłki płyną z przekonania – by nie powiedzieć wiary – że coś powinno potoczyć się tak, a nie inaczej. U ich podstawy często leży przeświadczenie, że oto wreszcie jesteśmy świadkami wyczekiwanej zmiany. Rozregulowuje ono nasz kompas analityczny, z którego właściwymi wskazaniami raptem przestajemy się zgadzać.

Wspomnienie z początku 2022 r. Postawiona w OSW w styczniu diagnoza, że armia FR przygotowuje się do uderzenia na Ukrainę, była – jak się później okazało – prawidłowa. Zgromadzone przez przyszłego agresora siły i środki zdawały się jednoznacznie unaoczniać, że Rosja pozazdrościła Stanom Zjednoczonym i planuje swój odpowiednik „Pustynnej Burzy", czyli operacji w Iraku z 1991 r. Oto Moskwa, dla której Waszyngton pozostawał podstawowym punktem odniesienia, postanowiła wreszcie zrobić coś po amerykańsku!

Już w pierwszych dniach pełnoskalowej agresji na sąsiada coś zaczęło zgrzytać: w jego terytorium modelowo, jak na poligonie, wjechały batalionowe grupy taktyczne, ale gdzie się podziało spodziewane wcześniej zdobycie panowania w powietrzu? W następnych tygodniach, kiedy natarcie zaczęło tracić impet, pojawiły się kolejne pytania – o zmobilizowanie przez najeźdźców dalszych sił i środków. Przecież zgodnie z powszechnym przewidywaniem analityków wojskowych, a jeśli spojrzymy na zgromadzone siły i środki – także Rosjan, Ukraina powinna zostać pokonana w kilka tygodni! Ówczesny szef Kolegium Połączonych Szefów Sztabów USA generał Mark Milley twierdził wręcz, że Kijów padnie w trzy dni! Tymczasem obrońcy się nie dali, a wojna trwa dużo, dużo dłużej.

Niewielkim pocieszeniem dla badacza jest to, że nie tylko on niepoprawnie, bo w tym przypadku nazbyt pesymistycznie, przewidział rozwój wypadków. Przede wszystkim koncertowo zbłaźniły się struktury wywiadowcze agresora. Gdyby nie przekonanie, że oto stoimy w obliczu wyczekiwanej zmiany, kiedy to Rosjanie będą toczyć wojny jak Amerykanie, analityk zajmujący się Siłami Zbrojnymi FR pamiętałby, że Rosja to Rosja, a nie USA. Pamiętałby, że prowadzi ona wojny po swojemu – z pogardą dla przeciwnika, jeśli uznaje go za słabszego. A do Ukrainy żywi wyjątkową pogardę. W rezultacie w początkowej fazie konfliktu zwykle potyka się o własne nogi (wskutek choćby niedocenienia stopnia zaangażowania po stronie ukraińskiej amerykańskiego rozpoznania i służb wywiadowczych), a później bywa różnie, lecz zawsze długo i krwawo. Agresja na Gruzję w sierpniu 2008 r. pozostaje w dziejach rosyjskiej wojskowości ewenementem najpewniej dlatego, że działania zbrojne przerwano po pięciu dniach.

W sierpniu 2022 r. wojna obarczyła sumienie badacza typowym błędem wynikającym z niewiedzy. Żadne z ważniejszych i uchodzących za wiarygodne źródeł nie podało, że Rosjanie – kolejny raz lekceważąc przeciwnika – niemal ogołocili z wojska mniej istotny z ich ówczesnej perspektywy odcinek frontu w obwodzie charkowskim. Główne walki toczyły się wszak 100 km dalej, w obwodzie ługańskim, a stroną nacierającą były wojska agresora. Bez tej wiedzy konstatacja, że obrońcy nie są w stanie dokonać zwrotu zaczepnego, ponieważ nie ma miejsca, w którym posiadanymi siłami mogliby uderzyć z powodzeniem, była w pełni uzasadniona. A Ukraińcy nie dość, że lukę w ugrupowaniu wroga znaleźli (znów dało o sobie znać pozostające w informacyjnym cieniu amerykańskie wsparcie rozpoznawcze), to na dodatek maksymalnie wykorzystali jego błędy. Siły najeźdźcze zostały odepchnięte od Charkowa i wyparte z północnej części obwodu donieckiego.

Ukraiński sukces – jesienią 2022 r., gdy Rosjan bito na froncie pierwszy raz od 80 lat – przypomniał też o najpoważniejszym obciążeniu dla analityka – subiektywizmie opinii. W OSW, będącym jak wiele innych instytucji Polską w pigułce, trudno było nie cieszyć się z tego, że biją Ruskich. I to biją naprawdę. Obiektywizm i wynikająca z niego bezstronność poglądów to dla eksperta chlubny cel, do którego powinien on nieustannie dążyć, jednakże poprzez prosty fakt bycia człowiekiem może się on do niego jedynie zbliżać.

Dążenie do obiektywizmu w ocenie zarówno konfliktu z Ukrainą, jak i poprzednich agresji zbrojnych putinowskiej Rosji stawia polskiego badacza przed następnym zagrożeniem – ewentualnymi próbami zanegowania jego pracy oskarżeniami o rusofilizm (to jedno z najłagodniejszych określeń). A zdarza się to, gdy wnioski z analizy lub wręcz podstawowe fakty różnią się – nieraz diametralnie – od przekazu medialnego konstruowanego zgodnie z bieżącymi potrzebami wojny informacyjnej i wpisujących się weń ocen innych analityków,

jak również z głosem ludu, kibicującego Ukraińcom bijącym Ruska. Popełniona ewentualnie pomyłka ma w tym przypadku znaczenie drugorzędne. Badając wojskowość i wojny na terenach posowieckich, warto postarać się o jakiś mentalny odpowiednik skóry nosorożca. Tu także mile widziana jest cierpliwość.

Być może zabrzmi to kuriozalnie, ale do błędnej oceny sytuacji mogą też prowadzić posiadana wiedza i fachowe podejście do tematu. Z wojskowego punktu widzenia ukraińska akcja zbrojna w obwodzie kurskim w sierpniu 2024 r., a zwłaszcza jej długotrwałość przy jednoczesnym braku wymiernego rezultatu militarnego (odciągnięcia wrogich sił na terytorium FR), zakrawała na absurd. Dało temu wyraz trzech ukraińskich dowódców brygad, co w dniach poprzedzających uderzenie zakończyło się ich odwołaniem (do obwodu kurskiego ich jednostki wkraczały już pod nowym dowództwem, niepodważającym decyzji polityków). Innymi słowy, nie mieściła się nawet w szerokim zakresie przewidywań, jako że Ukraina nie dysponowała wolnymi siłami, więc przeprowadzenie demonstracji zbrojnej na nowym teatrze działań musiało wiązać się z wycofaniem jednostek z innych kierunków, a w rezultacie – skutkować pogorszeniem sytuacji na dotychczasowych liniach obrony.

Zgodnie z tym, co o operacji w obwodzie kurskim już na jej starcie mówili niektórzy ukraińscy wojskowi, potoczyła się ona jak w podręczniku sztuki wojennej, której kilka zasad (na czele z ekonomią sił) pogwałcono. Pozycji takich jednak decydenci nie czytują, a nawet jeśli to robią, mają inne priorytety. Analizując wojnę, dobrze pamiętać, że najczęściej zarządzają nią wojskowi dyletanci, tzn. mniej lub bardziej demokratycznie wybrane władze państwa, a rzadko który generał „splami się" cywilną odwagą i odmówi wykonania żądania zwierzchników. Inaczej mówiąc, na każdej wojnie może zdarzyć się coś, co zgodnie z zasadami sztuki wojennej zdarzyć się nie powinno.

Subiektywnie warto przypomnieć o zapomnianym niedościgłym wzorcu tejże wojennej nieprzewidywalności. Na przełomie 1995 i 1996 r. armia rosyjska w Czeczenii okrzepła i zbliżała się do odniesienia sukcesu. Traf chciał, że Borys Jelcyn podczas spotkania z kolegami z Francji i Niemiec obiecał im, że będzie bardziej humanitarnie i wprowadził moratorium na użycie artylerii i lotnictwa. W rezultacie generał Aleksander Lebied´ z triumfującego wodza musiał przekwalifikować się na zarządcę masy upadłościowej, a wojna tak jak zaczęła, tak i zakończyła się dla Moskwy spektakularnym blamażem.

Zdekompletowane puzzle

Badając wojskowość i wojny – tym bardziej na obszarze posowieckim – nigdy nie uda nam się zbudować pełnego obrazu sytuacji. Często nie radzą sobie z tym nawet machiny wywiadów, zatem trudno wymagać tego od pojedynczego

analityka. W czasie pokoju wszyscy lepiej lub gorzej starają się chronić wiedzę o swoich siłach zbrojnych, przynajmniej tę newralgiczną, a w trakcie wojny wszyscy kłamią. Takie jest odwieczne prawo konfliktów zbrojnych. Nie oznacza to, że mamy do czynienia wyłącznie z dezinformacją, ale że każda napływająca wiadomość może nie być zgodna z rzeczywistością – częściowo lub w całości.

Podobnie jak z dążeniem do obiektywizmu oceny, staramy się zebrać jak największą liczbę elementów informacyjnej łamigłówki, by móc prawidłowo ocenić, co ona przedstawia. Praca analityka zajmującego się wojskowością na wschód od Bugu przypomina układanie puzzli, w których brakuje nieznanej liczby części. Nie jesteśmy w stanie skompletować nawet brzegów, a co gorsza źli ludzie systematycznie dosypują puzzle z wyglądających podobnie, ale zupełnie innych kompletów. Dobrze zaopatrzyć się w elementy z poprzednich wersji zestawu przedstawiającego wojskowość państw powstałych na gruzach ZSRR. Mimo upływu lat wciąż bywają one pomocne w dobraniu bądź dorysowaniu niektórych brakujących kawałków.

Pełnoskalowa agresja Rosji przeciwko Ukrainie zadziałała jak przeciąg, który nie dość, że rozsypał większość już dopasowanych elementów, to jeszcze część wywiał za okno, a w zamian przywiał dodatkową stertę kartoników, które mylą i przeszkadzają w pracy. Czasem trzeba udzielić odpowiedzi wcześniej, niż znajdzie się odpowiedni – o ile w ogóle się znajdzie. Wtedy pomagają doświadczenie i intuicja analityczna. Z tą drugą można się urodzić, to pierwsze przychodzi z kolejnymi latami układania puzzli. Nawet jeśli jednak dysponujemy obydwoma przymiotami, i tak popełnimy błędy, zwłaszcza badając sferę militarną w działaniu. Mając tę świadomość, nie należy przechodzić nad nimi do porządku dziennego: każda pomyłka to nowe doświadczenie, z którego należy wyciągnąć wnioski. Im więcej doświadczeń, tym większa satysfakcja, że mimo wszelkich przeciwności dostarcza się wiedzy rzetelnej i – szczególnie w Polsce – potrzebnej.

Ćwiczenia z myślenia – o analizie energetyki

Agata Łoskot-Strachota

Energetyka jest olbrzymim obszarem badawczym, przedmiotem wielorakich specjalizacji. W jego ramach możemy zajmować się rynkami surowcowymi – gazu, ropy czy węgla – i energii elektrycznej oraz ciepła, w międzyczasie coraz częściej słysząc o łączeniu sektorów (*sector coupling*) i zastanawiając się, jak ono działa w określonych przypadkach. Możemy też śledzić cykl paliwa jądrowego lub rynki energii odnawialnej i nowych technologii oraz perspektywy ich komercjalizacji. Analizie podlegają: wydarzenia na poziomie lokalnym (przykładowo w naddniestrzańskim parapaństwie), relacje z sąsiadami (choćby to, czy – a jeśli tak, to w jaki sposób – za rządów kanclerza Friedricha Merza zmienia się przestrzeń do współpracy energetycznej Polski z RFN), sytuacja w UE, Europie i na świecie. Można zgłębiać sprawy inżynieryjno-techniczne, infrastrukturalno-transportowe, prawno-regulacyjne albo politykę – energetyczną i jej powiązania z klimatyczną, międzynarodową czy bezpieczeństwa. Słowem: energetyka to zagadnienie niewyczerpywalne, przeznaczone dla całej orkiestry – instytucji analitycznej. W OSW siłą rzeczy zajmuje się nim kilka osób, a i tak muszą one dbać o staranny dobór i selekcję tematów badawczych.

Zanim zaczniemy pisać, powinniśmy zadać sobie pytanie nadrzędne: dlaczego kwestia, którą chcemy poruszyć, jest ważna i warta uwagi czytelnika. W Ośrodku zazwyczaj brzmi ono: co dany proces czy wydarzenie znaczy dla Polski lub całej Europy. Analiza to zatem nie czysty opis czy synteza informacji – ma zawierać odpowiedź na pytanie o znaczenie i perspektywy rozwoju sytuacji, a czasem też możliwe rozwiązania. W rezultacie zawsze cechuje się pewnym

stopniem subiektywności, ponieważ odnosi się do konkretnie zidentyfikowanych interesów i celów. W przypadku naszej instytucji chodzi o interesy i cele strategiczne RP.

W kolejnym kroku trzeba się zastanowić, kto będzie odbiorcą tekstu lub wypowiedzi. Zupełnie inaczej piszemy dla szerokiej publiczności, z zasady nieznającej szczegółowo problematyki, a czasem i pojęć energetycznych (np. do gazet), a inaczej dla czytelnika fachowca, w tym z branży. Inaczej będzie nas czytał czy słuchał wysoki rangą urzędnik państwowy dysponujący bardzo ograniczonym czasem (np. minister odpowiedzialny za kwestie energetyczno-klimatyczne w trakcie briefingu), a inaczej student szukający literatury do pracy magisterskiej czy uczestniczący w wykładzie mającym poszerzać horyzonty. W skrócie: to, jak ujmiemy dany temat i jak skonstruujemy konkretną analizę, zależy w dużej mierze od docelowego adresata i jego potrzeb – w tym wcześniejszej wiedzy, ale i czasu, jaki może przeznaczyć na lekturę.

W Ośrodku tworzymy teksty doraźne, koncentrujące się na jednym wydarzeniu (np. zakończeniu importu rosyjskiego gazu przez Austrię), ale też odnosimy się do ważkich procesów, łącząc kilka perspektyw, analizę sytuacji rynkowej i politycznej, wymiar energetyczny z międzynarodowym. Poniżej całkowicie autorski wybór tego, o czym, w jaki sposób i dlaczego ostatnio pisaliśmy. Będzie o znaczeniu danych w analizie i o różnych paradygmatach myślenia o polityce energetycznej w Unii Europejskiej i poza nią, o wątkach istotnych w skali świata (jak Nord Stream 2 – NS2 – czy zmieniająca się polityka USA), wadze zdarzeń lokalnych i takowej ekspertyzy (w tym tej środkowoeuropejskiej), wreszcie o energetycznych marzeniach.

W gąszczu danych, czyli złudzenie obiektywizmu

Sprawy energetyczne mają tę przewagę nad licznymi innymi zagadnieniami badawczymi, że łatwo zobrazować je danymi. Wiele z nich – dotyczących poziomów produkcji lub eksportu oraz zmian cen surowców i energii – jest relatywnie łatwo dostępnych, a ich wizualizacja przemawia czasem prościej i dosadniej niż najbardziej wyrafinowane opisy. Coraz częściej instytucje zajmujące się przygotowywaniem analiz sektorowych publikują – obok tekstów tradycyjnych – także zestawy wykresów i diagramów lub w ogóle tworzą narzędzia do interaktywnej zabawy z danymi. Tak czynią m.in. Międzynarodowa Agencja Energii czy ośrodki takie jak Ember i Bruegel. Poza tym zebranie i analiza danych często poprzedzają samo pisanie tekstu – liczby i infografiki pokazują bowiem wyraźnie podstawowe tendencje i ewentualne nieregularności związane z badanymi procesami – tempem ograniczania emisji czy odchodzenia od sprowadzania surowców z Rosji. To z kolei ułatwia weryfikowanie hipotez oraz formułowanie pytań lub rekomendacji.

Wprawdzie dane są zazwyczaj powszechnie dostępne, lecz ich odpowiednie zagregowanie, przetwarzanie i zestawianie to nie zawsze proste zadanie. Wyraźnie widać to zwłaszcza przy okazji analizowania procesów międzynarodowych. Po pierwsze państwa zbierają dane w rozmaity sposób – prezentują je w różnym rozdrobnieniu, w różnej częstotliwości (np. jako dane dzienne, miesięczne, roczne) i w różnych jednostkach. Te ostatnie nie zawsze da się prosto przeliczyć – przykładowo kaloryczność gazu zależy od dokładnego miejsca jego wydobycia. Ten z Federacji Rosyjskiej (FR) jest mniej kaloryczny niż pozyskiwany choćby w Norwegii, stąd też nieco mniejsza wartość energetyczna jednego metra sześciennego surowca sprowadzonego z pierwszego z tych krajów. Dodatkowo wydobycie, przesył i sprzedaż rosyjskiego surowca tradycyjnie mierzy się właśnie w metrach sześciennych, natomiast w Stanach Zjednoczonych podstawową jednostką jest stopa sześcienna. Tymczasem w UE, by uprościć porównywanie danych dla różnych nośników i surowca z rozmaitych źródeł, coraz częściej wykorzystuje się – poza jednostkami metrycznymi – te określające ilość energii zawartej w gazie (dżule lub watogodziny). Jeszcze trudniej bywa ze zdobywaniem i porównywaniem danych z odleglejszych krajów, których nieraz nie obejmują międzynarodowe statystyki, takich jak państwa Kaukazu i Azji Centralnej.

Niekiedy mamy do czynienia z nadmiarem danych – zbieranych np. co godzinę (tak było m.in. w przypadku tych dotyczących przesyłu gazu przez niemieckie lądowe odnogi Nord Streamu) – co ogranicza ich czytelność i przejrzystość. Zagregowanie takich mocno rozdrobnionych danych i przekształcenie ich w porównywalne czaso-jednostki wymaga specjalistycznych umiejętności i niesie wyzwanie nawet dziś, gdy pojawiają się coraz bardziej zaawansowane programy do przetwarzania dużych zbiorów informacji. Nieraz daje także impuls do zmiany *modus operandi* i choćby zatrudnienia ekspertów specjalizujących się w pracy na danych i/lub ich wizualizacji.

Co więcej, poszczególne kraje gromadzą dane w najróżniejszym tempie, więc nawet państwa członkowskie UE nie udostępniają tych bieżących w tym samym czasie. Ten stan rzeczy skutkuje m.in. opóźnieniami w publikowaniu kompletnych bieżących zestawień przez Eurostat. Stanowiło to szczególne wyzwanie w trakcie kryzysu energetycznego, kiedy dostęp do jak najbardziej aktualnych danych był niezbędny do adekwatnej oceny sytuacji (w tym ryzyka niedoborów w każdym z państw członkowskich) i wypracowywania ewentualnych jak najskuteczniejszych środków zaradczych. Tymczasem na przykład wartości miesięcznego importu gazu przez Bułgarię, Rumunię lub Włochy na ogół spływały do unijnych baz później niż z pozostałych krajów. Dostępność najnowszych danych nabiera jeszcze większego znaczenia w kontekście postępującej transformacji energetycznej i elektryfikacji, jak również zmienności

i rozwoju rynków energii, na których transakcje zawiera się w coraz krótszych przedziałach czasowych przed dostawą energii elektrycznej. Przykładowo rynek dnia bieżącego na polskiej Towarowej Giełdzie Energii oferuje instrumenty 15-minutowe i godzinne.

Wreszcie – są kraje, które wielu informacji nie publikują (choćby ze względów bezpieczeństwa), a inne zamieszczają nie zawsze wiarygodne dane. Trudno zapoznać się z – choćby niepełnymi – danymi energetycznymi Rosji (w ostatnich latach nie dzieli się ona nawet tymi podstawowymi, w tym o produkcji i eksporcie ropy naftowej, gazu ziemnego, paliw i węgla) oraz Chin. Dostęp do wrażliwych danych sektorowych ograniczyła po wybuchu pełnoskalowej wojny Ukraina. Ale z podobną sytuacją spotykamy się nawet w państwach UE – przykładowo w 2016 r. niemiecka instytucja rządowa BAFA przestała publikować dane na temat źródeł importu gazu ziemnego i ropy naftowej, a kilka lat później – także te dotyczące cen importowanego surowca.

Dzieje się tak, gdyż pewne dane – oraz wnioski, jakie można z nich wysnuć – mogą być informacjami wrażliwymi: pokazują stan sektorów strategicznych (wiedzą o nich niekoniecznie chce się dzielić choćby znajdująca się na wojnie gospodarczej z Zachodem FR) lub stopień zależności od państw trzecich (nieraz nadmierny, jak niegdyś w przypadku Niemiec). Upublicznienie danych uznanych za wrażliwe niesie ze sobą ryzyko ich instrumentalnego wykorzystania, czasem wbrew interesom poszczególnych krajów.

Powyższe wskazuje jednoznacznie, że nie istnieje coś takiego jak pełna dostępność danych. W niektórych przypadkach trzeba się zatem posiłkować różnymi źródłami lub nawet – w przypadku państw bardzo niechętnie lub z dużą opieszałością upubliczniających dane – doniesieniami medialnymi oraz informacjami pochodzącymi od firm i ekspertów lokalnych.

Podobnie niemożliwy jest całkowity obiektywizm danych. Różnice zdarzają się nawet na poziomie metodologii ich zbierania, agregowania i przedstawiania przez renomowane instytucje, takie jak Międzynarodowa Agencja Energii, OPEC, Eurostat i amerykańska Energy Information Agency. Ten stan rzeczy skutkuje nierzadko niezgodnościami pomiędzy wartościami dotyczącymi tego samego roku i kraju. Jeszcze większe wyzwanie niesie szukanie i porównywanie prognoz – w ich przypadku liczą się nie tylko założenia wstępne i model prognostyczny, lecz także to, na ile mamy do czynienia z prognostyką badającą rzeczywistość, a na ile z prognostyką normatywną zakładającą osiąganie stawianych celów, chcącą ową rzeczywistość kształtować.

Z tym drugim typem obcujemy coraz częściej i w dokumentach unijnych, i w ekspertyzach analityków z RFN. Przez to czasem trudniej zrozumieć, czy określone prognozy przedstawiają choćby faktycznie przewidywane zapotrzebowanie na gaz w UE, czy też cel sektorowy wynikający z przyjętych strategii

(jak tej unijnej, zakładającej osiągnięcie zeroemisyjności gospodarki do 2050 r.). W konsekwencji trzeba pamiętać o wybraniu źródła uznawanego za najbardziej wiarygodne i/lub bliskie naszemu paradygmatowi myślenia oraz o weryfikowaniu danych – jak każdych innych informacji. W skrajnym przypadku dane – i powstałe na ich bazie prognozy – mogą bowiem stać się narzędziem do przedstawienia tej wersji rzeczywistości, jaka najbardziej odpowiada dążeniom konkretnych państw, grup interesów czy instytucji.

Rynek, prawo i polityka a sprawa NS2: *never ending story*?

W ostatnich latach poczesne miejsce w gronie najważniejszych metatematów energetyczno-politycznych, kluczowych z perspektywy interesów strategicznych Polski, ale też bezpieczeństwa Ukrainy, spójności całej UE oraz celów polityki zagranicznej USA na Starym Kontynencie zajmował NS2 (a wcześniej NS1). Gazociąg ten był i jest czymś znacznie więcej niż tematem energetycznym. Symbolizuje całą gamę wyzwań, interesów, nadziei i nieporozumień dotyczących współpracy nie tylko Europy, lecz także Stanów Zjednoczonych z Rosją. Jako taki stanowi obiekt nieustającego zainteresowania polityków, graczy rynkowych, ekspertów i opinii publicznej. W rezultacie powstało już o nim nie kilka, lecz setki analiz i innych tekstów, a nawet książek i filmów. Pierwszemu NS Jens Høvsgaard poświęcił pozycję *Szpiedzy, których przyniosło ocieplenie*, a o drugim nakręcono dokumenty (jak niemiecki *Nord Stream 2 – Zerreißprobe für Europa*). Wielość podmiotów zaangażowanych w tę inwestycję i nią zainteresowanych (w tym przywódców państw europejskich i mocarstw światowych oraz opinii publicznej i mediów), dostępnych interpretacji faktów, jak również skomplikowanie zagadnienia czynią z niego nie lada wyzwanie badawcze.

Nord Stream 2 to temat, w którym analityka zazębia się z dyplomacją publiczną. Jednoznacznie miała za zadanie nie tylko dostarczyć wiedzę, lecz także proponować rozwiązania. W rezultacie nie mogła się ograniczać do neutralnego opisu – potrzebowała zdefiniowania układu odniesienia. W przypadku analiz OSW w jego centrum (punkcie zero) znajdują się – poza oceną stanu faktycznego – strategiczne interesy RP dotyczące współpracy energetycznej (w tym gazowej) z FR, rozwoju rynku gazu i zapewniania bezpieczeństwa energetycznego w Polsce, państwach ościennych (w tym na Ukrainie) i UE. W odniesieniu do tego punktu badamy energetyczne i pozaenergetyczne znaczenie NS2 (dyskusji o nim, przymiarek do jego budowy i wszelkich innych procesów politycznych, formalno-prawnych, inwestycyjnych i międzynarodowych, które doprowadziły do jego powstania).

W poszukiwaniu możliwych rozwiązań kontrowersji dotyczących gazociągu i jego przyszłości niezbędne było m.in. zidentyfikowanie priorytetów strategii

energetycznych szeregu państw unijnych (przede wszystkim Niemiec) i Rosji oraz występujących tam uwarunkowań rynkowo-wszelakich, ich podobieństw i różnic oraz wzajemnego oddziaływania. Należało również określić szersze – nie tylko gazowe, lecz także stricte polityczne – motywacje i ograniczenia różnych graczy w Europie (poza przedsiębiorstwami i poszczególnymi krajami – Komisji Europejskiej) i USA, zaprezentować najbardziej problematyczne kwestie, zdekonstruować narracje, a czasem – zaproponować alternatywne.

Fundamentalna wieloletnia różnica między Warszawą a Berlinem w kontekście NS2 dotyczyła właśnie sposobu myślenia i związanych z tym narracji dotyczących projektu. Podczas gdy w Polsce i w całej Europie Środkowo-Wschodniej jednoznacznie uważaliśmy, że gazociąg stanowi element szerszej strategii Moskwy wobec Starego Kontynentu, a zwłaszcza naszego regionu, Ukrainy i Niemiec, w RFN przeważało zdanie o wyłącznie ekonomiczno-biznesowej, ograniczającej się do rynku gazu oraz wielkości i opłacalności dostaw, motywacji jego inicjatorów. Już po wybuchu pełnoskalowej wojny na Ukrainie niemiecki minister sprawiedliwości przyznał, że upór RFN dotyczący realizacji NS2 po aneksji Krymu przez Rosję mógł się przyczynić do jej agresji zbrojnej.

Należało też przebrnąć przez meandry europejskiego i międzynarodowego prawa, zmapować rozmaite (nieraz wykluczające się) metody jego interpretacji oraz kluczowe nieścisłości i braki – choćby w dookreśleniu podziału kompetencji pomiędzy instytucjami unijnymi a członkami, wreszcie – czasami – zaproponować rozwiązania. Czy NS2 był sprawą wyłącznie niemiecką czy ogólnounijną? Czy – a jeśli tak, to w jaki sposób – stosować prawo UE do infrastruktury przebiegającej zarówno przez wyłączne strefy ekonomiczne różnych państw członkowskich, jak i ich wody terytorialne? Czy, kiedy i jak w proces formułowania decyzji dotyczących gazociągu włączyć Komisję Europejską i jakimi prerogatywami będzie ona dysponować? – dyskusje na te tematy rodziły wiele emocji i kontrowersji. Sama historia obiektu wpłynęła zaś na kształt niektórych unijnych przepisów prawnych (w tym dyrektywy gazowej).

Ważne było wreszcie przeanalizowanie możliwego oddziaływania inwestycji na rynek – czy raczej konkretne rynki: w RFN, Europie Środkowej (w tym w Polsce), całej UE i jej sąsiedztwie – pozwalające ustalić ryzyko nadmiernej koncentracji i zarówno zwiększenia zależności od rosyjskiego gazu, jak i wzmacniania pozycji już dominującego dostawcy, oraz ewentualny wpływ uruchomienia gazociągu na konkurencję, ceny i bezpieczeństwo energetyczne.

Powyższe działania były tym istotniejsze, że przez relatywnie spory okres projekt nie był przedmiotem formalnych dyskusji krajów członkowskich na forum unijnym, choćby na radach energetycznych. Wskutek nacisków Berlina, by inwestycję traktować jako wewnętrzną sprawę Niemiec i nie dopuścić do ingerencji Komisji Europejskiej w proces jej realizacji i ustalania zasad jej

funkcjonowania, konsultacje zainteresowanych NS2 państw długo miały charakter nieoficjalny lub toczyły się w ramach formatów dwustronnych.

Gazociąg przez wiele lat planowano, omawiano, realizowano, a równolegle powstrzymywano jego powstanie. Pierwsze propozycje budowy drugiego, równoległego do NS1 szlaku po dnie Morza Bałtyckiego pojawiły się jeszcze w 2011 r., a oficjalnie projekt ogłoszono w 2015 r. Taka kolej rzeczy pociąga za sobą konieczność gromadzenia danych historycznych i wychwytywania pojawiających się przecież co jakiś czas zmian stanowisk i interesów oraz czynników do nich prowadzących. W odniesieniu do tej inwestycji przełomowy był okres przygotowań Rosji do inwazji na Ukrainę i sam wybuch pełnoskalowej wojny – przyniosły one wyraźną zmianę podejścia do NS2 Niemiec, czyli państwa newralgicznego dla przyszłości gazociągu (zawiesiły one proces formalnego dopuszczania szlaku do użytkowania), i późniejszą niewypłacalność spółki Nord Stream 2 AG. Konflikt zbrojny pośrednio skutkował też fizycznym uszkodzeniem trzech z czterech nitek NS1 i NS2.

Od końca 2022 r. wydawało się, że temat NS2 można odłożyć do lamusa, lecz wiosną 2025 r. wypłynął on ponownie za sprawą ewolucji polityki USA za prezydentury Donalda Trumpa i pojawiających się doniesień medialnych o forsowaniu przez niektórych amerykańskich i europejskich biznesmenów pomysłów uruchomienia gazociągu. Równocześnie zaczęły odżywać wszelkie kontrowersje i sprzeczności ogniskujące się w nim, a związane z przyszłością współpracy energetycznej pomiędzy UE a Rosją czy interpretacją wpływu tej ostatniej na bezpieczeństwo i spójność Europy.

Relacje energetyczne z USA, czyli geopolityka zależności

Przykład NS2 potwierdza też, że w ramach niektórych zagadnień kwestie energetyczne przenikają się z aspektami szerszymi, dotyczącymi strategicznych relacji międzynarodowych – i często owe zagadnienia dobrze analizować właśnie pod tym kątem. Wynika to oczywiście ze sporej zależności importowej UE i Polski w dziedzinie energetyki (surowców, ale i czystych technologii), przede wszystkim od państw trzecich. Częściej niż rzadziej takich powiązań nie pozostawia się wyłącznie rynkowi i rachunkowi ekonomicznemu firm na nim działających, a stają się one elementem ogólniejszych deali, a nawet całokształtu stosunków z konkretnym państwem. Od zawsze najlepiej ilustrują to chyba powiązania energetyczne poszczególnych państw europejskich z Rosją. Obecnie zaś coraz wyraźniej widać taką tendencję przy okazji dyskusji o przyszłości europejskich relacji energetycznych z USA.

Od 2022 r. wraz z odchodzeniem od importu rosyjskich węglowodorów zasadniczo wzrosła rola amerykańskich spółek jako dostawców surowców

i technologii energetycznych do UE. W 2024 r. pochodziło stamtąd 45% całego LNG importowanego przez kraje unijne. Koncerny ze Stanów Zjednoczonych są też choćby najważniejszymi producentami komercyjnego oprzyrządowania do mierzenia emisji metanu w sektorach ropy i gazu – co na mocy rozporządzenia metanowego z 2024 r. staje się w UE praktyką obowiązkową. Jednocześnie znaczenie USA dla Europy nigdy nie ograniczało się do jednego wymiaru – na co wskazuje działająca od dekad sieć wielopoziomowych powiązań i rozmaitych strategicznych stref wspólnych interesów i kooperacji: od handlowo-ekonomicznej, przez związaną z bezpieczeństwem, po przestrzeń normatywną, tj. wspólnych wartości dotyczących praw człowieka, demokracji itp. Według takiej matrycy budowała też swoje więzi ze Stanami Zjednoczonymi Polska.

Druga kadencja Trumpa przyniosła daleko idące zmiany w amerykańskiej polityce zagranicznej, handlowej oraz energetycznej i klimatycznej, a w licznych punktach odwróciła ich wektor ze spójnego z unijnym na przeciwny. I choć zarówno prezydentura, jak i związane z nią zmiany wciąż trwają, to już dziś wolno nam się pokusić o wstępną ich ocenę, a przynajmniej ich obecnego stanu. Sprzeczność polityk unijnej i amerykańskiej przejawia się wyraźnie m.in. w odwrocie Waszyngtonu od celów dekarbonizacyjnych i od wspierania rozwoju zielonych źródeł energii, przy ich ciągłej priorytetyzacji w UE. Po obu stronach Atlantyku widać również coraz więcej dysonansów w definiowaniu bezpieczeństwa energetycznego i kluczowych metod jego zwiększania. Znamienne, że w trakcie poświęconego temu zagadnieniu szczytu w Londynie w kwietniu 2025 r. reprezentanci UE i USA przedstawili rozbieżne wizje roli polityki klimatycznej w zapewnianiu stabilnych i bezpiecznych dostaw energii.

To istotny kontrapunkt w dotychczasowym myśleniu o powiązaniach bilateralnych Unii i Stanów Zjednoczonych oraz przyczynek do refleksji – także analitycznej – o tym, jak kształtować je w sposób obustronnie korzystny. Współpraca z USA w konkretnym zakresie – m.in. importu LNG czy technologii jądrowych – pozostaje kluczowa i wydaje się niezbędna do zagwarantowania bezpieczeństwa energetycznego UE, w tym Polski i Europy Środkowo-Wschodniej, przynajmniej w krótkim i średnim okresie. Jednocześnie zmiana kursu wobec Rosji i niespodziewane zwroty akcji generują wyzwania zarówno dla polityków, jak i – może nawet w większym stopniu – dla analityków, tradycyjnie chcących porządkować rzeczywistość oraz znajdować i opisywać jej wzory.

Nie da się jednak diagnozować szans i zagrożeń energetycznych stojących dziś przed Polską i Europą (a związanych przykładowo z celem zupełnego odejścia od importu rosyjskich surowców) bez zrozumienia strategicznych pozaenergetycznych interesów Waszyngtonu. Jego wizja rozwoju krajowej gospodarki z jednej strony i kształtu relacji z Chinami czy FR z drugiej może w znacznej mierze zawężać lub poszerzać przestrzeń dla współpracy gazowej

czy energetycznej. Utrudnia to pracę analitykowi silnie specjalizującemu się w tej dziedzinie, a niedysponującemu dobrą orientacją w niuansach bieżącej polityki USA oraz trwających tam głębszych przewartościowaniach i zmianach paradygmatu myślenia. Zarazem siła, kształt i potencjał powiązań energetycznych (i handlowych, i inwestycyjnych) firm amerykańskich mogą przyczyniać się do zwiększenia bądź zmniejszenia zaangażowania Stanów Zjednoczonych w danym regionie lub kraju, niekiedy z szansami na stanie się spoiwem dla całokształtu relacji dwustronnych. W rezultacie dobre zmapowanie obszarów aktualnej lub perspektywicznej obopólnie korzystnej amerykańsko-polskiej (czy amerykańsko-europejskiej) współpracy energetycznej może wesprzeć kształtowanie pragmatycznej polityki w nowych czasach.

Transformacja energetyczna i różne paradygmaty myślenia

Do tematów, w których widoczne są wyraźnie odmienne sposoby myślenia i priorytety decydentów w USA i UE od niedawna należy ten dotyczący zmian klimatycznych i transformacji energetycznej. Jeszcze przed drugą kadencją Trumpa dało się zauważyć różnice w przewidywanych w Brukseli (lub Berlinie) oraz w Waszyngtonie modelach transformacji, czyli procesu dekarbonizacji krajowych gospodarek. Rozbieżności te odzwierciedlają – przejawiający się w dyskusjach nie tylko polityków, lecz także ekspertów – głębszy rozziew w paradygmatach myślenia o polityce energetycznej czy energetyczno-klimatycznej, często wynikający z przyjęcia innych założeń wstępnych (takich jak wiara lub niewiara w antropogeniczne przyczyny zmian klimatycznych i/lub możliwość ograniczenia ich przez człowieka). Różnice te mocno ożywają i wybrzmiewają zresztą nie tylko w skali transatlantyckiej, lecz coraz częściej również w tej wewnątrzeuropejskiej.

Z jednej strony związane są z trwającymi olbrzymimi przekształceniami systemów energetycznych na świecie, rosnącym znaczeniem nowych źródeł energii i przyspieszającą elektryfikacją, w czasie gdy wciąż znaczną (i tylko w niektórych częściach globu malejącą) rolę odgrywają paliwa kopalne. Zmiany te idą w parze z dużymi szansami i nadziejami, ale też obarczone są niepewnością i ryzykami – choćby takimi, jakie zawsze występują w okresach przejściowych współistnienia starego z nowym. Zmianami tymi można na różne sposoby nawigować, lecz ich ostatecznego rezultatu – mimo znanych założeń – nie da się przewidzieć. Z drugiej strony odmienności w myśleniu o polityce energetycznej podsycane są przez dylematy, przed którymi stoją obecnie UE i jej państwa członkowskie, borykające się z coraz trudniejszymi wyzwaniami także z dziedziny bezpieczeństwa energetycznego (i tego tradycyjnego), wysokimi, zmiennymi cenami energii oraz malejącą konkurencyjnością gospodarek.

Różnice – w myśleniu, również wśród analityków – przejawiają się m.in. w odmiennych odpowiedziach na pytania: czy powinno się preferować konkretne technologie kosztem innych (np. odnawialne źródła energii, przede wszystkim wiatrowe i słoneczne, kosztem energetyki jądrowej lub na odwrót), a jeśli tak, to kiedy i na jakich zasadach; jak może się to przekładać na rynki energetyczne i relacje z sąsiadami, w skali UE, kontynentu i świata; jak w kontekście odmiennych wyborów i działań – a nieraz też paradygmatów i wartości – budować stabilne, odporne na ryzyka systemy energetyczne i krajowe przewagi konkurencyjne. Wyzwania i ryzyka związane z tym ostatnim dylematem świetnie ilustruje branża samochodów elektrycznych. Unia jednoznacznie stawia na elektromobilność jako metodę dekarbonizacji transportu oraz stymuluje transformację w tym obszarze. Jednocześnie pomimo ambitnych celów, konkretnych działań i dużych inwestycji jej państwa członkowskie i europejscy producenci coraz wyraźniej przegrywają rywalizację z Chinami i tamtejszymi elektrykami.

Odmienności pojawiają się również w czasie debaty o bieżących priorytetach – czy w ramach tzw. trylematu energetycznego (trzy równorzędne cele polityki energetycznej to bezpieczne, przystępne cenowo i zrównoważone dostawy energii) krótkoterminowo można (trzeba?) przykładać większą wagę do jednych celów (np. związanych z dekarbonizacją) kosztem innych (przystępność cenowa i konkurencyjność). Na ogólniejszym poziomie różnice dotyczą zaś tego, w jakim stopniu kwestie normatywne (i jakie dokładnie – te odnoszące się do wpływu na klimat, te z dziedziny bezpieczeństwa, jedne i drugie, a może jeszcze inne?) powinny oddziaływać na funkcjonowanie rynków energetycznych i proponowane rozwiązania.

W UE takim dogmatem stał się w ostatnich latach cel dekarbonizacyjny, który w sporej mierze organizuje i spina wszystkie inne polityki, prowadząc m.in. do – jak się wydaje – trwałego, choć nie wszędzie, nie zawsze i nie dla wszystkich oczywistego, połączenia spraw energetycznych z klimatycznymi i tworząc z energetyki podstawowe koło zamachowe dekarbonizacji. Tym samym polityka energetyczna stała się de facto instrumentem realizacji celów klimatycznych. Jednocześnie Unia chce poprzez transformację i elektryfikację ograniczać zależność od importu, a więc i zwiększać autonomię od państw trzecich. Takie podejście widać też na szczeblu eksperckim, w tym w programach badawczych kluczowych europejskich think tanków i akademii, w szczególności tych finansowanych przez rozmaite fundacje czy fundusze klimatyczne.

W USA zauważamy tymczasem zwrot w innym kierunku, przejawiający się m.in. kwestionowaniem przez Trumpa celowości polityk klimatycznych i dekarbonizacyjnych oraz postulowaniem powrotu w kształtowaniu polityki energetycznej do podstawowych zasad rachunku ekonomicznego. Takie podejście uwidacznia się m.in. w ograniczaniu środków na badania nad klimatem.

Priorytetami wydają się opłacalność (niskie ceny, konkurencyjność gospodarcza) i dochodowość (zwiększanie produkcji i eksportu). Ma to m.in. wspomagać działania amerykańskich firm – zarówno energetycznych, jak i tych z intensywnie rozwijającej się branży cyfrowej, m.in. zajmujących się sztuczną inteligencją (AI) – w kraju i na świecie. Zarazem jednak polityka energetyczna Waszyngtonu ma też służyć w jakimś stopniu osiąganiu pewnych celów pozaenergetycznych, jak odbudowa mocarstwowej pozycji Stanów Zjednoczonych. W pewnych sytuacjach mogą one być traktowane nadrzędnie w stosunku do celów energetyczno-rynkowych. Takie postępowanie upodabnia USA do innych eksporterów surowców energetycznych.

W obliczu tak zasadniczych różnic jedną z cnót analityka – rzadko widoczną w dzisiejszej spolaryzowanej debacie publicznej – wydaje się umiejętność odrywania się od obowiązującej wykładni i wychodzenia poza dogmaty, w tym zadawania pytań i rzetelnego badania możliwych (choć niekiedy z różnych względów niepożądanych czy zupełnie nieopłacalnych) alternatywnych ścieżek kształtowania polityki energetycznej.

Energetyka środkowoeuropejska, czyli znaczenie ekspertyzy lokalnej

Powyższe różnice w paradygmatach polityk energetycznych po obu stronach Atlantyku są szczególnie ważne dla Europy Środkowo-Wschodniej, której państwa, będąc członkami UE, muszą przestrzegać unijnego prawa energetyczno-klimatycznego, a równolegle silnie współpracują z USA i polegają na nich w energetyce, ale też obszarze bezpieczeństwa. W ich wspólnym interesie wydaje się leżeć znalezienie przestrzeni zbieżnych celów i pragmatycznej kooperacji energetycznej pomiędzy Starym Kontynentem a właśnie Stanami Zjednoczonymi. Jednocześnie kraje regionu – tradycyjnie podobne z uwagi na doświadczenie transformacji systemowych, położenie geograficzne i zależności historyczne – coraz bardziej się od siebie różnią. Widać to w tempie i ścieżkach ich transformacji energetycznej oraz dylematach energetyczno-geopolitycznych, jak również strukturach gospodarek czy powiązaniach rynkowo-handlowych. W konsekwencji mają one nie tylko coraz odleglejsze cele doraźne, lecz także nieco inną wizję unijno-amerykańskiej współpracy energetycznej.

Aby właściwie zrozumieć i zidentyfikować priorytety energetyczne państw regionu, musimy rozpoznać lokalną specyfikę, która wyznacza ramy prowadzenia określonych polityk i realizowalności ich celów oraz określa wachlarz dostępnych instrumentów, jak również może determinować wybory i działania. Szczegóły środkowoeuropejskich polityk energetycznych (a w konsekwencji i stanu relacji w tej sferze z Brukselą, Moskwą i Waszyngtonem) są w większym

stopniu kształtowane przez lokalne partykularyzmy, a w mniejszym – przez kwestie strategiczne i globalne (jak to ma miejsce w przypadku USA).

Partykularyzmy te są ważne wtedy, gdy chcemy zmapować, co da się wdrożyć z unijnych strategii energetyczno-klimatycznych, lub pojąć przyczyny sprzeciwu szeregu państw regionu wobec szybkiego wprowadzania systemu handlu emisjami w sektorach budynków i transportu (ETS 2). W odniesieniu na przykład do Węgier trzeba więc nie tylko mieć świadomość dużego udziału czystej energii w tamtejszym miksie, lecz także rozumieć wagę poszczególnych celów polityki Viktora Orbána (chociażby związanych z cenami energii) i znać koszty ich urzeczywistniania. Podobnie stanowisko Estonii bardziej niż z tempem ograniczania emisji będzie się wiązało z rolą łupków bitumicznych w zapewnianiu krajowi bezpieczeństwa energetycznego, a jego konkretnym regionom – dobrobytu i miejsc pracy.

Analogicznie sprawa się ma z szansami na faktyczne zakończenie importu surowców energetycznych z Rosji. By je ocenić, musimy znać „czeską duszę" i zauważyć kopernikańską zmianę w podejściu Pragi do tego zagadnienia po wybuchu wojny na Ukrainie, niuanse polityki państw federacyjnych w Bośni i Hercegowinie czy stopień powiązań polityków i oligarchów serbskich z rosyjskimi. Tempo wdrażania konkretnych regulacji unijnych czy odchodzenia od gazu z FR będzie więc oczywiście zależało od dostępnych zasobów i uwarunkowań infrastrukturalnych, ale też od jakości elit i instytucji, największych bolączek społeczeństwa i doświadczeń dotychczasowej współpracy z sąsiadami.

Znajomość lokalnej specyfiki wydaje się istotna nie tylko przy określaniu wykonalności założonych celów przez różne kraje – powinna stanowić podstawę przy tworzeniu strategii ogólnounijnych i newralgicznych aktów prawnych.

Rewolucja łupkowa, AI, surowce krytyczne w Azji Centralnej i czekanie na efekt motyla

Do większych wyzwań analitycznych należy całkiem spore ryzyko przegapienia początku doniosłych procesów mogących przekształcić krajobraz energetyczny regionu, kontynentu albo świata. Takie zmiany często zachodzą po cichu i początkowo głównie w mikroskali, a zrozumienie ich znaczenia wymaga wiedzy – zarówno lokalnej, jak i ogólniejszej – oraz pewnej dozy wyobraźni. Nieraz dotyczą one zupełnie nowych technologii, a żeby je pojąć, potrzeba zaawansowanej ekspertyzy techniczno-inżynieryjnej, zazwyczaj trudnej do szybkiego przyswojenia nie tylko dla szerokiej publiczności, lecz także ekspertów energetycznych.

Za pierwszy przykład z ostatnich dekad niech posłuży rewolucja łupkowa, do której doprowadziły – zapoczątkowane jeszcze w konsekwencji kryzysów

naftowych – inwestycje w nowe metody wydobycia (technologia szczelinowania hydraulicznego), a potem w ich doskonalenie, testowanie i komercjalizowanie przy wsparciu rządu i bardzo konkretnego systemu własności (m.in. ziemi) w USA.

Drugą ilustracją jest rozwój czystych technologii oraz skala tego zjawiska, widoczna przede wszystkim w Chinach. Ich prymat w wytwarzaniu m.in. komponentów do paneli słonecznych, baterii czy samochodów elektrycznych wynika z popytu wewnętrznego (i jego nieporównywalnego z europejskim rozmiaru), dostępności surowców krytycznych kluczowych dla licznych czystych technologii, niskich kosztów produkcji (wskutek czego zachodnie firmy przenosiły fabryki właśnie do ChRL) oraz specyficznego systemu gospodarczo-polityczno-społecznego, w tym znacznie mniejszej niż w UE dbałości o prawa pracownicze i kwestie środowiskowe (co zdecydowanie obniża koszty).

Ostatni przykład to dostrzegany ostatnio silny wpływ rozwoju AI na rynki energetyczne. Powstawanie kolejnych centrów danych powoduje skokowy wzrost globalnego zapotrzebowania na elektryczność – do 2030 r. może się ono nawet podwoić. Rosną i zmieniają się też powiązania sektorów energetycznego i cyfrowego oraz towarzyszące temu cyberwyzwania. Jednocześnie AI może też stwarzać szanse, m.in. prowadzić do zwiększania efektywności, a więc i ograniczania kosztów generacji i przesyłu.

Wydaje się, że w szeroko rozumianej energetyce marzymy o wynalazkach czy procesach tego typu – zapoczątkowujących rewolucyjne zmiany. Marzą o nich szczególnie kraje zależne od importu energii z państw trzecich – by zmniejszać asymetrię zależności, dywersyfikować źródła, szlaki czy technologie, a najlepiej zyskiwać samowystarczalność. By znaleźć motor dla swoich gospodarek. Newralgiczną rolę w tym kontekście odgrywają naturalnie innowacje, a więc m.in. inwestycje w edukację i badania. Innowacyjności i przeobrażeniom o fundamentalnym znaczeniu sprzyjają również – poza nakładami na sektor B+R – zmiany tektoniczne na świecie, w tym przełomy polityczne, wojny i kryzysy. Te naftowe z lat 70. i 80. przyczyniły się do spotęgowania znaczenia gazu ziemnego i Rosji jako jego eksportera (zwłaszcza do Europy, w tym Niemiec), ale też chociażby zwiększenia inwestycji w energetykę jądrową (m.in. we Francji). Rozpad ZSRR i radzieckich powiązań energetycznych skutkował – poza wojną na Ukrainie – m.in. Wielką Grą w Azji Centralnej, której nieco przestrzeloną ambicją było ograniczenie roli Rosji i umożliwienie szerszego dostępu do tamtejszych złóż węglowodorów oraz uruchomienie nowych szlaków eksportu ropy i gazu na Zachód. Obecnie zarówno Amerykanie, jak i Europejczycy pokładają nadzieje w regionalnych surowcach krytycznych, które mogłyby stanowić alternatywę dla tych chińskich i ułatwiać światową transformację energetyczną. Katastrofa elektrowni jądrowej w Fukushimie w 2011 r. skutkowała rewolucyjnymi zmianami nie tylko na rynku i w strukturze generacji energii w Japonii – wieloletnie

zamknięcie wszystkich reaktorów atomowych (aktualnie następuje stopniowe otwieranie części z nich) – lecz także w Niemczech, gdzie przyspieszono odejście od atomu i zintensyfikowano proces *Energiewende*.

Ale przecież z marzeń o niezależności (oraz przyjazności dla klimatu i środowiska) wynikają też transformacja energetyczna Europy i jej pogoń za opłacalnymi sposobami produkcji zielonego wodoru, wykorzystaniem źródeł geotermalnych czy ujarzmieniem mocy fal i pływów oceanicznych. Pogoń ta wymaga dekad badań, prób i omyłek oraz inwestycji w wiedzę i rozwój nowych technologii (z których liczne okażą się niewypałami). W tej przestrzeni eksperci od spraw energetycznych ustępują pola inżynierom i technikom, a prognozy i diagnozy są dużo trudniejsze i obarczone sporym ryzykiem błędu.

Energetyka – jej przyszłość, ale i analiza – łączy się więc ściśle z szeregiem spraw wykraczających poza nią samą i dotykających całkiem nieenergetycznych obszarów. Nierozerwalnie wiąże się z polityką, systemami wartości i rozmaitymi, zmieniającymi się paradygmatami, umiejętnością stymulowania zmian, ale i elastycznością oraz otwartością na nieoczekiwane możliwości i wynalazki. Widać to dobrze przy okazji bieżących niestabilności i niepokojów. Trwające wojny na Ukrainie i na Bliskim Wschodzie oddziałują jednoznacznie nie tylko na rynki energetyczne, lecz także na myślenie o bezpieczeństwie energetycznym oraz zależnościach od państw trzecich, czyli również na politykę międzynarodową. Stwarzają wyzwania, lecz także szanse i nadzieje – na zmiany i innowacje. Korzenie polityczne czy ideologiczne konkretnych strategicznych decyzji energetycznych łatwo także dostrzec w ostatnich działaniach administracji Trumpa, zielonej transformacji w UE, polityce eksportowej Rosji i chińskim stymulowaniu rozwoju czystych technologii.

W rezultacie poza dobrą orientacją w podstawowych danych oraz umiejętnością szacowania zysków i strat na poszczególnych rynkach analiza zagadnień energetycznych nakazuje uwzględniać to, co Waszyngton, Bruksela i Berlin, Moskwa i Pekin, ale też Bratysława, Belgrad czy Kiszyniów uznają za strategicznie i politycznie najważniejsze, oraz metody, którymi starają się do tego dążyć. Ważna przy tym jest także świadomość własnych ograniczeń – wobec złożoności tematu, przenikania się rozmaitych płaszczyzn i specjalizacji oraz tempa i nieoczywistości zachodzących zmian.

Czy da się przewidzieć przyszłość? Foresight strategiczny w służbie analizy międzynarodowej

Karol Wasilewski

Próby przewidzenia kształtu rzeczywistości międzynarodowej czy choćby dynamiki wewnętrznej w państwach należą do najbardziej karkołomnych zadań analitycznych. Z jednej strony, ze względu na ogromną złożoność relacji międzypaństwowych oraz ograniczoną wiedzę o aktorach i interesach, jaką dysponują nawet najznamienitsi eksperci w danym temacie, cel ten wydaje się wręcz niemożliwy do osiągnięcia. Z drugiej – nie da się od takich prób uciec. Ludzkość od zawsze starała się wyjrzeć poza horyzont teraźniejszości, by przygotować się na to, co nadejdzie, lub przynajmniej trochę oswoić niepewność. Nic zatem dziwnego, że dążą do tego także jedne z najbardziej skomplikowanych „organizmów społecznych" – państwa – które delegują to zadanie na różnej maści badaczy, w ich wiedzy czy intuicji pokładając nadzieję na zrozumienie otaczającego świata.

Czy jednak wykorzystanie ekspertów to aby na pewno idealna metoda przewidywania przyszłości? Czy to, co znajduje się daleko przed nami, da się w ogóle przewidzieć? Czy można pracować z przyszłością, zwłaszcza długoterminową, w sposób usystematyzowany, analityczny i realnie sprzyjający formułowaniu lepszej polityki, w tym zagranicznej i bezpieczeństwa? A może należałoby wreszcie spojrzeć prawdzie w oczy, raz na zawsze oznajmić, że funkcja prognostyczna instytucji analitycznych to bzdura, i dzielnie powtórzyć za wieszczem „szabel nam nie zabraknie, szlachta na koń wsiędzie, ja z synowcem na czele, i – jakoś to będzie!"?

Zanim zaczniemy odpowiadać na te pytania, jedno zastrzeżenie: ten esej będzie dotyczył głównie ustrukturyzowanej refleksji o przyszłości, szczególnie tej dalszej. Zagadnieniem przewidywań niezbędnych „na już" – np. w odpowiedzi na pilne zapotrzebowanie decydenta – zajął się w tym tomie Marek Menkiszak (*vide* rozdział *Sztuka pisania...*). Nie oznacza to, że przedstawione tu przestrogi czy drogi postępowania nie mogą wzbogacić prognoz krótkoterminowych, niejednokrotnie obwarowanych przez zamawiających specjalnymi warunkami. Warto jednak mieć na uwadze to rozróżnienie – choćby po to, żeby nadmiernie nie komplikować materiałów, które tego nie wymagają (i na odwrót – aby nie pójść na łatwiznę, gdy czekająca nas praca wydaje się wyjątkowo ambitna). Wszak – z czym zgodzi się chyba każdy pracownik Ośrodka Studiów Wschodnich – tekst napisany jest zawsze lepszy niż tekst wiecznie powstający. Pojmowanie tej różnicy przydaje się też do prowadzenia klarownej komunikacji ze zleceniodawcą – niejednokrotnie wytłumaczenie, co za pomocą analizy danego rodzaju może osiągnąć, a czego nie, pozwala uniknąć frustracji z powodu błędnych oczekiwań albo po prostu zbudować zaufanie pomiędzy nim a zespołem eksperckim.

Czym jest – i czym nie jest – badanie przyszłości?

Pamiętam swoje pierwsze poważniejsze zetknięcie z przyszłością na polu analitycznym. Doszło do niego na studiach, a przedmiot nazywał się „Prognozowanie w stosunkach międzynarodowych". Na zaliczenie mieliśmy przygotować właśnie długoterminową prognozę, która w pierwszej kolejności powinna sprawiać wrażenie poważnej. No cóż, sprawiała. Byliśmy już studentami trzeciego roku – starymi wyjadaczami – a więc wiedzieliśmy, że kluczem do wykonania tego zadania jest zaimponowanie prowadzącemu. Dostał od nas grubą teczkę dotyczącą państwa, o którym nie wiedział zbyt dużo (prawdę mówiąc, my również). W środku znajdowały się rzeczy niemające niemal żadnego znaczenia, ale opowiedzieliśmy o nich tak, jakby były najważniejszymi odkryciami w dziedzinie stosunków międzynarodowych. Nasze pozoranctwo zostało nagrodzone zaliczeniem.

Epizod do zapomnienia, w sam raz na miarę zajęć, z których wyniosłem w zasadzie jedno – cytat z wykładowcy, że „prognozowanie jest niepewne, bo przyszłość jest niepewna". Czy student – skupiony na ukończeniu studiów I stopnia wymagających poświęcenia uwagi sprawom fundamentalnym, zwłaszcza przygotowaniu pracy dyplomowej – mógł podejść poważnie do zadania, które od samego początku przedstawiano jako w zasadzie niewarte powagi?

Mógłby, gdyby wiedział, dlaczego i po co ma się nim zajmować. Podstawę sensownych rozważań nad przyszłością stanowi świadomość, do czego one

służą, co mogą dać, ale przede wszystkim – czego dać nie mogą. To fundament, którego niezrozumienie będzie skutkowało szeregiem nieporozumień, w tym newralgicznym – przekonaniem, że analiza czy badanie przyszłości dają łatwą do wypełnienia obietnicę jej przewidzenia.

Niestety, założenia dyscypliny od razu zabijają tę nadzieję. Podkreślają one trzy zasady:

1. **Przyszłości nie da się przewidzieć** – na jej kształtowanie wpływa zbyt wiele zmiennych niedających się ostatecznie zważyć, przynajmniej nie w ramach „oprogramowania", które mamy w mózgach, bez wsparcia przykładowo doskonałej sztucznej inteligencji;
2. **Przyszłość nie jest zdeterminowana** – nie istnieje jeden czynnik, „Święty Graal", bezwzględnie ją determinujący. Zarazem niektóre z jej ścieżek są bardziej prawdopodobne niż inne, choćby ze względu na zaznaczające się w rzeczywistości trendy, które im sprzyjają;
3. **Przyszłość może być częściowo kształtowana przez nasze wybory** – w niesprzyjających okolicznościach, zarysowanych przez dwa pierwsze punkty, jedyne, co możemy zrobić, to spróbować oddziaływać na nią w taki sposób, aby stała się nieco bardziej korzystna; zdefiniować – a później zdyskontować – tworzone przez nią szanse oraz określić związane z nią ryzyka i zabezpieczyć się przed nimi. Rzecz jasna ten punkt będzie miał inne znaczenie – i zastosowanie – w przypadku potężnych państw czy korporacji międzynarodowych, a inne w odniesieniu do jednostek. Odmiennie podejdą też do niego różne społeczeństwa – te nastawione fatalistycznie, przekonane o kluczowej roli przeznaczenia trudno będzie namówić do podjęcia jakichkolwiek działań, natomiast te o nieco bardziej entuzjastycznym usposobieniu zaczną mnożyć przykłady, jak należy formować przyszłość, choćby poprzez aktywizm na szczeblu wspólnot lokalnych.

Te trzy reguły wyznaczają dość skromne pole dla każdego, kto chce się zabrać za analizowanie przyszłości. Wskazują, że próby jej przewidzenia – czego nieraz domagamy się od ekspertów – są skazane na niepowodzenie. **Sens ma za to wysiłek zmierzający do zbadania elementów, które najpewniej wpłyną na przyszłość, rozważenie szans i zagrożeń, jakie się z nimi wiążą, a następnie zastanowienie się, jakie zająć wobec nich stanowisko.**

Tym właśnie zajmuje się foresight strategiczny. Najprościej rzecz ujmując, to ustrukturyzowana refleksja o przyszłości, która służy podejmowaniu lepszych decyzji. Osobiście najbardziej lubię jego definicję proponowaną przez European Union Institute for Security Studies. Wskazuje ona, że foresight tworzą w istocie trzy elementy: wybór, decyzja oraz działanie, i nazywa go ćwiczeniem intelektualnym, projektowanym, aby:

- pomóc decydentom w dokonywaniu wyborów i decydowaniu;
- stawiać wyzwania utartym przekonaniom i szeroko akceptowanym teoriom czy doktrynom, które często stoją za błędnymi rozstrzygnięciami (któż z nas nie widział zaskoczonego decydenta argumentującego: „ale przecież zawsze było inaczej!"?);
- pomóc skupić uwagę i zasoby – określić, co w przyszłości jest dla nas ważne, czego absolutnie nie wolno nam przegapić, na co musimy się przygotować, a co jest nieistotne lub wykracza daleko poza nasze możliwości oddziaływania;
- wspierać przewidywanie niektórych zdarzeń i zapobieganie im (najprostszy przykład z pokrewnej dziedziny stanowią procedury zarządzania ryzykiem).

Jak to się robi?

Dobry projekt foresightowy wymaga jak najdokładniejszego zdefiniowania zagadnienia badawczego. W ramach tego początkowego etapu warto poszukać odpowiedzi na dwa pytania: **przyszłość czego** interesuje decydenta i **jakie konkretnie aspekty tej przyszłości** uznaje za newralgiczne. Niezbędne jest również określenie, **jaki horyzont czasowy** ma być punktem odniesienia. W ten sposób zawężimy pole badawcze projektu i upewnimy się, że będzie on odpowiadał na potrzeby osoby go zlecającej.

Tę kwestię dobrze zobrazować przykładem. Gdyby w 2025 r. zapytać polskich rządzących, jaka kwestia związana ze stosunkami międzynarodowymi nie pozwala im spać po nocach, zapewne oznajmiliby, że przyszłość porządku międzynarodowego. To bardzo szerokie zagadnienie, w którym mieszczą się tak odległe od siebie tematy jak dystrybucja potęgi między głównymi mocarstwami, czynniki decydujące o jej posiadaniu czy to, do jakiego stopnia relacje te będą w ogóle sterowane przez człowieka. Próba doprecyzowania pytania skutkowałaby najprawdopodobniej zawężeniem listy wątków. Okazałoby się, że naszych decydentów interesują rzeczy najistotniejsze z punktu widzenia polityki zagranicznej i bezpieczeństwa państwa, jak obecność Stanów Zjednoczonych w Europie, przetrwanie i forma Unii Europejskiej oraz zasadniczo ładu politycznego na kontynencie czy kurs Rosji i Chin. To tak zwane **kluczowe niepewności**, czyli najbardziej zajmujące, najistotniejsze pytania dotyczące tego, co przed nami.

Zdefiniowanie pytania badawczego to pierwszy krok do planowania całego projektu. Zazwyczaj na to przedsięwzięcie składają się trzy elementy, które można opisać jako **badanie, scenariuszowanie i strategizowanie**. Scharakteryzujmy pokrótce każdy z nich.

Pierwszy etap – **badanie** – to długotrwały proces, w ramach którego analizuje się elementy mogące modyfikować przyszłość interesującego nas zjawiska. Niestety nie ma „złotej" zasady organizowania działań tego typu, którą dałoby się zastosować do każdego projektu. Szukając wspólnego mianownika, można powiedzieć, że foresighterów najczęściej interesują:

- Sygnały zmian – są najmniejszymi „dziećmi przyszłości", czasem określanymi mianem przejawów przyszłości w teraźniejszości. To zmiany jeszcze niedojrzałe i niepowszechne, lecz zwiastujące, że dobrze nam znane zjawisko (metoda wykonywania czynności, produkt czy usługa, proces czy polityka) może niedługo wyglądać inaczej. Przykład? Choćby fala oburzenia, która zalała internet, gdy okazało się, że niektóre portale newsowe dostarczają czytelnikom treści generowane wyłącznie przez sztuczną inteligencję (dziś już nikogo to nie dziwi, ale jeszcze kilkanaście miesięcy temu, kiedy „pionierzy" tej praktyki przyznali się do jej stosowania, powszechnie pytano, czy tak może wyglądać przyszłość mediów);
- Trendy – wskazują długotrwały kierunek zmian już widocznych w rzeczywistości i mają potencjał dalszego przekształcania jej zgodnie z nim. Warto zwrócić szczególną uwagę na ten ostatni element – nieświadomość tego, że trendy posiadają jakiś wektor, sprawia, że niekiedy tym terminem błędnie nazywa się zjawisko, które ledwo się wyłoniło, lub po prostu modę. W przykładzie ze sztuczną inteligencją trendem mogłoby być coraz częstsze wykorzystanie jej do [tutaj wstawić dowolną czynność], poparte danymi potwierdzającymi ten wzrost. Należy dodać, że dobra analiza trendów wymaga też zastanowienia, jakie czynniki mogą je zaburzyć. W ten sposób można obejść skłonność do traktowania danego trendu jako pewnika, który musi być kontynuowany (przykładem pułapki, w jaką może wpędzić takie myślenie, jest mem, na którym mężczyzna z lat 60. ubiegłego stulecia siedzi w samolocie przy suto zastawionym stole i mówi do żony „skoro teraz jest tak bogato, to wyobraź sobie, jak będzie wyglądało latanie za 50 lat");
- Nośniki zmian (ang. *drivers of change*) – zazwyczaj to szersze przemiany o charakterze społecznym, politycznym itp. napędzające trendy z innych sfer. Przykładowo „starzenie się populacji zachodnich" może być nośnikiem zmian dla trendów związanych z wydłużaniem obecności seniorów na rynku pracy, wzrostem znaczenia profilaktyki w systemie ochrony zdrowia itd. Z kolei nośnikiem zmian dla rosnącego wykorzystania sztucznej inteligencji w przedsiębiorstwach mogłaby być trudna sytuacja demograficzna w państwach Zachodu, a zwłaszcza niedobór rąk do pracy, wymuszający jej automatyzację.

W poszukiwaniu tych trzech zjawisk futurolodzy udają się w analityczną podróż w różne obszary życia. Badają sferę polityczną, ekonomiczną, społeczną, technologiczną, prawną, środowiskową, a czasem nawet etyczną, jak również poszukują interakcji między nimi. Ponieważ do ważnych zadań foresightu należy podawanie w wątpliwość utartych przekonań, śledzą nie tylko trendy, lecz także bodźce, które mogą spowodować ich zaburzenie czy załamanie. Jest to zatem zazwyczaj proces długotrwały i szczegółowy. To kolejny powód, dla którego tak istotną rolę odgrywa zdefiniowanie w pierwszym kroku podstawowych obaw decydentów. Pozwalają one zawęzić materiał zgromadzony na etapie badania do spraw absolutnie dla nich pierwszoplanowych. Tę pracę wykonuje się najczęściej przy użyciu metod pozwalających przepuścić go przez filtry prawdopodobieństwa czy siły wpływu na podmiot zamawiający ekspertyzę.

Drugi etap – **scenariuszowanie** – definitywnie niesie największe kontrowersje i nieporozumienia. Zgodnie z popularnym przekonaniem warianty przyszłości winno się szeregować według prawdopodobieństwa (najbardziej prawdopodobny, średnio prawdopodobny, najmniej prawdopodobny) lub pożądalności (najlepszy, średni, najgorszy z perspektywy podmiotu zamawiającego).

W odniesieniu do analizy długoterminowej podejście to nie wydaje się najrozsądniejsze co najmniej z dwóch przyczyn. Pierwsza wynika ze wspomnianych podstaw dyscypliny – skoro przyszłości nie da się przewidzieć, to jaki sens ma układanie jej scenariuszy pod kątem prawdopodobieństwa? Druga jest bardzo pragmatyczna – ludzie z reguły skupiają się tylko na jednym wariancie, oczywiście tym najbardziej prawdopodobnym czy najbardziej pożądanym – co powoduje, że cała analiza staje się w sumie niepotrzebna. Dzieje się tak, ponieważ:

- ciążą ku scenariuszom potwierdzającym ich intuicję (co z obalaniem ich uprzedzeń i błędnych teorii?);
- koncentrują się na tym, co już wiedzą i rozumieją (co z pomocą w podejmowaniu lepszych decyzji?);
- ignorują te zdarzenia, które mogą ich zaskoczyć, gdyż uznają je za tak nieprawdopodobne, że niewarte uwagi (co z antycypacją i przygotowaniem?).

Badacze przyszłości długo zmagali się z tymi przeszkodami. Przezwyciężyło je tzw. **podejście oksfordzkie**, które wyznaczyło kilka zasad opracowywania scenariuszy. Przede wszystkim powinny one: być trudne do wykluczenia i wiarygodne, traktować o otoczeniu (a nie o podmiocie zainteresowanym ekspertyzą), być przydatne i jednorazowe, a więc ściśle dopasowane do celu strategicznego, oraz stanowić wsparcie w refleksji nad sytuacją decyzyjną. Wdrożenie tych wskazówek ma sprawić, że warianty te lepiej wypełnią szereg zadań stawianych przed foresightem strategicznym. Takie podejście determinuje też inną ich formę niż ta „popularna". Mówi o tym, że scenariusze powinny zarysowywać

szerokie spektrum możliwych przyszłości, idealnie o w miarę wyrównanym stopniu prawdopodobieństwa i pożądalności. Przygotowanie ich w taki sposób wymaga sporych kombinacji analitycznych i uważności. Wysiłek jest jednak wart zachodu, jako że zdejmuje z nich odium materiałów służących przewidywaniu i przenosi ciężar projektu foresightowego na jego kolejny krok, co oznacza, że **warianty stają się wyłącznie narzędziem strategizowania**.

Warto naprawdę mocno wziąć sobie do serca ten ich instrumentalny charakter, gdyż przywiązanie do triady „najbardziej prawdopodobny – średnio prawdopodobny – najmniej prawdopodobny" jest ogromne. Nie zliczę przypadków, w których tłumaczyłem zleceniodawcom, że scenariusze mają naszkicować szerokie spektrum możliwych przyszłości, bo ich celem jest wspomaganie procesu strategicznego, a nie zaspokojenie ego opracowującego je analityka; dobrobyt podmiotu pragnącego wykorzystać foresight, by przemyśleć działania organizacji, a nie spełnienie niedoścignionego marzenia badacza o tym, żeby mógł wyjąć je z szuflady za 10 lat i powiedzieć „oho, ależ trafnie to przewidziałem!". Niemal przy każdym takim projekcie moje starania kończyły się fiaskiem jeszcze w jego trakcie – choć przyznam, że niejednokrotnie miewałem pokusę wejścia w rolę certyfikowanego szamana (wszak z doktoratem!) – lecz owocowały później, po zakończeniu pracy, tak zwanym „momentem aha", tym wspaniałym przebłyskiem zrozumienia uwidaczniającym się dopiero po przedstawieniu ostatecznego raportu.

Do trzeciego etapu – serca projektu foresightowego – przystępuje się wyposażonym w ogrom wiedzy zgromadzonej w trakcie badania oraz zestaw scenariuszy zarysowujących szeroką gamę potencjalnych przyszłości. Wszystkie te materiały zbiera się w sensowną całość, po czym analizuje przez pryzmat szans i ryzyk, jakie poszczególne warianty mogą rodzić dla podmiotu zainteresowanego ekspertyzą, ale też tego, co leży w jego gestii, a co pozostaje poza zasięgiem jego oddziaływania. **Strategizowanie ma zatem pomóc mu skoncentrować uwagę i zasoby na tym, by – lepiej poinformowany i bardziej świadomy okoliczności, które na niego wpływają – podejmował lepsze decyzje.** Optymalna faza końcowa każdego projektu polega na wypracowaniu strategii – dokumentu pokazującego, jak dany zleceniodawca może lepiej przygotować się na przyszłość, wykorzystać szanse, jakie ona rodzi, i zabezpieczyć się przed związanymi z nią ryzykami.

A po co nam ta przyszłość?

Trudno przekonująco udowadniać, że budowanie strategii w oparciu o analizę przyszłości to potrzeba pierwszego rzędu. W otaczającej nas rzeczywistości bez problemu odnajdziemy wystarczająco dużo przykładów potwierdzających,

że da się żyć zgodnie z umieszczonym we wstępie cytatem z Mickiewicza. Bez wątpienia można prowadzić działalność gospodarczą – ba, nawet rządzić państwem! – bez głębszego namysłu nad tym, co czeka nas za rok, pięć czy dziesięć lat, i bazującego na nim planowania. Podejście takie to jednak prosta droga do obniżenia jakości procesów decyzyjnych, a co za tym idzie – szans na sukces lidera i rozwój organizacji, której przewodzi.

Nic więc dziwnego, że foresight strategiczny stosują administracje licznych państw uważanych za rozwinięte, jak USA (raport *Global Trends*), Wielka Brytania (przedsięwzięcia rządowego Biura ds. Nauki) i Francja (specjalna jednostka przy Ministerstwie Rolnictwa). Jako instrument usprawniający projektowanie polityk publicznych promuje go też Organizacja Współpracy Gospodarczej i Rozwoju (OECD), a jego zalety dostrzegła również Polska, gdzie powstał projekt Koncepcji Rozwoju Kraju 2050. Jakie podstawowe korzyści płyną z wdrażania ustrukturyzowanej refleksji o przyszłości?

Po pierwsze pomaga ona lepiej pojąć kluczowe czynniki mogące pozytywnie lub negatywnie wpłynąć na dobrobyt analizującego. W ramach rozbudowanego przewodu badawczego rozważa się bogatą paletę zmiennych i powiązania między nimi, a do tego waży ich znaczenie i ogranicza „widzenie tunelowe", nierzadko kierujące uwagę zamawiających ekspertyzę wyłącznie na jeden – niekoniecznie najważniejszy – aspekt problemu. Ostatecznie ma to służyć podejmowaniu przez nich bardziej świadomych decyzji i szybszemu adaptowaniu się do zmieniającego się otoczenia.

Po drugie foresight porządkuje procesy decyzyjne. Kompleksowa analiza bodźców, które będą oddziaływały na przyszłość danego zjawiska, umożliwia wyznaczenie ich hierarchii. W trakcie projektu ustala się, co stanowi nową jakość, a co zaledwie powtarza motywy znane z historii. Próbuje się też dojść do tego, co ma znaczenie teraz, jakie są szanse na to, że to znaczenie się utrzyma, a jakie na to, że wyblaknie wskutek innych, dużo ważniejszych czynników – choćby ze względu na ich strukturalny charakter.

Trudno przecenić zalety takiego podejścia dziś, gdy opinia publiczna – a wraz z nią decydenci i doradzający im eksperci – jest nieustannie bombardowana wydarzeniami, na które ludzkość nie zwróciłaby najmniejszej uwagi, gdyby nie zostały one opakowane w sensacyjne i ostre sformułowania, aby przypodobać się bożkom współczesności – algorytmom. W tym sensie ustrukturyzowane rozważania nad przyszłością pozwalają uczestniczącym w nich ludziom odzyskać utracony przez większość z nas zasób – uwagę. Jak przekonuje książka Johanna Hariego pt. *Złodzieje. Co okrada nas z uwagi*, bez niej i **bez zdolności dłuższego skupienia nie ma mowy o rozwiązywaniu problemów i strategizowaniu**.

Ta zaleta i związane z nią bolączki wiążą się ściśle z następnym zagadnieniem. Otóż żyjemy w okresie głębokich zmian, dokonujących się w zasadzie

we wszystkich obszarach rzeczywistości. Trudno znaleźć jednoznaczne odpowiedzi nawet na tak ważkie pytania, jak te o przyszłość zaangażowania Stanów Zjednoczonych na świecie, globalizację (która dotychczas wyznaczała kierunek ewolucji gospodarczej), sposób, w jaki ludzkość będzie wytwarzała energię, „nadchodzącą falę" technologii – posługując się słowami Mustafy Suleymana, popularyzatora tego pojęcia – i jej oddziaływanie na człowieka i zbiorowości czy wreszcie o to, jak w obliczu tych wszystkich nowych uwarunkowań będzie wyglądał ład polityczny na świecie. To nagromadzenie punktów krytycznych w rozmaitych sferach funkcjonowania państw i społeczeństw próbuje się zaprezentować za pomocą różnych etykiet, przy czym te najpopularniejsze to chyba „polikryzys" i „problemy związane" (ang. *wicked problems*). Mają one odzwierciedlać wzajemne powiązania tych obszarów i fakt, że próby rozplątania węzłów w jednym (np. energetyki) pociągną za sobą kłopoty w innym (gospodarczym lub społecznym).

Niektórzy badacze nazywają teraźniejszość czasami „radykalnej niepewności" i twierdzą, że kluczem do ustrukturyzowania – celowo nie piszę „rozwiązania" – wspomnianych problemów jest użycie metod dających szanse na przygotowanie się do możliwie wielu wariantów przyszłości. Taka analiza pozwala dostrzec, że rzeczywistość nie jest jak puzzle, które da się ułożyć tylko w jeden właściwy sposób. Umożliwia przetestowanie różnych opcji, którymi może zaowocować nawarstwienie się daleko idących przeobrażeń społecznych, politycznych, ekonomicznych, technologicznych itd., oraz ich wizualizację w ramach procesu scenariuszowego. W kolejnym kroku badacz zauważa, które z tych ścieżek mogą prowadzić do szczególnych ryzyk, a ostatecznie – potrafi zaprezentować polityki, dzięki którym decydenci zwiększą prawdopodobieństwo wykorzystania szans generowanych przez te zmiany i ochronienia obywateli przed związanymi z nimi zagrożeniami.

Ostatni walor ustrukturyzowanej refleksji o przyszłości, na który zwrócę uwagę w tym eseju, to jej przydatność w kontekście redukowania największej ułomności ekspertów – niezbyt wprawnego/zręcznego radzenia sobie z przewidywaniem. Owej ułomności dowiodły choćby badania Philipa Tetlocka z początku tego stulecia. To niezwykle skomplikowane zagadnienie, na które składa się również ciekawy wyjątek od reguły w postaci personelu Biura Wywiadu i Badań Departamentu Stanu USA służącemu tamtejszym dyplomatom. Na potrzeby niniejszego tekstu wspomnę tylko, że na szczęście późniejsza działalność tego amerykańskiego analityka przyniosła wskazówki, jak możemy zwiększyć skuteczność swej analizy przyszłości i zyskać status „superprzepowiadaczy". Tetlock radzi m.in. gromadzić dane z różnych źródeł, myśleć w kategoriach prawdopodobieństwa, pracować zespołowo oraz uczyć się zdolności absorbowania nowych informacji i przyznawania się do błędu. Wszystkie te działania

powinni realizować eksperci nowoczesnej instytucji badawczej chcącej wykorzystywać foresight strategiczny i jego metody.

Po co to nad Wisłą?

Polska należy do grona państw określanych w stosunkach międzynarodowych mianem „potęg średnich". Termin nie jest może zbyt atrakcyjny, lecz oznacza istotną grupę aktorów, których postrzega się jako stabilizatorów porządku międzynarodowego. To oni – przez uczestnictwo czy dostosowywanie się – legitymizują zasady i instytucje kreowane przez światowe mocarstwa, niejednokrotnie znajdując sobie zarazem przestrzeń do zwiększonej aktywności zewnętrznej w dziedzinach pozostających na uboczu uwagi gigantów.

Z tą pozycją wiążą się też jednak niedogodności, z których przynajmniej dwie należałoby uznać za newralgiczne. Pierwsza, ta oczywista, dotyczy ograniczonych zasobów – państwa średnie, w przeciwieństwie do tych najsilniejszych, nie są w stanie wyraźnie zaznaczać swej obecności w każdym obszarze stosunków międzynarodowych. Druga polega na tym, że ich sytuacja pogarsza się, gdy dotychczasowy porządek – a zwłaszcza stanowiące jego część normy i instytucje – „trzeszczy", a mocarstwa przystępują do jego renegocjacji. W najlepszym wypadku potęgi średnie mogą wówczas stać się adresatami „ofert" przedstawianych im przez strony sporu o przyszłość porządku międzynarodowego. W najgorszym – czekają na jego wyłonienie się z konfrontacji potęg, które przynajmniej tymczasowo mają inne priorytety niż kuszenie i pozyskiwanie sojuszników. W 2025 r. brzmi to niezwykle znajomo, nieprawdaż?

Foresight strategiczny wdrożony na potrzeby polityki zagranicznej i bezpieczeństwa niweluje niedostatki wynikające z obu tych niedogodności. Pierwsza oznacza w gruncie rzeczy, że państwa średnie muszą być przy podejmowaniu decyzji „mądrzejsze" – lepiej rozumieć szanse i ryzyka płynące z poszczególnych sfer czy kierunków, a następnie alokować zasoby i wysiłki tam, gdzie będą one miały największe szanse przełożyć się na sukces. Druga wymaga zarówno bieżącej orientacji w głównych osiach sporu pomiędzy czołowymi mocarstwami, jak i starań o „przewidzenie" tego, jak się owe osie ułożą w poszczególnych obszarach, i zabezpieczenia się przed związanymi z tym ryzykami.

W scenariuszu najbardziej optymistycznym – i chyba najbardziej pasującym do obecnej sytuacji Polski, poszukującej choćby sposobów pozytywnego oddziaływania na przemyśliwujące przyszłość własnego zaangażowania w bezpieczeństwo europejskie Stany Zjednoczone – zastosowanie metod foresightowych może wzmocnić możliwości oddziaływania potęg średnich w momencie globalnej zmiany. Mogłoby temu służyć dookreślenie przez nie narzędzi oraz projektowanie ofert, które mocarstwa mogłyby uznać za korzystne dla ich interesów.

Nietrudno wyobrazić sobie konkretne przedsięwzięcia mogące uczynić RP odporniejszą na aktualne zawirowania globalne. Foresight obecności USA na Starym Kontynencie, mapa szans i ryzyk przedstawiająca podstawowe trendy wpływające na przyszły kształt porządku międzynarodowego (polityczne, gospodarcze, społeczne, technologiczne itd.), badanie zmian technologicznych, które przeorientują dotychczasowe sposoby funkcjonowania dyplomacji i zasadniczo przeobrażą stosunki międzynarodowe czy analiza scenariuszy konfliktów zbrojnych wspomagająca przemyślenia nad tym, jak powinna wyglądać armia przyszłości, to najbardziej oczywiste propozycje.

Ich realizacja miałaby jeszcze dodatkową zaletę: przy mądrym poukładaniu projekty te – a raczej wypracowywane w ich ramach strategie – mogłyby pośrednio wesprzeć namysł i prace nad nowym modelem rozwojowym Polski. Opartym nieco mniej na Mickiewiczowskim spontanie, a bardziej na zasobie, którego w ciągu ostatnich 30 lat dorobiło się nasze państwo – kapitale intelektualnym instytucji analitycznych i, jak to w przypadku foresightu bywa, ich współpracy.

Niemcy na kozetce, czyli jak analizować i nie zwariować

Anna Kwiatkowska

Niemcy to kraj, którego nie da się analizować w pojedynkę: jest zbyt duży, zbyt wpływowy, zbyt złożony. Mimo pozornej przejrzystości – setek dokumentów, debat i procedur – pozostaje trudny do uchwycenia bez głębokiej znajomości wewnętrznych kodów: kultury politycznej, rytmu instytucji, nieformalnych reguł gry. Dla Polski to partner szczególny – nie tylko ze względu na historię oraz powiązania polityczne i gospodarcze, lecz także silne emocje, jakie wywołuje. Niemcy rzadko traktuje się jak „normalny" kraj, a eksperci, którzy się nimi zajmują, bywają odbierani jako podejrzani – zanadto bliscy albo zbyt krytyczni, zanadto zaangażowani lub zbyt chłodni.

Ten tekst to nie podręcznik akademicki ani prywatny dziennik, lecz wyimki z praktycznego przewodnika po pracy eksperckiej, opartego na wieloletnim doświadczeniu. Konkretny i zarazem osobisty, subiektywnie opisuje trudy analizowania Niemiec z perspektywy Warszawy – zwłaszcza dziś, gdy trwa szeroko zakrojona transformacja i RFN, i stosunków polsko-niemieckich.

Analizowanie polityki Niemiec to zadanie fascynujące i niezwykle trudne. Fascynujące, bo mówimy o państwie po prostu ciekawym, bogatym – i to nie tylko w historię – ale też w jakiś sposób tragicznym. Kraju, w którym przez dekady widziano filar stabilności porządku europejskiego, motor integracji i wzór demokratycznego państwa prawa. Dziś następuje jednak głębokie przeobrażenie tego wizerunku. RFN przeżywa moment przesilenia: gospodarka utknęła w stagnacji, trwająca wojna na Ukrainie obnażyła złudzenia wcześniejszego kursu (nie tylko wobec Rosji), a scena polityczna ulega tektonicznym

przekształceniom – zwiększa się siła nowych ugrupowań, pogłębia kryzys zaufania do instytucji i osłabiają partie głównego nurtu.

Właśnie ta mieszanka: wciąż ogromna siła i wpływy w Europie – ale równocześnie narastające słabości, napięcia i błędy przeszłości – czyni z tego kraju ważny, a zarazem bardzo wymagający obiekt analizy. Szczególnie dla kogoś z Polski – sąsiada, partnera gospodarczego, byłego ucznia, czasem także krytycznego recenzenta. Niemcy przyciągają powagą, złożonością i systemowością, ale dziś coraz częściej również niepokoją – z powodów politycznych i historycznych oraz kulejącej gospodarki.

W tym tekście przedstawionych zostanie zaledwie kilka aspektów kultury politycznej RFN, które – z punktu widzenia obserwacji uczestniczącej – zasadniczo wpływają na codzienną pracę analityka. Czytelnik nie pozna wszystkich tajemnic warsztatu, z trudem wypracowanych wraz z nieocenionym Zespołem zajmującym się Niemcami w Ośrodku Studiów Wschodnich. Nikt nie rości sobie też prawa do wyczerpania tematu. Kraj ten da się badać na dziesiątki sposobów, w zależności od przyjętej perspektywy, narzędzi i instytucjonalnego punktu siedzenia, lecz istnieją pewne cechy, z którymi – niezależnie od metod – prędzej czy później zetknie się każdy, kto spróbuje „czytać" Republikę Federalną. I właśnie o nich będzie mowa w drugiej części eseju, zaraz po krótkiej prezentacji państwa w duchu utworu *Deutschland* grupy Rammstein: *„Deutschland, Mein Herz in Flammen, Will dich lieben und verdammen"* (Niemcy, moje serce w płomieniach, chcę was kochać i przeklinać/potępiać) – do którego odsłuchania, wraz z przestudiowaniem słów, gorąco zachęcam.

Czytelnik dowie się, jakie przyczyny systemowe sprawiły, że mamy do czynienia z trudnym obiektem analizy: po pierwsze – na przykładzie Nord Streamu – jak Niemcy, przekonane o słuszności swoich planów, potrafią być skuteczne. Tak bardzo, że – ujmując to obrazowo – są w stanie popełnić samobójstwo, niestety rozszerzone. Po drugie uwaga zostanie skierowana na ich polityczną i medialną transparentność, rozbudowany aparat legislacyjny i bogactwo źródeł, by uznać, że z jednej strony to błogosławieństwo, a z drugiej jednak przekleństwo – bo zamiast deficytu danych mamy do czynienia z ich nadmiarem. To zaś oznacza godziny spędzone na analizowaniu dokumentów, stenogramów z Bundestagu, opinii interesariuszy, komisji i think tanków. A wcześniej rozpoznanie, nad którymi z nich warto ślęczeć, które są „relewantne dla systemu". I po trzecie opisana zostanie tamtejsza kultura kompromisu – sama w sobie szlachetna, ale od analityka wymagająca niekończącego się śledzenia stanowisk wszystkich stron, zanim cokolwiek da się powiedzieć z przekonaniem i wyciągnąć konkretne wnioski. Kultura czasem zabójcza dla państwa, gdyż nierzadko przynosząca paraliż decyzyjny. Na koniec w centrum zainteresowania znajdzie się specyfika tzw. berlińskiej bańki ekspertów, dziennikarzy i polityków,

którzy często tworzą zamknięty obieg opinii, replikując te same tezy i źródła. Dla kogoś z zewnątrz to środowisko bywa trudne do prześwietlenia, a jeszcze trudniejsze do przeniknięcia.

W trzeciej części odbiorca pozna kłopoty powstające w stosunkach badaczy znad Wisły ze światem eksperckim i politycznym w RFN. Będzie o tym, jak wyglądają te kontakty w praktyce – na konferencjach, w kuluarach, codziennej korespondencji i relacjach zawodowych. Co nas różni, co łączy, dlaczego czasem niełatwo nam się zrozumieć – i dlaczego mimo wszystko warto próbować.

Wreszcie w ostatnim rozdziale znalazła się refleksja nad tym, jak trudno być analitykiem ds. Niemiec... w Polsce. Tu są one nie tylko przedmiotem badań. Są symbolem. Upraszczając – dla jednych wzorem nowoczesnego państwa prawa i europejskiej racji stanu oraz ideałem, do którego należy dążyć, dla innych ucieleśnieniem interesów sprzecznych z polską racją stanu, a nawet trwałym obiektem nieufności i wrogości – zagrożeniem. Przez ostatnie trzy dekady dało się zaobserwować, jak łatwo u nas popaść w pułapkę bezkrytycznego zachwytu albo – wręcz przeciwnie – skrajnego resentymentu. Analityk próbujący trzymać się faktów ryzykuje w tej sytuacji, że zostanie od razu zaszufladkowany. Uniknięcie powyższej pułapki jest bardzo trudne, choć nie niewykonalne.

1. Dojczland

„Profesor Otto Gottlieb Schmock
Pracuje już dziesiąty rok
Nad dziełem, które za tyleż lat
Przeczyta kulturalny świat:
Gott, Kaiser, Deutschland und Proletariat.
Profesor Schmock jest zdania, iż
Niemcy – to boża stal i spiż,
Z których sam Stwórca dla swej chwały
Wykuł na zawsze pomnik trwały [...]
A jednak – mimo owych prawd [...] –
Byłoby *nett und gut und fein*
(*Lieb Vaterland magst ruhig sein!*)
Zbadać *noch einmal* plon kultury
I na podstawie konjunktury
Najnowszych studjów oraz badań,
Beitragów, zdań, dociekań, zadań,
Wyświetlić *gründlich*; czy czasami
(Zgodnie z wszystkiemi badaniami)
Kraj, mimo swego dobrobytu,
Swej niezłomności i rozkwitu,
Patrjotyzmu, konstytucji,
Nie potrzebuje rewolucji?"

Julian Tuwim, *Rewolucja w Niemczech* (fragment), 1919

Fascynujący kraj... (*Deutschland, ich will dich lieben*)

Niemcy to kraj, który fascynuje nie tylko ze względu na swoje znaczenie polityczne czy gospodarcze. Na pierwszy rzut oka – zwłaszcza z punktu widzenia badacza – może się wydawać zbyt znany, przewidywalny, wręcz zrutynizowany. Ale im głębiej się weń wchodzi, tym bardziej wciąga: zaskakuje rozmiarem, skalą wewnętrznych kontrastów, gęstością życia

instytucjonalnego i siłą oddziaływania, które nie zawsze widać wprost. To państwo, które trzeba śledzić w trybie ciągłym – i do którego nie da się podejść z marszu ani ad hoc.

Zaczyna się niewinnie – od krajobrazów, które – choć dla analityka pozornie drugorzędne – mówią wiele o tożsamości kraju. To rzadki przykład państwa mającego dostęp do dwóch mórz oraz jednocześnie wysokich Alp. Na jego mapie mieszczą się fryzyjskie wyspy, jeziora Meklemburgii, średniowieczne miasteczka Turyngii i zagłębia przemysłowe. Gdy doda się kilkanaście parków narodowych i blisko setkę regionalnych rezerwatów przyrody, zaczyna się pojmować, dlaczego RFN przyciąga rocznie ponad 30 mln zwiedzających. A przy tym turystyka to jedynie pretekst do wejścia głębiej – prawdziwa siła tkwi w różnorodności regionalnej: w Bawarii mówi się innym niemieckim niż w Hamburgu, a Saksonia i Nadrenia różnią się nie tylko krajobrazem, lecz także stylem życia, światopoglądem, tradycją polityczną i historią.

Kolejnym źródłem fascynacji jest społeczeństwo – zróżnicowane jak mało które w Europie. Nasz zachodni sąsiad ma najwięcej mieszkańców wśród wszystkich członków Unii Europejskiej – ponad 84 mln – z czego niemal 30% to ludzie o korzeniach migracyjnych. Znaleźć tu można wszystko: supernowoczesne osiedla Berlina, wiejskie regiony Turyngii, robotnicze miasta Westfalii i wielokulturowe dzielnice Frankfurtu. A w każdym z tych miejsc działa inna kombinacja norm i wartości oraz występują inne problemy społeczne.

Do tego dochodzi scena polityczna – system federalny złożony z 16 landów, które dysponują realną władzą i często starają się realizować bardzo różne interesy. To nie państwo myślące unitarnie – to państwo, które musi negocjować swoje *modus vivendi* codziennie od nowa, bowiem federalizm nie jest wyłącznie konstytucyjnym zapisem, lecz strukturą realnie kształtującą każdą decyzję: od energetyki po edukację, a nawet bezpieczeństwo. Dla analityka oznacza to równoległe śledzenie wielu poziomów debaty, z których każdy ma swoich aktorów, źródła i dynamikę. Nie ma jednej „debaty niemieckiej" – istnieje ich wiele, a żadna nie mówi wszystkiego. Dlatego zresztą nie da się monitorować i badać Niemiec w pojedynkę.

To także kraj, który – choć przegrał dwie wojny światowe – wygrał bitwę o to, jak się o nim myśli. Polityka historyczna RFN – często pełna uproszczeń i nadal w ciągłym sporze, również ze sobą, ale przede wszystkim z innymi, w tym z Polską – imponuje jednak systematycznością i skutecznością. Niemcom udało się przekonać świat, że zinternalizowały swoją odpowiedzialność za przeszłość. Potrafiły to następnie zamienić w moralny kapitał, stanowiący dziś – obok bogactwa – jeden z fundamentów ich roli w Europie. To, że mogą mówić o wartościach i instytucjach z pozycji autorytetu, jest po części efektem ich sukcesu w zarządzaniu pamięcią. To zjawisko godne uwagi, ale i analitycznie

niebezpieczne – bo tworzy przewagę narracyjną, którą trudno podważyć, odwołując się tylko do faktów.

Lecz historia Niemiec to nie tylko tragedie XX wieku – to też warstwa architektoniczna i kulturowa, która wciąż żyje w przestrzeni. Od gotyckiej katedry w Kolonii, przez średniowieczne stare miasta Bambergu, Ratyzbony czy Quedlinburga, aż po modernistyczne eksperymenty Bauhausu i zrekonstruowane centra Berlina, Drezna i Frankfurtu nad Menem – w Niemczech architektura wyrasta na składową pamięci politycznej. Ich mieszkańcy są jednocześnie dumni z dziedzictwa i zdolni do krytycznej refleksji nad tym, co owo dziedzictwo znaczy. Przynajmniej niektórzy.

Kultura materialna RFN – rozumiana właśnie jako architektura, urbanistyka, ale też troska o dziedzictwo lokalne – stanowi istotny komponent miękkiej siły tego kraju. Bo tu się wie, że estetyka ma także znaczenie polityczne. Spacer po tamtejszych miastach to lekcja historii w ruchu: z jednej strony zabytki wpisane na listę UNESCO, z drugiej nowoczesne dzielnice i place, które – jak HafenCity w Hamburgu czy stołeczny Potsdamer Platz – pokazują, jak państwo potrafi inwestować w estetykę, funkcjonalność i planowanie przestrzeni. To nie tylko wizytówki dla turystów – to również świadome kreowanie obrazu kraju chcącego łączyć przeszłość z przyszłością, tradycję z innowacją.

Na koniec – gospodarka. Przez dekady Niemcy były wzorem do naśladowania: największy eksporter Europy, w czołówce w tej kategorii na świecie, kraj silnych firm rodzinnych (*Mittelstand*), przykład dobrze funkcjonującej edukacji dualnej i rynek pracy z niskim bezrobociem. Z nominalnym PKB sięgającym powyżej 4 bln euro zajmują dziś czwarte miejsce wśród wszystkich państw globu. Ale to, co naprawdę imponuje, to nie liczby, lecz model – opiewany jako skomplikowany, a zarazem stabilny i odporny na wstrząsy. Tamtejsza gospodarka działała jak dobrze naoliwiony mechanizm, łączący produktywność z dbałością o społeczną spójność. Wydawało się, że ten system jest nie do ruszenia. Wydawało się.

...nad przepaścią? (*...und verdammen*)

Ta maszyna, przez dekady odznaczająca się zegarmistrzowską precyzją, obecnie nie tylko się zacina – ona się sypie. Mimo ogromnego potencjału gospodarczego, politycznego i ludzkiego Niemcy stoją dziś w obliczu kryzysu o charakterze nie przejściowym, lecz systemowym. To nie chwilowa zadyszka – to moment, który każe pytać o to, czy model zbudowany w drugiej połowie XX wieku jest w stanie utrzymać się w realiach XXI stulecia. Coraz więcej znaków wskazuje, że nie.

Wyjątkowo przenikliwą diagnozę tego kryzysu postawił Wolfgang Münchau w książce *Kaput. Koniec niemieckiego cudu gospodarczego* – opowieści o tym, jak i dlaczego przemysłowy gigant popadł w stan zapaści. To lektura obowiązkowa

dla każdego, kto chce rozumieć gospodarkę RFN, ale i źródła aktualnego impasu politycznego i cywilizacyjnego. Pozycja ta – jak zauważa Timothy Garton Ash – bezlitośnie rozkłada na czynniki pierwsze niemiecki neomerkantylizm i ujawnia konsekwencje jego głębokiego sprzężenia z autorytarnymi partnerami – Rosją i Chinami. I choć Münchau nie zamyka furtki dla tamtejszej regeneracji całkowicie, to jego werdykt wydaje się jasny: ten model się wyczerpał.

A symptomy upadku tej formuły widać wszędzie. Gospodarka RFN nie urosła od pandemii, co więcej – od dekady rozwija się ponad dwa razy wolniej niż amerykańska i prawie pięć razy wolniej niż polska. Niemcy, przez lata dumni ze swojej infrastruktury, teraz negatywnie zadziwiają Polaków stanem dróg, kolei i usług publicznych. A przecież nie tylko my dziwimy się, że wciąż używają oni faksów, wolą płacić gotówką oraz masowo skarżą się na niewydolne, niezdygitalizowane urzędy. Wszystko dlatego, że ci zdeklarowani zwolennicy dyscypliny budżetowej padli ofiarą własnego dogmatu. Polityka „fiskalnej anoreksji" sprawiła, że przez lata nie inwestowano w wystarczającym stopniu w infrastrukturę, innowacje i zdolności transformacyjne. A kolejne pokolenia technokratów – z powodu czy to swojej socjalizacji, czy wiedzy o społeczeństwie RFN, znanym z awersji do ryzyka – boją się podejmować decyzje, bo to zbyt drogie, zbyt odważne, zbyt nieprzewidywalne.

Przemysł? Przestarzały. Motoryzacja? Zostawiona w tyle przez USA i Chiny. Transformacja energetyczna? Spóźniona, kosztowna i niespójna. Odejście od energetyki jądrowej, uzależnienie od gazu z Rosji i niewystarczające nakłady na cyfryzację to dziś już nie błędy, lecz kosztowne zaniechania, których skutki odczuwają wszyscy. I to właśnie te zaniedbania – jak pisze Münchau – Niemcy zafundowały sobie same. Dobrowolnie, metodycznie, w imię świętego spokoju.

Ale kryzys w RFN to nie tylko problem przemysłu czy energetyki – to także kryzys społeczny i polityczny. Populacja się starzeje: do 2040 r. aż 9,2% Niemców osiągnie wiek ponad 80 lat. W 2035 r. luka pracownicza może sięgnąć 7 mln osób. W tym samym czasie wzrasta odsetek obywateli mających pochodzenie migracyjne – już obecnie jest ich niemal 30%, w większości młodszych, coraz widoczniejszych społecznie, a jednocześnie wciąż słabo reprezentowanych politycznie. Konflikty etniczne, napięcia kulturowe, antysemityzm – to nie marginalne bolączki, lecz element nowego pejzażu społecznego państwa.

Politycznie Niemcy są krajem coraz głębszych podziałów. Na wschodzie AfD staje się siłą dominującą, na zachodzie nadal funkcjonują tradycyjne partie, ale ich stabilność coraz częściej opiera się na kruchych koalicjach zbudowanych na strachu przed populizmem i utratą władzy. Rosnąca liczba ataków na polityków, zaostrzenie dyskursu medialnego, rozpad wspólnego języka politycznego – to wszystko dowodzi, że tamtejszy konsensus, tak długo chwalony i podziwiany, ulega erozji.

Nie pomaga też niewydolność systemu federalnego, który bardziej utrudnia, niż usprawnia podejmowanie decyzji. Przestarzała administracja, opór landów przed centralizacją i konflikty kompetencyjne widać było jak na dłoni podczas pandemii, ale da się je również zauważyć w tak fundamentalnych sferach jak cyfryzacja, ochrona zdrowia czy reforma edukacji.

Ten zbiór problemów nie składa się w żadną zwartą „katastrofę". RFN to wciąż państwo potężne, bogate i wpływowe. Lecz jest w nim coś pękniętego – coś, co sprawia, że dotychczasowy styl zarządzania przestaje działać. Polikryzys – jak często mówi się dziś w Berlinie – nie jest już wieloogniskowym zagrożeniem z zewnątrz, ale lustrem systemowego wypalenia od środka. Nie zapominajmy jednak: Niemcy, nawet „popsute", nadal mają ogromny potencjał i nigdy nie należy ich przedwcześnie spisywać na straty.

2. Wyimki z kultury politycznej Niemiec – kilka podpowiedzi

W kulturze politycznej każdego kraju istnieją mechanizmy, gesty i instynkty działające bezgłośnie, ale skutecznie. Bez roszczenia sobie prawa do syntezy opisano poniżej niektóre cechy tej niemieckiej oraz kilka obserwacji – subiektywnych, roboczych, lecz przydatnych w codziennej pracy eksperckiej. Nie jest to katalog cech kultury politycznej RFN, ale raczej parę odruchów analityczki, która wbrew ostrzeżeniom Bismarcka od wielu lat z bliska przygląda się, „jak się robi politykę".

Nord Stream – samobójstwo rozszerzone

Wszystko, co wiemy o Niemczech – o ich potencjale, zasobach, instytucjach i doświadczeniu w funkcjonowaniu w UE – czyni z nich państwo teoretycznie mogące przewodzić nowoczesnej Europie. Ale to samo państwo potrafi też z niesłychaną determinacją, niemal siłą inercji, wykorzystać swoje wpływy do forsowania rozwiązań sprzecznych z logiką polityczną, strategiczną, a nawet moralną. Wbrew ostrzeżeniom i ku własnej zgubie. Chyba żaden przykład nie oddaje tego lepiej niż historia Nord Streamu. Wszyscy ją znamy, ale każdy, kto bada Niemcy, musi zapamiętać z niej, by brać pod uwagę, że często będzie miał do czynienia z partnerem głuchym na jakiekolwiek argumenty, bo głęboko przekonanym o własnej racji (misji, prawdzie, zasadach – niepotrzebne skreślić). Ten wątek rozwinę w dalszej części tekstu, tutaj zaś opowiem tylko **o skłonności niemieckiej polityki do bycia zabójczo skuteczną czy skuteczną na śmierć**.

Nord Stream – a zwłaszcza jego nitki trzecia i czwarta – to nie tylko gazociąg. To symbol uporu, a miejscami wręcz ślepoty strategicznej Berlina. Projekt, który miał być dowodem inżynieryjnej sprawności i politycznej niezależności oraz strategii budowania przewag, z czasem stał się ilustracją tego, jak siła

może wypaczać rozsądek. To jednak niesamowite, że dopiero przed samą inwazją Rosji na Ukrainę w 2022 r. grono decydentów i ekspertów, którzy uważali zaangażowanie RFN w Nord Stream 2 za potężny błąd polityczny, największy od czasów zjednoczenia państwa, powoli zaczęło się powiększać. Przez lata Niemcy – niezależnie od składu koalicji rządzącej – dopychały tę inwestycję kolanem, ignorując opór państw Europy Środkowo-Wschodniej, sprzeciw Komisji Europejskiej, presję ze strony USA, a nawet sceptycyzm Francji. Każde ostrzeżenie rozbrajano w białych rękawiczkach „racjonalnymi" argumentami: że to tylko projekt gospodarczy, że niezbędny do przeprowadzenia w kraju transformacji energetycznej, że europejski, bo udział w nim bierze wiele firm z kontynentu, że Niemcy wynegocjowały gwarancje dla Ukrainy, którą przedsięwzięcie omijało, że przecież Rosja potrzebuje europejskiego rynku bardziej niż Europa rosyjskiego gazu itp., itd.

Z perspektywy czasu trudno nie widzieć w tym całego repertuaru tamtejszych technik politycznego przeciągania liny – pozornie racjonalnego, proceduralnie naciąganego. Przedstawianego jako nienaganny, ale ostatecznie głęboko niebezpiecznego i nielojalnego wobec wspólnoty, której RFN chciała przewodzić. To była dominacja ubrana w język konsultacji. Na koniec przeforsowano wszystko, co miało zostać przeforsowane. I choć Nord Streamu 2 – paradoksalnie dzięki Putinowi – nigdy nie uruchomiono, to jego koszty polityczne są dziś wyższe niż dochody z przepływu gazu. Niemcy padły ofiarą tego sukcesu, a zaufanie do nich wśród partnerów z UE i NATO zostało głęboko nadwyrężone.

Dlaczego wciąż warto pamiętać o tej cesze niemieckiej kultury politycznej, którą można nazwać „zabójczą skutecznością"? Bo historia właśnie zatacza krąg. Katastrofa Nord Streamu nie przyniosła trwałej korekty myślenia RFN o zależnościach strategicznych. Wprawdzie pojawiły się oznaki ostrożności – szczególnie wobec Chin – lecz bez zasadniczej zmiany kursu. Przeciwnie, strukturalne cechy niemieckiego modelu, takie jak wiara w sprawczą moc współzależności, presja wielkich koncernów czy lęk przed utratą pozycji mocarstwa eksportowego, pchają Berlin w kierunku powtórzenia tego samego błędu. Niemcy znowu w imię krótkoterminowych korzyści lub ze strachu brną w uzależnienie od państwa autorytarnego. Tym razem nie z braku świadomości, ale mimo niej. Być może po raz kolejny okażą się śmiertelnie skuteczni: świadomie podejmą ryzyko i obudują je językiem odpowiedzialności, po czym pociągną kogoś za sobą, rozszerzając samobójstwo. Ciekawe, kto to będzie tym razem.

Zalew informacji i kultura kompromisu

Przypadek Nord Streamu doskonale pokazuje paradoks polityki RFN – państwa nadzwyczaj zdolnego do kompromisu, a zarazem skłonnego do używania go jako broni taktycznej. Bo ów **kompromis – tamtejsza specjalność i narodowa**

duma – może w określonych warunkach służyć jako narzędzie dominacji, odwlekania decyzji, rozmywania odpowiedzialności.

Na scenie wewnętrznej najbardziej charakterystycznym przejawem owej kultury kompromisu – i być może jej najbardziej fascynującym aspektem – jest sposób, w jaki Niemcy tworzą prawo. W przeciwieństwie do wielu innych demokracji parlamentarnych proces legislacyjny w RFN rzadko ma charakter gwałtownego przesilenia. To raczej długa, rozciągnięta w czasie, precyzyjna i ostrożna procedura negocjacyjna. Tego rodzaju kompromis nie tylko cementuje wypracowane rozwiązanie, lecz także buduje jego społeczną legitymację; takie rozwiązania są trwałe. To najlepsza twarz niemieckiego stylu – cierpliwa, konsensualna, odporna na zmienność nastrojów. Gdy prawo zostaje ustanowione po długiej realnej debacie, z poszanowaniem odmiennych stanowisk, bez przemocy politycznej, nie ma powodu, by je później podważać.

Ale ten sam mechanizm, który pozwala przyjąć ważny akt prawny bez rozłamu społecznego, w innych warunkach może doprowadzić do impasu. Wystarczy prześledzić losy ustawy grzewczej z 2023 r. Początkowo projekt przewidywał szybkie rozpoczęcie odchodzenia od pieców gazowych i olejowych – był sztandarową propozycją Zielonych w rządzie Olafa Scholza, mającą potwierdzić zaangażowanie państwa w zieloną transformację. Ale zamiast być przykładem skutecznej polityki klimatycznej, stał się symbolem tego, jak niemiecki kompromis potrafi się wynaturzyć. Ustawa przeszła przez pełne spektrum miejscowego procesu decyzyjnego: od koalicyjnych sporów, przez protesty obywateli, przecieki medialne, aż po dziesiątki poprawek. Ustępstwa szły w każdym kierunku, a projekt odkładano, wstrzymywano, zmieniano. Gdy w końcu akt prawny udało się przegłosować, był już tak rozwodniony, pełen wyjątków, klauzul przejściowych, zawieszeń i odroczeń, że nikt – ani jego zwolennicy, ani przeciwnicy – nie mógł być w pełni zadowolony. A gabinet, który miał zaprezentować zdolność do przeprowadzenia ambitnej reformy, wyszedł z tego zamieszania poturbowany i osłabiony.

Z punktu widzenia analityka oba przypadki – i ten pozytywny, i negatywny – należy uznać za typowe. A z taką odsłoną kultury politycznej musimy się liczyć na co dzień. Żeby zrozumieć, co się rzeczywiście stało z jakąkolwiek niemiecką ustawą (ale również decyzją rządu czy stanowiskiem RFN na forum międzynarodowym), nie wystarczy przeczytać jej finalnego brzmienia. Trzeba zacząć od źródeł pierwotnych: stenogramów Bundestagu, postaw organizacji branżowych, listów otwartych, petycji, komunikatów związków lokatorów, opinii eksperckich. Obejrzeć godziny debat, prześledzić poprawki, zmapować interesariuszy, zrozumieć wewnętrzne napięcia w koalicji. Dopiero wtedy – po wielodniowej żmudnej pracy z materiałem ze źródeł pierwotnych – wolno zadać właściwe pytania: o co w tej ustawie tak naprawdę chodziło i kto realnie o niej

decydował? To kluczowe: chcesz wiedzieć i wyrobić sobie własne zdanie? Media pomagają, ale jako źródło trzeciorzędne. Dziennikarze miewają bardzo ciekawe zdanie na różne tematy, lecz w ich przekazach często znajdziemy więcej opinii niż faktów. Duża część z nich powinna występować raczej w roli publicystów – ale to przecież nie tylko problem RFN.

Berlińska bańka

Niemcy stworzyły więc system, w którym decyzje mają zapadać po dojrzałej debacie z udziałem wszystkich aktorów. Lecz kiedy tych aktorów jest za dużo, a debata nigdy się nie kończy, ów system grzęźnie. A skoro już mowa o systemach zamkniętych, to nie sposób pominąć zjawiska niezwiązanego z ustawami ani innymi dokumentami, ale łatwo wyczuwalnego – zwłaszcza jeśli patrzy się z zewnątrz. (I znowu, to nie jest fenomen tylko niemiecki; na użytek tego tekstu możemy stworzyć neologizm i opisać go jako „syndrom stołeczny"). Chodzi o **„berlińską bańkę" – krąg ekspertów, dziennikarzy, lobbystów, lecz również urzędników i polityków, którzy żyją w ciągłym dialogu ze sobą nawzajem**. Wymieniają się poglądami, uczestniczą w tych samych panelach, publikują w tych samych mediach, zapraszają się nawzajem do własnych podcastów i śledzą te same wątki w tych samych mediach społecznościowych.

Z pozoru to zaleta – powstaje system wymiany poglądów, informacji, publicznego dyskursu. Ale z praktyki wiadomo, że ta „wymiana" rzadko prowadzi do rzeczywistego poszerzenia horyzontów. Przeciwnie – po pierwsze przestrzeń ta, niejednokrotnie silnie reglamentowana, często opiera się na potwierdzaniu poglądów, a nie na ich konfrontowaniu. Większość debat toczy się wewnątrz uzgodnionych ram. Mogą one być bardzo szerokie, lecz zawsze wyznacza je kod środowiskowy: co wypada powiedzieć, co się uznaje za „eksperckie", co jest „odpowiedzialne", a co „populistyczne". Po drugie jakaś część tego grona doskonale wie, co spotka się ze zdecydowaną niechęcią czy aprobatą przy Werderscher Markt (siedziba MSZ) albo w Urzędzie Kanclerskim, i w tym duchu się wypowiada, zwłaszcza w obecności ekspertów z zewnątrz. Oczywiście tego typu autocenzurę stosują daleko nie wszyscy, ale należy zdać sobie sprawę z jej istnienia.

Taki stan rzeczy prowadzi do dwóch problemów. Po pierwsze to, co dociera do nas z Berlina, na ogół nie jest rzeczywistą reprezentacją debat toczących się w społeczeństwie niemieckim, lecz raczej echem głosów elit polityczno-eksperckich. To echo bywa spójne, ale też zaskakująco oderwane od nastrojów w landach, na prowincji, w kręgach robotniczych czy imigranckich albo wśród urzędników zajmujących się danym zagadnieniem – np. migracją – na co dzień.

Po drugie „bańka" broni się przed spojrzeniem z zewnątrz (notabene nawet tym rodzimym, niemieckim). Ma swoje ulubione źródła, swoich komentatorów,

swoje zakresy cytowań. Gdy ktoś przychodzi do niej z zagranicy – nawet z Francji czy USA, a już na pewno z Polski – musi długo udowadniać, że „rozumie kontekst". Najlepiej zresztą, jeśli ktoś z wewnątrz wprowadzi go jako „rozumiejącego".

Oznacza to, że często najważniejsze pytania nie zostają zadane. Bo nie są zgodne z tonem. Bo są za ostre. Bo burzą atmosferę zgody. Przebicie się z własną ekspertyzą wymaga zatem nie tylko kompetencji, lecz także cierpliwości, czasu i znajomości kodu kulturowego. Nie wystarczy mieć wiedzę – trzeba jeszcze wiedzieć, jak ją sprzedać. Dobrze, żeby nie była ona zbyt konfrontacyjna, zbyt inna, np. zbyt „wschodnia", zbyt emocjonalna. Im chętniej zgodzisz się mówić językiem środowiska – najlepiej „po niemiecku niemieckim", a nie tylko po niemiecku – tym chętniej zostaniesz wysłuchany.

Z taką obserwacją nie spotykamy się zresztą tylko nad Wisłą. Brytyjski analityk Hans Kundnani, przez lata krytykujący zewnętrzne zorientowanie polityki RFN, opisał również mechanizm samoobrony i amnezji niemieckiego środowiska eksperckiego. Ostatnio pochylił się nad przypadkiem inwazji Rosji na Ukrainę. Po 2022 r. – pisze Kundnani – niemieccy badacze zaczęli zachowywać się tak, jakby zawsze popierali pełne wsparcie militarne dla Kijowa. Tymczasem przed wojną większość z nich była temu przeciwna. Teraz, zamiast przyznać się do błędów, przedstawiają się jako racjonalnych, neutralnych i „pozbawionych interesów", co – jak ironicznie zauważa autor – łatwiej dałoby się zaakceptować, gdyby z równym zaangażowaniem mówili choćby o konflikcie w Gazie. Kundnani trafnie identyfikuje ten mechanizm jako próbę politycznego samouświęcenia tego środowiska, które najpierw blokowało ostrzeżenia, potem broniło starych układów, a dziś kreuje się na nowych liderów „moralnej przebudowy". To nie wyłącznie przejaw hipokryzji – to ostrzeżenie przed tym, jak silna i odporna na krytykę potrafi być „berlińska bańka" wiedzy i wpływu.

To wszystko sprawia, że analiza polityki niemieckiej to często praca niewdzięczna. Badacza powinno interesować to, co efektywne i oddziałujące, a zarazem kontestowane. A tego dowie się nie z komunikatu think tanku w dzielnicy rządowej, lecz z rozmowy z lokalnym działaczem w Saksonii, z tekstu regionalnej gazety z Hesji albo – coraz częściej – z analiz zagranicznych, próbujących przebić niemiecki filtr samozadowolenia. Dlatego tak ważną rolę odgrywa wychodzenie poza stolicę – fizycznie i poznawczo. To właśnie w trakcie wielu delegacji i spotkań w różnych landach – Bawarii, Brandenburgii, Saksonii – można się spotkać z autentyczną otwartością na dyskusję. Partnerzy – miejscowi politycy, urzędnicy, dziennikarze, naukowcy – nie tylko są gotowi wysłuchać opinii z zewnątrz, lecz także wyrażają ciekawość, a niekiedy wręcz wdzięczność za możliwość spojrzenia na ojczyznę oczami sąsiada. To nie wyłącznie grzecznościowe gesty. To prawdziwa chęć dowiedzenia się,

jak Niemcy odbiera się w Polsce, jak ich politykę odbierają ludzie z drugiego brzegu Odry, co budzi ich niepokój, co szacunek, a co niezrozumienie. Zdarza się, że spotkania przeciągają się, bo partnerzy pragną „zajrzeć w lustro", którego często brakuje im wewnątrz własnej debaty. To doświadczenie uczy, że im dalej od Berlina, tym bliżej rzeczywistości i tym większa gotowość do uczciwej rozmowy, wolnej od rytualnych kodów środowiskowych. W Niemczech, tak jak w tamtejszych kompromisach, prawda nie leży pośrodku – leży tam, gdzie nikt nie chce spojrzeć zbyt uważnie.

Tu jeszcze uwaga na marginesie – choć kluczowa dla tych, którzy mają ambicje oddziaływania na kształt debaty w Niemczech, ale i na decyzje polityczne tam podejmowane. Na eksperckiej i doradczej mapie RFN nie brakuje instytucji o imponującym dorobku, znakomitym zapleczu badawczym i bardzo wysokich standardach analitycznych, od think tanków po instytuty doradzające administracji federalnej czy Bundestagowi. Dyskusje ze specjalistami z tego kraju to intelektualna przyjemność, źródło wiedzy i inspiracji – warto je prowadzić, warto ich słuchać. Lecz nie warto się oszukiwać: wpływ tej warstwy na realne decyzje i działania, zwłaszcza w zakresie polityki zagranicznej, jest ograniczony. Bo Niemcami – również w polityce europejskiej i bezpieczeństwa – rządzi Urząd Kanclerski. I to nie jako rozbudowana instytucja, lecz wąskie grono ludzi skupionych wokół kanclerza. Chcesz mieć realną wiedzę, oddziaływać na decyzje? Musisz dostać się do tego grona – lub przynajmniej do doradców tych doradców. A i to może nie wystarczyć. Byli kanclerze, którzy nie czytali analiz, nie ufali konsyliom. Choćby Helmut Kohl czy Gerhard Schröder byli znani z tego, że bardziej wierzyli bliskim doradcom – i to czasem nieformalnym – niż opiniom jakichś instytutów czy ministerstw.

3. Twarzą w twarz z Berlinem

Wyjdźmy teraz z loży VIP i wróćmy do skromniejszej figury eksperta ds. RFN. Jak już udowodniono, praca tych, którzy zamierzają z Niemcami współpracować, dyskutować, a niekiedy się nie zgadzać – to nie tylko zadanie intelektualne, lecz także wyzwanie emocjonalne, komunikacyjne i taktyczne. Trzeba znać kontekst, ale też mieć odwagę, by ten kontekst zakwestionować. Trzeba rozumieć mechanizmy, ale nie dać się im wchłonąć. Trzeba słuchać, ale i nie bać się mówić rzeczy trudnych. A przede wszystkim – trzeba nauczyć się być obecnym w debacie, która nie została dla ciebie zaprojektowana.

Właśnie o tym będzie ta część: o pracy w dialogu – i sporze – z Niemcami. O byciu analitykiem, który zajmuje się tym krajem, a zarazem uczestniczy w miejscowym dyskursie eksperckim i politycznym. I o tym, jak wygląda ta relacja, gdy nie pochodzisz z Waszyngtonu, Brukseli czy Paryża – tylko z Warszawy.

Nie da się stworzyć kompletnego podręcznika obsługi dla eksperta do spraw RFN. Część wiedzy jest tak subtelna, że nieprzekładalna, a część – zbyt cenna, by ją zdradzać. Ale można się pokusić o coś w rodzaju roboczych zasad pozwalających przetrwać, zrozumieć i zachować własny głos. Opisy tych reguł trochę przerysowano, by czytelnik mógł w pełni i bez niuansów pojąć ich moc. Trzy z nich powtarzają się niepokojąco często – niezależnie od tego, czy rozmawiasz z deputowanym do Bundestagu, pracownikiem renomowanego instytutu, dziennikarzem opiniotwórczego tygodnika czy badaczem z fundacji partyjnej.

Rozmowa kontrolowana

W niemieckim świecie eksperckim – niezależnie od szczebla dyskusji – nie ma miejsca na improwizację. Jeśli nie wiesz dokładnie, czego chcesz się dowiedzieć, nie masz pod ręką dokumentu, na który się powołujesz, nazwiska, daty, cytatu – rozmowy nie będzie. A na pewno nie na poziomie, który cię usatysfakcjonuje. Usłyszysz grzeczne „nie jestem kompetentny", „proszę napisać mail", „nie pamiętam". Dopiero kiedy interlokutor zorientuje się, że siedzisz głęboko w temacie, istnieje szansa, że się otworzy. Może podzieli się informacjami, skomentuje i wskaże ciekawe tropy. Nawet wtedy trzeba jednak pamiętać, że dysputa z Niemcem to zawsze trochę wywiad środowiskowy – z ciebie też wyciąga się dane. Czasem proces ten wygląda jak partnerska wymiana, ale w praktyce następuje właśnie delikatne i profesjonalne pozyskiwanie informacji. Jeśli się nie zorientujesz – dość jednostronne.

I jeszcze jedno: nie licz na to, że autochtoni będą szczególnie chętni, by rozmawiać… o RFN. Tak, to zaskakujące, ale typowe. Państwo słynące z transparentności i autoanalizy w praktyce traktuje samo siebie jako już przeanalizowane. Problemy – jak wiadomo – leżą gdzie indziej. USA, brexit, Orbán, Trump, migracje, sztuczna inteligencja, Polska… Ale o sytuacji w Saksonii? O przemocy w rodzimej polityce? O bolączkach mediów czy sądownictwa? Po co? Gdy próbujesz zauważyć, że to Niemcy mogą stać się źródłem poważnego kryzysu europejskiego, że to ich problemy z migracją, populistami czy gospodarką generują większe obawy wśród sąsiadów, nierzadko spotykasz się ze zdziwieniem i oporem. To się aktualnie zmienia, ale jeszcze niedawno wskazywanie, że potencjał RFN jako *troublemakera* dla Starego Kontynentu zwiększa się, i prośbę o dialog na ten temat uznawano za faux pas.

Made in Germany – zawsze chodzi o nas

To jedna z najbardziej charakterystycznych i zarazem najtrudniejszych spraw: niemieccy rozmówcy – niezależnie od stanowiska i erudycji – bardzo często uważają swój sposób myślenia o świecie za najlepszy z możliwych. Nie wskutek arogancji. Przeciwnie – najczęściej są uprzejmi, rzeczowi, otwarci. Ale zakładają,

że ich perspektywa – uwarunkowana kompromisem, normą i poparta dziesiątkami zleconych ekspertyz – to coś obiektywnego, neutralnego i przez to uniwersalnego. Jeśli się z nią nie zgadzasz, być może jeszcze jej nie rozumiesz, być może trzeba ci ją lepiej wyjaśnić. Może nie dojrzałeś. A jeśli nadal nie chcesz przyjąć ich punktu widzenia, zaczynają przypuszczać, że to przez twoją politykę wewnętrzną, historię, położenie geograficzne.

To dlatego co rusz zdarza się, że Niemcy rozmawiają z tobą tak, jakbyś może i był jednym z nich, lecz jeszcze nie do końca przeszkolonym. I stale próbują zagarniać innych do własnego świata – oraz jego traum i kłopotów. Jeśli u siebie mają problem z pojęciem patriotyzmu, bo kojarzy im się z nacjonalizmem, to zakładają, że każdy, kto mówi o patriotyzmie, jest nacjonalistą. Jeśli mają nierozliczone relacje z Rosją, wynikające z historii albo zależności energetycznych, to wychodzą z założenia, że wszystkie inne kraje też powinny mieć do niej „specjalny stosunek". I jeśli ustalili między sobą, że w polityce historycznej należy się pokajać i przepracować grzechy przeszłości, to w zgodzie z tym modelem mają działać wszyscy. A że nie każdy ma na sumieniu zorganizowanie Holokaustu i przemysłową zagładę ludzi? Cóż, nie istnieją narody bez winy, więc zawsze znajdzie się coś do „przezwyciężenia". Nie należy zatem skupiać się na czczeniu własnych bohaterów i ofiar, bo to zbyt narcystyczne i zbyt nacjonalistyczne.

Mechanizm ten ulega jeszcze pogłębieniu na skutek tego, że Niemcy najczęściej naprawdę niewiele wiedzą o Polsce. Nie dysponują wystarczającymi pojęciami, danymi, znajomościami, językiem. Nie dlatego że nie chcą, ale dlatego że nie potrzebują. Wybierają sobie tutaj od dziesiątków lat grono interlokutorów spośród ludzi o podobnych do nich poglądach, niemal awatarów, i to z nimi dyskutują. I nie byłoby w tym nic złego, gdyby nie niemieckie założenie (marzenie?), że oto mają do czynienia z przedstawicielami całego społeczeństwa polskiego. To działanie racjonalne, bezpieczne, przyjemne i potwierdzające obraz świata, ale tylko na krótką metę. W dłuższej perspektywie skutkujące natomiast zadziwieniem, że sytuacja nad Wisłą nie rozwinęła się tak, jak prognozowali interlokutorzy. I to nie raz, tylko wciąż. Ci, którzy przekazują partnerom z RFN coś mniej przewidywalnego, trudniejszego w percepcji, niepokojącego – są tolerowani, ale nie słuchani. Słyszy się ich, ale nie prowadzi z nimi realnego dialogu. To nie tyle selekcja polityczna, ile selekcja poznawcza. W efekcie w debacie uczestniczą głównie ci, którzy do Niemców mówią „po niemiecku" – językiem norm, obaw i potrzeb tamtejszych elit. I to oni stają się reprezentacją całego kraju, co samo w sobie jest nieporozumieniem.

To się oczywiście powoli zmienia, a zasługę należy przypisać rozwojowi Polski oraz zmieniającemu się na gorsze otoczeniu międzynarodowemu. W końcu przyjdzie moment, kiedy niemiecka klasa polityczna uzna, że warto (opłaca się)

zainteresować się na poważnie Polską, i będzie kumulowała realną wiedzę na jej temat, a nawet powstaną specjalizujące się w tym ośrodki badawcze. Nastąpi to wówczas, gdy staniemy się jeśli nie niezbędni, to przynajmniej przydatni do prowadzenia polityki, interesów itp.

Proces ten będzie trwał bardzo długo – w końcu chodzi o przewrót tożsamościowy w Niemczech. I może przyspieszyć tylko dzięki Polakom i ich polityce. Dzięki kontynuowaniu wzrostu gospodarczego, umacnianiu własnych instytucji i zwiększaniu znaczenia na arenie zagranicznej przestaniemy być postrzegani (jak i cała Europa Środkowa) jedynie jako solidne i wiarygodne zaplecze gospodarcze bez uprawnionych ambicji w polityce międzynarodowej. Region, który po wsze czasy ma służyć głównie do ograniczania kosztów produkcji, niwelowania braku wykwalifikowanych pracowników i sprzedaży rodzimych produktów.

Syndrom wyparcia – walka o urealnienie

I wreszcie ten najtrudniejszy wymiar. Niemiecki **syndrom wyparcia** to zjawisko wielowymiarowe. Ma twarz polityka, który nie widzi błędu w swoim postępowaniu wobec Rosji. Ma twarz eksperta, który po latach usprawiedliwień mówi dziś o dostawach broni na Ukrainę, jakby sam je wymyślił. Ma twarz ludzi stawiających polskim analitykom zarzuty „braku niezależności", choć to w instytucjach badawczych doradzających administracji i legislatywie RFN są analitycy paradujący z partyjnymi książeczkami.

Przede wszystkim zaś syndrom wyparcia to uporczywe, często elegancko zamaskowane unikanie odpowiedzialności. Dotyczy i przeszłości (m.in. Rosja, gaz, Nord Stream, polityka oszczędności), i teraźniejszości (rozmowy o relacjach bilateralnych, o racjonalnej polityce energetycznej itd.). Winy nie ma – są okoliczności. Decyzje były rozsądne – tylko rzeczywistość się zmieniła. Angela Merkel nie popełniła błędu – po prostu miała przed oczami inny horyzont. W autobiografii nie przyznaje się do pomyłek. W książce *Freiheit. Erinnerungen 1954–2021* opowiada o wyborach, których dokonywała, w tonie pewności i spokoju. Ani Nord Stream, ani blokowanie pomocy wojskowej dla Kijowa, ani niechęć do natowskiego odstraszania nie są dla niej błędami, lecz rezultatami starannego, odpowiedzialnego kompromisu. Tak długo wypracowywanego, że jakakolwiek jego korekta wygląda na herezję.

Tu wracamy do zjawiska już opisanego: miejscowa kultura kompromisu, często imponująca w wymiarze wewnętrznym, w kontaktach międzynarodowych przybiera niekiedy formę misji. Przekonanie o własnej racjonalności, ostrożności i procedurach – budowane latami – przekształca się w poczucie wyższości epistemicznej. Skoro my tyle dyskutowaliśmy, tylu wysłuchaliśmy, tyle raportów przeczytaliśmy i tak długo uzgadnialiśmy stanowisko – to znaczy, że ono jest dobre nie tylko dla nas, lecz także dla was.

To przekonanie wyraża się zwykle subtelnie, choć jednoznacznie. W rozmowach Niemcy sugerują, że ich poczynania są „pragmatyczne", a twoje – „emocjonalne". Że oni patrzą w przyszłość, a ty tkwisz w przeszłości. Że oni chcą kompromisu, a ich „kompromisy" – jak Nord Stream, jak *Energiewende*, jak wyłączenie atomu – są merytoryczne, a twoje ostrzeżenia – polityczne. Że twoja krytyka to wynik wewnętrznej walki politycznej, a ich strategia – refleksji i doświadczenia.

A jeśli stosunki z RP są złe, to przecież dlatego że tam „władza się zmienia", „retoryka się zaostrza", „opinia publiczna jest spolaryzowana". W skrócie: za złe relacje z Polską odpowiada polska polityka wewnętrzna. Za krytykę polityki niemieckiej – propaganda. Za rozczarowanie partnerstwem – brak zaangażowania z naszej strony. Rzadko – bardzo rzadko – przychodzi refleksja: a może to my coś zrobiliśmy źle?

I znów – tego mechanizmu nie stosują względem „równych". Gdy spotykają się z Francuzami, pozwalają sobie na spór. Z Amerykanami – na ustępstwa. Ale z Polską? Próbują cię zagarnąć do swojego świata, swoich ram poznawczych. A jeśli się nie dajesz, to w najlepszym wypadku uważają, że jeszcze do tego nie dojrzałeś, a w najgorszym – że zwyczajnie jesteś upolityczniony.

Czy w takim środowisku da się coś zdziałać? Da się, ale trzeba dysponować nie tylko wiedzą, lecz także odpornością psychiczną, orientacją kulturową i precyzją języka. Trzeba nie tylko rozumieć Niemców, lecz także nie bać się im czegoś powiedzieć. Wprost, z szacunkiem, ale i jasno. I trzeba pamiętać: w tej dyskusji jesteś potrzebny – właśnie dlatego, że jesteś z Warszawy, a nie z Brukseli. I właśnie dlatego – kiedy ktoś z Polski decyduje się ową dyskusję podważyć – musi być gotowy na wszystko. Bo krytyka to nie tylko ryzyko intelektualne. To wejście w konflikt z systemem, który sam siebie uznał za nieomylny, a w dodatku ma silne zapędy do uprawiania pedagogiki.

W takim systemie trudno się przebić, a jeszcze trudniej z nim polemizować. Ale poznanie i zakłócanie go to elementy misji zawodowej. Nie musisz się zgadzać na to, by niemieccy rozmówcy wykorzystywali twoją wiedzę jedynie jako pomoc w uporządkowywaniu ich świata, bez prawa do jego zakwestionowania.

4. *Mission (im)possible.* Jak być analitykiem do spraw Niemiec w Polsce

Bycie analitykiem do spraw RFN nad Wisłą to nie tylko zawód – to stan umysłu. A czasem też stan oblężenia. Szczególnie dziś, w kraju, gdzie polaryzacja dotyka niemal każdą sferę życia – również politykę zagraniczną i bezpieczeństwa. O ile wobec Rosji i USA (choć w tym drugim przypadku zmienia się to dosłownie na naszych oczach) mamy – przynajmniej deklaratywną – zgodę, a UE trudno

jeszcze używać do pełnowymiarowej polaryzacji, bo sondaże nie pozostawiają wątpliwości, że Polacy są proeuropejscy, o tyle sytuację z Niemcami należy uznać za wyjątkową z kilku powodów. Dlaczego zatem nasi zachodni sąsiedzi budzą takie emocje?

Po pierwsze przez ostatnie dziesięciolecie, licząc od aneksji Krymu przez Rosję, popełniali coraz poważniejsze błędy strategiczne w polityce i gospodarce oraz wykazywali się strategiczną ślepotą i coraz bardziej tracili w Polsce (i nie tylko) wiarygodność. Jakby koniecznie chcieli udowodnić, że są bezdusznym państwem kupieckim bezwzględnie forsującym swoje polityczne, a przede wszystkim ekonomiczne interesy. Egoiści praktykujący gospodarczy nacjonalizm, depczący interesy sąsiadów, z frazesami o wyższości dyplomacji i pacyfizmu na ustach, coraz bardziej zadziwiali, potem frustrowali, a na końcu obracali przeciwko sobie najzagorzalszych zwolenników i partnerów.

Po drugie opisana już w tekście niechęć do przyznawania się do błędów, przekonanie o własnej racjonalności oraz głęboko zinternalizowane przeświadczenie o rozliczeniu się z historycznymi winami, także względem Polaków, wbrew oczywistym faktom, raczej pomagają tym, którzy widzą w Niemczech wyłącznie wroga, a szkodzą mającym nadzieję na współpracę. A do obniżenia poziomu negatywnych emocji nie przyczynia się to, że obraz wroga jest w niektórych środowiskach nad Wisłą bezwzględnie – i przeciwskutecznie z punktu widzenia naszej polityki zagranicznej – eksploatowany.

Po trzecie mimo że wzajemne stosunki silnie spaja kooperacja gospodarcza (RFN pozostaje najważniejszym partnerem handlowym i inwestycyjnym RP) i wynikający z niej nacisk obu państw na konkurencyjność i efektywność gospodarczą UE, to jednocześnie coraz częściej realnie konkurujemy z sąsiadem w logistyce, elektromobilności czy zabiegach o inwestycje zagraniczne w dziedzinie nowoczesnych technologii. Dlatego ze szczególną uwagą śledzimy jego działania, które zbiorczo można nazwać „renacjonalizacją narzędzi wspierania gospodarki". W czasie ostatnich kryzysów Niemcy w największym stopniu korzystały z opcji zwiększenia pomocy publicznej dla własnych przedsiębiorstw ze środków unijnych i nie zamierzają rezygnować z takiego specjalnego traktowania, np. w sferze subsydiowania energii dla swojego przemysłu.

Po czwarte wreszcie: Berlin i Warszawa obiektywnie reprezentują odmienne poziomy i kierunki rozwoju oraz dokonywały odmiennych politycznych wyborów, co sprawia, że różniliśmy się i będziemy się różnić w kilku zasadniczych sprawach: podejścia do integracji UE, w tym kwestii euro, w polityce migracyjnej, energetycznej, pamięci oraz – w mniejszym stopniu – polityce bezpieczeństwa i obrony. Ani Niemcy, ani Polska nie mają zamiaru poniechać realizacji własnych celów, w tym na scenie europejskiej i międzynarodowej, co oczywiście prowadzi do konfrontacji na wielu polach. RFN, przez ostatnie

30 lat przyzwyczajona do zależnego rozwoju Polski, tj. takiego, który może w ogromnym stopniu kontrolować, ma trudności z pogodzeniem się z nową sytuacją.

Ale istnieje też inny powód tej emocjonalnej sinusoidy, notabene niebędącej udziałem większości społeczeństwa polskiego, obojętnej w stosunku do Niemiec. To nasze zawyżone oczekiwania lub obawy. Jedni od lat spodziewali się od RFN wielkiej przyjaźni, wyrazów solidarności, wzorowego partnerstwa, gotowości do przepraszania, przyznawania racji i pełnego zrozumienia polskiej wrażliwości. Drudzy odwrotnie – oczekiwali ogromnej niechęci, a nawet wrogości. I właśnie dlatego jedni przeżywają teraz trudne do okiełznania rozczarowanie, a drudzy – spełnione proroctwo. Jedni projektują państwo idealne, drudzy – demony. I jedni, i drudzy pudłują.

Bo Niemcy – te prawdziwe – nigdy nie były idealne. Były jak inni: chciały w pierwszej kolejności realizować własne interesy, ale retorycznie tego nie zdradzały. Idealizowanie ich w Polsce, zwłaszcza w latach 90., gdy Zachód stanowił synonim dobra i aspiracji, stworzyło nierówną matrycę. Kiedy wahadło wychyliło się w drugą stronę – co jest zjawiskiem naturalnym – każda słabość, każde potknięcie Berlina katalizowały zawód. A niekiedy – wrogość. I tak to trwa, ale z urealnienia jednego z wyobrażeń lat 90. można i należy się cieszyć: Niemcy nie były i nie są dla nas bezalternatywne. Nie jesteśmy na siebie skazani. Dziś możemy **wybrać** oraz **podjąć świadomą decyzję o partnerstwie** i współpracy z nimi.

Co najmniej od momentu, kiedy Polska wstąpiła do UE, powinna była rozpocząć się bardziej dojrzała, krytyczna analiza naszego zachodniego sąsiada. Takiej ekspertyzy uczono analityków powstałego w 2005 r. Zespołu Niemieckiego w Ośrodku Studiów Wschodnich: obiektywnej, opartej na faktach, na dokumentach, na źródłach, przeprowadzanej w terenie, a nie tylko zza biurka. Bez ukłonów ani w jedną, ani w drugą stronę. Zadanie polegało na pokazywaniu rzeczy takimi, jakie są – często na przekór entuzjazmowi innych komentatorów, w tym badaczy tematu i elity intelektualnej. Ze zdziwieniem i nieprzychylnością, ale często również z wdzięcznością i ulgą spotykało się pisanie w OSW o Unii nie w superlatywach, lecz jako o arenie ciężkiej walki o władzę, wpływy i pieniądze. Tak jak monitorowanie i analizowanie polityki RFN bez „rozumienia" czy to jej uległości wobec Rosji, konieczności powstania Nord Streamu i naginania reguł unijnych dla własnych korzyści, czy to hipokryzji w relacjach bilateralnych i poczucia wzorowego rozliczenia z historią.

Takie analizy były przez decydentów – różnych opcji, od lewa do prawa – pożądane i wykorzystywane, ale w świecie eksperckim i polskiej publicystyce marginalizowane – tak jak i w Niemczech – a autorów odbierano jako tych „krytycznych", „trudnych" i niekiedy po prostu ignorowano.

Dziś ci, którzy niegdyś byli zakochani w Niemczech bez opamiętania, przesunęli się ku środkowi debaty i zaczęli dopuszczać krytykę. Ci krytyczni – zradykalizowali się. A analitycy OSW bez zmiany poglądów, metody czy tonu wypowiadania się nagle stali się ekspertami umiarkowanymi. Jest to moment, w którym z nieukrywaną satysfakcją należy się rozsmakowywać.

Po 20 latach pracy Zespołu Niemieckiego w OSW można śmiało stwierdzić, że analizowanie i badanie RFN to kwestia nie tylko wiedzy, lecz także odwagi i nieustannego uczenia się siebie nawzajem. Na kolejne dekady celem niech będzie dążenie do urealnienia polskiej debaty i zrozumienia faktu, że Niemcy nie są ani wyidealizowanym wzorcem, ani reinkarnacją koszmaru z przeszłości. Że są po prostu państwem – bardzo ważnym, wpływowym, ale też niewolnym od błędów, ograniczeń i prącym do realizacji własnych interesów. Państwem, z którym można i trzeba zarówno ostro rywalizować, jak i współpracować.

Przereklamowana zagadka. Rosja jako wyzwanie analityczne

Maria Domańska

Za niewątpliwy sukces Rosji należy uznać zaszczepienie w części zachodnich społeczeństw i kręgów politycznych przeświadczenia o tajemniczości tego kraju, niemożności przeniknięcia przez wielowarstwowe pokłady „duszy rosyjskiej" i meandrów tamtejszej polityki, uchwycenia ducha bezkresnych przestrzeni. Wielu uwiodła imperialno-melancholijna kultura i literatura, inni poddali się fascynacji brutalnością miejscowych przywódców albo pozwolili się przekupić ofertami lukratywnych biznesów, osłabiających odporność ich własnych państw na infiltrację Moskwy. Jeszcze inni, myśląc o przyszłości Rosji, panicznie boją się jej destabilizacji, rozpadu, puszkinowskiego „rosyjskiego buntu – bezsensownego i bezlitosnego", wojny domowej czy konfliktu jądrowego. Jednocześnie niedoceniane są zagrożenia wynikające z trwania obecnego, „stabilnego" modelu rządów.

Wszystkie te wyobrażenia w różnym stopniu ograniczają zdolność do trzeźwego, racjonalnego analizowania Federacji Rosyjskiej (FR) i formułowania polityki wobec niej w sposób najlepiej odpowiadający interesom bezpieczeństwa wspólnoty transatlantyckiej i europejskiej.

Pomiędzy bezradnością, złudzeniami i fatalizmem

Warto pamiętać, że obraz Rosji jako niemożliwej do zgłębienia tajemnicy oraz towarzyszące mu mity i fobie to w dużej mierze efekt celowych działań tamtejszego aparatu służb specjalnych od czasu jego uformowania się w XIX wieku.

Już wówczas carskie służby zajęły się aktywnym kreowaniem pożądanego wizerunku kraju poza jego granicami. Doświadczenia te zostały następnie przejęte przez służby ZSRS, a później FR. Strategia ta to element informacyjnych operacji wpływu i sterowania refleksyjnego – instrumentów wojny z Zachodem. Proceder romantyzacji i mitologizacji zataczał jednak szersze kręgi, a duży udział mieli w nim pisarze, poeci i intelektualiści.

Jedną z najbardziej rozpowszechnionych „skrzydlatych fraz" o Rosji tworzą wersy napisane w 1866 r. przez Fiodora Tiutczewa, poetę, publicystę i cenzora: „Umysłem Rosji nie obejmiesz/ I miarą zwykłą jej nie zmierzysz/ Postać szczególną ona ma/ W Rosję można tylko wierzyć". Przypomina ona dość niefortunną konstatację Winstona Churchilla po zawarciu paktu Ribbentrop–Mołotow, iż „Rosja to zagadka owinięta w tajemnicę, ukryta w enigmie", stąd prognozowanie jej posunięć jest skrajnie trudne. Choć, jak stwierdził premier, „być może" klucz do ich interpretacji stanowi interes narodowy – czego nie można uznać za szczególnie przenikliwą diagnozę.

Credo Tiutczewa do dziś rezonuje w społeczeństwie rosyjskim, powtarzane śmiertelnie poważnie przez tych, którzy pragną wierzyć w wyjątkowość swojej ojczyzny i jej szczególne, duchowe posłannictwo… a z gorzką ironią przez innych, dostrzegających absurdy i patologie opresyjnego systemu władzy. Tiutczewa cytują też niekiedy pół żartem, pół serio zachodni analitycy, borykający się z opisywaniem rosyjskiej rzeczywistości, nierzadko wymykającej się dostępnym im narzędziom i terminologii.

Kontrapunktem dla tej mieszanki filozofowania, fascynacji i bezradności jest rozpowszechniona w Polsce „mądrość ludowa" – a, jak wiadomo, u nas na Rosji i piłce nożnej zna się każdy. Domyślne założenie, utrwalone przez stulecia opresji i potwierdzone przez pełnoskalową agresję na Ukrainę w 2022 r., brzmi: po Rosji można się spodziewać wszystkiego najgorszego, a Rosjanie to… [źli ludzie – rozpowszechnione określenie jest bardziej dosadne]. Szach-mat dla zastępów analityków próbujących latami przeniknąć niuanse polityki Kremla („I na co wam te wszystkie rozkminy, jeśli my i tak wiemy swoje"). Intuicyjny pesymizm i niechęć to jednak wciąż nieoptymalny sposób analizowania rzeczywistości.

W ostatnich dekadach koszty niewiedzy i pomyłek w badaniach nad Rosją systematycznie rosły. W XXI wieku ponownie stała się ona wyzwaniem, a następnie bezpośrednim zagrożeniem dla porządku i prawa międzynarodowego. Jest otwarcie wroga wobec Polski, Unii Europejskiej i Sojuszu Północnoatlantyckiego. Mimo obfitości materiałów (dotyczących przede wszystkim tamtejszej polityki zagranicznej, a w mniejszym stopniu – wewnętrznej), w kwestiach kluczowych dla formułowania zachodniego podejścia do FR nadal widać niedostateczne pojmowanie mechanizmów, według których działa ten kraj, oraz motywacji władz i społeczeństwa.

Punktem wyjścia badań powinno być uświadomienie sobie głównych **błędów, mitów i stereotypów** utrudniających analizę, tym bardziej że – jak już wspomniano – stanowią one oręż w walce z zachodnimi demokracjami. Warto wymienić chociażby:

- przenoszenie na Rosję pojęć i schematów znanych z systemów demokratycznych;
- przypisywanie rosyjskim decydentom i społeczeństwu cudzych lub nieprawdziwych intencji, aspiracji i postaw;
- nadmierna racjonalizacja lub – odwrotnie – odmawianie racjonalności myśleniu oraz działaniom Kremla i obywateli FR;
- jednoczesne przecenianie i niedocenianie zagrożeń związanych z Rosją, z czego wynika nadmierny pesymizm lub przesadny optymizm co do scenariuszy rozwoju sytuacji („jest zbyt późno, żeby czemukolwiek zaradzić" albo „nic złego się nie stanie, więc nie ma sensu podejmować działań zaradczych");
- zastępowanie trzeźwej analizy zagrożeń swoistym zauroczeniem potęgą, skutecznością przywództwa politycznego czy „wielką kulturą rosyjską" i tym samym zapewnianie Moskwie alibi, które pozwala jej dalej prowadzić politykę imperialną;
- przyjmowanie rosyjskocentrycznej (kolonialnej) narracji w analizie i polityce względem regionów sąsiadujących z FR. Mimo etniczno-narodowej i kulturowej różnorodności kolejnych imperiów rządzonych z Moskwy i Petersburga każdorazowo utożsamiano je z „Rosją". Do dziś ma to konsekwencje – wystarczy przyjrzeć się skutecznemu wykorzystywaniu przez reżim putinowski niemieckiego poczucia winy wobec Rosji z powodu agresji na ZSRS w 1941 r., mimo że od nazistowskiej okupacji najbardziej ucierpiała ludność Białorusi i Ukrainy;
- niechęć do wyciągania wniosków z przeszłości, np. z porażek prób nawiązania konstruktywnego dialogu i współpracy z Rosją. Wciąż słychać wezwania, by powrócić do tego modelu, mimo że to właśnie on umożliwił napełnienie budżetu wojennego FR petrodolarami, pozwolił tamtejszym agentom spenetrować zachodnie kręgi polityczno-biznesowe i – ostatecznie – zachęcił Moskwę do wojny;
- niedostrzeganie lub bagatelizowanie faktycznych długofalowych celów Kremla (do których należy destrukcja Zachodu rozumianego jako wspólnota wartości, interesów i instytucji);
- lekceważenie demodernizacji, militaryzacji i faszyzacji Rosji jako zjawisk nieprzystających do zachodnich wyobrażeń o współczesności lub jako wyzwań zbyt przytłaczających z punktu widzenia formułowania bieżących polityk. Dotyczy to m.in. geopolitycznego rewanżyzmu, supremacjonizmu

wywodzonego ze zwycięstwa ZSRS nad nazizmem, kultu wojny i śmierci na polu walki czy antyintelektualizmu.

Nieporozumienia i błędy interpretacyjne wynikają najczęściej z daleko idącej odmienności kultur politycznych i strategicznych FR i krajów Zachodu. Zarazem, w przeciwieństwie do choćby Chin, Rosji nie postrzega się jako rzeczywistości na tyle „egzotycznej", by wymuszało to wystarczającą pokorę badawczą i ostrożność w wyciąganiu wniosków. Jest ona jednocześnie podobna do znanych nam państw i zupełnie inna. Wiele różnic „ilościowych" pomiędzy nią a Europą (jak skala i rola korupcji czy przemocy w systemie politycznym) prowadzi do radykalnych rozbieżności jakościowych. Przy tym brak adekwatnego języka opisu utrudnia przetworzenie refleksji analitycznej na praktyczne rekomendacje dla decydentów. Wreszcie – istnieją sfery, w których nie będziemy w stanie przewidzieć rozwoju wydarzeń, ale przygotowując się na potencjalne scenariusze, możemy zminimalizować koszty i ryzyka związane z ich ewentualnym ziszczeniem się.

Niniejszy tekst poświęcono specyfice Rosji jako przedmiotu analizy, dostępnym metodom badawczym oraz najważniejszym zalecanym kluczom interpretacyjnym, pozwalającym – w miarę możliwości – unikać pułapek zastawianych zarówno przez nasze własne „filtry" analityczne, jak i przez tamtejsze instytucje państwowe.

Niebezpieczeństwo łatwych porównań

Do największych problemów w analizowaniu Rosji należy współistnienie dwóch zjawisk, które wprowadzają wiele zamieszania w formułowanie założeń badawczych. Z jednej strony wiedza i intuicja podpowiadają nam, że „Rosja się nie zmienia". Potrafimy zidentyfikować naczelne cechy systemu, jak centralizacja zarządzania i samowola „samodzierżawnej" władzy, represje, zapóźnienie rozwojowe, olbrzymia korupcja i pogarda dla ludzkiego życia. Określały one relacje rządzący–społeczeństwo zarówno w XVIII stuleciu, jak i dziś. Z drugiej – ten **„niezmienny" system nieustannie ewoluuje**, zatem uchwycenie jego bieżącej specyfiki nie może się opierać na prostych analogiach z wcześniejszymi etapami. Dylemat ten podsumowuje fraza przypisywana Piotrowi Stołypinowi, premierowi Imperium Rosyjskiego w latach 1906–1911: „W Rosji w ciągu dziesięciu lat zmienia się wszystko, w ciągu dwustu lat nie zmienia się nic".

Odrodzenie imperializmu w polityce zagranicznej Moskwy w XXI wieku i reaktywacja sowieckich wzorców ideologicznych rodzą pokusę porównywania putinowskiej Rosji do ZSRS. Skłania do tego m.in. rehabilitacja terroru państwowego i figury Stalina jako przywódcy, powrót do narracji znanych z ówczesnej propagandy historycznej czy reaktywacja sowieckich instytucji (przykładowo

ruch pionierów znalazł swoją inkarnację w utworzonym w 2022 r. Ruchu Pierwszych, przywrócono funkcję *politruków* w organach administracji i na uczelniach). Te podobieństwa prowadzą do niebezpiecznego samouspokojenia: mimo napięć i konfliktów towarzyszących zimnej wojnie demokratyczny Zachód przez kilka dekad był w stanie współistnieć ze Związkiem Sowieckim – po co więc poważnie traktować ostrzeżenia przed agresywnymi planami Władimira Putina względem NATO docierającymi z państw wschodniej flanki Sojuszu? Porównania te nie pozwalają pojąć realnych celów międzynarodowych współczesnej Rosji.

Istnieje kilka przyczyn, dla których jest ona krajem o wiele bardziej niebezpiecznym, nieprzewidywalnym i niewiarygodnym niż poststalinowski ZSRS. Można wskazać kilka **fundamentalnych różnic między doświadczeniem zimnej wojny a radzeniem sobie z Rosją Putina** sprawiających, że w stosunkach z dzisiejszym Kremlem potrzeba zupełnie innego instrumentarium powstrzymywania i odstraszania.

Po pierwsze, w przeciwieństwie do kolektywnego charakteru sowieckiego przywództwa i dominacji zbiorowych organów partyjnych w strukturze zarządzania państwem po śmierci Stalina, personalistyczna dyktatura Putina nie ma mechanizmów kontrolnych powściągających kaprysy lidera, samowolę służb specjalnych i aparatu represji czy naruszenia umów międzynarodowych.

Po drugie, Rosja Putina to – w przeciwieństwie do ZSRS po 1945 r. – kraj rewanżystowski. Dąży do rewizji skutków swojej przegranej w zimnej wojnie, próbuje na powrót podporządkować sąsiadów. Na gruncie wewnątrzpolitycznym Kreml podsyca wśród obywateli „syndrom weimarski" (frustracja i resentyment wobec zachodnich „spisków", które rzekomo doprowadziły do rozpadu Związku Sowieckiego).

Po trzecie, w Rosji Putina zanikła zbiorowa pamięć o wojnie jako katastrofie, która nigdy nie może się powtórzyć. Konflikt zbrojny jako instrument polityki zagranicznej znormalizowało pokolenie decydentów, którzy sami nie pamiętają drugiej wojny światowej, a upamiętnienia ofiar wielkiej wojny ojczyźnianej lat 1941–1945 przekształcili w gloryfikację militaryzmu i przemocy. W ciągu 25 lat rządów aktualnego przywódcy Rosja jedynie przez pięć (2009–2013) z nikim nie wojowała.

Federacja Rosyjska wymyka się też prostym porównaniom z innymi systemami politycznymi funkcjonującymi obecnie i w przeszłości. To pokłosie jednoczesnego występowania kilku cech systemowych niespotykanego nigdzie indziej. Tłumaczy ono zawiłe uwarunkowania postępowania Kremla i postaw społecznych. Chodzi m.in. o status potęgi nuklearnej i prawo weta w Radzie Bezpieczeństwa ONZ, personalistyczny i neopatrymonialny charakter władzy (uznawanie kraju i zamieszkującej go ludności za własność lidera), dziedzictwo imperialne i totalitarne oraz świeżą pamięć rozpadu państwa (sowieckiego).

Jednocześnie Rosja jest niezwykle zróżnicowana geograficznie, gospodarczo, kulturowo i społecznie, co powinno stanowić przestrogę przed redukowaniem jej obrazu do Moskwy czy państwa etnicznych Rosjan.

Wioska potiomkinowska i gabinet luster: jak rozszyfrować państwo rosyjskie?

Analiza polityki Kremla i postaw Rosjan wymaga zrozumienia specyficznego sposobu, w jaki działa tamtejszy aparat państwowy. Warto zwrócić uwagę na kilka elementów charakterystycznych dla tego modelu.

Po pierwsze, **instytucje państwowe i ich formalne kompetencje to zaledwie fasada**, za którą kryją się faktyczne mechanizmy rządzenia. Część badaczy (m.in. zmarły w 2023 r. Gleb Pawłowski) opisuje wręcz Rosję nie w kategoriach „państwa", lecz „systemu" (ros. *sistiema*). Formalne instytucje to przede wszystkim narzędzia eksploatacji ludności i terytorium przez pasożytnicze elity. Stosunki władzy opierają się na osobistych relacjach sieci klientów z patronami. U szczytu piramidy znajduje się lider – superpatron, który „wydzierżawia" swoim zausznikom kawałki majątku państwowego i niezbędne do zarządzania nimi kompetencje. Dzierżawa ta może zostać wypowiedziana przez przywódcę w dowolnym momencie. Granice pomiędzy finansami publicznymi i prywatnymi również uległy zatarciu (zob. Aneks).

Po drugie, **patologie – takie jak korupcja, nepotyzm i przemoc – stały się normą**, stanowią kościec systemu. Uchwycenie ich systemotwórczej roli pozwala lepiej pojąć logikę modelu władzy, w którym racjonalne kalkulacje ekonomiczne nieraz ustępują przed partykularnymi interesami konkretnych graczy, traktujących zasoby państwowe jako łup. Nadrzędny cel rządzących to nie maksymalizacja zysków gospodarczych czy poprawa bytu ludności, ale dożywotnie utrzymanie władzy (jej utrata w grze, gdzie „zwycięzca bierze wszystko", grozi pozbawieniem nie tylko gromadzonego pieczołowicie majątku, lecz także życia). W wariancie maksymalistycznym chodzi natomiast o przekazanie władzy i fortuny dzieciom. Wszelkie metody osiągnięcia tego celu są dozwolone, a ich legitymizację mierzy się skutecznością, a nie zgodnością z prawem.

Zasady gry są często nieprzejrzyste dla zewnętrznych obserwatorów, ale na ogół czytelne dla uczestników – choć w imię dyscyplinowania elit Kreml potrafi arbitralnie i bez zapowiedzi owe reguły zmieniać, co w oczywisty sposób utrudnia formułowanie prognoz. Bazują one na nieformalnych *poniatijach* (niepisanych zasadach postępowania) i regule *krugowoj poruki* (podobnej do mechanizmu „ręka rękę myje" – zob. Aneks). Prawo zostało całkowicie zinstrumentalizowane w rękach rządzących, a nieprzestrzeganie niewygodnych zobowiązań

międzynarodowych – wyniesione do rangi normy konstytucyjnej. Nowelizacja ustawy zasadniczej z 2020 r. zakazała implementacji na terenie państwa decyzji, które organy międzynarodowe podjęły w oparciu o „sprzeczną z konstytucją FR" interpretację obowiązujących Rosję umów. Również nakazy sądów międzynarodowych, w tym arbitrażowych, nie będą przez nią wykonywane, jeśli stoją „w sprzeczności z podstawami publicznego porządku prawnego FR". Trójpodział władzy od wielu lat jest w kraju fikcją, ponieważ parlament i wymiar sprawiedliwości stanowią funkcjonalną część władzy wykonawczej, a konkretnie – ośrodka prezydenckiego (rząd ma w tym modelu niewiele do powiedzenia – skupia się na bieżącym zarządzaniu państwem i dbaniu o funkcjonowanie gospodarki).

Z powyższych cech systemu wynika następna: **znane na Zachodzie instytucje pełnią w Rosji funkcje najczęściej sprzeczne z naszymi intuicyjnymi wyobrażeniami o ich istocie**. „Federacja" Rosyjska to de facto państwo unitarne, w którym zakres autonomii regionów sprowadzono w zasadzie do zera. Parlament nie jest miejscem debat i konkurencji, ale dobrze naoliwioną machiną legitymizowania opresyjnych pomysłów Kremla i służb. Organy wymiaru sprawiedliwości odgrywają rolę aparatu represji prześladującego „nieprawomyślnych" obywateli. Prowadzona przez władze tzw. walka z przestępczością ułatwia ich przedstawicielom czerpanie korzyści z działalności kryminalnej – jak w osławionym przypadku nieistniejącej już Federalnej Służby Kontroli Obrotu Narkotykami, zaangażowanej w… handel narkotykami, czy byłego prokuratora generalnego Jurija Czajki, powiązanego z bandą Capków – jedną z najkrwawszych grup przestępczych, przez lata terroryzującą część Kraju Krasnodarskiego.

Co istotne, **system skutecznie pozbawiono bezpieczników przeciwdziałających samowoli Kremla**: wszystkie duże niezależne media znalazły się na wymuszonej emigracji, opozycja polityczna w kraju została efektywnie uciszona lub zlikwidowana (w tym fizycznie), społeczeństwo zniechęcono do protestów represjami, inwigilacją i indoktrynacją, a legalne ugrupowania „opozycyjne" (partie parlamentarne) na wszelkie sposoby demonstrują lojalność wobec władzy. Jedynym suwerennym wyborcą jest człowiek zajmujący fotel prezydenta: regularnie fałszowane głosowania mają zaledwie zatwierdzać decyzje podjęte wcześniej na Kremlu. W tej sytuacji rywalizacja polityczna przetrwała jedynie w postaci biurokratycznej wojny podjazdowej pomiędzy grupami wpływu, a rekonstrukcja jej logiki przypomina mozolne układanie kawałków wybrakowanych puzzli.

Rosyjska rzeczywistość polityczna wymyka się tym samym tradycyjnemu językowi opisu. Utrudnia to docieranie z przekazem do odbiorców ukształtowanych przez zachodnią tradycję analityczną i naukową. Przemiany, jakim podlega w ostatnich latach kurs wewnętrzny Kremla, sprawiają, że używany wcześniej

termin „autorytaryzm" przestał być użyteczny dla wyjaśniania tamtejszego modelu rządów. O wiele lepiej tłumaczy go pojęcie „neototalitaryzm", stosowane od kilku lat w analizach Ośrodka Studiów Wschodnich. Wśród przekłamań terminologicznych warto również wymienić tzw. rosyjski „konserwatyzm" i „tradycyjne wartości". Za tymi chwytliwymi hasłami, wciąż atrakcyjnymi dla licznych środowisk prawicowych na świecie, kryje się pogarda dla ludzkiego życia, wykorzystywanie Cerkwi i religii jako narzędzia opresyjnego państwa, prześladowanie wyznawców protestantyzmu i innych nieprawosławnych wyznań, gloryfikacja przemocy, terroru i wojny.

Udanym przykładem adaptacji słownika analitycznego do realiów FR jest natomiast pojęcie „partia władzy" (zamiast „partia rządząca"), pozwalające adekwatnie zdefiniować funkcje, jakie pełni w miejscowym systemie najważniejsza partia polityczna – Jedna Rosja. To przybudówka władzy wykonawczej, a nie autonomiczny byt polityczny. Wybory, które regularnie wygrywa dzięki masowym fałszerstwom, też nie umożliwiają jej „rządzenia", gdyż nim zajmuje się wąska grupa skupiona wokół Putina.

Rosjanie kochają knut? Jak badać społeczeństwo i nie popadać w skrajności

Proces intelektualny związany z analizowaniem postaw i nastrojów ludności FR przynosi liczne niespodzianki, często towarzyszą mu także trudne emocje. Rosjanie o poglądach antyreżimowych, zaangażowani w działalność obywatelską i ci, którzy tłumnie udają się na front, by zabijać i ginąć w imię obsesji swojego przywódcy, wydają się pochodzić z różnych planet. Należy się zresztą zastanowić, czy wolno mówić o jednym „społeczeństwie" w kraju tak zróżnicowanym geograficznie, etnicznie, kulturowo, klasowo i religijnie. Jedna z czołowych ekspertek zajmujących się rosyjskimi regionami, Natalia Zubarewicz, w oparciu o kryteria ekonomiczno-społeczno-kulturowe wyróżniła kiedyś aż cztery Rosje – wielkie miasta, średnie miasta przemysłowe, prowincję oraz Kaukaz Północny i południe Syberii. Zapewne takich klasyfikacji można stworzyć o wiele więcej. Nie ulega jednak wątpliwości, że „społeczeństwo" moskiewskie zasadniczo różni się od czukockiego czy czeczeńskiego.

Wbrew rozpowszechnionemu w Polsce przekonaniu **Rosjanie nie mają szczególnego „autorytarnego DNA"**, które sprawia, że autokracja to jedyny skuteczny sposób rządzenia nimi. To, co wielu postrzega jako ich niemal genetyczną odmienność od sąsiednich narodów, to raczej – wyglądająca na bezgraniczną – zdolność do adaptacji i podporządkowania się nawet najgorszym okolicznościom w imię świętego spokoju, pokonania dysonansu poznawczego, uniknięcia represji. To w gruncie rzeczy racjonalna postawa przystosowawcza

(nie chodzi tu o jej usprawiedliwianie, ale o wyjaśnienie), wypracowana w ciągu stuleci i przekazywana z pokolenia na pokolenie.

Obywateli systematycznie pozbawiano podmiotowości i poczucia sprawczości oraz karano za niezależne myślenie. Idea imperialna i duma z przynależenia do państwa budzącego na świecie strach wyrosły na jedyną dostępną formę podmiotowości i tożsamości zbiorowej. Wyuczona bezradność zwalnia przy tym mieszkańców we własnych oczach z odpowiedzialności za posunięcia reżimu, w tym zbrodnie wojenne. Będzie to niewątpliwie jeden z największych problemów w przyszłych relacjach Rosjan z ościennymi narodami – i ogromne wyzwanie zarówno dla analityków, jak i decydentów.

Jednocześnie w kraju zawsze znajdzie się mniejszość gotowa zaryzykować wszystko w imię przekonań: wziąć udział w ulicznym proteście, wesprzeć opozycję, głośno skrytykować wojnę, wyrazić solidarność z Ukrainą. Niekiedy to właśnie postawy tych grup dawały Rosji szansę na przemiany polityczne (jak za Michaiła Gorbaczowa i Borysa Jelcyna). Gdzieś pośrodku znajdują się ci, którzy nadal próbują współtworzyć coraz ryzykowniejszą „apolityczną" demokrację lokalną – angażują się w działalność organizacji pozarządowych, starają się upowszechniać w miejscowych społecznościach idee samorządności, toczą boje z urzędnikami w obronie swoich praw.

Cztery najważniejsze wyzwania w analizowaniu społeczeństwa rosyjskiego można sprowadzić do pytań o:

1. liczebne proporcje wymienionych wyżej grup i ich „ciężar gatunkowy";
2. ich motywacje;
3. gotowość Kremla do brania pod uwagę opinii publicznej;
4. okoliczności, w których ludność może obudzić się z letargu i zażądać zmian.

Na dwa pierwsze odpowiedzi dostarczają socjologiczne badania ilościowe i jakościowe (o pożytkach każdej z tych metod oraz pułapkach z nimi związanych – zob. niżej). Trudniej odnieść się do kwestii, w jakim stopniu władze uwzględniają nastroje społeczne w formułowaniu polityki wewnętrznej i zagranicznej. Z jednej strony dekady aktywności Centrum Lewady pokazują, że deklarowane w sondażach nastroje podążają za oficjalną linią propagandową, co wskazywałoby na daleko idącą podatność Rosjan na „lepienie" ich przekonań przez rządzących i – potwierdzaną przez fakty – niską skłonność do antyreżimowych wystąpień nawet w reakcji na kontrowersyjne decyzje Kremla. Z drugiej – zdarzają się sytuacje, kiedy władze w widoczny sposób obawiają się reakcji społeczeństwa: masowe niezadowolenie z przymusowej mobilizacji we wrześniu 2022 r. skłoniło Kreml do wyboru innych strategii rekrutacyjnych, w tym formowania de facto wojska najemnego (podpisujący kontrakty z armią inkasują sumy niewyobrażalne dla przeciętnego mieszkańca rosyjskiej prowincji).

Pora na ostatnie, najtrudniejsze pytanie: czy można przewidzieć rewolucję? Uczciwa odpowiedź na nie, potwierdzona doświadczeniami z innych krajów, brzmi: zapewne nie (liczni badacze stwierdzą zresztą, że żadne przemiany w Rosji nigdy nie nastąpią). Można latami śledzić oznaki erozji reżimu w sferach ekonomicznej, politycznej i społecznej i przegapić moment, gdy zmiana stanie się dla obywateli nie utopią, lecz koniecznością. Jeśli do tego dojdzie, zapewne nastąpi to wskutek odgórnej inspiracji, a nie spontanicznego ruchu oddolnego. Nie da się jednak wykluczyć niespodzianek („czarnych łabędzi"). Jako przykład niespodziewanego wydarzenia (choć nie o charakterze rewolucyjnym), które mogło zdestabilizować system, można wskazać pewną czerwcową noc w 2023 r., kiedy to uzbrojone oddziały Grupy Wagnera ruszyły na Moskwę. Bunt Jewgienija Prigożyna, stanowiący przede wszystkim efekt długotrwałej bierności struktur władzy wobec narastających napięć interpersonalnych, skutecznie nauczył nas pokory analitycznej.

Rosyjska kultura strategiczna jako wyzwanie badawcze

Reakcja Zachodu na pełnoskalową wojnę w Europie uświadomiła ekspertom, że najpoważniejszym wyzwaniem jest sformułowanie skutecznych odpowiedzi na działania FR wynikające z jej specyficznej kultury strategicznej. Zagadnienie to zasługuje tym samym na szersze omówienie.

Aktualny kształt owej kultury to konsekwencja kilku uwarunkowań.

- Przywódca i jego najbliższe otoczenie podejmują kluczowe decyzje dotyczące bezpieczeństwa narodowego i polityki zagranicznej bez żadnej kontroli ze strony szerszej elity lub społeczeństwa. Przetrwanie reżimu utożsamia się z przetrwaniem państwa.
- Suwerenność jest definiowana w kategoriach nie prawnych, lecz siły militarnej i ekspansji geopolitycznej. Ci, którzy narzucają swoją wolę siłą, cieszą się większą suwerennością niż inni. Umowy międzynarodowe uważa się za wiążące, o ile nie ograniczają „suwerenności".
- Rdzeń dyskursu na temat tożsamości narodowej stanowi silne, imperialne państwo. Po upadku ZSRS przywódcy nie zaproponowali zatomizowanemu społeczeństwu spójnej koncepcji postimperialnej tożsamości zbiorowej. Z kolei w czasach putinizmu alternatywne punkty odniesienia dla identyfikacji (idea nacjonalizmu obywatelskiego, etnonacjonalizmu czy tożsamości regionalnych) są systematycznie dławione.
- Dominującą pozycję w systemie zajmują byli funkcjonariusze KGB, na czele z Putinem. Ich światopogląd i sposób postępowania ukształtowała konfrontacja z Zachodem w okresie zimnej wojny. Przenieśli oni na grunt

polityki państwowej sposób myślenia, nawyki i metody działania właściwe środowisku „czekistów".

- Kulturę polityczną i strategiczną współkształtują wartości, normy i metody kryminalne. To skutek zrośnięcia się polityki z przestępczością zorganizowaną w latach 90. Duża grupa decydentów, w tym Putin, uczestniczyła wówczas w działalności mafijnej.

Na kulturę strategiczną w postaci manifestowanej współcześnie przez Kreml składają się więc zarazem element „długiego trwania" i specyfika putinizmu. Z jednej strony reżim kontynuuje tradycje carskiego imperializmu i sowietyzmu (te ostatnie błyskotliwie zdiagnozowane m.in. przez Włodzimierza Bączkowskiego i George'a Kennana w latach 30. i 40.), a z drugiej – stanowi pokłosie rozpadu ZSRS, ewolucji wewnątrzpolitycznej Rosji po 1991 r. oraz osobistych cech przedstawicieli grupy rządzącej.

W rezultacie kultura strategiczna FR zawiera się w poniższych punktach.

- Wartości demokratyczne, przedstawiane jako tajna broń Zachodu przeciwko „cywilizacji rosyjskiej", są uznawane za fundamentalne zagrożenie dla bezpieczeństwa państwa. Zagrożeniu temu należy przeciwdziałać wszelkimi środkami, w tym siłą militarną.
- W „świętej wojnie" tzw. tradycyjnych wartości przeciwko „satanizmowi" Zachodu Rosja potrzebuje wysuniętej obrony i kordonu sanitarnego, aby zapobiec zarażeniu własnych obywateli szkodliwymi ideami. Instrumenty tej obrony przed dostrzeganymi zagrożeniami nie zostały apriorycznie ograniczone. Nie istnieją z góry ustalone zasady ani „czerwone linie", których nie wolno przekraczać. Moskwa dąży również do zwalczania owych szkodliwych idei u źródeł – stąd próby wywierania wpływu na sytuację polityczną w państwach Zachodu w celu polaryzacji ich społeczeństw oraz podważenia ich zaufania do rządów i procedur demokratycznych.
- Pozycję międzynarodową Rosji determinuje jej potencjał destrukcyjny. Nie mogąc jej zbudować dzięki rozwojowi gospodarczemu, innowacjom i miękkiej sile, rządzący za główny wyznacznik potęgi uważają arsenał nuklearny i zdolność do destabilizowania innych krajów.
- W polityce międzynarodowej władze widzą w pierwszej kolejności sferę konfrontacji, nieustannej walki służb specjalnych i operacji specjalnych. W tej dziedzinie wykorzystuje się środki aktywne mające zniszczyć zdolności przeciwnika do stawiania oporu. Manipulacja, oszustwo i szantaż idą w parze z wysoką skłonnością do podejmowania ryzyka.
- Rosja kieruje się logiką gry o sumie zerowej. Podejście to wyklucza negocjacje w rozumieniu zachodniej kultury politycznej, gdyż interesy przeciwnika z definicji nie są brane pod uwagę. Styl negocjacji Kremla przypomina

postawę armii stawiającej warunki z pozycji siły. Nie należy mieć zatem złudzeń, że Moskwa jest skłonna współpracować z „wrogim" Zachodem w zakresie wspólnego zwalczania globalnych zagrożeń.

- Model przywództwa w Rosji, podobnie jak w świecie przestępczym, bazuje na idei męskości hegemonicznej, odsyłającej do patriarchalnej hierarchii i agresji. Zastraszanie, pogarda dla słabszych i gotowość do odwetu za rzeczywiste lub domniemane zniewagi służą manifestacji siły i brutalności, będących głównym źródłem legitymizacji. Pojednawczy język, wezwania do dialogu i kompromisu są postrzegane jako słabość, a słabość to zaproszenie do ataku.
- Dyplomacja służy demonstrowaniu siły. Do jej instrumentarium na stałe weszły kłamstwo i teorie spiskowe, a polityka zagraniczna opiera się na wymuszeniach. Minister spraw zagranicznych ZSRS Andriej Gromyko doradzał swoim dyplomatom: „Żądajcie czegoś, co nigdy nie należało do was. Stawiajcie ultimatum. Nie szczędźcie gróźb; proponujcie negocjacje jako wyjście z sytuacji. Na Zachodzie zawsze znajdą się ludzie, którzy dadzą się na to nabrać. Nie ustępujcie ani na jotę w negocjacjach, ale wyciskajcie jak najwięcej. Oni się na to zgodzą. Możesz uważać się za dyplomatę, gdy uzyskasz połowę lub dwie trzecie tego, czego wcześniej nie miałeś".
- Myślenie plemienne wyklucza przestrzeganie reguł gry wobec adwersarzy. Zasady obowiązują tylko w obrębie własnej grupy, a zobowiązania wobec podmiotów zewnętrznych nie muszą być brane pod uwagę. Strona silniejsza ma prawo zapewnić sobie bezpieczeństwo kosztem suwerenności innych narodów, a nawet ich istnienia, w tym poprzez doktrynę agresji prewencyjnej.
- Wojnę definiuje się o wiele szerzej niż na Zachodzie, a jej ważnym elementem jest komponent kognitywny („walce o umysły" służą informacyjne operacje wpływu i sterowanie refleksyjne). Jak wskazuje w książce *Zawładnąć umysłami i urządzić świat. Rosyjska strategia dywersji i dezinformacji* była dyrektorka i analityczka OSW Jolanta Darczewska, siłom zbrojnym przydzielono funkcje dalece wykraczające poza sferę obronną – m.in. ideologiczną, kulturotwórczą, światopoglądową. Nie ma też wyraźnej granicy między pokojem a wojną, zaś permanentny konflikt jest uważany za stan naturalny i pożądany. Świadoma względnej słabości swojej armii Rosja stara się używać jej dopiero po starannym przygotowaniu gruntu pod agresję za pomocą dywersji i propagandy. Nawet pozornie pokojowe obszary aktywności – sport, nauka czy biznes – służą jako kanały infiltracji terytorium wroga.
- Koncepcja używania języka jako broni przeciwko wrogom wywodzi się z tradycji miejscowych służb specjalnych i propagandy państwowej. Oficjalne komunikaty Kremla czy Ministerstwa Obrony FR przypominają fragmenty powieści Orwella. Kłamstwa stały się atrybutem silnej władzy

i wpisują się w głęboko zakorzenioną sowiecką tradycję podwójnego myślenia, bazującego na wierze w dwie przeciwstawne rzeczy jednocześnie. Komunikowanie rzeczywistych intencji za pomocą słów uznawane jest za obnażanie własnych słabości. Taki stan rzeczy wyklucza możliwość dojścia do porozumienia – z uwagi zarówno na świadome zafałszowywanie intencji przekazu, jak i na unicestwianie znaczeń.

Metody badawcze: lupa, puzzle i dużo cierpliwości

Eksperci OSW korzystają w zasadzie z trzech podstawowych metod badawczych: analizy źródeł otwartych, bezpośrednich kontaktów z ludźmi, którzy mogą wzbogacić wiedzę o danym kraju czy regionie oraz wizyt na „terytorium mandatowym". Nacisk na te ostatnie – pozwalające śledzić puls wydarzeń i nastrojów w terenie (w miastach i na prowincji) – od dekad decyduje o unikatowości wiedzy gromadzonej przez naszą instytucję. Wiedzy, której nie można pozyskać zza biurek.

W praktyce każda z tych metod różni się nieco w zależności od analizowanego państwa i jego specyfiki, zaś FR stawia przed nami w tym względzie coraz więcej wyzwań. Mowa m.in. o niemożności podróżowania do tego kraju od początku pełnoskalowej inwazji na Ukrainę w 2022 r. (wcześniej, w latach 2020–2022, poważne ograniczenie stanowiła zaś pandemia koronawirusa), wątpliwej wiarygodności oficjalnych źródeł oraz problemach w kontaktach osobistych z Rosjanami. Praca z informacją wymaga tymczasem nie tylko uchwycenia trendów i zjawisk w ujęciu ogólnorosyjskim (skala makro), lecz także przyglądania się dynamice wydarzeń w regionach (skala mikro). Nieocenioną wartość w tych warunkach niesie kooperacja zespołowa: nieprzypadkowo Rosją zajmuje się w OSW najwięcej analityków – ośmioro.

Podróże

Odwiedzanie danego kraju jako jedyne daje szansę obserwacji uczestniczącej: naocznego zapoznawania się z sytuacją ekonomiczno-bytową, rozmów ze spotykanymi na szlaku Rosjanami (ciekawa bywa zwłaszcza wymiana myśli z taksówkarzami i lokalnymi dziennikarzami) oraz zanurzania się w „mówiące przestrzenie". Przestrzenie publiczne w miastach i wsiach, muzea, pomniki, toponimy pokazują, jak (często podprogowo) formowane są tożsamość i myślenie obywateli. Za przykład niech posłuży tradycyjny wystrój muzeów regionalnych – na ogół dominują w nich artefakty związane z okresem sowieckim, a tożsamości lokalne sprowadza się do jarmarcznego folkloru.

Obecna niemożność wizytowania Rosji to konsekwencja nie tylko uwarunkowań prawnych i moralnych, lecz także względów bezpieczeństwa. W epoce

proxy war Moskwy z Zachodem każdy obywatel UE może zostać pod byle pretekstem aresztowany, a następnie stać się zakładnikiem, kartą przetargową i przedmiotem szantażu tamtejszych władz wymierzonego w jego ojczyznę. Ponadto w obliczu coraz bardziej represyjnego kursu wewnątrzpolitycznego Kremla ewentualne spotkania z miejscowymi ekspertami na terytorium FR wiązałyby się z dużym ryzykiem dla tych ostatnich.

Kontakty osobiste

Erzac odwiedzin Rosji stanowią regularnie podtrzymywane kontakty z emigrantami politycznymi (w tym dziennikarzami, aktywistkami, politykami, naukowczyniami), a niekiedy z osobami wciąż mieszkającymi w FR, którym udaje się podróżować. Orientacja tych ludzi w aktualnej sytuacji w kraju jest zróżnicowana. Najłatwiej pozyskać informacje dotyczące nastrojów społecznych, ogólnej atmosfery, warunków życia (przy czym wiarygodność ocen mogą obniżać emocje i partykularne interesy interlokutorów). Najtrudniej – rzetelne analizy mechanizmów decyzyjnych i morale w kręgach władzy (rozmówcy najczęściej mają małą, wybiórczą lub nieaktualną wiedzę na ten temat, a zarazem dane takie najtrudniej zweryfikować). Należy przy tym pamiętać o infiltracji środowisk niezależnych przez rosyjskie służby, a zatem o niebezpieczeństwie świadomej (bądź mimowolnej) dezinformacji.

Analiza źródeł otwartych

Pierwszy rodzaj źródeł otwartych to kontrolowane przez Kreml **tradycyjne media**, przede wszystkim kanały telewizyjne, elektroniczne wydania gazet i portale internetowe. Ich aktywność sprowadza się do uprawiania agresywnej propagandy i dezinformacji, niemniej stałe analizowanie ich treści pozwala dowiedzieć się, jaki przekaz otrzymują od władz obywatele i aparat państwowy, a tym samym – jakie posunięcia mogą przygotowywać rządzący i jak w związku z nimi „urabiają" opinię publiczną. Czasem niespójności w narracji pomagają wytropić oznaki sporów i dylematów w kręgach decyzyjnych, które są rezultatem kłopotów w zarządzaniu nastrojami i formułowaniu polityk.

Coraz więcej trudności przynosi korzystanie z **danych** publikowanych przez Rosstat – odpowiednik GUS – i inne rosyjskie urzędy. Statystyki w różnych sferach są systematycznie fałszowane (co nierzadko maskuje się zmianami metodologii ich sporządzania, jak w przypadku liczenia PKB czy określenia poziomu ubóstwa) lub utajniane (jak straty agresora na froncie). W 2025 r. utajniono rekordowe 32% wydatków budżetowych. Niekiedy skala przekłamań bywa szokująca: według niezależnych demografów ogólnorosyjski spis ludności przeprowadzony w szczycie pandemii (2021 r.) prawdopodobnie zawyżył wielkość populacji o 3–4 mln (wyniki zostały najpewniej zmanipulowane na szczeblu

regionów, gdyż oficjalna liczba mieszkańców podmiotów federacji wpływa na wysokość transferów finansowych z budżetu centralnego).

W odniesieniu do polityki wewnętrznej i zagranicznej cennych informacji o kierunku myślenia władz dostarczają **oficjalne dokumenty strategiczne**, m.in. strategie polityki zagranicznej i bezpieczeństwa. Trzeba jednak poczynić pewne zastrzeżenie: nie są one fundamentami owej polityki, lecz raczej narzędziami Kremla, a ich interpretacja i implementacja zależą od bieżącego definiowania interesów narodowych przez decydentów. Tymczasem zewnętrzni (zwłaszcza zachodni) obserwatorzy nieraz drobiazgowo analizują niuanse treści takich dokumentów i zmiany odcieni znaczeniowych zawartych w nich słów. To nie tak, że nie należy tego robić, ale nie wolno zapominać o ograniczeniach i przeznaczeniu takich publikacji. Realizują one cele zarówno zewnętrzne, jak i wewnętrzne.

Te adresowane do otoczenia międzynarodowego (w pierwszej kolejności potencjalnych lub aktualnych przeciwników) zazwyczaj mają charakter prewencyjny – ostrzegają (nie wprost): „nie róbcie czegoś, bo spotka się to z naszą surową reakcją" – lub odwetowy: „ponieważ coś zrobiliście, teraz zaostrzamy swoją politykę". Tym samym ich zadanie polega na wywoływaniu określonego odzewu (najczęściej budzeniu zaniepokojenia) i straszeniu konsekwencjami odpowiedzi na agresywny kurs Rosji.

Oficjalne komunikaty są jednak skierowane także do odbiorcy wewnętrznego. Na podstawowym poziomie – do biurokracji różnego szczebla. Otrzymuje ona w ten sposób wytyczne dotyczące komunikacji publicznej: „To nasza oficjalna linia i tego się trzymajcie". Nie liczy się przy tym, że realne postępowanie państwa może nie mieć nic wspólnego z treścią dokumentów. Czytając strategie polityki zagranicznej, bezpieczeństwa i obrony, dowiemy się wszak, iż Moskwa pragnie wyłącznie pokoju, stabilności i dobrobytu, nigdy nie atakuje, a zawsze się tylko broni, całe zaś zło pochodzi od Zachodu.

Istnieją też subtelniejsze i wymagające głębszego zbadania przekazy – informujące o aktualnych hierarchiach wpływu w strukturach władzy. Dla przykładu z dokumentów powstających w zespołach międzyresortowych i/lub zawierających zapisy zgłaszane przez różne instytucje państwowe można odczytać, które z nich najskuteczniej lobbują na rzecz swoich partykularnych interesów. Niekiedy wyrazem pozycji w systemie jest wyposażenie konkretnego organu w kompetencje z zakresu koordynowania określonej polityki. Swoją drogą nie zawsze oznacza to, że taką funkcję pełni on w rzeczywistości. Dlatego tak istotną rolę odgrywa konfrontowanie dokumentów koncepcyjnych i doktrynalnych z faktycznymi decyzjami i działaniami. Te ostatnie są najważniejsze i miewają charakter arbitralny. Rosyjscy przywódcy nie są zatem w pełni związani deklaracjami politycznymi, co ma szczególne znaczenie w sferach wrażliwych, jak odstraszanie nuklearne i zasady użycia broni jądrowej.

Bardzo wysoki poziom prezentują **media niezależne**. Prawie wszystkie większe redakcje znalazły się na wymuszonej cenzurą i represjami emigracji, lecz wciąż utrzymują rozbudowaną sieć korespondentów w Rosji. Wartość tych podmiotów polega na rzetelnym warsztacie, w tym *fact-checkingu*, pogłębionych analizach wydarzeń i procesów zachodzących w kraju, zasięganiu opinii czołowych specjalistów w dziedzinach polityki, gospodarki i spraw społecznych.

Nieocenione źródło informacji zbieranych „pod lupą" stanowią niezależne media lokalne i regionalne. Koncentrują się one na sprawach o niewielkim zasięgu, przez co interesują się nimi miejscowe społeczności. Jednocześnie są zmuszone, w przeciwieństwie do mediów na emigracji, do autocenzury i apolityczności. Zapewniają jednak analitykom wgląd w nastroje społeczne, napięcia i problemy, których może nie wyłapać radar większych redakcji, a które w jakiejś mierze oddziałują na dynamikę wydarzeń i posunięcia władz federalnych.

O prawdziwy ból głowy przyprawia natomiast praca z **mediami społecznościowymi**, wśród których – jeśli chodzi o pluralizm – prym wiedzie Telegram. Na platformie tej funkcjonują obok siebie kanały niezależne oraz te powiązane z władzami różnych szczebli i służbami specjalnymi. Obfitość wiadomości i plotek o rozmaitej wiarygodności, obliczonych na manipulowanie emocjami, wzmaga jednak ryzyko dezinformacji. Niezależni komentatorzy, blogerzy, dziennikarze i eksperci zamieszczają również sporo pożytecznych materiałów na YouTubie, gdzie prokremlowskiej propagandy jest – wskutek polityki sankcyjnej – zauważalnie mniej. W tym miejscu na podkreślenie zasługuje ogromna waga krytyki źródeł informacji: badanie ich pochodzenia, dysponentów, ich biografii, powiązań, motywów działania itp. Ta niepowtarzalna wiedza, stanowiąca produkt lat żmudnej pracy ze źródłami, stanowi naczelną różnicę pomiędzy zawodowymi analitykami a licznymi internetowymi komentatorami amatorami.

Wśród pułapek, w jakie wpadają zewnętrzni obserwatorzy Rosji, warto wymienić korzystanie z doniesień i analiz umieszczanych na anonimowym koncie telegramowym General SVR. Ten prowadzony od kilku lat blog dostarcza nierzadko sensacyjnych wieści o rzekomych konfliktach w elicie władzy i organach bezpieczeństwa, identyfikuje spiski, zapowiada dymisje i gwałtowne wydarzenia. Treści te niestety nader często są cytowane (niekiedy bez podania źródła!) nawet w poważanych zachodnich mediach. Tymczasem zbadanie przekazów tego kanału, zwłaszcza w początkowym okresie jego działania, pozwala powiązać go bezpośrednio lub pośrednio z konkretną osobą: byłym wykładowcą Moskiewskiego Państwowego Instytutu Stosunków Międzynarodowych (MGIMO) – znanej uczelni będącej kuźnią kadr dyplomacji i służb specjalnych FR – Walerijem Sołowiejem. Ten naukowiec o ambicjach celebryty (jeździ po kraju z komercyjnymi wystąpieniami publicznymi) znany jest z formułowania ostrych tez i prognoz. Stanowią one mieszankę prawdziwych informacji (przeczytanych

gdzie indziej), pogłosek i konfabulacji. Sołowiej wielokrotnie zapowiadał już m.in. zmianę reżimu i rozsiewał plotki o ciężkiej chorobie Putina.

Aby zrozumieć sytuację w elicie rządzącej, służbach specjalnych i kręgach biznesowych, trzeba regularnie sprawdzać stan śledztw dziennikarskich. Są one niejednokrotnie prowadzone we współpracy z czołowymi redakcjami zagranicznymi, cechują się wysoką wiarygodnością i dostarczają nieocenionych treści, m.in. w kontekście kształtowania polityki sankcyjnej.

Liczne kontrowersje towarzyszą natomiast **sondażom dotyczącym nastrojów społecznych**. Mimo że Kreml zaostrza kurs wewnątrzpolityczny, w Rosji wciąż istnieją niezależne ośrodki badania opinii publicznej (m.in. Centrum Lewady), a ciekawe informacje da się pozyskać nawet z danych udostępnianych przez podmioty państwowe (FOM, WCIOM). Unaoczniają one pewne tendencje i przesunięcia w nastrojach, które mogą zarówno sygnalizować przemiany, jak i je generować. Jednocześnie pod adresem niezależnych socjologów padają zarzuty niewystarczającej reprezentatywności ich badań, autocenzury respondentów oraz silnego wpływu propagandy na deklarowane postawy. Już na długo przed falą represji związanych z pełnoskalową inwazją na Ukrainę znaczny odsetek Rosjan obawiał się wypowiadać w ankietach (w 2016 r. 26% stwierdziło, że boi się mówić, co myśli, a według połowy taki lęk cechuje większość obywateli).

Niewskazane są więc wiara w konkretne liczby i tworzenie na ich podstawie prognoz politycznych (żaden sondaż w FR nie umożliwił przewidzenia kryzysów, takich jak ten z lat 2011–2012 czy wspomniany bunt Prigożyna z 2023 r.). Często bardziej użyteczne od badań ilościowych okazują się badania jakościowe, które – choć nie pozwalają uchwycić postaw społecznych w ujęciu liczbowym – dają szansę zgłębienia motywacji i mechanizmów myślenia respondentów. Podsumowując: nawet w Rosji – państwie neototalitarnym – narzędzia socjologiczne (przy wszystkich towarzyszących temu zastrzeżeniach metodologicznych) na bieżąco uzupełniają niektóre brakujące kawałki naszej analitycznej układanki.

Rekomendacje: „klucze" interpretacyjne

Rosja jako kraj, społeczeństwo, swoista tożsamość, wreszcie: podmiot stosunków międzynarodowych nie jest enigmą. Jej „tajemniczość" to nie cecha organiczna, lecz skutek mozolnego dławienia przez władze obiegu informacji i rezultat *maskirowki* – ukrywania stanu rzeczy przed „wrogami" poprzez dezinformację, utajnianie danych, kłamstwa i zastraszanie potencjalnych informatorów. Na analityczne remedium na te bolączki składają się: czasochłonne gromadzenie wiadomości z dostępnych źródeł, tropienie powiązań między różnymi sferami funkcjonowania systemu oraz przyjęcie określonej optyki badawczej.

W zajmowaniu się tak złożonym państwem nie ma dróg na skróty. Da się jednak wskazać kilka „wytrychów", którymi warto się posługiwać, by ułatwić sobie to zadanie.

Po pierwsze, należy dokonywać **permanentnej dekonstrukcji treści** serwowanych przez źródła. Polega ona na dekodowaniu ich kontekstu, intencji, języka, logiki wywodu oraz na krytycznej refleksji nad własnymi wnioskami. To ważne szczególnie w odniesieniu do wypowiedzi przedstawicieli władz oraz analityków prezentujących tezy i postulaty korzystne dla Kremla. Pamiętajmy też o interpretowaniu tez i postulatów środowisk niezależnych lub antyreżimowych (warto m.in. zwracać uwagę na przekazy noszące znamiona kryptoimperializmu, które studzą nadzieje na potencjał reformatorski demokratów). Umiejętność czytania między wierszami to jeden z najważniejszych atutów badaczki.

Po drugie, w analizie trzeba **uwzględniać zmienne proporcje stabilności i zmiany, chaosu i spójności**. Mimo daleko posuniętej centralizacji władzy i dążeń Kremla do nadzorowania wszelkich aspektów życia państwa, rosyjski system nie jest tak spójny, jak może się wydawać, a szalejąca korupcja i biurokratyczny bałagan potrafią wykoleić ambitne projekty nawet w obszarze wojskowości (stąd m.in. dymisje w Ministerstwie Obrony FR wiosną 2024 r.). Jednocześnie ów system wciąż wykazuje się dużą odpornością na wstrząsy – choć odporności tej również nie powinno się przeceniać: rządzący są silni tylko tak długo, jak długo takimi widzą ich elity i naród.

Po trzecie, **unikanie powierzchownych porównań pomiędzy Rosją a innymi systemami** chroni przed uproszczeniami, fałszywym symetryzmem i łatwymi analogiami historycznymi, które zaciemniają obraz sytuacji, a przez to uniemożliwiają formułowanie skutecznych polityk wobec FR.

Wreszcie – warto **czytać współczesną rosyjską literaturę piękną** autorstwa antyreżimowych pisarzy i poetów. Bez jej znajomości trudno nie tylko uchwycić puls bieżących wydarzeń, lecz także rozwinąć intuicję co do dalszej ewolucji systemu. Wprawdzie powieści i wiersze nie dostarczą gotowych narzędzi ani pojęć przydatnych w rygorystycznie zorganizowanym procesie badawczym, lecz bywają bardziej przenikliwe niż najlepsze analizy politologiczne. Słynna powieść Władimira Sorokina *Dzień opryczника* z 2006 r. to trafny literacki obraz Rosji A.D. 2025: odciętej od Zachodu i zwróconej na Wschód, w której odrodziły się praktyki okresu opryczniny, a nowoczesne technologie współistnieją z archaicznym sztafażem. Opublikowany w 2019 r. *Outpost* Dmitrija Głuchowskiego pokazuje skutki „szatańskiej choroby" – krwawego szału zniszczenia i śmierci, którym kremlowska propaganda celowo zaraziła naród, by utrzymać imperium. Tu analogia jest jeszcze bardziej oczywista.

* * *

Badanie Rosji nie jest pracą lekką, łatwą i przyjemną. Wymaga determinacji, ciekawości świata i dystansu do samych siebie, ale przynosi niezaprzeczalne poczucie sensu (szczególnie w kontekście powagi sytuacji, w jakiej znalazła się Polska). Największe wyzwania często generuje nie sama Rosja, ale skuteczne przedstawianie polskiej racji stanu i wniosków jej dotyczących w gronie zachodnich sojuszników. Autorce niniejszego eseju pozostaje wyrazić nadzieję, że przyszli analitycy i analityczki nie potraktują jej tekstu jako demotywującego, ale jako zachętę do zmierzenia się z fascynującym zagadnieniem poznawczym – rosyjską „tajemnicą".

ANEKS

Putinizm: słownik podstawowych terminów

Do języka analityki wszedł szereg rusycyzmów, które lepiej niż ich zagraniczne odpowiedniki oddają specyfikę rosyjskich realiów. Wśród tych pojęć na uwagę szczególnie zasługują następujące:

- **Basen** (ros. *бассейн*) – nielegalny budżet grupy rządzącej, gromadzony dzięki różnorodnym schematom korupcyjnym (w tym haraczom płaconym przez oligarchów), wykorzystywany przez ścisłą elitę władzy we własnych interesach.
- **Błat** (ros. *блат*) – znajomości wykorzystywane w celu zdobycia deficytowych dóbr albo innych korzyści.
- **Czarna kasa** (ros. *черный нал*) – nielegalny budżet organizacji (organu administracji, firmy, partii politycznej etc.), na ogół przechowywany w postaci gotówkowej, wydatkowany w sposób nieoficjalny w interesie wąskiej grupy beneficjentów.
- **Kompromat** (ros. *компромат*) – materiały wykorzystywane do dyskredytowania przeciwników politycznych czy biznesowych.
- **Krugowaja poruka** (ros. *круговая порука*) – wzajemne gwarancje lojalności obowiązujące między członkami zamkniętej grupy, wymuszone wspólnym uwikłaniem w działania nielegalne bądź kompromitujące. W tym mechanizmie odpowiedzialność zbiorowa gwarantuje, że żaden z członków grupy nie wyda pozostałych.

- **Krysza, kryszowanie** (ros. *крыша, крышевание*, dosł. „zapewnianie dachu") – szeroko pojmowana protekcja oferowana podmiotom biznesowym w ich legalnej bądź nielegalnej działalności w zamian za regularnie płacony haracz lub udział w zyskach (mechanizm tzw. otkatu – zob. dalej).
- **Obszczak** (ros. *общак*) – w żargonie kryminalnym wspólny budżet organizacji przestępczej; termin stosowany w odniesieniu do schematów korupcyjnych w rosyjskich instytucjach państwowych. Obszczak powstaje dzięki odprowadzaniu do „wspólnej kasy" części indywidualnie pozyskiwanych dochodów z korupcji. Są one następnie przeznaczane na finansowanie potrzeb grupy wynikających z jej nielegalnej działalności (np. wręczanie łapówek).
- **Otkat** (ros. *откат*) – haracz lub udział w zyskach firmy przekazywane w zamian za uzyskaną korzyść (np. nielegalnie wygrany przetarg czy ochronę – zob. krysza).
- **Poniatija** (ros. *понятия*) – popularny termin pochodzący z kryminalnego (i więziennego) kodeksu zachowania oznaczający niepisane zasady postępowania, pierwotnie znane jedynie wtajemniczonym, „swoim". W rosyjskiej sferze polityczno-biurokratycznej mają one bezwzględny prymat nad prawem pisanym w zakresie zarządzania wybranymi sferami życia publicznego oraz regulowania stosunków zwierzchności i podporządkowania. Odsyłają do siły i patrymonialnych współzależności jako źródeł prawa.
- **Raspił** (ros. *распил*) – różnorodne mechanizmy defraudowania pieniędzy z budżetu albo majątku firmy (prywatnej lub państwowej).
- **Rejderstwo** (ros. *рейдерство*) – przejmowanie dochodowych firm przez podmioty prywatne lub państwowe (nierzadko we współpracy z grupami kryminalnymi) z wykorzystaniem organów ścigania, służb specjalnych, wymiaru sprawiedliwości i organów kontrolno-nadzorczych. Celem jest przejęcie, a następnie maksymalna eksploatacja przynoszących dochody przedsiębiorstw, w tym wyprowadzenie ich aktywów na prywatne konta, co często prowadzi do bankructwa.
- **Rekiet** (ros. *рекет*) – zorganizowany system wymuszania haraczy przy użyciu przemocy (gróźb, szantażu, przemocy fizycznej, porwań), niekiedy w zamian za rzeczywistą bądź iluzoryczną kryszę.
- **Zasób administracyjny** (ros. *административный ресурс*) – potencjał wpływu na kształt sfery publicznej, jakim – dzięki pieniądzom z budżetu, kompetencjom ustawowym, aparatowi przymusu czy wykorzystywaniu nieformalnych współzależności patronalno-klientelistycznych – dysponują instytucje państwowe i ich indywidualni przedstawiciele. Termin używany najczęściej w odniesieniu do manipulowania przez administrację państwową przebiegiem i rezultatami wyborów różnych szczebli.

Na **wojenny słownik kremlowskiej propagandy** składa się szeroka gama zmanipulowanych terminów będących narzędziem w wojnie informacyjnej i mających służyć legitymizacji zbrodni wojennych i łamania prawa międzynarodowego. Nierzadko pojęcia te już wcześniej znalazły się w oficjalnej komunikacji publicznej Moskwy. Poniżej przedstawiono wybrane przykłady wraz z ich semantyczną dekonstrukcją:

- **Naziści** – zwolennicy wartości demokratycznych i ukraińskiej tożsamości narodowej; przeciwnicy rosyjskiego rewanżyzmu (walkę z „ukraińskim nazizmem" prezentuje się jako ciąg dalszy wielkiej wojny ojczyźnianej lat 1941–1945).
- **Rusofobia** (często utożsamiana z nazizmem) – powstrzymywanie infiltracji przez Rosję zachodnich demokracji, potępianie jej agresywnych wojen.
- **Rosyjskie interesy bezpieczeństwa** – wymyślanie nieistniejących zagrożeń, aby przedstawić agresję wobec sąsiadów jako „samoobronę".
- **Gwarancje bezpieczeństwa dla Rosji** – gwarancje umożliwiające Rosji bezkarne atakowanie państw ościennych.
- **Negocjacje** – zmuszenie przez Rosję przeciwnika do zaakceptowania wszystkich żądań, których lista jest na ogół wydłużana w trakcie negocjacji.
- **Pokój** – tymczasowy etap pomiędzy dwiema wojnami.
- **Dialog** – rozmowy, które służą legitymizacji autokratycznego reżimu i nie przynoszą korzyści przeciwnikowi.
- **Suwerenność Rosji** – prawo do jednostronnego narzucania swojej woli innym państwom bez oglądania się na prawo międzynarodowe.

„Ukrainie sława", ekspertom biada: wyzwania i dylematy analizy ukraińskiej

Tadeusz Iwański, Sławomir Matuszak

Warszawa, maj 2015, restauracja Montenegro przy ul. Natolińskiej

Grupa młodych ukraińskich urzędników ściągniętych przez polskie NGO na wizytę studyjną w samorządach. Celem jest nauka – po rewolucji godności idzie nowe, Ukraina się modernizuje, po wyborach lokalnych wdraża przełomową reformę decentralizacji, a przykład niosą polskie rozwiązania. Organizatorzy kontaktują się z OSW – wszak znamy się dobrze, środowisko współpracujące z Ukrainą, czy to w pierwszym sektorze, czy w trzecim, czy w mediach, jest silnie powiązane: „Może chcecie wpaść na lunch i pogadać z gośćmi?". Gawędzę z Dimą (tu i dalej niektóre imiona zmieniono) – jeszcze przed trzydziestką, zaangażowany i energiczny, z zapałem opowiada o nowych rozwiązaniach i pojawiających się wyzwaniach, szybko łapiemy kontakt.

Zaporoże, lipiec 2015, budynek Państwowej Administracji Obwodowej, godz. 13.00

Umówiłem się z tym samym Dimą, który w międzyczasie został zastępcą gubernatora obwodu zaporoskiego, czyli szefa państwowej administracji obwodowej – głównego ośrodka władzy wykonawczej w regionie. Jestem w podróży studyjnej z kolegą z Ośrodka, drążymy temat decentralizacji i poznajemy kraj od podszewki poprzez rozmowy w miastach (poza Kijowem) i na prowincji. Dima przyjmuje nas w wielkim gabinecie, ale decentralizacyjne dyskusje ewidentnie go nudzą. Proponuje lunch ze swoim znajomym, też wicegubernatorem, ale odpowiedzialnym za współpracę międzynarodową, kawałek za miastem.

Analityk w delegacji je nie wtedy, gdy jest głodny, ale kiedy akurat nie ma spotkań. Przystajemy więc na tę ofertę.

Z podziemnego garażu wyjeżdżamy nowym autem marki Mitsubishi Pajero i mkniemy sześciopasmowym prospektem Lenina na południe, do... yacht clubu. Biel parawanów i obić mebli ogrodowych silnie kontrastuje z błękitem wody i nieba, w basenach kąpią się roznegliżowane damy i otyli, wytatuowani i obwieszeni złotem dżentelmeni. Kolega Dimy, Ołeh – w białej lnianej koszuli z krokodylem i czarnych okularach Ray-Ban – podejmuje nas przy zacienionym stoliku piramidą owoców morza i zmrożoną wódką. Nie odzywa się dużo, w zasadzie nie mówi nic poza toastem „za Polskę i Ukrainę", spełnianym ortodoksyjnie co kwadrans. O decentralizacji wie niewiele, o możliwościach rozwoju biznesu prawi komunały, a o własnej karierze i lokalnej polityce kłamie w żywe oczy. Rozmowa się nam nie klei, Dima w międzyczasie wyszedł po angielsku, więc Ołeh proponuje, byśmy przepłynęli się łódką. Marudzimy, że za gorąco na wiosła, że nie mamy odpowiednich strojów, na co on, że to nic, że nie trzeba.

I faktycznie – łódka okazuje się dwusilnikowym dwudziestometrowym katamaranem. Kierując maszynę starorzeczem do Dniepru, Ołeh pokazuje nam palcem budujące się apartamentowce i bungalowy na obu brzegach, a za każdym wskazaniem następuje sakramentalne „To moje, to moje, to też moje". Przejażdżka jest urocza. Prujemy fale, okrążając Chortycę – wyspę z legendarną pierwszą siczą Bajdy-Wiśniowieckiego. Podpływamy także pod DniproHES – monumentalną elektrownię wodną. Nasz przewodnik sączy oszronione francuskie piwo Kronenbourg 1664 Blanc. Widać, że w życiu mu się powiodło i że lubi się nim cieszyć.

Zaporoże, ten sam dzień, budynek Teleradiokompanii Ukrainy, godz. 17.00

Wira to dziennikarka zatrudniona w regionalnym ośrodku publicznego nadawcy. Wkrótce podmiot ten zostanie poddany dogłębnym zmianom, dzięki czemu przekształci się w nowoczesną i – co najważniejsze – uczciwą telewizję Suspilne. Na razie jednak – bieda aż piszczy. Wspinamy się klatką schodową. Ściany obłażą starą seledynową farbą, w kątach trutka, mimo lipcowego upału zanosi wilgocią. Siadamy w małym pokoju na brzydkich i niewygodnych krzesłach. W plastykowych kubeczkach dostajemy kawę-zalewajkę z potrójną porcją cukru. I zamieniamy się w słuch.

Opowieść jest fascynująca. Właściwie nie musimy zadawać pytań. Wirze ulewa się frustracja i złość na miejscowych oligarchów i złodziei, na brak pieniędzy na rzetelne dziennikarstwo oraz marne zarobki, na korupcję i układy. Opisuje wzloty i upadki decentralizacji, kreśli zależności między radnymi różnych szczebli a władzą wykonawczą, przybliża biznesy, kryszę (opiekę)

i porachunki polityczne (w marcu byłego gubernatora obwodu zaporoskiego znaleziono z przestrzeloną szyją). Na Dimie i Ołehu, którzy objęli stanowiska na fali odnowy po rewolucji godności i o których pytamy, nie zostawia suchej nitki.

* * *

Jaką lekcję z tego emocjonującego dnia wynieśliśmy my, badacze Ukrainy? Niezastąpioną: kolejny raz przekonaliśmy się, że to kraj olbrzymich dysproporcji, w tym w zakresie dostępu do bogactw materialnych; że każdy obwód ma swoją specyfikę i w każdym działa kasta „menedżerów", łączących posady w administracji z pozycją w biznesie w celu ochrony lub powiększenia tego ostatniego; że rewolucje mają też brzydką stronę, a system skutecznie korumpuje młodych (jak Dima), ci zaś skrywają osobiste dążenia za pięknymi hasłami o dobru wspólnym; że ukraińska korupcja to nie tylko wielcy oligarchowie, uwłaszczeni na majątku państwa, lecz także drobni, lokalni „biznesmeni", o których w ogólnokrajowych mediach trudno znaleźć choćby wzmiankę. A również, że to piękne, zróżnicowane państwo bogate w relacje i opowieści.

Dwie oddolne rewolucje społeczne (w 2004 i 2013/2014 r.), które diametralnie zmieniły trajektorię rozwoju, oraz jedna „elektoralna" (w 2019 r.), która gruntownie przebudowała scenę polityczną, w międzyczasie zbrojna agresja, a potem pełnoskalowa inwazja Rosji pokazują, jak dynamicznym obszarem badań jest Ukraina. Przemiany te wymagają pilnej i podzielnej uwagi. By dokładnie je śledzić, analizować, a następnie projektować ich skutki dla Polski i Europy, potrzeba chłodnej głowy, niejednej pary rąk i mocnego stąpania po ziemi.

Nie przedstawimy w tym tekście eksperta idealnego, ale zwrócimy uwagę na istotne niuanse, wyzwania badawcze oraz pułapki, których staramy się uniknąć. Pomówimy w nim o instrumentach analitycznych pozwalających jak najlepiej tę ukraińską swoistość uchwycić, przetrawić i przekazać. Będzie też o tym, czym różni się Ukraina od innych państw poradzieckich, o podmiotowości tamtejszego społeczeństwa i polifonii mediów, o otwartych rejestrach i niestabilności wewnętrznej, o kulturze politycznej i trudnym sąsiedztwie, wreszcie o tym, jak rosyjska napaść wpłynęła na analizę i jak odnaleźć się w tym wszystkim polskiemu badaczowi.

Włóczęga jako metoda analityczna

Obrazki z Zaporoża to tylko krótki wyimek z dłuższego wyjazdu służbowego. Zaczął się on w Charkowie, skąd z wolontariuszem Żenią i transportem prowiantu dla żołnierzy udaliśmy się na powstałą na podstawie tzw. drugich porozumień mińskich linię rozgraniczenia między wojskami ukraińskimi i rosyjskimi. Choć miały one odciągnąć ciężkie uzbrojenie, tworząc strefę buforową, realnie

funkcjonowała ona wyłącznie za dnia – nocą artyleria obu stron ponownie zbliżała się do siebie, czasami dochodziło do wymiany ognia.

Wracając, Żenia zabrał dwóch pasażerów na gapę – relegowanych z jednostki za pijaństwo żołnierzy batalionu Ajdar. Wciąż w stanie wskazującym wgramolili się w kamizelkach kuloodpornych na tylną kanapę furgonetki i patrzyli wilkiem. Atmosfera rozluźniła się, dopiero gdy pod rozgwieżdżonym niebem paliliśmy papierosy po drodze do Artemiwśka (od 2016 r. Bachmut). Następnie przez Siewierodonieck (załapaliśmy się na wiec ówczesnego prezydenta Petra Poroszenki), Berdiańsk (spotkaliśmy rodaków chcących zawiązywać polską partię na Ukrainie) i Melitopol (przeprowadziliśmy ekscytującą rozmowę z wygnanymi Tatarami Krymskimi planującymi powrót na półwysep i akcje sabotażowe) dojechaliśmy wynajętym samochodem do Dniepru (wtedy jeszcze Dniepropetrowska) i Zaporoża, skąd samoloty LOT kursowały bezpośrednio do Warszawy.

Były i inne wyjazdy polowe analityków OSW – w ważnych momentach i w miejsca ważne rok wcześniej: na zachód Ukrainy zimą 2013/2014 r., gdy przeciwnicy reżimu Wiktora Janukowycza zajmowali lokalne budynki administracji rządowej, w marcu 2014 r. na Krym, gdy opanowały go „zielone ludziki", a Sewastopol groźnie świętował „powrót do macierzy", w kwietniu 2014 r. do Doniecka i Ługańska, gdzie ludzie m.in. Igora Girkina vel Striełkowa organizowali Noworosję. Na ogół z bezpiecznej odległości, w służbie krajowi, by dotknąć wydarzeń i uczynić materiał dla decydenta maksymalnie wszechstronnym i wyważonym. Były także liczne wyjazdy w mniej zapalne obszary i w czasie pokoju – mamy ambicję zdobyć „koronę Ukrainy", czyli odwiedzić wszystkie 24 obwody i Krym.

„Włóczęga analityczna" to samorodna metoda Ośrodka. Nawet setki stron przeczytanych tekstów nie zastąpią dyskusji, atmosfery ulicy, reakcji tłumów, gestów i spojrzeń naszych rozmówców i zwykłych ludzi, smaków i zapachów restauracji czy widoków krajobrazów i architektury. Zapewniają one wiedzę uzupełniającą, lecz kluczową dla lepszego zrozumienia miejscowych realiów. Celem delegacji nie jest turystyka – chodzi o wyjście poza bańkę mediów i sieci społecznościowych oraz o niezastąpiony *reality check* po miesiącach obserwowania wydarzeń w państwie mandatowym zza komputera przy Koszykowej w centrum Warszawy. Poniżej o tym, dlaczego bez regularnych wizyt na Ukrainie analiza byłaby dalece niepełna.

Delegacje jak szkło powiększające

Podróże do „obszaru mandatowego", którym zajmuje się ekspert, uczą kraju, mentalności autochtonów, odmienności regionalnych, przyziemnych problemów. Uwypuklają niuanse i wyostrzają różnice. Tych na Ukrainie jest masa – wszak to kraj prawie dwa razy większy od Polski, z licznymi mniejszościami narodowymi.

Związek Sowiecki zszył tamtejsze ziemie ze sobą i wykreował poczucie wspólnoty losów mieszkańców. Ceną za to – prócz rusyfikacji i ideologizacji – były próby kulturowego zglajchszaltowania ukraińskich regionów. Na szczęście nie do końca się one powiodły, co po uzyskaniu niepodległości ułatwiło odrodzenie lokalnych tradycji. Wraz ze zmianami pokoleniowymi nikną też wspólne kody sowieckiej kultury popularnej i języka rosyjskiego. Pewną mentalną wspólnotę widać jeszcze wśród seniorów, lecz już rzadziej reprodukuje się ona wśród młodzieży, czerpiącej z alternatywnych źródeł i wzorców.

Tym samym prosty, stereotypowy podział państwa na wschód i zachód – ileż powstało książek i artykułów (zwykle mało wartościowych) z takim tytułem lub podtytułem – to pułapka. Weźmy tzw. zachodnią Ukrainę – samo to pojęcie jest sztuczne, często (i zgodnie z sowiecką intencją) rozumie się pod nim tereny wchodzące w skład II RP zajęte przez ZSRS we wrześniu 1939 r., a następnie przyłączone do Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej. Tymczasem Galicja/Hałyczyna (obwody: lwowski, iwanofrankiwski i tarnopolski) mocno odróżnia się od Wołynia (obwody wołyński i rówieński) pod względem religijnym, dialektów i pamięci historycznej. Jeszcze inaczej jest na Zakarpaciu czy Bukowinie, które wprawdzie leżą na zachodzie kraju, ale w rzeczywistości różnią się i między sobą, i od innych regionów.

Z kolei tzw. miasta – *milionniki* (czyli ośrodki zamieszkałe przez milion i więcej ludzi) wschodniej i południowej Ukrainy – Charków, Dniepr i Odessa przed wybuchem pełnoskalowej wojny były (i do dziś są) w przygniatającej większości rosyjskojęzyczne, ale każde z nich miało odrębny charakter, a ich mieszkańcy z dumą podkreślali wyjątkowość swojej małej ojczyzny. Lokalne tradycje zagrały na korzyść Kijowa, gdyż stanowiły jedną z przyczyn fiaska prób wywołania separatystycznych rewolt w ramach tzw. rosyjskiej wiosny w 2014 r. Żyjący w Charkowie – byłej stolicy sowieckiej Ukrainy – z pogardą odnosili się do wysłanych przez rosyjskie służby w celu sprowokowania zamieszek „turystów demonstrantów" z Biełgorodu – sąsiedniego miasta obwodowego w FR, czterokrotnie mniejszego, zawsze traktowanego jako biedna prowincja. Donieck zaś okazał się bardziej zrusyfikowany i zinfiltrowany, wskutek czego tzw. Doniecka Republika Ludowa w 2014 r. obroniła się.

Sytuacja nie była jednak statyczna, a w pracy analitycznej za kluczową uchodzi umiejętność uchwycenia zmian. Rosyjska okupacja wschodu kraju wywołała dużą falę uchodźców do innych miast i regionów. Zjawisko to doprowadziło do trwalszego spotkania mieszkańców Donbasu i innych części kraju. Z punktu widzenia ukraińskiej tożsamości zetknięcie to miało ogromne znaczenie, lecz nie było łatwe – górniczy, uprzemysłowiony Donbas nie bez powodu miał złą prasę, kojarzył się z bandytami, Rosją, oligarchami i bezprawiem. W drugą stronę stereotypy też miały się dobrze – z perspektywy Doniecka krajem rządzili

nacjonaliści, którzy chcieli ukrainizować i derusyfikować, a władzę zdobyli w wyniku finansowanego z Zachodu przewrotu.

Uchodźcy ze wschodu budzili z jednej strony powszechne współczucie, a z drugiej obawy. Bywało, że samochody z rejestracjami zaczynającymi się od AH (obwód doniecki) z racji specyficznego sposobu jazdy ich kierowców rodziły strach lub agresję. Formalnie na całym terytorium Ukrainy obowiązują takie same przepisy drogowe, lecz w rzeczywistości pieszy musi inaczej zachowywać się we Lwowie, inaczej w Kijowie, a jeszcze inaczej w Doniecku. W ostatnim z tych miast de facto nie miał on żadnych praw. Gwałtowne zderzenie kultur trwało jakieś dwa lata, po czym uchodźcy przystosowali się do miejscowych obyczajów.

Podróże do „kraju mandatowego" sprawiają, że objawia się on analitykowi w całej okazałości. Często dopiero one odsłaniają sedno problemu. Za przykład niech posłużą wizyty na Zakarpaciu, zamieszkanym przez niespełna stutysięczną mniejszość węgierską. Od lat jej prawa stanowią kość niezgody pomiędzy Kijowem i Budapesztem. Viktor Orbán na wewnętrzny użytek polityczny pomstuje na rzekomą „demadziaryzację" regionu, traktując ją jako pretekst do blokowania postępów Ukrainy na drodze do UE oraz instrument targów z Brukselą. Kijów natomiast systematycznie wprowadzał regulacje zwiększające wymagania z zakresu znajomości ukraińskiego i nauczania w języku państwowym, po czym nareszcie zderusyfikował przestrzeń publiczną, media i oświatę. Uderzyło to w prawa Węgrów (i innych mniejszości), lecz te były na tyle szerokie, że generowały sytuacje patologiczne – część miejscowej diaspory nie potrafiła mówić po ukraińsku, a niekiedy nawet go zrozumieć.

Do dziś Węgrzy żyjący w takich miastach jak Użhorod czy Berehowo mogą funkcjonować we własnym, węgierskojęzycznym ekosystemie szkół, fryzjerów, rzeźników i piekarzy, co nie sprzyja nauce mowy państwowej. Co więcej, tamtejsi Ukraińcy są do tego stanu rzeczy przyzwyczajeni i współegzystują z nimi bez większych tarć, mimo że finansowane i sterowane z Budapesztu organizacje mniejszościowe i partie polityczne pełnią nierzadko funkcję pudła rezonansowego Orbána. Bez wyjazdów na Zakarpacie – a także do innych mieszanych etnicznie regionów, jak Bukowina, Besarabia czy Budziak – trudniej pojąć prawdziwą naturę napięć dyplomatycznych na szczeblu stolic.

Kijowska „bańka" analityczna...

Kraj tak zróżnicowany wewnętrznie jak Ukraina trzeba zjeździć wzdłuż i wszerz. Warto mieć przy tym oczy otwarte na krajobraz, mówiący wiele o gospodarce regionów, ich bogactwie i zasobach naturalnych, jak również jak najwięcej rozmawiać: ze zwykłymi ludźmi w marszrutkach (rejsowych busikach), kierowcami

w taksówkach i sprzedawcami na bazarach, ale też z ekspertami, urzędnikami, dziennikarzami i przedstawicielami sektora pozarządowego.

Jeżdżąc na Ukrainę po wiedzę, nie sposób ominąć stolicy. To odrębny mikrokosmos, gdzie czas biegnie inaczej i gdzie inaczej niż wszędzie indziej ustawiono priorytety. Nierzadko na pytanie o termin spotkania zamiast konkretnej godziny możemy więc dostać odpowiedź o treści „przed obiadem". Lub „po obiedzie". A że preferencje co do pory tego posiłku są różne, a co gorsza niektórzy nie jedzą go w ogóle, sprawa się komplikuje. Umawianiu wywiadów nie sprzyja także frywolne traktowanie przez rozmówców kalendarza – nam zależy na ustaleniu spotkań oraz optymalnym poukładaniu ich godzinowo i geograficznie jeszcze przed wyjazdem. Od interlokutorów słyszymy zaś najczęściej: „Tak, tak, chętnie się z tobą zobaczę – zadzwoń, jak dotrzesz". Trzeba zatem kombinować na miejscu, przypominać–przestawiać–dogadywać. Kosztuje to trochę energii, ale koniec końców dni wizyty prawie zawsze obfitują w dyskusje. A jeśli coś wypadnie, cóż… muzea, kina i teatry, pracujące (na ogół) w stałych godzinach, pozwalają poszerzyć wiedzę ogólną o kraju, mieście lub regionie. Z kolei bazary i centra handlowe umożliwiają sondowanie gospodarki i nastrojów konsumenckich.

Stylu komunikacji stołecznych ekspertów i dziennikarzy nie da się podrobić. Są oni na ogół wszechwiedzący, skorzy do plotek i nieporównywalnie bardziej bezpośredni od ich kolegów i koleżanek z Brukseli czy Berlina. Spotkania z nimi mają specyficzny klimat – nie uświadczy się tam nadmiaru kurtuazji, za to łatwo o gotowość do dzielenia się ocenami i komentarzami, niekiedy nad wyraz szczerymi i ostrymi.

Kijowska scena think tankowa nieustannie się zmienia i profesjonalizuje. Działa coraz mniej jednoosobowych „instytucji" zarejestrowanych na Facebooku i z adresem na Gmailu. Prym w debacie wiedzie 5–10 prywatnych ośrodków badawczych, natomiast te państwowe – naturalni partnerzy OSW – są zwyczajnie słabe. Kontakty z tymi pierwszymi mają więc wyjątkową wartość, gdyż to one doradzają decydentom, a indywidualne relacje odgrywają na Ukrainie dużą rolę.

Jednocześnie nie można nie zauważyć, że znaczenie spotkań na żywo – na przestrzeni nawet ostatniej dekady – znacznie zmalało. Większość stołecznych ekspertów preferuje aktywność na platformach społecznościowych, gdzie ochoczo przekazuje swą wiedzę. W trakcie rozmów wychwycimy zapewne kilka ciekawostek i *insightów*, ale i one zazwyczaj trafiają do publicznego obiegu w ciągu najbliższych dni lub tygodni. Kluczem jest dotarcie do osób poniżej radaru medialnego – albo wysoko wykwalifikowanych specjalistów sektorowych, albo „doradców kluczowych doradców". Znajomość z nimi otwiera też drzwi urzędników i polityków – kijowska bańka zna się na wskroś – zatem umówienie spotkania z kierownictwem komisji w Radzie Najwyższej czy którejś z instytucji centralnych nie nastręcza kłopotu.

...i jak się w niej odnaleźć

Analitykowi znad Wisły na Ukrainie sprzyjają sukces naszej transformacji oraz liczne polskie posunięcia wspierające tamtejsze społeczeństwo obywatelskie, media, samorządowców i biznes. Dzięki nim działa gęsta sieć kontaktów horyzontalnych, a RP ma świetną markę – szczególnie w mniejszych ośrodkach i na prowincji, gdzie urzędnicy i dziennikarze nie są rozpieszczeni wystawnymi lunchami i nie zadzierają nosa, lecz pamiętają wizyty studyjne w Polsce i staże w naszych redakcjach.

Ale trzeba się też liczyć z trudnościami. Polskiego badacza, zwłaszcza reprezentującego instytucję rządową, utożsamia się z kursem Warszawy – nawet jeśli go nie współkształtuje, a prywatnie się z nim nie zgadza. W kontaktach z ukraińskimi kolegami i koleżankami okoliczności te wymagają od eksperta zarazem asertywności i szczerości w formułowaniu opinii, jako że to od tych przymiotów zależy jego wiarygodność. Sytuację dodatkowo gmatwa zasadniczo kiepskie rozeznanie miejscowych analityków i dziennikarzy w niuansach naszej polityki wewnętrznej.

Choć ten stan rzeczy ulega zmianie, to wciąż dogłębna wiedza i długa pamięć o Ukrainie nad Wisłą jest zdecydowanie powszechniejsza niż na odwrót. Tę asymetrię często rekompensują krzykliwe tytuły i jednostronne sądy wpisujące się w ogólne spojrzenie wschodnich sąsiadów na RP. Cechuje się ono z jednej strony **podziwem** – za wzrost zasobności, rozwój infrastruktury i rosnące znaczenie polityczne w Europie – i **sympatią** – za solidarność w czasach próby (obu rewolucji i obu rosyjskich agresji), wspólne postrzeganie FR oraz bliskość kulturową, a z drugiej **maskowaną zazdrością z powodu** tego właśnie rozwoju i bogactwa, bo przecież (to błędna, lecz powszechna opinia) Polska i Ukraina startowały z tego samego poziomu, ba!, USRS była zasobniejsza, i **resentymentem** – Polacy to przecież dawni „panowie", którzy uciskali chłopstwo i kozactwo, a nigdy nie zostali z tego do końca rozliczeni.

Emocje te wychodzą na wierzch szczególnie wtedy, gdy dialog schodzi na wspólną przeszłość. Nieprzepracowana historia to oczywiście obciążenie, a nie atut, zaś wspomnienie przez jedną lub drugą stronę Wołynia to najefektywniejszy *discussion killer*. Aby z petenta stać się partnerem, koniecznie trzeba się więc uzbroić w wiedzę z tej dziedziny (daty, liczby, nazwiska) i zdolność merytorycznego argumentowania – wówczas mimo sporu tworzą się więzi oparte na zaufaniu i obopólnych korzyściach.

Ukraińcy nie gęsi...

W rozmowach z interlokutorami znad Dniepru niesamowicie ważną rolę odgrywa znajomość ich języka państwowego. To istotne narzędzie badawcze, którego

znaczenie wzrosło w ostatnich latach. Przychodząc do Ośrodka kilkanaście lat temu, ukraiński znałem bardzo dobrze w mowie i piśmie, a rosyjski przeciętnie i raczej biernie – wszak na warszawskiej ukrainistyce, którą skończyłem, był to język wielowiekowego gnębiciela i nikt nie przykładał się za bardzo ani do jego wykładania, ani nauki. W OSW sytuacja wyglądała raczej odwrotnie – poza Tadeuszem A. Olszańskim, wieloletnim filarem ukraińskiej ekspertyzy, analitycy od tego kraju posługiwali się w pierwszej kolejności rosyjskim, a podłapywany okazjonalnie ukraiński mocno kulał w mowie [TI].

Odzwierciedlało to zresztą sytuację na Ukrainie – czasy Janukowycza (2010–2014) były mocno rosyjskojęzyczne zarówno w mediach, jak i w przestrzeni publicznej, zatem znajomość ukraińskiego nie była niezbędna. Późniejsze przemiany pociągnęły jednak za sobą także „ukrainizację" pracowników Ośrodka. Brali oni lekcje ukraińskiego oraz starali się częściej w tym języku czytać i rozmawiać, by podszlifować wymowę i poszerzyć słownictwo. Teraz, po pełnoskalowej agresji FR, dyskutować z Ukraińcami po rosyjsku najzwyczajniej w świecie nie wypada, zaś znajomość ukraińskiego na Koszykowej jest na tyle zaawansowana, że w trakcie wyjazdów lub rozmów z gośćmi z Ukrainy język ten zawsze dominuje. A w obecności badaczy z innych zespołów przechodzimy na angielski, którym sąsiedzi posługują się coraz powszechniej.

Sytuacja językowa nad Dnieprem to temat rzeka i jeden z pryzmatów, przez które warto patrzeć. „Ukraina to nie Rosja" – by zacytować tytuł słynnej książki Leonida Kuczmy z 2004 r. – a Ukraińcy to nie Rosjanie, nawet jeśli również używają rosyjskiego. To zresztą i tak nie ta sama mowa – rosyjski używany przez większość Ukraińców ma swoje odmienności, przede wszystkim inną melodię i wymowę, w tym emblematyczne gardłowe „h" (r), absolutnie czytelne dla wszystkich Rosjan, nawet jeśli na Kubaniu, zasiedlonym przez Ukraińców w XVIII wieku, mówi się podobnie. Piętno w postaci znajomości tego języka pozostawiły wieki kolonizacji i celowego niszczenia kultury (w tym mowy) ukraińskiej przez władze carskie i sowieckie. Spory odsetek Ukraińców nadal jednak korzysta z niego w codziennych sytuacjach (oficjalnych już prawie nie), bo w takim środowisku językowym zostali wychowani.

Dla purystów: ludzie ci mówią głównie surżykiem, czyli mieszanką ukraińskiego i rosyjskiego w różnych proporcjach, często – lecz nie zawsze – zależnych od regionu i środowiska. Nie ma prostej zasady, że gdy ktoś pochodzi z zachodniej części kraju, np. Wołynia, to używa więcej słów z ukraińskiego.

Historia zasłyszana na Zakarpaciu od etnicznej Rosjanki będącej ukraińską obywatelką i patriotką: gdy w lutym–marcu 2022 r. przybyły tam pierwsze pociągi z uchodźcami wojennymi z Donbasu i Charkowszczyzny, przyjmujących ich urzędników i wolontariuszy zaskoczyła, a niekiedy wręcz zawstydziła nie tyle ich znajomość języka, ile poprawność. Przyczyny – jak się okazało – należało

szukać w wieloletniej nauce literackiej wersji ukraińskiego w szkole, zaś nieużywana na co dzień mowa pozostała „nieskalana".

Błędem analitycznym będzie stawianie znaku równości pomiędzy językiem a tożsamością, a tym bardziej pomiędzy nim a poglądami politycznymi. Dość przypomnieć, że pierwsi ochotnicy w wojnie z Rosją w 2014 r. rekrutowali się z rosyjskojęzycznych terenów wschodniej części kraju. Podobnie dwaj ostatni prezydenci z Rosją walczący – Petro Poroszenko i Wołodymyr Zełenski – od dziecka posługiwali się tą mową. Państwo i społeczeństwo znajdują się w dynamicznym okresie przejściowym, w którym krystalizuje się świadomość narodowa, co polega m.in. na rugowaniu z użycia rosyjskiego (Putin przyłożył do tego nie jedną, a obie ręce). Za pokolenie–dwa, jeśli Ukraina obroni się przed agresorem, jej mieszkańcy będą w pełni ukraińskojęzyczni.

Niestabilny pluralizm polityczny

Gdy obserwujemy życie polityczne Ukrainy, w oczy rzuca nam się przede wszystkim brak stabilności. W związku z nim analityk ds. tego kraju ma znacznie dynamiczniejszą pracę niż ekspert od sytuacji wewnętrznej na Białorusi czy w Rosji. Tam warunki są dużo bardziej stałe, a źródła badawcze – ograniczone z powodu cenzury, propagandy i – od pewnego czasu – niemożności podróżowania.

Nad Dnieprem od 1991 r. kilkukrotnie dochodziło zaś do niemal całkowitej wymiany klasy rządzącej. Newralgiczne postacie aparatu władzy za prezydentury Poroszenki (2014–2019) teraz znajdują się w politycznym niebycie: były premier Arsenij Jaceniuk, były przewodniczący parlamentu Ołeksandr Turczynow czy pełniący obie te funkcje Wołodymyr Hrojsman (wymieniać można długo) nie znaczą obecnie na krajowej scenie nic, a niektórzy umyślni drugiego szeregu, niegdyś potężni (Ihor Kononenko, Ołeksandr Hranowski), przebywają za granicą i są poszukiwani przez organy ścigania. W praktyce ten stan rzeczy oznacza nieustający *research* w dziedzinie nowych ważnych figur oraz uaktualnianie map powiązań i zależności pomiędzy tymi starymi, które tylko zmieniły miejsce w systemie. Ukraińskie głębokie państwo istnieje i ma się dobrze. W pierwszoplanowych instytucjach, jak Biuro (kiedyś Administracja) Prezydenta, rząd i służby specjalne, funkcjonuje przynajmniej kilka osób publicznych (a ile niepublicznych?) od lat – jeśli nie od ponad dekady – zajmujących wysokie stanowiska niezależnie od układu politycznego.

Dynamiczne przetasowania uderzają nie tylko w poprzedników Zełenskiego, lecz także w jego ekipę. Z początkowej nie ostał się praktycznie nikt poza wicepremierem Mychajłem Fedorowem i aktualnie prawą ręką prezydenta Andrijem Jermakiem – wtedy zaledwie skromnym jego doradcą. Pojawiają

się i znikają również całe ugrupowania. Kto dziś pamięta o Froncie Ludowym, współtworzącym koalicję od 2014 r., albo Radykalnej Partii Ołeha Laszki, przez lata integralnej części parlamentarnego folkloru? Istnieją oczywiście „niezatapialne" wyjątki – liderzy tacy jak Poroszenko, była premier Julia Tymoszenko czy prorosyjski Jurij Bojko, którzy wciąż aktywnie uczestniczą w życiu politycznym. Nie kształtują go jednak i to nie do nich należy przyszłość.

Ludzie mają głos i nie wahają się go użyć

Analizowanie ukraińskiej rzeczywistości wymaga nieustannej obróbki dostępnych informacji. Zmiany metod pracy szły w ślad za przekształceniami przestrzeni informacyjnej, a procesy zbierania materiałów i monitorowania sytuacji mają mało wspólnego z tymi sprzed kilkunastu lat.

W pierwszej dekadzie XXI wieku krajobraz informacyjny Ukrainy i – co za tym idzie – podstawowy zestaw narzędzi do jej badania wyglądał dość prosto. Kluczowe miejsce zajmowały w nim tradycyjne media – kilka opiniotwórczych gazet i tygodników wyznaczających ton debaty publicznej. Do najważniejszych wydarzeń należało ukazanie się sobotniego wydania „Dzerkała Tyżnia", a zwłaszcza tekstów publikowanych przez uznaną dziennikarkę Julię Mostową, która zapewniała odbiorcom wgląd w aktualny układ obozu rządzącego. Głównym źródłem wieści i jednocześnie obiektem zainteresowania analityków pozostawała telewizja, bo to tam – w trakcie wielogodzinnych politycznych talk-show, choćby Sawika Szustera – kształtowały się nastroje i poglądy szerokich mas.

Wraz z rozwojem internetu krajowa scena medialna zaczęła się przekształcać. W połowie drugiej dekady tego stulecia naczelną pozycję zaczęły obejmować serwisy internetowe i platformy społecznościowe. Kastę ekspertów w każdej dziedzinie – od stosunków z USA przez reformę opieki zdrowotnej po konstrukcję wyrzutni rakiet – kursujących między należącymi do różnych oligarchów stacjami telewizyjnymi wymiotła decentralizacja przekazu w postaci gwałtownego rozkwitu social mediów. Nałożył on nowe obowiązki na analityków, bo podmioty te wyrastały na znacznie istotniejsze (i ciekawsze!) źródła wiedzy niż prasa i portale. Symbolicznym momentem tej ewolucji, który pokazał, z jak potężnym narzędziem mobilizacji i komunikacji mamy do czynienia, była rewolucja godności – wszak protesty rozpoczęły się od wpisu znanego dziennikarza Mustafy Najema. Potem coraz większego znaczenia nabierał Telegram – jako nie tylko komunikator, lecz także jedna z najbardziej liczących się platform newsowych.

Rozmaitość źródeł informacji, szczególnie w dobie nowych mediów, stanowi odzwierciedlenie podmiotowości ukraińskiego społeczeństwa. Dwie oddolne rewolucje – tzw. pomarańczowa (2004/2005) i godności (2013/2014) – odwróciły

kierunek rozwoju państwa. Kierunek, w którym popychali je – dodajmy – ówcześni prezydenci, odpowiednio Kuczma i Janukowycz, co dowodziło ich oderwania od realiów i nieumiejętności czytania nastrojów obywateli, będących najczęściej o dwie długości przed rządzącymi.

Owe nastroje najlepiej czuje Zełenski, którego podwójne zwycięstwo w 2019 r., gdy zdobył pełnię władzy, niektórzy socjolodzy określili mianem trzeciej rewolucji, tym razem „elektoralnej". Jego ekipa bezbłędnie odczytała powszechną niechęć do starej klasy politycznej i zmęczenie – moderowanym przez spin doktorów (zwanych na wschodzie polittechnologami) – prymitywnym podziałem kandydatów na prozachodnich i prorosyjskich, sztucznie wtłaczanym wyborcom przez poprzednie dekady. Przykłady? Czornowił–Krawczuk (1991), Krawczuk–Kuczma (1994), Kuczma–Symonenko (1999), Juszczenko–Janukowycz (2004/2005), Tymoszenko–Janukowycz (2010). Po pierwszej agresji Rosji w 2014 r. operację tę ubrano w więcej odcieni szarości, bo promowanie kogoś otwarcie prorosyjskiego nie miało sensu, ale nawet w ostatniej kampanii Poroszenko–Zełenski z 2019 r. pierwszy z nich prezentował siebie jako prozachodniego patriotę, a oponenta porównywał do Putina.

Umiejętność wyczucia nastrojów społecznych przez ludzi Zełenskiego (i jego decyzja o starcie w wyborach) miała i inne źródło: na otoczenie przyszłego przywódcy składały się osoby stosunkowo młode, nowoczesne, zanurzone w social mediach. Dojście do władzy tego obozu przyniosło następną rewolucję – niemal cała oficjalna komunikacja władz przeniosła się do sieci społecznościowych. To z jednej strony przyspieszyło obieg informacji, ale z drugiej utrudniło ich monitorowanie. Tradycyjne media zaczęły powoli rozmywać się w masie LOM-ów (liderów opinii publicznej; to wprawdzie z rosyjskiego – *лидеры общественного мнения* – lecz skrótowca wciąż używa się na Ukrainie) działających głównie w internecie. Z czasem coraz większą popularność zyskiwały ich kanały na YouTubie, obecnie często przyciągające większą uwagę niż portale.

Facebook – Ukraińców magazyn opinii

Niebiesko-biała aplikacja jest na ogół aktywna w smartfonach przez całą dobę. Na posty i udostępnienia reaguje się błyskawicznie, a komentarze pod nimi nierzadko idą w setki, są piętrowo wielowątkowe i pączkują w inne wątki, zahaczając o następne *tusowki* (bańki). Ukraińska debata społeczno-polityczna od lat „dzieje się" właśnie na Facebooku, dlatego pełni on w tamtejszej przestrzeni medialnej funkcję wyjątkową. Prawie wszyscy politycy, eksperci, dziennikarze i inne LOM-y mają aktywne profile, na których atakują przeciwników, spierają się z innymi i promują własne idee. To arena karczemnych awantur, ontologicznych dyskusji i prywatnych *mieżdusobojczyków* (wyjaśniania stosunków),

a przy tym równorzędnej komunikacji pomiędzy decydentami i narodem. Tu minister odpowie obywatelowi, a ekspert podzieli się opinią bez zaproszenia od dziennikarza.

Platforma ta stanowi niezbędne i bezcenne źródło wiedzy o nastrojach, postawach i przekonaniach szeroko pojętej klasy politycznej i społeczeństwa obywatelskiego – równie ważne co tradycyjne portale internetowe, zaś bijące pod tym względem na głowę Telegram i X (dawniej Twitter). Ten pierwszy skutecznie wypiera zarazem agencje informacyjne, a drugi nie jest aż tak popularny, oba zaś nie sprzyjają obfitym w znaki wielogłosowym rozmowom na tematy ważkie i trywialne. Wśród umiejętności analityka winna się zatem znaleźć właściwa konfiguracja FB – odsiewająca sprawy nieistotne i promowane, a uwypuklająca te potrzebne.

Facebook wbił jednocześnie ostatni gwóźdź do trumny miejscowej prasy drukowanej. Ukraina to chyba jedyny kraj w Europie bez gazety codziennej. Telewizja zaś, jak w wielu miejscach świata, nadal funkcjonuje, ale jedynie jako kanał dotarcia do określonych grup wyborców – czy wręcz ich mobilizacji.

Polifonia mediów

Media internetowe stanowią o sile i pluralizmie ukraińskiej debaty. Choć zjawisko tzw. spłuczek (*сливные бачки*, *зливні бачки*) – fejkowych portali czy kont pełniących de facto funkcję trolli, wykorzystywanych przez konkretnych polityków lub grupy interesu do kompromitowania konkurencji – istnieje, to segment podmiotów dochowujących standardów dziennikarskich jest pokaźny. Wprawdzie źródła ich dochodów niekiedy pozostają niejawne i nie zawsze są nimi zachodnie granty, a dziennikarze nie ukrywają preferencji politycznych, lecz media jako całość tworzą przeciekawy i przebogaty konglomerat, którego zmapowanie pod kątem właścicielskim i sympatii to obowiązkowa praca domowa dla każdego eksperta.

Wysuniętą pięść ukraińskich mediów stanowi dziennikarstwo śledcze. Nawet za Janukowycza, mimo wszechobecnej korupcji i zawłaszczania państwa przez wąskie grupy interesów powiązane z Partią Regionów, szczegółowo opisywano koligacje rządzących i mechanizmy nieformalnych wpływów. Każdy, kto zajmował się Ukrainą choćby pobieżnie, mógł bez trudu znaleźć analizy rozkładające na czynniki pierwsze układ sił w Administracji Prezydenta lub Radzie Najwyższej albo przedstawiające powiązania i mechanizmy działania największych „riszajłów" (załatwiaczy) systemu, takich jak Serhij Kurczenko, będący de facto słupem czy portfelem obsługującym biznesy rodziny Janukowycza. Po rewolucji godności i zmianie władz na prozachodnie dziennikarze śledczy nie odpuścili, zmieniły się wyłącznie nazwiska ich obiektów

zainteresowania – zamiast Kurczenki pojawił się Kononenko, dawny znajomy Poroszenki (uciekł z kraju po wygranej Zełenskiego w 2019 r.).

Nie tylko mediom, lecz także analitykom przyglądającym się Ukrainie pracę ułatwia cyfryzacja. Kraj ten należy do grona państw lubiących digitalizację i umiejących ją wdrażać. Efektem jest otwarty i prosty dostęp do licznych baz danych, co wybitnie rozszerza możliwości badawcze. Poszukiwanie informacji nie musi już opierać się wyłącznie na oficjalnych raportach czy komunikatach rządowych – można samodzielnie pozyskiwać i przetwarzać dane oraz formułować wnioski niezależnie od panującej narracji. W sferze gospodarczej publiczne rejestry pozwalają natomiast bezproblemowo sprawdzić właścicieli firm, ich koneksje i wyniki finansowe. Dzięki temu da się przeprowadzić ilościową i jakościową analizę stanu poszczególnych podmiotów, jak również całych sektorów czy sieci powiązań kapitałowych. Wykorzystywanie rozmaitych baz danych podnosi jakość ekspertyzy i pozwala weryfikować oficjalne przekazy.

Analityk na froncie...

Pełnoskalowa inwazja Rosji w 2022 r. przyniosła badaczom nowe wyzwania – tryb pracy stał się intensywniejszy, a analizowane pole informacyjne spłaszczyło się, co w pierwszych tygodniach wojny utrudniało precyzyjną ocenę sytuacji. W tych warunkach wzrosło znaczenie własnego doświadczenia, ugruntowanej znajomości ukraińskich realiów i społeczeństwa oraz osobistych kontaktów, gdyż na fali konsolidacji narodu dziennikarze i opozycja unikali otwartego piętnowania nadużyć władz i krytykowania ich posunięć. Działał odruch autocenzury – nawet jeśli dysponowali oni wiedzą o przekrętach (te bowiem nie zniknęły, choć mniej rzucały się w oczy), to nie upubliczniano ich, by nie dawać paliwa rosyjskiej propagandzie na Zachodzie.

Sytuacja wróciła do normy po niespełna roku, a przełomem okazała się afera dotycząca przetargu na „jajka po 17 hrywien" dla wojska, która doprowadziła do dymisji ministra obrony Ołeksija Reznikowa. W tym samym czasie w sieci pojawiła się istna masa rozmaitych treści w formie nagrań wideo. Dla analityków ten wysyp informacji zrodził wbrew pozorom spory kłopot – ilość materiałów jest tak ogromna, że fizycznie niemożliwe okazuje się obejrzenie tych zamieszczonych choćby przez wybranych publicystów, a dostępna w YT funkcja transkrypcji tylko częściowo rozwiązuje ten problem. Co więcej, często właśnie tam, a nie w oficjalnych źródłach da się znaleźć cenne wieści – jak ta od reportera Jurija Butusowa z końca 2024 r. zawierająca (najprawdopodobniej) prawdziwe straty ukraińskiej armii, sięgające 100 tys. zabitych i zaginionych żołnierzy.

Zwłaszcza w pierwszych miesiącach inwazji nie dało się też zachować dystansu emocjonalnego do jej ofiar i nie kibicować wysiłkom słabszego

w nierównej konfrontacji z agresorem. Chwilę zajęło również przekonanie się, jak kreatywni potrafią być Ukraińcy w narzucaniu światu przesłania o wojnie. Po ich stronie stało prawo międzynarodowe i argumenty moralne, które z pełną mocą zaprzęgnięto w machinę dyplomatyczną i informacyjną o imponującej skuteczności. Państwowy przekaz, nierzadko wspierany przez społeczeństwo, był spójny i nastawiony na wspólny cel – zachęcenie Zachodu do pomocy napadniętemu krajowi.

...i jego zmagania z ukraińską kulturą polityczną

Bezwzględność w forsowaniu własnego zdania nigdy nie była obca ukraińskiej dyplomacji, co potwierdzi każdy urzędnik i polityk, który miał styczność ze swoim odpowiednikiem stamtąd. W negocjacjach Kijów zajmuje zazwyczaj sztywne i maksymalistyczne stanowisko, co szalenie utrudnia osiągnięcie porozumienia. Taka kultura polityczna wynika z kilku czynników, z których najważniejszy to świadomość, że Ukraina jest największym po Rosji państwem w Europie, ma stosunkowo liczną populację, przemysł ciężki i żyzne gleby. Według Ukraińców fakty te niejako automatycznie powinny się przekładać na silną pozycję tego współprzewodzącego Europie regionalnego lidera.

Przekonanie o własnym znaczeniu pogłębiają: status drugiej najbogatszej byłej republiki ZSRS, bóle fantomowe po zrzeczeniu się arsenału jądrowego na mocy memorandum budapeszteńskiego oraz pretensja do Zachodu o przymuszenie do takiego kroku bez faktycznych gwarancji bezpieczeństwa. Zgodnie z takim oglądem sprawy – gładko pomijającym kwestie korupcji, biedy oraz niedorozwoju przemysłowego i infrastrukturalnego – równorzędnymi partnerami Kijowa są Berlin i Paryż, ale nie Warszawa.

Wojna jeszcze bardziej ośmieliła władze państwowe w relacjach z sojusznikami. Szczepan Twardoch, którego nie sposób posądzić o antyukraińskie uprzedzenia, nazwał stanowisko Kijowa „polityką zagraniczną w sowieckim, asertywnym stylu Andrieja Gromyki" (skomentował tymi słowy niesprawiedliwe sugestie Zełenskiego z trybuny ONZ we wrześniu 2023 r., jakoby Polska współpracowała z Rosją przeciwko Ukrainie). Nad Dnieprem znacząco wzmocniło się również poczucie własnej wyjątkowości oraz pojawił się silny wątek mesjanizmu – myślenia o sobie jak o narodzie zbawcy broniącym zachodniej cywilizacji przed barbarzyńską nawałą ze wschodu.

Sytuacja, w której Kijów – powodowany zagrożeniem egzystencjalnym i uwagą największych mediów – dzieli partnerów zgodnie z zasadą „kto nie z nami, ten przeciw nam", aż prosi się o wpadki. Szczególnie bolesne okazały się one w napędzanych przez emocje relacjach z Warszawą, czego dowodzą polskie i światowe reakcje na powyższą wypowiedź prezydenta Zełenskiego

w ONZ. Zderzenie polskiego współczucia i ofiarności z ukraińską asertywnością i roszczeniowością skutkowało wybuchem. Po obu stronach granicy zagościło poczucie rozczarowania i niewdzięczności, które zmroziło stosunki bilateralne, a ogólne napięcie pogłębiały jeszcze wieloletnie blokowanie przez Kijów ekshumacji ofiar UPA oraz brak współczucia dla zabitych przez zabłąkaną ukraińską rakietę w Przewodowie. Taka postawa Ukraińców z biegiem czasu irytowała coraz bardziej, zresztą nie tylko Polaków – o czym dotkliwie przekonał się Zełenski, upokorzony przez Donalda Trumpa w Gabinecie Owalnym.

Zamiast zakończenia

Przesadnie dumne zachowanie Ukraińców może denerwować, a nawet nieść konsekwencje w postaci okresowego przegrywania wojny, lecz to dzięki takiemu podejściu wygrali oni podmiotowość w oczach świata i odrębność we własnych. Walecznością i heroizmem zyskali też globalny szacunek i potwierdzili, że zdecydowanie bliżej im do Europejczyków niż do Rosjan. Pełnoskalowa inwazja jeszcze przyspieszyła zmiany świadomościowe w kraju, które ruszyły z kopyta po pierwszej agresji osiem lat wcześniej, ale rozpoczęły się już w 1991 r. Samo posiadanie własnego państwa czyniło jego obywateli różnymi od ludności FR, a procesy oświatowe, polityczne i gospodarcze tylko owe odmienności powiększały. Ukraińcy mieli zresztą na czym się oprzeć – tradycje historyczne tych ziem i ludzi je zamieszkujących pozwoliły na wydzielenie z przeszłości tych wydarzeń, z których można było utkać wiarygodną wersję odrębności, a następnie umieścić ją w podręcznikach.

Po 2022 r. nastąpiło bezprecedensowe przemieszanie populacji – migracja wewnętrzna nabrała rozmiarów nieporównywalnych do tej z 2014 r. Zgodnie z różnymi szacunkami miejsce pobytu w obrębie państwa zmieniło ok. 6 mln osób, przy czym znaczny odsetek mieszkańców rosyjskojęzycznego wschodu przeprowadził się na zachód. Zbliżenie między ludźmi z różnych regionów w obliczu wspólnego zagrożenia jeszcze efektywniej kruszy mur między nimi, a jednocześnie coraz wyżej wznosi go między Ukraińcami i Rosjanami, ostatecznie kompromitując ideę tzw. rosyjskiego świata (imperialistycznej koncepcji międzynarodowej wspólnoty złączonej językiem rosyjskim, wiarą prawosławną i poczuciem więzi z Rosją jako centrum). Zewnętrzna agresja wzmocniła wspólnotowość i stymuluje tworzenie się ukraińskiego narodu politycznego.

Jak wskazuje powyższy wywód, analizując Ukrainę, trudno się nudzić. Tamtejsza sytuacja polityczna i społeczna jest płynna. Społeczeństwo się zmienia i dojrzewa do brania spraw w swoje ręce w kraju, który – także w wyniku napaści – uważa za swój i z którego odczuwa dumę. Politycy chcą nadążać za tymi tendencjami, lecz na ogół już po kilku miesiącach od zwycięstwa w wyborach

zaczynają tracić kontakt z obywatelami. To napięcie między rządzącymi i społeczeństwem definiuje tempo i charakter nieustającej transformacji państwa – raz w kierunku reformatorskim, raz w reakcyjnym, najczęściej zaś równolegle w obu i zawsze dynamicznie.

Ten ruch i jego rezultaty są przedmiotem pasji ekspertów OSW – właśnie pasji, a nie wyłącznie pracy, bo obserwacja przemian o takiej intensywności wymaga połączenia obu tych elementów.

Analityczna konfrontacja z dyktaturą. Próby zrozumienia Białorusi

Kamil Kłysiński

Analiza sytuacji na Białorusi stanowi spore wyzwanie – to banalne stwierdzenie wbrew pozorom zawiera w sobie wiele wątków, dylematów i nierozstrzygniętych kwestii, z którymi borykał się każdy analityk do spraw białoruskich, w tym autor niniejszego tekstu, od niemal dwóch dekad zajmujący się tym państwem zarówno w Ośrodku Studiów Wschodnich, jak i w MSZ. Pozorna bliskość kulturowa w ramach „słowiańskiej rodziny" i współdzielenie z Polską przynajmniej części dziedzictwa historycznego może sprawiać, że kraj ten wyda się łatwym obszarem badawczym, i wzbudzać pokusę formułowania pochopnych sądów – lecz okazuje się to zwodniczą pułapką.

Czym tak naprawdę jest ten stosunkowo niewielki kraj, geograficznie leżący w centrum Europy, a patrząc z politycznego punktu widzenia – na jej peryferiach? Jaki jest jego realny potencjał dziś oraz jak zmieni się w przyszłości? Co myślą jego elity? Jak wyglądają procesy decyzyjne w otoczeniu Alaksandra Łukaszenki i kto mu doradza? Jaki jest stan społeczeństwa, jak prezentuje się hierarchia jego wartości? Na czym polega fenomen relatywnie stabilnej, choć nierynkowej gospodarki? Czy Republika Białorusi (RB) to już rosyjski protektorat czy jeszcze państwo niepodległe?

To tylko wybrane pytania tkwiące w każdej osobie badającej ten kraj przez ostatnie lata. Nie zamierzam twierdzić, że wiem wszystko i nie muszę ich sobie zadawać. Ten tekst dotyczy prób zrozumienia na różne sposoby białoruskiej specyfiki – co w tym przeszkadza, co pomaga oraz w jakim stopniu się to udaje.

Analityczne początki i warsztat pracy

Gdy w 2007 r. jako niespełna 26-latek po raz pierwszy przekroczyłem drzwi OSW, uważałem, że coś już o Białorusi wiem – miałem tam znajomych, spędziłem w jej stolicy wiele miesięcy na stypendium w ramach wymiany uniwersyteckiej, wielokrotnie podróżowałem tam prywatnie, obserwowałem wybory w 2004 r., słowem: byłem przekonany, że znam ją nie tylko z gazet i książek.

W pierwszych miesiącach pracy w trakcie jednego z publicznych wydarzeń na temat Białorusi pozwoliłem sobie na przedstawienie autorskiej „maksymy", iż jest to państwo „wielokrotnego dna" – w jego przypadku często dochodzimy do czegoś, co wydaje się nam sednem sprawy, ale po pewnym czasie przebijamy się dalej, do kolejnej, jeszcze głębszej prawdy. Aby zobrazować tę prawidłowość, poddałem krytyce obecną w polskich mediach tezę, jakoby wszyscy tamtejsi emeryci głosowali na Łukaszenkę. Następne lata pokazały mniej lub bardziej boleśnie, że co do zasady miałem rację – Białoruś nie jest krainą oczywistych i prostych schematów – lecz niesiony typową dla młodego wieku pychą, błędnie zakładałem, że doszedłem już do tego „właściwego dna".

Praca wyglądała wtedy stosunkowo prosto. Operowało się na źródłach otwartych, czyli przede wszystkim internecie. Do 2008 r. czytaliśmy też gazety drukowane, kupowane w Mińsku przez „zaufanego" człowieka, a następnie dostarczane do Ośrodka w przesyłce konduktorskiej.

Ważne uzupełnienie obowiązków w biurze stanowiły konferencje w kraju i za granicą oraz dłuższe wyjazdy studyjne na Białoruś, organizowane przynajmniej raz w roku. Podróże te niosły ze sobą pewne ryzyko, jako że tamtejsze służby niekiedy demonstracyjnie okazywały swoje „zainteresowanie" polskimi specjalistami do spraw białoruskich w miejscach publicznych. Kiedyś podczas przekraczania granicy w Brześciu skonfiskowano mi otrzymane od rozmówców materiały analityczne i poddano mnie przesłuchaniu. Poczynania te miały na celu zastraszenie lub przynajmniej zniechęcenie eksperta z Polski, sprawienie, by nie był zbyt „ciekawski" i nie spotykał się z niewłaściwymi ludźmi w niewłaściwych – czyli na przykład zbyt opozycyjnych – miejscach. A najlepiej gdyby siedział w ojczyźnie i nie siał fermentu we „wzorcowo uporządkowanej" Białorusi.

Każdy z pobytów tam okazywał się jednak niezwykle cenny, gdyż dawał możliwość nie tylko prowadzenia na miejscu dyskusji z ekspertami, dziennikarzami i działaczami trzeciego sektora, lecz także bezpośredniego „dotknięcia" kraju i jego specyfiki oraz poznania poglądów zwykłych obywateli (choćby poprzez przypadkowe rozmowy z przysłowiowym dobrze znającym życie taksówkarzem). Od samego początku pracy w OSW, kierowany poradami bardziej doświadczonych kolegów i intuicją, czułem, że dopóki się da, trzeba tam jeździć, bo tylko w ten sposób znajdę się blisko tematu. Innymi słowy podróże te były – i wierzę, że nadal są – skutecznym zabezpieczeniem przed nadmiernym

teoretyzowaniem, czyli śmiertelnie niebezpiecznym dla zawodu upajaniem się własną wizją „niby-rzeczywistości" w obszarze badawczym.

Paradygmat lawirowania, czyli Łukaszenka przewidywalny

Okno możliwości wizyt na Białorusi poszerzyło się znacząco jesienią 2008 r., gdy Łukaszenka, zaniepokojony rosyjską interwencją w Gruzji, zdecydował się zwolnić wszystkich więźniów politycznych i nawiązał dialog z Zachodem. W kraju pojawili się pierwsi zachodni goście wysokiego szczebla, a w maju 2009 r. Mińsk zgłosił akces do Partnerstwa Wschodniego.

Przełożyło się to na sytuację badacza z Polski: natarczywość służb podczas wyjazdów wyraźnie spadła, a co jeszcze ważniejsze – pojawiła się opcja spotkań z ekspertami okołoreżimowymi i urzędnikami. Dało mi to szansę lepiej zrozumieć te kręgi, do tej pory znane głównie z oficjalnych wypowiedzi medialnych, opracowań i relacji krytyków z opozycji. Można było wyjść – jak to się teraz ujmuje – ze swojej bańki informacyjnej, co jest zawsze cenne dla analityka.

Pierwsze rozmowy z tym będącym zapleczem reżimu środowiskiem pokazały, jak bardzo różnimy się pod względem światopoglądu, ale i warsztatu pracy. Gdy w trakcie spotkania w poważnym, afiliowanym przy administracji prezydenta ośrodku analitycznym odbiegłem od głównego wątku i zadałem trudne pytanie o niedostatki krajowej gospodarki, zostałem surowo upomniany, że „tego tematu nie było w uzgodnionej wcześniej agendzie, więc nie będziemy o tym dyskutować".

Przy okazji dało się zauważyć i docenić pewną prawidłowość, która z jeszcze większą mocą rzuciła się w oczy przy następnej odwilży politycznej na Białorusi, w latach 2016–2020. Otóż otwarcie się reżimu na kontakty z nami, czyli z państwami członkowskimi UE i NATO, szło w parze z ograniczoną, lecz widoczną liberalizacją wewnętrzną. Oznaczała ona m.in. budowanie lepszych, zdecydowanie intensywniejszych relacji pomiędzy tamtejszymi niezależnymi dziennikarzami i specjalistami a administracją państwową, która celowo lub nie wpuszczała do obiegu liczne ciekawe informacje i niedostępne na co dzień dane (np. makroekonomiczne). Dzięki temu nasi białoruscy koledzy, a za ich pośrednictwem również my – ich zachodni rozmówcy – mogliśmy lepiej zrozumieć priorytety polityki wewnętrznej i zagranicznej Mińska, identyfikując przy tym związane z nimi szanse i zagrożenia.

Merytorycznie analizowanie Białorusi nie stanowiło wówczas wyzwania. Podjęta przez Łukaszenkę w 2008 r. gra z Zachodem wzmacniała istniejący już wcześniej paradygmat o „równoważeniu" wpływów Moskwy rozwijaniem współpracy z Brukselą, Waszyngtonem i wybranymi stolicami państw UE, takimi jak Warszawa, Wilno, Ryga, Sztokholm czy Berlin. W tym kontekście

„lawirujący" Łukaszenka był przewidywalny, ponieważ walczył o przetrwanie na stanowisku prezydenta i tym samym stawał się kimś w rodzaju „gwaranta" niepodległości – a przynajmniej chciał być tak postrzegany.

W pierwszych latach pracy analitycznej kluczową rolę odegrało doskonalenie warsztatu. Musiałem nauczyć się m.in. wstrzemięźliwości w doszukiwaniu się wszędzie spisków i zakulisowych działań. Stopniowo dojrzewało we mnie zrozumienie, iż logika Łukaszenki opiera się na myśleniu „tu i teraz" oraz że wbrew pozorom nie jest on w żadnym razie mistrzem długoterminowych strategii. To człowiek ulegający emocjom, z natury bardzo skupiony na sobie, kapryśny, przyzwyczajony do bezkarności i bezgranicznych kompetencji.

Cenną lekcję z dziedziny tak rozumianego rozsądku analitycznego przyniosła mi jedna z rozmów ze znacznie starszym białoruskim kolegą, który w reakcji na moje próby znalezienia politycznego wytłumaczenia udziału najmłodszego syna Łukaszenki – Koli (wtedy zaledwie kilkuletniego) – w jego podróżach zagranicznych, rzekł ze stoickim spokojem: „Analitycy siedzą w swoich biurach po różnych krajach i łamią sobie głowy, co ten dyktator w Mińsku chciał nam pokazać. A tymczasem może być też tak, że on po prostu jest przywiązany do tego dzieciaka i ciągnie go ze sobą dla własnego komfortu psychicznego". Z perspektywy wielu lat pracy przyznaję rację memu bardziej doświadczonemu rozmówcy.

Czas i praktyka pozwalają lepiej wniknąć w białoruską odmienność – nie tylko w odniesieniu do Łukaszenki i jego otoczenia, lecz także szerzej: biznesu, trzeciego sektora i zwykłych obywateli. O tym, że nie wszystko zawsze musi być „po naszemu" logiczne, przekonałem się wiele razy. Za przykład niech posłuży rozmowa zasłyszana w 2009 r. w restauracji w Witebsku. Zachodni inwestor zapytał przez tłumaczkę swojego białoruskiego kontrahenta o zasady działania linii produkcyjnej w jego zakładzie, a ten, lekko poirytowany, odpowiedział: „Włączamy i jakoś się kręci!". Ta scena często przychodzi mi do głowy, gdy padają pytania o reguły funkcjonowania tamtejszego modelu ekonomicznego w kontekście odwiecznej zagadki: jakim cudem tak nierentowna gospodarka jeszcze nie upadła.

Oczywiście analityk – w odróżnieniu od rubasznych przedsiębiorców ze wschodniej Białorusi – musi szukać innych odpowiedzi. Doświadczenie mówi mi, że środowisko eksperckie, w tym ekonomiczne, nie doceniało skali rosyjskich subsydiów (zarówno w postaci tanich surowców energetycznych, jak i kredytów) oraz efektywności białoruskiego biznesu, który mimo trudnych warunków inwestował i wypracowywał bardzo ważne 25% PKB. Zbyt łatwo bowiem przykładaliśmy w Polsce absurdy epoki późnego Gierka, gdy wszystko zaczynało się ewidentnie sypać, a na półkach brakowało podstawowych towarów, do opartej na innych absurdach gospodarki nakazowo-rozdzielczej wschodniego sąsiada.

Trudny rok 2010: pierwszy poważny błąd

Postęp w poznawaniu białoruskiego reżimu nie oznacza patentu na zupełną znajomość tajników tamtejszej duszy. Surową lekcją pokazującą, że muszę nauczyć się głębiej wnikać w meandry miejscowej specyfiki, przyniósł rok 2010. Znajdowaliśmy się wówczas – w aspekcie bilateralnym, polsko-białoruskim, oraz szerzej, unijnym – w procesie dialogu z Mińskiem. Demonstrował on dość logiczną narrację stolicy szukającej nowych możliwości i szeroko rozumianej dywersyfikacji (m.in. w zakresie dostaw ropy naftowej), aby choć trochę osłabić wpływy Rosji.

Okazało się jednak, że zarówno ja, jak i wielu innych zachodnich ekspertów zanadto przywiązaliśmy się do naszej projekcji „racjonalnego Łukaszenki". Zbyt pochopnie uznaliśmy go za polityka nie tylko rozumiejącego europejskie zasady gry, lecz także gotowego je stosować.

Pierwszy szok przyniosło uderzenie w lutym 2010 r. w niezależny Związek Polaków na Białorusi (ZPB). Władze za pomocą rozumianej jak najbardziej dosłownie siły przejęły Dom Polski w Iwieńcu i przekazały go „polskiej" organizacji o tej samej nazwie, w pełni kontrolowanej przez KGB. Dla polskich elit politycznych oraz doradzających im ekspertów był to wstrząs. Zaostrzenie kursu wobec organizacji mniejszości polskiej stało w drastycznej sprzeczności z pragmatyzmem gospodarczym Mińska, oczekującego od Warszawy wsparcia inwestycyjnego, technologicznego czy w obszarze pozyskiwania kredytów od międzynarodowych instytucji finansowych.

Dopiero po czasie przypomniałem sobie, że jeszcze jesienią 2009 r. w Grodnie ówczesny prezes Rady Naczelnej ZPB Andrzej Poczobut – obecnie odbywający karę ośmiu lat kolonii karnej za rzekomą „rehabilitację faszyzmu" – przestrzegał mnie, żebym nie dał się zwieść „deklaracjom tych starych wyjadaczy z Mińska, dla których chęć robienia z Polską interesów nie idzie w parze z łagodzeniem polityki względem polskiej mniejszości". Niestety niezbyt go słuchałem, bo jego sceptycyzm – dzięki któremu miał rację częściej niż ja – nie pasował mi do tezy o pragmatycznym reżimie, który przecież chce się z nami dogadać, bo się „boi Moskwy".

Największa katastrofa nastąpiła zaś 19 grudnia 2010 r., gdy Łukaszenka wydał polecenie brutalnego stłumienia idącej przez centrum stolicy demonstracji przeciwko sfałszowaniu wyników wyborów prezydenckich. Dzień ten przyniósł załamanie zarówno mojego komfortu analitycznego, jak i ponad dwuletniej częściowej i w dużym stopniu udawanej liberalizacji polityki wewnętrznej miejscowych władz. W konsekwencji załamał się również dialog z Zachodem. Dla mnie osobiście była to nie tylko przykra niespodzianka, lecz także poważna pomyłka zawodowa. Porwany atmosferą dość liberalnej jak na warunki systemu autorytarnego kampanii pozwoliłem sobie w analizie podsumowującej cały

proces wyborczy, opublikowanej cztery dni przed ową tragiczną w skutkach pacyfikacją, na naiwną konkluzję: „Interwencja sił porządkowych wydaje się mało prawdopodobna, a władze ograniczą się do zastosowania szeregu utrudnień w organizacji akcji ulicznych (np. blokowania ulic i placów)".

Podobnie jak miało to miejsce przy okazji wcześniejszego przesilenia wokół ZPB, tym razem także odnajdywałem post factum sygnały sprzed tygodni czy miesięcy wskazujące na to, że reżim szykuje się do zastosowania scenariusza siłowego. Wśród nich znajdowała się wypowiedź szefa administracji prezydenckiej Uładzimira Makieja o rzekomych „przygotowaniach opozycji do prowokacji w dniu głosowania". Mogłem się tylko pocieszać zbiorowym charakterem tej pomyłki – takiego rozwoju wydarzeń nie przewidział nikt z kolegów ekspertów.

Aby poradzić sobie z bolesną traumą badacza i przekuć to trudne doświadczenie w coś konstruktywnego, napisałem dla dwumiesięcznika „Nowa Europa Wschodnia" (nr 6, 2012) osobisty esej *Spowiedź analityka, czyli o pokorze wobec Wschodu*. Wyznałem tam wszystkie „grzechy" i niedopatrzenia oraz zacytowałem Ryszarda Kapuścińskiego, który w słynnym zbiorze reportaży *Imperium*, traktującym o rozpadającym się ZSRR, oznajmił: „Człowiek z Zachodu wrzucony w świat sowieckości co chwilę traci grunt pod nogami, dopóki ktoś nie wytłumaczy mu, iż rzeczywistość, którą widzi, nie jest jedyną i – najpewniej nie najważniejszą, i że tu istnieje wielość najprzeróżniejszych rzeczywistości, splatających się w monstrualny i niedający się rozsupłać węzeł".

Mimo upływu lat słowa te pozostają aktualne. Łukaszenka to typowy produkt epoki Związku Radzieckiego i jako człowiek o sowieckiej mentalności zawsze gra według specyficznych reguł, odmiennych od naszych. Dla dyktatora jego pokroju sprawą podstawową było i pozostanie utrzymanie władzy. Stąd w imię konsolidacji systemu oraz zwiększenia kontroli zarówno nad polską mniejszością, jak i całym społeczeństwem zaryzykował konflikt z Zachodem i – wskutek tego posunięcia – utratę profitów. Innymi słowy reżimy niedemokratyczne źle znoszą wszelkie „eksperymenty" z choćby częściową liberalizacją i tym samym są w znikomym stopniu podatne na reformy.

Schodząc już na wyłącznie białoruskie podwórko, należy zauważyć, że moment ten przyniósł zrozumienie, iż Łukaszenka nie potrafi uczestniczyć w złożonych, wielopoziomowych grach z Zachodem. Znacznie wyżej ceni sobie bowiem proste sytuacje, „gdy wywraca stolik, kiedy mu to pasuje, a nie układa skomplikowane pasjanse" – jak to opisał Stanisław Szuszkiewicz, nieżyjący już przewodniczący białoruskiego parlamentu i nieformalna głowa państwa na początku lat 90.

Na bazie tych doświadczeń stało się jasne, że klucz do sukcesu w badaniu łukaszenkowskiej Białorusi to maksymalny sceptycyzm, odrzucenie wygodnych, ale nieskutecznych zachodnich schematów i nieustanna próba wejścia w buty

dyktatora. Należało za wszelką cenę rozgryźć realną agendę głównego decydenta w Mińsku i jego doradców, a nie podkładać w to miejsce własną. Wydarzenia te nauczyły mnie też tolerancji dla pomyłek – dzięki błędnej prognozie zauważyłem na własnym przykładzie, że takie sytuacje to organiczna składowa zawodu analityka. Wraz z oswojeniem się z ryzykiem omylności przyszła także refleksja, że tylko poprzez błędy, choćby te spektakularne, młody ekspert może się kiedyś przeobrazić w starego wygę.

Wykonanie zadania polegającego na zbadaniu nowej, powyborczej agendy Łukaszenki było dość trudne, bo – jak się okazało w trakcie wyjazdu na Białoruś w maju 2011 r. – nie jestem tam już mile widziany. Przez ponad rok, odcięty od możliwości podróżowania do kraju moich zainteresowań badawczych, starałem się rekompensować sobie ten deficyt wizytami w innych państwach, gdzie odbywały się konferencje o tematyce białoruskiej, oraz spotkaniami z przedstawicielami emigracji politycznej, czyli ludźmi zmuszonymi do opuszczenia ojczyzny w obawie przed prześladowaniami. Największą wartość niosły jednak rozmowy z przybyłymi „stamtąd" ekspertami, którzy mogli choć trochę opowiedzieć o rzeczywistości po drugiej stronie granicy. Była to zaledwie namiastka przeciwności, z jakimi przyszło mi się zderzyć po 2020 r.

Ostateczny kres iluzji o racjonalnej grze z nieracjonalnym dyktatorem

Kolejne lata to okres prób i błędów. Wielu zachodnich polityków i ekspertów – w tym również autor tego tekstu – mierzyło się z wyzwaniem polegającym na adekwatnym ocenieniu rozmaitych sygnałów dobrej woli ze strony władz białoruskich. Pierwszym – dość skromnym – było zaproszenie pracowników OSW na konferencję do Mińska w listopadzie 2012 r. Zagwarantowano nam bezpieczeństwo (krok konieczny w kontekście perypetii z poprzednim wyjazdem), aby rozmawiać o perspektywach dialogu z Polską i Europą. Rządzący odczuwali już najwyraźniej zmęczenie sankcjami nałożonymi przez Zachód w reakcji na represje uderzające w opozycję i wolne media.

Dyskusje z reżimowymi ekspertami i dyplomatami uzmysłowiły nam, iż różnie myślimy i inaczej wyobrażamy sobie debatę, ale pojawiły się szanse na kontynuowanie zbliżenia. Uzbrojeni w mądrość i doświadczenia wyniesione z rozczarowania w 2010 r. postanowiliśmy przetestować intencje władz i złożyliśmy nowy wniosek o wizę w celu – jak to ujęliśmy – przeprowadzenia serii spotkań z lokalnymi strukturami ZPB (tego niezależnego i zwalczanego). Odmówiono nam, co pokazało, że tamta strona chce rozmawiać wyłącznie na swoich warunkach i to tylko o zdjęciu restrykcji, inwestycjach i kredytach, natomiast trudnych dla niej spraw, jak sytuacja mniejszości polskiej, nie zamierza w ogóle

poruszać. Tym samym tzw. dialog znów stanął w miejscu, a analitycy do spraw białoruskich wzbogacali swój warsztat o takie niestandardowe narzędzie jak wniosek wizowy.

Poważniejsza próba otwarcia Białorusi na Zachód nastąpiła w latach 2014–2015. Mińsk, występując w roli pośrednika w rozmowach pokojowych pomiędzy Rosją a Ukrainą, przekonał zachodnich przywódców, iż może być wiarygodnym graczem podejmującym racjonalne decyzje. Na atmosferę pozytywnie wpłynęło zwolnienie wszystkich więźniów politycznych odsiadujących wyroki za udział w protestach sprzed pięciu lat. Oczywiste, że do większej otwartości skłoniły reżim agresywne posunięcia Moskwy wobec Kijowa, czyli aneksja Krymu i wspieranie donbaskich separatyzmów. W pewnym sensie miała wówczas miejsce powtórka sytuacji z 2008 r. W tym przypadku do naruszenia przez Kreml integralności terytorialnej jednego z państw byłego ZSRR doszło jednak w bezpośrednim sąsiedztwie Białorusi i Łukaszenka był wyraźnie zdeterminowany, aby na serio wzmocnić „zachodnią nogę" w polityce zagranicznej.

Lata 2016–2020 to dla specjalistów do spraw białoruskich czas niezwykle intensywnej pracy. Otwarcie dialogu skutkowało uaktywnieniem się polityków i urzędników po obu stronach granicy. Niemal co miesiąc w Mińsku pojawiała się delegacja z Warszawy, składająca się najczęściej z dyrektorów departamentów poszczególnych resortów, choć zdarzały się też wizyty ministrów lub ich zastępców. Kilkukrotnie na Białorusi gościli marszałkowie i wicemarszałkowie Sejmu i Senatu. Dużą aktywność wyjazdową przejawiali także przedstawiciele władz RB, choć nieco niższego szczebla. Najwyższym rangą gościem w Polsce był w lutym 2019 r. Michaił Miasnikowicz, przewodniczący Rady Republiki (wyższa izba parlamentu) i zaufany człowiek Łukaszenki.

Na skromnym odcinku analitycznym również zaczęto odczuwać konsekwencje odwilży. Na Białoruś udawałem się nawet pięć razy w roku, co wynikało zarówno z wielości spotkań, jak i z powstania niemal nieograniczonych możliwości badawczych, w tym na głębokiej prowincji. O ich zakresie świadczy fakt, że unijnych badaczy zapraszano do udziału w dorocznych konferencjach organizowanych przez afiliowany przy MSZ RB podmiot pozarządowy utworzony przez rząd (GONGO) – Miński Dialog, gdzie najważniejszym mówcą był… sam Łukaszenka. Podróżom sprzyjał ruch bezwizowy, wprowadzony w 2017 r., gdy – po stopniowym zniesieniu innych formalności – loty do Mińska de facto niewiele się różniły od tych do pobrexitowej Wielkiej Brytanii (tam również obowiązywała uproszczona kontrola paszportowa).

Bezprecedensowa obfitość kontaktów, rozmówców i źródeł informacji niosła niebagatelne szanse na zdobycie głębszej wiedzy o Białorusi, ale stawiała też niełatwe zadania, a wśród nich m.in.: właściwą selekcję faktów, racjonalne podejście do pogłosek i kuluarowych sugestii oraz radzenie sobie z dezinfor-

macją. Koronne wyzwanie analityczne polegało na rozszyfrowaniu gry Mińska. Czy widoczna wówczas polityka tzw. miękkiej białorutenizacji, czyli wspierania ojczystej kultury, języka i pamięci historycznej, oraz coraz bardziej krytyczna narracja wobec Moskwy były oznakami realnego zwrotu w kursie państwa czy następną zagrywką, aby skłonić nas do większego wsparcia RB w obliczu „rosyjskiego imperializmu"?

Doświadczony – pod względem zarówno stażu, jak i popełnionych błędów – ekspert dostrzegał wyjątkowo nikłą skłonność reżimu do ustępstw. Na mniej lub bardziej zamkniętych spotkaniach przedstawiciele tzw. oficjalnego Mińska (tak w rosyjskim określa się władze kraju) nie grali czysto, przekręcali nasze deklaracje na swoją korzyść i próbowali uzyskać jak najwięcej za zupełnie minimalne ustępstwa lub wręcz ich pozory. Sytuacja mniejszości polskiej nie poprawiała się znacząco, niezależny ZPB nadal nie mógł liczyć na rejestrację, wybory parlamentarne w 2019 r. w pełni kontrolowali rządzący, a mandaty otrzymali wyłącznie reprezentanci lojalnych organizacji społecznych i partii politycznych.

Dało się natomiast zauważyć, że jako szeroko pojęty Zachód walczymy o coś więcej – o większą samodzielność Mińska na arenie międzynarodowej. Utwierdzały nas w tym późniejsze próby poszukiwania przez reżim możliwości dywersyfikacji w energetyce i polityce zagranicznej. Szczyt jego śmiałości w sięganiu po niestandardowe rozwiązania wyznacza wizyta w Mińsku w lutym 2020 r. amerykańskiego sekretarza stanu Mike'a Pompeo, podczas której strony porozumiały się co do próbnych dostaw ropy naftowej z USA do portu w Kłajpedzie.

Ta specyficzna, bo obarczona rozczarowaniami, niedosytem i brakiem zaufania gra Zachodu z władzami w Mińsku w suwerenność trwałaby być może jeszcze kilka lat, gdyby nie rosnące niezadowolenie społeczne i atak koronawirusa, które zbiegły się w czasie wiosną 2020 r. Coraz wyższe koszty życia, zmęczenie Łukaszenką oraz bezczynność rządzących w trakcie pandemii spowodowały coś, o czym przez lata mówiło się w gronie specjalistów od Białorusi tylko w kategorii abstrakcyjnej spekulacji: „spokojni", „pokorni" obywatele zmobilizowali się w trakcie kampanii przed wyborami prezydenckimi zaplanowanymi na 9 sierpnia 2020 r.

Byłem tą aktywnością zaskoczony – podobnie jak reżim, który odpowiadał punktowymi uderzeniami w kluczowych kontrkandydatów Łukaszenki. W tym przypadku, po cennej nauczce z 2010 r., nie trzymałem się już uporczywie tezy o „racjonalnym Mińsku" i potrafiłem lepiej zidentyfikować realne priorytety władz. W opublikowanej 29 lipca 2020 r. na stronie internetowej OSW analizie przedwyborczej prognozowałem: „Jak się wydaje, nic nie zagraża przeforsowaniu przy pomocy aparatu państwowego kolejnego zdecydowanego zwycięstwa

urzędującego prezydenta, jednak nierozwiązane problemy bytowe obywateli wraz z narastającym w społeczeństwie poczuciem zmęczenia wieloletnimi rządami Łukaszenki i oburzeniem represjami mogą doprowadzić do masowych demonstracji po ogłoszeniu sfałszowanych wyników wyborów. (...) Należy przy tym podkreślić, że wciąż brakuje jednoznacznych oznak rewolucyjnych nastrojów w społeczeństwie. (...) Ryzyko obalenia reżimu wciąż jest zatem dość niskie, tym bardziej że nie ma symptomów jakiegokolwiek rozłamu w elicie, co stanowi jeden z głównych czynników przesądzających o skuteczności rewolucji. Niezależnie jednak od skali i skuteczności protestów, jeśli jedyną na nie reakcją władz będzie brutalna pacyfikacja i następująca po niej fala represji, może dojść do ograniczenia lub wręcz zerwania dialogu z Zachodem. W ten sposób wzmocnieniu ulegnie pozycja Rosji, dążącej do pogłębienia integracji z Białorusią w ramach Państwa Związkowego".

Skala protestów po ogłoszeniu rezultatów sfałszowanego głosowania przerosła oczekiwania wszystkich, podobnie jak brutalność sił porządkowych. Nie pomyliłem się – trafnie oceniłem powagę sytuacji, ryzyko wystąpienia kryzysu i jego konsekwencje. Wspominając tamte trudne dni, przyznaję, że chyba największym wyzwaniem była konieczność zachowania konsekwencji w myśleniu i działaniu. Udzieliłem wówczas wielu wywiadów, a codziennie byłem bombardowany setkami doniesień polskich i zagranicznych mediów – pełnych podziwu, moralnego wsparcia dla demonstrantów i towarzyszących temu spekulacji o „rychłym, nieuniknionym upadku krwawego reżimu".

Trwałem jednak w sceptycyzmie co do ewentualności takiego rozwoju wypadków, ponieważ nie widziałem ani większych pęknięć w nomenklaturze, ani konsolidacji przywództwa w obozie opozycji. Istotną funkcję pełniło również wyraźne wsparcie dla Łukaszenki ze strony Kremla. Była to dla analityka cenna lekcja odporności na popularne w danej chwili tezy, niemające większego oparcia w rzeczywistości, ale podkręcane przez gorączkę medialną. Trochę później, gdy kurz bitewny opadł i przyszedł czas na spokojne przemyślenie wszystkiego, pojawiła się refleksja o wartości dobrze rozumianego uporu, opartego na mocnej argumentacji, która w pracy eksperta zawsze powinna stanowić niepodważalny azymut.

Deficyt narzędzi analitycznych i ryzyko bańki informacyjnej

Zerwanie dialogu z Zachodem, w tym z Polską, zaowocowało odcięciem całego grona zachodnich ekspertów od możliwości podróżowania na Białoruś. Już w pierwszych tygodniach po wyborach znajomi z Mińska ostrzegali mnie, że lepiej „chwilowo" zrezygnować z pokusy bezpośredniej obserwacji rozwijającego się kryzysu politycznego. Z czasem oni sami – w trosce o bezpieczeństwo

własne i bliskich – zaczęli masowo opuszczać kraj. Jak się potem okazało, ich ewakuacja i mój zakaz wjazdu nie były wydarzeniami „chwilowymi", lecz niosły wieloletnią izolację od ojczyzny lub przedmiotu studiów.

Oznaczało to wielkie wyzwanie zawodowe – należało na nowo zorganizować sobie warsztat pracy oraz porzucić kilka istotnych jeszcze na początku 2020 r. paradygmatów, jak te o Łukaszence jako „gwarancie suwerenności" czy o dążeniu Mińska do odgrywania „pokojowej roli w regionie". Z następnym rokiem wiedza „stamtąd" coraz bardziej się dezaktualizowała, ubywało białoruskich niezależnych badaczy, dziennikarzy i działaczy trzeciego sektora, którzy masowo wyjeżdżali do innych krajów.

W rezultacie analitycy OSW, koledzy eksperci z różnych państw unijnych oraz białoruscy emigranci – wszyscy stopniowo zamykaliśmy się we wspólnej bańce informacyjnej, obciążeni ryzykiem projekcji wyobrażeń w miejsce realiów. Aby nie polegać wyłącznie na źródłach wtórnych (głównie z internetu), wykorzystywaliśmy każdą okazję do rozmawiania z przybyszami z Białorusi, jak również pytaliśmy licznych znajomych w kręgach diaspory, jak według nich wygląda sytuacja po drugiej stronie granicy.

Z uporem maniaka podkreślałem, iż tak jak dla uchodźców politycznych priorytet powinno stanowić utrzymanie kontaktów z rodakami w kraju i sposobności oddziaływania na nich, tak dla analityków liczy się przede wszystkim posiadanie jak najrzetelniejszej wiedzy o sytuacji wewnętrznej na Białorusi. W praktyce oznaczało to nabycie zdolności funkcjonowania w dwóch białoruskich rzeczywistościach – emigracyjnej, której dało się doświadczać i badać ją bezpośrednio, oraz „krajowej", znacznie mniej dostępnej.

Zarazem wzrosło zagrożenie dezinformacją, która co prawda od zawsze stanowiła organiczny element narracji reżimu RB (i innych ośrodków władzy na obszarze poradzieckim), lecz w warunkach kryzysu politycznego i zamrożenia kontaktów z Zachodem osiągnęła ona poziom bezprecedensowy, zbliżony do standardów epoki ZSRR. W tych okolicznościach należało zachować maksymalną ostrożność względem jakichkolwiek oficjalnych i niepublicznych sygnałów dobrej woli Mińska, a na każde wydarzenie patrzeć w kontekście co najmniej kilku podstawowych czynników wyznaczających prawdopodobny kurs rządzących. Bo jakże przyjmować jako szczere deklaracje przyjaźni Łukaszenki lub jego podwładnych, gdy w tym samym czasie setki migrantów codziennie szturmują wschodnią granicę RP, a Poczobut wciąż przebywa w więzieniu o zaostrzonym rygorze?

Warto pamiętać, że dezinformacja, jako jedno z narzędzi wojny hybrydowej prowadzonej wspólnie przeciwko nam – Zachodowi – przez Rosję i Białoruś, uległa zintensyfikowaniu. Tym samym każdy zajmujący się studiami nad jakoby „pokojową" RB znalazł się w pewnym sensie na froncie, gdzie zjawisko to

często przybierało formę decepcji, a więc próby świadomego wprowadzania w błąd wąskiej grupy odbiorców – wyspecjalizowanych instytucji wykonujących zadania polityczne. Innymi słowy chodziło o dezinformowanie władz państw zachodnich, w tym ich zaplecza analitycznego. Dążenia te wymagały od ekspertów zachowania szczególnej czujności, bo o ile łatwo było (i nadal jest) odrzucić mało realną propozycję poprawy relacji z reżimem w Mińsku, o tyle weryfikacja zagrożeń sztucznie przezeń generowanych nastręczała już sporo trudności.

Odporność psychiczną i zawodową badaczy wystawiła na próbę chociażby „afera" wokół obecności na Białorusi Grupy Wagnera. Członkowie tej formacji zaczęli pojawiać się tam w lipcu 2023 r., kilka tygodni po nieudanym puczu pod wodzą ich lidera Jewgienija Prigożyna. Mimo że wszystko wskazywało na to, iż do udzielenia im gościny zmusiła Łukaszenkę presja ze strony Władimira Putina, to Mińsk stosunkowo szybko zaczął wysyłać komunikaty sugerujące, że najemnicy mogą zostać użyci do zdestabilizowania granicy z UE, co niosło potencjalne zagrożenie dla bezpieczeństwa RP. Mając z tyłu głowy zasadę absolutnej nieufności do narracji władz, należało spróbować ocenić ewentualną decyzję o włączeniu wagnerowców w kryzys migracyjny z punktu widzenia dyktatora i jego bezpośredniego otoczenia. Symulacje intelektualne – bardzo pożyteczne poznawczo i rozwojowo – skutkowały wnioskiem o zupełnej nieopłacalności takiego posunięcia. Tak silnie spersonalizowany reżim, oparty na absolutnej lojalności elit względem lidera i czerpiący dochody z nielegalnych źródeł, nie potrzebuje wspólników, z którymi trzeba się dzielić i których trzeba jeszcze kontrolować, aby nie przekraczali wyznaczonych im granic.

W tym przypadku przydał się test odporności na presję medialną z 2020 r. – trzy lata później, wbrew permanentnym medialnym (i nie tylko) wieściom o „wagnerowcach u bram", również pozostawałem sceptyczny. Od gorącego lata 2023 r. minęło już sporo czasu i jak dotąd nie trafiają do nas jakiekolwiek informacje potwierdzające alarmistyczne doniesienia z tamtego okresu. Wyniosłem z niego ważny wniosek analityczny o wartości rekonstrukcji logiki rządzących poprzez projekcję ich realnych interesów. Z przekonaniem przyznaję, że to narzędzie może się jeszcze niejednokrotnie przydać w trudnej wędrówce przez meandry białoruskiej rzeczywistości.

Tym samym w ciągu ostatnich kilku lat warsztat specjalisty do spraw białoruskich przeszedł gruntowną przemianę, o ile nie rewolucję. Najtrudniejszy okazał się pierwszy rok kryzysu politycznego w i wokół RB, gdy trzeba było adaptować się do nowej sytuacji – szukać zamienników tego, co nagle przestało być dostępne, czyli m.in. jakże istotnych wyjazdów służbowych. Należało przestawić też psychikę na większą selektywność i czujność, szczególnie w obliczu ciągłego wzrostu agresywności narracji propagandowej. Dużym wyzwaniem stało się nawet pozyskiwanie kompleksowych danych makroekonomicznych,

które państwowa statystyka coraz bardziej ukrywała w obawie przed ujawnieniem stosowanych przez Mińsk sposobów omijania zachodniego embarga towarowego, wprowadzonego w reakcji na represje i wrogie działania wobec Zachodu po 2020 r.

Niektóre z tych problemów udało się rozwiązać dzięki kreatywnemu podejściu – przykładowo niepublikowane przez władze szczegółowe informacje o handlu zagranicznym można pozyskać z baz zewnętrznych, do których partnerzy handlowi RB przekazują swoje dane o wymianie towarowej. W rezultacie na podstawie stron Eurostatu i Comtrade'u da się zidentyfikować kierunki białoruskiego eksportu i importu. Dokładność tych treści jest niestety ograniczona, w związku z czym nadal nie wiemy na pewno, gdzie podziewają się choćby tamtejsze produkty naftowe, przed którymi zamknęły się intratne przed laty rynki państw unijnych i Wielkiej Brytanii czy ukraiński.

Nie w każdym jednak przypadku ekspert może sięgnąć po podobne rozwiązania. Najgorsza sytuacja panuje w sferze badań społecznych. Represje i zablokowanie możliwości podróżowania na Białoruś sprawiły, że wszyscy bez wyjątku zachodni analitycy nie mają dziś pełnego obrazu nastrojów i preferencji jej obywateli. Przeprowadzane zdalnie z UE badania białoruskich niezależnych socjologów zasługują na uznanie i przynoszą wiedzę, ale nie możemy ich uznać za opracowania całkowicie miarodajne. Bo jak w zaistniałych uwarunkowaniach zakładać, że statystyczny Siarhiej czy Dima szczerze odpowie na pytanie o poparcie dla Łukaszenki, a ankieta internetowa lub telefoniczna obejmie mieszkańców wsi i małych miasteczek? Stąd też pewne rzeczy wiemy, a pewnych możemy się jedynie domyślać – co należy uczciwie przyznawać.

Dane, które udaje się przeanalizować, wskazują już natomiast, jakie skutki wywołały emigracja kilkuset tysięcy najaktywniejszych i krytycznych względem reżimu obywateli oraz intensywne oddziaływanie rosyjskiej i lokalnej propagandy: znaczny odsetek pozostających w kraju respondentów cechuje mniej lub bardziej lojalna postawa wobec władz. Należy zatem uprzedzić, bazując na własnym doświadczeniu i fragmentarycznej wiedzy, że nie powinniśmy przekładać naszych oczekiwań na tamtejszą sytuację. Po latach może się bowiem okazać, że pierwsze badanie opinii w wolnej Białorusi odsłoni przed nami obraz dość konserwatywnego społeczeństwa, po części nieufającego Zachodowi i nie aż tak niechętnego Rosji, jak byśmy się spodziewali.

Próba podsumowania: czy despoci kierują się logiką?

Porażka prognostyczna z 2010 r. nie dowodziła braku logiki wówczas autorytarnego, a aktualnie na poły totalitarnego reżimu. Łukaszenka i jego otoczenie kierowali się własną racjonalnością opartą na interesach i wartościach dla nich

użytecznych. Główny cel każdego despoty to przetrwanie – oraz utrzymanie kontroli nad elitami i społeczeństwem, warunkujące realizację tego pierwszego, nadrzędnego zadania.

Wykorzystujący ten punkt widzenia ekspert omawianego specyficznego obszaru międzynarodowego jest w stanie w większości przypadków przewidzieć posunięcia dyktatora i mechanikę stworzonego przez niego systemu. Doświadczenie i krytyczne podejście powinny sprawić, że naszej analizy nie zaburzy typowe dla modeli niedemokratycznych świadome manipulowanie fundamentalnymi dla świata demokratycznego pojęciami, takimi jak wolności obywatelskie i prawa człowieka. Możemy też przeciwdziałać dezinformacji i decepcji, choćby poprzez konfrontowanie informacji z różnych źródeł oraz ocenę intencji towarzyszących upublicznianiu przez te czy inne osoby poszczególnych faktów istotnych dla obszaru badawczego. Ukształtowany w kręgu zachodnich wartości analityk nie staje więc do konfrontacji z jakże odmienną, ale nie tak zupełnie nieznaną rzeczywistością RB całkowicie bezbronny.

Nie oznacza to, że po dwóch dekadach pracy ktokolwiek z nas wchodzi w posiadanie szklanej kuli. W dającej się przewidzieć przyszłości Białoruś pozostanie trudnym zagadnieniem badawczym. Kolejne pokolenia ludzi gotowych zmierzyć się z tą materią z pewnością będą miały trudniej, gdyż nie poznają tego państwa sprzed 2020 r., gdy dało się do niego wjechać i spotkać z przedstawicielami reżimu.

Perspektywy przywrócenia dawnych narzędzi warsztatu analitycznego pojawią się dopiero wraz z poprawą sytuacji w RB, przez co należy rozumieć przynajmniej częściową normalizację wewnętrzną (zwolnienie więźniów politycznych, dialog z opozycją z elementami demokratyzacji) oraz idące za nią rozmowy z Zachodem. Taki scenariusz może się jednak urzeczywistnić dopiero po śmierci Łukaszenki. Wówczas pojawią się nowe ciekawe tematy, które – w ramach pewnych symulacji – już podejmuje dyskurs ekspercki. W przypadku zniknięcia „wodza" i twórcy systemu kluczowe znaczenie będzie miało określenie realnych mechanizmów sukcesji oraz związanej z tym stabilności miejscowego modelu politycznego. Ważna będzie także odpowiedź na pytanie o reakcję Rosji i jej rolę w „porządkowaniu" sytuacji po dyktatorze.

Nie wolno również zapominać o mniej wpływowych aktualnie aktorach, czyli o białoruskim społeczeństwie i opozycji, opartej w dużej mierze na organizacjach pozarządowych. Tym samym dalsze losy Białorusi wciąż obfitują w niewiadome, co oznacza, że „stabilność" reżimu jest pozorna. Tymczasem, zanim nastąpi jakikolwiek moment przełomowy, pewnym pocieszeniem dla strapionych realiami RB i trudnościami w ich analizowaniu może być schematyczność działań Łukaszenki, ułatwiająca zarówno pracę bieżącą, jak i prognozowanie przyszłości.

Magiczna, a jednak realna – jak badać Litwę

Joanna Hyndle-Hussein

„Litwo, Ojczyzno moja! ty jesteś jak zdrowie!/ Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,/ Kto cię stracił" – cytat ten poznają wszyscy Polacy na etapie szkoły podstawowej, a wśród nich przyszli analitycy, którzy obejmą zainteresowaniem region państw bałtyckich, w tym Litwę. Nieodmiennie słowa wieszcza wprowadzają w głowach współczesnych uczniów nad Wisłą konsternację. Mickiewicz pisze po polsku o ojczyźnie, ale nie o Polsce, lecz o Litwie – krainie, z którą jest tak silnie związany, że jej utrata powoduje utratę zdrowia. Z tego fenomenu podwójnej tożsamości, podwójnego patriotyzmu – *gente Lithuanus, natione Polonus* – z pochodzenia Litwin, z narodowości Polak – zrodziły się w romantyzmie najpiękniejsze dzieła literatury, oddające klimat stosunków w Rzeczpospolitej Obojga Narodów. Znajdziemy w nich współdziałanie i konflikty rozgrywające się na tle piękna krajobrazu i bogactwa rodzimych tradycji ujętych w zmitologizowanej formie. W naszych głowach tworzy się obraz tych splecionych ojczyzn, rozbudza się przywiązanie do Litwy jako ziemi pięknej, choć niepoznanej, a już utraconej.

Bagaż emocji obciąża też wspomnianego przyszłego analityka. Lepiej jednak, by worek z sentymentami wcisnął on głęboko do szafy. Po drugiej stronie granicy spotka bowiem społeczeństwo odmienne od polskiego w wielu aspektach. Żyje tam naród, który zdecydowanie inaczej definiuje ojczyznę i jej korzenie, ma inne zwyczaje, inną duchowość.

Analityku, najpierw język

Odrębność naszych północno-wschodnich sąsiadów – populacji liczącej obecnie zaledwie ok. 2,9 mln osób zasiedlających kraj o powierzchni nieco ponad 65 tys. km² – najbardziej widać w sposobie ich komunikowania się między sobą – w języku, zupełnie niepodobnym do polskiego, bogatym w imiesłowy i uwielbiającym zdrobnienia. Językoznawcy dowodzą, że nazwa *Lietuva* pochodzi od jednego z dopływów Wilii, rzeki Litawki. Liczni Litwini wolą bardziej romantyczną wersję – wywodzą ją od słowa *lietūs*, czyli „deszcz". Często też powtarzają za miejscowym poetą Eduardasem Mieželaitisem jedną z najpopularniejszych tam poetyckich fraz: *Čia Lietuva, čia lietūs lyja* (Tu jest Litwa, tu pada deszcz).

Powiedzmy szczerze: nauka litewskiego nie jest prosta, jednak znajomość języka należy do najważniejszych narzędzi w pracy analitycznej. Choć powstają coraz doskonalsze narzędzia translatorskie, to wciąż nie radzą one sobie ze złożoną strukturą tej mowy. Praktycznie wszystkie informacje dotyczące dzisiejszej Litwy musimy pozyskiwać poprzez badanie litewskojęzycznych źródeł – najbogatszych i najpełniej oddających różne aspekty życia w tym kraju, jak przebieg debaty publicznej z udziałem polityków i obywateli (znaczna jej część odbywa się w mediach internetowych). Warto podkreślić, że tamtejsze media są bardzo dobrze rozwinięte, a ich pracownicy starają się utrzymywać niezależność, o którą szczególnie zabiega nadawca publiczny LRT.lt. Dziennikarze opisują zwłaszcza sprawy istotne dla mieszkańców, również te związane z gospodarką czy bezpieczeństwem państwa. Często współpracują bezpośrednio z urzędnikami i przedstawicielami poszczególnych resortów, co pozwala szybko przekazywać informacje opinii publicznej. Wysoki poziom cechuje też dziennikarstwo śledcze, które ujawnia skandale – także te dotyczące polityków, nie wyłączając premierów i prezydentów. Wiele ciekawych treści można pozyskać z poczytnych mediów lokalnych, będących najbliżej obywateli w regionach. Przykładowo więcej danych o kluczowym dla gospodarki porcie w Kłajpedzie znajdziemy w portalu *Vakarų ekspresas* z rejonu tego miasta niż w mediach ogólnokrajowych.

Sięgając do osobistych doświadczeń, muszę podkreślić, że każda osoba podejmująca trud poznania litewskiego może oczekiwać zainteresowania ze strony Litwinów – co analitykowi otwiera drogę do nawiązania kontaktów. Nauka tego języka przez Polaka czy Polkę (jak akcentują Litwini, „prawdziwego Polaka czy prawdziwą Polkę", dla odróżnienia od miejscowych) przyjmowana jest ze zdziwieniem, ale i aplauzem, zwłaszcza gdy nie rozpruwamy jednocześnie worka sentymentów, rzucając interlokutorowi w twarz opowieści typu „A moja rodzina na Litwie to miała…". Na zainteresowaniu i dążeniu do poznania drugiej strony można zbudować więcej niż na grzebaniu w owych sentymentach, których ona nie podziela, a nieraz nawet nie rozumie.

Niezależnie od tego, czy ekspert zacznie się uczyć miejscowej mowy czy nie, musi pojąć, jaką pozycję ona zajmuje. Litwini otaczają ją wyjątkową troską. Zaczyna się ona od ustawy zasadniczej, która stanowi, że językiem państwowym jest litewski. Chronią go również inne akty prawne, niepozwalające na zanieczyszczanie go obcymi słowami (poza nazwami własnymi), oraz instytucje – państwowa Komisja Języka Litewskiego, zajmująca się regulowaniem odnośnych zasad i standaryzacją, oraz Państwowa Inspekcja Językowa, nadzorująca „w terenie" realizację ustawy o języku państwowym i nakładająca mandaty za jej nieprzestrzeganie.

W przestrzeni publicznej próżno więc szukać pochodzących z zewnątrz, lecz powszechnie stosowanych na świecie wyrażeń. Podczas wizyty w którymś z popularnych międzynarodowych fast foodów w menu nie znajdziemy łatwych do rozpoznania hamburgerów czy frytek, a całkowicie obco brzmiące *mėsainiai* i *bulvytės*. Wielu pomyśli, że to zabawny przykład uporu, by zamiast przyjmowania zagranicznych słów, kreować własne na podstawie rodzimej leksyki. Działanie takie wynika jednak z konsekwentnej polityki językowej, której ofiarami padają także miejscowi Polacy – bezskutecznie powołują się oni na konwencję ramową Rady Europy o ochronie mniejszości narodowych, przewidującą używanie dwujęzycznych napisów w skupiskach zwarcie zamieszkanych właśnie przez mniejszości.

Wyjaśnijmy powody tego specyficznego stanowiska Litwinów, traktujących ochronę swojej mowy jako jeden z najistotniejszych czynników stanowiących o przetrwaniu ich narodu. Na takie podejście wpływa niewielka liczba osób posługujących się nią (realnie nieco ponad 3 mln na całym świecie), niekorzystna demografia, prognozująca, że Litwinów z każdym rokiem będzie ubywać (w roku 2050 ma ich być ok. 2,3 mln, a 50 lat później – zaledwie ok. 1,8 mln), a przede wszystkim unikatowość litewskiego, który wprawdzie nie jest najstarszym językiem na świecie, lecz należy do najbardziej archaicznych. Z czasów nowożytnych pochodzi natomiast alfabet, opracowany wraz z gramatyką w 1901 r. przez Jonasa Jablonskisa. Lingwista ten wyraził w nim w formie pisemnej wszystkie dźwięki występujące w litewskim – część liter alfabetu łacińskiego zapożyczył z polskiego i czeskiego, inne wymyślił.

Skąd jednak ta wymagająca ochrony wyjątkowość? Skracając historię, dobrze zapamiętać, że kilka tysięcy lat temu wszystkie narody posługujące się aktualnie językami indoeuropejskimi mówiły najprawdopodobniej jednym prajęzykiem. Współczesny litewski zachował większość jego cech, a za „bliskiego krewnego" ma sanskryt – starożytny język literacki Indii. Litewskim patriotom powód do dumy daje fakt, że ich język jako jedyny z grupy wschodniobałtyckich przetrwał w otoczeniu języków słowiańskich w swej archaicznej formie, choć z zapożyczeniami. Łotewski – drugi do dziś używany język z tej grupy – jest

nieco bardziej oddalony od prajęzyka i był poddawany silniejszym wpływom germańskim, ugrofińskim i słowiańskim. Nie przetrwał zaś żaden z języków zachodniobałtyckich – staropruski, jaćwiński ani galindyjski. Obecnie litewski ma ogromne znaczenie w badaniach porównawczych nad pochodzeniem i rozwojem języków indoeuropejskich. Działający na początku XX wieku francuski lingwista Antoine Meillet trafnie stwierdził, że każdy, kto chce usłyszeć, jak mówili nasi (indoeuropejscy) przodkowie, powinien posłuchać litewskiego chłopa.

Mity narodowotwórcze

Ważnym elementem wiążącym Litwinów z ich ojczyzną jest duchowość, opierająca się w pierwszej kolejności na związku człowieka z naturą, ale nie jakąkolwiek, lecz tą na ziemi ojców. W tamtejszej literaturze istnieje wiele symboli odwołujących się do przyrody, takich jak słońce, księżyc, dąb, gaj, lasy, morze, kamienie, węże i ptaki. Nie są one czytelne dla osób spoza tego kręgu kulturowego. Warto więc, by badacz spróbował zbliżyć się do jego korzeni. Kolejne istotne narzędzie analityczne stanowią zatem podróże i poznawanie ludzi, ich obyczajów i sposobu myślenia wynikającego ze specyficznej tradycji i doświadczeń.

Podróżujący po Litwie, krainie wciąż niezindustrializowanej, pełnej czarujących miejsc i cechującej się zmiennym krajobrazem – od jezior i gęstych lasów, przez pagórki i urokliwe górki zamkowe (*piliakalniai*) będące pozostałościami po grodziskach, po piękne wybrzeże Bałtyku – wielokrotnie natkną się na przydrożne kapliczki, w których figurki chrześcijańskich świętych przyozdobiono elementami znanymi jeszcze ze średniowiecza i zaadaptowanymi przez współczesnych twórców ludowych zajmujących się sztuką religijną, czerpiącą z przeszłości. Najbardziej charakterystyczne są krzyże wpisane w okręgi z promieniami słonecznymi, mającymi wedle tradycji nieść dobrobyt i płodność. Kapliczki dekoruje się mchem i innymi leśnymi roślinami. Te lokalne detale widać też wśród symboli religijnych na znajdującej się w okolicy Szawli Górze Krzyży, symbolizującej nie tylko przywiązanie Litwinów do wiary chrześcijańskiej, lecz także opór przed zniewoleniem narodu – miejsce to powstało po powstaniu styczniowym, gdy władze carskie nie pozwoliły na odwiedzanie grobów jego uczestników. Stawianie tam krzyży, rozjeżdżanych w czasach sowieckich przez traktory, dodawało otuchy i odwagi, gdy duchowość była zabroniona.

Na Litwie można też spotkać rzeźby bóstw czy idoli niekojarzących się z chrześcijaństwem, ale z kulturą pogańską, obecnie określaną mianem wiary starożytnej Bałtów. W niektórych domach te rodzime, przedchrześcijańskie wierzenia są nadal obecne, co wynika z tradycji rodzinnej. Utrzymuje się nawet małe ołtarzyki, choć już raczej nie karmi się węży mlekiem – wszak na przykład na postkomunistycznym blokowisku byłoby to niezmiernie trudne.

Wiara bałtyckich przodków odgrywa niebagatelną rolę w życiu pewnego odsetka mieszkańców. W grudniu 2024 r. Sejm Litwy uznał stowarzyszenie Romuva, zrzeszające jej wyznawców, za pełnoprawną organizację religijną. Daje to jej członkom kilka przywilejów, w tym możliwość zawierania małżeństw uznawanych przez państwo. Zgodnie z ostatnim spisem powszechnym z 2011 r. nad Niemnem żyje ok. 5 tys. osób (na ok. 2,8 mln obywateli) przyznających się do kultywowania wiary rodzimej, co oznacza spory wzrost w porównaniu z rokiem 2001, gdy taką przynależność deklarowało jedynie tysiąc osób. Starożytne nazwy bogów i bogiń należą zaś do najpopularniejszych imion nadawanych dzieciom niezależnie od wyznania rodziców.

Romuva wiele lat bezskutecznie zabiegała o państwowe uznanie, na co wpłynął sprzeciw m.in. Kościoła katolickiego. Czy to więc na Litwie walka o dusze nieochrzczonych Europejczyków trwa najdłużej? Rzeczywiście, to tam kulty przedchrześcijańskie przetrwały najdłużej, a część mieszkańców – Żmudzini – stanowili najdłużej nieochrzczoną grupę etniczną na Starym Kontynencie. Żmudź przyjęła chrzest dopiero w 1413 r. – długo po koronacji pogańskiego władcy Mendoga, który nie dotrzymał papieżowi obietnicy, że wyrzeknie się wierzeń przodków, oraz po chrzcie Jagiełły. Wiara dawnych Bałtów praktycznie do 1387 r., czyli chrztu, którym objęto tylko Auksztotę, była oficjalną religią Wielkiego Księstwa Litewskiego.

Te starożytne wierzenia nadal silnie tkwią w sferze mitu, ale mitu istotnego, bo państwowotwórczego. Współczesna odsłona rodzimej wiary nie opiera się na czczeniu idoli, ale na głoszeniu przywiązania do ziemi, ojczystej przyrody oraz tradycji – tej najdawniejszej, jaką udało się odnaleźć etnografom i archeologom, którą można przywrócić poprzez odtwarzanie rytuałów przodków. Przedchrześcijańskie dziedzictwo materialne Litwy jest wątłe – nie ma ona swojego Stonehenge, a wyłącznie parę rytualnych kamieni. Skrawki starożytnej spuścizny przetrwały w tradycyjnych pieśniach i instrumentach, w strojach i zapinkach do nich, chętnie noszonych nie tylko przez wyznawców, lecz także osoby dumne z przeszłości kraju i jego antycznej kultury – pierwszy przywódca niepodległej Litwy Vytautas Landsbergis często przywdziewa krawaty z krajki w litewskie wzory.

Ludzie biorący udział w bałtyckich rytuałach (to przede wszystkim pochówki, ale też święta, nieraz zbiegające się z tymi o charakterze ludowym) w powrocie do wiary przodków poszukują przede wszystkim łączności z ich ojczyzną, z czystą tradycją, na którą nie wpływały inne narody. Warto wspomnieć, że Romuvę – jako stowarzyszenie krajoznawcze – założył już w 1969 r. etnograf i zbieracz zwyczajowych pieśni Jonas Trinkūnas. W okresie intensywnego wynaradawiania Litwinów przez władze sowieckie zaczął on odtwarzać przedchrześcijańskie obrządki. W tym samym czasie inni konspiracyjni

działacze skupiali się na podtrzymywaniu wiary katolickiej w warunkach prześladowania przez sowietów. Aktywność twórców podziemnej Kroniki Kościoła Katolickiego była walką o swobodę wyznania, a ta Trinkūnasa zmierzała do zachowania bałtyckiej tożsamości. Jego praca okazała się szczególnie ważna tuż po odzyskaniu niepodległości. Ten etnolog i folklorysta dał w szczególności młodym, poszukującym wtedy wartości rodakom rodzime tradycje i symbole (popularnością cieszyły się zwłaszcza słupy Giedymina jako historyczne godło), przez co wzmacniał ich patriotyzm. Na obozach i spotkaniach wspólnoty mówił o konieczności harmonijnego współistnienia człowieka i natury, uznawanej za świętą. Uczył umiłowania własnego kraju i jego skarbów naturalnych. W otoczeniu Trinkūnasa słuchano opowieści o antenatach, odtwarzano niezwykłe wielogłosowe pieśni (*sutartinės*) z akompaniamentem dawnych instrumentów (*kanklės*) oraz tradycyjne tańce, w tym zagrzewające do walki tańce wojów (udających niedźwiedzie). Uważam go nie tylko za przywódcę duchowego i pierwszego *kriwe* (kapłana) wspólnoty rodzimowierców, lecz także za największego ekologa tamtych czasów.

Gdzie leży ojczyzna?

Współcześni Litwini pojmują ojczyznę w sposób zbliżony do ich starożytnych protoplastów. W pierwszej kolejności uważają za nią ojcowiznę, dom i ziemię, na której stoi. Liczy się również to, że owa ziemia ma historię, a więc należała do licznych minionych pokoleń. Choć młodzi wyjeżdżają kształcić się w miastach, to świadomość przynależności do danego obszaru, jego obyczajów, kultury i dialektu pozostaje w nich silna. Mieszkańcy Litwy, tak mocno związani ze wspólnotą lokalną wraz z jej cechami charakterystycznymi, nie zapominają przy tym o tej narodowej, zespojonej głównie przez przeszłość i język – odczuwają dumę z obu tych poziomów.

Tradycje regionów są żywe i badacz powinien je znać, a przynajmniej traktować z szacunkiem. Dobrze zatem zapoznać się nie tylko z geograficznymi różnicami pomiędzy Auksztotą, Żmudzią, Dzukiją, Małą Litwą i Suwalszczyzną. Żyjący tam ludzie często prezentują przywiązanie do nich poprzez stroje przywdziewane z okazji świąt lokalnych, religijnych i państwowych. Nierzadko można wówczas spotkać – nawet w Wilnie – obce sobie osoby intonujące pieśni narodowe w miejscach publicznych. Skromność życia odzwierciedla kuchnia, do której chętnie powracają Litwini opuszczający swoje małe ojczyzny – prosta i oparta na produktach dostarczanych przez uprawę i hodowlę oraz las, który miał znaczący wkład w dietę przodków, a nawet pozwalał im przetrwać okresy sezonowego głodu (gdy mech z drzew jedli). Całkiem niedawno w gronie tradycji znalazł się sport narodowy – koszykówka. Litwini, jak każde niewielkie

społeczeństwo, są szczególnie uważni na międzynarodowe sukcesy rodaków, a ta dostarcza im dumy od lat. W latach 80. klub Žalgiris Kowno z gwiazdami Šarūnasem Marčiulionisem (jako pierwszy zagrał w NBA) i Arvydasem Sabonisem był dla Litwinów ich małą ojczyzną. Dwumetrowe dęby znad Niemna aż trzy razy z rzędu – w latach 1985, 1986 i 1987 – zdołały pokonać drużynę z Moskwy i zdobyć mistrzostwo ZSRR. Jako reprezentacja niepodległego państwa wystąpili zaś na igrzyskach w Barcelonie w 1992 r., gdzie dorobili się brązu – cenniejszego niż złoto, gdyż do ich startu mogło nie dojść z przyczyn finansowych. Drużynę wsparł jednak zespół rockowy Grateful Dead, zainspirowany walką tego narodu o niepodległość.

Władzom sowieckim nie udało się wśród Bałtów i Estończyków zaszczepić idei „Wielkiej Ojczyzny" – Litwini oddawali życie za tę małą, walcząc o ziemie i tradycje swojego narodu. Do dziś partyzantka antysowiecka i jej żołnierze ścierający się z okupantem po lasach w latach 1944–1953, a niektórzy samotnie dużo dłużej, otaczani są kultem i uznawani za największych bohaterów – podobnie jak ci, którzy zginęli w walce o wolność 13 stycznia 1991 r.

Demografia – z ręką na pulsie

Osoba zajmująca się Litwą musi mieć świadomość, że kraj ten podlega negatywnym tendencjom demograficznym – stąd konieczność stałego przyglądania się odnośnym statystykom. Nasz północno-wschodni sąsiad znajduje się w pierwszej dziesiątce najszybciej wyludniających się państw na świecie, a depopulacji towarzyszy starzenie się społeczeństwa (ponad 20% ludności stanowią osoby w wieku emerytalnym). W roku 1991, tuż po odzyskaniu niepodległości, na Litwie żyło 3,7 mln ludzi. Od tego czasu liczba ta systematycznie spadała – 1 stycznia 2024 r. wynosiła ok. 2,9 mln. Utrata w ciągu trzech ostatnich dekad aż 800 tys. obywateli, co odpowiada łącznej populacji dwóch największych miast – Wilna i Kowna – to efekt ujemnego przyrostu naturalnego oraz kilku fal emigracji na Zachód.

Aktualnie nie widać oznak przełamywania tych negatywnych trendów. Nie powstała też spójna koncepcja rządzących na walkę z wyludnieniem czy powstrzymanie wyjazdów. Sytuację poprawia nieco otwarcie się na imigrantów, przede wszystkim z Ukrainy i Białorusi, co może jednak prowadzić do innych problemów – choćby niepożądanego wzrostu liczebności mieszkańców porozumiewających się po rosyjsku, co według Litwinów niesie zagrożenie dla języka państwowego. Powszechne są również obawy o lojalność nowych rezydentów wobec państwa gospodarza.

Przeszukiwanie litewskich statystyk to zadanie niełatwe. Do publicznego użytku nie trafiają wspomagające tę czynność narzędzia pozwalające zapoznać

się z pełnymi danymi w ujęciu trzech dziesięcioleci – najczęściej otrzymujemy tylko te z najnowszej dekady, dlatego warto gromadzić podstawowe informacje na temat społeczeństwa publikowane przez tamtejszy urząd statystyczny. Wobec takich warunków pomocne będą też Eurostat, porównujący Litwę z innymi państwami UE, oraz analizy prezentowane Sejmowi RL przez ekspertów na potrzeby pracy w komisjach – zazwyczaj wyczerpujące.

Osobny temat wart monitoringu dotyczy relacji pomiędzy etnicznymi Litwinami a coraz częściej osiedlającymi się w kraju imigrantami zarobkowymi. Ci pierwsi nie są narodem otwartym na przyjmowanie obcych nacji. Aktualnie władze, reagując na oczekiwania społeczne, dążą do wprowadzenia restrykcyjnej polityki integracyjnej – cudzoziemcy muszą pilnować procedur związanych z wydawaniem zezwoleń na pobyt. Dodatkowo znajdują się oni pod stałym nadzorem służb, kontrolujących ich kontakty z rodakami z państw pochodzenia, zwłaszcza z Białorusi. Oczekuje się też od nich, że przy podejmowaniu pracy wykażą się potwierdzoną egzaminem znajomością języka państwowego.

Wrogowie wokół granic

Mimo utraty niektórych ziem Litwini nie formułują obecnie żadnych roszczeń terytorialnych. Choć część gospodarstw do dziś rozsypana jest po pagórkach Suwalszczyzny, a sam region ma niebagatelne znaczenie dla litewskiej kultury (dialekt z Suwalszczyzny legł u podstaw skodyfikowania współczesnego języka państwowego), to tamtejsi politycy angażują się jedynie w zapewnianie ludności pochodzenia litewskiego praw należnych mniejszościom narodowym. Najwięcej terenów po roku 1945 państwo straciło na Małej Litwie (Litwie Pruskiej) – obszarze leżącym obecnie na terytoriach trzech państw: Federacji Rosyjskiej (obwód królewiecki), Litwy (pas ziemi przy tymże) i Polski (mały fragment). To również ważny dla Wilna region, gdyż rozwinęło się tam rodzime piśmiennictwo i drukarstwo.

Po przywróceniu niepodległości rządzący starali się utrzymywać dobre relacje kulturalne i gospodarcze z władzami obwodu królewieckiego. Pruscy Litwini także kultywowali tradycje minionych pokoleń i uczyli dzieci swojego języka. Dokładniejsze dane na temat ich sytuacji na tych ziemiach trudno pozyskać. Mieszka ich tam prawdopodobnie ok. 14 tys. Niszczenie przejawów ich kultury w obwodzie rozpoczęło się po wybraniu Władimira Putina na drugą kadencję prezydencką w 2004 r., a wzmogło po rozpoczęciu przez Rosję pełnoskalowej wojny na Ukrainie i wprowadzeniu przez Wilno sankcji gospodarczych na agresora, w tym w odniesieniu do części tranzytu do obwodu królewieckiego. Pojawiają się informacje, że tamtejsi Litwini doświadczają prześladowań i są zastraszani. Do kraju docierały też doniesienia, że to spośród żyjących przy

granicy z Litwą i mających litewskie pochodzenie mieszkańców eksklawy Rosjanie rekrutowali żołnierzy do walk na Ukrainie.

Analityk zajmujący się Litwą powinien zwracać szczególną uwagę zarówno na sytuację w obwodzie królewieckim, jak i na to, jak Moskwa wykorzystuje jego położenie do ataków propagandowych na Wilno. Pomimo że Litwa utrzymuje tranzyt pasażerski (ściśle monitorowany) oraz część towarowego przez swoje terytorium do i z eksklawy, a także tranzyt gazu z Rosji do obwodu, Kreml od lat prowadzi – skierowaną również do państw zachodnich – narrację o celowym izolowaniu obwodu przez Wilno. Nasiliła się ona w związku z odłączaniem się krajów bałtyckich od rosyjskich i białoruskich sieci elektroenergetycznych. Litwa spodziewa się dalszych prowokacji odnoszących się do rzekomego izolowania eksklawy. Moskwa może wykorzystać do ich organizowania zarówno obywateli litewskich (w tym pochodzenia rosyjskiego), jak i mieszkańców obwodu, nie wyłączając pruskich Litwinów, których przymusiłaby do podejmowania działań o charakterze separatystycznym zmierzających jakoby do przyłączenia części tego terytorium do Litwy. W podobny sposób – choć wyjątkowo nieudolnie – rosyjskie służby operowały w Kłajpedzie. Po pierwszym ataku na Ukrainę radykalna grupa pod nazwą „Bądźmy Zjednoczeni" przygotowała tam w 2015 r. prowokację, podczas której wzywała do zbierania podpisów pod inicjatywą na rzecz powstania „republiki ludowej". Akcja ta zakończyła się fiaskiem, a większość członków rosyjskiej mniejszości demonstruje lojalność wobec Wilna i aktywnie włączyła się w pomoc uciekającym przed wojną mieszkańcom napadniętej w 2022 r. Ukrainy. W kraju funkcjonują jednak także osoby i grupy prowadzące wręcz jawnie prorosyjską działalność. Są one monitorowane przez miejscowe służby.

Badacz Litwy zderzy się też z licznymi wyzwaniami wynikającymi z jej bliskości z Białorusią. Władze w Wilnie – pomimo utrzymywania w przeszłości kontaktów z dyktatorem Alaksandrem Łukaszenką oraz licznych prób wspierania procesów demokratyzacji tego kraju – poniosły dotkliwą porażkę, gdy Rosja przeforsowała budowę elektrowni jądrowej w Ostrowcu, ok. 30 km od granicy z Litwą. Litewscy rządzący uznali to posunięcie za wrogie, zwłaszcza że wraz z Warszawą zdecydowanie odrzucili opcję importowania energii z tego subsydiowanego przez Kreml obiektu.

Szczególnej uwagi wymaga obserwowanie, jak Rosja wykorzystuje Białoruś do działań wymierzonych w Litwę. Najpoważniejsza z takich operacji to trwająca od 2021 r. napaść na granice państw bałtyckich i Polski. Białoruskie służby posługują się w tej akcji migrantami ściągniętymi z Bliskiego Wschodu, Azji i Afryki. Są wobec nich bezwzględne – oszukują, że tak dostaną się do Europy – a całe przedsięwzięcie ma na celu destabilizowanie sytuacji na granicach UE. Przeciwko Wilnu stosuje się również inne środki nacisku, w tym

tzw. litwinizm – popularyzowaną wśród białoruskich nacjonalistów teorię dowodzącą, że Wielkie Księstwo Litewskie stworzyli właśnie Białorusini. Litewskie służby specjalne przyglądają się rozpowszechnianiu tej koncepcji, gdyż uderza ona w tożsamość narodu i może stanowić fundament roszczeń terytorialnych. Wilno obawia się propagowania jej na Białorusi, ale też wśród tamtejszej diaspory na Litwie i na Zachodzie. Negowanie podstaw państwowości postrzega jako kolejną długoterminową operację hybrydową mogącą zagrażać bezpieczeństwu narodowemu. Obawy te podzielają wojskowi, którzy wskazują, że przed każdą inwazją – zarówno na Gruzję, jak i na Ukrainę – Rosja przygotowywała odpowiednie narracje, dzięki którym uzyskiwała silne poparcie własnego społeczeństwa dla rozpoczęcia inwazji. Katalog zagrożeń dla państwa, aktualizowany co roku, analityk pozna dzięki analizom prezentowanym publicznie przez służby wywiadu i kontrwywiadu cywilnego (VSD) oraz wojskowego (AOTD).

Kwestie najdrażliwsze – Polacy na Litwie, Litwini pod polską okupacją

Polski ekspert zajmujący się Litwą niewątpliwie zderzy się z kwestiami z przeszłości oddziałującymi na stosunki bilateralne i pomiędzy członkami obu społeczeństw. Od różnic historycznych, zadr i pełnych napięć dyskusji trudno będzie uciec. W najlepszej pozycji znajdują się badacze dziejów z obu krajów. W naszych suwerennych już państwach przeprowadzili oni wiele debat, w trakcie których kanty sporów o ocenę wydarzeń ważnych dla naszej wspólnej przeszłości uległy złagodzeniu – warto korzystać z ich ustaleń. Dzięki ich pracy, ukierunkowanej na większe zrozumienie interesów i potrzeb każdej ze stron, razem świętujemy i zwycięstwo pod Grunwaldem, i uchwalenie Konstytucji 3 Maja oraz razem składamy hołd bohaterom powstania styczniowego. Wprawdzie wciąż dzieli nas spojrzenie na postać marszałka Józefa Piłsudskiego, lecz niektórzy historycy – jak niestrudzony w zbliżaniu Polski i Litwy profesor Alfredas Bumblauskas – przekonują, że na konflikt o Wilno powinniśmy patrzeć jak na rodzaj wojny domowej. Takie ujęcie, znacząco różniące się od oficjalnej wykładni o okupacji miasta przez Rzeczpospolitą, zbliża do wzajemnego zrozumienia, a przynajmniej ułatwia przystąpienie do dyskusji.

W naszych stosunkach z sąsiadem dużą rolę odgrywają słowa, a te bywają ostre. Analityk musi być przygotowany na to, że w tamtejszym nauczaniu lata 1920–1939 określa się jako czas polskiej okupacji i aneksji Litwy Wschodniej. Okres ten nadal znajduje się w obszarze zainteresowania historyków z Wydziału Badań nad Ludobójstwem i Ruchem Oporu (odpowiednik IPN). Tłumaczą oni, że w tych latach Litwini w trudnych warunkach reżimu okupacyjnego starali się zachować swoją kulturę, możliwość kształcenia się w języku ojczystym oraz

posiadania własnych organizacji i prasy. Byli oni wówczas prześladowani przez władze administracyjne, a sam region polonizowano w celu jak najszybszej integracji Litwy Środkowej z II RP.

O nękanych patriotach w Wilnie wspominają najistotniejsze miejscowe utwory literackie (np. powieść Antanasa Škėmy *Biały całun*), a negatywny obraz Polaków, kojarzonych ze zdeprawowanym dworem skontrastowanym z wyidealizowaną wsią, dominował w tamtejszej twórczości od końca XIX do początku XX wieku. Historycy z litewskiego instytutu, koncentrujący się choćby na analizowaniu edukacji oraz działalności stowarzyszeń i organizacji w trakcie okupacji, starają się pozyskać informacje uzasadniające ich tezę o „ludobójstwie kulturowym" z pierwszej połowy XX stulecia, którego doświadczyli nieżyjący rodacy. Wszystko tkwi w słowach – mogą zbliżać, mogą oddalać. W pracy badawczej należy dążyć do tego pierwszego, nie zapominając przy tym, że kompromis oznacza ustępstwa obu stron.

Worek emocji otwiera się, gdy ekspert siada do zagadnienia naszych relacji bilateralnych w kontekście mniejszości polskiej. Warto brać pod uwagę zwłaszcza korzyści Polski, ale też uszanować trwanie przy polskości mieszkających na Wileńszczyźnie ponad 183 tys. obywateli Litwy (6,5% populacji) deklarujących narodowość polską (to największa mniejszość narodowa w kraju). Żaden poważny polityk czy rozsądny analityk znad Wisły nie kwestionuje faktu, że jako obywatele Litwy tamtejsi Polacy zobowiązani są do lojalności wobec tego państwa – mają jednak prawo kultywować tradycje narodowe, a szczególnie uczyć się języka. W tej sprawie Wilno koncentruje się na ochronie języka litewskiego i wciąż nie potrafi przyznać owym polskim obywatelom prawa do pełnej oryginalnej pisowni ich nazwisk, ale intensywnie stara się, by od najwcześniejszych lat uczyli się oni miejscowej mowy. Choć w roku 2022 alfabet litewski zaakceptował litery „w", „q" i „x" – w dużym stopniu po to, by odpowiedzieć na presję ze strony Litwinek wychodzących na emigracji za obcokrajowców – to występujące w polskich nazwiskach znaki diakrytyczne pominięto.

Jeszcze trudniejszą kwestią jest postulowane przez Polaków szersze wprowadzenie języka mniejszości na terenach zwarcie przez nią zamieszkiwanych. Obecnie używa się go w kontaktach z władzami lokalnymi, funkcjonuje także w edukacji, kulturze i życiu społecznym, ale państwo nie dopuszcza przykładowo znaków informacyjnych w dwóch językach. Jeśli dążymy do utrzymania polskości na Litwie, nasze pierwszoplanowe zadanie polega na wspieraniu nauki polskiego. Za sukces uznaje się jego powrót do puli przedmiotów maturalnych. Mogą go zdawać jako język obcy również Litwini, co przyczynia się do propagowania znajomości polskiego i wypierania w ten sposób rosyjskiego – co popierają też tamtejsze władze – oraz może się przełożyć na zbliżenie pomiędzy naszymi społeczeństwami.

Kolejne ważkie zagadnienie stanowią stosunki pomiędzy litewskimi Polakami a Litwinami. Nadal nie da się ich opisać jako bliskie – raczej pełne uraz, a niekiedy wrogie. W tym miejscu trzeba zadać sobie dwa pytania – kim w oczach Litwinów są Polacy (i jakie podstawy ma ich tożsamość narodowa) oraz czy rzeczywiście cechują się oni lojalnością wobec państwa, w którym mieszkają.

Nad Wisłą uznajemy, że obecność Polaków na ziemiach Litwy datuje się już od chrztu tego kraju, gdy doszło do pierwszych migracji. Kolejne jej fale następowały po unii polsko-litewskiej i w okresie istnienia Rzeczpospolitej Obojga Narodów. Polacy rozwijali na obszarze Litwy instytucje religijne i administrację, a potem też naukę i kulturę – zwłaszcza w miastach, m.in. w stolicy, gdzie do dziś możemy znaleźć wiele pamiątek ich obecności. Tu zderzamy się jednak z odmienną narracją miejscowych nacjonalistów. W wypowiedziach choćby młodego posła Vytautasa Sinicy ze Zjednoczenia Narodowego przewija się rozpowszechniana od lat na Litwie opinia, że Polacy z Wileńszczyzny to de facto spolonizowani Litwini. Wedle tej koncepcji teza o polskim Wilnie to efekt manipulacji statystycznych, a ludność litewską wynaradawiano poprzez działalność Kościoła, nauczanie po polsku i prasę. Ta idea godzi przede wszystkim w tożsamość Polaków z południowo-wschodniej części kraju, a z naszego punktu widzenia – w zbiór cech i tradycji, które definiują tę grupę i których nie wolno podważać.

Biorąc pod uwagę korzyści Polski wynikające z partnerstwa z Litwą, należy też obserwować lojalność tamtejszych Polaków względem Wilna oraz ich podatność na rosyjską propagandę. W ostatnich latach nad Niemnem powstało wiele analiz i studiów pokazujących znaczną rusyfikację mieszkańców Wileńszczyzny. Asumpt do tych rozważań dała skandaliczna sytuacja z 9 maja 2014 r., gdy lider najliczniejszej polskiej partii – Akcji Wyborczej Polaków na Litwie – Związku Chrześcijańskich Rodzin – Waldemar Tomaszewski paradował ze wstążką gieorgijewską, zwaną „stonką", przypiętą w klapie marynarki obok flagi polskiej. Uczynił to kilka miesięcy po zaatakowaniu Ukrainy przez Rosję. I choć tłumaczył, że to symbol rycerskości i walki ze złem, z faszyzmem, to w rzeczywistości oznacza ona de facto poparcie dla putinowskiego reżimu. Sytuacja ta ukazała spolaryzowanie postaw w AWPL–ZChR, gdyż Rita Tamašunienė, posłanka tej partii, opowiedziała się w Sejmie za zakazem publicznego demonstrowania owej wstążki. Szokowały także wypowiedzi Zbigniewa Jedzińskiego, byłego posła ugrupowania, który już po wybuchu pełnoskalowej wojny stwierdził, że Polska powinna porzucić UE i NATO i wejść w sojusz państw słowiańskich z Rosją.

Lista niefortunnych wypowiedzi Tomaszewskiego jest długa, lecz członkowie AWPL–ZChR nie podjęli decyzji o zmianie lidera. Jego pozycji nie osłabiają coraz gorsze wyniki partii w wyborach do Sejmu. Powodem utrzymywania się dotychczasowego przywódcy u sterów ugrupowania jest przekonanie działaczy

o jego doświadczeniu politycznym, w tym międzynarodowym (od lat piastuje on fotel europarlamentarzysty), oraz aktywności na rzecz powstrzymywania tamtejszych nacjonalistów, próbujących ograniczyć polskie szkolnictwo i używanie języka mniejszości. Dla wielu Polaków jest on też gwarantem dalszej walki o miejsce wiary chrześcijańskiej.

Podkreślmy, że Polacy – w tym ci należący do litewskich ugrupowań – coraz częściej otrzymują prominentne teki ministerialne. W analizach warto zwracać uwagę na takie sytuacje, gdyż w ten sposób dowodzą oni wierności państwu oraz pokazują, że interesują ich kwestie dotyczące nie tylko praw mniejszości – choć te wciąż zajmują poczesne miejsce – lecz także całego społeczeństwa. Dobrze, by eksperci przypominali, że próby wzniecenia w kraju postaw separatystycznych spaliły na panewce – społeczność Wileńszczyzny okazała się na nie odporna. Istotne dla poprawy relacji pomiędzy oboma narodami jest też wspieranie polskiej mniejszości w dostępie do wartościowych źródeł informacji zdolnych przeciwdziałać rosyjskiej propagandzie – a tych jest coraz więcej.

Elity i społeczeństwo – na ile są otwarte?

Istotę pracy analitycznej OSW stanowi przekazywanie administracji RP wiedzy na temat partnerów, stąd kluczowe zadanie stawiane ekspertowi to dogłębne poznanie sceny politycznej i zależności pomiędzy jej aktorami. W przypadku Litwy to o tyle proste, że jest ona państwem demokratycznym, a stosunki w nim określa konstytucja (tę należy poznać), regulująca podział władzy i określająca częstotliwość wyborów, również demokratycznych. Istnieją jednak pewne warte poruszenia sprawy niewypływające bezpośrednio z ustawy zasadniczej lub w niej niedopowiedziane. Najwyższą pozycję w państwie ma prezydent – dysponuje on szczególną legitymacją, gdyż w regionie bałtyckim jako jedyny jest wybierany w wyborach bezpośrednich, a nie przez parlament. Głowa państwa w pierwszej kolejności reprezentuje je na arenie międzynarodowej i prowadzi wraz z rządem politykę zagraniczną. Konstytucja stwierdza, że zajmuje się on ważniejszymi problemami międzynarodowymi, lecz nie powstała wykładnia prawna rozstrzygająca, które z nich należą do tej kategorii. Ustawa nie wskazuje też, kto – prezydent czy rząd – ma decydujący głos w razie sporu.

Na tle tych niejasności dochodzi czasem do tarć na linii głowa państwa–premier, niekiedy wynikających także z różnic charakterologicznych pomiędzy politykami. Sytuacja taka miała miejsce za prezydentury Gitanasa Nausėdy i zasiadania przez Gabrieliusa Landsbergisa w fotelu szefa MSZ – odpowiedzialnego za politykę zagraniczną rządu. Ten drugi w ocenie pierwszego doprowadził do eskalacji konfliktu z Chinami, wspierając Tajwan. Nausėda nie widział korzyści z postępowania, które przyniosło krajowi straty gospodarcze.

Przy okazji tej sprawy warto wspomnieć, że działacze prawicy, do których zalicza się Landsbergis, nie uważają, iż Litwa – jako państwo małe – powinna jedynie wtórować większym graczom. Wilno prowadzi nierzadko śmiałą, choć nie zawsze akceptowaną przez inne kraje zachodnie politykę. Przez wiele lat Litwinom wypominano, że są rusofobami, i wręcz wykluczano ich z debaty mocarstw na temat Rosji. Oni sami natomiast już w trakcie walki o odzyskanie niezawisłości przejawiali potężny upór i odwagę, a rewolucję niepodległościową przeprowadzili pod hasłem „Tylko proszę nas tu nie straszyć". W okresie ostatnich napięć z Pekinem, skutkujących zablokowaniem przezeń eksportu z Litwy oraz państw z nią współpracujących, przypominano inne harde powiedzenie ludowe – „Nadciągają Chińczycy! No i gdzie my ich pogrzebiemy".

Cechą charakterystyczną sceny politycznej Litwy jest obserwowana od przywrócenia niepodległości zasada „politycznego wahadła". Zgodnie z nią w następujących po sobie wyborach dochodzi do zmiany rządów w obrębie przeciwnych opcji – z prawicowych na lewicowe i odwrotnie, przy czym aktualnie roszady dotyczą raczej bloków lewicowych lub prawicowych, a nie pojedynczych partii. Inna zasada wiąże się z podziałem sceny na tzw. siły tradycyjne i pozostałe. Te pierwsze – ugrupowania istniejące z pewnymi modyfikacjami od czasu zdobycia niepodległości – uznaje się za zapewniające owej scenie stabilność. Zaliczamy do nich partie socjaldemokratyczne i konserwatywne. To wokół nich najczęściej powstają polityczne sojusze, lecz one same nie współpracują ze sobą pomimo prób stworzenia tzw. tęczowej koalicji.

Wielokrotnie nagłe uznanie zyskiwały tzw. projekty polityczne. To przeważnie siły populistyczne szybko zdobywające pokaźny elektorat, ale i równie szybko go tracące. Ugrupowania te zwykle opierają swą popularność na osobie charyzmatycznego lidera.

Interesujące, że choć wśród decydentów wciąż sporo ma postkomunistyczną przeszłość, nikt specjalnie im tego nie wypomina. W przywróceniu niepodległości udział miały zarówno ugrupowania proniepodległościowe, jak i wpływowi komuniści, którzy także znaleźli się w szeregach kierowanego przez Vytautasa Landsbergisa Sąjūdisu. Szczególną rolę w działaniach na rzecz wolności odegrał nawet lider ówczesnych komunistów Algirdas Brazauskas, który należał też do sygnatariuszy Aktu niepodległości Litwy. Większy problem dla kariery polityka generuje ujawnienie, że był tajnym współpracownikiem sowieckich służb specjalnych i nie podał tej informacji do wiadomości odpowiednich instytucji.

Duże znaczenie dla życia politycznego państwa mają ośrodki analityczne i badawcze, w tym Instytut Studiów Międzynarodowych i Nauk Politycznych Uniwersytetu Wileńskiego (TSPMI), zajmujący się m.in. polityką wschodnią. Spośród jego pracowników rekrutują się liczni urzędnicy i dyplomaci, stojący jednak o krok za politykami nadającymi ton debacie w kraju. Polski analityk

znajdzie partnerów także w Centrum Studiów nad Geopolityką i Bezpieczeństwem (GSSC, dawne Centrum Europy Wschodniej).

W ostatnich latach elity polityczne (w tym politycy o poglądach nacjonalistycznych) wyjątkowo silnie interesują się współpracą z Polską. Jesteśmy dla Litwy i regionu bałtyckiego „łącznikiem" prowadzącym od Europy Północno-Wschodniej do Europy Zachodniej. Żadnego większego projektu infrastrukturalnego wykraczającego poza państwa bałtyckie – jak Via Baltica i Rail Baltica – nie da się zrealizować bez udziału RP i korzystania z jej terytorium. Sukcesem Litwy, Łotwy i Estonii była synchronizacja ich sieci elektroenergetycznych z siecią systemu Europy kontynentalnej, co również przeprowadzono z użyciem polskiej infrastruktury. Litewskie elity polityczne postrzegają nas jako sojusznika na wielu płaszczyznach. Przede wszystkim od lat wspólnie staraliśmy się przekonać Europę Zachodnią, że Rosja to kraj niebezpieczny i agresywny, oraz dowodziliśmy, iż państwa takie jak Niemcy nie powinny realizować z nią przedsięwzięć gospodarczych uderzających w nasze interesy ekonomiczne, takich jak Nord Stream. Razem zabiegaliśmy o wprowadzenie jak najszerszych antyrosyjskich sankcji gospodarczych, by powstrzymać Kreml od atakowania Ukrainy. Równocześnie wspieraliśmy ją samą i jej mieszkańców, udzielając im schronienia. Dążymy też do członkostwa tego państwa w UE i NATO. Kooperacja połączyła służby obu państw zarówno w zakresie zwalczania rosyjskiej propagandy, jak i ochrony naszych granic, zaatakowanych przez reżim Łukaszenki, który sprowadza migrantów i zmusza ich do prób nielegalnego przedostania się na nasze ziemie.

Pomiędzy elitami polskimi a litewskimi nie toczą się obecnie większe spory. Rozbieżności dotyczą spraw mniejszości polskiej – Wilno akcentuje, że sytuacja miejscowych Polaków jako obywateli stanowi element polityki wewnętrznej, a nie zagranicznej. Niemniej tamtejsi decydenci doskonale znają katalog aktualnych problemów mniejszości i nie trzeba im tłumaczyć, które gesty wobec nich przyjęlibyśmy z zadowoleniem. Litwini to racjonaliści, nie uznają w polityce braterstwa – co widać po trudnych relacjach pomiędzy państwami bałtyckimi – ale wyłącznie sojusze. Warto zwracać uwagę na takie ich podejście.

Czy poprawa stosunków politycznych pomiędzy naszymi krajami przekłada się na lepsze postrzeganie Polaków? Wydaje się, że tak – dziewięciu na dziesięciu Litwinów ocenia nas dziś pozytywnie – lecz należy pamiętać, że dla przeciętnego członka tamtego narodu jesteśmy sojusznikiem politycznym, ale zarazem państwem, w którym robi większe zakupy korzystniej niż u siebie, oraz przystankiem drogowym i lotniczym) na drodze do innych krajów. Litewskie media na bieżąco przekazują rzetelne i obiektywne informacje na temat wydarzeń w Polsce, lecz wiadomości o naszej kulturze (poza tymi sponsorowanymi przez polskie instytucje) jest mało. Nasz kraj i jego zabytki zwiedza niewielu

Litwinów. Nadal nie powstaje też wystarczająco dużo tłumaczeń literatury polskiej, zwłaszcza współczesnej, ale za to istnieje zainteresowanie naszym kinem.

Trzeba także pamiętać o dążeniu do zrozumienia, jak żyje tamtejsze społeczeństwo – nie tylko w większych miastach, lecz przede wszystkim z dala od nich. Litwa dostarcza wielu możliwości odbycia takiej analitycznej włóczęgi. Jej mieszkańcy są serdeczni i otwarci na przybyszów, w szczególności tych chętnych, by ich poznać. Eksplorowanie tego kraju to fascynująca podróż wiążąca się z odkrywaniem miejsc urzekających pięknem natury. Litwini dbają o zabytki przyrody. Zarazem bez problemu ugoszczą podróżnych, którzy mogą korzystać z rozbudowanej bazy agroturystycznej i zobaczyć codzienne życie, uczestniczyć w tradycyjnych zajęciach ludzi wsi czy warsztatach rzemieślniczych. Dzięki temu możemy poczuć, że praca badacza to również ciekawa przygoda.

Czechy – sąsiad lubiany i pozornie znany

Krzysztof Dębiec

Im bliżej Polski leży badany kraj, tym więcej utartych schematów poznawczych na jego temat tkwi zwykle w głowach odbiorców poświęconych mu materiałów. Takie klisze zniekształcają odbiór analiz – czasem zwiększają siłę oddziaływania tych tekstów, ale niekiedy mogą wywołać reakcje sprzeczne z intencją autora. Choć popularne nad Wisłą wyrażenia, takie jak „czeski błąd" czy „czeski film", powinny obudzić podejrzenie, że pierwsze wrażenie dotyczące państwa nad Wełtawą może się okazać mylne, to liczne przykłady polskich komentarzy o nim pokazują zgubny potencjał głęboko zakorzenionych stereotypów. Warto też mieć świadomość, że i Czesi nierzadko piszą o nas przez pryzmat własnych wyobrażeń.

Patrząc na relacje polsko-czeskie na poziomie międzyludzkim, można dostrzec sporą asymetrię pod względem znajomości sąsiada oraz wybiórczość wiedzy na jego temat. Ta pierwsza odnosi się do masowej fascynacji Polaków czeską kulturą, sposobem życia czy zabytkami, lecz nie towarzyszy jej proporcjonalna wzajemność. A w zasadzie nie towarzyszyła – zwłaszcza w ostatnich dwóch latach sąsiedzi sprawiają wrażenie, jakby chcieli „nadrobić zaległości". Masowo przybywają w trakcie wakacji (i nie tylko wtedy) nad nasze morze, imponują im nieprzejednane stanowisko Warszawy względem Rosji i budowane w ekspresowym tempie autostrady.

To „doganianie" pozostaje jednak procesem niedokończonym, a ponadto nie likwiduje drugiego ze wspomnianych problemów – wybiórczości poznania. Polskie wyprawy na drugą stronę Sudetów często ogniskują się wyłącznie na Pradze. Z kolei tamtejsi intelektualiści znający naszą literaturę lubią podkreślać,

że Czechy w niej opisane, które tak kocha spora część Polaków, nie istnieją. W tym kontekście przywołuje się choćby popularne u nas książki Mariusza Szczygła o tym kraju. Ten bardzo znany także nad Wełtawą reportażysta niewątpliwie idealizuje naszych południowych sąsiadów, ponieważ patrzy na nich z perspektywy polskiego liberała.

Z mylnymi wyobrażeniami dotyczącymi Czech próbował zmierzyć się pochodzący stamtąd czytelnik jednego z poczytnych polskich dzienników – na jego łamach wymienił powszechne w jego narodzie cechy umykające uwadze naszych czechofilów. Należą do nich: niechęć do wyjazdów zagranicznych, nieufność, tendencja do egalitaryzmu hamująca rozwój wybijających się jednostek i szeroko rozpowszechniony eurosceptycyzm. Z kolei Polka, która wyszła za mąż za Czecha, przyznawała w dłuższym eseju dla tego samego medium, że jej zbudowany na dziełach Szczygła obraz „czeskiego raju" po kilku latach okazał się raczej „czyśćcem".

Jak więc badać procesy polityczne, gospodarcze i społeczne w Republice Czeskiej, aby stworzyć możliwie obiektywną analizę? Co wyróżnia to państwo na tle regionu? Po jakie źródła sięgać?

Poniżej zaprezentowano zestaw porad, które powinny pozwolić tak licznym amatorom poznawania ojczyzny Havla, Kundery i… Dobrawy (matki pierwszego króla Polski) przeprowadzić swoistą korektę ostrości spojrzenia na Czechy, zamglonego często nieprawdziwymi mniemaniami czy mimowolnym przekładaniem na ten kraj naszej rzeczywistości jeden do jednego. Choć siłą rzeczy taki materiał musi być w pewnej mierze subiektywny, to opiera się na więcej niż dekadzie doświadczeń autora, na które składają się kilkuletni pobyt w Pradze, nieskończone godziny rozmów z autochtonami i polskimi pasjonatami Czech (także w ramach wykładów akademickich), codzienne śledzenie tamtejszych mediów różnych nurtów, jak również wiele napisanych analiz opisujących miejscową sytuację gospodarczą i polityczną, w tym relacje dwustronne.

Krok 1: wstępne rozpoznanie

Jednym z pierwszych kroków na ścieżce rozwoju analityka do spraw Czech powinno być z pewnością bliższe przyjrzenie się przedmiotowi badań – państwu ościennemu i żyjącym tam ludziom. Oto kilka kwestii, których nie wolno przy takich wstępnych oględzinach pominąć. Wynikają one choćby z rozmiaru i zamożności republiki czy jej podstawowej charakterystyki gospodarczej.

Porównując Czechy z RP, nie sposób nie odnotować, że są one krajem znacznie mniejszym, co wpływa też na spojrzenie mieszkańców na własną rolę w polityce regionalnej czy europejskiej. Pod względem liczby ludności Polska przewyższa je 3,4 raza, a terytorialnie – bez mała czterokrotnie. Dysproporcje te

przekładają się na wieloletnią ostrożność Pragi, aby w formatach regionalnych nie zostać zdominowaną przez zdecydowanie większego sąsiada, co dawało się szczególnie zauważyć w odniesieniu do współpracy wyszehradzkiej czy wciąż szukającej optymalnego kształtu Inicjatywy Trójmorza. Czechy nie aspirują także przez to do roli członka unijnego „dyrektoriatu", a polityka ich kolejnych rządów realizowana w Brukseli jest w dużej mierze reaktywna. Nie oznacza to niezdolności do głoszenia dobitnej krytyki niektórych propozycji Komisji Europejskiej, natomiast brak poczucia sprawczości bywa źródłem frustracji polityków i społeczeństwa, co wyraźnie pokazuje chociażby niechęć do Zielonego Ładu – o której autor pisał m.in. w rozdziale książki Agaty Łoskot-Strachoty *Polityka energetyczna w czasie wojny i transformacji. Priorytety państw Europy Środkowo-Wschodniej i Niemiec* (OSW, Warszawa 2025, s. 33–35).

Zarazem jednak, będąc w skali UE państwem średnim – 9. na 27 pod kątem populacji i 14. pod względem powierzchni, a jednocześnie względnie bogatym – wraz ze Słowenią najzamożniejszym w regionie (pod warunkiem że nie wliczymy weń Austrii i Niemiec), szuka nisz, w których może zabłysnąć. Takową Czechy odkryły w dziedzinie wsparcia dla Ukrainy – należały (wspólnie z Polską) do pionierów dostaw sprzętu bojowego dla Kijowa, przyjęły najwięcej uchodźców w przeliczeniu na liczbę mieszkańców oraz przyciągnęły uwagę światowych mediów inicjatywą amunicyjną. Ta ostatnia stanowi świetny przykład wykorzystania swoich przewag konkurencyjnych wynikających z posiadania silnych i dynamicznych koncernów zbrojeniowych (zdecydowana większość tych podmiotów znajduje się w rękach prywatnych) oraz ich kontaktów. Najczęściej ma przy tym miejsce sytuacja *win-win*, w ramach której efektem ubocznym starań władz są komercyjne kontrakty dla krajowych firm na dostawy na rzecz obrońców, niekiedy opłacane przez zachodnich partnerów.

Jeśli mowa o sile zbrojeniówki (w 2024 r. obroty największego czeskiego holdingu z tej branży – Czechoslovak Group – przekroczyły te notowane przez Polską Grupę Zbrojeniową), to warto patrzeć na nią jak na część specyficznej gospodarki. Już międzywojenna Czechosłowacja była potęgą wytwórczą, odziedziczywszy 60–70% bazy przemysłowej monarchii austro-węgierskiej (a tylko 25% ludności i 20% terytorium). To dziedzictwo rozwijano, a przy tym budowano tradycje i prestiż społeczny kształcenia technicznego. Przemysł generuje ponad 30% PKB Czech, co stawia je w ścisłej czołówce unijnej. Ta kolej rzeczy rodzi określone szanse – np. w kontekście oczekiwanego powrotu do Europy części bazy przemysłowej – ale też ryzyka. Niesłychanie ważnym elementem sektora jest branża motoryzacyjna, powiązana z kapitałem niemieckim. Tamtejszy przemysł samochodowy znajduje się z kolei na zakręcie – musi się mierzyć z zagrożeniem ze strony chińskich konkurentów czy groźbą wojny handlowej z USA.

Nad Wisłą często nie pojmuje się, jak silnie Czechy zależą gospodarczo (w tym w sferze energetyki) od RFN, ani tego, że ta zależność jest niemal powszechnie akceptowana. W 2024 r. aż 32% ich eksportu trafiło do zachodniego sąsiada – to najwyższy odsetek wśród państw Europy Środkowej (włączając Austrię). Oba państwa wiążą także infrastruktura gazowa i ropociągi. W kontekście odcinania się od rosyjskich surowców kluczowym punktem odbioru gazu na potrzeby Pragi ma być od 2027 r. powstający niemiecki terminal w Stade, zaś ropa naftowa napływa w całości rurociągiem IKL, który ma początek w Bawarii i stanowi przedłużenie ropociągu TAL z włoskiego Triestu (o czym można więcej przeczytać w analizie OSW autora *Czechy niezależne od rosyjskiej ropy*).

Najistotniejszym inwestorem i jednym z dwóch największych pracodawców prywatnych w kraju jest Volkswagen, kontrolujący zakłady Škoda Auto. Ich prywatyzację z 1991 r. do dziś prezentuje się jako modelową: Niemcy nie tylko zasadniczo rozbudowali produkcję nad Wełtawą, lecz także – co nie stanowi reguły w odniesieniu do inwestycji tego typu – przeznaczają na miejscu znaczne środki na badania i rozwój. W rezultacie czescy ekonomiści nie mają oporów przed nazywaniem swojej ojczyzny nieformalnym „siedemnastym landem" – nawet w dyskusjach głównego nurtu. W badaniu *GLOBSEC Trends 2025: Ready for a New Era?*, obejmującym dziewięć państw regionu, RFN w gronie dwóch newralgicznych partnerów strategicznych wymieniło aż 75% Czechów – to 16 p.p. więcej niż u Litwinów (drugich w zestawieniu) i o 33 p.p. więcej niż w gronie Polaków. Z kolei miejscowi politycy przejawiają niesłychaną ostrożność względem inicjatyw mogących ich niepotrzebnie poróżnić z sąsiadem, choć opinia publiczna zaczyna już dostrzegać ryzyka tych powiązań w obliczu kryzysu niemieckiego modelu rozwojowego.

Przy pierwszym „mapowaniu" Czech nie można nie spojrzeć na ich kulturę polityczną. Jak w przypadku wielu innych państw demokratycznych w dobie mediów społecznościowych cechuje ją polaryzacja. Od mniej więcej dekady naczelnym punktem odniesienia jest stosunek do oligarchy Andreja Babiša (jego sylwetkę przedstawiono poniżej). Działalność byłego premiera opiera się na dokładnym rozeznaniu w nastrojach społecznych, które pozwala mu nieideologicznie podążać za silnie rezonującymi tematami. Ostatnio należą do nich wynikające z regulacji unijnych zobowiązania kraju w sprawach środowiskowych czy odnośnie do przyjmowania migrantów. Całość ubrana jest w szaty suwerenistyczne. Obóz przeciwny Babišowi, podzielony choćby co do ewentualnego przyjęcia euro, sam nazywa się „demokratycznym", niemal manicheistycznie rysując wybór pomiędzy demokracją a autokracją czy wręcz dobrem a złem.

Ważną rolę w debacie publicznej odgrywają media (opisane dogłębnie w kolejnej części). Frekwencja w wyborach jest zbliżona do polskiej, lecz o ile u nas to

teraz padają jej rekordy po 1989 r., o tyle u sąsiadów odsetek głosujących dopiero zbliża się do notowanego w okresie „zachłyśnięcia się demokracją" w latach 90. Czesi powoli dochodzą do siebie nie tylko po licznych skandalach korupcyjnych różnych ekip, lecz także po ciosie, którym dla wielu była tzw. umowa opozycyjna z 1998 r. – porozumienie partii, które w kampanii wyborczej traktowały się wzajemnie jak śmiertelni wrogowie.

Nad Wełtawą dużą wagę przywiązuje się do tradycji i szukania odniesień historycznych. Za przykład niech posłuży przeznaczenie Zamku Praskiego – dawnego lokum monarchów – na siedzibę głowy państwa. Niemal nienaruszalną pozycją w zbiorowej pamięci dysponuje zaś założyciel Czechosłowacji Tomáš Garrigue Masaryk (pod pewnymi względami dałoby się ją porównać do tej, jaką nad Wisłą cieszy się Jan Paweł II) – każda kampania prezydencka pełna jest cytatów z jego dzieł, a sprawujący najwyższy urząd w kraju Petr Pavel na potrzeby wyborów zapuścił nawet bródkę w stylu słynnego poprzednika.

Krok 2: poznanie krajobrazu medialnego

Skoro nieobce są nam już podstawowe cechy przedmiotu naszego zainteresowania, pora zanurzyć się głębiej w konkretne tematy. Niezbędna do tego będzie przyzwoita orientacja na miejscowej scenie medialnej i znajomość jej specyfiki – wszak media należą do kluczowych instrumentów służących analizie. W przypadku Czech sytuację w tej sferze możemy uznać za w miarę komfortową: spektrum tytułów jest relatywnie szerokie, działa stosunkowo wielu dziennikarzy śledczych, a wyzwanie stojące przed badaczem – dysponującym siłą rzeczy ograniczonym czasem – polega w dużej mierze na wyborze właściwych materiałów do lektury czy obejrzenia. Dobry stan prasy ilustruje bardzo wysokie (10.) miejsce republiki (na 180 państw, przed Niemcami czy Francją) w zestawieniu World Press Freedom Index Reporterów bez Granic z 2025 r. (Polska znalazła się na 31. pozycji, a na przykład Węgry – na 68.). Nie oznacza to jednak braku jakichkolwiek „ale".

Czechy charakteryzują się z jednej strony istnieniem wpływowych i wysoce profesjonalnych mediów publicznych, opierających się naciskom władz, a z drugiej – niezachwianą pozycją miejscowych oligarchów w mediach prywatnych. Te pierwsze zachowały siłę przyciągania czołowych dziennikarzy, realizowane przez nie programy często prezentują wysoki poziom techniczny i merytoryczny, a działaczy różnych opcji bombarduje się w ich trakcie trudnymi pytaniami. Zarazem – z uwagi na względnie liberalny profil w wielu kwestiach, przykładowo z zakresu polityki zagranicznej – w materiałach niemających formatu rozmów współbrzmią raczej z formacjami centroprawicowymi. Znajduje to odzwierciedlenie w badaniach – publicznej Telewizji Czeskiej ufa 79% wyborców tej

właśnie części sceny politycznej, ale zarazem tylko 53% chętnych oddać głos na dzisiejszą opozycję. Zwłaszcza to medium bywa też adresatem krytyki ze strony formacji skrajnych – zarówno prawicowych, jak i lewicowych – uważających, że ich poglądy są tam marginalizowane. Wtóruje im przewodzące w sondażach ANO Babiša. W lidera partii uderzają reportaże śledcze nagłaśniające kontrowersje związane z jego działalnością na styku polityki, biznesu i mediów oraz liczne afery, dotyczące choćby możliwego wyłudzenia dotacji unijnych, współpracy z komunistyczną Służbą Bezpieczeństwa czy powstania i rozrostu należącego doń holdingu Agrofert.

Były premier swoje wejście do świata polityki w 2011 r. skoordynował z przejęciem prominentnych wydawnictw prasowych i największej komercyjnej stacji radiowej. Zapoczątkowało to w krajowych elitach biznesowych tendencję, która w ciągu kilku lat doprowadziła do odkupienia od zagranicznych koncernów praktycznie wszystkich głównych mediów i ich swoistej „bohemizacji" (o czym więcej w „Komentarzu OSW" autora *Bohemizacja mediów. Przejęcie czeskiej branży medialnej przez rodzimych miliarderów*). Niektórzy potentaci dawali do zrozumienia, że ich celem jest zabezpieczenie się na wypadek „nadgorliwości" oponentów politycznych czy rywali biznesowych. Przy tym linia nabytych podmiotów z reguły raczej zgadzała się z profilem działalności właściciela, co ilustruje m.in. piętnowanie „zielonych" regulacji przez media należące do magnatów węglowych.

Zdarzały się przypadki nieproporcjonalnie silnego krytykowania rządzących, gdy ci wdrażali działania wymierzone w biznesy oligarchów. Jesienią 2023 r. największy tabloid „Blesk" uderzył w ministra przemysłu i handlu (a dziś komisarza) Jozefa Síkelę, który doprowadził do końca projekt przejęcia przez skarb państwa operatora sieci przesyłowej gazu Net4Gas. Pokrzyżował tym samym plany kupienia go przez miliardera Daniela Křetínskiego, kontrolującego zarówno analogiczną spółkę gazową na Słowacji (z którą mógł uzyskać efekt synergii), jak i wspomniany dziennik.

Ponadto media Babiša nie tylko promowały działaczy ANO czy uderzały w przeciwników ugrupowania – jego magazyny lifestylowe nieraz wykorzystywano do „ocieplania" wizerunku byłego premiera. Co symptomatyczne, po sprzedaży części aktywów medialnych – w konsekwencji zaostrzania przez jego rywali politycznych przepisów o konflikcie interesów – podmioty te nie zmieniły linii redakcyjnej i wciąż często użyczają łamów dawnemu właścicielowi. Odkupił je zresztą biznesmen, który podobnie jak Babiš jest aktywny w branży chemicznej.

Oligarchizacja mediów prywatnych zwiększyła determinację wielu osób do obrony niezależności tych publicznych, ale także skutkowała wysypem nowych projektów o różnej sile oddziaływania. Niejednokrotnie odpowiadali za nie dziennikarze, którzy odeszli z przejmowanych przez potentatów

spółek. Trzy przedsięwzięcia – Deník.cz, Echo24.cz i Forum24.cz – w 2024 r. zajęły miejsca w pierwszej dziesiątce najchętniej odwiedzanych portali informacyjnych. Ogółem Czesi coraz rzadziej czerpią jednak wiedzę z takich serwisów, a częściej sięgają po media społecznościowe. Tendencja ta wpisuje się w dynamicznie zachodzące w tej sferze zmiany. Od kilkunastu lat na polu pozyskiwania informacji następowało przede wszystkim odchodzenie od prasy drukowanej na rzecz portali internetowych. Teraz w siłę rosną social media, które stają się również coraz ważniejszym narzędziem polityków do komunikacji z wyborcami.

Duże znaczenie dla krajowych działaczy partyjnych i dziennikarzy ma portal X (dawniej Twitter). Chętnie korzystają z niego szczególnie ci kojarzeni z centroprawicą. Ugrupowania skrajne czy – jak ANO – *catch all parties* (formacje, które dryfują ideologicznie, chcąc przyciągnąć rozmaity elektorat) wykazują się większą aktywnością na Facebooku. Fenomenem ostatnich dwóch lat w czeskiej polityce jest spora popularność chińskiego TikToka. Za jego pomocą pozycję w najmłodszej grupie głosujących zbudowało ugrupowanie Babiša – w prostych, typowych dla tej platformy formach kontestowało ono decyzje obozu władzy, a czasem sięgało po treści wprost rozrywkowe. Dobry przykład połączenia obydwu posunięć stanowi nagranie przedstawiające byłą minister finansów Alenę Schillerovą, która przebrana za paczkę frytek potępia utrudnienia dla studentów w podejmowaniu prac wakacyjnych, o czym pisał m.in. serwis iDnes.cz.

Krok 3: podróże, spotkania i język

Znamy już podstawowe cechy Republiki Czeskiej i zorientowaliśmy się w tutejszej scenie medialnej, dzięki czemu możemy przypuszczać, którzy dziennikarze czy badacze zasługują na naszą uwagę – to właściwy moment, aby wyruszyć w teren. Zakładam przy tym co najmniej komunikatywną znajomość czeskiego, jakkolwiek poniżej przybliżyłem także zagadnienia potencjalnych trudności z jego wariantami regionalnymi oraz to, jak duże jest okno możliwości dla nieznających czeskiego związane ze stopniem przyswojenia przez autochtonów języków obcych. Jednocześnie nie zapominajmy, że nad Wełtawą znajomości i zaufanie buduje się latami, a dobrym sposobem na zyskanie tego ostatniego jest oczywiście solidne przygotowywanie się do rozmów. Zapoznanie się z bieżącymi materiałami interlokutora to obowiązek, a sięgnięcie do starszych może nieraz zaskoczyć. Otóż jeden z moich czeskich rozmówców, ekspert od energetyki, pomiędzy artykułami ze swojej specjalizacji popełnił zaskakujący tekst o… „cudzie nad Wisłą". Nasze spotkanie niosło więc też okazję do „wyprostowania" niektórych spraw, które dla niemającego bliższych związków z naszym krajem Czecha siłą rzeczy nie mogą być oczywiste.

Nie odkryję wielkiej tajemnicy, stwierdzając, że najistotniejszym miejscem, gdzie wykuwa się czeska polityka, buzuje życie umysłowe i znajdują się siedziby większości ogólnopaństwowych mediów, jest Praga. Należy jednak od razu dodać, że kreowanie wyobrażenia o nastrojach w całym państwie tylko na podstawie dyskusji z jej mieszkańcami, zwłaszcza z kręgu elit intelektualnych, nierzadko prowadzi na manowce. Stolica wyróżnia się choćby zdecydowanym poparciem dla idei liberalizmu gospodarczego i stanowi tradycyjny bastion centroprawicy.

Republika Czeska to konglomerat trzech historycznych ziem – oprócz Czech właściwych składają się na nią Morawy i Śląsk, a ich stolice – odpowiednio Brno i Ostrawa – również mają swój niepowtarzalny charakter. Brno, którego liczba ludności sytuowałaby je w Polsce pomiędzy Gdańskiem a Szczecinem, jest centrum władzy sądowniczej państwa. Ulokowano tutaj m.in. Sąd Najwyższy i Sąd Konstytucyjny, a ponadto niektóre instytucje ogólnokrajowe, jak urząd antymonopolowy i centralę inspekcji rolno-spożywczej. To także ważny ośrodek uniwersytecki (drugi największy po stolicy) i badawczy – promuje się jako Dolina Krzemowa Europy Środkowej. Zarazem całe Morawy są obszarem bardziej konserwatywnym, o wyższym odsetku katolików, a politycznie – twierdzą chadeków. Ze względu na bliskość Austrii i Słowacji to również teren intensywnych interakcji z tymi sąsiadami, a samo Brno określa się mianem nieformalnej stolicy słowackich studentów uczących się poza ojczyzną.

Warto mieć na uwadze szczególną relację Pragi i Brna, która przypomina tę pomiędzy Toruniem a Bydgoszczą. Choć z największego miasta Moraw wywodzą się aktualny premier, najbogatszy (według niektórych rankingów) Czech, a nawet katolicki prymas, to prażanie lubią podkreślać swoją wyższość. Dobrze oddaje to popularny wśród nich dowcip: „Na temat Brna krąży mnóstwo plotek: że nic tam nie ma, że wszyscy się znają i że nie jest ono warte uwagi, a gdy się tam przeprowadzicie, odkryjecie, że… to wszystko prawda" (przytaczam w wersji ocenzurowanej).

Zgoła inaczej prezentują się górnicze lub pogórnicze, często wciąż silnie uprzemysłowione obszary Śląska (kraj morawsko-śląski), a także zachodu i północnego zachodu państwa, leżące w Czechach właściwych (kraje ustecki i karlowarski). Tereny te doświadczają trudów transformacji niskoemisyjnej, tu też koncentrują się problemy społeczne. Na tym tle pozytywnie wyróżnia się Ostrawa – pod względem liczby ludności usytuowana między Białymstokiem a Katowicami – która mimo kłopotów ekonomicznych rozwija się jako regionalne centrum kulturalne i edukacyjne. Na tych ziemiach przez lata dominowała lewica, a obecnie niepodzielnie rządzi tam ANO, które dzięki akcentowaniu agendy prosocjalnej przejęło znaczną część wyborców socjaldemokratów i komunistów.

Niewątpliwie za wyjątkowe terytorium trzeba uznać polsko-czeskie pogranicze, w większości (poza regionem Ostrawy) cechujące się peryferyjnością.

„Praga się nami nie interesuje, bo dla nich jesteśmy gdzieś daleko, pod górami" – usłyszałem kiedyś od mieszkańca okolic Jesionika (*Jeseníka*, jak mówią na pograniczu, także po polskiej stronie) w kraju ołomunieckim, a podobne poglądy słychać w tych stronach dość często. Struktura ludności dużego odsetka tego terenu – zarówno po polskiej, jak i po czeskiej stronie – nabrała dzisiejszych kształtów dopiero po II wojnie światowej. Przez okres realnego socjalizmu kontakty dwustronne były zaś mocno utrudnione z uwagi na zamknięte granice, więc wzajemne poznawanie się zaczęło się de facto od czasów transformacji systemowej. Kolejna ważna cezura to grudzień 2007 r., gdy oba państwa przystąpiły do strefy Schengen, co skutkowało likwidacją kontroli granicznych.

O ile po polskiej stronie w wielu miejscach pogranicza nastąpiło odbicie, o tyle na południowych stokach Sudetów proces ten posuwa się z trudem. Ziemie te pozostają niedoinwestowane oraz borykają się z licznymi problemami strukturalnymi. Rejestruje się tu (podobnie jak na mnóstwie innych obszarów, z których po wojnie wysiedlono Niemców) wyższe średnie zadłużenie mieszkańców i liczbę postępowań egzekucyjnych z tym związanych, wyższy odsetek pobierających świadczenia socjalne i dla bezrobotnych, a także niższą frekwencję wyborczą. Zapaść (ale i nadzieje na zmianę) symbolizuje zespół skoczni narciarskich w Harrachovie w kraju libereckim. Zawody nie odbywają się tam od 2014 r. i zeskoki zdążyły już zarosnąć drzewami. W ostatnich latach podjęto decyzję o renowacji obiektu, a – co ciekawe – jeden z odnośnych projektów przygotowała firma architektoniczna z Polski.

Rozwojowi czeskiego odcinka pogranicza nie sprzyjają brak dużych ośrodków miejskich (poza Ostrawą) oraz niewielkie (w porównaniu z RP) kompetencje samorządów. W rezultacie oporniej idą tu inwestycje infrastrukturalne. Ponadto trudności napotyka współpraca pomiędzy polskimi a czeskimi jednostkami terytorialnymi, na co nakładają się jeszcze kłopoty związane z różnicami w ich wielkości: sąsiadujące z krajami libereckim, hradeckim i pardubickim województwo dolnośląskie ma prawie dwa razy więcej ludności niż one trzy razem wzięte. Duże dysproporcje cechują też gminy: w wyraźnie mniejszych Czechach jest ich ponad 6 tys., podczas gdy w Polsce – niespełna 2,5 tys.

Mówiąc o spotkaniach na miejscu, nie można nie wspomnieć o kwestiach językowych. Wbrew przekonaniu dużej części naszych rodaków dogadanie się z Czechami przy użyciu jedynie polskiego jest zwykle skazane na niepowodzenie, przy czym nie chodzi wyłącznie o słowa o zgoła innym znaczeniu, jak *frajer* (tam określenie to w familiarny sposób kogoś chwali, a nie wyśmiewa). Wyjątek stanowią tereny przygraniczne, gdzie językiem sąsiada – najczęściej tylko pasywnie, ale jednak – posługuje się sporo osób. Z jednej strony pamiętam rozmowę w Pradze z polskim przedsiębiorcą, który pomstował na Czechów, według niego tylko udających, że nie potrafią się z nim dogadać, gdy mówił wyłącznie

po polsku. Z drugiej mam przed oczami sytuację z poczty w przygranicznych Głuchołazach, gdzie Czesi wyjaśniali ekspedientce w kasie sprawę po czesku i przytomnie reagowali na jej odpowiedzi po polsku.

Znajomość angielskiego nie jest powszechna poza kręgami intelektualno-urzędniczymi, a nawet w ich przypadku – szczególnie w odniesieniu do osób starszych – istnieją tereny (np. na pograniczu z Niemcami i Austrią), gdzie pierwszym językiem obcym bywa niemiecki. Ogółem co najmniej jednym językiem obcym włada 78% Czechów. Najpopularniejszy z nich to angielski, niemniej różnice pokoleniowe w tym względzie są gigantyczne: język Szekspira zna tylko co piąty 60-latek i prawie każdy świeżo upieczony student. Drugim – niemieckim – posługuje się mniej więcej co trzeci Czech, a kolejnym – rosyjskim – co piąty. W środowisku utrzymującym kontakty z Polską naszą mową włada sporo ludzi, a rozmowy siłą rzeczy przybierają postać konwersacji, w których przeskakuje się z jednej na drugą. Oczywiście najowocniejsze okażą się spotkania odbywające się w warunkach znajomości miejscowego języka.

Warto zaznaczyć, że czeski cechuje się sporymi różnicami form oficjalnych (czy pisanych) oraz mówionych, niezależnie od występowania dialektów miejscowych. Co do tych ostatnich zauważmy zaś, że mieszkańców Ostrawy i okolic prażanie żartobliwie oskarżają o posługiwanie się de facto polszczyzną. Potwierdzają to liczne słowa współbrzmiące bardziej z nią niż uczonym w szkołach czeskim, jak *fajny* (w standardowym czeskim – *dobrý*), *bo* (*protože*), *meškat* (*bydlet*, czyli mieszkać) i *robit* (*dělat*, *pracovat*). Z kolei poza południowymi Morawami przedmiotem dokuczliwości bywają wyrażenia charakterystyczne dla tego regionu, jak *šalina* (w Pradze *tramvaj*, w odróżnieniu od polszczyzny rodzaju żeńskiego, tu najpewniej od „Elektrische Linie"). Wiele innych elementów tamtejszej gwary też pochodzi z niemieckiego, np. *augle* (od *Augen* – oczy; standardowo *oči*) czy *štatl* (od *Stadt* – centrum miasta; standardowo *centru města*). Z kolei ludność Brna niekiedy nazywa Pragę (w standardowym czeskim *Praha*) *Prágl*, a dla ostrawianina tramwaj to *tramvajka* lub *lokalka*.

Krok 4: unikanie pułapek poznawczych

Analityk do spraw Czech, który przeszedł etap spotkań z miejscowymi oraz poznawania kraju od środka, szybko dostrzega – zwłaszcza przebywając na stałe w ojczyźnie – ryzyko wpadnięcia w pułapkę percepcyjną. Polega ona na tym, że może on bądź uparcie przykładać swoje „polskie okulary" do opisu nadwełtawskiej rzeczywistości, bądź bezkrytycznie przejmować poglądy czeskich rozmówców i konkluzje wypływające z tamtejszej debaty. Jednym z największych komplementów były dla mnie słowa miejscowych dziennikarzy, że udawało mi się wychwycić zjawiska umykające rodzimym obserwatorom.

Dotyczyło to przykładowo oceny półmetku centroprawicowego gabinetu Petra Fiali czy oligarchizacji. Zarazem śledzenie dyskursu w Czechach pozwalało zwracać uwagę naszej opinii publicznej i władz na praktyki czy rozwiązania u nas niezauważane, a nas też dotyczące, jak prewencja i ograniczanie skutków występujących naprzemiennie suszy i powodzi.

Poniżej opisano kilka sfer lub zjawisk obcych dla polskiego odbiorcy, przy czym abstrahujemy tu od pułapek, które wskazano już w toku niniejszego eseju, jak ryzyko „pragocentryzmu" obserwacji. Dla przykładu zaskoczenie przy bliższym poznaniu budzi często skala oligarchizacji Czech. W pewnym stopniu pokazują ją dane publikowane okresowo przez tygodnik „The Economist" w ramach zestawiającego państwa świata indeksu „kapitalizmu kolesi" (*crony capitalism*). W jego edycji z 2023 r. Republika Czeska ustępowała pod tym kątem jedynie Federacji Rosyjskiej. Majątki miejscowych magnatów biją na głowę zasoby ich odpowiedników znad Wisły. Dość rzec, że najbogatsza w kraju rodzina – Kellnerów – dysponuje aktywami stanowiącymi sumę majątków Polaków z miejsc od pierwszego do trzeciego na liście „Forbesa". Przy tym za życia tragicznie zmarłego w 2021 r. założyciela imperium biznesowego Kellnerów – Petra – bywało, że trzeba by w tym rachunku dojść aż do pozycji siódmej.

Wprawdzie w dyskusji o czeskich krezusach najwięcej uwagi poświęca się Babišowi, lecz trzeba zaznaczyć, że wypadł on z pierwszej piątki najzamożniejszych obywateli (aktualnie plasuje się na miejscu siódmym). Mimo wszystko pozostaje on najwymowniejszym uosobieniem słowa „oligarcha" – ma wielki, silnie zależny od państwowych regulacji i dotacji holding (Agrofert), od ponad dekady zajmuje najwyższe stanowiska w krajowej polityce (kolejno ministra finansów, premiera i szefa największej partii opozycyjnej), a swą aktywność wspierał własnymi mediami.

Do powstania tej grupy magnatów walnie przyczynił się inny niż w Polsce model prywatyzacji – znaczny odsetek państwowych spółek poddano tzw. *kuponovce* (podobne schematy występowały np. w Rosji). Faworyzowała ona „zorientowanych" lub/i majętnych – ludzie ci masowo skupowali kupony własnościowe od pracowników albo wchodzili w swoiste sojusze z osobami predysponowanymi do prowadzenia działalności gospodarczej. Być może wpływ oligarchii, a być może dziedzictwo ojca czeskiej prywatyzacji Václava Klausa (a niewykluczone, że obydwa te czynniki) zapewniły liberalnym ideom ekonomicznym silną pozycję w krajowej debacie. To dlatego rządząca obecnie centroprawica nie chciała uruchomić szeroko zakrojonych programów kompensacyjnych – mimo wielomiesięcznego obniżania się siły nabywczej wynagrodzeń i ogólnego kryzysu poziomu życia, pociągającego za sobą spadek notowań władz. Uwaga opinii publicznej skupiła się na cięciu i tak niskich w skali unijnej wskaźników zadłużenia (długu publicznego i deficytu budżetowego).

Do popularnych nad Wisłą mitów o Czechach należy ten o ich rzekomej niechęci do występowania przeciwko wrogim siłom i o skłonności do kolaboracji. Jeden z tamtejszych historyków w niedawnej dyskusji na temat relacji z Polską w Telewizji Czeskiej z uśmiechem przywoływał zasłyszany u nas dowcip o czeskim czołgu, który ma cztery biegi wsteczne i tylko jeden do przodu (na wypadek gdyby trzeba było uciekać właśnie w ten sposób). To przekonanie ma korzenie w decyzji prezydenta Czechosłowacji Edvarda Beneša o zaakceptowaniu dyktatu monachijskiego jesienią 1938 r. Musimy jednak zaznaczyć, że duża część generalicji i społeczeństwa była wówczas gotowa na starcie z III Rzeszą.

Ponadto Czesi kultywują tradycje oporu wobec ZSRR, który wraz z wojskami większości pozostałych państw Układu Warszawskiego (w tym PRL) stłumił wprowadzane w 1968 r. reformy Praskiej Wiosny. Następujący po tej interwencji czas tzw. normalizacji – z uwagi na represyjność władzy – porównuje się niekiedy do czasów stalinowskich. Wespół odcisnęło to piętno na społeczeństwie, w którym powszechnie panuje dziś nie tylko awersja do imperialnej polityki Rosji, lecz także zdecydowanie, by aktywnie przeciwdziałać polityce Kremla, oraz silne współczucie Ukrainie jako ofierze. Aktualnie na dziewięć państw regionu tylko w Polsce odsetek społeczeństwa gotów bronić ojczyzny przed ewentualnym najeźdźcą jest wyższy (84% wobec 81%; na drugim biegunie znajduje się Słowacja – 49%) – o czym informuje wspomniane już badanie GLOBSEC. Warto też zaznaczyć, że nad Wełtawą pielęgnuje się pamięć o husytyzmie, a jedno z odniesień do wydarzeń z XV wieku stanowi pochwała walki (nie zawsze zbrojnej) za „słuszną sprawę", nawet przeciwko znacznie silniejszemu przeciwnikowi. Takie pochodzenie mają słowa „Prawda zwycięża" na sztandarze prezydenta Republiki Czeskiej, zaczerpnięte z listu Jana Husa z 1413 r.

Polacy wykreowali niekoniecznie bliskie prawdzie wyobrażenia o południowych sąsiadach, ale ci również nie są wolni od stereotypów na nasz temat. Dotyczą one m.in. rzekomego awanturnictwa – łatwo aktywowane silne emocje przesłaniają nam ponoć chłodną kalkulację. Może to właśnie tu należy szukać nawet nie do końca uświadomionych korzeni sceptycyzmu Pragi wobec odważniejszych inicjatyw Warszawy, zwłaszcza postrzeganych jako wymierzone w Berlin. Zarazem w całkiem powszechnym odczuciu Polska leży cywilizacyjnie na wschód od Czech, a nie – jak sugerowałaby geografia – na północ (można to porównać z często spotykanym nad Wisłą poczuciem swoistej wyższości kulturowej względem wschodnich sąsiadów). Za tym myśleniem długo szła niechęć do wizyt w naszym kraju. Zmianę przyniosły dopiero organizacja Mistrzostw Europy w Piłce Nożnej 2012, następnie łagodniejsze obostrzenia pandemiczne niż w innych państwach regionu i – w końcu – pozytywne recenzje znajomych z pobytów, często nad Bałtykiem. Niskie oczekiwania sprawiały, że gości łatwo było pozytywnie zaskoczyć, lecz owo zaskoczenie musiało mieć realne podstawy.

Na szczęście w ostatnim dziesięcioleciu RP coraz bardziej stawała się ilustracją choćby sprawnego rozwoju infrastruktury, a wizerunek kraju „zacofanego" powoli odchodzi w niepamięć.

Na deser nie sposób nie poruszyć wątku religii, która ma duże znaczenie dla obu narodów. Ogólne pojmowanie Polaków jako społeczeństwa w większości katolickiego, a Czechów jako ateistów nie jest błędne, natomiast czyha tu wiele „ale". Warto przykładowo odnotować, że czterech z siedmiu ostatnich premierów Republiki Czeskiej to zadeklarowani rzymscy katolicy (mimo że pewne powszechnie znane fakty z życia części z nich mogą przeczyć przywiązaniu do niektórych wytycznych kościelnych), niektórzy duchowni tego obrzędu pełnią funkcję autorytetów w debacie publicznej (jak ksiądz Tomáš Halík – były doradca Václava Havla), a Kościół pozostaje mocno powiązany z państwem. Dzieje się tak mimo dziedzictwa dekad brutalnych prześladowań za komunizmu (m.in. zlikwidowano wtedy wszystkie zgromadzenia zakonne, z których duży odsetek po upadku tego ustroju przywrócono do życia) oraz antyklerykalnego charakteru I Republiki Czechosłowackiej w okresie międzywojnia. Duchownym – nie tylko katolickim – wypłaca się wynagrodzenia ze skarbu państwa (jakkolwiek do 2030 r. praktyka ta ma zostać zarzucona, a stopniowe obniżki świadczeń powiązane są z restytucją majątku), a wiele uroczystości publicznych silnie splotło się ze sferą kościelną. Nad Wełtawą Wielki Piątek i Wigilia są dniami wolnymi od pracy, a rangę świąt państwowych mają wspomnienia o świętych Cyrylu i Metodym (wiązane zarówno z ich działalnością misyjną, jak i z wkładem w powstanie piśmiennictwa) oraz najważniejszym patronie kraju – świętym Wacławie (formalnie jako Dzień Państwowości Czeskiej).

Konkluzje: dlaczego Czechy i ich znajomość są ważne dla Polski?

W pracy zawodowej wielokrotnie stykałem się z traktowaniem Czech i Czechów z góry, choćby przypisywaniem im na siłę „niemieckości", przezywaniem od „Pepików" czy ogółem uznawaniem za składową regionalnego folkloru redukowaną nierzadko do *hospod* z piwem. Czechy to jednak dużo więcej – silna baza przemysłowa, potencjalny i już rzeczywisty partner Polski w realizacji licznych newralgicznych dla nas kwestii w Brukseli, a także sąsiad, z którym – chcemy czy nie – musimy współpracować przy wielu bieżących sprawach, co dobitnie pokazały na przykład niedawne powodzie. Nad Wisłą wciąż pamięta się słowa francuskiego prezydenta Jacques'a Chiraca z 2003 r. o „straconej okazji, by siedzieć cicho", które stały się symbolem przydarzającej się naszym większym sojusznikom arogancji. Ale czy zawsze potrafimy się wsłuchać w głos tych mniejszych?

Lepiej zaznajomieni z polską polityką zagraniczną czescy eksperci w trakcie prognozowania jej kursu po kolejnych wyborach w naszym kraju często patrzą

na obraz z ich perspektywy niemal beznadziejny. Ich ojczyzna albo spróbuje budować z RP silny region, lecz zarazem skaże się na osłabienie więzi z Berlinem i ewentualnie znajdzie na cenzurowanym w Brukseli, albo wypadnie na margines polityki regionalnej jako państwo niepasujące do Trójkąta Weimarskiego, niezainteresowane bezpośrednio wyzwaniami bałtyckimi i siłą rzeczy niewspółpracujące z innymi krajami basenu tego morza w ramach nordycko-bałtyckiej ósemki. Tym boleśniejsze dla Pragi – choć zrozumiałe w sytuacji tak dużej rozbieżności zdań co do odbierania Rosji (między Polską i Czechami z jednej strony a Węgrami i Słowacją z drugiej) – jest praktyczne zamrożenie politycznego wymiaru kooperacji wyszehradzkiej.

Zarazem Czechy to przecież czołowy odbiorca naszego eksportu – w 2024 r. plasowały się tylko za Niemcami, a jeśli uwzględnić liczbę mieszkańców, to okaże się, że *per capita* kraju przyjmującego sprzedajemy tam nawet więcej niż do RFN. To państwo, w którym polskie spółki zarządzają znacznymi inwestycjami, na czele z Orlenem, kontrolującym największą sieć stacji paliwowych i obie rafinerie ropy naftowej.

Z Pragą niezwykle podobnie patrzymy na zagrożenia – zarówno militarne (w tym konieczność wzmacniania obronności), jak i rozwojowe (związane m.in. z transformacją niskoemisyjną). Wraz z Berlinem stanowimy trio o najwyższym wśród państw członkowskich UE udziale węgla w miksie energetycznym. Wreszcie: Czechy to państwo, z którym dzielimy najdłuższą granicę (796 km), a wraz z nią – bagaż problemów do rozwiązania. Wiele z nich udało się w ostatnich latach uregulować, co ułatwi budowanie wspólnoty interesów także w przyszłości. Tym bardziej że w strategicznych kwestiach międzynarodowych rząd w Pradze ma wsparcie dużej części społeczeństwa, co ogranicza ryzyko radykalnych zmian w razie powyborczej wymiany obozu władzy.

Słowacka kultura strategiczna i jej podłoże historyczne. Kilka uwag o rusofilstwie

Mateusz Gniazdowski

Analiza polityki zagranicznej Słowacji bywa sporym wyzwaniem. W przypadku tego państwa na ostatnie trzy dekady składają się procesy, które nie miały charakteru linearnego. Od czasu powstania współczesnej państwowości słowackiej obserwowaliśmy istotne turbulencje w integracji Bratysławy ze strukturami Zachodu, a także jej zwroty i zawahania co do kierunków polityki zagranicznej i bezpieczeństwa. Dla zewnętrznych analityków uchwycenie natury tamtejszych procesów decyzyjnych, nie mówiąc już o prognozowaniu, nie było łatwe. Obecnie najwięcej emocji budzi zagadnienie słowackiego rusofilstwa i jego roli. Bez prób zrozumienia tego fenomenu ekspertowi trudno pojąć specyfikę miejscowej polityki krajowej i zagranicznej.

Na analityka zajmującego się Słowacją czyha wiele pułapek, które czasem ubrane są w szaty łatwych wyjaśnień i atrakcyjnych narracji, ale same stanowią produkt uboczny tamtejszej polityki. Jak w przypadku każdego państwa badacz nie powinien polegać na informacjach ze stołecznej „bańki", a to ze względu na szersze zjawisko skrzywienia perspektywy, będące następstwem dominacji źródeł bliskich właśnie stołecznemu establishmentowi. Zjawisko to generuje wyzwania w odniesieniu do wielu państw. Konieczność uwzględnienia go jest oczywista w przypadku federacji lub krajów o tradycji wpływów kilku głównych ośrodków czy regionów. Na Słowacji „bańka" bratysławska nie ma konkurencji – politykę w tym mieście uprawiają działacze pochodzący z całego kraju – ale różnice między stołecznymi elitami a prowincją są większe niż gdzie indziej. Widać to w wynikach kolejnych wyborów, a w ostatnich latach rozdźwięk ten jeszcze się pogłębił.

Kultura jako klucz

Badając słowacką politykę zagraniczną, nie można poprzestać na tradycyjnych źródłach pierwotnych: dokumentach z tej dziedziny oraz wypowiedziach polityków i dyplomatów. Również miejscowe analizy i prace z obszarów politologii i stosunków międzynarodowych nie wystarczają, by przeniknąć procesy decyzyjne, w tym rozwikłać tajemnicę popularności narracji prorosyjskich. Poza perspektywą politologiczną, obejmującą analizę systemu politycznego, partii i ośrodków władzy, niezwykle przydają się znajomość słowackiej historii, opracowań z zakresu socjologii i antropologii oraz bezpośrednie rozmowy i wyjrzenie poza media głównego nurtu.

Bez rozpoznania tła kulturowego słowackiej polityki łatwo popaść w polonocentryzm i próbować porządkować środkowoeuropejski patchwork z użyciem „polskich okularów" w nadziei, że będą one tu pasowały z uwagi na podobieństwo losów, a zwłaszcza ostatnich dekad wspólnej integracji ze strukturami Zachodu. Wywołuje to u części obserwatorów znad Wisły mylne przekonanie, że typowe ornamenty życia politycznego w Bratysławie stanowią rzeczywiste odzwierciedlenie stanu kraju i nastrojów jego mieszkańców. Uzyskanie pogłębionej wiedzy o Słowacji bez bliższej znajomości mowy, umożliwiającej poznanie państwa „od środka", jest bardzo trudne. Problem „nieprzewidywalności" tamtejszego życia politycznego trapił już licznych badaczy i wiele ośrodków analitycznych. Niejednokrotnie można się też spotkać z opiniami o bezradności dyplomatów, szczególnie zachodnich, skazanych na skąpe źródła anglojęzyczne i ograniczony krąg stołecznych rozmówców.

Badanie słowackiej polityki pokazuje, że istotną rolę w analizie – również obszaru bezpieczeństwa i obronności – może odgrywać perspektywa kulturowa. Podejście do tamtejszej kultury strategicznej jako fenomenu społeczno-kulturowego implikuje konieczność uwzględnienia szeregu czynników – geograficznych, regionalnych i antropologicznych. Kontekst kulturowy to jeden z kluczy do rozwiązania zagadek miejscowej polityki – bez poznania specyfiki społeczno-kulturowej i gospodarczej tradycyjne instrumentarium politologa okaże się zawodne. Lepsze efekty dadzą dyskusje i intuicja analityczna, podpowiadająca jednocześnie, że w konceptualizacji zagadnień w sukurs mogą przyjść badania kultury strategicznej, które wskażą konieczność uwzględnienia choćby historycznego podłoża dzisiejszych okoliczności. Nawet jeśli przyjmiemy, że wciąż możemy mówić jedynie o kształtowaniu się zrębów współczesnej słowackiej kultury strategicznej, to rozumienie jej jako procesu (*in statu nascendi*) pomoże uchwycić głębszą warstwę zjawisk za naszą południową granicą.

To właśnie w sferze kulturowych uwarunkowań polityki powinniśmy szukać korzeni i wytłumaczenia fenomenu słowackiego rusofilstwa (naturalnie nie spuszczając przy tym z oka kwestii biznesowych, o których wspomnę

dalej). Zajmowali się nim już historycy, politolodzy i filolodzy, ale nadal więcej tu hipotez i myślenia życzeniowego niż kompleksowych objaśnień. Miejscowe opracowania na ten temat to często w większej mierze prace zaangażowane w kreowanie polityki niż zimnokrwiste analizy. Ten sam problem dotyczy dyskusji publicystycznych, ale i części badań opinii publicznej, których metodologia pozostawia wiele do życzenia. Niezależnie od tego potwierdzają one niezbicie, że od lat na Słowacji występuje większe wsparcie dla Rosji niż w innych państwach regionu.

W kontekście wojny na Ukrainie sondaże są jednak wymowne. W marcu 2022 r. 34% Słowaków wyrażało przekonanie, że rosyjski atak stanowił odpowiedź na „agresywne prowokacje Zachodu". Potem grono obywateli pozytywnie postrzegających Rosję zmniejszyło się, lecz wciąż blisko 30% respondentów ocenia ją pozytywnie lub bardzo pozytywnie. W połowie 2024 r. badania pokazały wręcz, że podobny odsetek nie miał nic przeciwko temu, żeby ich ojczyzna znalazła się w rosyjskiej strefie wpływów. Największe poparcie takie tezy znajdowały w elektoracie Smeru – Socjalnej Demokracji premiera Roberta Ficy (niemal połowa) oraz współrządzącej Słowackiej Partii Narodowej (SNS; prawie 70%). Zarazem w kraju rosła nostalgia za autorytarną formą rządów.

Zwrot w stare koleiny

Dyskusje o słowackiej polityce zagranicznej skupiły się w ostatnim czasie na „prorosyjskim zwrocie" państwa pod rządami Ficy i jego stosunku do wojny na Ukrainie. Symbolizowały je choćby udział premiera w obchodach rocznicy zwycięstwa nad hitlerowskimi Niemcami 9 maja 2025 r. w Moskwie, serie prorosyjskich wypowiedzi członków władz czy uporczywe blokowanie kolejnego pakietu sankcji wymierzonego w agresora. Nie jest to jednak nowy wektor w krajowej polityce, ale raczej powrót szefa gabinetu do starego rezerwuaru resentymentów i nastrojów, które – choć w ostatnich latach zepchnięte na dalszy plan – nie zniknęły z życia społecznego.

W debatach o owym „zwrocie" widzimy tony alarmistyczne, wskazujące na sukces rosyjskiej propagandy, oraz próby doszukiwania się wpływów Moskwy i aktywności czynników zewnętrznych. Aby zgłębić stan rzeczy, nie wystarczą jednak zauważenie powiązań gospodarczych i biznesowych ani proste odniesienia do tęsknoty niektórych wyborców za socjalizmem i przynależnością do sowieckiej strefy wpływów. Tezy dotyczące rywalizacji premiera o głosy z ugrupowaniami narodowców (w tym z zyskującą w sondażach Republiką) także nie tłumaczą zjawiska podatności części społeczeństwa na prorosyjskie hasła.

Już pierwszy gabinet Ficy (2006–2010) postawę przyjazną procesom zacieśniania integracji w UE skorelował z większym otwarciem na stosunki

z Rosją. Zarzucał poprzednikom, że zaniedbali to państwo, zwłaszcza w dziedzinie gospodarki, i wytykał im zbytnią „uległość" wobec USA. W programie rządu można było przeczytać, że Federacja Rosyjska stanowi „ważny czynnik bezpieczeństwa i prosperity UE" i że władze chcą promować zbliżenie między Moskwą a Brukselą. Smer w swym programie podkreślał zaś, że polityka zagraniczna powinna być zorientowana na zachód tak samo jak na wschód, północ i południe, a koalicyjna SNS szerzyła wizję współpracy państw słowiańskich, ściślejszej kooperacji małych narodów w UE i forsowania samodzielnej europejskiej strategii bezpieczeństwa. W 2007 r. naczelną rolę Stanów Zjednoczonych w polityce międzynarodowej za pożądaną uważało tylko 16% Słowaków (średnia europejska w badaniu Transatlantic Trends wynosiła wówczas 36%). Fico dostrzegał te nastroje – głosił choćby zrozumienie dla rosyjskiej krytyki pod adresem projektu instalacji tarczy antyrakietowej w Czechach i w Polsce (w tym samym czasie MSZ twierdziło, że wzmocni ona również bezpieczeństwo Słowacji). Te prorosyjskie deklaracje doceniała część społeczeństwa, która uznawała je za oznakę niezależności i skutecznej realizacji słowackich interesów, niepozostającą w sprzeczności z kursem Unii.

Rządy centroprawicowe traktowały członkostwo w UE jako definitywne potwierdzenie geopolitycznego zakotwiczenia Słowacji na Zachodzie. Z kolei gabinety Ficy przesuwały państwo od transatlantyzmu w kierunku wyraźnego „kontynentalizmu", co szło w sukurs dużemu odsetkowi obywateli niechętnych NATO i USA, a coraz bardziej otwartych na UE, uważaną za projekt modernizacyjny i aspiracyjny. Krajowa socjaldemokracja selektywnie czerpała z ideologii i języka europejskiej lewicy, eksponując zarazem „swojskość" i autonomistyczną retorykę, której wizytówką stała się życzliwość wobec Moskwy. Z czasem wypalenie się efektów wzrostu gospodarczego w połączeniu z rosnącą frustracją, wstrząsem wywołanym głośnym morderstwem dziennikarza śledczego oraz rosnącym urazem do elit rządzących w trakcie pandemii skłoniły Smer do wyrazistszego formułowania zastrzeżeń dotyczących pogłębiania integracji w UE i mocniejszego akcentowania „słowackiej drogi", w tym na forum NATO. Dobitnym wyróżnikiem tej suwerennościowej postawy stał się przekaz prorosyjski, znajdujący poparcie u części społeczeństwa.

Integracjoniści kontra autonomiści

Aby zrozumieć ten fenomen, warto przyjrzeć się kształtowaniu się kultury strategicznej tego wciąż młodego państwa. Czasem proces ten opisuje się jako spór „integracjonistów" i „autonomistów" (takich terminów użyli niedawno Nick Arndt i Barbora Tallová), lecz w większości analiz i opracowań politologicznych nie jest on należycie uwzględniany. W istocie w różnych odsłonach podział ten

towarzyszy słowackiemu życiu intelektualnemu od czasów odrodzenia narodowego. W obecnym wydaniu ci pierwsi widzą w NATO i UE zabezpieczenie przed autorytaryzmem, gwarancję modernizacji systemu oraz usunięcia mentalnych i społecznych pozostałości komunizmu. Towarzyszy temu afirmacja wartości liberalnych. Ci drudzy podchodzą zaś do Zachodu z nieufnością, odwołują się do „swojskości" i funkcjonujących w miejscowej kulturze tradycji słowianofilskich, w tym wzorców postrzegania Rosji jako alternatywy bądź obrońcy wartości konserwatywnych. Zbiega się to z pewną nostalgią za czasami komunistycznymi, które przyniosły unowocześnienie słowackiej prowincji, rozwój ośrodków przemysłowych, stabilizację i poczucie bezpieczeństwa ekonomicznego utracone przez część obywateli wskutek bolesnej transformacji gospodarczej po 1989 r.

Nie zmienia tego fakt, że z percepcją czasów komunistycznych wiążą się liczne mity. Dotyczą one poziomu życia lub choćby stanu istotnej dla Słowacji branży zbrojeniowej, celowo wygaszonej – jakoby ze względów ideologicznych – przez Pragę czy wprost „przez Havla" (w rzeczywistości sektor ten znalazł się w kryzysie już w latach 80., co było efektem przegranej bloku wschodniego w wyścigu zbrojeń, obejmującym także kwestie technologiczne i możliwości eksportowe). W ostatniej dekadzie ubiegłego wieku w budowaniu państwowości ważną rolę odegrała wręcz obrona zdobyczy socjalizmu przed ich demontażem.

Wiele wskazuje na to, że Fico i jego współpracownicy nawiązują do tendencji autonomistycznych nie tyle ze względów ideologicznych, ile z politycznego wyrachowania. Ich retoryka bardziej odzwierciedla rozczarowanie pewnego odsetka Słowaków liberalnym Zachodem, niż każe myśleć o rzeczywistych powiązaniach z Moskwą. Zarazem jednak podsyca frustrację. Prawdziwe ryzyko leży w tym, co premier robi ze strukturą społeczną: wykorzystując podziały kulturowe, zaostrza polaryzację. Nie ogranicza pola działania ekstremistów, wręcz przeciwnie – legitymizując postawy antysystemowe, przesuwa medianę nastrojów obywateli w kierunku coraz powszechniejszego kwestionowania prozachodniego kursu polityki zagranicznej. Podatność na prorosyjską propagandę w połączeniu z napięciami społecznymi stwarza podatny grunt dla bardziej radykalnych liderów. Taka linia i hasła „antywojenne", które zbliżyły Ficę do Viktora Orbána, częściowo przełamały też izolację Węgier w Sojuszu.

To zresztą w przypadku Słowacji sytuacja nienowa – już w okresie jej integracji z NATO rezultat ewentualnego referendum, postulowanego przez ugrupowania lewicowe i narodowe, rodził wątpliwości. Papierkiem lakmusowym tendencji tego typu były choćby protesty przeciwko interwencji Sojuszu w Jugosławii, sympatie do Serbii i podejście do niepodległości Kosowa. W żadnym państwie UE ta ostatnia sprawa nie wywołała tylu emocji co właśnie na Słowacji. W marcu 2007 r. tamtejszy parlament zdecydowaną większością głosów przyjął uchwałę, w której de facto sprzeciwił się niezawisłości prowincji, a rząd

zadeklarował, że nie uzna jej suwerenności bez osiągnięcia przez Prisztinę kompromisu z Belgradem.

Rola „politycznego slawizmu"

Politolog Juraj Marušiak – jeden z nielicznych badaczy, którzy analizowali zjawisko rusofilstwa w słowackiej polityce po 1989 r. – wpisał je w szerszą koncepcję „politycznego slawizmu" i wskazał jego periodyzację. W pierwszym dziesięcioleciu – w warunkach podziału Czechosłowacji – dominowały wstrzemięźliwość bądź odrzucenie idei solidarności słowiańskiej (co wiązało się również z rozpadem Związku Sowieckiego i Jugosławii), ale zarazem część elit hasła pogłębienia współpracy z Rosją zaczęła pojmować jako opcję alternatywną dla włączenia Słowacji do struktur euroatlantyckich. Idee prorosyjskie nie zostały ujęte w spójną koncepcję, ale rusofilstwo „pierwszej dekady" miało wiele wymiarów: od pomysłu całkowitego odrzucenia NATO i UE (głoszonego przez narodowców i komunistów) po mówienie o specjalnym posłannictwie Bratysławy w ich ramach jako „mostu" między Zachodem i Wschodem.

Za rządów Vladimíra Mečiara, który (z kilkumiesięczną przerwą w 1994 r.) pełnił urząd premiera do 1998 r., taka orientacja znajdowała zrozumienie w kręgach władzy i była widoczna w komunikacji ze społeczeństwem. Sam szef rządu, przemawiając w parlamencie podczas przyjmowania deklaracji niepodległości 17 lipca 1992 r., wspominał o „słowiańskich braciach" i słowackich tradycjach nawoływania do kooperacji w ramach tej wspólnoty. W połowie lat 90. narastające problemy Bratysławy na drodze do UE i NATO rządzący starali się kompensować sloganami o zbliżeniu z Rosją („Jeśli nas nie chcą na Zachodzie, pójdziemy na Wschód"). Echa tamtej retoryki słychać też współcześnie – w wyczekiwaniu końca wojny na Ukrainie i pozycjonowaniu się we wspomnianej roli „mostu" między Wschodem i Zachodem, w izolacjonistycznych twierdzeniach o konieczności utrzymywania państwa z dala od „konfliktów mocarstw", coraz częstszej krytyce NATO i wręcz odkurzeniu haseł neutralności czy pozablokowości wybrzmiewających w czasach Mečiara. Ten wprawdzie złożył wniosek o przyjęcie Słowacji do UE i formalnie zabiegał o członkostwo w Sojuszu, lecz za jego premierostwa rósł dystans pomiędzy deklarowanymi priorytetami a praktyką. Jednocześnie kształtował się hybrydowy system rządów, w którym rodzimi przedsiębiorcy bliscy decydentom budowali słowacką odmianę kapitalizmu pod parasolem politycznym o cechach miękkiego autorytaryzmu. Bratysława wykazywała tendencje samoizolacyjne i nie przejawiała determinacji w dążeniu do struktur zachodnich.

Zmiana nastąpiła w 1998 r., gdy stery przejęła opozycja, zjednoczona wokół idei odsunięcia Mečiara, skonsolidowania systemu demokratycznego

i nadrobienia zaległości na drodze do UE i NATO. Pierwszy, „wielobarwny" rząd Mikuláša Dzurindy, reprezentujący szeroką koalicję – od postkomunistycznej lewicy po konserwatystów – przywrócił Słowacji pozycję jednego z głównych kandydatów do Unii. Na przełomie stuleci dało się już mówić o szerokim konsensusie co do orientacji polityki zagranicznej państwa, dotyczącym jednak przede wszystkim zagadnienia dołączenia do UE. Wartość przystąpienia do Sojuszu nadal podważała część krajowej sceny (narodowcy i komuniści).

Nie był to kres rusofilstwa w tamtejszej polityce. Dla prozachodnich elit, które w 1998 r. pozbawiły władzy Mečiara, dziedzictwo słowianofilstwa oraz wykorzystywanie tych tradycji przez przeciwników integracji z Zachodem generowały ryzyka. Liczni miejscowi politycy, ale także politolodzy i analitycy szukali odtrutki na owo słowianofilskie „ukąszenie" w przeszłości. Obok prób przemilczania bądź wyszydzania tych konserwatywnych koncepcji realizowano bardziej ambitne przedsięwzięcia – poczynając od wydania jeszcze w 1993 r. najbardziej prorosyjskiej pozycji z dorobku słowackiego bohatera narodowego Ľudovíta Štúra *Słowiańszczyzna i świat przyszłości* z krytycznym komentarzem, na promocji rodzimych wzorców demokratycznych i budowaniu nowego krajowego panteonu kończąc. Za najważniejsze ucieleśnienie tych starań należy uznać propagowanie dzieła Milana Hodży – niechętnego Sowietom zwolennika współpracy środkowoeuropejskiej, byłego działacza partii agrarnej i byłego premiera Czechosłowacji, którego szczątki przewieziono w 2002 r. na Cmentarz Narodowy w Martinie – pod patronatem Dzurindy. Ta tradycja intelektualna z czasem jednak przybladła i nie wyrosła na główny punkt odniesienia dla słowackiej myśli politycznej i dyplomacji, a jedynie wpisała się w etos części elity. Równolegle prorosyjskie tendencje w tych sferach bagatelizowano lub wyśmiewano jako lokalną, prowincjonalną aberrację wynikającą z nieznajomości Rosji. To podejście przynosiło jednak – przynajmniej połowicznie – efekt odwrotny do zamierzonego: dla niektórych obywateli było oznaką wyobcowania elit oraz drwin z tradycji i „swojskości", jak również próbą narzucenia obcej narracji.

Podłoże historyczne

W formującej się słowackiej kulturze strategicznej fundament historyczny tylko pozornie nie odgrywa tak istotnej roli jak u narodów o dłuższych tradycjach odrębnej państwowości. Na pierwszy rzut oka przeszłość nie wysuwa się w miejscowych debatach politycznych na czołowe miejsce. W szkołach nauczanie historii przeważnie sprowadza się do jednej godziny w tygodniu, nie powstają nowe muzea, ekspozycje poświęcone najnowszym dziejom państwa należą do wyjątków. Brak szerszej refleksji nad tą sferą nie oznacza jednak, że nie ma ona znaczenia dla polityki. Wyobrażenia o historii budują przekaz rodzinny, kultura

popularna, ale również – co ważne – lekcje języka i literatury słowackiej. Dużą część wykładu na temat miejscowej kultury, zwłaszcza okresu romantyzmu, realizmu i modernizmu, poświęcono twórczości związanej z ideami słowianofilskimi i z wymienionym już Štúrem – przywódcą słowackich romantyków i zarazem kodyfikatorem współczesnego języka narodowego. Po upadku Wiosny Ludów ów wolnościowy rewolucjonista, zawiedziony postawą Wiednia, napisał po niemiecku wspomniany panslawistyczny testament *Słowiańszczyzna i świat przyszłości*. Przeszło dekadę po śmierci autora rosyjscy panslawiści „wskrzesili" tę pracę – wydali ją po rosyjsku i w takiej postaci powróciła ona do słowackiej polityki, wraz z ideami Nikołaja Danilewskiego, przeciwstawiającymi Rosję Europie.

W kanonie rodzimych twórców, o których przez lata uczyli się i nadal uczą Słowacy w szkołach – od ojca idei wzajemności słowiańskiej Jána Kollára, przez Štúra i romantyków, nestora narodowców Svetozára Hurbana Vajanskiego (który twierdził, że „wolałby się utopić w rosyjskim morzu niż w czeskiej kałuży"), aż po lewicującego modernistę Laco Novomeskiego – nie brakuje odniesień słowianofilskich i fascynacji rosyjską kulturą. Choć panslawizm późnego Štúra czy Vajanskiego nie zdominował słowackiego ruchu narodowego, to odgrywał w nim istotną rolę, podobnie jak rosyjskie wsparcie (również finansowe) dla działaczy zmagających się z madziaryzacją. Na to nałożyły się lata funkcjonowania szkół w okresie komunistycznym, kiedy promowano wszystko, co świadczyło o bliskości kulturowej Słowaków i Rosjan. Już w międzywojniu patronami ulic zostawali zaś nestorzy słowackiego ruchu narodowego, ale też Rosjanie i przedstawiciele innych narodów słowiańskich. Sam spacer po centrum Bratysławy ulicami Gorkiego, Štúra, Dostojewskiego i Vajanskiego może uzmysłowić, jak duże są tu różnice w stosunku do Rosji i Rosjan w porównaniu choćby z Warszawą. Kontakty Słowaków z Rosjanami nie są tak obciążone jak te z innymi narodami Europy Środkowej i Wschodniej. Siłą rzeczy świadomość ciemnych kart rosyjskiego imperializmu oraz wiedza o sowieckich zbrodniach i zagrożeniach związanych z tamtejszym rewizjonizmem są tu słabsze.

Niektórzy badacze dopatrują się źródeł dzisiejszego rusofilstwa Słowaków w tych dawnych wzorcach zakorzenionych w ich kulturze. Miejscowy politolog, z którym rozmawiałem właśnie o tradycjach panslawistycznych w krajowej polityce, oznajmił, że w odróżnieniu od Polaków Słowacy „nie mieli wprawdzie rusyfikatorów, ale dobrowolnie by się zrusyfikowali", tyle że Rosjanom aż tak mocno na tym nie zależało… Nawiązał w ten sposób do okresu przed I wojną światową, gdy część ruchu narodowego z utęsknieniem wypatrywała większego zaangażowania Rosji w sprawy środkowoeuropejskie, zafascynowana jej wsparciem dla Słowian na Bałkanach. W obliczu madziaryzacji i braku pomocy ze strony Austrii to Moskwę uznawano za sojusznika kulturowego i najważniejszego potencjalnego obrońcę.

Podejście do poszczególnych postaci z dziejów narodu nie generuje na Słowacji większych sporów, choć czasem sposób wykorzystania tych figur budzi emocje. Przykładowo opozycja wyśmiewała odsłaniany przez Ficę pomnik księcia Świętopełka czy drwiła z hołdów dla apostołów Słowian – świętych Cyryla i Metodego – w wykonaniu byłych działaczy partii komunistycznej. Stosowanie niekiedy przez premiera ornamentów historycznych nie oznacza przy tym, że władze mają wypracowaną koncepcję polityki z tej dziedziny. Dla lewicy i narodowców dylematy opartej na przeszłości legitymizacji nie stanowią przedmiotu pogłębionej analizy. Mamy tu prędzej do czynienia z synkretyzmem znaczeń i symboli oraz schlebianiem intuicyjnym sympatiom żywionym przez szersze kręgi społeczeństwa, zniechęcone do elit, w tym ich symboliki, estetyki i zapatrywań. Częściowo delegitymizacji tej „elitarnej" linii służą też współczesne tarcia z Czechami – zwłaszcza na tle polityki względem Rosji – w których rządzący grają na niegdysiejszej nucie niechęci do czeskiego paternalizmu. Nawiązuje to do sporu z lat 90., w którego toku gabinet Mečiara wytykał środowiskom opozycyjnym nostalgię za Pragą oraz ambiwalentny bądź otwarcie nieprzychylny stosunek do idei niepodległości.

Rząd Ficy raczej ad hoc czerpie z bliskich kołom narodowym i lewicowym tradycji popularnych w kręgach szeroko rozumianej orientacji autonomistycznej – od konserwatywnych katolików po narodowych komunistów. W obozie tym znalazły się dawne środowiska nacjonalistyczne i komunistyczne, co tylko potwierdza konkluzje historyków i politologów wskazujące na niebagatelne znaczenie idei narodowych w Komunistycznej Partii Słowacji. Samo podejście do II wojny światowej łączy w tych grupach – mogłoby się wydawać nieprzystające – nostalgię i zrozumienie dla niektórych działań reżimu satelickiego państwa słowackiego podporządkowanego III Rzeszy z uznaniem roli ZSRR jako „wyzwoliciela" i wkładu Rosjan w zwycięstwo nad Niemcami oraz kultem słowackiego powstania narodowego. Spaja je m.in. afirmacja haseł słowianofilskich.

Rozpowszechniona na Słowacji, wyjątkowa na tle Europy Środkowej nieufność do Zachodu – a przede wszystkim USA i NATO – świadczy o skuteczności niegdysiejszej propagandy, ale i o jej silnym podłożu kulturowym związanym ze schedą po modernizacji okresu komunistycznego. Fenomen nostalgii za tamtymi czasami na pierwszy rzut oka może nieco dziwić. Słowacja uchodzi za kraj z tradycjami agrarnymi i politycznego katolicyzmu, w którym baza społeczna ruchu komunistycznego była słabsza niż na ziemiach czeskich. Jej obywatele czasem przypominają, że ich państwo stanowiło wyjątek na mapie sowieckiej strefy wpływów, gdyż komunizm przyszedł tam z zachodu (to na terenach czeskich wybory wygrali komuniści, a na Słowacji – Partia Demokratyczna).

W tym kontekście jeszcze paradoksalniej brzmią słowa Ficy, który w kontekście rocznicy II wojny światowej akcentował, że dla Słowaków wyzwolenie nadeszło ze wschodu wraz z Armią Czerwoną… Zresztą szczególny stosunek do przemian okresu socjalizmu mają mieszkańcy wschodu kraju. Skok cywilizacyjny regionów w latach powojennych traktują oni jako efekt przynależności do bloku sowieckiego. Nieprzypadkowo to tam pozostało najwięcej widocznych śladów minionego systemu, w tym komunistycznych pomników (m.in. wdzięczności dla czerwonoarmistów). Owa wschodnia część, administracyjnie wydzielona za socjalizmu, pozostaje fenomenem społeczno-kulturowym w polityce państwa, co samo w sobie jest odrębnym tematem wartym rozpatrywania w różnych aspektach badań nad dzisiejszą Słowacją.

Funkcjonowanie w epoce komunizmu w warunkach Czechosłowacji, której politykę obronną ściśle podporządkowano Moskwie, nie obyło się bez wpływu na kształtowanie się kilku pokoleń Słowaków. W duchu lojalności do ZSRR wychowywały się choćby kadry wojskowe i administracyjne. W odróżnieniu od ziem czeskich, gdzie wstrząs okupacji 1968 r. pozostawił trwalsze ślady i głęboki uraz (widoczny też w wyraźnych przejawach solidarności z Ukrainą), Słowacji praska wiosna przyniosła wymierne korzyści w postaci częściowej emancypacji i federalizacji państwa, zaś dla tamtejszych elit czasy „normalizacji" stały się nie tylko okresem modernizacji i uprzemysłowienia, lecz także ścieżką do awansu społecznego i stanowisk – również w Pradze. Nieprzypadkowo w latach 70. i 80. Słowacy zaczęli robić kariery w siłach zbrojnych i – szerzej – w aparacie siłowym. W tym samym czasie w czeskiej części wspólnego państwa represje i trauma wynikająca ze zdławienia wolnościowego zrywu były nieporównanie większe. W tej sytuacji nie dziwi, że elementy pozytywnej percepcji Rosji na Słowacji przetrwały transformację ustrojową zdecydowanie mocniej zakorzenione niż w Czechach.

Zapytałem kiedyś oficera słowackiego lotnictwa o przyczyny sympatii do Moskwy w kręgach wojskowych, gdy wejście do NATO i przestawienie armii na zachodnie standardy otworzyły przed nimi nowe horyzonty. Stwierdził, że znaczenie mają nie tylko lata pracy w dawnych strukturach, lecz także specyficzna więź, która połączyła wojskowych – również młodszych – z uzbrojeniem sowieckiej proweniencji. Ostatecznie samoloty MiG-29 przekazał Ukrainie w 2023 r. gabinet Eduarda Hegera, choć warto zaznaczyć, że to w trakcie rządów Smeru przeprowadzano zakupy zachodniego uzbrojenia, zadecydowano o odejściu od migów i – w 2018 r. – podpisano kontrakt na amerykańskie F-16. Podejście do branży obronnej to jeden z obszarów, gdzie widać rozdźwięk między prorosyjską retoryką a praktycznymi działaniami władz. Biznesowe nastawienie przejawia się też w znacznym zaangażowaniu krajowego sektora zbrojeniowego w komercyjne dostawy broni i amunicji na Ukrainę.

Kwestia węgierska, Orbán i Rosja

Obecność mniejszości węgierskiej na Słowacji stanowi namacalny znak minionej przynależności tego kraju do Korony Świętego Stefana. Pamięć o wspólnym państwie podlega przemianom, ale przez lata u Słowaków dominowały doświadczenia XIX i XX wieku – m.in. trauma madziaryzacji i konfliktu terytorialnego oraz obawy przed rewizjonizmem. Z narodzinami współczesnej państwowości słowackiej wiązały się poważne tarcia – spór o zagospodarowanie Dunaju (Gabčíkovo–Nagymaros) czy zagadnienie praw społeczności węgierskiej na południu kraju. Wydawać by się mogło, że bagaż historyczny i kwestia mniejszości będą trwale utrudniały współpracę polityczną z węgierską prawicą. Tymczasem okazało się, że Orbán stał się w społeczeństwie słowackim przywódcą bardzo popularnym – nie tylko wśród mniejszości węgierskiej – jako symbol „swojskości" i rządów twardej ręki. Decydenci w Bratysławie odczytują te nastroje – nie są też one bez znaczenia przy wyborze linii polityki względem Rosji. To dlatego w rozmowach ze tamtejszymi ekspertami da się czasem usłyszeć hipotezę, że jakąś rolę w prorosyjskich działaniach może odgrywać przekonanie, że rząd nie może sobie pozwolić na gorsze stosunki z Moskwą, niż ma Budapeszt.

Istotne są także same przemiany na południu Słowacji. Tamtejsza ludność węgierska po zmianie ustrojowej należała do najbardziej prozachodnich grup wyborców w kraju. W ostatnich latach rozczarowanie i frustracje radykalnie zmieniły jednak pejzaż polityczny tych regionów, przeważnie niedoinwestowanych i pozbawionych impulsów rozwojowych. Dekompozycji rodzimych ugrupowań słowackich Węgrów (pozostały poza parlamentem) towarzyszy wzrost rangi retoryki i wpływów Budapesztu. Wszystko wskazuje na to, że dla Ficy, szczycącego się świetną współpracą z Orbánem, stanowi to nie tyle sygnał ostrzegawczy, ile wręcz okazję do poszerzenia elektoratu. Paradoks polega na tym, że przed węgierskim rewizjonizmem najgłośniej ostrzegają obecnie kręgi polityków liberalnych, którzy jeszcze przed dekadą w podejrzliwości wobec Węgrów widzeli przejaw nacjonalizmu i hołdowania poczuciu „zagrożeń plemiennych".

Modele buntowniczego przywództwa

Antropolog społeczny Juraj Buzalka dziedzictwo komunizmu w słowackiej polityce łączy ze specyficzną, spóźnioną modernizacją i wytworzeniem typu kultury politycznej, w której przeważają wzorce i symbole „prowincjonalne". Zdaniem badacza tamtejsza industrializacja niosła ze sobą wykształcenie charakterystycznej mentalności „miejskich prowincjuszy". Choć po kolektywizacji, modernizacji i transformacji doszło do zerwania ciągłości między życiem chłopskim a postchłopskim, to w kraju nieprzypadkowo akceptację społeczną łatwiej

zdobywa paradygmat „silnego gospodarza" i mocniej zakorzeniła się nieufność do wyalienowanych z ludu elit. Zaburza to znaną z innych krajów oś podziału miasto–wieś i sprowadza ją do pęknięcia między stołeczną elitą liberalną (przysłowiową „bratysławską kawiarnią") a resztą ludności. Podział ten nie jest prostym rozdwojeniem, ale wspólną przestrzenią, w której kultura o cechach agrarnych nadal żyje w miejskim kontekście i pełni ważną funkcję w agitacji politycznej. Buzalka przyznaje zarazem, że wyjaśnień słowackiej skłonności do polityki „romantycznej", znajdującej upodobanie w teoriach spiskowych i „poczuciu plemiennego zagrożenia", nie należy szukać wyłącznie w spuściźnie postkomunizmu czy w „wiejskiej" ideologii tamtejszego nacjonalizmu. Należą do nich również wzorce silnego, pełnego poświęcenia przywództwa, a wśród nich choćby popularny wizerunek Štúra – lidera słowackich powstańców w okresie Wiosny Ludów, uosabiającego bunt przeciwko elitom i „wielkim tego świata" oraz odrzucenie systemu. Całkiem na serio można dodać, że w obszarze sprawiedliwości społecznej z tymi ideałami współgra mit dobrego zbója Juraja Janosika (jego miejsce w słowackiej kulturze opisała polska slawistka Joanna Goszczyńska).

Do instrumentalizowania tęsknoty za właściwą takiej mentalności ludową wspólnotą, równością wobec prawa i silną władzą politycy wykorzystują retoryczne klucze w postaci skojarzeń i metafor. Do dyspozycji mają slogany odwołujące się do „swojskości" i słowackiej odrębności – bazującej na mieszance nostalgii za czasami komunizmu oraz haseł obrony stylu życia czy izolowania się od wojen i konfliktów. W naturalny sposób znajdują tu swoje miejsce odniesienia do tradycji ruchu narodowego i różnych wcieleń nacjonalizmu. W palecie tych kodów i konotacji, mających charakter synkretyczny, apostołowie Słowian – Cyryl i Metody – oraz średniowieczny książę Świętopełk mogą współistnieć z komunistycznymi przywódcami Czechosłowacji Alexandrem Dubčekiem i Gustávem Husákiem, a prezydent państwa-satelity nazistowskich Niemiec Jozef Tiso – z bohaterami słowackiego powstania narodowego. W rozmaitych odcieniach tej „swojskości" znajdujemy liczniejsze niż w innych krajach pozostałości idei słowianofilskich.

Można się zgodzić z Buzalką, że dyskurs akademicki i ekspercki na Słowacji w niewystarczającej mierze uwzględnia rolę specyficznych wzorców silnego przywództwa w społeczeństwie. Antropolog przypisuje to przywiązaniu do jednowymiarowej dialektyki systemu politycznego – przekształceń od „tradycjonalistycznej" autokracji w kierunku liberalnej demokracji, w której decyduje myślenie krytyczne. W tym wyobrażeniu dominuje przekonanie, że „irracjonalny romantyczny populizm" zostanie pokonany argumentami, a rozum wyprze emocje. Nawiasem mówiąc, zwolennicy tej dialektyki przyczyniają się do pogłębienia podziałów wśród obywateli, czasem z gorliwością właściwą

dawnym marksistom tropiąc poglądy „reakcyjne", do których zaliczają wszystko, co ociera się o pochwałę „swojskości". Badacz podkreśla, że mimo pobożnych życzeń zwolenników krytycznego, liberalnego dyskursu (do których się sam zalicza) powstająca po 1989 r. demokracja liberalna „nie wykazała wystarczającego odwrotu od romantycznego przywództwa – tak jak archetypicznie reprezentuje je popularny obraz Ľudovíta Štúra".

Przerwane arterie i bóle fantomowe

Nastroje prorosyjskie na Słowacji długookresowo współbrzmią z dystansem do Ukrainy. Fico mówi o powszechności korupcji w tym kraju, akcentuje niewiarę w jego zwycięstwo i zarzuca Kijowowi pełnienie funkcji marionetki USA. Słowa te wpisują się w tezy propagandy Kremla, ale znajdują duże zrozumienie w społeczeństwie. Ukraina pozostaje wśród Słowaków państwem mało znanym, natomiast stereotypy związane z tamtejszą korupcją i przestępczością są tu powszechne. Przez dekady mieli oni do czynienia zwłaszcza z dwiema grupami przybyszów z tego kraju – migrantami ekonomicznymi (głównie pracownikami budowlanymi) oraz turystami w drogich samochodach, szastającymi pieniędzmi w tatrzańskich kurortach. Popularny film fabularny *Čiara* (linia) z 2017 r. o przestępczości na granicy słowacko-ukraińskiej był przyjazną koprodukcją, ale wzmocnił przekonanie o tym, że koło Użhorodu przebiega również granica cywilizacyjna, za którą przestają obowiązywać zasady moralne.

Za rządów Mečiara relacje z Kijowem znajdowały się dla Bratysławy całkowicie w cieniu powiązań z Moskwą, a Ukrainę traktowano co najwyżej jako państwo tranzytowe i bramę na rynek rosyjski. Jak ujął to politolog Alexander Duleba, słowackich decydentów tego czasu cechowało stanowisko: „jeśli dojdziemy do porozumienia z Moskwą, to ustalimy wszystko, czego potrzebujemy, w obszarze «na wschód od Karpat»". Późniejszej rewizji stosunków z Rosją towarzyszyły próby strategicznego przewartościowania tych z Ukrainą, ale krajowej centroprawicy nigdy nie udało się ich przenieść na poziom strategiczny, a ekipie Ficy na tym nie zależało.

Symbolem fatalnego splotu zależności słowacko-rosyjsko-ukraińskich stała się najważniejsza z tras eksportu rosyjskiego gazu na zachód, przez Ukrainę i Słowację. Kryzys gazowy na przełomie 2008 i 2009 r. zszokował słowackie elity polityczne. Po „zakręceniu kurka" przez Moskwę prysł dogmat o pewności dostaw oraz zniknęło sporo złudzeń związanych z nadzieją na ułożenie współpracy gospodarczej z Rosją. W tym sensie był to cios także dla tradycyjnego słowackiego słowianofilstwa (jak pisał Peter Weiss na łamach „Polskiego Przeglądu Dyplomatycznego"). Niemniej również postawa władz w Kijowie i ich podejście do rządu Ficy w trakcie tego kryzysu miały dalekosiężne konsekwencje.

Ukraina – nie po raz pierwszy i nie ostatni – pokazała wówczas, że ma problemy z kooperowaniem z mniejszymi sąsiadami. Chodziło nie tylko o bierność jej dyplomacji, lecz także o serię gestów, które uznano za nieprzyjazne i potwierdzające tezę, że Bratysławie będzie trudno rozwijać partnerstwo z Kijowem. Epilog tej epopei obserwowaliśmy pod koniec 2024 r.: gdy słowaccy rządzący zauważyli, że rosyjski surowiec definitywnie nie popłynie już przez Ukrainę do UE, premier pojechał do Moskwy. Koniec wpływów z przesyłu był bolesny, ale dało się go przewidzieć – podobnie jak próbę zrzucenia odpowiedzialności za rozwój wypadków na Ukrainę i Zachód.

Zakończenie tranzytu rosyjskiego gazu (od początku 2025 r.) i widmo końca rosyjskiej ropy w Europie Środkowej (drugą arterią łączącą Słowację z FR – ropociągiem Družba – od kwietnia 2025 r. już nie płynie rosyjski surowiec do rafinerii Orlenu w Czechach) można byłoby świętować jako uwolnienie się od metod oddziaływania Kremla i „tłoczonej rurociągami korupcji", ale na Słowacji mit o korzyściach płynących ze współpracy gospodarczej z Rosją przetrwa. Można się spodziewać, że władze swoje niepowodzenia gospodarcze zrzucą na karb odcięcia od „tanich surowców", bynajmniej nie szukając winnych w Moskwie i jej agresywnej polityce. Warto też zaznaczyć, że mimo rządowej retoryki w ostatnich dekadach kooperacja z FR w tej sferze tylko w niewielkim stopniu była skorelowana ze stanem krajowej gospodarki, a bardziej z interesami niektórych przedsiębiorców bliskich władzom, zaniepokojonych utratą tamtejszego rynku czy wpływów z przesyłu. Niemniej troska o rozwój owej współpracy, często głoszona przez ekipę Ficy, podobała się części mieszkańców. Na Słowacji zadomowił się, sięgający jeszcze czasów sprzed I wojny światowej, mit „wielkiego rosyjskiego rynku" – eldorada dla miejscowych przedsiębiorców. Znacznie istotniejszym elementem podłoża historycznego jest jednak postrzeganie dostaw i tranzytu rosyjskich surowców – zjawisk rozwijanych od lat 60. XX wieku – jako kluczowego czynnika prosperity. Jeśli dodamy do tego dumę z własnej energetyki jądrowej o sowieckim rodowodzie i zestawimy ten obraz z rosnącymi cenami energii oraz niepokojącymi prognozami dotyczącymi skutków dekarbonizacji i unijnego „zielonego ładu", to otrzymamy wdzięczne pole do nostalgii. To pokusa dla polityków, by coraz powszechniejsze antyunijne nastroje kanalizować poprzez przeciwstawienie „ideologicznej" i kosztownej transformacji energetycznej „pragmatycznej" wizji tanich surowców kopalnych ze Wschodu – wizji, której urzeczywistnieniu przeszkadza Zachód.

Zakończenie

Badając uwarunkowania słowackiej polityki, należy więc uwzględniać szerszy kontekst kulturowy, a także symbole i narracje, które mogą przyczyniać się do

tego, że prorosyjskie postawy będą się tam utrzymywały. W sprzyjaniu przez władze Moskwie wyróżnić można więcej elementów emocjonalno-sentymentalnych niż w przypadku rządzących Węgrami, gdzie opcja rosyjska i – szerzej – „otwarcie na Wschód" nabrały cech strategicznych. Wolno nam założyć, że nawet bez jakichkolwiek działań zorientowanych na słowackie elity i opinię publiczną w postępowaniu Bratysławy nadal byłaby widoczna orientacja prorosyjska. Ale nie należy też nie doceniać rosyjskich knowań na Słowacji. Wprawdzie niektóre z nich, ujawnione w ostatnich latach, miały charakter operetkowy, lecz Moskwa ma świadomość rodzimego podłoża słowackiego rusofilstwa i – co za tym idzie – możliwości, aby z niego korzystać i odpowiednio je stymulować.

Środkowoeuropejski „inny”: jak badać Węgry Orbána?

Andrzej Sadecki

Zajmowanie się Węgrami nie powinno z pozoru nastręczać polskiemu analitykowi szczególnych problemów. Nie jest to odległa kraina oddzielona różnicami cywilizacyjnymi, odmiennym doświadczeniem historycznym i inną ścieżką rozwoju gospodarczo-społecznego. Z wyjątkiem tamtejszego języka – jednego z niewielu na kontynencie nienależącego do rodziny indoeuropejskiej – wszystko na pierwszy rzut oka wydaje się podobne. Jeśli spojrzymy na dzieje polityczne tego państwa, to zauważymy, że rozwijają się one (w dużym uproszczeniu) od utworzenia średniowiecznego królestwa i jego późniejszego rozkwitu, przez utratę niezależności pod naporem mocarstw, jej odzyskanie, bolesny bagaż dwóch totalitaryzmów, aż po transformację i kurs na Zachód w ostatniej dekadzie XX wieku. Pod względem gospodarczym lata szybkiego rozwoju przeplatają się z okresami zacofania, co jest typowe dla półperyferyjnych krajów europejskich. Zarówno na Węgrzech, jak i w całym regionie wpływy cywilizacyjne Zachodu i Wschodu przeplatały się, a zmiany granic i migracje stworzyły niepowtarzalną mozaikę kulturową i religijną.

Gdy zresztą odwiedzamy dowolne z państw Europy Środkowej, doświadczamy jednocześnie poczucia bliskości i odmienności. Uderza nas to, jak bardzo znajome są krajobraz i architektura, jak podobna jest mentalność czy poziom rozwoju gospodarczego. W tej swojskiej scenografii nakładają się jednak na siebie warstwy specyficznych doświadczeń, które stanowią o odrębności każdego kraju. Czasem taki stan rzeczy wciąga sąsiednie narody w pułapkę „narcyzmu małych różnic”, objawiającego się absolutyzowaniem – przeważnie

niewielkich – odmienności i wypieraniem cech wspólnych. Przy innych okazjach owe rozbieżności spycha się na dalszy plan – jak w trakcie „boomu" na środkowoeuropejskość na przełomie lat 80. i 90., gdy intelektualiści i dysydenci z regionu odkrywali w nim analogie i wspólnotę losu.

Węgry wyróżniają się jednak wśród państw naszej części kontynentu szczególnie, co wynika z ich przeszłości i niesie konsekwencje dla współczesności. Nawet podczas krótkiego pobytu nad Dunajem można się natknąć na obrazy, których nie zobaczymy w pozostałych krajach. Jeżdżąc po tamtejszej prowincji, niechybnie napotkamy liczne pomniki przedstawiające charakterystyczne kontury Wielkich Węgier sprzed traktatu z Trianon, który mimo upływu ponad stu lat od jego zawarcia wciąż jest niezabliźnioną raną. Innym razem być może natrafimy na „Kurultáj", czyli zgromadzenie kilkudziesięciu ludów Wielkiego Stepu, w tym Kazachów, Czuwaszy, Ujgurów i Tatarów, celebrujących wraz z węgierskimi „kuzynami" wspólne dziedzictwo kulturowe. Do tego nazwy wielu miejscowości zapisywane są także w alfabecie runicznym. Te nieodosobnione przypadki kultywowania swoich (faktycznych lub mitycznych) korzeni wskazują na synkretyzm węgierskiej tożsamości narodowej. Stwarza on specyficzne ramy pojęciowe i punkty odniesień dla miejscowej polityki, których poznanie i zrozumienie jest niezbędne do trafnego jej analizowania.

Odmienna ścieżka w UE

Lecz to nie ze względu na wyjątkową etnogenezę czy oryginalne doświadczenia historyczne Węgry znalazły się w ostatnich latach na czołówkach europejskich gazet i portali. Państwo to zajmuje dziś centralne miejsce w dyskusjach międzynarodowych przede wszystkim z uwagi na swój system polityczny, zbudowany przez Viktora Orbána, a także na obrany kurs zagraniczny, idący radykalnie pod prąd głównego nurtu w UE i NATO. Źródeł takiej polityki można się doszukiwać w głębszych uwarunkowaniach dziejowych, społecznych i kulturowych. Dla badacza zajmującego się Węgrami głównym zadaniem staje się jednak uchwycenie współczesnej specyfiki systemu powstającego tam od półtorej dekady.

Widoczne aktualnie nad Dunajem tendencje autorytarne, oligarchizacja gospodarki, rozciąganie kontroli politycznej nad mediami i ograniczanie swobody działania organizacji pozarządowych nie są czymś wyjątkowym. Co więcej, politolodzy podkreślają, że po kolejnych falach demokratyzacji dziś globalnie mamy do czynienia raczej z procesem odwrotnym. Węgry wyróżnia natomiast fakt, że zjawiska te poszły tam tak daleko. Państwo to należy wszak do Unii, która – przynajmniej według zapisów traktatowych – powinna być wspólnotą demokracji.

Podobnie rzecz się ma z polityką zagraniczną. Taktykę obejmującą balansowanie między wpływowymi krajami, wielowektorowość oraz granie na

mocarstwa autorytarne i rewizjonistyczne możemy obserwować w wielu państwach na świecie. O unikatowości postępowania Budapesztu świadczy jednak to, że ma ono miejsce wewnątrz obozu zachodniego. Mimo że Węgry należą do UE i NATO oraz dołączyły do tych struktur dobrowolnie (notabene w obu przypadkach odnośną decyzję zaaprobowało społeczeństwo w referendum), w niemal każdym obszarze kontestują główne ustalenia przez nie przyjęte, a nieraz prowadzą wręcz politykę korzystną dla nieprzyjaciół Zachodu. Żaden członek tego obozu nie podąża tak osobnym kursem, choć poszczególne elementy owego kursu znajdują tu i ówdzie naśladowców.

Nie istnieje też w UE drugie państwo, w którym władza jest w takim stopniu skoncentrowana w rękach jednego polityka. Po powrocie na stanowisko premiera w konsekwencji wielkiego zwycięstwa w 2010 r. Orbán osiągnął niemal pełną kontrolę nad procesami politycznymi w kraju. Od tego czasu – z krótką przerwą pomiędzy 2015 a 2018 r. – dysponował większością dwóch trzecich głosów w jednoizbowym parlamencie, pozwalającą mu dowolnie zmieniać nawet akty prawne najwyższej rangi (w 2011 r. przyjęto nową konstytucję, którą nowelizowano już 15-krotnie, w zależności od bieżących potrzeb). Wszystkie najwyższe urzędy państwowe obsadzili ludzie lojalni wobec szefa rządu – w latach 2012–2022 funkcje prezydenta i przewodniczącego parlamentu pełnili zresztą jego koledzy z akademika, z którymi w końcu lat 80. zakładał partię Fidesz. Żadna z instytucji trójpodziału władzy nie jest dziś w stanie faktycznie ograniczać jego woli politycznej.

Za bezprecedensowy – zwłaszcza w połączeniu z niemal nieograniczonym zakresem uprawnień – należy także uznać okres sprawowania przez Orbána premierostwa. To najdłużej urzędujący przywódca państwa UE (do zakończenia kadencji w 2026 r. będzie u władzy okrągłe 20 lat, z czego 16 z rzędu). Zostawia więc coraz bardziej w tyle tych, których do niedawna uważano za matuzalemów XXI-wiecznej polityki europejskiej – Angelę Merkel, kanclerz Niemiec, stojącą na czele rządu (choć w różnych konfiguracjach koalicyjnych) przez 16 lat czy sekretarza generalnego NATO Marka Ruttego, przez 14 lat premiera Holandii. Żadne z nich nie dysponowało przy tym władzą tak spersonalizowaną i pozbawioną prawie wszystkich mechanizmów jej równoważenia i ograniczania, jak to ma miejsce w przypadku Orbána.

Orbán i jego system

Pierwsze wyzwanie stające przed badaczem współczesnych Węgier wiąże się zatem z określeniem, czym w istocie jest stworzony przez tamtejszego premiera system polityczny. Czy można go jeszcze uznać za demokrację? A może to już reżim autorytarny? Odpowiedź na te pytania utrudnia fakt, że definicji

demokracji – jak i większości terminów z dziedziny nauk społecznych – jest wiele, a kryteria brane pod uwagę przy opisywaniu ustrojów nieraz bardzo się różnią. W związku z tym, że wybory to kluczowy (choć niejedyny) warunek uznania danego państwa za demokratyczne, ocenę warto zacząć od sprawdzenia, w jaki sposób przeprowadza się je nad Dunajem.

W tym celu analityk może sięgnąć po raporty misji obserwacyjnych. Najbardziej kompleksowe z nich – te przygotowywane przez Organizację Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie – wskazują jednoznacznie na regres standardów wyborczych na Węgrzech. Podmioty te nie odnotowały wprawdzie przypadków fałszerstw, lecz już od lat alarmują, że komitety dalece nie mają równych szans, oraz zwracają uwagę – szczególnie od głosowania w 2018 r. – na masowe wykorzystywanie zasobów państwa przez partię rządzącą, jak również jej dominację medialną, co praktycznie uniemożliwia opozycji dotarcie z przekazem do elektoratu. Wybory są wobec tego wolne (nie dochodzi do ich fałszowania), lecz nie zapewniają warunków realnej konkurencji.

W demokracji typu zachodniego – określanej zwykle mianem liberalnej – wybory nie stanowią, jak wspomniano powyżej, jedynego kryterium oceny standardów demokratycznych. Rozpatruje się też kwestie rządów prawa, trójpodziału władzy, wolności słowa, poszanowania mniejszości itd. Kilka organizacji systematycznie bada te zagadnienia i sporządza rankingi stanu demokracji w państwach świata. Najbardziej znane wydaje amerykański Freedom House, a prawdopodobnie najwyżej cenione i najczęściej cytowane w naukach politycznych – Instytut V-Dem (Varieties of Democracy) z siedzibą w Szwecji.

Jak w tych zestawieniach wypadają Węgry? Freedom House uznaje ten kraj za „częściowo wolny" (*partly free*), co odróżnia go od wszystkich pozostałych członków UE – klasyfikowanych jako „wolni" – ale również Rosji czy Turcji – opisywanych jako „niewolne" (*non-free*). Organizacja uważa miejscowy system polityczny za „reżim tranzycyjny lub hybrydowy", czyli stawia go pomiędzy demokracją a autorytaryzmem. Z kolei w raporcie V-Dem Węgry figurują jako autokracja elektoralna (pozostałe kategorie to demokracja liberalna, demokracja elektoralna i autokracja zamknięta). Także w tej publikacji jako jedyne państwo unijne znalazły się one w grupie autokracji.

Do atutów badań tego typu należy ich porównawczy charakter, pozwalający zobaczyć dany kraj na tle innych, a zarazem uchwycić w czasie określone tendencje (choćby regres standardów demokratycznych). Jednocześnie nie da się pokazać natury jakiegokolwiek systemu wyłącznie poprzez wypunktowanie jego elementów. Nawet jeśli przyjmiemy, że aparat oceny jest rozbudowany, a sama ewaluacja została przeprowadzona rzetelnie przez lokalnych ekspertów, to operacja ta może dla badacza odgrywać co najwyżej rolę pomocniczą. Kolejny minus takich rankingów to nieuwzględnianie w nich specyfiki politycznej

i kulturowej poszczególnych państw, a ten mankament uniemożliwia ogarnięcie pełnego obrazu sytuacji.

Z perspektywy analityka, którego odbiorcami są decydenci i grono szersze niż akademickie, liczy się nie tyle zajęcie stanowiska w sporze terminologicznym, ile syntetyczne opisanie systemu i uchwycenie jego istoty. Po wyjściu poza krąg naukowy pojęcia takie jak „reżim hybrydowy" czy „autokracja elektoralna" niewiele mówią. Dlatego do scharakteryzowania owego systemu lepiej niż sucha definicja posłuży pokazanie jego naczelnych cech, takich jak masowe korzystanie z zasobów państwa przez partię, wysoki stopień kontroli mediów, budowanie lojalnej oligarchii i niemal całkowite skupienie prerogatyw w rękach lidera.

Użyteczne wydaje się przy tym umieszczenie ustroju politycznego na osi, której skrajnymi punktami uczynimy wzorcową demokrację z jednej strony i pełny autorytaryzm z drugiej. Taki zabieg pozwala łatwiej zarejestrować dynamikę i kierunek zmian, szczególnie jeśli nie polegają one na gwałtownym przejęciu instytucji, lecz na przekształceniach następujących stopniowo, na przestrzeni wielu lat. Dzisiaj zresztą odwrót od demokracji rzadko dokonuje się poprzez zamach stanu czy rewolucję – to proces postępujący, przez co często trudniejszy do uchwycenia. Raporty misji obserwacyjnych i organizacji badających stan demokracji stwierdzają wprost, że w przypadku Węgier mamy jednoznacznie do czynienia z takim regresem. Sprawą otwartą pozostaje kształt, jaki ostatecznie przybierze system.

Kluczową składową opinii na temat naddunajskiego ustroju powinno być skonfrontowanie go nie tylko z dobrze funkcjonującymi demokracjami, lecz także z pełnymi autokracjami. Gdy zestawimy go z tymi ostatnimi, łatwo zauważymy zasadnicze różnice. Węgierscy rządzący – w przeciwieństwie do rosyjskich czy białoruskich – nie sięgają po przemoc polityczną. Panuje wolność zgromadzeń, a opozycja nie doświadcza represji (choć w porównaniu z partią władzy ma bardzo ograniczone pole manewru). Na dziennikarzy wywiera się presję ekonomiczną, ale nie zamyka ich w więzieniach, jak to ma miejsce choćby w Turcji. Organizacje pozarządowe krytykujące aparat są stygmatyzowane przez propagandę i poddawane naciskom biurokratycznym, jednak wciąż wolno im względnie swobodnie działać.

Z tego być może względu rządy Orbána nie straciły zupełnie legitymizacji społecznej i nie wywołały masowego sprzeciwu. Po pierwsze, zmiany wdrażano etapami, zgodnie z taktyką salami – po plasterku. Po drugie, rządzący zwiększali nadzór nad obywatelami „w białych rękawiczkach", bez sięgania po argument siły. Ci zaś, widząc symptomy autokratyzacji, mogli się pocieszać, że na tle „prawdziwych" dyktatur ich sytuacja nie wygląda najgorzej. Doświadczenia Węgier z przeszłości, w tym brutalne prześladowania w okresie stalinowskim, mogły także prowadzić do relatywizowania przez mieszkańców odchodzenia

od standardów demokratycznych oraz „łagodnej" i „stopniowej" koncentracji przywództwa.

Ocenę utrudnia też to, że pozornie wszystkie komponenty państwa prawa zostały zachowane: parlament obraduje i przyjmuje ustawy, Sąd Konstytucyjny je rewiduje, odbywają się terminowe wybory. Fidesz jako partia założona niegdyś przez prawników dba o formalną legalność podejmowanych działań. System ten służy jednak de facto utrwalaniu władzy i kontroli nad wszelkimi procesami przez premiera.

Przyjrzeć się więc należy temu, czy węgierskie instytucje nie są w rzeczywistości fasadowe i wypłukiwane z demokratycznej treści. Niektórzy autorzy powoływali się tu na metaforę „państwa mafijnego", w którym newralgiczną rolę odgrywają nieformalne powiązania, lojalność względem lidera i hierarchia. Nie dochodzi w nim do korumpowania polityków przez aktorów gospodarczych, ale prawie wszystkie zasoby nadzoruje właściwie jedna osoba, która tworzy wokół siebie krąg wiernych oligarchów.

Wreszcie, patrząc na społeczną legitymizację władzy, warto sięgać poza polityczną i medialną „bańkę" Budapesztu. Choć w każdym państwie mieszkańcy większych i mniejszych ośrodków różnią się pod względem postaw politycznych, to nad Dunajem odmienności te wydają się monstrualne. Po Trianon Węgry stały się „państwem z wodogłowiem" – wielkość stolicy nie przystaje do aktualnych rozmiarów ich terytorium. Jeśli analityk odwiedzi tylko Budapeszt, gdzie żyje jedna piąta populacji kraju, odniesie zapewne wrażenie, że Orbán stracił już jakiekolwiek poparcie wśród obywateli. Co innego, jeśli posłucha ludzi z obszaru nazywanego przez Węgrów zbiorczo „prowincją" – to tam należy wypatrywać oznak kryzysu rządów Fideszu.

Jednostka versus uwarunkowania

Następny fundamentalny dylemat, który trzeba rozstrzygnąć, analizując dzisiejsze Węgry, dotyczy ustalenia przyczyn tak innej niż w przypadku pozostałych państw zachodnich trajektorii rozwoju systemu politycznego. Czy to głównie rezultat przywództwa tego lidera oraz wyraz jego wizji i światopoglądu? A może podglebie pod akurat taką ewolucję położyły głębsze strukturalne uwarunkowania historyczne, polityczne i społeczne? I na koniec: czy mamy do czynienia z fenomenem, czy symptomem zmian zachodzących w wielu krajach świata?

Zarówno centralne miejsce Orbána w systemie, jak i zakres władzy skupionej w jego rękach każą przychylić się do stwierdzenia, że kluczową rolę odegrała w tym wypadku jednostka. Bez wątpienia premier to dominująca postać węgierskiej polityki po przemianach 1989 r. Cechują go z jednej strony niezwykle silna determinacja i – często – stosowanie radykalnych metod,

a z drugiej – elastyczność programowa i umiejętność wychwytywania tendencji społecznych (lub ich kreowania). Jest charyzmatycznym mówcą porywającym swój elektorat płomiennymi, wiecowymi wystąpieniami (w debatach z rywalami wypada słabiej, dlatego od dwóch dekad w nich nie uczestniczy). Potrafi twardą ręką trzymać partię oraz na przemian promować i odsuwać na boczny tor polityków ze swojego otoczenia.

Przeobrażanie się tamtejszego ustroju po 2010 r. odzwierciedla osobiste przemiany szefa rządu. Zaczynał jako młody liberał, potem skręcił w kierunku konserwatyzmu, a następnie się zradykalizował, ukazując coraz wyraźniej oblicze nacjonalistyczne czy autorytarne. Bez jego przywództwa Węgry znajdowałyby się teraz prawdopodobnie w zupełnie innym miejscu, a ich system polityczny nie uległby tak głębokiej przemianie. Nie mówilibyśmy też zapewne o „orbanizacji" – co wskazuje na znaczenie tego przywódcy. Dlatego tak istotne dla analityka staje się szczegółowe studiowanie jego biografii i przemówień, pozwalające przynajmniej częściowo zrekonstruować jego światopogląd oraz zidentyfikować narracje, którymi się posługuje.

Wieloletni premier Węgier nie operował jednak w próżni i gdyby nie zbieg licznych okoliczności, nie byłby w stanie zgromadzić tak wielkiej władzy. Badając współczesny system, należy więc zwracać uwagę zarówno na specyficzny moment historyczny, w którym doszło do jego powstania, jak i głębsze cechy strukturalne stanowiące jego fundament. Przede wszystkim lata poprzedzające przejęcie przez Fidesz sterów państwa to okres, w którym nałożyły się na siebie kryzys polityczny i gospodarczy. Ujawnienie niedługo po wyborach z 2006 r. taśm kompromitujących ówczesnego szefa rządu Ferenca Gyurcsányego wywołało masowe protesty i zamieszki w Budapeszcie (rannych zostało około tysiąca osób). Węgierska Partia Socjalistyczna utrzymała się u władzy jeszcze przez całą kadencję, ale skandal bezpowrotnie pozbawił ją legitymacji.

Z kolei w 2008 r. kraj, zmagający się już wcześniej z wysokim zadłużeniem i deficytem budżetowym, najmocniej w regionie ucierpiał w wyniku międzynarodowego kryzysu finansowego. Przed bankructwem uchroniła go tylko pożyczka Międzynarodowego Funduszu Walutowego, a ceną były dotkliwe cięcia socjalne. Równolegle niezadowolenie obywateli, którego korzenie sięgają jeszcze bolesnej transformacji gospodarczej, a potem niespełnionej przez lewicę obietnicy stworzenia państwa dobrobytu, zaczęło coraz mocniej manifestować się poprzez udział w ruchach radykalnych. Skrajna prawica wzięła na sztandary dawne krzywdy narodowe, związane m.in. z traktatem z Trianon. Debatę publiczną zdominowały hasła ksenofobiczne i szukanie kozła ofiarnego kryzysu, czego najtragiczniejszą konsekwencją była seria zabójstw dokonanych przez neonazistów na rodzinach romskich w latach 2008–2009 (rozprawę skazanych za te zbrodnie pokazuje wstrząsający film dokumentalny *Wyrok na Węgrzech*, reż.

Eszter Hajdú, 2013). Pod koniec rządów lewicy aż 91% Węgrów uważało, że ich ojczyzna zmierza w złym kierunku, a 77% wyrażało rozczarowanie funkcjonowaniem tamtejszej demokracji przez ostatnie 20 lat. Poparcie dla demokracji jako takiej spadło zaś z 74% w 1990 r. do 56% w 2009 r.

W tych warunkach Orbán, grający zresztą jako opozycjonista na podgrzanie tych niepokojów, jawił się jako jedyna nadzieja na sanację państwa. W 2010 r. Węgrzy dali mu wyjątkowo silny mandat demokratyczny, mimo że jeszcze w 2002 r. odrzucili jego pierwsze czteroletnie rządy. On sam skorzystał też z błędów ojców transformacji, którzy w odniesieniu do szeregu strategicznych ustaw wprowadzili wymóg ustanawiania zmian większością dwóch trzecich głosów, co miało skłaniać rząd i opozycję do wypracowywania kompromisów. Nie przewidzieli jednak, że taki odsetek mandatów zdobędzie jedna partia, na dodatek wodzowska, dążąca do maksymalnego skupienia władzy.

Nowy premier z jednej strony wykorzystał stan kryzysu do podporządkowania sobie wszystkich organów państwa, a z drugiej umiejętnie odwołał się do zakorzenionych w społeczeństwie lęków i doświadczeń przeszłości. Część obywateli okazała się wyjątkowo podatna na skrojone w ten sposób narracje. Gdy szef rządu wchodził w coraz ostrzejszy spór z instytucjami unijnymi i zachodnimi politykami, wpisywał to w wielowiekowe zmagania jego kraju z zagranicznym hegemonem. Choć Węgry dobrowolnie przystąpiły do UE, to Orbán wymieniał Brukselę jednym tchem z Wiedniem i Moskwą, dawniej gnębiącymi naród węgierski, a konflikty z Unią przedstawiał jako kontynuację walk wyzwoleńczych z 1848 i 1956 r. Równocześnie wytykał Brukseli niesprawiedliwe traktowanie i kreślił analogię z „dyktatem z Trianon" (szczegółowo o politycznej instrumentalizacji tego tematu można przeczytać w tekście OSW zatytułowanym *Długi cień Trianon. Węgierskie zmagania z przeszłością*).

Źródła legitymizacji przewodnictwa Orbána i apatii społecznej wobec jego autorytarnych skłonności można także doszukiwać się we wspomnianym bagażu historycznym. Choć Węgry posiadają tradycje demokracji szlacheckiej, konstytucjonalizmu i praw obywatelskich, to nowoczesne państwo stało się w pełni demokratyczne dopiero po 1989 r. Wcześniej normą były długoletnie rządy przywódców o wręcz przeciwnych sympatiach: międzywojenny regent Miklós Horthy sprawował władzę 24 lata, a János Kádár pełnił funkcję pierwszego sekretarza aż 32 lata. Orbán poprzez deklarację, że zamierza rządzić co najmniej do 2034 r. (a więc łącznie 28 lat), chcąc nie chcąc wpisuje się w poczet długo stojących u steru liderów, którzy mimo kontrowersji przynajmniej przez część tego czasu cieszyli się legitymacją społeczną. Wprawdzie w kraju dochodziło do gwałtownych buntów, jak w przypadku rewolucji z 1848 i 1956 r., a po nich następowała faza brutalnych represji, lecz w końcu mieszkańcy godzili się z realiami.

Analityk powinien jednak uważać, żeby nie wpaść w pułapkę determinizmu. Łatwo bowiem ulec przekonaniu o nieuchronności rządów Orbána i obranego przez niego kierunku. A przecież przez prawie osiem lat przed jego nadejściem władała postkomunistyczna lewica wraz z liberałami, a na jego wielki powrót pozwolił ostatecznie opisany powyżej „multikryzys".

Zachodni politycy, badacze i prasa nieraz popełniali ów grzech determinizmu, a przy tym łączyli go z lekceważeniem czy poczuciem wyższości względem mniejszych, położonych bardziej na wschód „młodszych" demokracji. Ignorowali swoistość momentu i okoliczności dojścia Orbána do władzy, a wyolbrzymiali rolę lokalnych *path dependences*, czyli uwarunkowań strukturalnych w zjawiskach społecznych. Nie doceniano przy tym często wpływu tendencji międzynarodowych, płynących zresztą z samych państw Zachodu – co być może umożliwiało podtrzymywanie komfortowego poczucia, że to nic więcej niż „wschodnioeuropejska" aberracja wpisująca się w klisze na temat regionu. A teraz spójrzmy: hasła antyimigracyjne węgierskiego premiera są zbieżne z narracją francuskiej lub holenderskiej skrajnej prawicy, a jego dyskurs „antywoke" – z przekazami amerykańskiego ruchu MAGA. W sloganach o „pokoju" i postulatach ułożenia się z agresywną Rosją pobrzmiewają zaś echa europejskich ruchów lewicowych z okresu zimnej wojny. Z kolei kampanie Fideszu, w których centrum znajduje się kreowanie figury „wroga narodu", przygotowywali nierzadko spin doktorzy z USA (np. George Birnbaum).

Przejrzeć narrację dyplomatyczną

Żaden aspekt rządów Orbána nie wzbudza takiego zainteresowania jak polityka zagraniczna. Tak jak transformacja ustroju dotyka przede wszystkim samych Węgrów, tak posunięcia premiera na arenie międzynarodowej – zwłaszcza w warunkach destabilizacji bezpieczeństwa europejskiego – niosą konsekwencje dla pozostałych członków UE i NATO, w pierwszej kolejności w Europie Środkowej. To, co przez lata przeważnie ignorowano i uważano za pewną ekscentryczną ścieżkę niewielkiego państwa na obrzeżach UE, co najmniej od 2022 r. stanowi realny problemem podważający i tak kruchą spójność Zachodu w tak fundamentalnych kwestiach jak przeciwdziałanie agresywnym działaniom Rosji czy wspieranie Ukrainy.

Polityka zagraniczna Węgier wymyka się przy tym łatwej klasyfikacji. Wymaga od analityka precyzyjnej odpowiedzi na kilka pytań: Jak Budapeszt godzi członkostwo w NATO z coraz bardziej prorosyjskim kursem? Jak rozumieć radykalnie antybrukselską retorykę przy jednoczesnym dobijaniu targu na szczytach unijnych? Ile w postępowaniu Orbána gry pozorów i oportunizmu, a ile wizji i ideologii? I jak odcedzić fakty od propagandy, by ocenić rzeczywiste efekty jego strategii?

Aby uchwycić to, czym dzisiaj jest polityka zagraniczna Węgier, z punktu widzenia badacza konieczne jest dokładne prześledzenie chronologii poczynań szefa tamtejszego rządu w tej sferze oraz zidentyfikowanie punktów zwrotnych w jego karierze.

Dawniej lider Fideszu opowiadał się za Zachodem, donośnie krytykował Rosję i wskazywał na płynące z jej strony zagrożenia. Jego wielkie zwycięstwo w 2010 r. odbierano – także w Polsce – jako szansę na wzmocnienie w Europie Środkowej nurtu asertywnego względem Moskwy. Ale pierwsze symptomy zmiany podejścia Orbána widać – przynajmniej retrospektywnie – jeszcze przed jego dojściem do władzy, choć wtedy łatwo było je zlekceważyć. Międzynarodowy kryzys finansowy silnie zachwiał przekonaniem przywódcy Fideszu, że impulsy rozwojowe będą zawsze przychodzić z Zachodu – w następnych latach zaczął więc coraz intensywniej szukać szans gdzie indziej.

Zmianę podejścia tego polityka do Rosji da się dokładnie umiejscowić w czasie – przełom przyniosło nieformalne spotkanie z Władimirem Putinem w Petersburgu w listopadzie 2009 r., kilka miesięcy przed zwycięstwem w wyborach. Wkrótce po nich zaczęto realizować politykę „otwarcia na Wschód", początkowo głównie pod niewinnym szyldem dywersyfikacji handlu (za ok. 80% węgierskiego eksportu odpowiadają państwa UE) – zbliżenie polityczne miało przyjść później.

Ugruntowanie współpracy z Rosją przyniósł dopiero rok 2014. W styczniu Węgry dają Rosji zadanie rozbudowy elektrowni jądrowej, zaciągając na to przedsięwzięcie wieloletni kredyt, a zarazem wiążąc się z nią w tej strategicznej dziedzinie na dekady. Obniżka cen energii dla konsumentów, możliwa m.in. dzięki przyznanemu przez Gazprom rabatowi na dostawy gazu, wyrasta na najważniejszy element kampanii Fideszu przed kwietniowymi wyborami, zaś partia staje się w ten sposób politycznym zakładnikiem Moskwy. Jednocześnie pojawia się coraz więcej doniesień o korzyściach, jakie zaplecze biznesowe ugrupowania czerpie z kooperacji z Kremlem.

Również w 2014 r. Orbán wygłasza słynny antyzachodni manifest, w którym podziwia sukcesy gospodarcze państw autorytarnych. Rosja przestaje być na Węgrzech postrzegana jako zagrożenie, mimo że w tym samym roku anektuje Krym i rozpoczyna agresję na Donbas. Od tego czasu premier Węgier krytykuje nakładane na nią przez UE sankcje i kontynuuje tradycję rokrocznych spotkań z Putinem. Kolejne działania już tylko „twórczo" rozwijają obrany wtedy kierunek. Współpraca z Rosją rozciąga się na dalsze obszary (m.in. dochodzi do zakupu tamtejszych szczepionek przeciwko COVID-19 oraz wspólnej produkcji wagonów kolejowych), a rosyjskie służby swobodnie operują nad Dunajem. Węgry zostają ostatnim państwem regionu, które nie wydaliło żadnych podejrzewanych o szpiegostwo dyplomatów.

Równie duże znaczenie dla badania polityki zagranicznej Budapesztu ma analiza paradoksów posunięć szefa rządu na odcinku zachodnim. Z jednej strony toczy się spór w UE, w który lider Fideszu wchodzi wkrótce po zdobyciu władzy w 2010 r. – krytykowane są jego kroki wymierzone w media i podporządkowywanie instytucji. Parlament Europejski przyjmuje następne rezolucje (w tym w 2018 r. o procedurze z art. 7 o zawieszeniu prawa głosu), a Orbán regularnie trafia na jego forum pod grad pytań. Pewne – choć ograniczone – działania podejmuje też Komisja Europejska w ramach procedur naruszenia prawa (*infringement procedure*).

W odpowiedzi Węgry sięgają po ostrą retorykę wymierzoną w Brukselę. Zarazem premier prowadzi względnie pragmatyczną politykę w relacjach z państwami członkowskimi. Na szczytach Rady Europejskiej zachowuje się konstruktywnie – uspokaja zagranicznych partnerów i przekonuje ich, żeby nie słuchali tego, co mówi (publicznie), a jedynie patrzyli na to, co robi. Kultywuje dobre stosunki z Merkel, a Niemcy przymykają oko na postępowanie Budapesztu w imię interesów koncernów przemysłowych (zwłaszcza motoryzacyjnych), przed którymi Orbán rozwija w kraju czerwony dywan. Inwestuje także we współpracę wyszehradzką (pierwsze wizyty po wyborach w 2014 i 2018 r. składa w Polsce).

W późniejszych latach – wraz z radykalizacją przekazu – szef rządu Węgier coraz bardziej przesuwa się jednak na margines polityki europejskiej. W 2021 r., tuż przed głosowaniem nad wykluczeniem Fideszu, ugrupowanie to opuszcza Europejską Partię Ludową, która przez ponad 10 lat roztaczała parasol nad kontrowersyjnymi działaniami jego lidera. Orbán stawia już w zasadzie tylko na siły kontestujące główny nurt polityki, jak francuskie Zjednoczenie Narodowe (państwowy bank węgierski udziela kredytu na kampanię Marine Le Pen), włoska Liga czy Alternatywa dla Niemiec. Choć w ostatnim czasie rosną one w siłę, a głoszone przez nie poglądy oddziałują na mainstream, to ich rola w naczelnych gremiach decyzyjnych – takich jak Rada Europejska – pozostaje niewielka.

Jak więc uchwycić faktyczny wpływ Orbána na arenę międzynarodową? Łatwo tu ulec wizerunkowi człowieka – i państwa – „boksującego powyżej swojej kategorii wagowej". Premier Węgier regularnie spotyka się z wielkimi tego świata (choć zwykle spoza społeczności zachodniej, choćby Putinem czy Xi Jinpingiem), odwołuje się do niego Donald Trump (przykładowo podczas debaty prezydenckiej z Kamalą Harris), a przed szczytami unijnymi wszyscy zastanawiają się, czy Budapeszt nie zablokuje kolejnej kluczowej decyzji. Sam Orbán, który od kilku lat wydaje się znudzony polityką krajową, wiele miejsca w wystąpieniach poświęca zagadnieniom międzynarodowym, dzieląc się publicznie własnymi refleksjami o tym, dokąd zmierza świat.

Jednocześnie jego przełożenie na politykę międzynarodową pozostaje ograniczone. W Brukseli – z uwagi na sięganie po weto w kwestiach wymagających jednomyślności – postrzega się go przede wszystkim jako problem do rozwiązania. W stosunkach z Rosją i Chinami jego rangę podwyższa fakt, że dysponuje głosem w UE i NATO oraz może promować na Zachodzie korzystne dla tych krajów narracje, lecz wciąż przewodzi tylko niewielkiemu, a na dodatek zmarginalizowanemu państwu, które nie zaspokoi kluczowych potrzeb Moskwy i Pekinu w ich relacjach z Zachodem. Dzięki doświadczeniu na arenie europejskiej i inwestowanym przez Budapeszt zasobom może natomiast odgrywać rolę pewnego punktu odniesienia w dyskusjach – choć zwykle skrajnego i odstającego od większości. Na paradoks zakrawa zatem fakt, że jest równocześnie politycznym wyrzutkiem i trendsetterem.

Żeby dostrzec istotę aktywności zagranicznej premiera Węgier, analityk musi wyjść poza retorykę władz, niezwykle umiejętnie konstruowaną i dobieraną pod kątem poszczególnych adresatów. O sile gabinetów Orbána stanowi bowiem ich ciągłość personalna i – co za tym idzie – doświadczenie administracji w komunikowaniu polityki odbiorcom zewnętrznym. Lider Fideszu w komisjach spraw zagranicznych zasiadał jeszcze w latach 90. i jest najdłużej urzędującym szefem rządu w UE. Minister spraw zagranicznych (i handlu) Péter Szijjártó pełni zaś swoją funkcję od ponad 10 lat.

Do tego dochodzi sieć urzędników, sponsorowanych przez państwo organizacji, lojalnych dziennikarzy i influencerów w social mediach, którzy reprodukują przekaz „góry" za granicą. Wymaga to od badacza wytrwałego przebijania się przez narracje propagandowe i destylowania z nich interesów i zamierzeń ekipy premiera. Obecnie rządzący przekazują bowiem bardzo mało informacji, a ich komunikacja w kwestiach zagranicznych ogranicza się w zasadzie do chwytliwych sloganów, kolportowanych za pomocą platform społecznościowych.

Do takich haseł wytrychów partii należy „pragmatyzm". Jak twierdzą jej przedstawiciele, polityka zagraniczna Węgier kieruje się wyłącznie chłodnymi kalkulacjami dotyczącymi interesu narodowego, odartymi z niepotrzebnych naleciałości światopoglądowych. Jej deklarowanym dążeniem jest więc osiąganie celów gospodarczych, przyciąganie nowych inwestycji i pozyskiwanie rynków eksportowych. W tym duchu za zacieśnianiem kooperacji z Rosją czy Chinami stoją tylko argumenty „racjonalne". Minister Szijjártó jak mantrę powtarza, że dostawy energii to kwestia „fizyki, a nie polityki czy ideologii" oraz postuluje „neutralność technologiczną", za którą rzecz jasna chowają się niewygodne dla rządu fakty.

Za takie podejście Węgry płacą coraz znaczniejszym uzależnieniem politycznym od państw nieprzyjaznych wobec Zachodu. Na współpracy z Moskwą i Pekinem korzystają przede wszystkim oligarchowie powiązani z obozem

władzy, pośredniczący w transakcjach lub zatrudnieni jako podwykonawcy. Inwestycje realizuje się nierzadko z pominięciem standardów środowiskowych, a wartość dodana tych projektów dla gospodarki też jest dyskusyjna. Kraj traci miliardy euro zamrożone w ramach procedury warunkowości, gdyż nie potrafi przeprowadzić reform i ograniczyć korupcji – co zagroziłyby istocie rządów Fideszu.

Z polityki zagranicznej w zasadzie wyłączono też względy bezpieczeństwa – władze zakładają, że UE i NATO i tak je Węgrom zapewnią, w związku z czym wolno się tym nie przejmować i „jechać na gapę". Wreszcie: na sferę tę z biegiem lat coraz wyraźniej oddziałują sympatie i uprzedzenia samego Orbána, który właściwie jednoosobowo wyznacza jej kierunek, zaś szef MSZ jedynie wykonuje polecenia przełożonego. Pod płaszczykiem „pragmatyzmu" skrywają się więc interesy obozu rządzącego, światopoglądowe inklinacje lidera czy wynoszenie względów gospodarczych ponad racje bezpieczeństwa narodowego.

Owa „pragmatyczna", rzekomo odarta z wartości i skupiona na twardych interesach polityka zagraniczna odchodzi jednak w cień, gdy ideologia zyskuje użyteczność. Dlatego Budapeszt na potrzeby stosunków z Turcją, państwami Kaukazu i Azji Centralnej odwołuje się do (mitycznych) turańskich korzeni Węgrów, a szef rządu może w Astanie mówić, że czuje się tam bardziej „u siebie" niż w Brukseli. Aby pozyskać sympatię Trumpa, władze starają się zaś pozycjonować w amerykańskich wojnach kulturowych po stronie ruchu MAGA i walczyć z „wokeizmem". W Europie współtworzą natomiast antyimigracyjną oś, opierając się przykładowo na teoriach spiskowych o celowym „wielkim zastąpieniu" (*The Great Replacement*) rdzennych mieszkańców kontynentu przybyszami z innych kultur.

Drugi newralgiczny dla analizowania węgierskiej narracji w polityce zagranicznej termin, szczególnie w ostatnich latach, to „pokój". Od pełnoskalowej inwazji Rosji na Ukrainę Budapeszt – jedyna z unijnych i natowskich stolic Europy Środkowej, która nie wspomogła Kijowa – tłumaczy swoją postawę dążeniem do pokoju i wyrzeczeniem się przemocy w stosunkach międzypaństwowych. Prawie każdy wpis reprezentantów władz w mediach społecznościowych na temat wojny okrasza emotikon gołąbka.

Taka retoryka ma ukryć przed odbiorcami i w kraju, i za granicą prawdziwy stan rzeczy: stanowisko władz w tej kwestii de facto sprzyja Moskwie. Orbán konsekwentnie postuluje wstrzymanie zachodniego wsparcia dla Ukrainy oraz sprzeciwia się unijnym sankcjom na Rosję (choć pod presją niechętnie przystaje na ich kolejne pakiety). Co więcej, pod płaszczykiem „pokoju" promuje korzystny dla Kremla symetryzm, stawiający na równi agresora i jego ofiarę. Przekonuje do tej postawy zarówno europejską i amerykańską opinię publiczną – co ma prowadzić do niwelowania oporu względem kursu Moskwy – jak i kraje

Globalnego Południa, w których dyskredytuje zachodnie podejście do tego konfliktu zbrojnego. Analityk musi zdekonstruować tę narrację i określić rzeczywiste cele skrywające się za węgierską „polityką pokoju".

Wieloletnie rządy jednej partii, sprawność fideszowej machiny propagandowej i słabość ośrodków opozycyjnych sprawiają, że przekaz Budapesztu w sprawach międzynarodowych jest w dużej mierze hegemoniczny. Prowadzi się niewiele debat dotyczących tej sfery, a w tych toczących się uczestniczy w zasadzie wyłącznie wąska elita stołeczna. „Pragmatyczna" polityka zagraniczna i potrzeba popierania „pokoju" na tyle zdominowały przestrzeń publiczną, że mało kto kwestionuje współpracę energetyczną z Rosją, kontrowersyjne inwestycje chińskie albo podejście do wojny na Ukrainie. W ostatnich latach władze rugowały tego rodzaju głosy z mediów, think tanków i uniwersytetów. Nawet osoby krytyczne wobec Orbána nieraz powielają bezrefleksyjnie tezy jego propagandy.

Istnieją oczywiście chlubne wyjątki. Dzięki niezależnym portalom dziennikarstwa śledczego – takim jak doskonały Direkt36 – dowiadujemy się, jakie motywy faktycznie stoją za kooperacją z Moskwą i Pekinem. Rolę mediów publicznych, w których na poważnie dyskutuje się o polityce międzynarodowej, przejęły częściowo kanał Partizán na YouTubie i internetowy tygodnik Válasz Online. Działa także garstka ekspertów, którzy publicznie komentują politykę zagraniczną i bezpieczeństwa rządu Orbána – i czasem ponoszą koszty takiej aktywności (choćby w postaci zwolnienia z państwowej instytucji badawczej czy uczelni publicznej). Ich ekspertyza przychodzi w sukurs analitykowi zajmującemu się Węgrami, jednak w obliczu miałkości lokalnej debaty publicznej musi on wypracować własny aparat krytyczny i punkty odniesienia, które pozwolą umieścić postępowanie rządzących w odpowiednim kontekście – na przykład porównać je z poczynaniami przywódców innych krajów regionu.

Węgry jako wyzwania analityczne

Żaden system nie trwa wiecznie – w najbliższym czasie badacz władzy Orbána będzie musiał zmierzyć się z wyzwaniem zidentyfikowania oznak jej słabnięcia. Z jednej strony należy pamiętać o wbudowanych w system przewagach Fideszu, które sprawiają, że wielu ekspertów podważa w ogóle szanse na demokratyczną zmianę rządów. Z drugiej – w pewnym momencie może się okazać, że wszechmoc władzy premiera i sprawowana przez niego niemal pełna kontrola nad życiem państwa i obywateli zaczną się jednak kruszyć. Warto uważać na nieprzewidziane wydarzenia – „czarne łabędzie" – prowadzące do zmiany dynamiki politycznej i wywołujące efekt domina. Do takowego doszło na przykład na początku 2024 r., gdy skandal wokół ówczesnej prezydent

Katalin Novák spowodował największą od lat falę krytyki pod adresem władz i wyłonił zupełnie nieoczekiwanego lidera opozycji w osobie Pétera Magyara. Po pół roku wyrósł on na głównego rywala Orbána, a jego partia zaczęła wyprzedzać w sondażach przewodzący w nich od prawie dwóch dekad Fidesz.

Jeśli obecny premier przegra wybory, przed analitykiem staną kolejne pytania: czy nastąpi pokojowy transfer władzy? Na ile nowy rząd będzie w stanie swobodnie kształtować politykę po tylu latach hegemonii Fideszu? W jakim stopniu ten ostatni zdoła utrzymać kontrolę nad sytuacją dzięki zgromadzonym zasobom politycznym i materialnym? Czy staniemy się świadkami pełnej reorientacji polityki zagranicznej państwa, które tak głęboko uwikłało się w relacje z Rosją i Chinami?

Przyjdzie w końcu moment, gdy badający współczesne Węgry przestaną być „orbanologami", a wśród ich zadań ponownie znajdzie się – jak to ma miejsce w przypadku ekspertów od innych demokratycznych państw – śledzenie takich „prozaicznych" kwestii, jak powyborcze przekazywanie sterów, rozmowy koalicyjne, spory pomiędzy różnymi organami oraz realne debaty w parlamencie.

Niepozorna kraina pozorów, czyli jak badać Mołdawię

Kamil Całus

Mołdawia należy do najwdzięczniejszych wśród wszystkich państw szeroko pojętej Europy Środkowej i Wschodniej obiektów badań analitycznych. Nie dzieje się tak ze względu na jej bezdyskusyjne walory, takie jak niezwykła gościnność mieszkańców, doskonała kuchnia (i cenione w świecie wina), przyjazny klimat czy atmosfera letnich wieczorów w centrum starego Kiszyniowa. Mowa raczej o specyficznych cechach i strukturze klasy politycznej, organizacji pozarządowych i szerzej – całego społeczeństwa. Sprawiają one, że dogłębne zrozumienie zachodzących tam procesów nie musi być trudniejsze niż poznanie tych, które mają miejsce gdziekolwiek indziej. Sprzyja mu nawet niewielki rozmiar Mołdawii oraz charakterystyczny układ urbanistyczny jej stolicy.

Mały kraj wielkich problemów

Owej analitycznej „wdzięczności", której źródła omówimy nieco później, nie należy jednak mylić z prostotą. Niektórzy badacze – zwłaszcza początkujący – wychodzą z założenia, że Mołdawię da się odkryć i „rozpracować" bez większego trudu. Cóż bowiem może być w niej skomplikowanego? To błąd – rzeczywistość tego niepozornego na pierwszy rzut oka kraju okazuje się bowiem mocno złożona.

Owo młode i niewielkie – bo zamieszkałe ledwie przez 2,4 mln osób i zajmujące powierzchnię mniejszą od Mazowsza – państwo jak w soczewce skupia w sobie wyzwania i zjawiska, z którymi często mierzą się dużo większe i bogatsze

kraje leżące na tzw. obszarze poradzieckim. Mamy tu więc do czynienia z permanentnym kryzysem gospodarczym (do pełnoskalowej inwazji Rosji na Ukrainę Mołdawia zajmowała pierwsze miejsce w niechlubnym zestawieniu najbiedniejszych państw na kontynencie europejskim), separatyzmami, i to zarówno w wydaniu aktywnym (Naddniestrze), jak i potencjalnym (skrajnie prorosyjskie Terytorium Autonomiczne Gagauzji, które do 1994 r. nie uznawało zwierzchności Kiszyniowa), masową emigracją zarobkową (za granicą mieszka ok. 1 mln obywateli, tj. 40% populacji), niezwykle skorumpowanym i upolitycznionym wymiarem sprawiedliwości czy silnym oddziaływaniem lokalnych oligarchów na politykę i gospodarkę. O tym, że w kraju działają różne ugrupowania nie tyle realizujące rosyjskie interesy, ile wprost finansowane przez Kreml, nie musimy wspominać.

Szczególnym problemem dotykającym republikę i w dużym stopniu definiującym jej politykę wewnętrzną, zagraniczną oraz kształt sceny partyjnej jest kwestia tożsamości. Ze względów historycznych spora część (choć raczej mniej niż połowa) członków narodu tytularnego uważa się de facto za Rumunów. Wielu z nich to zwolennicy tzw. Unirei – idei zjednoczenia Mołdawii z zachodnim sąsiadem. Stanowią oni obecnie 35–40% społeczeństwa. Mamy więc do czynienia z państwem, które ponad jedna trzecia mieszkańców uważa za „niekonieczne" i którego likwidację nie tylko oni dopuszczają, lecz niekiedy wręcz do niej wzywają. Ba! W kraju zupełnie legalnie funkcjonują partie polityczne, które z tego postulatu uczyniły fundament swojej narracji ideologicznej.

Kolejne 20–30% Mołdawian – podążając za narracją wpajaną im i ich rodzicom w czasach sowieckich – uważa się za naród odrębny od Rumunów i posługujący się językiem mołdawskim (w praktyce takowy nie istnieje – jest tożsamy z rumuńskim). Znacznie bardziej przyjaźni wobec Rosji niż ich prorumuńscy rodacy, stanowczo sprzeciwiają się pomysłowi utworzenia z sąsiadem jednego państwa. Wtórują im stanowiące ok. 20% populacji rosyjskojęzyczne mniejszości – Gagauzi, Ukraińcy, Bułgarzy, Rosjanie etc., w których opinii utrzymanie niepodległości to jedyny sposób, by zagwarantować prawo do mówienia po rosyjsku oraz zachować dobre relacje z Moskwą. Bo Kreml względem Unirei kategorycznie oponuje.

Pożytki z niewiedzy

Wymienione elementy czynią z Mołdawii twór złożony i wymagający od analityka nie tylko dozy pokory, czyli uniwersalnego przymiotu każdego dobrego badacza, lecz także ogólnej znajomości historii regionu oraz pewnych kompetencji i wrażliwości kulturoznawczej, socjologicznej, a nawet – przynajmniej częściowo – lingwistycznej. Bez tego polskiemu mołdawioznawcy, przywykłemu

do życia wśród ludzi o dość jasno określonej i głęboko zakorzenionej tożsamości narodowej, trudno będzie zrozumieć specyfikę wciąż kształtującego się społeczeństwa, którego spory odsetek przyszedł na świat przed uzyskaniem – pierwszy raz w historii – niepodległości przez ich dzisiejszą ojczyznę.

Na pocieszenie warto jednak podkreślić, że gdy idzie o studia nad Mołdawią, analitycy znad Wisły znajdują się w dość komfortowej pozycji wyjściowej. Kraj ten, mimo że odmienny od Polski, jest nam bowiem na tyle bliski kulturowo (oraz pod względem doświadczeń historycznych), że potrafimy niemal instynktownie zrozumieć znaczną część jego specyfiki, która dla ludzi Europy Zachodniej czy USA będzie na pierwszy rzut oka zupełnie obca. Zarazem jest on nam na tyle odległy, by nie wytwarzać w naszej świadomości żadnych istotnych stereotypów i klisz, które moglibyśmy bezwiednie przekładać i na siłę dopasowywać.

Taką właśnie przeszkodę musi pokonać wielu analityków z Rumunii i Rosji. Ci pierwsi co do zasady uznają Mołdawian za Rumunów, wychodząc z nie zawsze słusznego założenia, że obydwa społeczeństwa są do siebie uderzająco podobne, kierują się identycznymi motywacjami, wykazują zbliżone cechy i wyznają te same wartości, a ich klasy polityczne operują zasadniczo wedle tej samej logiki. Jeśli dzieje się inaczej, to zwykle pada diagnoza, że to skutek reprezentowania interesów Moskwy. Patrzący z perspektywy Federacji Rosyjskiej (FR) mają zaś skłonność do widzenia w Mołdawianach stereotypowego narodu poradzieckiego – zmanipulowanego, niechętnie angażującego się w politykę, kierowanego odgórnie.

W obydwu tych podejściach da się zauważyć pewien paternalizm, który w połączeniu ze wspomnianymi szablonami funkcjonującymi w umysłach niektórych komentatorów i analityków z tych dwóch państw sprawia, że postrzegają oni czasem mołdawskie realia tak, jak chcieliby je widzieć, a nie takimi, jakimi one w istocie są.

Tak na przykład Rumuni tradycyjnie z niechęcią odnoszą się do mołdawskich polityków, dziennikarzy i działaczy posługujących się na co dzień częściej rosyjskim niż rumuńskim, gdyż uważają ich po prostu za przedstawicieli Kremla i realizatorów interesów Rosji. I choć nierzadko ludzie ci faktycznie należą do obozu promoskiewskiego, to nie jest to wcale regułą. Liczni rosyjskojęzyczni Mołdawianie opowiadają się za opcją proeuropejską i udzielają się w inicjatywach na rzecz demokratyzacji lub wprost integracji ich kraju ze strukturami zachodnimi, nawet jeśli krytykują prozachodni obóz rządzący państwem w danym momencie.

Bywa także odwrotnie: dość rzec, że formalnie proeuropejskie, przychylne Bukaresztowi i generalnie rumuńskojęzyczne elity polityczne, które przejęły władzę w Mołdawii w 2009 r., doprowadziły do największego skandalu finansowego w jej historii poprzez współuczestnictwo w kradzieży z tamtejszych

banków miliarda dolarów w 2014 r. Wśród kluczowych odpowiedzialnych za to przestępstwo osób byli wykształcony w Rumunii były premier Vlad Filat oraz wspierany otwarcie przez socjaldemokratów – największe ugrupowanie w tym kraju – oligarcha Vlad Plahotniuc.

Pozory mogą więc mylić. Warto o tym pamiętać, bo nieraz w rozmowach z dziennikarzami, publicystami i ekspertami pochodzącymi przykładowo z Rumunii polski adept studiów mołdawioznawczych może być przekonywany – lub sam siebie przekonywać (choćby podświadomie) – że poglądy jego interlokutora są z definicji trafniejsze, gdyż jako bliski Mołdawianom kulturowo przedstawiciel tej samej grupy językowej rozumie ich lepiej. Cóż, zdecydowanie nie zawsze.

Językowy języczek u wagi

Skoro o kwestiach lingwistycznych mowa, wspomnijmy o kolejnym wyzwaniu, z jakim analityk zajmujący się Mołdawią musi się zmierzyć. Otóż oficjalny język tego kraju – rumuński – nie cieszy się w Polsce szczególną popularnością. Jednocześnie rosyjskiego, leksykalnie dużo bardziej dla nas zrozumiałego i lepiej znanego, używa się nad Dniestrem i Prutem dość powszechnie, mimo że na szczeblu państwowym nie ma żadnego formalnego statusu. Jego rola i znajomość, szczególnie wśród młodzieży i w regionach sąsiadujących z Rumunią, wyraźnie jednak spada. O ile jeszcze kilkanaście lat temu badaczowi do dogłębnego śledzenia debaty publicznej czy porozumiewania się z lokalnymi mieszkańcami język ten w zasadzie wystarczał, o tyle dziś, powiedzmy to otwarcie, sytuacja jest zgoła inna – spory odsetek portali informacyjnych i audycji radiowo-telewizyjnych wychodzi po rumuńsku. Wprawdzie media rosyjskojęzyczne wciąż istnieją, a niektóre z nich – jak chociażby portal Newsmaker.md bądź biuletyny serwisu informacyjnego Infotag.md – utrzymują bardzo wysoki poziom dziennikarstwa, lecz coraz większa część treści, w tym śledztw dziennikarskich, publikowana jest właśnie w języku oficjalnym. Jeśli natomiast materiały te tłumaczy się później na rosyjski, to zwykle proces ten zajmuje od kilku godzin do (częściej) kilku dni. Tymczasem w pracy analitycznej nierzadko chodzi przecież o to, by z daną informacją zapoznać się jak najszybciej.

Zanik rosyjskiego w środkach masowego przekazu najwyraźniej widać w dziedzinie programów na żywo, zwłaszcza wszelkiego rodzaju talk-show, niezwykle popularnych w Mołdawii. Każda, nawet niewielka czy regionalna stacja telewizyjna ma w ramówce przynajmniej kilka takich pozycji, w trakcie których dziennikarze dyskutują z newralgicznymi postaciami życia politycznego, społecznego i gospodarczego. Rozmowy te najczęściej prowadzone są w języku rumuńskim i stanowią doskonałe źródło ważnych faktów, ale też

smaczków, niezwykle przydatnych w zrozumieniu miejscowej rzeczywistości. Pojawiające się po ich emisji krótkie streszczenia zwykle pomijają jednak te smakowite szczegóły.

Co więcej, korzystanie tylko lub głównie z mediów rosyjskojęzycznych może wykrzywić spojrzenie badacza na mołdawskie realia. Mimo że obiektywne albo wprost prozachodnie redakcje posługujące się tą mową istnieją, to wiele innych mniej lub bardziej subtelnie promuje narrację zbliżoną do kremlowskiej. Poddając się dłuższej ekspozycji na ich przekazy, analityk ryzykuje, że przełoży się ona na jego percepcję sytuacji w kraju.

Warto dodać, że choć dobrze wykształceni przedstawiciele świata mediów i trzeciego sektora (a często także polityki) posługują się rosyjskim całkiem sprawnie, to już przykładowo młodzież zamieszkująca relatywnie duże jak na warunki mołdawskie miasta zachodniej części kraju (np. Nisporeni, Leovę czy Ungheni) może nie tylko nie być w stanie porozumieć się w tym języku, lecz nawet go nie rozumieć. Tu niekiedy w sukurs może przyjść nam angielski, który w jakimś stopniu znają też często członkowie wspomnianych wcześniej środowisk, ale wśród młodych i z tym różnie bywa. Akty prawne publikowane na stronach rządowych i oficjalnej witrynie parlamentu wciąż tłumaczone są co prawda na rosyjski, ale wydaje się tylko kwestią czasu, kiedy praktyka ta zostanie zarzucona.

Znajomość rumuńskiego – przynajmniej podstawowa – staje się więc coraz niezbędniejsza do uprawiania pogłębionej analizy mołdawskiej rzeczywistości. Zarazem zaprzestanie dokształcania się w rosyjskim byłoby posunięciem zdecydowanie przedwczesnym. Pozwala on bowiem uzyskać pełny obraz debaty publicznej (szczególnie narracji prorosyjskich), ale też umożliwia komunikację przykładowo w Gagauzji – gdzie wielu ludzi zwyczajnie nie mówi po rumuńsku – i w separatystycznym Naddniestrzu, o którego specyfice badawczej kilka słów powiemy nieco dalej. Posługiwanie się i rumuńskim, i rosyjskim może zatem okazać się swoistym „języczkiem u wagi", czyniącym z naszych tekstów materiały wnikliwsze i trafniejsze niż te powstałe w oparciu o tylko jeden – lub przeważnie jeden – z tych języków.

Planeta Kiszyniów

Przejdźmy do wspomnianej we wstępie geografii, sprzyjającej badaniom nad Mołdawią. Niewielka powierzchnia kraju sprawia, że podróżowanie po nim i dotarcie do poszczególnych jego regionów nie nastręcza szczególnych trudności. W ciągu jednego dnia można z Kiszyniowa dotrzeć gdziekolwiek, wziąć tam udział w kilku spotkaniach i jeszcze z owego „gdziekolwiek" wrócić do stolicy. Dojazd do Komratu, siedziby władz i największego miasta Terytorium Autonomicznego Gagauzji, to kwestia około dwóch godzin. Tyle samo zajmuje

droga do Bielc, drugiego co do wielkości ośrodka w kraju. W Naddniestrzu – nawet wliczając kontrolę „graniczną" – znajdziemy się w około półtorej godziny. Mówimy przy tym o transporcie publicznym, bo auto osobowe pokona te trasy znacznie szybciej.

Wprawdzie wyjazdy do regionów – zwłaszcza właśnie Gagauzji i Naddniestrza – są dla analityka niezmiernie ważne i stanowczo warto je praktykować, to za najistotniejsze dla mołdawioznawcy należy uznać wizyty w Kiszyniowie. W stolicy, a zarazem jedynej metropolii w granicach państwa, zamieszkałej przez ok. 800 tys. ludzi (33% ogółu populacji), skupia się jego życie polityczne i gospodarcze – tu podejmowane są kluczowe decyzje, tu działa zdecydowana większość firm, stąd nadają ogólnokrajowe media. Tu wreszcie zarejestrowano gros miejscowych organizacji pozarządowych, w tym niemal wszystkie think tanki, których w Mołdawii *per capita* jest chyba najwięcej w całym regionie poradzieckim.

W efekcie niemal cała elita intelektualna, polityczna i biznesowa kraju egzystuje w jednym mieście, co bardzo ułatwia dostęp do niej. Sprzyja temu również specyficzna urbanistyka mołdawskiej stolicy. Kiszyniów to ośrodek względnie rozległy, lecz życie polityczne, społeczne, zawodowe i kulturalne tętni w pierwszej kolejności w tzw. historycznym centrum, oplecionym siecią prostopadłych wobec siebie ulic i obejmującym z grubsza obszar 4 km^2. Tam ulokowano większość biur, instytucji publicznych, ministerstw, NGO czy redakcji. Szybki spacer od jednego punktu do drugiego rzadko zajmuje więc więcej niż 15–20 minut.

Nagromadzenie wymienionych powyżej podmiotów w jednym mieście, a nawet w obrębie jednej dzielnicy powoduje, że obieg informacji, idei, ale też plotek bądź oszczerstw jest błyskawiczny. Przedstawiciele lokalnych elit politycznych, gospodarczych i dziennikarskich mają ze sobą permanentny kontakt, nierzadko odwiedzając – choćby w przerwie lunchowej – te same restauracje i kawiarnie, położone przecież na wspomnianych 4 km^2 centrum. Nieraz utrzymują także relacje towarzyskie, a nawet rodzinne (i to bez względu na oficjalne poglądy polityczne czy przynależność partyjną).

Mołdawski *beau monde* składa się zresztą w niemałym stopniu z ludzi, którzy razem studiowali lub kończyli te same szkoły średnie, a co za tym idzie – znają się od wielu lat. Ta dynamika towarzysko-zawodowa w połączeniu z charakterystyczną, wynikającą z kultury skłonnością mieszkańców do socjalizowania się oraz naprawdę dużą swobodą mediów sprawia, że informacje rozprzestrzeniają się niemal natychmiast. Tak naprawdę w Mołdawii trudno utrzymać cokolwiek w tajemnicy przez dłuższy czas.

Świetnie podsumowuje to dowcip, który dane mi było usłyszeć pewnego razu od zaprzyjaźnionego analityka, szefa jednego z kiszyniowskich think tanków. Oto spotykają się dwaj przyjaciele. – Zdradzę ci pewien sekret z mojego

życia. Ale obiecaj, że nikomu go nie powtórzysz – mówi jeden i dodaje: – Jeśli dotrzymasz tajemnicy, zapłacę ci 1000 lei! Rozmówca zgadza się, wysłuchuje sekretu i przyjmuje obiecaną gotówkę. Tydzień później panowie spotykają się ponownie. Tym razem ten, który wcześniej otrzymał pieniądze, natychmiast po przywitaniu się wyciąga z portfela plik banknotów i oznajmia: – Przyjacielu, nie mogę już dłużej trzymać tego, co powiedziałeś, w tajemnicy. Pozwól mi zrzucić z siebie ten ciężar. Zapłacę ci 2000 lei!

Nie wypaść z obiegu

W miejscowych mediach znajdziemy liczne treści oparte na doniesieniach anonimowych informatorów (zwykle wiarygodnych), najczęściej piastujących dość wysokie stanowiska w strukturach administracji. Nikogo nie zaskakuje, że dziennikarz czy analityk chcący uzyskać informacje na temat danego wydarzenia albo procesu politycznego dzwoni wprost do prezydenta, szefa jego gabinetu lub któregoś z ministrów. Ba, część dyskusji, czasem gorących, między reprezentantami establishmentu toczy się publicznie w mediach społecznościowych, z bardzo popularnym Facebookiem na czele.

Lokalni eksperci, dziennikarze i politycy bardzo chętnie rozmawiają i wymieniają się opiniami ze swoimi zagranicznymi kolegami – co wprawdzie zależy od ich grafiku i obciążenia pracą, o czym nieco dalej. Potrzeba przy tym pewnej przezorności, bo w morzu interesujących faktów nietrudno trafić na wieść tyleż ciekawą, co będącą niczym więcej niż niepotwierdzoną plotką, która zostanie nam objawiona jako najczystsza prawda. W większości przypadków sytuacja taka będzie skutkiem nie chęci świadomego wprowadzenia nas w błąd (choć nie da się tego wykluczyć), lecz osobistych przekonań i sympatii danego interlokutora, które warto w związku z tym znać – lub tego, że ową plotkę usłyszał on od zaufanego kolegi, mającego w końcu również własne poglądy i mogącego ulegać znanemu wszystkim efektowi potwierdzenia.

Poza zdrowym sceptycyzmem, którym powinien wykazywać się analityk, jedyna metoda, by nie dać się zwieść fałszywym przekazom, polega na konfrontowaniu zasłyszanych opinii zarówno z własną wiedzą, jak i – co newralgiczne – z różnymi sądami i źródłami. Innymi słowy, nie wolno poprzestawać na jednej czy dwóch dyskusjach – korzystając z istnienia omówionego powyżej „systemu" opartego na swobodnej wymianie danych i przemyśleń, trzeba w nim po prostu aktywnie uczestniczyć: zbierać wszelkie możliwe zdania, zderzać je sobą (czasem wprost przedstawiając je kolejnemu rozmówcy), a w końcu dokonywać ewaluacji otrzymanych informacji.

Na marginesie dodajmy, że owa bliskość geograficzna i towarzyska członków kręgów władzy bądź wywodzenie się ich z tej samej grupy – przykładowo

rówieśniczej – stanowi klucz do zrozumienia dynamiki stosunków pomiędzy niektórymi postaciami mołdawskiej sceny politycznej. Nie chcę podawać konkretnych przykładów i nazwisk, dlatego pozwolę sobie tylko na ogólną konstatację: nie może dziwić, że w tak ciasnym środowisku jeden działacz wciąż pamięta, iż drugi prześladował go w szkole, obraził kogoś z członków jego rodziny, a może wdał się w romans z jego partnerką lub wręcz mu ją odbił, co oczywiście do dziś oddziałuje na ich relację.

Rzecz jasna do podobnych sytuacji dochodzi wszędzie, ale ze względu na niewielki rozmiar Mołdawii i silne powiązania miejscowej elity wydają się one właśnie w tym kraju zdarzać dużo częściej. Gdy więc badacz tamtejszej rzeczywistości próbuje odkryć, dlaczego dwóch konkretnych polityków żywi do siebie takie, a nie inne emocje – mimo że obaj reprezentują choćby to samo ugrupowanie – powinien się zastanowić nad tym, co pozapolitycznego mogło wpłynąć na ich wzajemne stosunki.

Generalnie na dynamikę mołdawskiej polityki wewnętrznej – choć mamy do czynienia z państwem – dobrze niekiedy spojrzeć przez pryzmat wzorców znanych z naszych samorządów, a nie organów centralnych. To bynajmniej nie przytyk ani próba uchybienia tamtejszym rządzącym. Po prostu koncentracja życia publicznego w Kiszyniowie, bliskie powiązania towarzyskie między przedstawicielami establishmentu ponad podziałami partyjnymi oraz zwyczaje, święta, śluby i inne uroczystości sprzyjające intensywnej socjalizacji nadają tejże sferze taki właśnie specyficzny, „małomiasteczkowy" koloryt.

Pozory...

Mówiliśmy już o tym, że w Mołdawii pozory potrafią mylić – wiele spraw nie jest tak jednoznacznie czarno-białych, jak się na pierwszy rzut oka wydaje. Od tej banalnej konstatacji przejdźmy do konkretnych przykładów, które mogą się przydać badaczowi.

Pierwszy będzie dotyczył krajowej sceny politycznej. Tradycyjnie dzielą ją między siebie ugrupowania nazywane prozachodnimi (określa się je mianem „prawicy") oraz prorosyjskie („lewica"). Kika akapitów temu przekonaliśmy się, że prozachodniość nie zawsze – a nawet rzadziej niż częściej – pociąga za sobą faktyczną chęć walki z korupcją, deoligarchizacji państwa czy wdrażania wymaganych przez umowę stowarzyszeniową z UE z 2014 r. reform koniecznych do integracji z nią.

Doskonale świadczy o tym postępowanie nie tylko wspomnianego premiera Filata, w 2019 r. zwolnionego warunkowo z więzienia, gdzie odsiadywał wyrok za współudział w „kradzieży miliarda", lecz także Plahotniuca – drugiego z liderów powstałej w 2009 r. „proeuropejskiej koalicji", który odkąd zbiegł

z kraju w 2019 r., ukrywa się najpewniej w Turcji lub Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Wprawdzie rządząca w chwili ukończenia tego tekstu Partia Działania i Sprawiedliwości (PAS) oraz jej rzeczywista liderka – prezydent Maia Sandu – wydają się wyłamywać z tej przykrej reguły i szczerze dążyć do uzdrowienia państwa, niemniej do każdej mołdawskiej siły deklarującej się jako proeuropejska warto zachować podejście krytyczne.

Wbrew pozorom zasada ta w wydaniu *à rebours* ma również zastosowanie do ugrupowań prorosyjskich. Choć te promują narrację kremlowską i często otrzymują wsparcie polityczne, eksperckie, a nawet finansowe z Moskwy, to uznawanie ich z góry za powolne narzędzie Kremla byłoby uproszczeniem. Rządzący w Kiszyniowie – a szczególnie członkowie „lewicy" – rzadko są ludźmi ideowymi i zwykle dbają nie tyle o dobro Rosji czy „tradycyjnej przyjaźni" między obydwoma narodami, ile o własne korzyści. Współpraca z Moskwą i głoszenie takich, a nie innych poglądów im się po prostu opłaca. Dzięki temu mogą liczyć na pomoc – materialną i niematerialną – oraz głosy całkiem sporej grupy obywateli, którzy opowiadają się za bliskimi relacjami z FR, żywią niechęć do „zachodnich wartości" (w wersji prezentowanej przez rosyjską propagandę) lub obawiają się wchłonięcia ich ojczyzny przez Rumunię. Ponadto opcja prorosyjska jest dla „lewicy" atrakcyjna jeszcze z jednego powodu: nie wymaga wdrażania bardzo niewygodnych dla części elit reform (np. wymiaru sprawiedliwości), na których przeprowadzenie naciska Bruksela, a które uderzyłyby w portfele wielu skorumpowanych ludzi władzy i powiązanych z nimi biznesmenów.

W praktyce oznacza to, że duża część krajowego obozu sympatyzującego z Moskwą to po prostu oportuniści i politycy „obrotowi", którzy nie będą ślepo wykonywali poleceń płynących z Kremla, a na pewno nie zrobią tego wbrew swojemu interesowi materialnemu. Analizując ich postępowanie, należy o tym pamiętać.

O prawdziwości tej reguły świadczą liczne przykłady. Dość rzec, że to rządząca w latach 2001–2009 zasadniczo prorosyjska Partia Komunistów Republiki Mołdawii (PCRM) rozpoczęła pod wodzą prezydenta Władimira Woronina – ostatniego szefa MSW Mołdawskiej SRR – proces zbliżenia z UE. Następny prominentny członek tego ugrupowania, Igor Dodon, swego czasu otwarcie opowiadający o korzyściach z podpisania umowy stowarzyszeniowej z Unią, kilka lat później – gdy tylko stało się to opłacalne – ponownie zmienił zdanie, co tylko potwierdza tezę o „obrotowości" polityków tej orientacji.

Zarazem wieloletni działacz PCRM, a następnie również prorosyjskiej Partii Socjalistów Republiki Mołdawii (PSRM) Ion Ceban niedługo po objęciu w 2019 r. stanowiska burmistrza Kiszyniowa (w czym mieli mu pomóc rosyjscy spin doktorzy) zaczął stopniowo przeobrażać się w przeciwnika zbliżenia z Moskwą, a dziś regularnie wizytuje unijne stolice i kieruje własnym

ugrupowaniem głoszącym konieczność przystąpienia do UE. Choć szczerość tych poglądów pozostawia wiele do życzenia, to jedno wydaje się pewne – w tej chwili zapewniają mu one powodzenie.

Należy przy tym zaakcentować, że opisana zasada dotyczy polityków na co dzień żyjących i prowadzących interesy (w tym finansowe) w Mołdawii, mających tam majątki, rodziny i pozycje w ramach lokalnych powiązań społecznych. Ci, którzy z tych struktur zostali w ten czy inny sposób wyłączeni i musieli zdać się na łaskę i niełaskę Kremla, są gotowi na dużo większe poświęcenie i bezwzględność w działaniu oraz mniej skłonni do zmiany frontów.

Taką postawę egzemplifikuje Ilan Șor – multimilioner uznawany za architekta wspominanej kilkakrotnie „kradzieży miliarda" z 2014 r. Człowiek ten posiada obywatelstwa izraelskie i rosyjskie oraz objęty jest kremlowską protekcją, a od 2019 r. przebywa za granicą. Stanowi kluczowy instrument oddziaływania FR na mołdawską politykę, ponieważ – mimo skazania na karę wieloletniego pozbawienia wolności – wciąż kieruje kilkoma partiami, które w sumie mogą liczyć na kilkanaście procent poparcia. W 2024 r. pozwolił sobie na największą w historii państwa akcję manipulacji wyborami – po prostu kupił ok. 130 tys. głosów od chętnych do ich sprzedaży obywateli. Wraz z rodziną mieszka pod Moskwą, a środki finansowe ukrywa w rajach podatkowych i w samej Rosji. Kieruje się zatem inną motywacją niż prorosyjscy politycy przebywający na stałe w kraju.

Kończąc ten wątek, podkreślmy jeszcze raz, że powiązania społeczne mają w Mołdawii niebagatelne znaczenie. Nie chodzi przy tym wyłącznie o omówione już relacje towarzyskie czy rodzinne, ale i o lokalną klanowość. Otóż niepewne własnej tożsamości, a przy tym pozbawione wcześniejszych doświadczeń samodzielnej państwowości i wywodzące się w większości z warstw chłopskich społeczeństwo przywiązuje ogromną wagę do szeroko rozumianych związków familijnych. Zgodnie z tradycją za członków rodziny uważa się tam nie tylko faktycznych krewnych bądź małżonków, lecz także chrześniaków i chrzestnych, świadków ślubu etc. Przynależność do niej tworzy bardzo silną więź i rodzi zobowiązania znacznie przewyższające te wobec państwa i jego instytucji, które – ze względu na ów brak tożsamości obywatelskiej oraz słabość państwa – postrzega się jako efemeryczne, w przeciwieństwie do trwałego bytu, jakim jest rodzina.

W efekcie można mówić o występowaniu w tym kraju właśnie klanowości, przypominającej nieco tę znaną m.in. z Azji Centralnej. Fenomen ten obejmuje również elity rządzące, co prowadzi do powszechnego kumoterstwa i nepotyzmu. Liderzy polityczni w sposób naturalny angażują bowiem w swą działalność członków klanu. Tym najsłynniejszym między Prutem a Dniestrem był do tej pory ten stworzony przez Plahotniuca, który na newralgicznych dla trwałości

systemu oligarchicznego stanowiskach obsadził własnych „krewnych". I tak jego prawą ręką został Andrian Candu, na którego ślubie pełnił zaszczytną funkcję *năsasza*, czyli „ojca chrzestnego" młodej pary. Świadomość istnienia w świecie polityki i biznesu powiązań tego typu jest często warunkiem *sine qua non* zgłębienia miejscowych realiów.

...i praktyczne trudności

Choć w Mołdawii łatwo włączyć się w dyskusję publiczną i cały „obieg informacji", to każdy badacz raczej wcześniej niż później napotka pewne praktyczne trudności „techniczne" wynikające z lokalnej specyfiki kulturowej. Jej poznanie pozwoli uniknąć nieporozumień, nerwów i potencjalnego zniechęcenia do tematu lub złego odczytania intencji rozmówców. Chodzi przede wszystkim o kwestię umawiania spotkań. W przeciwieństwie do mieszkańców wielu innych państw europejskich Mołdawianie nie lubią tego robić ze zbytnim wyprzedzeniem. Może się zdarzyć, że osoba, do której zwrócimy się z prośbą o spotkanie miesiąc przed planowaną wizytą w Kiszyniowie, odpisze nam tylko: „Proszę dać znać bliżej dnia przyjazdu". Nie ma w tym nic dziwnego i nie należy się tym zrażać – to w zasadzie odpowiedź pozytywna, oznaczająca, że ktoś jest zainteresowany rozmową.

Jeśli jednak określimy konkretną datę i godzinę spotkania (a szczególnie jeśli uczynimy to właśnie miesiąc wcześniej), to warto w przeddzień potwierdzić je raz jeszcze. Nie chodzi nawet o to, że nasz interlokutor zwyczajnie o tym wydarzeniu zapomni (choć i to się zdarza), ale o niechęć do otwartego przyznania, a zarazem „zrobienia nam przykrości", że niestety nie będzie w stanie z tych lub innych przyczyn pojawić się w umówionym miejscu.

To konsekwencja innej wartej uwagi cechy wielu Mołdawian – swego rodzaju grzeczności, skutkującej niekiedy niemałym zamieszaniem. Wydaje się, że spadkobiercy hospodarów Stefana Wielkiego i Dymitra Kantemira po prostu nie lubią odmawiać swoim gościom. Może się więc zdarzyć tak, że gdy nie zapytamy ich wprost, przykładowo dzień przed spotkaniem, to nie powiedzą, iż nie mogą na nie przybyć. Nie jest to przejaw braku szacunku, ba, takie zachowanie często wynika właśnie z sympatii oraz pewnej nieśmiałości.

Poznać nie(u)znane

Poświęćmy teraz kilka akapitów specyfice badania separatystycznego Naddniestrza. Informacje o funkcjonowaniu tego regionu nie są dostępne tak szeroko jak te o Mołdawii „właściwej", tj. prawobrzeżnej, kontrolowanej przez władze w Kiszyniowie, ale nie można mówić o olbrzymim deficycie wartościowych

źródeł i bieżących opracowań. Ciekawych treści – zwłaszcza z zakresu działania lokalnej gospodarki czy energetyki – dostarcza już lektura „oficjalnych" materiałów zamieszczanych przez poszczególne instytucje tzw. administracji tego parapaństwa. Zwykle nie są one fałszowane (niewygodnych faktów po prostu się nie ujawnia), ale nieraz przed publikacją poddaje się je odpowiednim machinacjom.

Do niedawna najlepszy przykład stanowiły tu dane handlowe. Nie jest tajemnicą, że zdecydowana większość (70–80%) naddniestrzańskiego „eksportu" od lat trafia do prawobrzeżnej Mołdawii oraz UE. Władze w Tyraspolu nie chcą się tym jednak chwalić, gdyż fakt ten przeczy narracji o „gigantycznej" roli, jaką w gospodarce regionu odgrywa Rosja. Dlatego też w oficjalnych komunikatach często trafiamy na informacje o udziale FR nie w eksporcie Naddniestrza (bo wynosi on ledwie kilka–kilkanaście procent), lecz w jego całkowitej wymianie handlowej (kilkadziesiąt procent), jako że do początku 2025 r. nieuznawana republika pozyskiwała stamtąd 100% gazu. I choć za dostawy nie płacono, to wartość rynkowa ok. 2 mld m^3 surowca rocznie trafiała do baz danych jako import. To zaś czyniło z Moskwy zdecydowanie największego partnera handlowego Tyraspolu.

Poza źródłami wewnętrznymi sporo uwagi poświęcają sytuacji w separatystycznym regionie think tanki na prawobrzeżu. Podmioty takie jak Watchdog.md, Expert-Grup, IDIS Viitorul, IPRE i IPIS, na co dzień skupiające się głównie na kwestiach wewnątrzmołdawskich, prowadzą projekty lub regularnie wydają biuletyny dotyczące parapaństwa. Warto także śledzić stronę Biura ds. Reintegracji (rządowej agencji zajmującej się stosunkami z Tyraspolem) i wywiady, których zwykle dość chętnie udzielają szefowie lub byli włodarze tej instytucji. Dobre rozeznanie w tematyce Naddniestrza tradycyjnie mają też przedstawicielstwo UE w Kiszyniowie oraz lokalna misja OBWE.

Wiedzę ze źródeł „wewnętrznych" i „zewnętrznych" trzeba uzupełniać wizytami w regionie, pozwalającymi na własne oczy zapoznać się tamtejszymi problemami, rzeczywistością i poziomem życia. Nic w tym trudnego – do Tyraspolu i Bender z Kiszyniowa co kilkadziesiąt minut odjeżdżają rejsowe marszrutki (tj. powszechne w krajach Europy Wschodniej minibusy poruszające się po określonych trasach i zatrzymujące na żądanie pasażerów), które w ciągu niecałych dwóch godzin docierają na lewobrzeżną stronę Dniestru. Jeśli nie planujemy oficjalnych spotkań z przedstawicielami lokalnych „władz", a co za tym idzie – nie ubiegamy się o akredytację (obywatelom państw zachodnich od 2022 r. i tak właściwie się ich nie przyznaje), wystarczy nam wjazd turystyczny. Spotkania z „rządzącymi" nie mają zresztą większej wartości badawczej, gdyż nie należy się z ich strony spodziewać niczego poza oficjalnymi komunikatami, z którymi można zapoznać się przed podróżą.

Pobytu w parapaństwie nie należy się szczególnie obawiać. Drobna przestępczość niemal tam nie występuje, a struktury bezpieczeństwa raczej nie będą nas zaczepiały, oczywiście dopóki nie przestaniemy zachowywać się rozsądnie i zgodnie z lokalnymi przepisami. Zanim zajmiemy miejsca w marszrutce, warto natomiast poważnie zastanowić się nad sensem zabierania laptopa bądź smartfona, na którym przechowujemy wrażliwe dane. Miejscowe sieci teleinformatyczne – w tym Wi-Fi – znajdują się pod pełną kontrolą aparatu „państwowego". Nie należy też próbować wwozić do regionu publikacji o charakterze politycznym (w tym tekstów analitycznych, podręczników, książek popularnonaukowych itd.), gdyż w razie kontroli lokalne „KGB" może uznać je za wystarczający powód, by nas tam nie wpuścić.

Na zakończenie obalmy powtarzany w przestrzeni medialnej, a wypaczający analizę sytuacji mit o 100-procentowej kontroli Rosji nad Naddniestrzem. Nie ma wątpliwości, że ta nieuznawana republika jest de facto protektoratem sąsiada: na jej terytorium stacjonują wojska rosyjskie, a wsparcie energetyczne ze strony FR stanowi kroplówkę, bez której ekonomika regionu załamałaby się. Ale – poza kilkoma „ministerstwami" (spraw zagranicznych, bezpieczeństwa państwa, obrony i pochodnymi) – Moskwa nie sprawuje tam władzy bezpośredniej. Zdecydowaną większością aparatu administracyjnego zarządza miejscowy koncern Sheriff. To jego przedstawiciele de facto kierują rządem, zasiadają w ławach tamtejszego „parlamentu", nadzorują lokalną milicję i zawiadują gospodarką. Reprezentant Sheriffa – Wadim Krasnosielski – piastuje zaś stanowisko „prezydenta".

Oczywiście ludzie ci współpracują z Moskwą i bardzo na niej polegają (zwłaszcza energetycznie), lecz nie są rosyjską ekspozyturą, a raczej narzędziem wykorzystywanym przez Kreml do realizacji polityki w tej części świata. Przez lata w zamian za posłuszeństwo umożliwia on elicie koncernu zarabianie ogromnych pieniędzy na sprzedaży wytworzonych tanio (bo z darmowego gazu) produktów bogatym państwom UE. Szefostwo Sheriffa – podobnie jak prorosyjscy politycy w prawobrzeżnej Mołdawii – myśli jednak głównie w kategoriach własnych interesów i potencjalnych zysków. Dość powiedzieć, że gdy Rosja napadła na Ukrainę w 2022 r., jego retorycznie prorosyjskie władze zaczęły obawiać się zajęcia parapaństwa przez armię mołdawską i wywłaszczenia ich (lub nawet fizycznej eksterminacji).

Wszystko to sprawia, że w obliczu słabnącego gwałtownie od 2022 r. oddziaływania Rosji na region „władze" w Tyraspolu – a przynajmniej sektory administracji i gospodarki niezarządzane bezpośrednio z Moskwy – wysyłają niekiedy do Kiszyniowa nieśmiałe sygnały gotowości do takich lub innych ustępstw w zamian za zachowanie takich lub innych wpływów i zysków. To kolejny przykład zawiłości realiów i sieci relacji, które należy mieć na uwadze, próbując zrozumieć małą, lecz wielowymiarową Mołdawię.

Kraina cudów

Dla analityka Mołdawia nie ma prawa być państwem nudnym. Często jej obywatele ironicznie nazywają swoją ojczyznę krainą cudów, w której może się zdarzyć wszystko (nawet „kradzież miliarda"). Skandale, a także złożoność i wielość zjawisk oraz dotykających kraj problemów – choć niewątpliwe niosą utrapienie jej mieszkańcom – czynią z niego pasjonujący temat obserwacji badawczej. Media żyją oraz rozpowszechniają najróżniejsze opinie i poglądy. Scena polityczna – niezabetonowana i nieautorytarna jak w Rosji czy na Białorusi – ulega ciągłym i dynamicznym przeobrażeniom, jest rozedrgana i rozdyskutowana.

Proces integracji europejskiej i stopniowej desowietyzacji z roku na rok postępuje i na oczach jego obserwatorów przekształca wizerunek kraju. Zmienia się również jego społeczeństwo. Do tego, mimo niewielkiej powierzchni, jest on zróżnicowany – Gagauzja na południu, Naddniestrze na wschodzie czy rosyjskojęzyczne Bielce na północy składają się na to, że ziemie między Prutem a Dniestrem stanowią istny tygiel przekonań i tożsamości. Wreszcie ludzie – bardzo otwarci, chętni do podejmowania dyskusji i wymiany opinii, a poza tym po prostu gościnni. To ten niepowtarzalny zestaw elementów powoduje, że badania nad Mołdawią to zajęcie tyleż ciekawe, co niezwykle satysfakcjonujące i najzwyczajniej przyjemne. Zajęcie, któremu warto się poświęcić.

Rumunia: łacińska wyspa tajemnic

Kamil Całus

Rumunia nie jest „obiektem" łatwym dla osoby studiującej i analizującej jej rzeczywistość polityczną, społeczną i gospodarczą. Nie chodzi przy tym o szczególną złożoność czy zawiłość tamtejszych realiów. Przeciwnie – często okazują się one prostsze i bardziej prozaiczne, niż mogłoby się na pierwszy rzut oka wydawać. Problem generują deficyt dobrych pod względem jakościowym źródeł informacji, zwłaszcza niska wartość treści prasowych, oraz tradycyjna dla rumuńskiej klasy politycznej – wyniesiona z czasów poprzedzających rewolucję 1989 r. – obsesyjna niekiedy skłonność do utajniania wszystkiego, co tylko utajnić można.

W efekcie badając ten kraj, analityk nieustannie nawiguje między faktami, mniej lub bardziej precyzyjnymi i wiarygodnymi doniesieniami medialnymi oraz niezliczoną wprost liczbą nieweryfikowalnych plotek i hipotez płynących z ust i spod piór poważnych dziennikarzy, analityków i innych komentatorów życia publicznego. Czasem są one trafne, czasem dostarczają okruchów przydatnej wiedzy, lecz zwykle nie mają jakiegokolwiek związku z rzeczywistością i jedynie mącą jej obraz. Po tych mętnych wodach da się jednak – przy odrobinie samozaparcia, doświadczenia i umiejętności – całkiem sprawnie żeglować.

Insula de latinitate

Zanim dokładniej przyjrzymy się wspomnianym wyżej trudnościom i wyzwaniom, przed którymi stoi analityk zajmujący się badaniem Rumunii, pora na

kilka słów na temat jej specyfiki historyczno-kulturowej. Znajomość tego kontekstu odgrywa niezwykle ważną rolę – nie tylko pozwala zrozumieć (czy raczej podjąć taką próbę) sposób myślenia miejscowych elit i znacznej części społeczeństwa, lecz także przydaje się w trakcie codziennych dyskusji z tamtejszymi kolegami, stanowiąc po prostu zjednujący nam sympatię i otwierający niejedne drzwi wyraz szacunku wobec naszego rozmówcy. Rumuni – podobnie zresztą jak Polacy – są ponadprzeciętnie wyczuleni i niezwykle pozytywnie odbierają wszelkie sygnały wskazujące na szczere zaciekawienie obcokrajowców ich krajem, kulturą i historią.

W łagodnym przejściu do tych zagadnień pomoże nam przywołana na wstępie terminologia marynistyczna, która – choć jest przede wszystkim zabiegiem stylistycznym – wydaje się na miejscu, jeśli weźmiemy pod uwagę sposób, w jaki państwo to postrzega się na poziomie zarówno wewnętrznym, jak i międzynarodowym. Rumunia to bowiem w percepcji jej obywateli kulturowa i cywilizacyjna „łacińska wyspa" (rum. *insula de latinitate*) na „morzu Słowian" (choć poprawniejszy byłby pewnie zwrot „morze słowiańsko-madziarskie").

Pozornie ta będąca filarem tożsamości autochtonów koncepcja może wydawać się co najmniej dziwna. Właściwie jedynym jednoznacznie łacińskim – czy raczej z łaciny się wywodzącym – elementem tamtejszej kultury jest język. Rumuński, mimo silnych wpływów słowiańskich, tureckich i węgierskich, należy do rodziny romańskiej i ma wyraźne związki choćby z włoskim czy francuskim. Ale poza sferą lingwistyczną koligacje współczesnej Rumunii ze starożytnym Rzymem raczej trudno dostrzec. W końcu leży ona nie w basenie Morza Śródziemnego, lecz nad brzegami Morza Czarnego, w Europie Południowo-Wschodniej. Niektórzy jej obserwatorzy skłonni są nawet uznawać ją za część Bałkanów, czego – o czym warto pamiętać, by nie narażać się na krzywe spojrzenie miejscowych rozmówców – sami Rumuni organicznie nie znoszą.

Tezie o łacińskości zdaje się przeczyć też fakt, że prawie 75% mieszkańców tych terenów to wyznawcy prawosławia. Ba! Cyrylicę do zapisu języka rumuńskiego stosowano aż do lat 60. XIX wieku. Wreszcie – Wołoszczyzna i Mołdawia, tj. księstwa, które w połowie XIX stulecia zjednoczyły się, dając początek państwu rumuńskiemu, przez wieki znajdowały się pod politycznymi i kulturowymi wpływami osmańskimi oraz – krócej – rosyjskimi. Dość spojrzeć na historyczne portrety miejscowej szlachty, tj. bojarów – ta nazwa również wywodzi się przecież nie ze starożytnego Rzymu, lecz z tradycji wschodniosłowiańskiej. Ich stroje, styl życia i wystrój ich domów inspirowany był bezpośrednio tendencjami płynącymi wprost z Konstantynopola.

Skąd więc idea takiego, a nie innego pochodzenia Rumunów? Otóż jest ona stosunkowo młoda – zaczęła się kształtować nieco ponad 200 lat temu, na przełomie XVIII i XIX wieku, i stanowiła fundament światopoglądowy

rodzącego się nowoczesnego narodu i państwa. Jej twórcom – którzy punktem wyjścia dla swojej koncepcji uczynili mowę wywodzącą się ze zwulgaryzowanej łaciny – zależało nie tylko na tym, by stworzyć wspólną opowieść jednoczącą ludność etnicznie rumuńską posługującą się tym samym językiem, dzielącą zbliżoną kulturę i zamieszkującą głównie na ziemiach ówczesnej Wołoszczyzny, Mołdawii i Siedmiogrodu. Chcieli oni też dać jej mit założycielski, kotwiczący ją nierozerwalnie w rodzinie „cywilizowanych" i cieszących się wielowiekową przeszłością narodów Europy Zachodniej, jak Francuzi i Włosi.

Owa opowieść o łacińskim rodowodzie miała pomóc ludności rumuńskiej żyjącej w Siedmiogrodzie w walce o jej prawa w regionie, którego elity intelektualne, gospodarcze i polityczne tradycyjnie zdominowali Węgrzy, mieniący się nie tylko „wyższymi kulturowo", lecz także odwiecznymi mieszkańcami tych ziem. Łacińskość Rumunów czyniła ich automatycznie spadkobiercami starożytnej cywilizacji, ale i pozwalała im twierdzić, że w Siedmiogrodzie znaleźli się oni po prostu na długo przed Madziarami.

Omawiana koncepcja z czasem ewoluowała i rozrosła się o tzw. komponent dacki, jeszcze głębiej osadzający Rumunów na wchodzących obecnie w skład ich państwa terenach. W końcu przyjęła formę, którą za obowiązujący i wykładany na lekcjach historii w całym kraju mit założycielski uznaje się do dziś. Przytoczmy ją w telegraficznym skrócie. Oto na początku II wieku n.e. Dakowie – lud od ok. 1700 r. p.n.e. zamieszkujący Dację, tj. ziemie na północ od dolnego Dunaju (obszar ten pokrywa się w większości z terytorium współczesnej Rumunii) – zostali podbici przez wojska cesarza Trajana, który w zaciętych walkach pokonał ich ostatniego króla Decebala i przyłączył te tereny do Imperium Rzymskiego. W następstwie tych wydarzeń lokalna ludność zmieszała się z przybyszami i dała podwaliny pod naród rumuński. Zgodnie z tą legendą dzisiejsi Rumuni są więc sukcesorami zarówno Rzymian, którzy po aneksji Dacji zaprowadzili w niej swoje porządki i przynieśli tam własną kulturę, infrastrukturę i instytucje, jak i dumnych Daków, którzy – choć przegrali starcie z Imperium – do upadłego i z poświęceniem bronili należących do nich od niepamiętnych czasów ziem.

Rumuńska symbolika narodowa i przestrzeń publiczna powszechnie odwołują się zarówno do rzymskich, jak i dackich korzeni. Druga zwrotka hymnu wprost wzywa, aby „dać światu dowód, że w żyłach naszych wciąż jeszcze płynie krew Rzymian", i głosi, że Rumuni „w sercach zachowują imię zwycięskiego w bojach Trajana". W wielu miastach natrafimy na kopie posągu wilczycy kapitolińskiej, zaś najsłynniejsza z nich znajduje się w centrum Bukaresztu. Państwo otrzymało ją od Włoch w 1906 r. na 25-lecie koronacji króla Karola I oraz 1800-lecie podboju Dacji przez Imperium Rzymskie. Jednocześnie z łatwością natknąć się można na monumenty i ulice sławiące zarówno Decebala, jak i cesarza Trajana. Rzymskie, a raczej wprost imperatorskie imiona do teraz

cieszą się tu zresztą niezwykłą popularnością – dość wspomnieć rządzącego pomiędzy 2004 a 2014 r. prezydenta Traiana Băsescu, ministra spraw zagranicznych z lat 2012–2014 Titusa Corlăţeana czy premiera z lat 30. ubiegłego wieku Octaviana Gogę.

„Geokulturowa" samotność

Znajomość sposobu myślenia Rumunów o własnych korzeniach oraz miejscu na kulturowej i historycznej mapie Europy jest niezwykle istotna z analitycznego punktu widzenia. Pomaga bowiem przynajmniej częściowo zrozumieć zarówno mentalność tamtejszej elity rządzącej, w tym priorytety prowadzonej przez nią polityki zagranicznej, jak i decyzje kształtującego lokalną scenę polityczną elektoratu. I tak przykładowo właśnie ze względu na ów *mindset* to karpackie państwo nieszczególnie czuje się związane z regionem geograficznym, do którego przynależy. Nie chodzi przy tym wyłącznie o same Bałkany, do których stanowczo – jak wspomniano – nie chce być zaliczane, ale nawet o Europę Środkową i Wschodnią.

Sąsiedzi (poza Mołdawią) generalnie nie cieszą się szczególnym zaufaniem Rumunów. W sondażu przeprowadzonym w 2021 r. zaledwie 11% z nich za najlepszego uznało Bułgarię, 8% – Serbię, 4% – Węgry (z którymi relacje dodatkowo obciąża przeszłość), a 2% – Ukrainę. Aż 45% wskazało zaś właśnie bliską im historycznie, kulturowo i językowo Republikę Mołdawii, postrzeganą przez ogół ludności jako część rumuńskiego terytorium narodowego (o czym nieco później). Ponad 30% nie umiało natomiast odpowiedzieć na postawione pytanie. Wartości te potwierdza popularna w kraju anegdota, zgodnie z którą najlepszym przyjacielem i najwierniejszym sojusznikiem Rumunii w okolicy jest… Morze Czarne.

Ten brak sympatii regionalnych na pierwszy rzut oka może się wydać dziwny, ale da się go zrozumieć, gdy spojrzymy na sytuację przez pryzmat opisanego wyżej podejścia Rumunów do swojego miejsca na kontynencie. Narracja o przynależności do łacińskiego świata sprawia, że cierpią oni na swego rodzaju „geokulturową" samotność i mentalnie widzą się raczej gdzieś na pograniczu Włoch, Niemiec i Francji (regularnie nazywanej zresztą w Rumunii „starszą siostrą"), a nie pomiędzy Bułgarią, Węgrami a Ukrainą, gdzie ich ojczyzna w istocie leży.

Ten przechył w stronę głównych stolic zachodnich – Paryża, Berlina czy Waszyngtonu – poza wynikającym z „romantycznych" przyczyn poczuciem wspólnoty kulturowej ma też inne, bardziej praktyczne źródła: współpraca i sojusz z nimi Bukaresztowi zwyczajnie się opłacają w wymiarach politycznym, ekonomicznym i bezpieczeństwa. Niemniej warto pamiętać, że w polityce

zagranicznej przyświecają mu, prócz bardzo charakterystycznego pragmatyzmu, również pewne ideologiczne, a nawet właśnie „romantyczne" pobudki.

(Bardzo) głębokie państwo

Rumuńską rzeczywistość wyróżnia bardzo szczególna i chyba nigdzie indziej w Unii niespotykana w takim natężeniu cecha, którą każdy pochylający się nad tym krajem specjalista musi mieć z tyłu głowy. To swoista obsesja na punkcie rzekomej wszechwładzy *deep state* czy może prościej – służb, zdaniem licznych lokalnych komentatorów, dziennikarzy i analityków stojących za istotnym odsetkiem zachodzących tam procesów i podejmowanych decyzji. Ta wręcz paranoja nie jest zupełnie bezpodstawna – państwo faktycznie dysponuje jednym z najbardziej rozbudowanych aparatów wywiadowczych i kontrwywiadowczych w Europie. Nieoficjalne dane pozwalają zakładać, że miejscowe agencje – na czele z wywiadem wewnętrznym, tj. SRI (Serviciul Român de Informații, w pewnym uproszczeniu odpowiadającym polskiej ABW), oraz zagranicznym, tj. SIE (Serviciul de Informații Externe) – zatrudniają od 15 tys. do nawet ponad 30 tys. osób. Oznacza to, że jeden pracownik struktur tego typu przypada dziś na zaledwie ok. 600–1200 mieszkańców kraju.

Przekonanie o potędze służb wzmacnia fakt, że te nigdy w istocie nie przeszły pełnej i rzeczywistej lustracji. Agencje powstałe po 1989 r. (w tym SRI) nie tyle zostały zbudowane na bazie niesławnej Securitate – która formalnie przestała istnieć wraz z upadkiem reżimu komunistycznego – ile po prostu były nią nadal, tylko pod nowym szyldem czy nowymi szyldami. Tajną policję oficjalnie zlikwidowano, a z jej poszczególnych departamentów uczyniono odrębne jednostki, które przejęły zarówno majątek ruchomy i nieruchomości, jak i praktycznie całe kadry poprzedniczki. Nastąpił więc raczej swoisty „rebranding", a nie prawdziwa reforma służb (nie mówiąc już o ich oczyszczeniu).

Herta Müller, pochodząca z Rumunii niemiecka pisarka i laureatka Nagrody Nobla, która sama doświadczyła represji ze strony Securitate, stwierdziła: „Tajna policja Ceaușescu nie została rozwiązana, ona tylko zmieniła nazwę". Rzeczywiście, spora część funkcjonariuszy tej formacji pozostała w nowych strukturach, a nawet awansowała i robiła błyskotliwe kariery. Dość rzec, że dyrektorami SRI w latach 90. i 2000. zostawali ludzie powiązani z komunistycznym aparatem bezpieczeństwa.

Zgromadzone przez całe dekady tajne akta bezpieki dopiero na początku obecnego stulecia zaczęto przekazywać cywilnym instytucjom zajmującym się lustracją, którym przewodziła powołana specjalnie w tym celu Narodowa Rada ds. Badań nad Archiwami Securitate (CNSAS). Do tego czasu – przez ponad 10 lat istnienia demokratycznej już przecież Rumunii – wciąż znajdowały się one

w rękach SRI. Łatwo więc wyobrazić sobie, jak bardzo niekompletne musiały być teczki wydane ostatecznie CNSAS. Komentując wprowadzenie pierwszych ustaw lustracyjnych w 2010 r., politolożka Alina Mungiu-Pippidi argumentowała: „Cały system jest zbyt przesiąknięty [ludźmi związanymi z reżimem – KC], aby te archiwa mogły być użyteczne". Sugerowała też, że służby miały wystarczająco dużo czasu, by z łatwością zniszczyć najbardziej niewygodne materiały. Nie jest tajemnicą, iż wielu byłych oficerów bezpieki weszło po 1989 r. do świata biznesu, polityki i mediów. To tzw. *băieții din servicii*, czyli „chłopcy ze służb", tworzący nieformalną sieć byłych agentów dysponujących rozległymi wpływami w każdej z tych sfer.

Mundurowi stanowią więc w powszechnej opinii rodzaj czwartej władzy. W innych państwach pozycję tę zwykle zajmują media, ale w Rumunii nie mogą one do końca pełnić tej funkcji. To chyba właśnie służby odgrywają więc rolę swoistego stabilizatora systemu. Nie tylko bronią kraju przed zewnętrznymi zagrożeniami, lecz także – jak się wydaje, bo trudno o oficjalne potwierdzenie takiego poglądu – uważają za swoją powinność dbanie o to, by rządzące w Bukareszcie elity i liczące się partie polityczne nie wyprowadziły państwa z obozu zachodniego. Organy te są zatem dodatkowym (poza opisanym wcześniej czynnikiem mentalnym) bezpiecznikiem mającym gwarantować, że bez względu na to, kto będzie stał u steru, Rumunia pozostanie wiernym sojusznikiem USA i członkiem NATO. Prowadząc analizę tamtejszej rzeczywistości politycznej, trzeba więc mieć na uwadze, że pewne wydarzenia czy decyzje władz mogą wynikać z aktywności służb.

No właśnie: mogą, ale nie muszą. Choć struktury głębokiego państwa faktycznie znaczą tam więcej niż gdziekolwiek indziej w regionie, to przypisywanie im niemal demiurgicznej potęgi – do czego miejscowi eksperci, dziennikarze i politycy mają nieskrywaną skłonność – to przesada i swego rodzaju intelektualna droga na skróty. Oddziaływaniem organów czy powiązaniami działaczy z tą czy inną służbą da się bowiem wytłumaczyć niemal wszystko, ignorując przy tym inne przyczyny stojące za postępowaniem konkretnych ludzi. Ważne zatem, by nie utonąć w morzu teorii spiskowych, na które badacz Rumunii natknie się w swej karierze dziesiątki, jeśli nie setki razy – a na pewno nie dawać im ślepej wiary bez porządnego przyjrzenia się im okiem sceptyka.

Wszechmoc *deep state* podważa historia wyborów prezydenckich z końca 2024 r. Niespodziewanie najwięcej (23%) głosów w ich pierwszej turze otrzymał notujący w sondażach ok. 5% poparcia Călin Georgescu – antyukraiński, sympatyzujący z Putinem „newage'owy" nacjonalista. Jego sukces zszokował zarówno polityków głównego nurtu, jak i instytucje dbające o bezpieczeństwo państwa, które zresztą w kolejnych tygodniach robiły, co trzeba, by dostarczyć wymiarowi sprawiedliwości materiały umożliwiające najpierw anulowanie

zwycięskich dla Georgescu wyborów, a następnie postawienie go w stan oskarżenia za rzekomy udział w przygotowaniu przewrotu konstytucyjnego. Tak więc służby pomogły wprawdzie zablokować marsz tego kontrowersyjnego działacza po władzę, lecz trudno uznać to za przejaw niesamowitej siły, jaką przypisuje się im często w tym kraju. Prawdziwie wszechwładne organy bezpieczeństwa nie tyle bowiem pomogłyby unieważnić głosowanie – wywołując tym samym największy kryzys polityczny od lat 90. XX wieku – ile… nigdy nie dopuściłyby tak zagrażającego państwu kandydata do wyścigu o fotel prezydenta.

Możliwe oczywiście, że – jak głoszą niektórzy autochtoni – służby miały Georgescu na oku, a nawet wspierały jego kampanię, by w ten sposób osłabić innego nacjonalistę, Georgego Simiona, i nie pozwolić mu wejść do drugiej tury. Tyle że rozwój wypadków świadczy raczej na niekorzyść tezy o nadzorujących każdą dziedzinę życia strukturach głębokiego państwa. Gdyby były takimi w istocie, to ta rzekoma makiaweliczna operacja z pewnością nie wymknęłaby się im spod kontroli.

W tym kontekście warto wspomnieć jeszcze o jednej kwestii. Otóż każdy zajmujący się Rumunią specjalista wcześniej lub później (zwykle naprawdę szybko) usłyszy od tamtejszego rozmówcy nie tylko to, że ten czy inny polityk, biznesmen, dziennikarz czy człowiek kultury jest związany ze służbami lub przez nie kontrolowany – będzie też subtelnie przekonywany, że tenże właśnie rozmówca sam ma z organami jakieś układy albo dysponuje niedostępną dla innych, a pochodzącą właśnie z wywiadowczej krynicy wiedzą. W większości, o ile nie w 100% przypadków, powiązania te okażą się wyłącznie urojone. Z doświadczeń piszącego te słowa wynika, że osoby pracujące w SRI czy SIE lub z nimi współpracujące zdecydowanie nie są zainteresowane ani otwartym opowiadaniem o nich, ani „puszczaniem oczka" swemu zagranicznemu interlokutorowi, by zrobić na nim wrażenie.

O tej kabotyńskiej skłonności części Rumunów do pozowania na agenta należy po prostu pamiętać i nie dać się tym ludziom zauroczyć, bo ich teorie i historie przez nich przytaczane potrafią zachwycić. Na szczęście najczęściej dość łatwo będzie nam ich przez ową teatralność rozpoznać. Problem polega jednak na tym, że nawet znani miejscowi komentatorzy niekiedy dają się przekonać własnej sieci znajomych i kontaktów – w której prócz kilku osób autentycznie wiedzących, co w służbach piszczy, nie brakuje fantazjujących o tym przywileju – a następnie kolportują dalej nie do końca wiarygodne informacje z tych pseudotajnych źródeł. Czynią tak nawet poważani uczestnicy debaty publicznej. Ci ludzie nie zmyślają, by zaspokoić swoje ego, ale w dobrej wierze stosują to, co usłyszeli, do wyjaśniania zastanej rzeczywistości. Tu znów warto – mimo zaufania do nich – zachować pewną ostrożność i zawsze pytać o pochodzenie danej wiedzy. Cóż innego można bowiem zrobić?

Wiele mówiące milczenie…

Pochodną potęgi służb oraz niewyczerpywalnym źródłem paliwa dla teorii spiskowych jest wspomniana niebywale silna skłonność rządzących do utajniania wszystkiego, co tylko ukryć można. Struktury państwa, a zwłaszcza wojsko, resort spraw wewnętrznych czy – rzecz jasna – organy bezpieczeństwa bardzo niechętnie podają do informacji publicznej jakiekolwiek ważniejsze dane na temat swej działalności. Co ciekawe, ten stan rzeczy nie wzbudza powszechniejszego oburzenia. Społeczeństwo i media – mimo okazjonalnego narzekania nań – zdają się co do zasady wykazywać zrozumienie dla tej daleko posuniętej ostrożności.

Ilustracje tego paranoicznego wręcz podejścia da się mnożyć. Ot, liczba pracowników struktur wywiadowczych pozostaje szerzej nieznana, choć w innych krajach zwykle wartości tej nie uznaje się za godną zatajenia. Informacje na temat kontraktowanego sprzętu wojskowego również są z reguły wyraźnie bardziej skąpe niż w pozostałych państwach NATO. Najciekawszy w ostatnich latach przykład niezrozumiałego skrywania aktywności państwa wiązał się z kwestią pomocy udzielanej przez nie broniącej się przed Rosją Ukrainie. W chwili powstawania tego tekstu – a więc w połowie 2025 r. – Bukareszt pozostawał bodaj ostatnią stojącą jednoznacznie po stronie Kijowa stolicą niepodającą, jaką broń wysyła napadniętemu sąsiadowi. Oficjalnie wiadomo jedynie o przekazanej mu w 2024 r. baterii Patriot, ale informacji o tym transferze nie dało się ukryć, gdyż międzynarodowa dyskusja o tym, który z sojuszników zdobędzie się na taki gest, od początku była jawna.

Za nieujawnianiem zakresu pomocy militarnej dla Ukrainy stoją – poza wspomnianą już tradycyjną niechęcią do publicznego rozprawiania na ten temat – także inne powody. Nie ma wątpliwości, że w obliczu ograniczonego poparcia społecznego dla dostarczania Kijowowi uzbrojenia (w trakcie trzech lat wojny za takim działaniem opowiadała się zdecydowanie mniej niż połowa Rumunów), władze nie chciały dawać propagandowej amunicji radykalnej i antyukraińskiej prawicy ani narażać się na zarzut osłabiania – i tak znajdującej się w nie najlepszym stanie – własnej armii. Niemniej fakt, że wyłącznie Bukareszt zdecydował się na taki ruch, jest niezwykle symboliczny i wiele mówi o tym, jak mało danych przekazują miejscowe instytucje, gdy nie muszą tego robić.

…i ezopowa mowa

Warto dodać, że kiedy krajowe organy decydują się jednak na udostępnienie jakiejś informacji lub stanowiska w danej sprawie, czynią to nierzadko w sposób tak zawoalowany, że bez zachowania analitycznej czujności oraz znajomości szerszego kontekstu łatwo dać się zmanipulować. Przykłady? Pierwszy dotyczy

nakładów na bezpieczeństwo. Rumunia przeprowadza obecnie największą od 1989 r. modernizację sił zbrojnych, a rządzący konsekwentnie powtarzają, że od 2015 r. przeznaczają na obronność minimum 2% PKB – tyle że od 2015 do 2023 r. wydatki na ten cel tylko raz, w 2020 r., przekroczyły deklarowany przez nich próg (o jedną setną procent). Ba! Przez dużą część tego dziewięcioletniego okresu realne fundusze na wojsko nawet nie zbliżyły się do tego pułapu – wynosiły średnio 1,7%. Dopiero w 2024 r. budżet obronny faktycznie wyraźnie urósł i osiągnął 2,25% PKB (choć – co trzeba podkreślić – zgodnie z zapowiedziami decydentów miał pobić granicę 2,5%).

Czy zatem rząd przez prawie dekadę kłamał? Nie. Kluczem jest tu słowo „przeznacza", którym władze posługują się w komunikatach. Rzeczywiście od 2015 r. środki alokowane w budżecie na potrzeby obrony sięgają dwóch i więcej procent PKB, ale rzadko kiedy udaje się je spożytkować. Niektóre kontrakty po prostu nie zostają podpisane, inne są zrywane, a jeszcze inne realizowane tylko w części. Mimo to media regularnie dają się złapać w pułapkę i mówią o wydatkach równych owym dwóm procentom PKB lub wyższych.

Tytuł mistrzów ezopowej mowy należy się jednak – co nie dziwi, wszak to ważna kompetencja w tym zawodzie – dyplomatom. Gdy nie jest to konieczne, rumuńska służba zagraniczna nie znosi używać stanowczych słów ani składać jednoznacznych deklaracji. Niechęć tę doskonale ilustruje przyjęta w 2020 r. Strategia obrony kraju. Jej autorzy chcieli zaakcentować wagę strategicznych relacji z USA, a jednocześnie zwrócić uwagę na wynikające z narastającej rywalizacji między Waszyngtonem a Pekinem zagrożenie dla tychże stosunków oraz – szerzej – dla stabilności globalnej (w tym sytuacji w Europie). Zarazem pragnęli za wszelką cenę uniknąć nazywania Chin wrogiem czy przeciwnikiem Stanów Zjednoczonych – bo to stawiałoby sprzymierzoną z drugim z tych państw Rumunię w roli potencjalnego adwersarza ChRL – a nawet wykazać pewne zrozumienie dla ambicji międzynarodowych Pekinu. W efekcie powstał taki oto ustęp, który – by docenić jego urok – trzeba przytoczyć w całości:

> Dominacja Stanów Zjednoczonych w systemie międzynarodowym pozostanie niekwestionowana w przewidywalnej przyszłości, co z punktu widzenia interesu narodowego Rumunii stanowi element kluczowy. Z drugiej strony doktryna oraz wieloletnie, etapowe cele Chin będą coraz bardziej wpływały na sposób, w jaki USA postrzegają systemową rolę tego państwa, oraz na ich odpowiedź wobec niego. Międzynarodowa architektura bezpieczeństwa będzie w dużym stopniu kształtowana przez redefinicję interesów bezpieczeństwa państw posiadających globalne ambicje oraz przez rekonfigurację wzajemnych relacji między nimi. W sytuacji gdy nie widać istotnych przesłanek do zmiany paradygmatu w relacjach między Stanami Zjednoczonymi a ich strategicznymi ry-

walami, to właśnie obszary, w których przecinają się ambicje hegemoniczne na poziomie regionalnym (Europa i Azja-Pacyfik), będą najbardziej narażone na głębokie przekształcenia w zakresie bezpieczeństwa.

Jasne? Jasne!

„Forma bez treści" – kilka słów o źródłach prasowych

Do podstawowych wyzwań, z którymi musi zmierzyć się badający Rumunię analityk pracujący w oparciu o tzw. źródła otwarte należy ich – tj. owych źródeł, a w każdym razie znacznego ich odsetka – niska jakość. Problem dotyczy przede wszystkim prasy, rozumianej tu *sensu largo* jako wszelkie odmiany klasycznych mediów. Już po kilku dniach obcowania z tamtejszymi gazetami, portalami i lokalnymi programami informacyjnymi każdy bodaj ekspert dostrzeże, że zdecydowana większość z nich skupia się nie tyle na starannym informowaniu odbiorcy o stanie otaczającej go rzeczywistości, ile na „infotainmencie" – przedkłada krzykliwą i zabawną formę nad niosącą wartość poznawczą treść.

W efekcie materiały publikowane przez miejscowe media świetnie wpisują się w zjawisko nazywane z rumuńska *formele fără fond*, czyli formą bez treści. Na marginesie dodajmy, że ten niesłychanie popularny w kraju i wypromowany w XIX wieku przez twórców współczesnego państwa rumuńskiego termin literacko-filozoficzny dobrze znać, gdyż do dziś można się z nim spotkać w licznych komentarzach liderów opinii, uważających, że celnie oddaje on zarówno sposób myślenia rodzimych elit politycznych, jak i specyfikę funkcjonowania wielu instytucji.

Materiały poświęcone zagadnieniom politycznym, międzynarodowym czy gospodarce nie dość, że zwykle nie są przygotowane należycie starannie, to jeszcze mieszają się – nierzadko w wyrównanych proporcjach – z tymi czysto obyczajowymi. Opublikowany tekst ma w pierwszej kolejności przyciągnąć czytelnika krzykliwym (i często wyolbrzymionym, a w rezultacie – manipulującym) tytułem. Standardem, nawet w uważanych za poważne i wpływowe redakcje, jest rozpoczynanie artykułów od słów i sformułowań takich jak „Szok!", „Breaking news!", „Z ostatniej chwili!" czy „Niewiarygodne!", prowadzące do utraty przez nie wartości i znaczenia.

Korzystający z przekazów medialnych analityk powinien więc dość szybko wyrobić w sobie dystans czy wręcz niewrażliwość na podobne nagłówki, jako że w ponad połowie przypadków umieszczone pod nimi treści nie będą wcale przełomowe czy zaskakujące. W tytułach i leadach nierzadko też stosuje się zmanipulowane (czy raczej „podkręcone") cytaty pochodzące rzekomo od osób, o których w tekście mowa. Niektóre media robią to ze względu na swoje sympatie i antypatie polityczne, a inne – z dużo bardziej prozaicznych powodów,

ot, choćby w celu przyciągnięcia odbiorcy i zwiększenia klikalności danego materiału. Warto więc zagłębić się w zawartość artykułu i znaleźć całą, zamkniętą cudzysłowem wypowiedź, a najlepiej sprawdzić ją u źródła. Na wszelki wypadek.

Dość powszechną praktyką jest również pisanie w trybie dokonanym o zdarzeniach, które nie tylko nie miały jeszcze miejsca, ale wcale wydarzyć się nie muszą – głównie w tytułach, choć niekiedy w takim duchu sporządza się cały tekst. Przykłady? Proszę bardzo: „Będą nowe podatki!" – w sytuacji, gdy w parlamencie dopiero rozpoczyna się dyskusja o tym, czy w ogóle takowe wprowadzać – albo „Nowe przepisy w sektorze energii odnawialnej!" – gdy przed odpowiednią komisję parlamentarną (a więc jeszcze przed pierwszym czytaniem) trafił wstępny projekt ustawy, którego przyszłość – o czym dziennikarze doskonale wiedzą – rysuje się w ciemnych barwach.

Najpoważniejszą wadę rumuńskiej prasy stanowi jednak jej niechlujność. Autorzy notorycznie popełniają błędy merytoryczne, przede wszystkim we wszelkiego rodzaju danych ekonomicznych i generalnie liczbowych. Mylenie jednostek, błędne umieszczanie przecinka, podawanie w jednej publikacji dwóch sprzecznych ze sobą wartości (bez krytycznego komentarza) – zdarza się nagminnie. Na tego typu pomyłki natrafimy przy tym nie tylko w mediach popularnych (tj. ogólnych, niespecjalistycznych), lecz także branżowych, zajmujących się energetyką, gospodarką czy finansami.

Ta niechlujność przejawia się też w notorycznej niechęci do weryfikowania informacji ze źródeł oficjalnych, tj. not prasowych albo oświadczeń polityków i urzędników. Próbka? Gdy jakiś przedstawiciel władz powie choćby o „rozpoczęciu wielkiej inwestycji" w tym czy innym mieście, media najczęściej zacytują go lub przedrukują (po drobnych przeróbkach) uzyskany z jego biura komunikat, nie zwracając uwagi na fakt, że owa inwestycja zapowiadana jest już po raz trzeci w ciągu ostatnich dwóch lat i pierwotnie miała rozpocząć się przykładowo kilka miesięcy wcześniej.

W zrozumieniu problemów, jakie stawia przed analitykiem taki, a nie inny *modus operandi* miejscowych mediów, pomoże anegdota. W 2024 r. autor tego tekstu próbował – bazując na źródłach prasowych – określić liczbę wymagających opieki szpitalnej uchodźców palestyńskich, którzy w związku z działaniami Izraela w Strefie Gazy trafili do Rumunii. W kilkunastu dostępnych tekstach rozmiar tego grona wahał się od kilkunastu do… kilkuset osób. Stało się tak, gdyż tamtejsi politycy kilkakrotnie zapowiadali przyjęcie grupy potrzebujących Palestyńczyków, lecz za każdym razem podawali nieco inną jej liczebność. Jednym razem wspominali o samych dzieciach, innym – o dzieciach wraz z opiekunami. W pewnym momencie nie dało się już ustalić, czy komunikaty dotyczą jednej grupy czy może kilku. Niektóre media sumowały liczby podawane przez oficjeli w kolejnych deklaracjach. Inne nie zadawały sobie tyle trudu i zwyczajnie

cytowały to, co serwowali im urzędnicy. Sytuacji nie poprawiał fakt, że gdy uchodźcy zaczęli trafiać do krajowych szpitali, wciąż twierdzono, że to zaledwie część oczekiwanych Palestyńczyków i że w przyszłości zjawi się ich zapewne więcej, czego miały dowodzić… różne dane pojawiające się wcześniej w mediach. Co ciekawe, mimo chaosu informacyjnego żaden z dziennikarzy nigdy nie zdecydował się rozwiać tych wątpliwości i najnormalniej w świecie poprosić odpowiedzialnego za program pomocowy urzędnika o dokładną liczbę przyjętych.

W obliczu wszystkich opisanych wyżej przywar trapiących krajowe media nie może dziwić, że za najbardziej wiarygodne – a na pewno stosujące się do zasad warsztatu dziennikarskiego – uznaje się (nie bez powodu) redakcje tworzone przez podmioty zewnętrzne, w tym lokalny, rumuńskojęzyczny oddział Radia Wolna Europa i bukareszteńską filię Radio France Internationale.

Na zakończenie smutny fakt mówiący wiele o stanie prasy społeczno-politycznej w Rumunii. Otóż jedną z największych w dziejach państwa afer korupcyjnych – związaną z pożarem, który wybuchł 30 października 2015 r. w stołecznym klubie Colectiv i pochłonął życie ponad 60 osób – zbadał dogłębnie… dziennik o tematyce sportowej „Gazeta Sporturilor". To jego pracownicy ustalili, że część ofiar tragedii (do której doszło wskutek nieprzestrzegania norm przeciwpożarowych, na co również pozwoliły odpowiednie łapówki) zmarła, gdyż podawano im leki złej jakości. W toku śledztwa reporterzy popularnego pisma, na co dzień analizujący wyniki meczów i transfery między klubami, zdobyli dowody wskazujące, że skorumpowani urzędnicy wielokrotnie świadomie kupowali rozwodnione (a więc nieefektywne) antybiotyki, co pociągnęło za sobą dodatkowe zgony. W ten sposób rozrywkowa z natury rzeczy gazeta wypełniła misję dziennikarską znacznie lepiej niż formalnie „misyjne" media.

Wyspy analitycznej szczęśliwości

Nie ukrywajmy: badanie Rumunii to wyzwanie. Na dłuższą metę konieczna jest przynajmniej pasywna znajomość języka, jako że nie ma zbyt wielu „nierumuńskich" analityków zajmujących się tym krajem, a jednocześnie tworzących opracowania i analizy po angielsku. Co do mediów – to choć część z nich publikuje w tym języku (funkcjonują nawet całe anglojęzyczne rumuńskie serwisy informacyjne, takie jak Romania Insider czy Romania Journal), to bez choćby podstawowego opanowania mowy, którą posługują się na co dzień Rumuni, nie sposób śledzić debaty ani licznych talk-show regularnie goszczących w lokalnych mediach, a te stanowią naprawdę wartościowe źródło wiedzy i kontekstu polityczno-kulturowego.

Spore utrudnienia generują też: wspominana popularność teorii spiskowych, szpiegomania, obsesja na punkcie tajności i nie najlepiej wypełniające

swoje zadania media. Wszystko to sprawia, że trudno niekiedy połapać się w tym, co w Rumunii jest, a co nie jest prawdą. Nie pomagają takie drobiazgi jak chociażby wołające o pomstę do św. Izydora (patrona internetu) strony Narodowego Instytutu Statystyki i innych instytucji dysponujących precyzyjnymi – przynajmniej w teorii – danymi liczbowymi.

Analityk studiujący Rumunię musi się więc w jakiejś mierze pogodzić z faktem, że w przypadku niektórych tematów nigdy nie zyska zupełnej pewności co do słuszności części swoich hipotez – na zawsze pozostanie na jakimś poziomie prawdopodobieństwa. Nie będzie w tym jednak odosobniony – w końcu z podobnymi wyzwaniami mierzą się jego rumuńscy koledzy. Analiza tamtejszej rzeczywistości i dla nich nie jest sprawą łatwą.

Mimo to warto podjąć rękawicę. Istnieją zresztą na tym łacińskim, rumuńskim morzu tajemnic także „wyspy analitycznej szczęśliwości". Jedna z nich zbudowana jest z sympatii do Polski i Polaków – której co do zasady pełni są lokalni mieszkańcy – sprawiającej, że z większą otwartością podchodzą oni do badaczy z naszego kraju. Nie będzie przesadą stwierdzenie, że Rumuni są jednymi z najbardziej polonofilskich narodów na kontynencie. Inną „wyspę" tworzy wykazywana przez tamtejszych kolegów (dziennikarzy, analityków, reprezentantów trzeciego sektora, a nawet polityków) chęć spotykania się z zainteresowanymi ich ojczyzną i kłopotami ludźmi. Szczególnie tymi pochodzącymi znad Wisły.

Owa sympatia kontrastuje swoją drogą z wciąż pokutującymi w Polsce negatywnymi stereotypami na temat Rumunii i Rumunów, którzy kojarzą się u nas to z Romami, to z ubóstwem czasów późnego Ceaușescu. Tymczasem wyobrażenia te rozmijają się z prawdą. Romowie, choć faktycznie stanowią istotną mniejszość (nawet do 10% populacji), są grupą kulturowo, etnicznie i językowo odrębną od Rumunów. Skrajna bieda z lat 80. i początku transformacji ustrojowej należy dziś do przeszłości, a współczesna Rumunia, mimo opisanych trudności, cieszy się opinią tygrysa gospodarczego wschodniej flanki UE.

Wreszcie, abstrahując już od kwestii politycznych, należy podkreślić, że Rumuni są niezwykle gościnnymi oraz – jak przystało na przedstawicieli kultury łacińskiej (samozwańczych czy nie) i południowoeuropejskiej – towarzyskimi ludźmi, którzy nie tylko poświęcą nam swój czas i uwagę, lecz także sprawią, że ów czas spędzimy po prostu miło. Zarówno dla tych wysp, jak i dla tajemniczych, ledwo dostrzegalnych z powierzchni raf, których dokładnych kształtów można się niekiedy tylko domyślić, warto zapuścić się na te niełatwe wody.

Bałkany Zachodnie, czyli jak badać peryferie peryferii

Marta Szpala

Studia bałkańskie to dziedzina stawiająca przed badaczem liczne wyzwania i dylematy. Pierwszy dotyczy samej definicji przedmiotu analizy, czyli wyznaczenia granic geograficznych Półwyspu Bałkańskiego, a co za tym idzie – i jest jeszcze trudniejsze – ustalenia, które państwa możemy nazywać bałkańskimi. Tekst ten skupia się jednak na tych określanych niezbyt fortunnie w unijnej nomenklaturze wspólnym terminem „Bałkany Zachodnie", czyli Czarnogórze, Bośni i Hercegowinie (BiH), Kosowie, Macedonii Północnej, Serbii i Albanii. Będąc otoczone przez kraje unijne, funkcjonują one w specyficznym kontekście geograficznym.

Deklaratywnie aspirują do członkostwa w UE, z którą są silnie powiązane politycznie i gospodarczo, a część z nich (Albania, Czarnogóra i Macedonia Północna) należy do NATO. Formalne zachowywanie standardów rządów prawa i dążenie do integracji europejskiej Bałkany Zachodnie łączą jednak z autokratycznymi praktykami w dziedzinie sprawowania władzy. Przypominają państwa demokratyczne – regularnie odbywają się tam wybory i działają instytucje charakterystyczne dla tego ustroju. Kluczową rolę w krajach tej części kontynentu odgrywają jednak nieformalne struktury i mechanizmy umacniające pozycję charyzmatycznych przywódców ograniczających pole działania opozycji czy społeczeństwa obywatelskiego oraz osłabiających podmioty kontrolne – wolne media i niezależny wymiar sprawiedliwości.

Do tego dochodzi duże znaczenie, jakie dla tych liderów ma legitymizacja zewnętrzna, czyli popieranie ich władzy przez aktorów zagranicznych.

To pokłosie zaangażowania Zachodu w stabilizację regionu po burzliwych konfliktach z lat 90. XX wieku, aktualnie zaś ten stan rzeczy wynika z roli UE w dyktowaniu kierunku reform w tych państwach w ramach polityki rozszerzenia. W konsekwencji analiza procesów politycznych i gospodarczych w regionie, będących często rezultatem zakulisowych uzgodnień i rywalizacji pomiędzy graczami wewnętrznymi i zewnętrznymi, wymaga czasu i żmudnej weryfikacji informacji, bo nieraz poszczególne wydarzenia nie są tym, czym wydają się na pierwszy rzut oka.

Egzotyczny „inny"

Wróćmy do wyodrębnienia obszaru Bałkanów. To trudne zadanie – spór na ten temat trwa nawet wśród geografów, tworzących definicje na podstawie obiektywnych cech fizycznych. Granice południowe, wschodnie i zachodnie wyznaczają morza – odpowiednio Egejskie, Czarne i Marmara oraz Jońskie i Adriatyckie – ale w przypadku tej północnej zgody już nie ma. Termin ten używany jako kategoria polityczna jest jeszcze dalszy od jednoznaczności, a co więcej same kraje wchodzące w skład regionu niechętnie przyznają się do takiej przynależności – aspirują do bycia częścią Europy Środkowej (jak Chorwacja) czy Południowej (jak Grecja) bądź postulują stosowanie szerszego i neutralnego sformułowania „Europa Południowo-Wschodnia".

Próby odcięcia się od pojęcia „Bałkany" wynikają z negatywnych konotacji, jakie ono niesie, szczególnie w piśmiennictwie zachodnim. Już dwa stulecia wstecz tereny te uznawano za zapóźnione cywilizacyjnie, politycznie i gospodarczo. Słowo „bałkański" wyrosło na synonim wszystkiego, co niepożądane i szkodliwe. Kojarzy się z dezintegracją większych państw na liczne niezdolne do samodzielnego istnienia i skonfliktowane ze sobą podmioty, brakiem stabilności, niezrozumiałym okrucieństwem i brutalnymi konfliktami. Regionem postrzeganym jako pomost, coś pomiędzy, nienależącym do końca do Europy, który należy ucywilizować, a zatem narzucić mu normy obowiązujące na Zachodzie.

Choć takie podejście wielokrotnie krytykowano, to wciąż jest ono bardzo żywe i przekłada się na uznawanie, że pewne zjawiska (np. korupcja, autorytaryzm rządów) stanowią immanentną właściwość tej części kontynentu, a nie efekt procesów polityczno-ekonomicznych, posunięć konkretnych decydentów i grup interesu czy wreszcie błędów Zachodu w polityce wobec Bałkanów. Klasycznym przykładem takiego myślenia jest interpretowanie tamtejszych wojen z lat 90. jako konsekwencji „odwiecznych napięć etnicznych", „naturalnej skłonności mieszkańców regionu do przemocy" czy – jak w bardzo popularnej teorii Samuela Huntingtona – życia na obszarze będącym teatrem starcia

cywilizacji. W rzeczywistości seria owych konfliktów militarnych była efektem starcia, ale serbskich elit – chcących zdominować i podporządkować sobie instytucje Jugosławii – i poszczególnych republik ją tworzących – dążących do szerszej autonomii – w którym obie strony instrumentalizowały różnice tożsamościowe. Jednocześnie ani religia nie była przyczyną tych wojen, ani zaangażowanie poszczególnych aktorów zagranicznych nie było dyktowane poczuciem wspólnoty wyznaniowej (choć przykłady takiej solidarności da się wskazać).

W języku polskim termin „bałkański" nie generuje aż tak negatywnych skojarzeń, a czasami (przede wszystkim wśród przedstawicieli młodszego pokolenia) kojarzy się wręcz bardzo pozytywnie – z wakacyjnym wypoczynkiem, smaczną kuchnią, dobrą muzyką i gościnnymi ludźmi. Nad Wisłą mamy do czynienia raczej z odwrotnym problemem – chodzi o romantyzowanie regionu, stosowanie uproszczeń oraz ignorowanie miejscowych bolączek i traktowanie ich jako składowej kolorytu lokalnego. Pełne kawiarnie w środku tygodnia pracy uważamy za element stylu życia, a nie objaw powszechnego bezrobocia. Powrotu do tradycyjnych metod produkcji czy słabości przemysłu nie wiążemy z patologiami neoliberalnej transformacji, które odcisnęły też piętno na Europie Środkowej. Szukamy wytworów kultury ludowej – muzyki i folkloru – które wartościujemy pozytywnie, lecz często pomijamy literaturę, sztukę i dorobek intelektualny.

Wreszcie – uznajemy, że była Jugosławia funkcjonowała podobnie jak my za „żelazną kurtyną", system komunistyczny został jej przez ZSRR narzucony siłą, a obywatele mieli kłopot z wyjazdami na Zachód (jak w wydanej przez IPN grze planszowej Across the Iron Curtain). Faktycznie zaś tamtejsze personalne i kulturalne kontakty ze światem demokratycznym cechowały się dużą intensywnością, a echa polityki prowadzonej w ramach ruchu państw niezaangażowanych nie milkną do dziś, co przejawia się w krytycznym podejściu do kursu zarówno Rosji, jak i USA oraz powiązaniach z państwami afrykańskimi, arabskimi czy Dalekiego Wschodu. Odwrotnie niż w naszym przypadku komunizm w Jugosławii kojarzy się ze swobodą przemieszczania się i kosmopolityzmem, a lata 90. przyniosły izolację trwającą prawie do końca pierwszej dekady XXI wieku, gdy wreszcie UE zniosła wobec obywateli krajów bałkańskich reżim wizowy.

Pułapki bałkanizmu

Zachodnie orientalizujące myślenie o regionie jest, jak wspomniano, nadal żywe, co niejednokrotnie prowadzi do błędnego odczytywania zachodzących tam procesów i przekłada się na postawę neokolonialną, zakładającą, że tylko państwa zachodnie, narzucając mu i egzekwując swoje rozwiązania przy wsparciu siły militarnej, mogą doprowadzić do jego stabilizacji i przemian

społeczno-politycznych wedle liberalnego modelu. Zarówno elity, jak i społeczeństwa Bałkanów miały bowiem nie dorosnąć do demokracji. W konsekwencji podmiotowość i głosy lokalnych aktorów regularnie pomija się zgodnie z założeniem, że eksperci zewnętrzni wiedzą lepiej, czego te społeczności potrzebują. Widać to zwłaszcza dziś – aktualne podejście do nich stawia stabilność ponad demokratyzację (tzw. stabiliokracja). Zgodnie z nim jedynie silni liderzy kontrolowani przez Zachód albo blisko z nim związani są w stanie zapewnić Bałkanom spokój – co odpowiada lokalnym decydentom, ale już niekoniecznie zwykłym ludziom.

Negatywne zjawiska są (szczególnie w mediach) wyolbrzymiane i traktowane jako dowód na zacofanie regionu, każdy problem urasta do rangi zbrodni wymagającej zagranicznej interwencji, a kryzys polityczny postrzegany jest jako początek nowej wojny. O masowej strzelaninie w szkole w Serbii w 2023 r. usłyszała cała Europa i interpretowano ją jako wyraz „naturalnych skłonności do przemocy", mimo że na Bałkanach do takich sytuacji wcześniej nie dochodziło, a w państwach unijnych – wręcz przeciwnie. Doniesienia o przystępowaniu okolicznych mieszkańców do ISIS podczas konfliktu na Bliskim Wschodzie opisywano zaś w kategoriach radykalizowania się tamtejszych wyznawców islamu, choć odnośne statystyki dla wielu krajów UE wyglądały dużo gorzej. Choć współczynnik morderstw kobiet z rąk partnerów jest – według danych ONZ – zdecydowanie niższy na Bałkanach niż chociażby na Łotwie, to traktuje się ten problem jako specyficzny dla tego regionu.

Powyższe zjawiska oczywiście tam istnieją i należy z nimi walczyć, lecz nieraz stanowią symptom ogólniejszych tendencji globalnych. Jednocześnie uznanie ich za komponenty szeroko rozumianej bałkańskości tylko oddala nas od zrozumienia ich rzeczywistych uwarunkowań (bywa, że wyjątkowych dla każdego społeczeństwa) i faktycznego przeciwdziałania im. Zanim więc uznamy coś za aspekt lokalnej specyfiki, warto porównać statystyki z tymi dotyczącymi UE i osadzić wydarzenia w konkretnym kontekście społeczno-politycznym (przykładowo o wyjazdach do Syrii decydowało głównie ubóstwo, a nie ideologia). Przede wszystkim nie wolno zaś ulegać medialnej panice – trzeba weryfikować dane i szukać pierwotnego źródła informacji, najlepiej miejscowego, zanim powieli się doniesienia o wybuchu kolejnego konfliktu zbrojnego w regionie (co zdarzyło się także polskim mediom).

Mój ulubiony przykład takiej interpretacji sytuacji dotyczy BiH i obrzucenia petardami przez nudzących się nastolatków auta, którym podróżował Anto Jeleč, jeden z dowódców armii. Zajście to prasa, telewizja i internet przedstawiły jako rezultat aktywności islamskich terrorystów i zamach na instytucje państwowe, a poważna literatura naukowa wciąż przytacza jako fakt. Z zainteresowaniem obserwowałam, jak głupi incydent z fajerwerkami przeistoczył się w atak bombowy.

Opisywane podejście obejmuje też ignorowanie pozytywnych wydarzeń i procesów. Po pierwsze w Kosowie powstało najbardziej demokratyczne państwo regionu z coraz sprawniejszą gospodarką – to jeden z nielicznych przykładów zakończonej powodzeniem zachodniej interwencji (nie neguję przy tym rozmaitych bolączek, z którymi wciąż się ono zmaga). Po drugie w BiH pokojowo współżyją trzy narody, które wcześniej toczyły ze sobą brutalną wojnę, a kraj ten po zawarciu porozumienia w 1995 r. nie doświadczył poważniejszych incydentów na tle etnicznym (co często zdarza się w środowisku pokonfliktowym). Do dziś – choć politycy stale podsycają napięcia – do takich zajść nie dochodzi, a w społeczeństwach – mimo rozczarowania trwającą już prawie trzy dekady integracją z UE – utrzymuje się silna prozachodnia i prounijna orientacja. Wśród wartych wspomnienia osiągnięć znajdują się również wstąpienie do NATO trzech z sześciu krajów tej części Europy czy sukcesywny wzrost poziomu życia jej mieszkańców.

Pozorne podobieństwa…

Bałkany przywykliśmy traktować jako swego rodzaju monolit – zbiór podmiotów borykających się ze zbliżonymi wyzwaniami wynikającymi ze wspólnego dziedzictwa historyczno-kulturowego (mowa m.in. o funkcjonowaniu w ramach Imperium Osmańskiego, bagażu systemu komunistycznego i pamięci o konfliktach zbrojnych). Tymczasem są one bardzo zróżnicowane pod względem chociażby wypracowanego systemu politycznego i tradycji państwowych, co przekłada się na odmienne mechanizmy polityki wewnętrznej i różne pozycjonowanie się w stosunkach z partnerami zagranicznymi.

Struktura Serbii jest silnie scentralizowana, władza i elity – skoncentrowane w Belgradzie – a odrębności lokalne i etniczne – pomijane i ignorowane przez rządzących. Ten stan rzeczy znajduje odzwierciedlenie chociażby w systemie wyborczym – cały siedmiomilionowy kraj to zarazem jeden okręg. Przy tym głosuje się na listę, a nie na kandydata, zatem o tym, czy ktoś dostanie się do parlamentu, decyduje lider partii, a nie wyborcy. Ustroje Kosowa czy Macedonii Północnej przewidują szeroką autonomię samorządów (nie zawsze urzeczywistnianą) i zapewniają ugrupowaniom reprezentującym mniejszości narodowe daleko idące uprawnienia. BiH cechuje się zaś władzą centralną o bardzo ograniczonych prerogatywach, operującą w reżimie konsensualnym zakładającym rządzenie przez elity polityczne trzech narodów – co miało umożliwić zawiązanie wspólnego państwa po konflikcie z lat 90.

Niektóre państwa regionu są właściwie homogeniczne (Albania) albo żyją w nich nieliczne mniejszości (Serbia), inne – zróżnicowane, jak Macedonia Północna (udział Albańczyków w populacji wynosi 25%), BiH (Boszniacy – 50,1%,

Serbowie – 30,8%, Chorwaci – 15,5%) czy wreszcie Czarnogóra, gdzie naród tytularny nie stanowi większości (Czarnogórcy – 45%, Serbowie – 29%, Bośniacy – 9%, Albańczycy – 5%). Te różnice trzeba brać pod uwagę przy analizie sytuacji w poszczególnych państwach. Założenia dotyczące jednego mogą się zupełnie nie sprawdzać w odniesieniu do innego – mimo podobieństw. Najwyraziściej fakt ten potwierdzają Albania i Kosowo – kraje bliskie językowo, lecz o rozbieżnych interesach (np. Tirana skłania się ku współpracy z Serbią, którą w Prisztinie uważa się za największe zagrożenie). Co więcej, ich społeczeństwa również mają odmienną charakterystykę: kosowskie jest młode, demokratyczne i egalitarne, a zarazem bardziej przywiązane do religii, a albańskie – silnie zsekularyzowane, ale hierarchiczne i patriarchalne, jak również coraz bardziej autokratyczne. Nie wolno więc zakładać, że znajomość któregoś z krajów zapewnia wgląd w nie wszystkie.

...i duża wewnętrzna różnorodność

Państwa Bałkanów Zachodnich – z wyjątkiem Serbii – zaliczają się do krajów o niewielkiej liczbie ludności (od 600 tys. w Czarnogórze do 3,1 mln w BiH) i stale kurczącej się populacji, a łączny PKB regionu jest porównywalny ze słowackim. Na to nakładają się różnice determinowane geografią – poszczególne wspólnoty, często oddzielone pasmami przebiegających przez półwysep gór, zwykle funkcjonowały oddzielnie, nieraz ze sobą rywalizując, co dzisiaj przekłada się na znaczne odmienności dialektalne, silną tożsamość lokalną i pamięć historyczną – co trudno pojąć mieszkańcowi homogenicznej etnicznie i językowo Polski. Przykładowo mała Czarnogóra obejmuje bogate wybrzeże, Podgoricę i górzysty, niedostępny interior. Z kolei Albania składa się z górzystej północy (z silnym komponentem katolickim), gdzie dominowały wspólnoty klanowe i pasterstwo, oraz bogatych dolin na południu z dużymi majątkami ziemskimi. Obecnie ten podział skutkuje m.in. tradycją głosowania na różne bloki polityczne oraz silnymi antagonizmami pomiędzy obiema grupami funkcjonującymi w ramach jednego państwa. Znaczne odrębności charakteryzują też innych przedstawicieli nominalnie tych samych narodów, często zamieszkujących kilka państw. Choć Serbowie w BiH mogą się zdecydowanie różnić od ich pobratymców w Chorwacji czy Czarnogórze pod względem poglądów i interesów, to często dane narody traktuje się jako spójną grupę o wspólnych celach.

Osią podziału jest także pogłębiająca się przepaść pomiędzy stolicami – przyciągającymi ludzi, bo oferującymi (jako jedyne) zatrudnienie – oraz coraz biedniejszą, wyludniającą się prowincją, gdzie jak w soczewce skupiają się niedomagania słabych państw bałkańskich. Rozwijające się duże miasta i tętniące życiem kurorty tworzą pozory boomu gospodarczego, wolności oraz

triumfu liberalizmu. I choć uważna obserwacja pozwoli dostrzec problemy również w Belgradzie czy Tiranie, to wycieczki na peryferie lepiej pokażą, jak rzeczywiście działa dane państwo i jak sprawni są rządzący nim. Podróże umożliwiają skonfrontowanie narracji władz – szczególnie serbskich i albańskich – o ogromnych sukcesach ekonomicznych z zapaścią infrastruktury publicznej i dysproporcjami w rozwoju gospodarczym. Wędrówka przez opuszczone obszary pozbawione jakiegokolwiek przemysłu pozwala też zrozumieć, dlaczego w regionie tak łatwo zbudować sieci zależności. Gdy sektor publiczny stanowi jedyne dostępne miejsce pracy, pozycja i wpływy dysponującej tym zasobem ekipy są potężne.

Rozmiar państw i ich zróżnicowanie wewnętrzne oddziałują na kształt tamtejszych elit, często skupionych w małych kręgach znajomych, nieraz uwikłanych w najróżniejsze koligacje rodzinne i biznesowe, o których wiedza daje lepszy wgląd w tło podejmowanych decyzji i przyjmowanych strategii. Uwarunkowania te przekładają się na znaczenie czynnika personalnego w życiu politycznym – sojusze i spory niekoniecznie są rezultatem poglądów, ale wynikają z osobistej historii, pochodzenia czy zaplecza rodzinnego i przyjacielskiego. W odniesieniu do sceny partyjnej poszczególnych krajów trudno więc stosować klasyczne podziały na lewicę i prawicę oraz konserwatyzm i liberalizm – szyldy ugrupowań to zwykle (choć nie zawsze) nic nieznaczące emblematy. W Albanii Partia Socjaldemokratyczna prowadzi skrajnie liberalną politykę gospodarczą, a jej postępowość w warstwie społecznej objawia się nominowaniem na stanowiska rządowe sporej liczby kobiet (o znikomej władzy, bo o wszystkim i tak decyduje premier Edi Rama). Wyjątkowo oryginalny kamuflaż nazewniczy zastosowała natomiast macedońska Lewica – ugrupowanie krańcowo ksenofobiczne i nacjonalistyczne.

Państwa *in statu nascendi*

Kraje bałkańskie łączy to, że ich granice, a często samo istnienie czy odrębność tożsamościowa są kontestowane zarówno wewnętrznie, jak i zewnętrznie. Sytuacja taka dotyczy nie tylko Kosowa, którego pomimo ogłoszonej jednostronnie w 2008 r. niepodległości nie uznaje szereg państw – w tym Rosja i Chiny, ale też członkowie UE i NATO – co poważnie utrudnia mu funkcjonowanie na arenie międzynarodowej. Odnosi się również do BiH, uważanej przez serbskie elity za twór sztuczny, oraz Macedonii Północnej, gdzie tożsamość etniczną tytularnych mieszkańców kwestionują prawie wszyscy sąsiedzi. Z kolei Serbia formalnie wciąż uznaje Kosowo za fragment swojego terytorium i liczy (a przynajmniej część jej elit) na odzyskanie nad nim kontroli, a zarazem pretenduje do odgrywania kluczowej roli na obszarach zamieszkanych przez Serbów żyjących

w granicach innych państw. Utrzymujące się poczucie zagrożenia wpływa na strategię elit – postawy defensywne i brak skłonności do kompromisu, bo ten może zostać uznany za oznakę słabości i zachęcać sąsiadów do stawiania kolejnych żądań. Co więcej, celem rządzących jest wzmacnianie strachu i nienawiści wobec sąsiadów, gdyż to wciąż skuteczna i łatwa metoda mobilizacji społecznej i odwracania uwagi od innych problemów czy niedociągnięć władz. Dlatego trudności gospodarcze, protesty albo ujawnianie skandali korupcyjnych sprawiają, że politycy prowokują napięcia w relacjach z państwami ościennymi lub drobne incydenty. W ostatnich latach to poczucie niestabilności w regionie wzrosło ze względu na coraz mniejsze zaangażowanie Zachodu. UE jest skupiona na problemach wewnętrznych i trwających konfliktach w swoim sąsiedztwie, a polityka Stanów Zjednoczonych stała się nieprzewidywalna po powrocie do władzy prezydenta Donalda Trumpa, który podczas pierwszej kadencji był przychylny idei zmiany granic na półwyspie.

To poczucie tymczasowości uosabia powtarzana w wielu wersjach anegdota o kobiecie, której przynależność obywatelska zmieniała się wielokrotnie na przestrzeni ostatniego stulecia, mimo że nigdy nie wyjechała ze swojej wsi. Przekłada się ono na stosunek społeczeństw bałkańskich do państwa, który jest, łagodnie mówiąc, ambiwalentny. Instytucje państwowe na Bałkanach są postrzegane jako nietrwałe oraz służące interesom rządzących, a nie obywateli. Stąd strukturami dającymi jednostce oparcie, gwarantującymi jej bezpieczeństwo, wspierającymi ją ekonomicznie i finansującymi prywatne usługi zdrowotne są wspólnota lokalna czy szeroka pojęta rodzina. Choć i w tej dziedzinie istnieją duże różnice regionalne. W Kosowie, gdzie długo walczono o samą niezawisłość, panuje przekonanie, że szacunku dla organów państwa społeczeństwo musi się jeszcze nauczyć, bo zbyt długo żyło bez nich. W Serbii zaś aparat administracyjny stanowi raczej źródło poczucia zagrożenia oraz element kontroli nad mieszkańcami i ich subordynowania. Ludzie przyzwyczaili się, że władza niespecjalnie dba o zaspokajanie ich potrzeb, więc muszą to robić sami – co skutkuje ich apatią i generalnym brakiem zaangażowania w politykę.

Historia jako pole ciągłej walki

Poznanie dziejów danego regionu to niezbędny warunek zrozumienia jego charakterystyki, ale w przypadku Bałkanów nie jest to zadanie łatwe. Przeszłość podlega ciągłym interpretacjom, służąc bieżącej walce politycznej – i wewnętrznej, i międzynarodowej. Leżące tu młode kraje po upadku komunizmu i rozpadzie Jugosławii dążyły do legitymizacji swojej państwowości i uzasadniania jej własną historią, co często przekładało się na pisanie jej od nowa. Poszukiwania starożytnych korzeni swojego narodu nabrały intensywności, bo odwoływanie

się do tradycji antycznych miało potwierdzać, że żył on na określonym terenie pierwszy i ma większe prawo do konkretnych terenów niż sąsiedzi. Temu służyło (i służy) łączenie początków państwowości macedońskiej z osobą Aleksandra Macedońskiego czy uznawanie się przez Albańczyków za potomków plemion iliryjskich. W odniesieniu do średniowiecznych państw znajdujących się niegdyś na tym obszarze stosuje się nowoczesne kategorie narodowe, a płynne tożsamości etniczne czy nawet religijne będące jego cechą swoistą wymagają dookreślenia. Panuje terror jednoznaczności – spory o tożsamość narodową postaci historycznych mogą wywołać ostry konflikt, jak ten pomiędzy Bułgarią a Macedonią Północną.

Powszechną praktyką jest budowanie tożsamości narodowej na kulcie ofiary – poprzez eksponowanie krzywd (rzeczywistych bądź wyobrażonych) doznanych od narodów ościennych. Dotyczy to nie tylko ostatnich wojen z lat 90., lecz także dziejów komunistycznej Jugosławii (kto był najbardziej poszkodowany i prześladowany), okresu międzywojennego oraz podległości Austro-Węgrom i Imperium Osmańskiemu. Wykreowanie wizerunku ofiary wymaga też wyrugowania informacji o wszelkich zbrodniach dokonanych przez przedstawicieli danej społeczności (*vide* ludobójstwo w Srebrenicy) czy praktykach dyskryminacyjnych względem członków innych grup (polityka wobec Albańczyków w byłej Jugosławii). I tak serbskie elity skupiają się dziś na pielęgnowaniu pamięci o wypędzeniu Serbów z Chorwacji w 1995 r. i o nalotach NATO z 1999 r., przy czym zupełnie pomijają przyczyny, dla których do tych wydarzeń w ogóle doszło.

Nie tylko służy to wzmacnianiu własnej pozycji na tle sąsiadów na arenie międzynarodowej, lecz także stanowi chętnie używane narzędzie mobilizacji politycznej. Bałkańscy liderzy ochoczo budują bowiem swoją pozycję, pretendując do bycia jedynymi gwarantami bezpieczeństwa narodu. Nie sprzyja to prowadzeniu rzetelnych badań historycznych, a zachodnie piśmiennictwo naukowe – z uwagi na brak zainteresowania regionem czy nieznajomość lokalnych źródeł i języków – również nie zasypuje tej luki w pełni. Na te wyzwania nakłada się historia mówiona, która wciąż odgrywa kluczową rolę w kształtowaniu pamięci o przeszłości, a wskutek wspomnianych odmienności geograficznych oraz licznych w ostatnim stuleciu ruchów migracyjnych może się silnie różnić w zależności od tego, kto i gdzie z nami dyskutuje. Badaczowi pozostaje zatem konfrontowanie rozmaitych wersji wydarzeń (a w optymalnej, choć nie zawsze dostępnej opcji – sięganie do dokumentów i wizyty w archiwach), które należy traktować z dużą dozą ostrożności oraz uwzględnieniem celu i kontekstu ich powstania. Poznanie i weryfikacja faktów nie oznaczają jednak, że wiemy, jak dane zdarzenia odbierają społeczeństwo i konkretne jednostki – to wypadkowa osobistych i rodzinnych historii oraz aktualnej propagandy.

Gospodarka na sterydach

Stwierdzenie, że sytuacja ekonomiczna wpływa na politykę, to oczywisty truizm. Na Bałkanach ilustracją tego procesu jest choćby oddziaływanie globalnego kryzysu gospodarczego z 2008 r., który całemu regionowi przyniósł dramatyczny wzrost bezrobocia, spadek poziomu życia i inne negatywne konsekwencje. Tamtejsze społeczeństwa odczuły je tym boleśniej, że właśnie doświadczały krótkiego okresu prosperity po odsunięciu od władzy autokratycznych liderów z lat 90. i zakończeniu konfliktów zbrojnych. Tamten kryzys przyczynił się także do głębokiego rozczarowania samą demokracją i transformacją gospodarczą, zwykle oznaczającą uwłaszczenie się elit politycznych na majątku państwowym, oraz przełożył się na zahamowanie reform i integracji z UE, a w niektórych krajach otworzył drogę do władzy siłom populistycznym o nacjonalistycznej proweniencji.

Jednocześnie bardzo trudno odpowiedzieć na pytanie, jak faktycznie wygląda sytuacja gospodarcza na półwyspie. To pokłosie dużej roli sektora nieformalnego – działającego poza legalnym obiegiem i regulacjami – ale też rozpowszechnienia korupcji i przestępczości zorganizowanej. Próby oszacowania skali stref szarej (legalnej, ale niezarejestrowanej działalności) i czarnej (nielegalnej) z góry skazane są na porażkę – poszczególne instytucje stosują do oceny tych zjawisk różne metodologie. Podczas gdy zgodnie z badaniem siły roboczej (Labour Force Survey) zatrudnienie w sektorze nieformalnym wynosi od ok. 20% w Macedonii Północnej i Serbii do 37% w Albanii, organizacje pozarządowe zajmujące się korupcją podają znacznie wyższe wartości – od 36% w Serbii do 76% w Kosowie. Ta rozbieżność uwidacznia szerszy problem z danymi, które w państwach bałkańskich nierzadko nie odzwierciedlają rzeczywistości. Niekiedy to konsekwencja celowego działania rządzących, pragnących się pochwalić lepszymi wskaźnikami, niekiedy niezadowalającej jakości pracy urzędów statystycznych (choć w ostatnich latach sytuacja w tym względzie i tak się poprawiła). Do tego dochodzi problem wykorzystywania tamtejszych gospodarek do legalizowania nieuczciwie zdobytych pieniędzy (kiedyś poprzez np. myjnie samochodowe, teraz m.in. z użyciem sektora budowlanego), co poważnie zaburza konkurencję na tych rynkach i utrudnia funkcjonowanie legalnym biznesom.

Kolejne zagadnienie, które trzeba poruszyć, dotyczy znacznego wpływu na bałkańskie gospodarki silnych grup oligarchicznych zbliżonych do władzy, która w sposób formalny i nieformalny ogranicza dostęp do rynku podmiotom pozbawionym zaplecza politycznego, przez co dochodzi do utrzymywania się sztucznie zawyżonych cen, bynajmniej niewynikających z gry popytu i podaży, kosztów produkcji oraz podatków. Ten stan rzeczy powoduje rozmaite, nieraz zadziwiające anomalie – przykładowo żywność w serbskich sieciach handlowych jest sporo droższa niż w Polsce.

Jak zatem analizować stan tych gospodarek? Nie poprzestawać wyłącznie na sprawdzeniu głównych wskaźników, lecz weryfikować ich nagłe fluktuacje (bo spadek bezrobocia może być skutkiem zmiany metodologii, a nie rzeczywistej poprawy sytuacji ekonomicznej). Przydatne są rozmowy z ekspertami, ale i zwykłymi pracownikami różnych sektorów – o ich sytuacji zawodowej, średnich zarobkach, perspektywach rozwoju danych branż itd.

Media – wątpliwe źródło informacji

Środki masowego przekazu – przynajmniej te najpopularniejsze i ogólnodostępne – już dawno przestały być źródłem wiedzy zarówno dla społeczeństw regionu, jak i badaczy. Albo szerzą one korzystne dla rządzących narracje (np. w Serbii), albo stanowią narzędzie nacisku na nich ze strony oligarchów (Albania, Kosowo) lub nawet aktorów zagranicznych (jak rosyjski Sputnik w Serbii czy media kontrolowane przez spółki węgierskie w Macedonii Północnej). Niedofinansowane, operujące na bardzo małych rynkach prasa, stacje i portale bałkańskie nie pełnią funkcji kontrolnych ani wobec władz, ani grup biznesowych. Nie mają również środków na przygotowywanie długich, fachowych, pogłębionych materiałów.

Dodatkowo lokalni politycy już od dawna stosują taktykę Trumpa polegającą na zasypywaniu mediów ogromną ilością sprzecznych, kontrowersyjnych i fałszywych informacji, których nikt nie jest w stanie przeanalizować. Przykładowo prezydent Serbii Aleksandar Vučić lubuje się w wielogodzinnych, niejednokrotnie codziennych występach w ulubionych stacjach. Od jego ministrów tego samego dnia można usłyszeć informacje o szybkim wdrażaniu reform wymaganych przez UE i zacieśnianiu współpracy z Rosją, jako sukces zaś prezentuje się rozpoczęcie inwestycji, która zgodnie z pierwotnymi planami miała zostać ukończona lata temu. Na półwyspie istnieją jeszcze wprawdzie aktywne grupy dziennikarzy śledczych tworzących teksty dokumentujące korupcję i nadużycia, ale nie rekompensują one braku bieżącej rzetelnej informacji.

Śledzenie mediów pozwala więc określić taktyki działania rządzących, pokazuje, co chcą ukryć, oraz uwidacznia strategie grup interesu i ich relacje z władzami – rzadko jednak dostarcza wiarygodnej wiedzy o tym, co się dzieje. Dobitnie obrazują to chociażby toczące się od listopada 2024 r. protesty w Serbii, o których publiczny nadawca nie informował przez długi czas w ogóle, a gdy już zaczął, stawiał demonstrantów w złym świetle i ilustrował manifestacje scenami z rzekomych bójek. Media służą też decydentom do odwracania uwagi od bieżących problemów (społecznych i gospodarczych), w dogodnych momentach eskalując napięcia z sąsiadami (*vide* regularnie ujawniane plany obalenia rządu w Serbii przez wrogów zewnętrznych bądź wewnętrznych czy doniesienia o incydentach na tle etnicznym w państwach ościennych). Tu wracamy do kwestii

nieliczności elit – nieraz rozmowa z ich przedstawicielami daje o wiele więcej niż codzienne czytanie gazet.

Wpływy zagraniczne

Oddziaływanie aktorów zewnętrznych na życie polityczne małych krajów bałkańskich jest zdecydowanie większe, niż ma to miejsce w przypadku tych potężniejszych czy należących do UE. W pierwszej kolejności warto zwrócić uwagę na BiH – gdzie wpływy te usankcjonowano formalnie, powołując instytucję Wysokiego Przedstawiciela, dysponującego kompetencjami ustawodawczymi, wykonawczymi i sądowniczymi – czy Kosowa – gdzie kluczowe znaczenie dla bezpieczeństwa ma kontyngent wojsk NATO. Poparcie partnerów zagranicznych to nieraz newralgiczny element legitymizacji władz – to oni dostarczają rządzącym zasoby (pieniądze, wsparcie techniczne i szkoleniowe oraz głos w organizacjach międzynarodowych) poprawiające ich pozycję względem konkurentów. Na szczeblu unijnym ważnym kanałem kreowania wizerunku i zabiegania o poparcie jest kooperacja w ramach europejskich partii, nieraz przekładająca się na ocenę poczynań polityków z regionu.

Takie uwarunkowania skutkują różnymi strategiami aktorów w poszczególnych krajach. Miejscowi przywódcy nauczyli się już, że wystarczy deklarować przywiązanie do wartości demokratycznych i integracji europejskiej, by kraje zachodnie zaczęły ignorować autokratyczne praktyki sprawowania władzy opartej na sieciach klientystycznych i nepotyzmie. Czasami stawiają oni na budowanie wizerunku proeuropejskich reformatorów i uległość wobec zagranicznych (zwłaszcza unijnych) decydentów przy jednoczesnym braku realnych działań, by wdrożyć wymagane przez UE reformy dotyczące budowania instytucji demokratycznego państwa prawa. Taką taktykę stosuje przykładowo premier Albanii, o którym mówi się „liberał na Zachodzie, autokrata w domu". Z kolei prezydent Serbii koncentruje się raczej na zdobywaniu przychylności poszczególnych państw członkowskich, gwarantując im korzystne warunki współpracy oraz kontrakty dla wywodzącego się z nich biznesu i ichniejszych grup interesu, a jednocześnie wzmacnia swoją pozycję względem partnerów zachodnich poprzez zbliżenie z Chinami i Rosją.

Niekończąca się unijna integracja

Perspektywa członkostwa w UE miała być silnym impulsem reformatorskim dla krajów regionu, jak również doprowadzić do transformacji politycznej i gospodarczej oraz trwałej stabilizacji Bałkanów. Choć większość tamtejszych społeczeństw nadal popiera integrację, to w szybką akcesję już mało kto wierzy.

Proces ten trwa zdecydowanie zbyt długo – przykładowo Macedonia Północna uzyskała status kandydata w 2005 r., ale wciąż nie rozpoczęła negocjacji akcesyjnych. Politycy unijni wprawdzie często powtarzają, że miejsce Bałkanów jest w Unii, lecz robią niewiele, by tak się rzeczywiście stało, co podważa wiarygodność perspektywy członkostwa. Sama polityka rozszerzenia jest także nieraz instrumentalizowana w relacjach bilateralnych pomiędzy państwami członkowskimi a kandydatami (ci pierwsi domagają się różnych koncesji w zamian za zgodę na postępy w integracji tych drugich) oraz w grze interesów w UE. Pełnoskalowa agresja Rosji na Ukrainę w 2022 r. przyniosła pewne ożywienie polityki rozszerzenia i po długiej przerwie niektóre państwa poczyniły jakieś postępy na drodze do UE, ale było to raczej podyktowane potrzebą wizerunkowego sukcesu Brukseli niż faktycznym wdrażaniem standardów unijnych.

W latach 2024–2025 spektakularne sukcesy w tej dziedzinie osiągnęła Albania, która pod względem liczby otwartych rozdziałów negocjacyjnych wyprzedziła resztę półwyspu z wyjątkiem Czarnogóry. Czy ten fakt odzwierciedla lepsze przygotowanie Tirany do członkostwa? Niekoniecznie. Informacji o postępach teoretycznie dostarczają przygotowywane corocznie przez Komisję Europejską raporty oceniające stopień realizacji wymaganych przez UE reform. Dokumenty te najlepiej czytać, porównując osiągnięcia kandydatów i w odniesieniu do wersji z lat poprzednich. Unia dysponuje znaczną wiedzą o wszystkich kandydatach, ale już jej ocena dorobku poszczególnych rządów zwykle wypływa z sympatii politycznych. To sprawia, że w jednym przypadku obietnicę wdrożenia jakichś zmian odnotowuje się jako postęp, a w innym wprowadzenie skomplikowanej reformy uznaje za niewystarczające.

Brak przełożenia podejmowanych działań na postępy w integracji poważnie osłabia wpływy unijne w regionie i wolę inicjowania reform ze strony elit. Klasycznym przykładem ilustrującym to wyzwanie jest Macedonia Północna i los lewicowego premiera Zorana Zaewa. W 2018 r. jego rząd pomimo oporu części społeczeństwa zawarł historyczne porozumienie z Grecją kończące wieloletni spór dotyczący nazwy państwa i blokujący przez ponad dekadę zbliżenie z UE i NATO. Proreformatorskie władze liczyły, że przełoży się to na szybką akcesję. Tak się jednak nie stało – proces integracji zablokowała Francja, a potem Bułgaria. Skopje do tej pory nie rozpoczęło negocjacji, a Zaew przegrał wybory.

W konsekwencji elity poszczególnych krajów regionu deklarują wprawdzie wolę szybkiego zbliżenia z Unią, by nie stracić poparcia należących do niej partnerów, lecz nic w tym kierunku nie robią. Potwierdzają to rankingi oceniające państwa półwyspu pod kątem kluczowego dla przyszłej akcesji obszaru – rządów prawa czy stanu demokracji. Zestawienia te wskazują na brak daleko idących zmian od ponad dekady, a nawet regres. Konsekwencją takiego stanu rzeczy jest utrzymująca się migracja z regionu – najczęściej dyktowana

już nie dotkliwym przymusem ekonomicznym, ale chęcią funkcjonowania w stabilnym i przewidywalnym systemie politycznym. Mieszkańcy Bałkanów, utraciwszy wiarę, że ich kraje kiedykolwiek wejdą do UE, postanowili do niej dołączyć na własną rękę.

Nowoczesne autokracje

Dziś, w obliczu niepewności w kwestii akcesji, za skuteczniejsze niż złudne wdrażanie reform sposoby wzmacniania własnej pozycji politycznej uważa się tworzenie silnych sieci zależności zapewniających poparcie w kolejnych wyborach, podporządkowywanie instytucji państwa interesom partii władzy oraz osłabianie mechanizmów kontrolnych w postaci mediów czy społeczeństwa obywatelskiego. Współczesne wersje bałkańskich autokracji są zdecydowanie subtelniejsze i bardziej wyrafinowane niż te znane z lat 90. Dziennikarzy i przeciwników politycznych już się nie zabija, lecz po prostu uniemożliwia się im pracę, podważając ich wiarygodność i ograniczając możliwości dotarcia do społeczeństwa. Pozornie w mediach panuje pluralizm – ludzie mają dostęp do licznych tytułów i szerokiej oferty. Co z tego, skoro prezentują one właściwie te same treści (klasyczny przykład to identyczne okładki prawie wszystkich dzienników w przededniu wyborów w Serbii). Działają też różnorodne partie polityczne, ale część z nich pełni tylko funkcję koncesjonowanej opozycji – często skrajnie prawicowej, by na jej tle rządzący sprawiali wrażenie umiarkowanych. Wybory już dawno przestały dowodzić wolnej woli wyborców – często świadczą raczej o zakresie kontroli władz nad obywatelami.

Aktywność w opozycji wiąże się z niebagatelnymi kosztami prywatnymi i zawodowymi – presją ekonomiczną (w tym zwolnieniem z pracy, utratą zamówień), szykanami (wyrzuceniem dziecka z przedszkola, utrudnieniami w dostępie do usług publicznych) oraz wystawieniem na medialne lincze. Otwarte granice powodują, że ci najbardziej niezadowoleni, a zarazem zdolni do działania wyjeżdżają, co zapewnia rządzącym wygodny wentyl bezpieczeństwa. Nie dosypuje się również głosów w wyborach, lecz sprawna sieć partyjnych popleczników przekonuje do opowiadania się za tym czy tamtym kandydatem (oferując doraźne korzyści lub zastraszając) na wiele tygodni przed głosowaniem.

W przeciwieństwie do przywódcy Serbii z lat 90. Slobodana Miloševicia obecnie żaden decydent z półwyspu nie odważy się jednak otwarcie wystąpić przeciwko zachodnim partnerom czy porzucić drogi integracji unijnej, ponieważ taki krok mógłby go pozbawić zagranicznego poparcia. Unia nie krytykuje miejscowych polityków za niewdrażanie reform i używanie nacjonalistycznej retoryki, a także milcząco akceptuje łamanie rządów prawa oraz ograniczanie wolności mediów i swobód obywatelskich. Przedstawiciele UE regularnie

spotykają się z bałkańskimi liderami przy okazji różnych szczytów, a gratulując wdrażania reform, legitymizują ich władzę i wzmacniają ich pozycję. To zresztą kolejna przyczyna, dla której Bruksela jest postrzegana jako poplecznik autokratycznych przywódców – bo nie reaguje na ich sprzeczne z unijnymi wartościami posunięcia.

Protesty ludzi regularnie wychodzących na ulice w geście niezgody na bezkarność i arogancję polityków oraz zawłaszczanie przez nich państwa (BiH w 2014 r., Macedonia Północna w 2016, Albania w 2019 i 2020, Serbia od 2016) nic nie dają. Cieszący się poparciem Zachodu decydenci wiedzą, że każda demonstracja kiedyś się skończy, więc trzeba tylko spokojnie czekać i nie ustępować. Taki stan rzeczy pogłębia apatię mieszkańców i zabija wiarę w jakiekolwiek zmiany.

Wyzwania, z którymi mierzą się Bałkany – marginalizacja mediów, osłabianie instytucji demokratycznych, wzrost oddziaływania powiązań z biznesem na politykę – odpowiadają szerszym tendencjom globalnym. Te same negatywne procesy widzimy w ustabilizowanych krajach zachodnich. Nawet w pewnym kontraście do nich – w regionie (mimo trudnych doświadczeń związanych z kryzysem migracyjnym z 2015 r.) nie wzrasta bowiem popularność sił radykalnych, nacjonalistycznych i antyemigracyjnych.

Analizowanie procesów zachodzących w specyficznej rzeczywistości bałkańskiej zapewne nie odbiega zasadniczo od badania innych części świata, choć sprawia trudności z uwagi na rozproszenie źródeł informacji, ich wątpliwą wiarygodność i powszechność ocen opartych na stereotypach. Wymaga również czasu, bo to on jak nikt i nic ujawnia mechanizmy działania oraz weryfikuje deklaracje i intencje aktorów politycznych. Jest to proces żmudny i nakazujący ciągle konfrontować dane o różnym pochodzeniu, weryfikować je (optymalnie w terenie) i sięgać do źródeł pierwotnych – dokumentów, decyzji itd. Pamiętajmy też o ostrożności – nie wolno ulegać łatwym interpretacjom ani uproszczeniu, że u podstaw wszystkich problemów regionu leżą zapóźnienia cywilizacyjne bądź napięcia etniczne wynikające z konfliktów.

Zrozumieć Kaukaz, czyli kilka uwag o metodzie reporterskiej w analityce

Wojciech Górecki

Kaukaz to pojęcie geograficzne i polityczne. W pierwszym znaczeniu określa góry, które ciągną się ponad tysiąckilometrowym łańcuchem od Morza Czarnego do Morza Kaspijskiego. W drugim – region na pograniczu Europy i Azji, dzielący się na dwie części: Kaukaz Północny, wchodzący w skład Federacji Rosyjskiej (FR), oraz Południowy, obejmujący trzy niepodległe państwa – a w przeszłości republiki związkowe ZSRR – Armenię, Azerbejdżan i Gruzję. Ten esej jest poświęcony Kaukazowi Południowemu, ale wzajemne związki obu subregionów są tak silne, że nie da się też uniknąć nawiązań do Północnego – w wielu wymiarach tworzą one wspólny „ekosystem". Nie uciekniemy również od geografii: granica pomiędzy obiema częściami Kaukazu, a zarazem granica Rosji z Gruzją i Azerbejdżanem, biegnie w przeważającej części głównym grzbietem kaukaskich gór. Nieliczne miejsca, gdzie da się go przekroczyć i którędy poprowadzono drogi, mają w związku z tym superstrategiczne znaczenie.

Więźniowie geografii...

Badając Kaukaz, trzeba mieć stale przed oczami jego mapy – polityczną i fizyczną. Dotyczy to, rzecz jasna, także innych regionów świata, ale w przypadku Kaukazu bez ich obu nie wytłumaczymy dosłownie żadnego z istotnych, kształtujących jego oblicze procesów.

Na mapie politycznej uderzają dwie rzeczy. Po pierwsze, że **region jest niejako „zamknięty" – ograniczony od zachodu i wschodu morzami** (profesor

Wojciech Materski w pierwszym zdaniu swojej książki o najnowszej historii Gruzji pisze – wielką literą – o „Przesmyku Kaukaskim"). Gdy dodamy do tego Rosję na północy oraz Turcję i Iran na południu, zrozumiemy, jak karkołomne jest przeprowadzenie lądowego korytarza transportowego z Chin do Europy, który omijałby zarówno Rosję, jak i Iran.

Idea ta przyciągała większą uwagę Zachodu dwa razy: po rozpadzie ZSRR, gdy uruchamiano program TRACECA (akronim od angielskiej nazwy **Tra**nsport **C**orridor **E**urope–**C**aucasus–**A**sia) oraz po agresji Rosji na Ukrainę 24 lutego 2022 r. (inicjatywy wokół tzw. korytarza środkowego). Towary przesyłane tą drogą muszą być przeładowywane co najmniej dwukrotnie, na obu brzegach Morza Kaspijskiego (z pociągów na statki i z powrotem na pociągi), a jeżeli z Gruzji skład nie wędruje bezpośrednio do Turcji – w obu krajach przepustowość infrastruktury kolejowej jest ograniczona – dochodzą do tego dwa przeładunki nad Morzem Czarnym. Ale po ataku Izraela na Iran 13 czerwca 2025 r. i zamknięciu przestrzeni powietrznej nad znaczną częścią Bliskiego Wschodu okazało się, że korytarz nad Gruzją i Azerbejdżanem ratuje komunikację lotniczą pomiędzy Europą a Azją.

Podobnie jak cały Kaukaz, „zamknięte" są też poszczególne jego krainy, choćby Abchazja, należąca de iure do Gruzji, ale pozostająca od początku lat 90. XX wieku poza kontrolą Tbilisi, a po wojnie rosyjsko-gruzińskiej 2008 r. uznana przez Moskwę za niepodległe państwo. „Z jednej strony jest morze, z drugiej góry, z trzeciej Gruzini, a z czwartej Ruscy. Gdzie się mamy, do cholery, podziać?" – pytał i rozkładał bezradnie ręce jeden z bohaterów mojej książki o tej nieuznawanej republice, zadając zresztą mimochodem kłam twierdzeniu, że Abchazowie kochają Rosję bezwarunkowo.

Separatystyczny wicepremier parapaństwa, zamordowany w 1995 r. Jurij Woronow, tłumaczył zaś, że „Kaukaz jest przechodnim podwórzem między dwoma morzami. Tutaj nigdy nie wytworzyły się same z siebie silne organizmy państwowe. Tutaj zawsze rządzili obcy. Jak nie Rzym, to Bizancjum, Persja, Turcja czy od dziewiętnastego wieku Rosja. […] Kaukaz to drzwi, wrota, a wrota powinny być zawsze otwarte". Woronow, profesor archeologii i autor książek o historii Abchazji (w jej pierwszym separatystycznym kierownictwie nie brakowało polityków z tytułami naukowymi), uważał w związku z tym, że Rosja albo wróci na Kaukaz Południowy i ponownie go sobie podporządkuje, albo będzie musiała wycofać się z czasem również z Kaukazu Północnego, ustępując miejsca innym graczom. To już jednak temat na inny esej.

Druga rzecz zwracająca uwagę na politycznej mapie regionu to **mnogość jednostek narodowo-terytorialnych o różnym zakresie autonomii.** Na rosyjskim Kaukazie Północnym leży 7 spośród 21 republik FR (idąc z zachodu na wschód, są to: Adygeja, Karaczajo-Czerkiesja, Kabardo-Bałkaria, Osetia Północna,

Inguszetia, Czeczenia i Dagestan), zajmujących łącznie powierzchnię nieco ponad 110 tys. km², czyli mniej więcej jednej trzeciej Polski (dla porównania największa rosyjska republika – Jakucja – liczy trochę powyżej 3 mln km², czyli dziewięć i pół razy więcej niż nasz kraj). Na terenie Gruzji znajdują się dwie republiki autonomiczne – Adżaria i separatystyczna Abchazja – a także drugie parapaństwo, niemająca żadnego formalnego statusu Osetia Południowa (w czasach ZSRR była obwodem autonomicznym, obecnie to formalnie region cchinwalski – od miasta Cchinwali). W Azerbejdżanie status autonomiczny posiada będąca eksklawą Republika Nachiczewańska, natomiast utracił go Górski Karabach (Górsko-Karabaski Obwód Autonomiczny należał do radzieckiego Azerbejdżanu; w 1991 r. stanowiący tam większość Ormianie proklamowali Republikę Górskiego Karabachu – separatystyczne parapaństwo, które zostało ostatecznie zlikwidowane przez siły azerbejdżańskie w 2023 r.). Żadnych terytoriów tego typu nie ma jedynie w Armenii.

Skomplikowany podział administracyjny odzwierciedla sytuację etniczną regionu. Kaukaz to narodowościowa, lingwistyczna i religijna mozaika, tygiel świata, gdzie „na małej powierzchni jest dużo wszystkiego". Już w połowie XIX wieku Michał Andrzejkowicz-Butowt notował: „w naszym stujęzycznym Kaukazie jedziesz, zapalisz fajkę u ogniska jednego narodu, a nim ją skończysz, już miniesz kilka krajów i narodów" (*Szkice Kaukazu*, t. I, Warszawa 1859, s. 86). Dotyczy to zwłaszcza Kaukazu Północnego, ale też Gruzji – bardzo zróżnicowanej regionalnie (pomijając autonomie, każda z kilkunastu historycznych krain ma własną specyfikę, a często i dialekt, zaś gruzińscy Swanowie i Megrelowie mówią odrębnymi, chociaż spokrewnionymi z gruzińskim, językami) – i Azerbejdżanu, zróżnicowanego regionalnie i etnicznie.

Warto pamiętać, że trzy główne narody Kaukazu Południowego należą do trzech różnych rodzin ludów: Ormianie – do indoeuropejskiej, Azerbejdżanie – do tureckiej (turkijskiej), a Gruzini – do rdzennej, kartwelskiej (gruzińskiej). Cały region zajmuje w sumie 186 tys. km² – to nieco ponad połowa Polski. Na równie zróżnicowany krajobraz składają się góry z wiecznie ośnieżonymi pięciotysięcznikami, dwa ciepłe morza, palmy i bambusy, stepy i półpustynie. W samym Azerbejdżanie występuje dziewięć z jedenastu istniejących na Ziemi typów klimatu (według klasyfikacji Wladimira Köppena). Etniczna i przyrodnicza mozaika to efekt ukształtowania terenu. Dominują tu góry i przedgórza (przykładowo niziny zajmują tylko 13% powierzchni Gruzji), co sprawia, że poszczególne doliny rozwijały się w izolacji. Odległość z jednej wioski do drugiej może wynosić 10 km, ale jeśli po drodze jest przełęcz, którą co roku na kilka miesięcy zasypuje śnieg, to każda z osad będzie żyła swoim życiem, wykształcając z czasem nieco inną leksykę, ale też ornament czy sposób przygotowywania potraw, a w efekcie – mentalność.

To wszystko trzeba mieć z tyłu głowy, analizując bieżącą politykę, choćby wojnę rosyjsko-gruzińską z sierpnia 2008 r. Gdy Rosjanie zajęli na kilka dni Gori, położone 80 km na zachód od Tbilisi i znane z tego, że urodził się tam Stalin, było jasne, że są w stanie małym kosztem sparaliżować i wyłączyć z gospodarczego krwiobiegu świata dwa państwa – obok Gruzji także Azerbejdżan. Dlaczego? Bo przez miasto albo jego najbliższe okolice przebiegają najważniejsze równoleżnikowe szlaki transportowo-komunikacyjne Kaukazu Południowego: droga wschód–zachód, kolej, linia energetyczna, wreszcie – ropo- i gazociągi. Poprowadzono je wąskim paskiem równiny, na której leży Gori – dosłownie parę kilometrów na północ i południe od niego zaczynają się góry – i teraz wszystkie znalazły się w zasięgu agresora.

Ale znajomość map to nie wszystko. Na wielu z nich jako jedną z głównych dróg w Gruzji zaznaczono trasę alternatywną wobec tej przez Gori – prowadzącą na południe od niej, wzdłuż granicy z Turcją i kończącą się w nadmorskim Batumi. Można było pomyśleć, że wprawdzie rurociągów i kolei się tamtędy nie przerzuci, lecz transport kołowy nawet w warunkach okupacji Gori będzie funkcjonował bez zakłóceń. Tyle że w rzeczywistości jest to gruntowy miejscami trakt, dostępny wyłącznie dla aut z wyższym zawieszeniem, a i to tylko przez kilka miesięcy w roku.

Aby o takich rzeczach wiedzieć, trzeba jednak dobrze znać region również z autopsji, z regularnych wizyt studyjnych, które wraz z bieżącą, ciągłą analizą źródeł otwartych stanowią sedno analitycznego warsztatu OSW. W czasie takich podróży obok stolic odwiedza się też prowincję – porusza tamtejszymi drogami, zagląda na lokalne bazary (co, skąd i w jakiej cenie się tam sprzedaje?) i rozmawia z taksówkarzami, chętnie dzielącymi się najnowszymi plotkami i przemyśleniami na każdy temat. Ma to wiele wspólnego z pracą reportera zbierającego w terenie materiał do artykułu czy książki. Z warsztatu reporterskiego możemy zresztą zaczerpnąć dużo więcej, o czym w dalszej części tekstu.

Niemal piętnaście lat po tamtej wojnie, wiosną 2023 r. przebyliśmy ową niby alternatywną trasę z kolegami z Ośrodka (wyjazd we dwie lub więcej osób ma tę zaletę, że można na bieżąco dzielić się spostrzeżeniami). Normalnej drogi nadal nie było i gdyby nie maestria Andrzeja Kohuta, który prowadził samochód, utknęlibyśmy na dobre. W efekcie naszej pracy powstał m.in. film *Gruzja. Cicha wojna między Zachodem a Rosją*, dostępny na kanale OSW na YouTubie. Szlak można znaleźć na Mapach Google, ale nie widać tam ani stanu nawierzchni, ani choćby jego rzeczywistej szerokości. A w 2008 r. nawet takie narzędzia stanowiły pieśń przyszłości.

…i historii

Drugim obok geografii filarem, na którym powinien opierać się gmach wiedzy analityka zajmującego się Kaukazem, jest historia. I znowu – dotyczy to też specjalistów od innych regionów i krajów, ale od tego regionu – zdecydowanie bardziej. Miejscowe przysłowie mówi, że na Kaukazie raz się strzeli, a echo odbija ten wystrzał przez kolejne stulecie. A czasami dłużej.

W tamtejszych dyskursach odwołania do naprawdę odległych dziejów pojawiają się częściej niż gdzie indziej. O czyimś prawie do danego terytorium ostatecznie przesądza dowiedzenie, że jego przodkowie żyli tam wcześniej niż przodkowie adwersarza. Dlatego oprócz historii „obiektywnej" badacz Kaukazu musi znać narracje, jakie na temat przeszłości głoszą strony poszczególnych konfliktów. Powinien także śledzić kolejne wydania podręczników szkolnych ukazujących się w Armenii, Azerbejdżanie i Gruzji, ale również w Abchazji (Osetia Południowa takowych prawie nie wydaje). I na Kaukazie Północnym.

Ważną rolę odgrywają przy tym empatia oraz wczucie się w lokalną wrażliwość i sposób myślenia, gdyż tamtejsze narracje przełożone na polski czy angielski „jeden do jednego", bez uwzględnienia kontekstów kulturowych, będą brzmiały w wielu przypadkach co najmniej dziwacznie, a to trąci już orientalizmem. Gruzini wznoszący toasty za Stalina – robią to zresztą coraz rzadziej – nie pochwalają zbrodni komunistycznych i rzadko kiedy chcą powrotu dyktatury. Piją zwykle za człowieka, który wziął pod but Rosję i wygrał wojnę („A kimże on był?! Synem szewca z zapyziałej dziury i niedoszłym księdzem!" – oznajmił mi lata temu wielki gruziński aktor Kote Macharadze, występujący w poświęconym Dżugaszwilemu monodramie). I którego zna cały świat, co dla małego narodu nie jest bez znaczenia. Nie oznacza to, że nie należy przy tym prostować ewidentnych przeinaczeń czy wskazywać celowych fałszerstw.

„Ustarożytnianie się" kaukaskich narodów może najbardziej skrajnie pokazuje historia człowieka z Dmanisi, czyli najstarszych poza Afryką pozostałości pitekantropa (*homo erectus*). Odkryto je w 1991 r. (a następne lata przyniosły dalsze znaleziska) w pobliżu miasteczka Dmanisi, niespełna 100 km na południowy zachód od Tbilisi. W 2000 r. w stolicy Gruzji otwarto wystawę poświęconą dmaniskim wykopaliskom. Pojawił się na niej ówczesny przywódca Eduard Szewardnadze, który wyczuł, że temat może się okazać nośny. W okresie prezydentury Micheila Saakaszwilego (2004–2013) wokół tych kości zbudowano narrację – rzecz jasna żartobliwą, ale niosącą podprogowy przekaz o starożytności państwa – że „pierwsi Europejczycy" pochodzili właśnie z Gruzji, a hasło „Tu (stąd) zaczęła się Europa" (*Europe started here*) wyrosło na motto jednej z promujących kraj kampanii reklamowych. Na echa owej narracji natrafimy jednak nawet w dyskursie naukowym, np. Tea Szelia z Gruzińskiego Muzeum Narodowego zamieściła w polskim czasopiśmie kartwelologicznym

„Pro Georgia" (2018, nr 28) artykuł zatytułowany *Dmanisi – ojczyzna najdawniejszych Eurazjatów*. Warto dodać, że znalezionym przez archeologów szczątkom praludzi nadano gruzińskie imiona Zezwa i Mzija, co w sposób symboliczny określiło ich narodowość.

Tu trzeba by się odnieść do zagadnienia, czy Gruzja (i cały Kaukaz) to Europa, czy Azja, ale wykracza to poza ramy niniejszego eseju – tym bardziej że trudno o jednoznaczne rozstrzygnięcie. Nawet geografowie nie są w tej kwestii zgodni, chociaż większość uważa, że to jednak część Azji (choć w tradycji anglosaskiej granica kontynentów na odcinku kaukaskim biegnie wododziałem pomiędzy zlewniami obu mórz, zatem zachodnia część Gruzji leżałaby w Europie, a wschodnia – w Azji). Oczywiście wszystko można zadekretować: Kazachstan w styczniu 2010 r. objął przewodnictwo w Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie, a Izrael od dawna startuje w rozgrywkach sportowych w grupach europejskich. Gdyby jednak brać pod uwagę kryterium kulturowe – moim zdaniem najistotniejsze – granica przecinałaby region, lecz nie prostą kreską, tylko zakosami, łukami, esami-floresami, zostawiając po obu stronach liczne enklawy należące do sąsiada. Na dodatek zmieniałaby co chwilę swój przebieg. Ale to uwaga na marginesie.

Sprawą większej wagi niż człowiek z Dmanisi jest przeszłość nieistniejącego już jako odrębna jednostka Górskiego Karabachu. Według Baku to „odwieczne" azerbejdżańskie ziemie, a masowe ormiańskie osadnictwo rozpoczęło się tam dopiero w XIX wieku, po zajęciu ich przez Rosję (Ormianie przybywali z Persji i Imperium Osmańskiego). Z kolei w narracji Erywania region „od zawsze" zamieszkiwali Ormianie, a w skład Azerbejdżanu wszedł on bardzo niedawno, za czasów ZSRR. Na tak drastyczne różnice interpretacyjne wpływa m.in. brak wiarygodnych danych na temat składu etnicznego tego obszaru w XIX wieku oraz wybiórcze korzystanie z tych dostępnych.

Strona azerbejdżańska powołuje się na statystyki dotyczące całego historycznego Karabachu, a więc także Nizinnego, gdzie zdecydowanie przeważali muzułmanie. Ponadto zwraca uwagę na początkową odrębność Kościoła Albanii Kaukaskiej, włączonego do Apostolskiego Kościoła Ormiańskiego dopiero w 1836 r. Ma to dowodzić, że dawni karabascy Ormianie to w istocie zarmenizowani Albanowie (a według współczesnej azerbejdżańskiej historiografii mieszkańcy Albanii Kaukaskiej, która istniała pomiędzy II wiekiem p.n.e. a VIII wiekiem n.e., odegrali bardzo istotną rolę w etnogenezie narodu azerbejdżańskiego). Baku akcentuje również, że na tych terenach funkcjonowały różne podległe Persji organizmy państwowe, w tym Chanat Karabaski, i traktuje go *a priori* jako państwo azerbejdżańskie.

Z kolei strona ormiańska przytacza dane odnoszące się do samego Górskiego Karabachu, gdzie – oprócz Szuszy i jej okolic – zdecydowanie dominowali

Ormianie. Jednocześnie głosi, że odrębność Kościoła Albańskiego to kwestia czysto formalna, gdyż od początku VIII wieku był on połączony unią z Kościołem Ormiańskim, na jego czele stał lokalny ormiański władyka, zaś liturgię sprawowano po staroormiańsku. A poza tym – to kolejny argument Erywania – nie wiadomo, gdzie się Albania Kaukaska kończyła i jakie dokładnie tereny obejmowała.

Test na prawdę i „rozbrajanie twarzy"

Jak zweryfikować prawdziwość uzyskanych informacji lub pojedynczej wypowiedzi i wysnuć z nich właściwe wnioski? W arsenale analityki znajdziemy na to różne sposoby, z których najważniejsze to wewnętrzna i zewnętrzna krytyka źródeł – choć lista możliwych do popełnienia przy tej okazji błędów jest bardzo długa.

Dlatego warto sięgać też po metody wykorzystywane przez reporterów. Pierwszą jest oczywiście **samodzielna weryfikacja faktów na miejscu** przy okazji podróży studyjnych. Polina Żerebcowa, autorka przejmujących dzienników czeczeńskich, które zaczęła pisać jako mała dziewczynka, zauważyła: Wierzyć można tylko temu, co się zobaczyło na własne oczy. I w żadnym razie nie dowierzać uszom" (*Dzienniki czeczeńskie 1994–2004*, tłum. Agnieszka Knyt, Warszawa 2018, s. 212). Tak, analityki z pewnością nie wolno uprawiać wyłącznie zza biurka! Do legendy Ośrodka przeszła historia z lat 90. związana z projektem badawczym poświęconym nowym szlakom transportowym łączącym Azję i Europę. Gdy nie udało się zdobyć wiarygodnych danych o przepustowości portu w Batumi, koordynujący projekt pojechał do Gruzji i udał się do górującego nad tym terenem ogrodu botanicznego, skąd przez kilka dni liczył wpływające i wypływające kontenerowce.

Przydatny w pracy analitycznej może okazać się stosowany przez wielką reporterkę Hannę Krall **test na prawdę**. Zgodnie z nim naszą czujność powinna wzbudzić… zbytnia spójność i logiczność narracji, jako że samo życie rzadko bywa spójne i logiczne. Notabene wybitny analityk i wielokrotny ambasador RP Wojciech Zajączkowski do najczęstszych błędów analitycznych zaliczył właśnie „dążenie do spójności narracyjnej za wszelką cenę" oraz „przekonanie o logiczności rzeczywistości społeczno-politycznej" (w książce *Rozumieć politykę międzynarodową. Metody analizy źródeł otwartych*, Warszawa 2025).

Krall wpadła na pomysł owego testu podczas mszy odprawianej przez księdza Adama Bonieckiego. Czytano wówczas fragment Ewangelii według świętego Jana o tym, jak Grecy chcieli zobaczyć się z Jezusem, ale najpierw podeszli do apostoła Filipa, a ten przekazał ich Andrzejowi. Do Jezusa udali się potem. Po mszy Krall zapytała Bonieckiego: „Adamie, dlaczego oni nie

poszli do Jezusa od razu?". Odpowiedział, że nie wie. „Przecież ważne jest to, co im powiedział" – stwierdził. Reporterka na to, że wie, co jest ważne, po prostu ją to ciekawi: może się bali, a może trudno się było do niego dostać? Ksiądz pomyślał, że Krall wątpi w prawdziwość historii, ale ta stwierdziła: „Nie, jest wprost przeciwnie. Ta opowieść jest prawdziwa, ponieważ jest zupełnie bez sensu. Gdyby ktoś ją wymyślił, to by wymyślał tak, żeby wszystko było logiczne. A tutaj jest wszystko nielogiczne. Nie wiadomo, dlaczego – ale tak było". Wtedy Boniecki oznajmił: „Wiesz, nigdy nie myślałem o Ewangelii jako o reportażu".

Według Krall rozmówcy jednak z reguły nie oszukują i nie zamierzają wprowadzić dziennikarza w błąd, by narzucić mu swoją wersję. Po prostu „ludzie czasami uważają, że reporter być może nie zrozumie dokładnie tego, co oni przeżyli, a na ogół przeżywali rzeczy straszne, przynajmniej ci ludzie, których ja słuchałam. I wobec tego chcą jeszcze coś dopowiedzieć, żeby było to jeszcze bardziej wyraźne. Żeby ten reporter przygłupi jeszcze lepiej to zrozumiał, bardziej się przejął. I oni to nawet w dobrej wierze robią. Oni nie oszukują. Tylko chcą dopowiedzieć coś jeszcze".

W pierwszej połowie lat 90., podczas moich pierwszych podróży po Kaukazie, w tym po terenach objętych konfliktami (Osetia Północna i Osetia Południowa, Czeczenia, Dagestan, Abchazja), z powodzeniem korzystałem z **metody „rozbrajania twarzy"**, której nauczyłem się od największego polskiego reportera – Ryszarda Kapuścińskiego. W następnych latach, będąc już pracownikiem OSW, uciekałem się do niej choćby w trakcie przekraczania granicy pomiędzy tzw. Gruzją właściwą, czyli kontrolowaną przez władze w Tbilisi (określenie niezbyt fortunne, ale nie znam lepszego), a separatystyczną Abchazją. Na tamtym brzegu rzeki Inguri zawsze słyszałem: „No i jak podobało ci się u tych faszystów?! Kupili cię już?". O to samo pytali mnie Gruzini, gdy wracałem z parapaństwa. W takich sytuacjach nie wolno kłamać. Można, a nawet trzeba nie mówić całej prawdy – ale kłamać nie wolno. Należy spokojnie wysłuchać tego, co ma do powiedzenia mundurowy – bo zwykle interesowało to mundurowych, choć zdarzali się bezpieczniacy w cywilu – i spróbować „rozbroić" ich twarze. Dobrze robi też powołanie się na lokalny autorytet: „Po co tam jadę? Bo jestem gościem tego a tego!" (oczywiście rzeczony autorytet powinien przynajmniej wiedzieć, że kręcimy się po okolicy). Na Kaukazie gość jest świętością i świadomość, że ktoś ważny może wystąpić w naszej obronie, skutecznie zniechęca do zrobienia nam krzywdy. Niestety, nie działa to na Rosjan, którzy teraz stacjonują nad Inguri, ale w innych miejscach regionu – wciąż tak.

O „rozbrajaniu twarzy" Kapuściński opowiadał wielokrotnie. Chodzi o to, że kiedy mogło go spotkać coś złego – gdy zatrzymywał go patrol albo zaczepiał uzbrojony bandzior – uśmiechał się. Nie miał innej broni, często nie mógł się

nawet inaczej porozumieć. Początkowo ponure oblicza napotkanych stawały się jeszcze bardziej zacięte: „On chyba z nas drwi!". Potem jednak szczery uśmiech robił swoje – zastygłe fizjonomie z wolna tajały, drgały w nich pierwsze mięśnie, pojawiały się grymasy, te zaś przechodziły w nieśmiały zwrotny półuśmiech: oto kolejna twarz została rozbrojona, unieszkodliwiona.

„Metoda reporterska w analityce" (samo to sformułowanie jest oczywiście na wyrost i ma charakter pewnej prowokacji) może odnosić się jednak do metod zbierania materiałów czy odróżniania prawdy od fałszu, ale nie do samego przekazu. Tutaj analityk i reporter różnią się zasadniczo. Pierwszy opisuje świat, stawiając tezy, które musi uzasadnić (istotne, by opierał je na faktach, a nie dobierał fakty tak, by pasowały do założonych z góry tez), natomiast drugi chce przedstawić fakty w możliwie pięknej formie i w uniwersalny sposób. Ma też więcej swobody – wolno mu przykładowo za pomocą anegdoty oddać coś, co w tekście analitycznym (nie mówiąc o akademickim) wymagałoby długiego wywodu i licznych przypisów.

Nie oznacza to, że reportaż nie powinien diagnozować rzeczywistości jak najprecyzyjniej. Lubię cytować Mariusza Szczygła, który tak opisał jeden z zabiegów Krall (zastosowany w wydanej w 1972 r. książce *Na Wschód od Arbatu*): „Zagadka dla młodych czytelników. Oto zdanie o możliwościach dojazdu do miejscowości Wierszyna na Syberii: «Autobus jeździ codziennie z wyjątkiem dni, kiedy pada deszcz, kiedy są zaspy, kiedy jest wiosenne i jesienne błoto i kiedy są na drodze wyboje – po deszczu, błocie i zaspach». Zdanie to krytycy wskazywali jako przykład mistrzowskiego stylu Krall oraz jako genialnie skonstruowaną informację. Co w nim jest niezwykłego? Otóż Krall pisze, że autobus do Wierszyny jeździ codziennie, ale jednocześnie pisze w zawoalowany sposób, że autobus do syberyjskiej wioski nie jeździ prawie nigdy. Nie mówi tego wprost, bo Związek Radziecki ma być wzorcem szczęśliwości, w którym wszystko skazane jest na sukces".

Po drugiej stronie lustra

Kapuściński uważał się za tłumacza kultur. W 1993 r. w wywiadzie dla pisma „Res Publica Nowa" powiedział: „Bardzo świadomie staram się, żeby moje książki były rodzajem tłumaczenia, przekładaniem jednej kultury na inną kulturę, jednej racji na inną rację, jednego sposobu myślenia na inny sposób myślenia". **Tłumaczami kultur** powinni być także analitycy: mówiliśmy już o koniecznych w tym zawodzie empatii i wyczuciu kontekstów kulturowych – bez tych przymiotów zamiast wyjaśniać daną obcą rzeczywistość, będziemy ją zafałszowywać. Wojciech Zajączkowski zaliczył „syndrom zwierciadła" do poważnych błędów analitycznych, a zdefiniował go jako „przenoszenie na analizowaną,

obcą rzeczywistość schematów interpretacyjnych zapożyczonych z własnej rzeczywistości analityka".

Umiejętność właściwego odczytywania obcych kodów kulturowych nabywa się latami – i nigdy nie ma się pewności, czy zrozumiało się wszystko do końca. Barierę może stanowić choćby nieznajomość lokalnych języków. Oczywiste jest, że badacz zajmujący się na serio danym krajem musi znać jego język, ale w przypadku całego Kaukazu w grę wchodziłoby ich co najmniej kilkanaście, w wielu przypadkach skrajnie różniących się od siebie – a to zadanie tylko dla najbardziej uzdolnionych poliglotów (którzy z kolei nie muszą się przecież cechować zacięciem analitycznym). Innym pozostaje albo wąska specjalizacja, albo zdanie się na rosyjski i angielski.

Dwa razy, w dwóch częściach regionu – w zachodniej Gruzji, zaraz po wojnie domowej ze Zwiadem Gamsachurdią, oraz w Czeczenii, w okresie rządów Dżochara Dudajewa – młodzi ludzie zadali mi (po rosyjsku) to samo pytanie: „Co polscy starcy sądzą o tym, co się u nas dzieje?". Wówczas, w pierwszej połowie lat 90., na Kaukazie działo się sporo, ale myślę, że nasi seniorzy nie mieli na ten temat żadnego zdania. Pytanie pokazywało natomiast, że w wioskach, skąd pochodzili moi rozmówcy, owi starcy tak jak przed wiekami zbierali się, omawiali ważne sprawy i dochodzili do wspólnego stanowiska, przekazywanego potem całej społeczności.

Słowa „starcy" nie należy przy tym brać dosłownie – tu oznacza ludzi cieszących się autorytetem oraz mających doświadczenie i wiedzę o życiu. Rzecz jasna, nie mogą to być młokosy, ale nie każdy musi mieć na karku osiemdziesiątkę albo dziewięćdziesiątkę. Z czasem zacząłem przechodzić na ten kod kulturowy automatycznie – sam pytałem ludzi, co starcy z ich wioski czy klanu twierdzą o tym albo o tamtym. Do rozmówcy trafiał pozawerbalny przekaz, że znam i szanuję miejscowe stosunki oraz interesuje mnie zdanie starszyzny – i udzielał mi on wyczerpującej odpowiedzi. A jeśli włożył starszyźnie coś w usta – zostanie to na jego sumieniu. Dziś takie pytanie dobrze jest zadać nieco inaczej: co **wy** (jako rodzina, wspólnota, klan) o tym sądzicie? A w metropoliach i wśród zwesternizowanych elit, które nie chcą być kojarzone z konserwatywną tradycją: co o tym myślą **oni** (prości ludzie, prowincja, duchowni)? Zarówno w reportażu, jak i analityce jakość odpowiedzi zależy od sposobu zadania pytania.

Czasami zależy także od języka, w jakim się je zada. Znajomy Tadżyk chciał kupić w Mazar-i Szarif alkohol, w Afganistanie nielegalny. Dowiedział się, że pokątnie sprzedają go w dwóch sklepikach. W pierwszym odezwał się po tadżycku (na tych terenach używa się go powszechnie). Właściciel go wyrzucił, węsząc prowokację. W drugim spytał po rosyjsku – i dostał, co chciał.

Na Kaukazie **precyzja językowa** jest w ogóle niezwykle istotna. W oficjalnych rozmowach z Gruzinami zamiast „Osetia Południowa" należy mówić,

jak już wspomniałem, „rejon cchinwalski", w Azerbejdżanie lepiej unikać nazwy „Saingilo" (etnonimu określającego obszar na północnym zachodzie kraju, zamieszkiwany przez gruzińską mniejszość) itd. Gdy istniała jeszcze nieuznana Republika Górskiego Karabachu, nazwę jej stolicy zapisywałem jako „Stepanakert (azerb. Chankendi, Xankəndi)" – zaczynałem od wariantu sowiecko-ormiańskiego, co naturalnie nie oznaczało podważania integralności terytorialnej Azerbejdżanu. Od czasu likwidacji parapaństwa na pierwszym miejscu umieszczam już jednak wariant oficjalny, azerbejdżański (a często wyłącznie ten). Jest to zresztą zgodne z wytycznymi Komisji Standaryzacji Nazw Geograficznych poza Granicami Rzeczypospolitej Polskiej (uchwała z 8 listopada 2023 r.). Język azerbejdżański korzysta z alfabetu łacińskiego, ponieważ jednak obce nazwy własne oddaje się w nim fonetycznie (np. Wojciech Górecki to Voyçeh Quretski), uważam, że nazwy azerbejdżańskie trzeba konsekwentnie spolszczać: pisać choćby Chankendi, a nie Xankəndi, ewentualnie podawać obie wersje.

Szczególny przypadek stanowi Abchazja. Opublikowałem kiedyś w „Rzeczpospolitej" artykuł, który zatytułowałem *Kraj w cudzysłowie*. Tłumaczyłem w nim, że opisując ten separatystyczny region, trzeba czasem brać w cudzysłów najprostsze słowa, bo znaczą tam co innego: „Językiem «państwowym» [czy można mówić o „państwowym" języku w parapaństwie?! – WG] Abchazji jest abchaski, jednak niemal wszyscy, przynajmniej w Suchumi, używają na co dzień rosyjskiego. W obiegu jest rosyjski rubel, choć «formalna» waluta to abchaski apsar, wart według sztywnego kursu dziesięć rubli (bite są wyłącznie monety okolicznościowe)". A tak naprawdę formalną walutą jest przecież gruzińskie lari.

Wszystko płynie

Badając Kaukaz, należy pamiętać, że **widzialna, zewnętrzna warstwa rzeczywistości może przesłaniać odmienny – i prawdziwszy – obraz zjawisk**. Tak bywa z sytuacją kobiet. Na pierwszy rzut oka ich pozycja społeczna może się wydawać niska, bo przykładowo w wielu miejscach nie zasiadają do biesiadnego stołu z mężczyznami i jedzą posiłek w kuchni (kobieta gość jest tam zwykle traktowana jak mężczyzna). W takim tradycyjnym domu kobieta może jednak rządzić i rozdawać karty, tyle że zakulisowo. Nie zmienia to faktu, że w niektórych środowiskach rzeczywiście dochodzi do rozmaitych patologii: przemocy domowej lub wydawania za mąż dziewczynek (takim sytuacjom – także skrywanym przed obcym wzrokiem – dziennikarka Stasia Budzisz poświęciła książkę *Pokazucha. Na gruzińskich zasadach*).

W mojej *Planecie Kaukaz* opisałem rodzinę lezgińskiego poety z Dagestanu: „Poznaliśmy się, gdy jeszcze był aktywistą. Ktoś mnie przyprowadził do niego na kolację. Gospodarz miał pod ręką dzwoneczek, którego używał do komunikacji

z rodziną. Dzyń, dzyń – i przybiegała żona. Gestem pokazywał jej pusty półmisek albo karafkę. Żona znikała w kuchni i po paru sekundach była z powrotem, dokładając pieczeń i dolewając wina. Dzyń, dzyń, dzyń – pojawiał się najmłodszy syn. «Papierosy»! – komenderował ojciec i w chwilę później otwierał nową paczkę. Biesiadnikom, a przy stole siedzieli sami mężczyźni, wyraźnie to imponowało. «Kaukaski macho» – myślałem, obserwując Fejzudina. Tamtego wieczoru dzwoneczek często szedł w ruch i żona nie nadążała z winem. W końcu goście się rozeszli, ja zostałem na noc. Obudziło mnie pragnienie. Dowlokłem się do kuchni i zobaczyłem, jak macho krząta się przy garach. Już pozmywał, właśnie zabierał się do kartofli. Żona i synowie spali w najlepsze". Daleko od oczu postronnych toczyło się życie zupełnie inne od tego widzianego przez nich.

Podobnie bywa choćby z afiliacją polityczną: partie i przeróżne ugrupowania wciąż jeszcze niejednokrotnie budowane są nie wokół programu czy zestawu wartości, ale miejsca pochodzenia założycieli. Aby zrozumieć czyjeś wybory, warto dowiedzieć się, skąd wywodzi się ród tej osoby (można od kilku pokoleń mieszkać w Baku, ale być uważanym – i samemu się uważać – za „karabaskiego", „gandżyńskiego", „szekińskiego"). W wielu przypadkach wytłumaczy to nam, dlaczego np. po studiach rolniczych osoba ta trafiła do dyplomacji (dosłownie cała obsada kaukaskiej ambasady w pewnej europejskiej stolicy wywodziła się kiedyś z jednego dość małego miasteczka – tego samego, w którym przyszedł na świat były minister spraw zagranicznych tego kraju).

Warto w tym momencie wspomnieć, że stosunki międzyludzkie na Kaukazie są cały czas dużo mniej sformalizowane niż na Zachodzie. Gdy u nas stykają się ze sobą funkcje społeczne – petent i urzędnik, klient i sprzedawca, kierowca i policjant z drogówki, pacjent i lekarz – tam są to jeszcze często bardziej spotkania człowieka z człowiekiem. Dlatego policjant po zatrzymaniu samochodu do kontroli podaje kierowcy rękę (co nie oznacza, że nie zażąda od „znajomego" łapówki – choć łapownictwo bardzo się w całym regionie w ostatniej dekadzie zmniejszyło). Dlatego klient, wchodząc do sklepu, nierzadko najpierw pyta ekspedienta o imię – aby nie zwracać się doń bezosobowo. Dlatego w telewizji rzadko usłyszymy, że sąd skazał, powiedzmy, Timura S. na rok więzienia – zazwyczaj poznamy nazwiska skazanego oraz sędziego. A w kronice wypadków przeczytamy, jak nazywała się dziewczyna potrącona śmiertelnie przez samochód, a nieraz – pod jakim adresem mieszkała (gdybyśmy chcieli złożyć kondolencje rodzinie).

Oczywiście życie idzie naprzód, system klanowy eroduje, w dużych miastach w stosunki międzyludzkie nieuchronnie wdziera się anonimowość, a nowe reguły gry zastępują stare. Dlatego do państw naszego zainteresowania trzeba jeździć jak najczęściej, korzystając z każdej nadarzającej się okazji, a na miejscu warto nie tylko spotykać się ze starymi znajomymi, lecz także starać się

nawiązywać nowe kontakty, zwłaszcza wśród ludzi młodych. I cały czas trzeba być gotowym do rewizji własnych utartych przekonań, nawet gdybyśmy byli do nich bardzo przywiązani.

Szczególnie że od początku trzeciej dekady XXI wieku Kaukaz Południowy stał się areną znaczących przemian: oto Gruzja, która spośród byłych republik ZSRR najkonsekwentniej – nie licząc państw bałtyckich – dążyła do integracji z Zachodem, zawraca z tego kursu, a Armenia – formalnie cały czas sojuszniczka Rosji – deklaruje chęć wstąpienia do UE. Rzecz jasna procesy te trwają miesiące i lata: sytuacja, dajmy na to, 1 lutego, może niewiele różnić się od tej z 1 stycznia, a ta 1 marca – od tej z 1 lutego. Taka kolej rzeczy usypia naszą czujność, przez co ryzykujemy przeoczenie, że 1 grudnia można mieć już do czynienia z nową rzeczywistością. Dlatego analityk powinien stale zadawać sobie pytania, czy jego tezy wciąż są prawdziwe i czy nadal pasują do opisywanego stanu rzeczy.

Bilans 30-lecia

Zajmuję się Kaukazem od wczesnych lat 90., czyli przez ponad trzy dekady, z których dobre dwie przepracowałem w OSW – i jeszcze mi się nie znudziło, bo Kaukaz ciągle potrafi mnie zaskoczyć. Do dziś, gdy mogę polecieć do Londynu albo Pekinu, zwykle wybieram Tbilisi, choć od lat ciągnie mnie też bardzo na drugą stronę Morza Kaspijskiego – do Azji Centralnej. Oprócz stałego korzystania z serwisów informacyjnych i specjalistycznych opracowań staram się być na bieżąco z kaukaską i centralnoazjatycką kulturą – literaturą, kinem, muzyką – gdyż artyści nieraz zauważają (i potrafią nazwać) rzeczy umykające publicystom i akademikom. Przykładowo istotę rozgrywki pomiędzy prezydentem Kazachstanu Kasymem-Żomartem Tokajewem a jego poprzednikiem Nursułtanem Nazarbajewem, który wyniósł go zresztą do władzy, najłatwiej bodaj zrozumieć dzięki lekturze powieści Iliasa Esenberlina *Koczownicy*, poświęconej początkom Chanatu Kazachskiego w XV wieku. Wspominam o tym w książce *Wieczne państwo. Opowieść o Kazachstanie*.

Moim największym sukcesem analitycznym było chyba przewidzenie wybuchu wojny rosyjsko-gruzińskiej w sierpniu 2008 r. Sukces ten dzielę zresztą z kolegami, bo wspólnie doszliśmy do podobnych wniosków. Interwencja Moskwy wisiała w powietrzu już od wiosny i mówiliśmy o tym z Krzysztofem Strachotą na spotkaniu w Sejmie. Wtedy sądziliśmy jednak, że pretekstem do jej wybuchu staną się wydarzenia wokół Abchazji (ostatecznie poprzedziła ją eskalacja napięcia wokół Osetii Południowej). Jakkolwiek dwuznacznie by to brzmiało, analityka budują właśnie sytuacje kryzysowe. Bartłomiej Sienkiewicz – jeden z twórców OSW – określił kryzys mianem „święta" analitycznego: „Kto nie przeżył przynajmniej jednego poważnego kryzysu w analityce, ten nie wie,

co to życie. Kryzys ujawnia to, co w każdej instytucji jest najlepsze i najgorsze, jest jak «sprawdzam!» w pokerze" (*Jak to się robi? Radykalny poradnik analityczny* [w:] *Okręt Koszykowa*, Warszawa 2007, s. 108).

Na miesiąc przed tamtą wojną udzieliłem krótkiego komentarza „Rzeczpospolitej". Powiedziałem w nim: „Sytuacja jest poważna. Nie wykluczam, że dojdzie do wojny. Chociaż wydaje się, że żadnej ze stron na niej nie zależy. Gruzji utrudniłaby integrację z Zachodem. Poza tym Osetia Południowa i Abchazja to naczynia połączone. O ile z Osetią Gruzini by sobie bez problemu poradzili, o tyle z Abchazją byłoby już trudniej. Osetyjczykom i Abchazom zależy zaś na utrzymaniu status quo. Z kolei Rosja, angażując się w wojnę, straciłaby resztki reputacji «bezstronnego mediatora». Poza tym w 2014 r. mają się odbyć igrzyska [zimowe – WG] w położonym obok granicy Abchazji Soczi. Gdyby w regionie trwał konflikt, olimpiada zostałaby Rosji odebrana. Jeżeli więc Moskwa bierze pod uwagę wojnę, wybuchnie ona w najbliższym czasie".

Kilka miesięcy później zostałem zaproszony jako ekspert do powołanej przez UE niezależnej komisji mającej wyjaśnić okoliczności wojny. Prace tego zespołu, kierowanego przez ambasador Heidi Tagliavini ze Szwajcarii, zaowocowały powstaniem obszernego, liczącego ponad 1100 stron raportu.

Mogę być też dumny z wprowadzenia do analitycznego obiegu w połowie lat 90. terminu „parapaństwo".

Do moich porażek należy choćby niedocenienie azerbejdżańskiej determinacji w odzyskaniu kontroli nad zajmowanymi przez Ormian terytoriami w przededniu drugiej wojny karabaskiej jesienią 2020 r., a także skali azerbejdżańsko-tureckiej współpracy wojskowej. Stały się one jasne już w pierwszych dniach starć.

* * *

Kaukaski mikrokosmos można zgłębiać latami – i życia nie starczy, żeby poznać go do końca. To obszar pograniczny, gdzie góry stykają się z morzem i stepem, Europa – z Azją, Rosja – z Turcją i Iranem, chrześcijaństwo – z islamem, islam sunnicki – z szyickim, a oba – z judaizmem i wierzeniami tradycyjnymi, żywymi do dzisiaj przykładowo w Abchazji. Jak zauważył Krzysztof Środa, autor inspirującej książki *Podróże do Armenii i innych krajów z uwzględnieniem najbardziej interesujących obserwacji przyrodniczych*, w regionie tym „wszystko przechodzi we wszystko: komunizm w kapitalizm, Europa w Orient, jedna religia w drugą, mieszają się strefy klimatyczne, pojawiają się trochę inne zwierzątka, ale nie całkiem inne".

Kaukaz fascynuje może najbardziej dlatego, że wymyka się jednoznacznym definicjom i niezmiernie trudno go zaszufladkować. Z całą swoją różnorodnością jest jednocześnie Wschodem i Zachodem, Północą i Południem. Tworzy własny, osobny świat. Odrębną planetę.

Turcja – kanarek w kopalni porządku międzynarodowego. Dwugłos analityczny

Karol Wasilewski, Krzysztof Strachota

Tekst ten powstał w specyficzny sposób – połączył spojrzenia i doświadczenia Karola Wasilewskiego, kierownika Zespołu Turcji, Kaukazu i Azji Centralnej OSW, oraz Krzysztofa Strachoty, wieloletniego szefa tego zespołu, a obecnie kierownika projektu Środkowy Wschód. Autorzy postanowili ustrukturyzować swoją refleksję o Turcji w ramach kilku bloków. Opowiadają o tym, czym jest dla nich to państwo i jakie czynniki liczą się w jego analizie, a także o zmianach, do których doszło tam w ostatnich dekadach, i o wyzwaniu, jakie niosły one dla próbujących ten kraj zrozumieć. Zastanawiają się też, co będzie decydowało o kształcie Turcji w przyszłości oraz zdobywają się na osobiste przemyślenia, odpowiadając na pytanie, co wniosło do ich doświadczenia zajmowanie się tym trudnym do jednoznacznego scharakteryzowania państwem. Ich rozmowie towarzyszy refleksja nad zmieniającymi się metodami jego badania.

Karol Wasilewski (KW): Dla mnie Turcja jest jak mikrokosmos – mały świat sam w sobie, w którym mieści się dosłownie wszystko, a w dodatku to „wszystko" zwiera się w pełnym paradoksów uścisku. To państwo, które z jednej strony twierdzi, że jest potęgą – aspiruje wszakże do roli mocarstwa globalnego – a z drugiej niejednokrotnie odmawia sobie zdolności do suwerennego działania, wskazując przykładowo, iż jego postępowanie nie wynika z samodzielnie dokonywanych wyborów, lecz zaledwie z okoliczności, które przymusiły je do obrania takiego, a nie innego kursu. To kraj o ogromnych marzeniach, który choćby chwali się, że wysłał człowieka w kosmos (pierwszy turecki astronauta Alper Gezeravcı udał się tam na początku 2024 r., by uczcić stulecie istnienia republiki

słowami jej założyciela Mustafy Kemala Atatürka: „przeszłość jest w przestworzach"), i głosi zamiar stworzenia kompleksowego programu kosmicznego, jak również przoduje pod względem innowacji w sektorze zbrojeniowym, a jednocześnie ma głęboki problem z fundamentami gospodarczymi oraz boryka się z wysoką inflacją, nierównościami społecznymi i polaryzacją polityczną, zagrażającymi tym ambitnym planom. Krótko mówiąc, o państwie tym nie da się z pełnym przekonaniem orzec, że jest „tylko takie czy wyłącznie owakie".

Tę niejednoznaczność widać w jego analizowaniu. W nauce o stosunkach międzynarodowych utarło się przekonanie, że posunięcia Turcji można dobrze wyjaśniać realizmem neoklasycznym – teorią łączącą czynniki z poziomów systemu międzynarodowego i jego poszczególnych aktorów. Tymczasem w pismach jednego z najważniejszych w ostatnich dziesięcioleciach ideologów tamtejszej polityki zagranicznej Ahmeta Davutoğlu można dostrzec ogromne bogactwo teoretyczne. Ów realizm neoklasyczny miesza się tam z konstruktywizmem, akcentującym choćby znaczenie tożsamości czy wartości, jakie Turcja tworzy i wnosi do stosunków międzynarodowych, a niekiedy nawet hardcore'owymi wątkami geopolitycznymi, wskazującymi, że państwo to nie ucieknie od swojej geografii, czyli swojego przeznaczenia.

Krzysztof Strachota (KS): Turcja to oczywiście arcyciekawy kraj, przebogata historia, fascynująca mieszanka i synteza kultur oraz bardzo przyjemne miejsce do zwiedzania. Z perspektywy analitycznej jednak szczególnie absorbuje mnie fenomen państwa jako takiego. Państwa, które spaja tę całą różnorodność, które dominuje – albo próbuje dominować – nad wszystkim; które czuje się zmuszone inicjować i kanalizować procesy zachodzące w kraju, choć naturalnie samo podlega ruchom oddolnym. Radzi sobie raz lepiej, raz gorzej, ale jest kategorią dominującą.

Wśród znanych mi państw Turcja stanowi przypadek wyjątkowy i osobny, dziejący się na uboczu złożonych organizmów, takich jak UE, i na skraju obszarów, które w ostatnich dekadach przechodzą burzliwe wstrząsy – jak Bliski Wschód i obszar postsowiecki. Wymyka się twardym kategoriom: jednocześnie jest i nie jest Zachodem; jest istotnym członkiem NATO, ale zdecydowanie odrębnym; formalnie uczestniczy w procesie integracji europejskiej, ale od standardów europejskich się oddala; nie jest, ale i jest krajem islamskim. Przykłady można mnożyć, a wpływy i zależności – ważyć, ale na końcu Turcja i państwo tureckie pozostają kategorią szczególną. Przeciekawą, choć oczywiście dość odległą i polskim tradycjom, i współczesności.

Przy tym wszystkim dzisiejsza Turcja stanowi specyficzny przykład dynamiki politycznej w wymiarze wewnętrznym i międzynarodowym – zarówno wymuszanej przez okoliczności (w tym społeczeństwo), jak i generowanej przez działania państwa. To – konkretnie – rezultat głębokich zmian

i przewartościowań ostatnich blisko 30 lat rządów Partii Sprawiedliwości i Rozwoju (AKP), które – zaryzykuję – zamknęły pewien rozdział historii tego kraju, ale chyba wciąż nie pozwalają przesądzać, czym on jest i będzie.

Od Turcji reaktywnej do ofensywnej

KW: Jeśli chodzi o analizę Turcji, podkreśliłbym cztery elementy. Pierwszy to kwestia przemian w porządku międzynarodowym. Turcja jest silnie przywiązana do myślenia, że każda ewolucja owego porządku przyniesie jej jakieś konsekwencje. Podejście to widzimy u wszystkich tamtejszych nowożytnych polityków mających coś do powiedzenia na temat polityki zagranicznej – mogliśmy je dostrzec i u Turguta Özala (w latach 1983–1993 kolejno premiera i prezydenta), i u İsmaila Cema (ministra spraw zagranicznych od 1997 do 2002 r.), i u wspomnianego Davutoğlu (szefa MSZ w latach 2009–2014, a potem premiera do 2016 r.). Pojawia się to również u İbrahima Kalına, wieloletniego doradcy Recepa Tayyipa Erdoğana ds. polityki zagranicznej i bezpieczeństwa, a obecnie szefa wywiadu. Mówi on wprost, że Turcja musi prowadzić „360-stopniową politykę zagraniczną", ponieważ cokolwiek i gdziekolwiek wydarzy się na świecie, prędzej czy później uderzy i w nią. Takie poglądy wynikają m.in. z czegoś, co czasem nazywa się obsesją położenia geograficznego. Tzw. interkontynentalizm – lokalizacja w bezpośredniej bliskości trzech kontynentów – wywołuje przekonanie, że kraj leży w tak wyjątkowym miejscu, że niemal każdy czyha na jego niepodległość i suwerenność.

Drugi istotny czynnik przy analizie Turcji to sprawa doświadczeń historycznych, w zauważalny sposób oddziałujących na myślenie jej mieszkańców o polityce zagranicznej i bezpieczeństwa. Zależność tę doskonale ilustruje tamtejszy pęd za nowoczesnością. Wszak bierze się on m.in. stąd, że poprzednik Turcji – wielkie Imperium Osmańskie – upadł m.in. dlatego, że nie nadążył za zmianami w świecie. I gdy analizuję różne obszary działalności tureckiego państwa, często mam wrażenie, że głęboko boi się ono przegapienia jakiejś ważkiej zmiany w stosunkach międzynarodowych, w związku z czym musi być dynamiczne, ciągle prawidłowo rozeznawać trendy i dostosowywać się do tego, co aktualnie jest „na topie". Fascynuje, jak szybko dostrzega ona te zmiany oraz próbuje dokonać szybkiej kalkulacji, które z nich generują szanse, a które zagrożenia. Rzecz jasna proces ten – jako bardzo dynamiczny – jest obarczony dużym ryzykiem błędu i nie zawsze kończy się sukcesem.

Trzeci element stanowi recepcja omówionych czynników przez tureckich decydentów. Jak w każdym państwie na świecie posiadają oni pamięć historyczną, są obarczeni kulturą strategiczną oraz mają z tyłu głowy klisze i skróty myślowe – tu związane z tym, jak wyglądały dzieje Imperium Osmańskiego

i jego upadku. Przykładowo pierwsi decydenci Republiki Turcji – ci pamiętający klęskę swojego państwa – mieli negatywny stosunek do przeszłości imperialnej. Ojciec założyciel Republiki – Atatürk – winił za upadek „imperialne przygody", a źródła problemów upatrywał dodatkowo w konserwatystach, hamujących zmiany modernizacyjne. W związku z tym zalecał zachowawczą politykę zagraniczną – nieangażowanie się w konflikty innych, skupienie na sobie i bezpieczeństwie granic oraz budowanie tożsamości nie w oparciu o religię, która miała jednoczyć wieloetniczne państwo, lecz o nacjonalizm. Z czasem te doświadczenia pierwszych decydentów zacierały się i ulegały reinterpretacji. Pojawili się politycy – z nich rekrutują się m.in. obecne kadry rządzące – którzy inaczej patrzyli na spuściznę historyczną. Mówili na przykład, że wieloetniczność Turcji nie jest jej wadą, ale zaletą, że jej dziedzictwo religijne umożliwia jej prowadzenie aktywniejszej polityki na Bliskim Wschodzie i że w związku z tym Turcja nie powinna być zachowawcza, lecz skoncentrować się na osiągnięciu statusu mocarstwa regionalnego, a nawet globalnego.

Ostatni niebagatelny czynnik to społeczeństwo – również niezwykle dynamiczne, zdolne do adaptacji i posiadające liczne tożsamości. Dlatego do każdej koncepcji politycznej jego zjednoczenia pod jedną czapką – czy to nacjonalistyczną, czy religijną, czy zakładającą tzw. syntezę turecko-islamską – należy podchodzić ostrożnie. Wydaje się, że niebezpiecznie jest patrzeć na społeczeństwo tureckie jako społeczność, którą rządzący mogą ujarzmić lub całkowicie sobie podporządkować.

KS: Znaczący wzrost aktywności tureckiej polityki to bez wątpienia konsekwencja zmiany optyki tamtejszych elit, ta zaś wynika z dość obiektywnych procesów. Kemalistowska Turcja, wewnętrznie skupiona na konsolidacji, w wymiarze międzynarodowym była oblężoną twierdzą żyjącą poczuciem zagrożenia czy to ze strony europejskich imperializmów, czy ekspansywnego ZSRR. Parasol amerykański i unikanie międzynarodowych awantur (nie licząc inwazji na Cypr w 1974 r.) załatwiały sprawę. Koniec zimnej wojny oraz ogromna dynamika sytuacji na Bliskim Wschodzie i obszarze postsowieckim zmieniły uwarunkowania, rodziły w Turcji i frustracje, i ambicje.

To napięcie utrzymuje się przez cały czas: Turcja odczuwa rozczarowanie lekceważeniem jej roli i interesów przez amerykańskich i europejskich sojuszników oraz wyobcowanie w sąsiedztwie. Zarazem ciągle kreuje w sobie przekonanie, że rywale i partnerzy w regionie są coraz słabsi, a ona sama – coraz mocniejsza, wreszcie zaś, że trzeba działać. Ta mieszanka resentymentu i poczucia siły zarówno cementuje odrębność państwa i jego skłonność do jednostronnych działań, jak i stymuluje jego aktywność – stale rozwija ono swe instrumentarium polityczne, dyplomatyczne, kulturowe, wojskowe i gospodarcze do realizowania celów za granicą.

Za charakterystyczne należy przy tym uznać dość elastyczne dobieranie sobie partnerów i gotowość do konfrontacji zależnie od konkretnej sytuacji oraz nieprzerwane budowanie kanałów dialogu i współpracy z możliwie dużą liczbą partnerów (niekoniecznie sojuszników) i klientów. Z daleka – gdy popatrzymy choćby na relacje z USA lub Rosją – wygląda to na schizofrenię, chaos czy nielojalność. Z bliska widać jednak logikę i konsekwencję – Ankara gra przede wszystkim na siebie i każdemu próbuje zaprezentować się jako poważny gracz: asertywny przeciwnik i niemal równocześnie pragmatyczny partner.

Drugim istotnym uwarunkowaniem przekształceń w polityce zagranicznej jest naturalnie sytuacja wewnętrzna. Dojście do władzy AKP w 2002 r. stanowiło wyraz zapotrzebowania na zmiany, a niemal ćwierćwiecze jej rządów – motor tych zmian. Samoograniczające się i zorientowane na Zachód (jako główny – pozytywny i negatywny – punkt odniesienia) elity republikańskie zostały zastąpione czy znacząco rozszerzone o całe spektrum ludzi słabiej zeuropeizowanych, bardziej tradycyjnych, a zarazem dynamicznych i uosabiających wolę awansu społecznego. To nowa energia, potężne ambicje i inne odniesienia – w tym zdecydowanie dalej idące zainteresowanie światem niezachodnim. Dzisiejsza intensywna aktywność zagraniczna Turcji dużo lepiej wyraża tę wrażliwość oraz schlebia jej (grając na różnych strunach: neoosmanizmu, panislamizmu, panturkizmu, ale i antywesternizmu), a „mocarstwowa" polityka w większym stopniu legitymizuje władzę.

Istnieje wreszcie ogrom pragmatycznych i doraźnych motywacji wewnętrznych przekładających się na działalność międzynarodową. W pierwszych latach rządów AKP demokratyzacja i kurs na integrację europejską osłabiały nieformalne wpływy armii (groźbę kolejnego przewrotu), zaś po zaostrzeniu relacji z Zachodem – zwłaszcza po 2016 r. (nieudany pucz i zakrojone na szeroką skalę represje) – prężne kontakty z wybranymi państwami Zatoki Perskiej (najbardziej równomierne – z Katarem) czy Rosją zapewniały dostęp do środków finansowych, inwestycji i rynków, co minimalizowało skutki kryzysu gospodarczego i izolacji na Zachodzie.

W tym wszystkim charakterystyczne wydają mi się dwie sprawy. Pierwsza to fakt, że przy ostrych konfliktach wewnętrznych nie widzę w Turcji sporu o ogólny charakter polityki zagranicznej. Druga natomiast to centralizacja tej sfery – oddziaływanie czynników ponadnarodowych (którymi w Europie są choćby UE i NATO) oraz aktorów niepaństwowych (jak wielki biznes czy przez lata Ruch Gülena) zostało bardzo ograniczone.

„Nowa Turcja" i wyzwania analityczne – na kłopoty „odwrócona szachownica"

KW: Wróciłbym do wątku zmienności Turcji jako podstawowego wyzwania analitycznego. Gdy zaczynałem swoją przygodę z tym państwem, a było to około roku 2010, pisano o nim w dość określony sposób. Kraj ten, wciąż aspirujący do członkostwa w UE, przedstawiano jako umiejętne połączenie islamu i demokracji, promujące „model turecki" i jako takie celebrowane przez prasę zachodnią, m.in. w związku z niespełnionym marzeniem całego Zachodu – a zwłaszcza Stanów Zjednoczonych – o aktorze, który mógłby uporządkować Bliski Wschód za nas (Zachód). Porewolucyjne rządy w Egipcie, Libii i Tunezji powoływały się na AKP i ów model jako punkt odniesienia, a arabska ulica fetowała Erdoğana niczym gwiazdę rocka. Wreszcie – państwo podejmowało kolejną próbę rozwiązania problemu kurdyjskiego i związany z tym procesem trud demokratyzacji.

Zarazem było to państwo, które nadal dynamicznie się zmieniało w reakcji na rozmaite wyzwania międzynarodowe i wewnętrzne. W 2013 r. Ruch Gülena – wcześniej sojusznik polityczny AKP, który dostarczał kadr na potrzeby administracji państwowej – wyrósł na wroga numer jeden partii rządzącej. Ewolucję przechodziła też ona sama: powstała jako ugrupowanie czterech liderów, a z czasem zaczęła się kojarzyć wyłącznie z jednym – Erdoğanem. W 2015 r., czyli zaledwie pół dekady później, upadł proces kurdyjski i na nowo rozgorzał konflikt z Partią Pracujących Kurdystanu (PKK), od razu przybierając jedną z najkrwawszych jego odsłon w historii. Niewielu pamiętało hasła pojednania z Kurdami, a ultranacjonalizm święcił triumfy. W 2016 r. doszedł do tego nieudany zamach stanu, który przyspieszył dedemokratyzację, a z czasem przyczynił się do tego, że Ankara, do niedawna prowadząca politykę „zero problemów z sąsiadami", do 2020 r. skonfliktowała się w zasadzie ze wszystkimi. Niemal wszyscy, poza analitykami, zapomnieli już o „modelu tureckim".

Turcja stała się za to państwem wybitnie asertywnym i stawiającym partnerom wygórowane żądania. Jako szczególną ilustrację tego stanu rzeczy można wskazać jej stosunki z Unią po 2015 r., kiedy to z uwagi na kwestie migracyjne miała wrażenie, że dysponuje w tej relacji pozycją silniejszą. Skłóciła się nawet ze swym najważniejszym sojusznikiem, Stanami Zjednoczonymi, które nałożyły na nią – sojusznika z NATO! – sankcje za zakup rosyjskiego systemu obrony powietrznej S-400. Swoim zachowaniem doprowadziła ostatecznie do urzeczywistnienia się koszmaru tureckich strategów, a więc wejścia w życie porozumienia w dziedzinie bezpieczeństwa pomiędzy Grecją a Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi. Wszystko to działo się oczywiście stopniowo, ale gdy pomyśli się o skali zmian, jakie zaszły w latach 2010–2020, można odnieść wrażenie, że Turcja lubi stany radykalne – takie, które zaledwie 10 lat wcześniej określono by mianem „absolutnie niemożliwych". Chyba najlepszym tego przykładem

jest zagadnienie jej członkostwa w NATO. Podejrzewam, że gdybyśmy w 2007 r. powiedzieli ekspertom ds. bezpieczeństwa międzynarodowego, że 10 lat później w zachodniej prasie będą pojawiały się teksty rozważające usunięcie Turcji z Sojuszu na podstawie Konwencji wiedeńskiej o prawie traktatów, to potraktowaliby nas niezbyt przychylnie.

Wszystkie te procesy niosły konkretne konsekwencje dla analityków. Gdy zaczynałem swoją przygodę z Turcją, nie znając jeszcze dobrze tamtejszego języka, jej przestrzeń medialna sprawiała wręcz wrażenie skrojonej pod potrzeby ludzi mojego pokroju – była pełna publikacji po angielsku, w dodatku umożliwiających utrwalenie fundamentalnych wątków politycznych. Z czasem, wraz z narastaniem konfliktów wewnętrznych, przestrzeń ta zaczęła się silnie zawężać, gazety pisały coraz mniej i coraz mniej sensownie, a ja, wychowany na maksymie „w internecie nic nie ginie", mogłem skonfrontować ją z realiami. Archiwa przejętych przez rząd gazet kasowano, co dla mnie oznaczało tyle, że zapisane artykuły z tureckich gazet internetowych– a przez dziesięciolecie uzbierało się ich kilkaset tysięcy – nagle wyparowały. Dziś, chcąc dobrze orientować się w sytuacji w państwie, warto znać i angielski, i turecki. Co więcej, ze względu na ogromną polaryzację polityczną trzeba czytać zarówno źródła prorządowe, jak i opozycyjne, orientować się w zagadnieniach poruszanych przez kulturę, w której czasem szybciej i wyraźniej zaznaczają się istotne dla społeczeństwa tendencje, a do tego wiedzieć „kto jest kim" oraz znać historię naszych rozmówców, bo nieraz to ona decyduje o głoszonych przez nich poglądach.

Jako przykład napotykanych trudności warto też wskazać te związane z oddziaływaniem atmosfery zastraszenia powstałej po puczu z 2016 r. Zaowocował on nie tylko szerszą autocenzurą w mediach, lecz także „dziwnością" u analityków. Czasem, rozmawiając z nimi przykładowo o wspomnianym zakupieniu przez Turcję systemu S-400, nie wiedziałem, czy to, co mówią, stanowi element nietypowej gry analitycznej, oznakę strachu czy może efekt jakiegoś zbiorowego złudzenia, że Turcja nie musi się już z nikim liczyć. Spędziłem długie godziny na zapewnianiu, że Amerykanie nałożą na nią sankcje za transakcję z Rosją, a zwykle spotykałem się z butną upartością: rozmówcy argumentowali, że Stany Zjednoczone nie odważą się na taki ruch. Odbywało się to w warunkach wyjątkowo konsekwentnej i wyraźnej sygnalizacji Waszyngtonu, że sprawa S-400 to „czerwona linia", po której przekroczeniu będzie on musiał przewartościować swe stosunki z Ankarą.

Inny przykład? Kiedyś jeden z prorządowych analityków przekonywał mnie, że trójpodział władzy nie istnieje, głowy państw zachodnich mogą rozkazywać sądom, a wszelkie normy i reguły są tylko zasłoną dymną dla realnej polityki. Wtedy pojąłem, że pomiędzy naszymi rzeczywistościami analitycznymi doszło

do jakiegoś pęknięcia, że co prawda wciąż posługujemy się tymi samymi pojęciami, ale rozumiemy przez nie coś innego. Zrozumiałem, że jeśli moje wymiany eksperckie mają mieć jakiś sens, to będę musiał jeszcze uważniej słuchać moich rozmówców i starać się rozgryźć, skąd pochodzą ich poglądy, jednocześnie nie poddając się im. Naturalnie wzmocniło to we mnie owo przekonanie, że trzeba mi jeszcze lepiej poznać przeszłość tych ludzi – aby móc spróbować rozszyfrować, czy faktycznie wierzą w to, co mówią, czy z jakiegoś powodu (obaw o pracę lub podatności na ultranacjonalistyczne tezy) tylko podejmują ze mną swego rodzaju grę.

Dalej: na uwadze musiałem mieć również to, że przedstawiciele niektórych think tanków po prostu zgodnie z duchem pragmatyzmu bardzo szybko pojęli, że jeśli chcą przetrwać w przestrzeni publicznej, muszą zmienić *modus operandi* – w mniejszym stopniu pełnić funkcję tych, którzy wykorzystują wiedzę do sprawiania, że ich państwo może podejmować mądrzejsze decyzje, a w większym odgrywać rolę adwokatów czy wręcz tub propagandowych uzasadniających jego politykę zagranicy. To z kolei spowodowało, że należało jeszcze wnikliwiej analizować i odcyfrowywać ich komunikację – wiedzieć, które z przekazów mają cele wyłącznie propagandowe, a które powinny być traktowane z większą uwagą, bo sygnalizują, „co myśli Ankara". Co ciekawe, mam wrażenie, że ostatnio – powiedzmy, od dwóch lat – sytuacja powoli wraca do normy. I tak jak normalizuje się turecka polityka zagraniczna, która pod sterami Hakana Fidana (byłego szefa wywiadu, pierwszego dyplomaty kraju od 2023 r.) staje się bardziej pragmatyczna i przewidywalna, tak też uspokaja się tamtejsza scena analityczna. Pewnie jeszcze za wcześnie, aby uznać ten proces za zakończony, ale gdy się go obserwuje, trudno nie mieć z tyłu głowy myśli, że każda rewolucja musi kiedyś się uspokoić, bo robienie polityki – i analityki – „na wariata" ma ograniczoną użyteczność.

KS: Bezdyskusyjnie zgadzam się, że zmienność i swoista nieprzewidywalność Turcji jest zmorą zajmującego się nią analityka. Osobiście problem ten staram się oswajać, konstatując kilka uwarunkowań. W polityce zagranicznej chodzi przede wszystkim o dynamikę wyzwań zewnętrznych, na które Turcja odpowiada po swojemu – o czym wcześniej mówiliśmy. Nie mniej ważne są procesy wewnętrzne – należą do nich głęboka przebudowa porządku politycznego pod rządami AKP, zdominowana przez jednego człowieka, tj. prezydenta (koncentracja władzy pozwala na gwałtowne zmiany kursu), a także ogromna skala przemian modernizacyjnych. Turcja od 1996 r., kiedy byłem tam pierwszy raz, zmieniła się nie do poznania. Dziś to rozbudowana i nowoczesna infrastruktura, drogi, osiedla – i to nie tylko w metropoliach Stambułu czy Ankary, lecz także na głębokiej prowincji, chociażby w Şanlıurfie i Gaziantepie. To wzrost demograficzny, urbanizacja i masowe migracje oraz towarzyszące tym zjawiskom wzrost

zamożności, coraz większe ambicje i zmiany tożsamościowe. To wspomniana wcześniej wymiana elit.

To dynamiczna i mozaikowa rzeczywistość, która nie mieści się w starych kanonach, regułach, instytucjach, to stały konflikt i mediacja pomiędzy różnymi porządkami. W dużym stopniu taki jest też sam Erdoğan (dorastanie w Stambule w rodzinie przybyłej znad gruzińskiej granicy, patchworkowa edukacja i formacja polityczna, więzienie, kariera urzędnicza i polityczna). To trochę świat, w którym wzorców się szuka i się je tworzy, a nie działa według nich, oraz gdzie ryzyka się dywersyfikuje i gra na kilku fortepianach.

Zmienia się – w pierwszej kolejności pod wpływem samego Erdoğana, ale też kilku większych figur, które przewinęły się przez rząd – krajowy porządek instytucjonalny w wymiarze formalnym. Zmienia się też – co nie znaczy, że słabnie – nieprzejrzysty i nieformalny układ sił w państwie, układ, z którego Turcja słynie. Składają się na niego m.in.: głębokie państwo (tur. *derin devlet*), armia jako gracz polityczny, bractwa i organizacje religijne z Ruchem Gülena na czele, wpływowa i antysystemowa PKK oraz radykalne ugrupowania islamskie. Zagadnienia te trudno śledzić, ale przynajmniej trzeba brać na nie poprawkę.

Analityk – co zrozumiałe – zazwyczaj patrzy na obce sobie realia przez pryzmat swoich kategorii poznawczych i swoją logiką próbuje owe realia zrozumieć. To nie zawsze działa, bo kategorie i logika mogą tam być inne. W Ośrodku w takich przypadkach zawsze staraliśmy się stosować zasadę „odwróconej szachownicy", tj. świadomie zawieszać własną perspektywę i ćwiczyć się w spojrzeniu „z drugiej strony", w tym wypadku uwarunkowań, intencji, celów i możliwości Turcji czy tamtejszego rządu, tego, jak „oni" mogą czytać sytuację, wyceniać potencjalne zyski i koszta swoich posunięć, definiować sukces. To zadanie trudne, wymagające zawieszenia opinii i ocen oraz wsłuchania się w rozmówców bardziej wymagających niż choćby ci zrozumiali dla nas, wielkomiejscy, wykształceni, prozachodni krytycy urzędujących władz. Pod tym względem cenię sobie wspomnianych przez ciebie analityków prorządowych (dobrych, nie wszystkich), bo są oni miarodajni. Podobne zdanie mam o wizytach na tzw. prowincji i dyskusjach z miejscowymi ekspertami – o ich perspektywie, sądach, emocjach.

Myślę, że owa „odwrócona szachownica" pozwala przy okazji zneutralizować kilka całkiem powszechnych słabostek utrudniających rozumienie i prognozowanie rozwoju sytuacji w Turcji. Jedną z nich jest projektowanie naszych kategorii, przykładowo bardzo statyczne i redukcyjne spojrzenie na niezwykle złożoną kwestię kurdyjską. Inną – oswajanie niepożądanych procesów, jak rosnący w siłę autorytaryzm, którego nie da się sprowadzić do partykularnych interesów politycznych lub materialnych poszczególnych osób czy grup rządzących krajem. Spektakularne i kluczowe dla pogorszenia

relacji z Zachodem „kamienie milowe" na drodze do tego ustroju – walka z PKK i represje po puczu 2016 r. – to oznaki głęboko zakorzenionej sekurytyzacji oraz reakcja na to, co Turcy dość powszechnie uważają za egzystencjalne zagrożenie dla własnej suwerenności (przewroty wojskowe z domniemanym wsparciem zewnętrznym) i integralności terytorialnej (perspektywa separatyzmu kurdyjskiego, również wspomaganego z zagranicy). Jednocześnie to konsekwencja poczucia, że Zachód wspiera lub chroni środowiska związane z PKK czy Gülenem, jest nielojalny, dwulicowy lub otwarcie wrogi względem Turcji. Logika miejscowego „autorytaryzmu" znacznie wykracza poza małostkowe motywacje, a przy tym opozycja wciąż może jeszcze wygrywać wybory (lokalne), zaś władze zabiegają o realną legitymację społeczną. Autorytaryzm turecki wykracza też poza ramy jednego środowiska politycznego oraz przypomina, że proces transformacji demokratycznej jest złożony, zależy od wielu czynników, wreszcie – nie jest bezalternatywny. To przykład sytuacji wybitnie niejednoznacznej. Z analitycznego punktu widzenia czarno-biały osąd, że Turcja to kraj autorytarny, a nam się to nie podoba i ten fakt kończy dyskusję, oznacza intelektualną kapitulację – zajmujemy się wszak państwem takim, jakie ono jest, oraz prognozujemy, co i jak je zmienia.

Podobnie sprawa się ma z innymi kontrowersyjnymi kwestiami w polityce tureckiej, jeśli nie zechcemy wyjść z utartych schematów. Za przykład niech posłuży miejscami bardzo bliska współpraca z Rosją – od wiedzy o niej tylko krok do opinii o silnej (i cywilizacyjnej, jeżeli dołożymy autorytaryzm) reorientacji Ankary na Moskwę. Analiza problemu z kilku perspektyw – w tym przede wszystkim tureckiej – pokazuje, że jest on bardziej złożony. Co więcej, z punktu widzenia Ankary ma swój sens i może przynosić pożądane efekty. Przy tym wszystkim nic nie wskazuje na wzrost podporządkowania państwa tureckiego Rosji: ostatecznie to pierwsze stale wzmacnia swoją pozycję zarówno wobec niej, jak i względem UE. Warto „odwracać szachownicę" – niekoniecznie zatrzymywać się wyłącznie na jednej optyce, czy to zachodniej, czy tureckiej – i ograniczyć dość powszechne na Zachodzie i nie zawsze uzasadnione lekceważenie potencjału, racjonalności i osiągnięć Turcji.

Wracając zaś do zmienności w jej polityce: musimy z nią żyć. Zarówno kurs Ankary, jak i jego niestałość będą napędzane doraźnym interesem – tak jak zakup S-400 wynikał z potrzeby nabycia systemu obrony powietrznej na korzystniejszych niż amerykańskie warunkach. Zmienność ta będzie też nieunikniona przy silnej centralizacji władzy oraz słabych – zewnętrznych i wewnętrznych – mechanizmach ją blokujących. Koszty tej polityki będą wpisane w paradygmat budowy silnej, asertywnej i podmiotowej Turcji, tak jak – z perspektywy Ankary – sprawa S-400 stanowiła manifestację odporności na naciski oraz impuls do wyjścia ze strefy komfortu.

Ku przyszłości!

KW: Niezmiennie ważną rolę w analizowaniu Turcji będzie odgrywała polityka wewnętrzna: to, jak zakończą się liczne konflikty (choćby obecne tarcia między rządzącymi a główną siłą opozycyjną – Republikańską Partią Ludową) oraz nowy proces kurdyjski, jak będzie wyglądał „paradygmat państwa" i czym zostanie wypełniony. Oczywiście nie wolno przy tym pominąć szeregu spraw bieżących i drobniejszych z punktu widzenia przetrwania Turcji, ale nadal istotnych. Do kluczowych niewiadomych należy sprawa sukcesji – co stanie się z Erdoğanem i AKP oraz jakie problemy może wywołać niekontrolowane następstwo władzy.

Wspominałem, że w przypadku tego państwa zawsze trzeba pamiętać o analizie trendów widocznych w stosunkach międzynarodowych. W związku z tym wydaje się, że korzyść przyniesie śledzenie tego, co dzieje się tam pod kątem technologicznym. Turcja ma ambitne plany odnośnie do w zasadzie każdej nowej technologii – przykładowo chce dalej rozwijać sektory zbrojeniowy i sztucznej inteligencji, a następnie je integrować, jak również budować komputery kwantowe. Ma także pomysł na rozwój gałęzi kosmicznej, którą traktuje jako jedną z „branż przyszłości". Temu wszystkiemu ma sprzyjać zjawisko zauważalne w kraju w ostatnich latach coraz wyraźniej – legenda technonacjonalistyczna. Rządzący i część biznesmenów pragną wychować pokolenie, które przedefiniuje patriotyzm. Jego wyrazem będzie ciężka praca na rzecz rozwoju rodzimych nowoczesnych technologii, a wszystkie one mają być wytwarzane *yerli ve milli* – lokalnie i narodowo. Ewentualne urzeczywistnianie tego popularnego hasła uważam za jeden z najciekawszych procesów do obserwowania w ciągu najbliższej dekady.

Wydaje się, że niezbędna do badania Turcji okaże się też wiedza z zakresu gospodarki i procesów strategicznych. Jak wspomniałeś przy okazji omówienia „odwróconej szachownicy", z pewnością warto patrzeć na to, co Turcy definiują jako sukces, szansę i ryzyko. Szeroki zasób wiadomości o tych elementach strategicznych i ich odbiorze przez decydentów będzie niezbędny do skutecznej analizy „wychyleń w przyszłość" w poszczególnych branżach, ich sensowności i szans powodzenia. Do tego dochodzi zdolność do zważenia tego, jak plany mają się do tamtejszej ekonomii. Projekty są, jak widać, niezwykle ambitne, natomiast podstawy gospodarki państwa – bardzo słabe. Aby potwierdzić ten rozdźwięk, wspomnę tylko o jednej rzeczy: jeżeli chce się budować nowoczesną gospodarkę zasilaną przez młodych ludzi wykształconych w duchu STEM (*Science, Technology, Engineering, Mathematics*), to sondaże (jak choćby badanie firmy Konda z 2024 r.) nie powinny pokazywać, że większość owych młodych ludzi najchętniej wyjechałaby z kraju, gdyby tylko zrodziła się taka możliwość.

Skoro system edukacji pada ofiarą napięć wewnętrznych, pewne tematy – jak ewolucja – zaczynają być postrzegane jako kontrowersyjne z powodów ideologicznych, a do tego państwo doświadcza ogromnej polaryzacji politycznej, osłabiającej umiejętność krytycznego myślenia, to pojawia się pytanie, czy Turcy będą w stanie wykształcić odpowiedni zasób kadrowy na potrzeby nowoczesnej gospodarki. Moim zdaniem odpowiedź na nie jest newralgiczna dla określenia, czy w perspektywie najbliższych 10 lat na Turcję będziemy patrzeć jako na kraj ambitny, zdolny do samodzielnego formowania rzeczywistości, posiadający aspiracje oraz patrzący przede wszystkim na siebie, czy może jako na państwo niepozbawione interesujących pomysłów, które jednak zderzyło się z niesprzyjającymi uwarunkowaniami i nie dało rady ich przezwyciężyć lub podejmowało błędne decyzje, przedkładając doraźne interesy polityczne nad kwestie strategiczne. Patrząc na częstotliwość sytuacji, w których tureccy politycy decydują się wszczynać najróżniejsze awantury – w ciągu minionego dziesięciolecia najlepiej widoczne w zarządzaniu gospodarką – kierując się zasadą „jakoś to będzie", nie da się wykluczyć ziszczenia się drugiego z tych scenariuszy.

Rzecz jasna w tym aspekcie kluczowe jest przecięcie na linii polityki i gospodarki. W wymiarze bardziej krótkofalowym chodzi o przedkładanie interesów politycznych nad gospodarcze w okresach przedwyborczych (co szczególnie wyraziście ujawniało się przez ostatnią dekadę), a w strukturalnym – o ryzyko, że interesy polityczne coraz mocniej skonsolidowanej władzy i jej sieci nepotystycznej z czasem staną na drodze rozwoju gospodarczego.

Bardzo istotne okażą się również zmiany społeczne. Jak będzie kształtowała się tożsamość mieszkańców Turcji? Czy nieco zapomniane pojęcie *Türkiyeli* – oznaczające identyfikację z państwem, a nie z etnosem tureckim – będzie święciło triumf? A może jednak kraj pójdzie w kierunku okrojenia tej definicji i zostanie przy jakimś zreformowanym po raz kolejny nacjonalizmie? Czy poradzi sobie z polaryzacją polityczną, czy z czasem jej skutki zdewastują zaufanie społeczne, i to do systemu? W tym sensie wydaje się, że kluczowe znaczenie będą miały napięcia na linii państwo–społeczeństwo. Z jednej strony jest państwo, często rozumiane jako potężny i wszechmocny twór, któremu obywatele powinni służyć i dla którego muszą się zdobyć na każde poświęcenie – i wojenne, i technonacjonalistyczne. Z drugiej są obywatele mogący nie mieć ochoty ponosić kosztów transformacji. Dotychczas za wysokie aspiracje tureckich polityków płaciło wyłącznie społeczeństwo, i to wymiernie – wysoką inflacją i wprost ubożeniem. To, czy będzie ono nadal gotowe łożyć na budowę „nowej Turcji", wydaje się niezwykle ciekawym dylematem do badania w ciągu nadchodzących lat.

Zaczynałem od systemu międzynarodowego, więc i na nim skończę. Do analizowania Turcji w przyszłości mogą się też przydać sprawy strategiczne, które pokażą, czym ostatecznie stanie się to państwo w wymiarze zewnętrznym. Bez wątpienia chce być liczącym się podmiotem, a posługując się językiem tureckich decydentów – jednym z centrów nowego porządku międzynarodowego. Tyle że jednocześnie wciąż nie dysponuje potencjałem, aby samodzielnie zaspokoić wszystkie swoje aspiracje, i potrzebuje mądrej polityki – umiejętności tworzenia koalicji czy przekonywania partnerów – a czasem po prostu korzystnych okoliczności zewnętrznych. I to, jak się one będą układały oraz jak Turcja będzie potrafiła je współkształtować, a zarazem nakłaniać partnerów i adwersarzy, by odpowiednio podchodzili do jej interesów, wydaje się następnym szalenie ważnym elementem dla analizy tego państwa w najbliższym dziesięcioleciu, zwłaszcza w kontekście przedsięwzięć transportowych i energetycznych czy zasadniczo budowania połączeń pomiędzy Europą, Kaukazem i Azją Centralną, na które Ankara patrzy z zainteresowaniem.

W tym kontekście ostatnie warte poruszenia zagadnienie – o którym ostatnio bardzo mało mówimy – to dziedzina cyfrowa. Czy Turcja będzie umiała odpowiedzieć na wyzwania w tej sferze i choćby ściślej zintegrować się z europejskim przemysłem, w którym najprawdopodobniej coraz donioślejszą rolę będą odgrywały nowoczesne technologie? Jak ustawi się względem rywalizacji w tym obszarze między Stanami Zjednoczonymi a Chinami? Czy zdoła na niej skorzystać? A może będzie za wszelką cenę broniła się przed opowiedzeniem się po którejś ze stron? Wszystkie te pytania dotyczą w istocie różnych aspektów przyszłego porządku międzynarodowego i będą w znacznej mierze oddziaływać na przyszłość Turcji.

KS: Wspomniałeś o sukcesji władzy, a ja potraktowałbym ten temat szerzej. Dla mnie projekt „Nowej Turcji" wciąż pozostaje niedomknięty. Wprawdzie przeprowadzono gruntowną transformację społeczną, polityczną, tożsamościową, gospodarczą i polityki zagranicznej, lecz w zasadzie w żadnym z tych wymiarów nie została ona ukończona. Faktycznie jak dotąd napędza ją i spaja osoba Erdoğana i faktycznie pytanie o to, co stanie się, gdy on odejdzie, trzeba uznać za fundamentalne. Tyle że jednocześnie jest to problem ogólniejszy, systemowy. I w tym kontekście zwróciłbym uwagę na co najmniej dwa punkty.

Czy w najbliższym czasie zostanie przyjęta nowa ustawa zasadnicza, która w ten czy inny sposób sformalizuje, czym są Turcja, jej ustrój polityczny i jej tożsamość polityczna? Posunięcie tego typu oznaczałoby, że dokonał się pewien proces. My, na Zachodzie, zwykle koncentrujemy się na dosyć doraźnym aspekcie zmian konstytucyjnych – umożliwianiu prezydentowi kolejnych kadencji – lub nieco szerszym – jak utrwalana będzie dominacja obozu rządzącego

i autorytarny rys państwa. To oczywiście sprawy nie bez znaczenia, ale dla mnie ważny będzie jego model docelowy – miejsce narodu, islamu, ideowe źródła legitymacji, porządek instytucjonalny, pole konsensu społecznego, który władzom udałoby się przeforsować, ostatecznie – efektywność przyjętych rozwiązań.

Jeżeli system domknie się politycznie, to kwestia sukcesji i osoba, która zostanie prezydentem po Erdoğanie, będą miały wtórne znaczenie. Siłę państwu tureckiemu daje to, że cechuje się ono dużą głębią, żyje instytucjami i nie wymaga lidera – przez długie okresy władzę nad nim sprawowali ludzie dużo mniejszego formatu. Dodatkowo ma ono zdolność do rządzenia kolektywnego, do zarządzania przez balansowanie ośrodków władzy (prezydenta, premiera, parlamentu, niegdyś armii). Jeżeli więc nastąpi domknięcie i fakt ten zostanie zaakceptowany, to sama osoba lidera nie będzie aż tak istotna. Jeżeli natomiast system się nie domknie albo proces zostanie gwałtownie przerwany, to Turcję czeka zapewne duże zamieszanie związane z pęknięciem systemu oraz poszukiwaniem i testowaniem alternatyw.

Ważną częścią procesu domykania jest kwestia kurdyjska. Stanowi ona miernik głębokości zachodzących w kraju zmian. Dla państwa to fundamentalny problem w sferze bezpieczeństwa i w wymiarze wewnętrznym. Obecna ekipa rządząca próbuje różnymi metodami – nie tylko siłowymi – go rozwiązać i włączyć Kurdów w główny nurt życia politycznego (oczywiście jako swojego młodszego partnera). Kluczowymi wyzwaniami są eliminacja PKK i demontaż jej wpływów wśród Kurdów oraz wypracowanie efektywnej alternatywy dla środowisk z nią związanych. Sukces takiej polityki nie tylko rozwiązywałby bieżące bolączki, lecz także redefiniowałby – prócz wymiaru bezpieczeństwa – tożsamość polityczną Republiki, redukując rolę nacjonalizmu. Stawka jest wysoka, wynik niepewny, ale zaryzykowałbym, że szanse na przełom są dziś większe niż pięć lat temu.

Kolejne zagadnienie: społeczeństwo. Jest ono relatywnie młode, a jego aktywni zawodowo przedstawiciele należą do wyżu demograficznego – nawet jeśli już się to zmienia (wyraźnie spadło bowiem tempo przyrostu naturalnego). Obywatele traktują zmiany, które dokonały się w Turcji, jako oczywiste i są skłonni patrzeć na nie jako na punkt wyjścia. Nie mają powodu myśleć o dorobku ostatnich 40 lat, skoro ich życie zaczęło się przykładowo w połowie tego okresu. Oczekiwania i aspiracje mają bardzo rozbudzone. Czy czeka ich pozytywne czy negatywne doświadczenie pokoleniowe? Czy wpisze ich ono w jakąś koncepcję państwa, czy raczej popchnie do kontestowania zastanej rzeczywistości? I sprawa fundamentalna: czy ci ludzie będą się utożsamiali z państwem tureckim, zaakceptują ramy, w których ono działa? A może ostatecznie owo państwo zakwestionują, sparaliżują i wymuszą obranie zupełnie innej drogi? Bez wsparcia obywateli i umiejętności kanalizowania ich energii

nie będzie mowy o przestrzeni na jakikolwiek rozwój technologiczny i politykę zagraniczną.

Nie przesądzam, co się wydarzy – patrzę na aktualne rządy jako na swego rodzaju rozłożoną w czasie nową, niedomkniętą rewolucję. Pytanie, czy do tego domknięcia dojdzie czy nie. Potem, oczywiście, nastąpi dekada lub wiek rozważań, czy się ono opłacało, czy było sensowne i w ogóle zasadne. Ale dziś w Turcji trwa właśnie wielka, niezakończona transformacja, i to nią będziemy się zajmowali w najbliższej przyszłości. Jednocześnie pozwolę sobie dobitnie zaakcentować bardzo ważny dla mnie wymiar polityki i analityki: strategie i regulacje ustrojowe, kalkulacje i intencje decydentów, intuicja i refleks w rozgrywkach politycznych, typowanie motorów rozwojowych (choćby technologicznych) to zagadnienia fundamentalne, lecz żeby to wszystko zadziałało konieczne są sprawne instytucje, państwo je integrujące oraz synergia między polityką a społeczeństwem. Pytania o Turcję kiedyś tam po Erdoğanie to dla mnie w istotnym stopniu pytania o wymiary społeczny, tożsamościowy, instytucjonalny i systemowy przemian zachodzących w tym kraju i o to, na ile będzie on mógł sobie realnie pozwolić w przyszłości.

Pozostaje sprawa sytuacji międzynarodowej czy porządku międzynarodowego. Bezwzględnie podpisuję się pod wszystkimi twoimi pytaniami i wątpliwościami. Turcja ma świadomość, że jest państwem na dorobku – musi się uczyć i wzmacniać. Szybciej niż Zachód doszła do wniosku, że pozimnowojenny ład się skończył, a polityka to brutalna gra twardych interesów, zagrożeń i szans. Boryka się z problemami i ograniczeniami, ale w jej otoczeniu każdy – państwa na Bliskim Wschodzie, Kaukaz, Rosja, Unia i USA – ma swoje, bynajmniej nie mniejsze. Turcy są skazani na aktywną politykę, robią ją, ryzykują i nie mają wyjścia. Dla wszystkich dookoła są trudnym, a zarazem ważnym i pożądanym partnerem, ale też rywalem. Według mnie sytuacja jest dynamiczna i nieoczywista – nie wiem, wokół jakich procesów i na jakich płaszczyznach będzie funkcjonował ten kraj i nasze relacje z nim.

Co Turcja daje analitykowi?

KW: Na pytanie, co Turcja daje analitykowi, mam prostą odpowiedź: na początek frustrację. Zawsze dużo się tam dzieje, czasem wręcz nie sposób nadążyć. Ze względu na to, że jest tak aktywna i ambitna, generalnie nie daje badaczowi oddechu i spokoju. Wydaje mi się jednak, że te wady są niemal bez znaczenia przy zaletach. Wspomnę o trzech.

Po pierwsze i przede wszystkim – dała mi analityczną pokorę. To państwo ciągle zaskakuje. Niemożliwa jest konstatacja: „Poznałem Turcję i mam klucz, Święty Graal do jej badania". Po drugie nauczyła mnie krytycznego

myślenia. Pewne trendy zauważane w polityce lub szeroko rozumianej prasie, którym dopiero od niedawna się nie dziwimy, tam można było zaobserwować już dawno temu. Przykładem może być równoległe funkcjonowanie „dwóch prawd", w które wierzą przeciwne obozy polityczne. Pamiętam spór między mediami rządowymi i opozycyjnymi o obóz dla uchodźców – obiekt bądź co bądź niemały, którego istnienie da się przecież łatwo zweryfikować. Nikt nie zadawał sobie tego trudu: zwolennicy AKP wierzyli kanałom prorządowym, a opozycyjni – opozycyjnym. Trzecia korzyść – której nie doceniałem, dopóki nie zacząłem zajmować się prognozowaniem – to orientacja w wielu tematach. Ankara skacze za każdą nowinką pojawiającą się na świecie. Przemysł zbrojeniowy? Proszę bardzo. Sztuczna inteligencja? Jesteśmy i tam. Zmieniający się paradygmat globalizacji i skracające się łańcuchy dostaw? I na to mamy pomysły. Turcja rozwiązuje problemy, które ma zdefiniowane, reaguje niekiedy zupełnie inaczej niż inne państwa, uważane za dojrzałe, ale w istocie dość prosto, bo według jasnego schematu: mamy problem, musimy znaleźć jego rozwiązanie, wdrażamy je. Strategicznie nie jest z pewnością „zasiedziała", przez co wydaje się dużo lepiej przystosowana do naszej „płynnej rzeczywistości" niż choćby mniej elastyczne kraje europejskie. To zatem również państwo pozwalające analitykowi zbudować interdyscyplinarny warsztat – chyba nic nie wytrenowało mnie tak w „łączeniu kropek" i syntezowaniu jak próby nadążenia za tamtejszą hiperaktywnością. Może więc wkrótce będę mógł do tych zalet dodać jeszcze jedną: to dzięki przygodzie z Turcją udało mi się analitycznie rozwinąć tak, żeby nie zostać szybko zastąpionym przez sztuczną inteligencję. W tej sytuacji daruję jej wspomnianą frustrację związaną z nadmiarem wrażeń, jakich dostarczyła mi w ostatnich latach.

KS: Turcja ze swoim potencjałem, ambicjami i aktywnością, ale i ze swoimi bolączkami, ograniczeniami i wyzwaniami to nie tylko fascynujący intelektualnie przypadek sam w sobie, lecz także doskonały punkt referencyjny do analizy szerszych trendów. Jest uwikłana w szereg złożonych problemów międzynarodowych i regionalnych, po swojemu je czyta, reaguje i próbuje być sprawcza. Jej polityka opiera się na szczególnej diagnozie sytuacji – tego, co dzieje się na Bliskim Wschodzie, czym dziś są Rosja, UE, USA i wielu innych graczy oraz na co ich stać. Przy swojej aktywności Turcja błyskawicznie (trafnie bądź nie) testuje te założenia, uczy się i pozwala innym uczyć się na swoich rozwiązaniach. Jednocześnie – w jej wymiarze wewnętrznym – to żywe laboratorium projektów modernizacyjnych i instytucjonalnych oraz skomplikowanych procesów społecznych. Przeciekawe i ważne.

Dawno temu pewien Izraelczyk mówił mi o Izraelu i Gruzji w kategoriach kanarka w kopalni – tego, który pierwszy reaguje na zbyt wysokie stężenie toksycznych gazów. Izrael i Gruzja natomiast gdzieś tam na rubieżach Zachodu

wcześniej niż inne państwa zauważają groźne tendencje. Innymi słowy – a taka optyka jest zresztą starą tradycją analizy ośrodkowej – na peryferiach pewne procesy widać wcześniej i dobitniej. Turcja jest zatem w pewnym sensie i kanarkiem w kopalni, i awangardą, i jakimś meteorologiem, który stara się łapać wiatr i koniunktury, które idą gdzieś w powietrzu. Turcy żyją, myślą i działają w poczuciu zmiany i niepewności, wyzwań i szans, na które realnie reagują oraz które próbują antycypować i kreować. Analizowanie tego kraju pozostaje więc doskonałą inwestycją w rozumienie świata, w warsztat analityczny.

Wreszcie – Turcja to państwo istotne dla Europy i Polski. Może być wartościowym partnerem, może być poważnym wyzwaniem. Czegóż więcej analityk może wymagać niż szansy na mierzenie się z ważkimi pytaniami?

Azja Centralna – w pogoni za nieuchwytnym

Krzysztof Strachota

Każda analiza i prognoza to materia delikatna i ryzykowna. Lekarz i meteorolog mają niełatwe zadanie, mimo że posługują się rozbudowaną metodologią oraz mnóstwem wymiernych i porównywalnych wskaźników i danych. Rzeczywistość polityczną, społeczną czy gospodarczą uchwycić jeszcze trudniej – historycy spierają się o to, „jak było naprawdę", choć zazwyczaj zajmują się procesami zakończonymi i przebadanymi. Analizowanie i przewidywanie tych, które dopiero się rysują i rozwijają, oznacza stąpanie po bardzo grząskim gruncie, zwłaszcza gdy dotyczy obszarów odległych i trudno uchwytnych, jak Azja Centralna. Wiedział o tym nawet czerwonoarmista Suchow z sowieckiej komedii *Białe słońce pustyni*, wygłaszając kultową w rosyjskojęzycznym świecie frazę „Wschód to delikatna sprawa".

Badania ogromnego i dynamicznego regionu – podobnie jak meteorologii i warsztatu historyka – z książki, a tym bardziej eseju nauczyć się nie da. Można natomiast próbować złapać kilka tropów, zmapować kilka raf i manowców, z którymi analitykowi Azji Centralnej zazwyczaj przychodzi się mierzyć, gdy próbuje ją zrozumieć, a następnie tłumaczyć na język interesów i wyzwań czytelnika, decydenta, własnego państwa.

Nawigować po suchego przestworze oceanu

Na współczesną Azję Centralną składa się pięć państw: Kazachstan, Kirgistan, Tadżykistan, Turkmenistan i Uzbekistan. Z historycznego punktu widzenia

jest ona tylko częścią wielkiego regionu, do którego włączano Afganistan, „chiński Turkiestan", czasem Mongolię czy część Iranu. Nawet dziś to potężny i zróżnicowany geograficznie obszar. Liczy ok. 4 mln km^2 – mniej więcej tyle co kontynentalna część Unii Europejskiej. Z zachodniego krańca Kazachstanu bliżej do Świnoujścia niż do wielu miejsc przy wschodniej (chińskiej) granicy kraju. Największe miasta Kazachstanu – Astanę i Ałmaty – dzieli 15–16 godzin jazdy samochodem lub pociągiem. Droga pomiędzy największymi ośrodkami „małego" Kirgistanu – Biszkekiem i Oszem – zajmie nam co najmniej 12 godzin, a po drodze natrafimy na przełęcze, często jeszcze w maju zasypane śniegiem. Azja Centralna to góry Pamiru, sięgające 7500 m n.p.m., i depresje Morza Kaspijskiego, godziny lub dni podróży przez bezkres stepów i pustyń, gęsto zaludniona Dolina Fergańska, zagubione auły i kiszłaki oraz metropolie większe od Warszawy – Taszkent, Ałmaty.

Pięć centralnoazjatyckich republik jest tyleż połączonych przeszłością i podobnych do siebie politycznie, ile różnych pod względem potencjału politycznego i gospodarczego (znacząca przewaga Kazachstanu i Uzbekistanu), kultury politycznej (autorytaryzm ma rozmaite oblicza) i polityki zagranicznej. Wszystkie są jednakowo młode – uzyskały niepodległość w 1991 r. – a ich obecny kształt terytorialny ustalono w latach 30. XX wieku. Ich korzenie leżą w starożytnych historiach, tradycjach stepu i osiadłych cywilizacji miejskich, tradycjach turańskich, irańskich i mongolskich, z miastami zakładanymi przez Macedończyków, posągami Buddy i wszechobecnym islamem.

Te pięć państw to „zaledwie" pięć głównych narodów tytularnych, a każdy ze skomplikowaną historią, strukturą – czy to regionalną, czy rodowo-plemienną – ale i kosmos mniejszości etnicznych – zarówno historycznych (np. ludy pamirskie, Dunganie), jak i naściąganych siłą i perswazją w czasach sowieckich (są i Polacy, i Koreańczycy, nie wspominając o Rosjanach albo Ukraińcach). To tętniący tygiel migrujących przez pokolenia ludzi – Słowian i Niemców opuszczających region, Kazachów repatriowanych z Mongolii czy Iranu, mas przenoszących się do miast, milionów migrantów zarobkowych krążących pomiędzy domem a Rosją, Turcją, Koreą czy – ostatnio – Polską oraz nowego strumyka przybyszów z Indii, Pakistanu i Bangladeszu. To dynamiczne przemiany demograficzne (niemal we wszystkich republikach liczba ludności podwoiła się od 1991 r.), to zmiany proporcji etnicznych (przede wszystkim kosztem Rosjan), to zmiany pokoleniowe i tożsamościowe tyleż zwrócone ku tradycji, co chłonące i trawiące to, co w Rosji, Turcji, Chinach, na Zachodzie, w Malezji czy w świecie islamu.

Azja Centralna – choć stanowi „peryferium", oddalone od centrów cywilizacyjnych i odcięte od globalnego oceanu – pozostaje „centralna", wciśnięta między niegdysiejsze (Rosję) i wschodzące (Chiny) supermocarstwa, Afganistan

(przez ostatnie pół wieku jeden z najbardziej zapalnych punktów świata) i Iran (niewiele mniej absorbujące otoczenie laboratorium idei i ambicji). Jest miejscem punktowo silnej obecności Zachodu (UE, USA), „bratniej" Turcji z jej rosnącym potencjałem i aspiracjami, ale też państw Zatoki Perskiej, Korei Południowej i Japonii. Wszystkie one współpracują z regionem, handlują i inwestują, edukują, zapewniają pracę i rozrywkę. W minionych trzech dekadach bazy wojskowe mieli tam albo wciąż mają – prócz Rosji – Chińczycy, Indusi, Amerykanie, Niemcy i Francuzi – bodaj każdy polski żołnierz uczestniczący w misji w Afganistanie lądował w Biszkeku. Uzbecy i Tadżycy w zwartych oddziałach radykałów islamskich walczyli w Afganistanie, Pakistanie, Syrii i Iraku, a Kirgizi oraz pochodzący z Kirgistanu Czeczeni przeprowadzali ataki terrorystyczne w Stambule czy Bostonie.

Azja Centralna to też miejsce, którego szuka pieniądz. To ropa i gaz, uran i metale ziem rzadkich, to pszenica i bawełna. To wreszcie atrakcyjne szlaki transportowe w poprzek Azji w bodaj wszystkich możliwych kierunkach, wokół których krążą ambicje i pieniądze Rosji, Chin, Europy, Turcji, Indii i Iranu. To powiększający się rynek pracy, towarów i usług.

Wymiary Azji Centralnej można mnożyć. Każdy z nich niesie bezmiar pytań, jak również potrzebę zdobycia głębokiej wiedzy „lokalnej", historycznej, kulturowej i sektorowej (gospodarka, bezpieczeństwo, polityka, społeczeństwo) oraz co najmniej podstawowej orientacji w szerokim kontekście zewnętrznym, przede wszystkim rosyjskim i chińskim. Każdy z tych aspektów łączy się przy tym z innymi w piętrowych kombinacjach.

Wszystko to razem pędzi i zmienia się – podobnie jak świat odbiorcy ekspertyzy. Ogrom bez wątpienia przerażający i fascynujący. Proste schematy i recepty, klucze otwierające wszystkie drzwi oraz drogi na skróty są kuszące, ale ostatecznie bezużyteczne. Analiza Azji Centralnej to ostrożne nawigowanie w niepewności, w którym – obok niekończącego się trudu nanizywania kolejnych faktów – liczy się doświadczenie, elementarna pokora i parę procedur bezpieczeństwa intelektualnego, ale też intuicja, dobre wiatry i spory łut szczęścia.

Tropy i manowce

Na analitykę składa się kilka niezbywalnych, choć praktykowanych w różnych proporcjach filarów: monitoring wydarzeń i ich pogłębiona analiza; prognozowanie newralgicznych procesów; docieranie do decydenta lub klienta i – pod kątem jego strategii – kształtowanie procesu decyzyjnego; na koniec – kreowanie debaty eksperckiej i opinii publicznej. Każdy to sztuka sama w sobie. Wśród nich znajdują się wreszcie „rozumienie" tematu, konceptualizacja najważniejszych założeń i procesów, zestaw „wytrychów", który ustawia monitoring, jak

również research, pozwalający interpretować procesy, na których buduje się prognozy i rekomendacje. W tym sensie zrozumienie, czym jest – jak my ją rozumiemy – Azja Centralna, to kwestia fundamentalna: można bowiem dużo wiedzieć i mało z tego pojmować. Istnieje wiele przetartych ścieżek i oswojonych motywów – a na każdej da się niebezpiecznie pogubić i zarazem każdy pozwala organizować sobie rozumienie regionu.

Azja Centralna generuje jednak specyficzną trudność: na tle innych regionów leżących w sferze zainteresowania polskiej i zachodniej analityki to obszar stosunkowo odległy, egzotyczny i przesłonięty nielicznymi skądinąd kliszami, a jego opis jest szczególnie silnie naznaczony pragmatyczną koncentracją na wybranych aspektach (gospodarczych czy politycznych) i aktualną koniunkturą. Problem ten dotyczy dwóch newralgicznych uczestników procesu analitycznego – autora i odbiorcy (w pierwszej kolejności decydenta), którego i potrzeby, i przedwiedza organizują na co dzień pracę eksperta.

W Polsce po 1991 r. Azję Centralną postrzegano głównie: przez pryzmat historyczny, tj. martyrologii, zesłań, łagrów, cmentarzy i Polonii; przez nawracające nadzieje na sukces polskich firm; przez niebagatelne w dwóch pierwszych dekadach przekonanie o atrakcyjności polskiego modelu transformacji dla regionu; a dodatkowo jako funkcję polityki Rosji i kłopotów Afganistanu. W szerszym kontekście zachodnim (popkultura, media) kluczem do czytania tej części kontynentu były: tzw. (Nowa) Wielka Gra, nawiązująca do historycznej i zmitologizowanej rywalizacji rosyjsko-brytyjskiej; miraż kaspijskich ropy i gazu; strach przed radykalizmem islamskim; okresowo – niezbyt efektywny eksport demokracji. W wymiarze popularnym jej obraz kształtowały z jednej strony spektakularne zdjęcia z Buchary lub trekkingów w Kirgistanie, a z drugiej – seria filmów Sachy Barona Cohena o Boracie, w których region (wyimaginowany Kazachstan) jest groteskową orientalizującą dystopią. W wymiarze politycznym – a co za tym idzie analitycznym – Azja Centralna nigdy nie wyrosła na obszar priorytetowych i długofalowych interesów strategicznych, lecz powracała i znikała wraz z kolejnymi „modami": raz przy okazji starć o złoża kaspijskie, innym razem w związku z budowaniem szlaków komunikacyjnych, jeszcze innym, gdy toczono walkę z „zagrożeniem islamskim" czy piętnowaniem krzepnących autorytaryzmów. Jako że analityka jest sztuką użytkową (ma służyć odbiorcy), stwarzało to i stwarza zapotrzebowanie na poszczególne tematy oraz – jako że często skupia się na promocji idei i interesów – sprzyjało dosyć jednostronnemu przekazowi. Co charakterystyczne, Azją Centralną na ogół zajmują się specjaliści od określonego sektora (energetyki, bezpieczeństwa, praw człowieka), a nie regionu jako takiego. Ponadto wraz z wypalaniem się danego wątku ośrodki i projekty mu poświęcone są wygaszane, a eksperci szybko się przekwalifikowują. O wyważony obraz, ciągłość badań i syntezę jest tu niezmiernie trudno.

Z pokrewnymi wyzwaniami musi się zmierzyć sam analityk – o ile oczywiście nie skupia się na konkretnym zagadnieniu (np. wybranym sektorze gospodarki czy bezpieczeństwie) i nie pracuje projektowo. Staje on przed opisywanym punktowo, zróżnicowanym i dynamicznym regionem naznaczony dotychczasowym wykształceniem, doświadczeniem i nastawieniem. Politolog, ekonomista, filolog czy antropolog wnoszą ze sobą specyficzny warsztat. On zaś, obok mocnych stron, niesie też ograniczenia, bo kategorie, pojęcia i modele niekoniecznie dobrze opisują centralnoazjatycką rzeczywistość, zaś każdy warsztat będzie wymagał uzupełnienia.

Za równie ważny należy uznać punkt startu w region – ktoś zaczyna od pysznej Samarkandy, ktoś inny od górniczej Karagandy, jeden od romantyki jurty, inny od meczetu, od Uzbekistanu Karimowa albo Mirzijojewa. Ta „inicjacja" w dużym stopniu determinuje pierwszy okres pracy analitycznej – mija trochę czasu, zanim uchwyci się różnorodność i zmienność oraz przestanie projektować te mocne zazwyczaj momenty na resztę. Dla piszącego te słowa takim napędem i ograniczeniem przez pierwsze lata był islam – radykalny i groźny, ale potencjalnie modernizujący – a punktem startu – wychodzący z wojny domowej Tadżykistan i rozdygotany Afganistan za rzeką. Były to kwestie bez wątpienia ważkie i bardzo aktualne w przededniu 11 września, jednak zdecydowanie przesłaniały i wykrzywiały szereg procesów, jak się okazało istotniejszych z perspektywy czasu. Podobne doświadczenia ma bodaj każdy badacz. Analizowanie regionu, rozumienie go, złapanie odpowiedniej perspektywy i hierarchii problemów staje się zatem procesem tyleż fascynującym, co żmudnym i czasochłonnym.

Paradygmat „postsowieckości"

Uniwersalnym kluczem do czytania Azji Centralnej jest jej „postsowieckość". Obecny kształt regionu, w tym tworzące go państwa, granice oraz – w sporym stopniu – formuła tożsamości narodowej, został uformowany w okresie sowieckim. Nigdzie indziej sowieckość tak bardzo nie zaprzeczyła temu, co znajdowało się tam wcześniej. Można wręcz stwierdzić, że region, a zwłaszcza Kazachstan, stanowił laboratorium owej sowieckości. Wspólnym mianownikiem Azji Centralnej pozostają wspólnota doświadczeń formujących podstawy dzisiejszych realiów politycznych, społecznych i kulturowych (symbolicznych) oraz wspólne wzorce modernizacyjne.

Niepodległe państwa regionu były kontynuacją republik sowieckich, elity rządzące – elitami KPZR, a służby specjalne – służbami „sowieckimi". Za szczególny i definiujący aspekt systemu postsowieckiego należy uznać dominującą pozycję Rosji jako historycznego centrum politycznego i gospodarczego, gwaranta bezpieczeństwa i patrona omawianego obszaru. Postsowiecka Azja Centralna

jest – przez swoją postsowieckość – rzeczywistością postimperialną i de facto postkolonialną, zważywszy na dążenie centrum do jej eksploatowania oraz na totalność zmian forsowanych tam w okresie sowieckim. Jednocześnie zarówno ambicje, jak i wpływy Moskwy w regionie mają charakter neoimperialny, czyli nakierowano je na restaurację imperium, oraz neokolonialny, oznaczający skupienie na kontrolowaniu miejscowych bogactw naturalnych i zasobów ludzkich.

Znajomość historii sowieckiej i postsowieckiej oraz reguł nimi rządzących, a także świadomość skali i dynamiki powiązań politycznych (m.in. na szczeblu elit – z nieocenionym bogactwem wątków, jakie daje studiowanie biografii jej przedstawicieli) to bezwzględne abecadło centralnoazjatyckiej analityki. W jego skład wchodzi też wiedza o relacjach z Rosją: na poziomach instytucjonalnym (szereg projektów integracyjnych z Organizacją Układu o Bezpieczeństwie Zbiorowym na czele), gospodarczym (m.in. waga jej rynku i szlaków transportowych, faktyczne preferencje dla interesów gospodarczych Rosji), wreszcie – społecznym i kulturowym, wynikająca m.in. z wielopokoleniowej dominacji języka rosyjskiego oraz (coraz słabszej, ale wciąż obecnej) atrakcyjności Rosji jako centrum cywilizacyjnego i edukacyjnego rozbudowanych powiązań międzyludzkich.

Z kategorią „postsowieckości" jako swoistym wytrychem do interpretacji regionu wiążą się jednak co najmniej dwa bardzo poważne problemy. Pierwszy dotyczy sfery aksjologicznej, niosącej wyraźny ładunek oceny. Postsowieckość dosłownie oznacza wtórność, epigonizm i degradację stanu wyjściowego („sowieckości"), przesłaniając komponenty świadczące o autonomii, a tym bardziej o podmiotowości omawianych realiów – to zaś wypacza rzeczywistość. Specyficzny aspekt problemu powstałego wskutek nadużywania na Zachodzie przywołanej kategorii do opisu i analizy stanowi *implicite* zawarte w niej przyzwolenie na rosyjską hegemonię, „usprawiedliwioną i bezalternatywną" w obliczu słabości Azji Centralnej i wynikającą m.in. z założonej „sztuczności" i niesamodzielności tamtejszych państw. Pozostając kategorią ważką i użyteczną analitycznie, postsowieckość może ograniczać rozumienie regionu, a w wymiarze politycznym dawać przyzwolenie na neoimperializm Rosji. Przykładowo agresję na Ukrainę w 2022 r. Putin usprawiedliwiał wyjątkową odpowiedzialnością FR za ten kraj, zaś opory na Zachodzie przed wsparciem Kijowa bazowały m.in. na przekonaniach o ukraińskich systemowych niedoskonałościach i organicznych więziach tej części świata z Rosją.

Drugi problem generuje waga postsowieckości w 2025 r. w ogóle i w odniesieniu do samej Azji Centralnej. Kategoria ta jest nadal „prawdziwą" i konieczną w aspekcie historycznym, lecz może być myląca („postsowieckość" Estonii, Ukrainy, Gruzji i Tadżykistanu oznacza różne rzeczy), a przede wszystkim traci na aktualności. W omawianym regionie Moskwa w wymiarze politycznym

utraciła m.in. pozycję bezdyskusyjnego patrona i arbitra polityki wewnętrznej poszczególnych państw. Szczególnie wyraźnie widać to w szybkości, z jaką prezydent Kazachstanu Kasym-Żomart Tokajew usamodzielnił się po kryzysie w styczniu 2022 r., choć to rosyjska interwencja wojskowa pozwoliła mu utrzymać się przy władzy, a chwilę później – wraz z agresją na Ukrainę – Moskwa zademonstrowała i ambicje, i determinację do odbudowy Imperium. Podobna erozja rangi Rosji jako siły przeważającej zachodzi w przypadku polityki zagranicznej Azji Centralnej – państwo to co najmniej blokują tam inni aktorzy zewnętrzni, w sposób najbardziej systematyczny Chiny. W aspekcie gospodarczym doszło zaś do realnej dywersyfikacji powiązań – rozwój regionu w tej sferze nie zależy dziś od Kremla.

Podstawowymi motorami wyczerpywania się postsowieckości jako klucza do rozumienia tej części Azji wydają się jednak czas i demografia. Większość jej mieszkańców nie pamięta ZSRR, wyrosła w nowych państwach, posiada własną tożsamość narodową, a indywidualne strategie przetrwania i rozwoju (edukacja, wzorce kulturowe, wyjazdy i migracje) dalece niekoniecznie orientuje na Rosję. Każdy z sygnalizowanych wymiarów to wyraz odrębności i skuteczności poszczególnych krajów, każdy także wiąże się z różnorodnością ich polityk.

Dezaktualizację tej kategorii katalizuje wreszcie wojna na Ukrainie – oznacza ona zakwestionowanie porządku postsowieckiego przez samą Rosję, przejście Moskwy z roli gwaranta stabilności do statusu głównego zagrożenia, wreszcie zaś: przyspieszenie głębokich przewartościowań politycznych o wymiarze globalnym. Rosja pozostała dla regionu istotna – a może wręcz dopiero teraz stała się dla niego egzystencjalnie istotna (właśnie jako zagrożenie) – i stanowi niezbywalny element jego analizy, ale jest to już rzeczywistość post-postsowiecka.

Wyzwaniem dla analityka pozostaje brak równoważnej względnej postsowieckości, a zarazem bardziej od niej inspirującej poznawczo „opowieści". Powszechne w Azji Centralnej procesy rozluźniania gorsetu „sowieckości" szły zazwyczaj w kierunku akcentowania swojej starożytności (w sposób mało przekonujący dla zachodniego odbiorcy) i relatywizowania – choć raczej nie negowania – okresu sowieckiego. Negatywne wobec Rosji i ZSRR wątki nasiliły się wraz z agresją na Ukrainę i wzrostem poczucia zagrożenia w regionie. Postawy tego typu widać zwłaszcza w Kazachstanie, gdzie nowy „język" określa się mianem dyskursu dekolonizacyjnego. Wydaje się on bardzo dobrze odpowiadać na potrzeby Kazachów i na pewno jest bardzo użytecznym kluczem interpretacyjnym, ale ani nie promuje go państwo, ani nie przyjął się w świecie analitycznym. Problemem pozostaje również trudność „opowieści" o współczesnej polityce, jej faktycznych uwarunkowaniach, celach i instrumentach. Azja Centralna wciąż nie wypracowała bowiem klucza do samej siebie – albo, bardziej precyzyjnie, na

jedne sprawy nie ma języka, o wielu innych woli nie mówić, więc ostatecznie nie ma z czym dotrzeć do świata zewnętrznego.

Opuścić strefę komfortu, kwestionować schematy

Tak czy inaczej Azja Centralna, którą da się – lepiej lub gorzej – opisywać i analizować sektorowo, stale wymyka się sztywnym kategoriom i sprawdzonym paradygmatom. Dlaczego? Można tu uwypuklać ograniczenia poznawcze – egzotyczny kontekst lub deficyty aparatu poszczególnych dyscyplin badawczych. Można podkreślać słabość instytucji państwowych w regionie, ich labilność i dynamikę wewnętrzną, dojrzewanie i zmienność właściwie każdego czynnika warunkującego sytuację wewnętrzną i zewnętrzną (choćby w paradygmacie postsowieckości czy transformacji). Można sięgać do perspektyw filozoficznych i kulturowych: na Zachodzie silne są tradycja poszukiwania precyzyjnych pojęć i racjonalnych reguł oraz założenie, że rzeczywistość „jest", podczas gdy na umownym Wschodzie wiele zasadniczych kwestii „wydaje się" i zależy od kontekstu, rzeczywistość nie tyle „jest", co „staje się". Konfrontacja z realiami (i ich współkreowanie) to proces nielinearny, zmuszający do mediacji między nieusuwalnymi sprzecznościami, nastawiony na unikanie otwartych napięć i poszukiwanie harmonii – a przy tym ekstremalnie pragmatyczny. To, czy będziemy to sobie tłumaczyć „postsowieckością" czy gombrowiczowską „niedojrzałością" narodów/kultur odnajdujących się w „nowoczesności", czy mniej lub bardziej uzasadnionymi teoriami, jest sprawą wtórną. Tak czy owak Azja Centralna (a szerzej – „Wschód") wymyka się wypracowanym schematom. Najważniejsza wydaje się tutaj ogromna analityczna czujność oraz stała gotowość do testowania i kwestionowania najbardziej oczywistych założeń i pytań.

W OSW do żelaznych reguł warsztatu należy tzw. zasada odwróconej szachownicy. W ścisłym znaczeniu chodzi o konieczność spojrzenia na ową szachownicę – stan rzeczy – oczyma drugiej strony, wczucie się w wyzwania, z którymi się mierzy, próbę przewidzenia działań, które może podjąć. W tym przypadku – pojmowania, analizowania, prognozowania sytuacji w Azji Centralnej – autor skłonny jest znacznie rozszerzyć tę zasadę. Trzeba być bowiem gotowym co najmniej na chwilę zawiesić swoje kategorie poznawcze, estetyczne czy moralne (choć bynajmniej z nich nie zrezygnować) – co skądinąd należy do abecadła antropologa. Trzeba zmierzyć się z problemem, testując różne perspektywy – czy to naukowo-badawcze z ich metodologią i instrumentarium, czy w oparciu o rekonstrukcję uwarunkowań i spojrzenia, np. analizy regionalnej, chińskiej lub rosyjskiej. Niezmiennie inspirują „studia" porównawcze, tj. sięgnięcie po modele sprawdzone przykładowo w odniesieniu do innych części świata. W tym ostatnim aspekcie kategorią co najmniej równie pożyteczną jak

„postsowieckość" są studia porównawcze z funkcjonowania–kryzysu–odradzania się–załamania się innych imperiów kolonialnych, budowy nowoczesnych państw narodowych oraz rozwiązań modernizacyjnych i uwarunkowań politycznych obszarów funkcjonujących jako bufory czy peryferie.

Inspiracją w zakresie rozumienia i nazywania owych okoliczności i rozwiązań, ale nie ich kliszą, mogą tu być – obok doświadczeń Kaukazu i krajów bloku wschodniego – Bliski Wschód, Afryka Północna i – szerzej – Globalne Południe. Zasada odwróconej szachownicy powinna w pierwszej kolejności pozwolić nam stwierdzić, czy gramy w szachy, warcaby, nardy (tryktraka) czy madżonga – a może w jedną z dyscyplin pięcioboju? To możliwe – i niezbędne, o ile chce się wyjść poza krótkoterminową i sektorową perspektywę.

Piszący te słowa miał przywilej uczyć się i współpracować z osobami, które – prócz głębokiego wżycia się w „teren", przeogromnej erudycji, a często znajomości lokalnych języków – posiadły tę umiejętność i dar. Są wśród nich aktywni dyplomaci RP oraz analitycy w państwowych i prywatnych instytucjach (być może, z racji wykonywanych zawodów, ich mądrość znajdzie się kiedyś w memuarach). Gdzieś u początków „metody" w skali OSW stał zaś profesor Stanisław Zapaśnik – polihistor i erudyta, radykalny badacz terenowy, zaciekły wróg wszelkiej rutyny i schematów, a przy tym przenikliwy analityk i wizjoner. „Odwróconą szachownicę", ćwiczenia z „łączenia kropek" i – niepraktykowane w innych instytucjach tego typu – głębokie skoki „w teren" na trwałe wpisał on w kanon Ośrodka, w tym w zajmowanie się Azją Centralną. Dyskusje nad „szachownicą", w których różnice warsztatu, ale też światopoglądu, wieku czy temperamentu są bezcennym atutem, stanowiły natomiast jedną z najbardziej płodnych i inspirujących do szczegółowych analiz praktyk.

Podróż na Wschód

Odpowiedzią na świadomość różnorodności i dynamiki regionu, ograniczeń i filtrów, o których nie wolno zapominać, oraz barier, jakie tworzy przykładowo autorytarny porządek polityczny (np. brak wolnych mediów i niezależnych ośrodków badawczych) jest tzw. podróż studyjna – osobiste spotkanie z analizowaną rzeczywistością i doświadczenie jej. Oczywiście nie chodzi o badania terenowe – na nie nie ma czasu, nie ma „luksusu" skupienia się na jednym problemie. To również coś więcej niż – fundamentalne skądinąd – wyjazdy konferencyjne czy konsultacje urzędnicze, rozszerzone o rys turystyczno-krajoznawczy. Mowa o próbie precyzyjnego zmapowania miejsc i osób, z którymi warto się spotkać – miejsc i osób z założenia różnych od siebie (i osób różnych od nas, bo podróż ma uczyć). A optymalnie – także o próbie sprowokowania i otwartości na czasoprzestrzeń, w której napotkani ludzie będą wypowiadali

się sami, po swojemu, o tym, co dla nich ważne, na przysłowiowym bazarze, w czajchanie (taniej restauracyjce-herbaciarni), w długodystansowej taksówce lub podczas wynajmowania pokoju; w której przemówią miasto, stan dróg i towary w sklepie. Zazwyczaj taka wyprawa – naturalnie w miarę możliwości powtarzana i „parafrazowana" – to parę-parenaście dni w biegu. Jak zwykle za mało, ale nawet dla krótkiego wyjazdu nie ma alternatywy.

To przede wszystkim okazja, by bezpośrednio przekonać się, ile znaczy przestrzeń i geografia. Unaocznić sobie – niekoniecznie oczywistą – skalę odmienności między poszczególnymi krajami i w poszczególnych krajach (z banalnym rozróżnieniem na stolicę i resztę). Poczuć skalę bynajmniej niezakończonych zmian. Futurystyczna Astana zdążyła się już postarzeć od ustanowienia jej stolicą w 1997 r. Zupełnie nowe są Aszchabad – w sterylnych, stawianych z rozmachem marmurach – i Duszanbe – w ciągu minionych 15 lat wyburzono całe miasto, by zbudować coś na kształt Moskwy z orientalnym przepychem. Potężny Taszkent to raj dla deweloperów, podobnie jak kazachski Kuwejt – Aktau. Usłyszeć, jak Ałmaty zaczęła mówić po kazachsku (choć rosyjski trzyma się mocno). Przejechać się „autostradami" wybitymi przez chińskie firmy przez góry Tadżykistanu. Zatrzymać w miasteczku, z którego wszyscy młodzi mężczyźni wyjeżdżają za pracą. Zobaczyć zawłaszczone przez pustynię statki pływające niegdyś po Amu-darii i posłuchać o wysychaniu Morza Kaspijskiego.

Wyjazd (a ściśle wyjazdy – ponawiane przez lata i konfrontowane z obserwacjami kolegów) to doświadczenie tygla ścierających się pomysłów na zmiany i przyszłość regionu. To zderzenie z kirgiskimi weteranami budowanej w ich kraju w latach 90. demokratycznej „Szwajcarii Azji Centralnej" oraz rzeszą ludzi przez dekady realizujących finansowane przez Zachód programy rozwojowe. To obserwowanie wzlotu i (chyba) upadku jednego z najbardziej fascynujących projektów modernizacji tej części kontynentu przez organizacje związane z Aga Chanem IV (przywódcą szyickich ismailitów), projektu będącego przykładem syntezy doświadczeń zachodnich i praktyki w społecznościach ismailickich na całym świecie, na które w dzisiejszym okrzepłym, autorytarnym Tadżykistanie nie ma miejsca.

Wyjazdy dają również szansę na rozmowy o islamie, zderzenie z pytaniami i nadziejami, jakie z nim wiązano i wciąż się wiąże, o strachu przed nim i zapotrzebowaniu na silną władzę. Na – niekoniecznie niewinne – pogawędki o tysiącach refleksji nad światem przywiezionych z pracy, ze studiów, z wakacji i zaczerpniętych z internetu. Wszystko to zaskakująco mocno odbija się na polityce, której nie zrozumie analityk bez kontaktu z regionem.

Podróż studyjna – osobiste spotkanie ze specyfiką regionu – pozwala też przebić się przez drętwy język ogólnikowych komunikatów politycznych: „drewniany" biurokrata (tacy zdarzają się niemal wszędzie) turkmeński może się

okazać wybitnym znawcą i praktykiem Afganistanu, gdzie pozornie pogrążony w letargu Turkmenistan prowadzi bardzo aktywną politykę. Podróż studyjna to okazja do dziesiątek spotkań z urzędnikami (głównie kazachskimi, ale też uzbeckimi, raczej drugiej i trzeciej generacji, licząc od 1991 r.), którzy profesjonalnie potrafią najpierw sprzedać oficjalną linię władz, a potem w kuluarach na zimno przedstawić swoje dylematy (choćby związane z relacjami z Rosją, traktowaną zwłaszcza jako stała realność i wyzwanie, a nie centrum galaktyki), asertywnie i konkretnie domagać się od UE działań w miejsce deklaracji, a ostatecznie podzielić się celnymi obserwacjami ze studiów we Włoszech, w Polsce czy Chinach lub inspirującymi anegdotami z życia codziennego. Za tym idzie poważne, nie pierwsze w historii roztrząsanie, jakie doświadczenia (a nie cały model) ze świata można wykorzystać właśnie tutaj i dlaczego nie udało się tego zrobić w poprzednim pokoleniu. To praktyczna lekcja z „nielinearności", „wielowektorowości", mediacji pomiędzy różnymi porządkami – i pragmatyzmu. Dość powszechne stereotypy o (post)sowieckim betonie urzędniczym i ograniczonych horyzontach owych urzędników, redukowanie ich do ludzi Moskwy czy Pekinu – w takich sytuacjach blakną, choć nie znikają. Niewątpliwa zapobiegliwość, gdy idzie o własne bezpieczeństwo i podnoszenie statusu, dziś wiąże się nie tylko z pozycją osobistego patrona, lecz także pragmatycznym czytaniem interesu państwa – bezdyskusyjnej podstawy i kariery, i tożsamości.

To pobyt na miejscu pozwala dotknąć autorytaryzmu: wspomnieć zastrzelonego w tajemniczych okolicznościach kumpla-dziennikarza, pogadać ze znajomym, który przesiedział kilka lat w kolonii karnej po sfingowanym procesie, posłuchać o przejmowaniu szkół, hoteli i Uniwersytetu Aga Chana. Zobaczyć, jak w Uzbekistanie obywatel kłóci się z policjantem, za co 20 lat temu wylądowałby w lochu, oraz jak tamtejsi urzędnicy z nutą naiwności dopytują, w jaki sposób najlepiej zamarkować ludziom demokrację, nie oddając nawet cienia realnej władzy. Dowiedzieć się, które z licznych dzieci prezydenta kontroluje jaki biznes państwowy, oraz zadumać, czy delfin faktycznie zostanie nowym władcą.

To na ulicy dostrzeżemy, że dookoła żyją niemal sami młodzi ludzie, którzy – nawet jeśli jeżdżą jeszcze do Rosji za pracą i używają telegramu – to zamiast T-shirtów z napisami „Rosja" czy „Dagestan" (powszechnych dekadę temu) noszą koszulki z symboliką narodową lub wisiorki z plemiennymi tamgami (w Kazachstanie) i bawią się przy miejscowej muzyce, a przy tym gotowi są rozprawiać o historii swoich wielkich narodów (ale też rodów czy plemion) z pasją i godzinami. To wciąż okazja, by posłuchać o tym, jak Rosjanie wyciągnęli Azję Centralną z dzikości, ale też o ich rasizmie, imperializmie i długiej liście niewyobrażalnych krzywd, jakie przynieśli (i, patrząc na Ukrainę, być może znów przyniosą), albo poznać opowieść Tadżyka, który po dwudziestu latach życia w Rosji (żona, dzieci) uciekł przed poborem i „wolałby się powiesić, niż

tam wrócić". Zresztą w ostatnich latach równie często jak o Rosji można posłuchać o Uberze i studiach w Polsce (albo w Tanzanii, jak w przypadku córki starego znajomego), branży turystycznej w Turcji, truskawkach w Wielkiej Brytanii, fabryce w Korei, sektorze usług w Japonii lub wycieczce do Dubaju. I to wszystko – ta Rosja i anty-Rosja, retradycjonalizacja i pęd do nowoczesności, lokalność i globalność – to nie sztuczny kolaż, ale organiczna, spójna, a zarazem dynamiczna całość, która faktycznie nie tyle „jest", ile cały czas „staje się".

To rozmowa daje przedsmak złożonego podejścia do władzy i demokracji. Polityka nie jest naturalnym tematem. Ani tradycje (patriarchalny model społeczeństwa, brak realnych wzorców kulturowych), ani brak odpowiednich instytucji, ani medialny obraz skutków demokracji na Ukrainie (wojna) nie zachęcają do tego ustroju. Zasadniczo władza – im znajduje się dalej, tym lepiej – ma zapewnić bezpieczeństwo i nie przeszkadzać w zarabianiu na życie. Ale sprawy się komplikują, gdy patrzymy na popalone budynki rządowe w Biszkeku (2010) czy Ałmaty (2022) albo słuchamy uczestników krwawych zamieszek w Ałmaty (2022) lub Aktau (2011, 2022). Nie wspominając o bogatym w doświadczenia „rewolucji" Kirgistanie, którego mieszkańcy po pierwsze mówią otwarcie, a po drugie w razie potrzeby skłonni są „dialog" z władzą kontynuować.

W uzbeckim Andiżanie, gdzie w 2005 r. rozstrzelano co najmniej około tysiąca manifestantów, dziś działają nowe fabryki i uniwersytety, a ludzie z nadzieją patrzą w przyszłość i omijają temat krwawo stłumionych protestów w Nukusie (2022). Owszem, gotowi są unikać polityki i traktować demokrację jako niebezpieczną abstrakcję, ale – i ma to charakter pokoleniowy – mają potężne aspiracje, mają poczucie bycia u siebie i na swoim, mają przeczucie własnej siły. Taką świadomością dysponują również władze, zwłaszcza w Uzbekistanie i Kazachstanie, stąd deklarowane i realizowane (nie zawsze skutecznie) programy reform, rozwoju gospodarczego oraz zagospodarowania energii – a także kontrolowania – młodzieży. To napięcie widać dopiero na miejscu, to pozwala przeczuwać napięcia strukturalne i ich stawkę oraz tłumaczyć szereg posunięć w polityce wewnętrznej i zagranicznej.

Czy kontakt z regionem z doskoku może zapewnić twardą i pełną wiedzę? Raczej nie. Czy krótka wizyta w paru punktach na obszarze wielkości Unii Europejskiej – kilkanaście rozmów z najszerszym (oby!) spektrum miejscowych i zagranicznych interlokutorów w stolicy i kilkadziesiąt przygodnych gdzieś w drodze – może być czymś ściśle miarodajnym? Bez wątpienia nie. Czy tego typu wyjazdy i dyskusje mają służyć przede wszystkim zdobyciu konkretnych tajnych informacji? Też nie, bo analityka to nie wywiad. Najważniejszą rzeczą w podróży studyjnej jest wyjście ze strefy komfortu, skonfrontowanie się z inną perspektywą oraz innym sposobem myślenia i działania, a także schwytanie nowych tropów. Lepszej opcji nie ma.

Przed dalszą drogą

Świadomość ograniczeń i słabości analizy, jak również wiedza na temat omijania raf i szukania kamieni, po których przechodzi się rzeki, to kuchnia, do której zasadniczo nie powinno się zaglądać. Analityk – ostatecznie – jest po to, żeby wiedzieć, żeby tłumaczyć, żeby oswajać, żeby wspierać decydenta, a niekoniecznie udowadniać, że rzeczy trudne są tak naprawdę jeszcze trudniejsze, niż się wydaje. Niniejszy tekst ma dać czytelnikowi kilka przestróg, a następnie wysłać go w dalszą drogę z namiastką „mapy" – jak o Azji Centralnej (po)myśleć i z czym się w dyskusjach o niej kłócić.

Trzydzieści cztery lata, które minęły od rozpadu ZSRR, nie pozwalają mówić o tym regionie jako o bycie przygodnym i sezonowym. To odrębna i okrzepła rzeczywistość z własną „logiką" i dynamiką. Ona nie zniknie – a jeśli nawet miałoby do tego dojść (analityk nie powinien odrzucać żadnego scenariusza *a priori*), to nie odbędzie się to niezauważalnie i niskim kosztem.

Realność tworzą poszczególne państwa, narody, systemy. Oczywiście różnice między nimi są ogromne. Niekwestionowani liderzy tej części kontynentu to Kazachstan i Uzbekistan. Okres zagubienia pierwszych dwóch dziesięcioleci niepodległości został już zamknięty. Prymat osobistego bezpieczeństwa, szybkiego zysku oraz bardzo prostych i spersonalizowanych mechanizmów władzy z upływem czasu, narastaniem doświadczeń, zmianą pokoleniową ustąpił bardziej ambitnym i długofalowym interesom, w większym stopniu opartym na instytucjach i poszukującym rozwiązań systemowych – choć naturalnie w Turkmenistanie czy Tadżykistanie władzę lepiej przekazać dzieciom. Państwo staje się podmiotem świadomym wyzwań i szans – co nie przesądza o skuteczności reagowania na nie. Wojna na Ukrainie gwałtownie obnażyła wszystkie słabości obecnej sytuacji, ale też przyspieszyła budowę odporności i sprawności krajów Azji Centralnej.

Na jednego z aktorów procesów w regionie wyrasta społeczeństwo. Wprawdzie jego rola nie została rozpisana według zachodnich standardów, ale jest niewątpliwym faktem. Pokolenie wyżu demograficznego, urodzone w niepodległych państwach i uformowane w nowych okolicznościach, z silnym komponentem nacjonalistycznym, stanowi realną siłę – jego dylematy tożsamościowe ważą, a aspiracji (budowanych w warunkach zglobalizowanego świata) nie sposób zlekceważyć. To społeczeństwo – a nie tylko inwestytura z metropolii – daje lub nie legitymację władzom, co pokazały teatralne zmiany konstytucji, referenda i wybory, do których doszło w ostatnich latach w Kazachstanie i Uzbekistanie. To społeczeństwo wymusza zmiany w polityce społecznej i gospodarczej. To – z perspektywy poszczególnych państw – oznacza zarządzanie potężną energią. W przeszłości – koniec końców – z podobnymi wyzwaniami skutecznie dawali sobie radę tacy ówcześni outsiderzy jak Korea Południowa,

Tajwan, a szczególnie Turcja. Na takiej energii jakiś czas mogły „jechać" PRL Gierka i Egipt Nasera. Podobna energia przyniosła rewolucję Chomejniego do Iranu czy arabską wiosnę z jej następstwami. Podobna energia przepaliła się na próżno w zdekolonizowanej Afryce. Przed regionem stoi całe spektrum możliwości.

W wymiarze międzynarodowym Azja Centralna „skazana" jest na funkcję bufora pomiędzy Rosją a Chinami – i to te dwa państwa (w pierwszej kolejności nadal Rosja) będą miały kluczowy wpływ na tamtejszą sytuację. Region miał przy tym – i wciąż będzie miał – znaczenie w kontekście definiowania pozycji Rosji: niezależnie od wyniku wojny na Ukrainie Moskwa podejmie próbę jego neoimperialnej rekonkwisty. Wynik tego procesu, trwałość ewentualnych sukcesów i koszty dla metropolii w każdym wariancie są dalece nieoczywiste. Tak jak dawniej Azja Centralna będzie określała relacje rosyjsko-chińskie: wszak to tu stawiano fundamenty zaufania między oboma państwami, to tu narodziła się Szanghajska Organizacja Współpracy, dziś aspirująca do roli globalnej, i to tu realnie przetestowano nowe mechanizmy i układ sił między Moskwą a Pekinem. Niezależnie od tych dwóch graczy ranga takich państw jak Turcja, a w wymiarze gospodarczym krajów Zatoki Perskiej i Azji Wschodniej, będzie zapewne rosła.

Zupełnie oczywistym w kontekście rozwoju sytuacji międzynarodowej założeniem wydaje się jednak uznanie sprawczości państw regionu, zwłaszcza Kazachstanu i Uzbekistanu. Przez ponad trzy dekady okazały się one wystarczająco odporne na utratę sterowności wewnętrznej. Ich wielowektorowość w polityce – zazwyczaj traktowana jako reaktywne lawirowanie – jest w sumie efektywną metodą rozgrywania i kapitalizowania interesów silnych aktorów zewnętrznych. Zarówno w wymiarze bezpieczeństwa i stabilności, jak i realizacji interesów gospodarczych, państwa *per se* (jako siły sprawczej) pominąć nie można i nie istnieje dla niego bezpieczna alternatywa (z czego sprawę zdają sobie w pierwszej kolejności Chiny). Czy to do tej pory, czy w scenariuszu świata wielobiegunowego i stref wpływów, obszary czy kraje buforowe (w tym Azja Centralna) mają rację bytu i przestrzeń do rozwoju. Inną opcją pozostaje pogłębiająca się strefa chaosu, której szczególnym przypadkiem jest Afganistan, a w szerszym planie – Bliski Wschód.

Wreszcie – Stary Kontynent musi na nowo odkryć Azję Centralną i się w niej przejrzeć. Jest ona kolejnym na długiej liście przykładem, jak świat wymyka się naszym, wykształconym w XX wieku i wysublimowanym w obecnym stuleciu, kategoriom poznawczym i normom. To też kolejny na długiej liście przypadek wielkich słów i deklaracji, traconych szans, rosnących wyzwań – i sukcesów konkurentów. Komfort doraźnych interesów (przede wszystkim gospodarczych) tam realizowanych i patrzenie na region jako funkcję polityki „wielkich graczy" nie pozwalają dostrzec i ocenić jego „podmiotowości" i sprawczości – w ich

pozytywnym lub negatywnym aspekcie. W pierwszej linii tego „odkrywania Azji Centralnej" powinien z natury rzeczy stanąć analityk – świadom jej teraźniejszości i przeszłości oraz potrzeb i ograniczeń swojego decydenta, niezmiennie czujny i podejrzliwy wobec tego, co już wie i czego sobie życzy, oswajający przyszłość.

To (nie) Chinatown – analizować politykę Izraela na swoich warunkach

Marek Matusiak

I

„Daj spokój, Jake, to Chinatown" – tak brzmi ostatnie zdanie słynnego filmu Romana Polańskiego z 1974 r. Adresatem jest główny bohater, prywatny detektyw J.J. Gittes, odciągany przez współpracowników z miejsca, gdzie chwilę wcześniej – na terenie tytułowej chińskiej dzielnicy Los Angeles – zastrzelono jego piękną klientkę.

Chinatown symbolizuje miejsce zagmatwane, naznaczone moralną ambiwalencją, w którym nic nie jest tym, czym się wydaje, i którego człowiek z zewnątrz nigdy nie pojmie, a tym bardziej nie zmieni. Może jedynie pozostawić je własnemu losowi i własnym zagadkowym prawom.

O Izraelu, a także o połączonej z nim syjamskim zrostem Palestynie oraz o Bliskim Wschodzie jako takim myśli się często podobnie – jako o rzeczywistości skomplikowanej, innej, wyjątkowej, uwikłanej w tak wiele kontekstów, że właściwie niemożliwej do zrozumienia.

Stąd też opracowania na ten temat – zwłaszcza medialne – pełne są sformułowań w rodzaju „złożony", „skomplikowany", „tragiczny", „nierozwiązywalny" bądź „wymykający się łatwym podziałom". Regularnie dochodzi też do reprodukowania klisz o Bliskim Wschodzie jako świecie niezrozumiałych ludzi kierujących się niezrozumiałymi motywacjami. Świecie wschodniego fanatyzmu, wschodniego okrucieństwa i wschodniego bazaru.

To perspektywa poznawczo całkowicie bezproduktywna, a poniższe uwagi będą o tym, dlaczego należy jej unikać i jak to robić.

II

Żydzi, Zagłada, Ziemia Święta, syjonizm, Palestyna i Palestyńczycy – to typowe skojarzenia przychodzące na myśl w związku z Izraelem. Oprócz nich warto wymienić kilka innych regularnie pojawiających się à propos tego państwa w polskiej i międzynarodowej debacie publicznej. A zatem: wojny i zbrodnie wojenne, terroryzm, okupacja, osadnictwo, konfrontacja z Iranem, sojusz z USA, antysemityzm, fundamentalizm. A to tylko te pierwsze z brzegu.

Żadne z tych zagadnień nie jest łatwe. Niektóre odwołują się do ludobójstwa, inne do brutalnych konfliktów, jeszcze inne do prawa międzynarodowego, odległej historii czy węzłowych problemów sytuacji międzynarodowej. Niemal wszystkie dotykają przy tym zagadnień dużego (a czasami – jak w przypadku Zagłady – największego) kalibru.

W efekcie powstaje splot wydarzeń, epok, kontekstów, symboli i emocji, przez który trudno się przebić, nie wspominając nawet o jego rozeznawaniu i analizie. Na domiar złego moment wejścia w tę tematykę jest zarazem momentem wejścia w strefę permanentnej kakofonii głosów medialnych, eksperckich, pseudoeksperckich, a przede wszystkim – jawnie, półjawnie bądź niejawnie – propagandowych.

W kakofonii tej fakty są kwestionowane, a podstawowe pojęcia – podważane lub rozmywane, stosuje się szantaż moralny oraz delegitymizację oponenta – moralną, prawną i polityczną. Co więcej kakofonię tę współtworzą nie tylko spontaniczni aktorzy dający wyraz swoim osobistym (choćby najskrajniejszym) przekonaniom, lecz także zorganizowane machiny propagandowe. Te zaś – co nie zaskakuje – nie są nastawione na swobodną wymianę poglądów, ale na promocję własnego przekazu i pilnowanie granic debaty, a w razie niepodołania temu zamiarowi – na utopienie jej w niekończącym się emocjonalnym zgiełku. Eskalacja emocji należy tu bowiem do świadomie używanych narzędzi – choćby wówczas, kiedy odpowiedzią na krytykę Izraela jest automatyczne oskarżenie o antysemityzm. Ostatecznie, jak twierdzi sam premier Binjamin Netanjahu: „Jeśli jesteś przeciwko państwu żydowskiemu, jesteś antysemitą".

W tej sytuacji, aby obserwować, analizować i interpretować tamtejszą politykę w sposób swobodny, krytyczny i poznawczo produktywny, należy wykonać kilka zabiegów.

Po pierwsze, określić i nazwać stanowisko, z którego się myśli i mówi (w myśl zasady, że najlepszy obiektywizm to jawny i uświadomiony subiektywizm).

Po drugie, stosować dystynkcje, a więc wytyczać granice między zjawiskami i oddzielać te, które – w świetle przyjętych założeń – są istotne, od tych, które takie nie są.

Po trzecie, przeprowadzić na przedmiocie badań operację, którą nazwać można odarciem ze statusu wyjątkowości, to znaczy rozpatrywać go jak po prostu

jedno z niemal dwustu państw na świecie i stosować wobec niego kategorie wykorzystywane w odniesieniu do innych, niekoniecznie natomiast te, które społeczeństwo izraelskie samo wyznacza i w jakich chciałoby być opisywane.

Po czwarte, przyjąć roboczą hipotezę o racjonalności obserwowanych aktorów. A zatem założyć, że działają oni świadomie, z premedytacją, kalkulując koszty, dobierając środki do celów i spodziewając się konkretnych rezultatów. Cele te mogą (choć nie muszą) być motywowane ideologicznie, lecz nawet wówczas nie są niemożliwe do zrozumienia. I dotyczy to zarówno samego Izraela, jak i jego regionalnych oponentów. Często bowiem posunięcia jednostek, grup czy państw na Bliskim Wschodzie tłumaczy się afektem, obłędem albo przemocą dla samej przemocy. W rzeczywistości rzekomy „obłęd" stanowi zaś po prostu wygodne wytłumaczenie tego, czego nie umie się (albo nie chce) wytłumaczyć inaczej. Co nie oznacza, że aktorzy nie popełniają w swoich kalkulacjach błędów lub że ich „racjonalność" jest równoznaczna z „legalnością" czy „moralnością".

Po piąte, dążyć do ustanowienia własnego, suwerennego punktu widzenia, omijającego zarówno gotowe paradygmaty, jak i pułapkę fałszywego symetryzmu, w którym prawda albo leży idealnie pośrodku, albo jest tak szalenie trudna do ustalenia, że właściwie nie istnieje (bo wszystko jest „tak ogromnie skomplikowane"). Wpadnięcie w ową zasadzkę doprowadzi wyłącznie do tego, że badając, nie zbadamy, a mówiąc – nie powiemy.

Po szóste, zaakceptować, że formułowanie ocen w dziedzinie tak silnie obarczonej kontrowersjami, w której podstawowe pojęcia (choćby takie jak „okupacja", „terroryzm" i „granice państwowe") są kwestionowane albo rozmyte, wymaga przemyślanej decyzji co do używanej siatki pojęciowej – oraz przyjęcia do wiadomości, że nasz wybór może się komuś nie spodobać.

III

Sprawą kluczową jest określenie i nazwanie perspektywy, z której przyglądamy się przedmiotowi badania. Funkcjonując w ustroju demokratycznym, można mieć dowolne poglądy na dowolny temat i patrzeć na wydarzenia krajowe i zagraniczne przez dowolny pryzmat ideologiczny. Wykonując jednak zawód dziennikarza, akademika lub pracownika instytucji publicznej, nie sposób kierować się na przykład światopoglądem religijnym.

Stąd też koncepcje w rodzaju „Ziemi Świętej", „Ziemi Izraela" albo Palestyny jako depozytu powierzonego muzułmanom przez Boga nie są adekwatnymi kategoriami analitycznymi i mogą być dla badacza istotne tylko o tyle, o ile oddziałują na tych, którym się on przygląda. W praktyce oznacza to, że należy wiedzieć, kto i dlaczego się nimi posługuje, nie wolno jednak (przynajmniej w czasie pracy) posługiwać się nimi samemu.

Zastrzeżenie to może wydawać się całkiem oczywiste. Zwłaszcza że „Ziemia Święta" to dziś w zachodnim kręgu kulturowym termin raczej duchowy niż polityczny (inaczej niż 100 lat temu, kiedy w 1917 r. prasa brytyjska fetowała wkraczającego do Jerozolimy generała Allenby'ego jako wyzwoliciela „świętego miasta" po 673 latach muzułmańskiej niewoli).

Jednak już biblijna „Ziemia Izraela" – terytorialnie większa od Państwa Izrael – to wyrażenie konsekwentnie i serio stosowane w kontekście politycznym nie tylko przez wiele miejscowych ugrupowań, lecz także przez adwokatów Izraela za granicą – choćby religijnych syjonistów w USA albo część żydowskiej diaspory. Żeby nie być gołosłownym, aktualny (2025 r.) ambasador Stanów Zjednoczonych w Jerozolimie Mike Huckabee regularnie powtarza, że nie ma czegoś takiego jak „Zachodni Brzeg Jordanu". W przekonaniu dyplomaty istnieje bowiem tylko „Judea i Samaria", do których Żydzi „mają prawowity tytuł własności od 3500 lat". I po prawej stronie amerykańskiej sceny nie jest to głos odosobniony.

Wśród Izraelczyków natomiast nawet ci o poglądach odległych od religijnych nierzadko – świadomie lub bezwiednie – za sprawą formacji kulturowej i narodowej, którą odebrali, przyjmują tę kategorię za punkt odniesienia. W konsekwencji uznają, że ich państwo nie dość, że nie okupuje cudzych terytoriów, to jeszcze dobrowolnie zrzeka się tych, które mogłyby mu się należeć.

Termin stricte religijny staje się tym samym zarówno pojęciem politycznym legitymizującym kolonizację palestyńskich terytoriów okupowanych, jak i wręcz pozornie neutralnym terminem opisowym mającym apelować do odbiorcy na poziomie zdrowego rozsądku. No bo przecież czy Państwo Izrael może nielegalnie okupować kawałek Ziemi Izraela? Oczywiście, że nie. Badacz powinien to myślenie pojmować, uchowaj Boże jednak – nomen omen – żeby mu się udzieliło.

IV

Równie ważne co zdefiniowanie własnego stanowiska wobec porządku religijnego jest określenie go względem przeszłości. I tu trzeba postawić sprawę otwarcie: historia jako źródło legitymizacji aspiracji politycznych nie ma (większego) znaczenia!

Ma je przy tym naturalnie – podobnie jak religia – dla społeczeństw będących obiektem analizy, pomaga też zrozumieć źródła stanu obecnego. Nie może natomiast – dla zewnętrznego obserwatora współczesnej polityki – znaczyć zbyt wiele jako samodzielna kategoria badawcza, a tym bardziej normatywna. Jest to niewątpliwie perspektywa bardzo europejska, ale… jaka miałaby być?

Stary Kontynent odrobił lekcję z ekspansywnych nacjonalizmów odwołujących się do odległych (wyobrażonych lub na poły wyobrażonych) historycznych

uzasadnień w XX wieku i obecnie tego rodzaju dyskursów raczej nie bierze się tu na poważnie nawet na twardej prawicy. Nie ma już również wielu kontestatorów poglądu, że współczesne narody – jakkolwiek oparte na wcześniejszych wspólnotach – są fenomenami nowoczesnymi, zaś próby kreślenia w tym kontekście prostych linii pomiędzy starożytnością lub średniowieczem a teraźniejszością to zajęcie anachroniczne. Wszystkie europejskie nacje zachowują oczywiście jakieś swoje mity założycielskie, ale – powiedzmy to sobie szczerze – najczęściej nie obchodzą one nikogo poza nimi samymi.

Nie ma zatem powodu, żeby tego samego myślenia nie stosować w odniesieniu do Izraela, a zainteresowania królami Dawidem i Salomonem, Królestwami Judy i Izraela oraz pierwszą i drugą Świątynią Jerozolimską nie zostawić samym Izraelczykom. Podobnie zresztą jak i ekscytacji wykopaliskami – prowadzonymi nierzadko kosztem dewastacji innych warstw archeologicznych – dowodzącymi zawsze i niezbicie dokładnie i tylko tego, czego strona izraelska chciałaby dowieść: że cały obszar od Morza Śródziemnego aż po Jordan należy się jej (*vide* choćby archeologiczno-propagandowy projekt „Miasto Dawida" w okupowanej Wschodniej Jerozolimie).

W rezultacie narrację o narodzie żydowskim – jednym i niezmiennym na przestrzeni całej swojej historii, wyposażonym w wiecznotrwałe prawa – który powrócił z wygania, aby objąć w posiadanie ziemię praojców, wolno potraktować tak jak każdy inny nacjonalistyczny mit – to znaczy niezbyt serio.

Przechodząc jednak do spraw poważniejszych: nie wydaje się również, aby najistotniejszą osnową dla badań nad współczesnym Izraelem, jego polityką i otoczeniem międzynarodowym mogły pozostawać II wojna światowa i popełniona wówczas na europejskich Żydach zbrodnia ludobójstwa. Zagłada Żydów należy do najważniejszych wydarzeń w dziejach Starego Kontynentu ostatniego stulecia, a pamięć o niej wyrosła – nie od razu – na fundament tożsamości państwa izraelskiego.

To jednak historia Europy połowy lat 40. XX wieku, zaś współczesna polityka Izraela to polityka państwa w Zachodniej Azji w połowie lat 20. wieku XXI. A różnica ta jest tym istotniejsza, że żaden z otaczających Izrael bliskowschodnich narodów nie miał z tą historią nic wspólnego, a spory odsetek żydowskich Izraelczyków pochodzi spoza Europy (np. z Maroka, Iraku czy Jemenu), więc doświadczenie Zagłady dotyczy wprawdzie ich wspólnoty narodowej, lecz nie bezpośrednio ich rodzin czy społeczności.

Tragedią, którą w aspekcie Izraela przywołuje się równie często – tym razem z pozycji krytycznych – jest Nakba (arab. katastrofa), czyli wymuszony exodus lub wygnanie ok. 750 tys. palestyńskich Arabów z terytorium obecnego Państwa Izrael w latach 1947–1949. Dała ona początek zjawisku palestyńskich uchodźców oraz uczyniła Izrael tym, czym jest dzisiaj, a zatem państwem

o zdecydowanej przewadze demograficznej Żydów. O wydarzeniu tym mówi się jako o jego grzechu pierworodnym oraz kluczowym kontekście rozmowy o trwającym konflikcie izraelsko-palestyńskim.

Większość z tego to prawda. Wygnanie jest faktem. Jego (w istotnej mierze) planowy charakter jest faktem. To, że Izrael wypiera się jego sprawstwa, grożąc zarazem, że może je powtórzyć – także. Oraz to, że znaczna część mieszkańców np. Strefy Gazy to ludzie, których przodkowie zaledwie kilka pokoleń wcześniej zamieszkiwali terytorium dzisiejszego środkowego i południowego Izraela.

Znajomość tych faktów pozostaje naturalnie ważna. Trudno jednak stwierdzić, co właściwie miałoby z niej wynikać, biorąc pod uwagę, że Izrael – ze swym składem etnicznym, ze swą tożsamością państwową i w uznanych międzynarodowo granicach – jest od 1949 r. członkiem ONZ (uznanym przez 85% państw na świecie), a do tego zdecydowanie niejedynym w tym gronie podmiotem, którego powstanie wiąże się z tragedią innej grupy etnicznej.

Podsumowując: historia terytorium, na którym Izrael leży, historia Bliskiego Wschodu jako takiego, historia Żydów czy historia Palestyńczyków to pouczający kontekst badań nad współczesnością. Nie może on natomiast warunkować – a tym bardziej determinować – analizy tego, co dzieje się aktualnie. W konsekwencji poniekąd wiedzę tę najpierw należy nabyć, a potem odrzucić (a przynajmniej nie robić z niej użytku).

V

Trzecim – obok wymiarów religijnego i historycznego – zagadnieniem wymagającym omówienia jest kwestia stosunku do różnych narodów, kultur i religii. Współczesna kultura europejska (w tym polityczna) przyjęła – teoretycznie – postawę relatywistyczną, zgodnie z którą żadna kultura ani religia nie są same w sobie lepsze ani gorsze od innych. Również na poziomie politycznym nie klasyfikuje się w ten sposób państw ani narodów. W praktyce jednak element wartościowania i hierarchizowania pozostaje w zachodnim (w tym europejskim) postrzeganiu świata obecny, a Izrael na tym korzysta. Pomimo narastającej krytyki pod adresem tego państwa jest ono uznawane za cywilizacyjnie bliższe nam niż jego sąsiedzi, co w ogromnym stopniu działa na jego korzyść i sprawia, że to jemu – nadal, pomimo popełnianych zbrodni i konsekwentnego przekazywania międzynarodowej opinii publicznej nieprawdziwych informacji – odruchowo udziela się kredytu zaufania.

W efekcie nawet media, które uchodzą za wyznaczające standardy dziennikarskiej rzetelności, operują z pozycji systemowego uprzedzenia proizraelskiego. Nie oznacza ono, że postępowania tego państwa nie opisuje się krytycznie, ale że próg formułowania krytyki jest wyższy, konkluzje – mniej kategoryczne – a język,

jakim się to robi – mniej jednoznaczny, niż miałoby to miejsce w przypadku innego państwa prowadzącego podobną politykę.

Żeby nie być gołosłownym: artykuł w „The Washington Post" z 3 grudnia 2023 r. opisujący śmierć wcześniaków, które personel szpitala Al-Nasr musiał opuścić w czasie zarządzonej przez armię izraelską przymusowej ewakuacji placówki, zatytułowano *Cztery kruche życia odnalezione martwe w ewakuowanym szpitalu w Gazie*. W trakcie nalotów na Strefę Gazy 7 listopada 2023 r. „The New York Times" opublikował materiał *Eksplozja, którą mieszkańcy Gazy uznają za nalot, powoduje liczne ofiary w gęsto zaludnionej dzielnicy*. Bombardowanie obozu uchodźców w czerwcu 2024 r. skwitowano tytułem *Nalot na obszar, w którym obozowali przesiedleńcy, zabija do 25 osób*, a inne uderzenie – *Łzy i modlitwy mieszkańców Gazy po śmierci bliskich zabitych w ataku na dawną szkołę*. W ostatnim z tych tekstów przymiotnik „izraelski" pojawia się dopiero w siódmej linijce.

Jeszcze trudniej niż przypisywanie Izraelowi odpowiedzialności przychodzi zachodnim mediom przyznanie, że w jakiejś sprawie mówić prawdę albo być stroną zaatakowaną może nie on, lecz choćby któreś z ugrupowań palestyńskich bądź Hezbollah albo – o zgrozo – Iran.

W konsekwencji badacz polityki Izraela obserwujący go z Europy (nie wspominając już o USA) musi mieć świadomość, jak silnie i stale jego optyka odkształcana jest na korzyść tego państwa na poziomie języka, emocji i stereotypów. Ten stan rzeczy nakazuje ostrożność, jeśli chodzi nie tylko o źródła informacji, lecz także o uwzględniany kontekst i używane słownictwo.

VI

W tym miejscu stanowisko, z którego autor proponuje przyglądać się dzisiejszemu Izraelowi, określić można nie tylko w sposób negatywny – poprzez opisanie, czym ono nie jest i czego nie uwzględnia – ale także pozytywny – poprzez pokazanie, czym jest. Mówimy zatem o perspektywie świeckiej, europejskiej, naznaczonej postmodernizmem (*vide* narody jako konstrukty) i normatywnej o tyle, że uznającej prawo międzynarodowe – w tym jego dorobek w zakresie praw człowieka – za ważny (choć niejedyny) punkt odniesienia w procesie analizy polityki międzynarodowej, zaś zakończenie II wojny światowej – za swoistą (coraz odleglejszą) godzinę zero współczesnego świata. Jednocześnie chodzi nam o perspektywę utylitarną, wychodzącą od pytania, czy Izrael taki, jakim jest (a nie taki, jakim rzekomo kiedyś był, miał być lub mógłby być), to z polskiego i europejskiego punktu widzenia państwo stwarzające szanse czy raczej problemy i zagrożenia.

Naturalnie w czasach, gdy ideę „liberalnego porządku międzynarodowego" dezawuują nie tylko państwa pokroju Federacji Rosyjskiej, lecz nawet

Stany Zjednoczone, powoływanie się na prawo międzynarodowe może samo w sobie brzmieć jak anachronizm. Po pierwsze jednak, żeby z takiego myślenia zrezygnować, Europa (i Polska) musiałaby najpierw radykalnie zredefiniować własną tożsamość kulturową i polityczną (co nie jest niemożliwe, ale dotąd nie nastąpiło). Po drugie natomiast – i ważniejsze – nic nie stoi na przeszkodzie, aby dokonawszy rozpoznania realiów w zgodzie z powyższymi kryteriami, podjąć – w myśl sentencji *Video meliora proboque, deteriora sequor* (Widzę i pochwalam lepsze, idę za gorszym) – decyzję polityczną niezgodną z nasuwającymi się wnioskami. Analiza i decyzja to ostatecznie, jak żartobliwie mówią w Odessie, „dwie duże różnice".

Ale również w analizie politycznej nie chodzi oczywiście o to, aby zamiast zajmować się rzeczywistością, która *jest*, projektować tę, która *powinna być*. Celem jest wykształcenie własnego oglądu świata – opartego na własnych kategoriach poznawczych i osadzonego we własnym systemie wartości. Tylko dzięki niemu bowiem da się właściwie ocenić, z jakim partnerem mamy do czynienia oraz czy faktycznie dzielimy z nim wspólnotę wartości i interesów. W przeciwnym razie nietrudno ulec narracjom sugerującym istnienie takiej wspólnoty tam, gdzie naprawdę jej nie ma.

VII

Jakim państwem jest więc w świetle wyłożonych powyżej kryteriów Izrael? Przede wszystkim takim, które pomimo zewnętrznych podobieństw do świata zachodniego oraz licznych związków historycznych, międzyludzkich i politycznych z nim nie jest i nie chce być – wbrew powtarzanym niekiedy zapewnieniom – jego częścią ani pod względem tożsamości, ani systemu politycznego, ani orientacji geopolitycznej. Na jego osobność składa się szereg czynników.

1. Popełniane ludobójstwo

Izraelska inwazja na Strefę Gazy rozpoczęta w odpowiedzi na atak Hamasu z 7 października 2023 r. ma charakter zbrodniczy, a w ocenie licznych specjalistów z zakresu prawa międzynarodowego, dziejów Zagłady czy historii innych ludobójstw (jak choćby Omer Bartov, Amos Goldberg, William Schabas, Daniel Blatman, Marianne Hirsch, Michael Rothberg i Taner Akçam) – także ludobójczy. Analiza tego faktu przekracza granice niniejszego eseju, lecz okoliczności tej nie można i nie będzie można pominąć.

2. Etnonarodowy charakter

Izrael przyznaje pierwszeństwo etnicznie definiowanemu narodowi nad obywatelstwem. W efekcie nie jest to państwo wszystkich obywateli, ale konkretnej

grupy etnicznej, zamieszkiwane też przez inne (głównie jedną – Palestyńczyków: muzułmanów i chrześcijan). Podziału na większość i mniejszość nie da się tam de facto przekroczyć.

Niebycie Żydem formalnie nie oznacza innego zakresu praw, lecz w praktyce Palestyńczycy to obywatele podejrzani, o systemowo niższym statusie symbolicznym, politycznym, zawodowym i majątkowym. Wiele ścieżek kariery pozostaje przed nimi zamkniętych, a co więcej – ich prawa obywatelskie, a nawet prawo do pozostawania w kraju, regularnie się kwestionuje. Wyższą pozycją niż arabscy obywatele cieszy się choćby żydowska diaspora. Każdy jej przedstawiciel może bowiem w dowolnej chwili otrzymać paszport i dołączyć do grupy większościowej, jak również – jeszcze w tym samym pokoleniu – dojść do stanowisk niedostępnych dla jakiegokolwiek Araba (tak przykładowo potoczyły się losy byłego ministra obrony i spraw zagranicznych Awigdora Liebermana, urodzonego w radzieckim Kiszyniowie).

Sytuacja ta jest stanem normalnym, trwałym, przezroczystym, którego żadna siła polityczna nie zamierza zmieniać. Krytykę tego porządku dezawuuje się zaś jako „odbieranie Izraelowi prawa do istnienia". „Istnienie" oznacza tu bowiem funkcjonowanie w formule opisanej powyżej.

3. Znaczenie ideologii. Na zewnątrz...

Izraelska opowieść tożsamościowa brzmi w uproszczeniu następująco:

> Żydzi są rdzennym narodem Ziemi Izraela, obecnym tam od czasów biblijnych. Choć większość została wypędzona wskutek przemocy zewnętrznej, to niewielkie wspólnoty nieprzerwanie zamieszkiwały święte miasta – Jerozolimę, Hebron, Tyberiadę czy Safed. Mimo rozproszenia naród żydowski zachował tożsamość, wiarę, a także duchową oraz materialną więź z ojczyzną. Życie w diasporze oznaczało prześladowania i asymilację, czego kulminacją była Zagłada.
>
> W XIX wieku narodził się syjonizm – ruch odrodzenia narodowego, który głosił, że Żydzi mają prawo do samostanowienia w Erec Israel. Imigracja, trwająca od końca XIX wieku, była powrotem do domu, a nie kolonizacją. Arabskie osadnictwo rozwinęło się w późniejszym (niż żydowskie) okresie i nie miało równie głębokich korzeni historycznych. Ponadto w czasach dominacji arabskiej ziemia ta popadła w zaniedbanie; dopiero Żydzi przywrócili jej rozwój.
>
> Deklaracja Balfoura (1917) i rezolucja ONZ z 1947 roku uznały prawo Żydów do własnego państwa. Arabowie odrzucili te decyzje i podjęli próbę zniszczenia nowo powstałego Izraela. Wojna 1948 roku była pierwszą z wielu, w których bronił on swego istnienia.

Pomimo ciągłego zagrożenia ze strony wrogich sąsiadów i organizacji terrorystycznych Izrael przetrwał, przyjął miliony żydowskich imigrantów i zbudował nowoczesne, demokratyczne państwo – centrum życia żydowskiego. Próby delegitymizacji jego istnienia – np. przez oskarżenia o kolonializm – to nowoczesna forma antysemityzmu.

Nie różni się ona zanadto od masy innych nacjonalistycznych mitów – jej korzenie sięgają czasów przedhistorycznych, dzieje mają w niej naturę linearną, a ponadto logikę i cel. Podmiotem jest naród – jeden i niezmienny pomimo rozproszenia na przestrzeni tysięcy kilometrów i tyluż lat historii, a na dodatek dysponujący niezbywalnymi prawami i tytułami własności. Historię traktuje się selektywnie i normatywnie – liczą się i mają moc uprawomocniania rzeczywistości wyłącznie dzieje od starożytności do I/II wieku n.e., a potem od XIX wieku, natomiast 1800 lat pomiędzy już nie.

Opowieść ta ma jednak dwie cechy szczególne. Po pierwsze, wykazuje zadziwiającą odporność na dekonstrukcję. Po drugie, cechuje się nadzwyczajną emocjonalną nośnością, siłą perswazji i potencjałem światopoglądowej mobilizacji – obejmującym nie tylko żydowskich Izraelczyków, Żydów z diaspory czy choćby chrześcijańskich syjonistów, lecz także ludzi, którzy z Izraelem, żydowską tożsamością i judaizmem nie mają nic wspólnego. W konsekwencji o ile wyznawców ideologii narodowej Czech, Finlandii, Węgier lub Azerbejdżanu (żeby ograniczyć się do narodów o podobnej wielkości) trudno znaleźć poza ich granicami, o tyle emocjonalnie zaangażowanych sympatyków Izraela i jego „sprawy" można napotkać w licznych krajach. Jest to potężny zasób polityczny tego państwa, wielokrotnie multiplikujący jego możliwości w sferze stosunków międzynarodowych.

4. ...i wewnątrz

Państwo Izrael opiera się na zarysowanej powyżej ideologii narodowej, przenikającej wszystkie aspekty życia społecznego i państwowego. Stąd przykładowo podstawową kategorią organizującą scenę polityczną jest pojęcie „partii syjonistycznych". Podział na prawicę, lewicę i centrum następuje zaś w ramach tego spektrum. W efekcie choćby izraelska lewica to nie jest lewica uniwersalistyczna (posługująca się kryterium ogólnoludzkim czy ogólnoobywatelskim), ale narodowa – i to w sensie etnicznym.

Pod szyldem „partii syjonistycznych" nie mieszczą się żydowskie ugrupowania ultraortodoksyjne, których wyborcy są Żydami i obywatelami Izraela, ale które (co do zasady) nie podzielają jego świeckiego, nacjonalistycznego światopoglądu. Pomimo to siły te uczestniczą w życiu politycznym na ogólnych zasadach. W pierwszej kolejności nie mieszczą się pod nim jednak partie

arabskie, apriorycznie wykluczone z głównego nurtu, i to niezależnie od profilu ideowego, głoszonych haseł i proweniencji ich liderów.

Ideologia państwowa przenika też sądownictwo (zarazem całkowicie niezależne w sensie partyjno-politycznym). Przykładowo Sąd Najwyższy Izraela nie tylko nie uznaje żydowskiego osadnictwa na Zachodnim Brzegu za nielegalne, lecz także przyjmuje, że stanowi ono – używając języka ustawy z 2018 r. – „wartość narodową". Sąd ten dba jedynie, aby budowa osiedli nie następowała z pogwałceniem krajowego prawa, dlatego czasem uznaje niektóre z nich za nielegalne i nakazuje ich demontaż.

5. „Jedyna demokracja na Bliskim Wschodzie"

W kontaktach z UE czy USA Izrael podnosi konsekwentnie, że jest „jedyną demokracją na Bliskim Wschodzie". Chce tym samym zaprezentować się jako kraj najbardziej zbliżony do Zachodu pod kątem ustroju politycznego, a zarazem (z uwagi na szczególną moralną wartość, jaką ów Zachód przypisuje takiej formie rządów) bardziej cywilizowany i siłą rzeczy bardziej wiarygodny niż jakikolwiek inny aktor w regionie.

I nie ma wątpliwości, że Izrael to państwo demokratyczne w tym znaczeniu, że władza pochodzi z wyborów, istnieje konkurencja polityczna oraz trójpodział władzy, a system opiera się na zasadach prawa. To jednak przy tym demokracja specyficzna, a to wskutek nadrzędności paradygmatu etnonarodowego względem reguł demokratycznych. W konsekwencji „żydowski i demokratyczny" – według własnej definicji – Izrael często jest w praktyce państwem demokratycznym dla swoich obywateli żydowskich, a żydowskim dla arabskich.

Etnonarodowy pierwiastek oraz fakt posiadania de facto kolonii czy terytoriów zależnych, na które rozciąga się władza państwowa Izraela, ale zasady demokracji i rządy prawa już nie, upodabniają go bardziej do państw europejskich sprzed II wojny światowej (np. II RP w odniesieniu do pierwszego aspektu, a kolonialnej Francji – do drugiego) niż do jakiegokolwiek współczesnego kraju Starego Kontynentu.

Tam, gdzie chodzi o kwestie wewnątrzpolityczne ważne dla żydowskiej większości – takie jak organizacja sądownictwa, rola religii, służba wojskowa ultraortodoksyjnych mężczyzn, polityka społeczno-gospodarcza czy ocena Netanjahu – tam istnieje też rzeczywisty demokratyczny spór i szeroki wachlarz opinii, które wolno swobodnie wyrażać.

Jednocześnie problemy społeczności arabskiej oraz sprawy dla niej istotne są z punktu widzenia mainstreamu miejscowego życia politycznego zagadnieniami zupełnie peryferyjnymi, a arabska reprezentacja w parlamencie jest z trudem tolerowana. Z kolei pluralizm opinii – charakterystyczny dla dyskusji

w innych dziedzinach – ulega bardzo daleko idącemu ograniczeniu, gdy rozmowa zaczyna schodzić choćby na kurs państwa względem palestyńskich terytoriów okupowanych.

W odniesieniu do tych kwestii zawodzą lub o wiele słabiej działają także mechanizmy kontrolne tamtejszej demokracji. I o ile wymiar sprawiedliwości może chlubić się skazaniem na kary pozbawienia wolności jednego byłego prezydenta (za gwałt) i jednego byłego premiera (za łapownictwo), o tyle podobne dociekliwość, determinacja ani pryncypialność nie cechują już jego podejścia do przestępstw i zbrodni wojennych popełnianych przez izraelskich żołnierzy na ludności palestyńskiej na Zachodnim Brzegu Jordanu oraz w Strefie Gazy.

Zgodnie z danymi izraelskiej organizacji monitorującej prawa człowieka na terenach okupowanych Yesh Din w latach 2018–2022 – a więc jeszcze przed atakiem Hamasu – do organów krajowego wojskowego wymiaru sprawiedliwości wpłynęły 862 skargi dotyczące domniemanych przestępstw żołnierzy przeciw Palestyńczykom na Zachodnim Brzegu. Dochodzenie podjęto w 258 przypadkach, a akty oskarżenia sformułowano w 13, przy czym tylko jedna z tych spraw odnosiła się do zabicia Palestyńczyka (na 219 zgłoszonych). Oznacza to, że wojskowi zostali postawieni w stan oskarżenia w zaledwie 1,5% przypadków i w zaledwie 0,4% spraw, w których doszło do ofiar śmiertelnych wśród Palestyńczyków.

Od momentu rozpoczęcia wojny w Gazie w październiku 2023 r. sytuacja uległa dalszemu pogorszeniu. Wiadomo, że oficerowie odpowiedzialni nawet za najdrastyczniejsze zbrodnie wojenne nie są pociągani do odpowiedzialności, a jedynie – w wyjątkowo głośnych przypadkach – pozbawiani piastowanych stanowisk. Przejawem braku zaufania do zdolności izraelskiego wymiaru sprawiedliwości do adekwatnego osądzenia zbrodni wojennych i zbrodni przeciwko ludzkości było wydanie przez Międzynarodowy Trybunał Karny w Hadze w listopadzie 2024 r. międzynarodowych nakazów aresztowania premiera Netanjahu i byłego ministra obrony Jo'awa Galanta.

Źle wygląda również sprawa z mediami, które – w innych sprawach zwykle rzetelne i dociekliwe – kwestie izraelskich zbrodni wojennych w ogromnej większości przemilczają, rozmywają, umniejszają lub relatywizują.

Funkcji kontrolnej nie pełni też parlament. Posłowie arabscy i lewicowi krytykujący działania armii i popierający międzynarodowe śledztwa dotyczące możliwych zbrodni wojennych, tacy jak Ofer Cassif czy Ajman Auda, byli zawieszani lub grożono im odebraniem mandatu. Tymczasem członkowie skrajnej prawicy za wypowiedzi otwarcie nawołujące do użycia broni jądrowej lub „spalenia Gazy" nie ponieśli żadnych konsekwencji dyscyplinarnych.

Podsumowując: izraelskie aspiracje do miana „jedynej demokracji na Bliskim Wschodzie", w wielu sferach mające mocne podstawy, stają się de facto pozbawione treści tam, gdzie sprawa dotyka konfliktu z Palestyńczykami.

6. Niedodefiniowany czy rozmyty charakter podstawowych parametrów państwowości

Klasyczna definicja Georga Jellinka mówi, że na państwo składają się władza, terytorium i ludność. W przypadku Izraela problemy generują aż dwa z tych pojęć.

Unia Europejska uznaje go w granicach z 1949 r., podczas gdy Stany Zjednoczone i on sam uznają, że do jego terytorium przynależą jeszcze Wschodnia Jerozolima (formalnie anektowana w 1980 r.) oraz Wzgórza Golan (przyłączone rok później). Oprócz tego okupuje on i kolonizuje Zachodni Brzeg Jordanu, gdzie w warunkach nieodróżnialnych od tych na terenie Izraela właściwego mieszka już ponad 500 tys. Żydów. Ponadto okupuje Strefę Gazy, południową Syrię i południowy Liban. W efekcie odpowiedź na pytanie o to, gdzie kończy się Izrael, będzie zależała od tego, komu się je zada oraz czy przyjmie się kryterium prawne (a jeśli tak, to według jakiego prawa) czy funkcjonalne.

Ta niedookreśloność nie jest przypadkowa, bowiem pod wieloma względami przedmiot naszych rozważeń to nie tyle nowoczesny byt państwowy o jasno określonych granicach, ile żywy, wciąż niezamknięty i potencjalnie ekspandujący projekt narodowy, którego podstawowe parametry nie zostały ostatecznie zdefiniowane.

7. Religia bezpieczeństwa

Centralne miejsce w kształtowaniu polityki państwowej i tożsamości narodowej zajmuje w Izraelu zagadnienie bezpieczeństwa. I nie jest to wyłącznie praktyczna konieczność wynikająca z położenia i historii konfliktów, ale też rodzaj ideologii – a niekiedy wręcz „świeckiej religii". W rezultacie zagrożenia – realne, potencjalne, hipotetyczne, a nawet skrajnie nieprawdopodobne – są konsekwentnie eksponowane w dyskursie publicznym i utrwalane w kolektywnej świadomości.

Równolegle pamięć o Zagładzie Żydów w Europie w czasie II wojny światowej nie tylko się kultywuje, a jej ofiary czci, lecz także przedstawia się ją po pierwsze jako wspólne dziedzictwo wszystkich żydowskich Izraelczyków (również tych z Jemenu czy Iraku), a po drugie jako wydarzenie mogące nastąpić ponownie. Wszystko razem prowadzi do głębokiego społecznego uwewnętrznienia konieczności ciągłej mobilizacji oraz uzasadnia stosowanie środków nadzwyczajnych, w tym działań militarnych i restrykcji prawnych.

Narracja bezpieczeństwa przenika przy tym zarówno politykę, jak i media, edukację czy kulturę, stanowiąc istotny element narodowego konsensusu. Przestrzeń dla krytyki tego stanu rzeczy znacząco ograniczono, a alternatywne punkty widzenia – w tym głosy kwestionujące skuteczność strategii opartej na sile militarnej – są marginalizowane. W konsekwencji Izraelczycy traktują się jako domyślną ofiarę, a nigdy sprawców – nawet w odniesieniu do

okupacji i kolonizacji Zachodniego Brzegu oraz zbrodni przeciwko ludzkości popełnianych w Strefie Gazy. Co więcej, ich zapotrzebowanie na bezpieczeństwo zdaje się niewyczerpane. Podobnie jak – w znanej anegdocie – granice Rosji „nigdzie się nie kończą", tak i interesy bezpieczeństwa Izraela de facto nie mają granic.

8. Odmienny status różnych kategorii ludzi podległych władzy

Jak wyłożono w poprzednich punktach, władza państwowa Izraela wykracza terytorialnie poza granice, które większość społeczności międzynarodowej uznaje za legalne. Dlatego (jak również m.in. z uwagi na jego opisany już etnonarodowy charakter) podlega jej szereg grup ludności o różnym statusie prawnym, zakresie praw obywatelskich oraz codziennym doświadczeniu politycznym i społecznym. Każda z nich funkcjonuje w odmiennym reżimie prawnym i administracyjnym, co skutkuje silnie zróżnicowanym dostępem do praw, usług i możliwości życiowych – a tym samym reprodukcją strukturalnej nierówności w ramach systemu, który nominalnie deklaruje demokratyczne wartości. Owe grupy to:

- żydowscy obywatele – korzystają z pełni praw obywatelskich, politycznych i ekonomicznych, stanowią grupę dominującą w systemie politycznym i społecznym państwa;
- arabscy/palestyńscy obywatele formalnie posiadający obywatelstwo – pomimo izraelskiego paszportu doświadczają systemowej dyskryminacji, gorszego dostępu do zasobów publicznych oraz marginalizacji politycznej i gospodarczej;
- arabscy/palestyńscy stali mieszkańcy anektowanej Wschodniej Jerozolimy, którzy nie posiadają obywatelstwa Izraela, a jedynie status rezydenta – choć mogą korzystać z niektórych usług publicznych, to ich status jest niepewny: może zostać cofnięty w razie dłuższej nieobecności lub zamieszkania poza miastem; ich prawa polityczne są ograniczone do poziomu lokalnego;
- Palestyńczycy ze Strefy C na okupowanym Zachodnim Brzegu Jordanu, nad którym Izrael sprawuje pełną kontrolę zarówno wojskową, jak i cywilną – nie mają obywatelstwa Izraela ani praw politycznych, a ich przestrzeń życiowa podlega ścisłym restrykcjom; osiedla izraelskie w tej strefie rozwijają się dynamicznie, podczas gdy rozwój palestyński jest blokowany;
- Palestyńczycy ze Strefy B, w której administracja cywilna to domena Autonomii Palestyńskiej, ale pełną kontrolę bezpieczeństwa sprawuje Izrael – żyją oni pod podwójnym zarządem, bez realnej suwerenności

i z nieznacznym wpływem na politykę, szczególnie w kwestiach bezpieczeństwa i mobilności;
- Palestyńczycy ze Strefy A, która formalnie znajduje się pod pełną kontrolą Autonomii Palestyńskiej, lecz w praktyce Izrael zachowuje nadzór nad przestrzenią powietrzną, granicami zewnętrznymi oraz ruchem osób i towarów na tym terenie, jak również przeprowadza tam operacje militarne – nie mogą oni przemieszczać się swobodnie pomiędzy miastami ani podróżować za granicę bez zgody izraelskich władz.

9. Rola diaspory i innych sojuszników ideologicznych

Izraelski potencjał w polityce międzynarodowej nie ogranicza się do czynników wewnętrznych, takich jak wielkość populacji, stan gospodarki, zaawansowanie technologiczne i siła militarna. Niebagatelny jego element stanowi też rozsiana po świecie ustosunkowana żydowska diaspora. Jej przedstawiciele, jeśli czują się z Izraelem związani (co dotyczy wielu, ale nie wszystkich), mogą starać się różnorako wpływać na decyzje polityczne i opinię publiczną w krajach zamieszkania w pożądanym przezeń kierunku. Znaczenie mają także liczne organizacje diaspor, które lobbują na rzecz Izraela, oraz nieżydowscy sojusznicy ideowi – przede wszystkim amerykańscy chrześcijańscy syjoniści, szczególnie wśród ewangelikalnych protestantów.

Wszystko to multiplikuje potencjał państwa, pozwalając mu oddziaływać globalnie, znacznie powyżej skali wynikającej z jego rozmiarów czy liczby ludności.

10. Poczucie odrębności i wyjątkowości

Izrael ma silne poczucie odrębności oraz równie silną pretensję do wyjątkowości na tle innych państw. W stosunkach międzynarodowych nie ogranicza się sojuszami, nie przystępuje do żadnych bloków międzynarodowych, nie jest lojalny wobec nikogo i niczego poza własnym interesem narodowym (o czym regularnie przekonują się Amerykanie) oraz dąży do zachowania maksymalnego pola manewru w relacjach ze wszystkimi. Ponadto nie tylko nie aspiruje do prowadzenia „etycznej polityki zagranicznej", lecz wręcz otwarcie komunikuje, że tego nie robi. Wreszcie zaś: nigdy nie wydatkuje zasobów politycznych ani wojskowych tam, gdzie nie jest to absolutnie konieczne. Propaguje i projektuje przy tym wspólnotę interesów z UE w sprawach dla niego ważnych (*vide* Iran) oraz domaga się w tym zakresie solidarności, ale zarazem zapomina o niej choćby w odniesieniu do pełnoskalowej inwazji Rosji na Ukrainę, gdyż władze w Jerozolimie chcą zachować z Moskwą dobre, poprawne, a w wariancie minimum – suwerenne relacje. I jest to stała, a nie przejściowa cecha polityki Izraela.

Zakończenie

Podsumowując: Izrael jest być może pod wieloma względami odmienny, ale nie wyjątkowy. A w każdym razie nie bardziej niż Polska – która w ostatnich czterech wiekach to istniała, to nie istniała i wędrowała po mapie Europy od Połtawy po Szczecin, Indonezja – gdzie 280 mln ludzi mówiących 700 językami zamieszkuje ponad 7 tys. wysp, albo Bośnia i Hercegowina – o trzech, zasadniczo tożsamych językach urzędowych. Podobnie jak te (i wszystkie inne) państwa także Izrael da się zrozumieć, a jego politykę można swobodnie analizować i przewidywać. Trzeba to jednak robić na swoich warunkach.

Zerkając za „bambusową kurtynę”: analizowanie Chińskiej Republiki Ludowej

Michał Bogusz, Jakub Jakóbowski

Rozległość geograficzna i zróżnicowanie wewnętrzne Chin są porównywalne z odnośnymi parametrami kontynentu europejskiego. Dlatego tak jak karkołomnym zadaniem byłoby znalezienie „specjalisty od Europy”, tak nie da się zostać specjalistą od Chin we wszystkich ich aspektach. Choć analiza tego podmiotu wymaga nabycia fundamentalnej wiedzy o jego historii, kulturze, społeczeństwie i systemie politycznym, to poszczególni eksperci muszą się profesjonalizować w określonych zagadnieniach sektorowych: relacjach zagranicznych, polityce wewnątrz kierownictwa partii i państwa, ekonomii politycznej, technologii, zróżnicowaniu regionalnym, dynamice społecznej itd. W efekcie badanie współczesnych Chin to zazwyczaj praca zbiorowa, wymagająca zaangażowania całego zespołu na różnych etapach. Co więcej, wraz ze wzrostem ich aktywności i pozycji globalnej, pełne zrozumienie polityki zagranicznej Pekinu wymaga sięgnięcia po wiedzę ekspercką z innych regionów i obszarów geograficznych.

Skryta za „bambusową kurtyną” Chińska Republika Ludowa (ChRL) ma niepowtarzalną specyfikę wynikającą z odmiennej kultury politycznej i ustroju. Bogaty w kulturowe odniesienia – współczesne i starożytne – żargon tamtejszej polityki wymaga użycia adekwatnych narzędzi analitycznych, poznania trudnego (przynajmniej w piśmie) języka oraz poruszania się w innym kontekście cywilizacyjnym. Światopoglądowy gorset, skrytość niedemokratycznego reżimu i wszechobecna cenzura zmuszają do ciągłego kwestionowania oficjalnej narracji, weryfikowania wszystkich informacji i traktowania nawet podstawowych danych statystycznych – jak liczba ludności – jako niewiarygodnych.

Przekłamania płyną też z ułomności samego systemu, będących skutkiem skali i dynamiki procesów społeczno-politycznych – często sam Pekin nie dysponuje pełnym wglądem w to, co dzieje się w społeczeństwie czy gospodarce krajowej.

Współczesne Chiny są wreszcie areną ogromnych zmian wewnętrznych, sprawiających, że w wielu aspektach państwa tego trzeba się uczyć ciągle na nowo. Zapoczątkowany przez Deng Xiaopinga pod koniec lat 70. okres „reform i otwarcia" – czas wewnętrznego pluralizmu w Komunistycznej Partii Chin (KPCh) i otwartości kraju na świat – dobiegł końca. Trwające od 2012 r. rządy Xi Jinpinga odcisnęły na partii i państwie silne piętno – przyniosły renesans ideologii marksistowskiej, centralizację władzy na samym jej szczycie, bezprecedensową kontrolę społeczną i represje wobec mniejszości. Nowy przewodniczący zerwał również z dengowskim przykazaniem „ukrywania potencjału i czekania na odpowiedni moment" i odważniej sięgnął po przywództwo w świecie, wkraczając tym samym w fazę ostrego konfliktu ze Stanami Zjednoczonymi i z całym Zachodem.

Wszystko to powoduje, że liczne klasyczne pozycje o dzisiejszych Chinach – książki, raporty, teorie – pełnią coraz częściej wyłącznie funkcje historyczne, a „stare prawdy" o pokojowym i nastawionym na rozwój państwie okazują się bardziej naiwne niż kiedykolwiek wcześniej. Dodatkowo spora część zachodnich badaczy projektuje na ChRL własną racjonalność, a przez to błędnie ocenia jej cele i oczekiwania. Dlatego kluczowe – choć niełatwe – jest ciągłe stawianie się w roli miejscowego decydenta, z jego uposażeniem kulturowym i formatowaniem światopoglądowym, operującego w systemie politycznym skrajnie różnym od zachodnich.

W skrótowej formie, na jaką pozwala niniejszy tekst, specyfikę i wyzwania napotykane w pracy badawczej dotyczącej Chin można zasygnalizować kilkoma zagadnieniami.

Partia czy państwo?

Podstawowy problem, na jaki natrafiamy już na początku pracy analitycznej z ChRL, dotyczy samego przedmiotu analizy. Wbrew naturalnej intuicji kogoś socjalizowanego w Europie w centrum naszego zainteresowania znajduje się partia – KPCh – a nie państwo. Jego struktury, instytucje i procedury powinny być bowiem traktowane jako element o charakterze wtórnym – najważniejszym podmiotem życia politycznego jest zaś właśnie partia. Ta licząca ponad 100 mln członków masowa organizacja stanowi „system nerwowy" państwa, społeczeństwa i gospodarki. Instytucjonalnie oddzielna od struktur państwowych, choć nierozerwalnie z nimi zrośnięta, jest areną walki o władzę i podejmowania wszelkich decyzji. Posiada własne struktury, tożsamość, ideologię i tradycję.

Pisząc lub mówiąc „Chiny", stosujemy więc w rzeczywistości skrót myślowy dla sformułowania „ChRL jako konstrukcja i zestaw narzędzi wykorzystywanych przez KPCh do rządzenia i utrzymywania stosunków międzynarodowych".

Dla partii państwo to przede wszystkim instrument zarządzania populacją i kontrolowania jej oraz konieczny sztafaż w kontaktach ze światem zewnętrznym. KPCh dostosowała się do tego stanu, tworząc swoistą „protezę" państwa, by móc się wpasować w system międzynarodowy, zorganizowany w formie suwerennych podmiotów. Decyzyjność i sprawczość pozostają jednak ulokowane i realizowane w partii i poprzez partię.

Władza Xi Jinpinga nie wyrasta z piastowania przez niego stanowiska przewodniczącego ChRL. Jego zdolność do skutecznego rządzenia wynika z pełnienia funkcji partyjnych, zwłaszcza sekretarza generalnego KPCh i przewodniczącego Centralnej Komisji Wojskowej Komitetu Centralnego (KC) KPCh. Stanowiska przewodniczącego ChRL i szefa państwowej Centralnej Komisji Wojskowej mają tylko pozwolić aktorom spoza partii na rozpoznanie jego roli i znaczenia w systemie. W wysoce sformalizowanych relacjach międzynarodowych pozwalają mu też uczestniczyć w oficjalnych spotkaniach jako głowa państwa, zgodnie z protokołem dyplomatycznym. Z tych samych powodów w latach 80. XX wieku Deng Xiaoping był wicepremierem – inaczej wszystkie podróże zagraniczne, a nawet spotkania z przedstawicielami innych państw w ChRL musiałby odbywać jako osoba prywatna.

Ta sama zależność rozciąga się w dół przez całą hierarchię – członek Biura Politycznego KC prowadzący sprawy zagraniczne ma więcej władzy niż minister, partyjny sekretarz prowincji znaczy więcej od jej gubernatora, a szef komórki KPCh w państwowej spółce – od jej prezesa.

Świadomość, że zajmując się polityką Chin, de facto badamy politykę międzynarodową KPCh, jej metody i cele w zakresie kontroli nad populacją, wykracza poza kwestie semantyczne – to niezbędny fundament analizy, wynikający z faktu, że chociaż interes narodowy państwa i interesy elit partyjnych są często tożsame, to w sytuacji ich rozbieżności interes KPCh jako organizacji i interes osobisty jej przywódców zawsze wezmą górę. Dlatego – przy czym nie jest to zjawisko właściwe wyłącznie dla Chin – tamtejsza polityka, dyplomacja, gospodarka, ale również kultura i sprawy społeczne nie mogą być badane tylko z perspektywy „interesu narodowego", lecz każdorazowo także przez pryzmat partii, jej celów, sytuacji wewnątrz niej i ewolucji ideologicznej.

Znikający ludzie

Najwyższe kręgi KPCh strzegą swojej prywatności, ale i dbają o zewnętrzny wizerunek partii jako monolitu. O bieżącym układzie sił w jej kierownictwie,

które najsilniej ukrywa się za „bambusową kurtyną", wiemy niedużo. Objęciu władzy przez Xi Jinpinga towarzyszyły dodatkowo rozbicie najbardziej rozpoznawalnych frakcji, likwidacja zagranicznych siatek wywiadowczych oraz zmiażdżenie swobód w zwykle pełnym plotek Hongkongu.

Kremlinologiczne czy właściwie „Zhongnanhailogiczne" próby zarysowania linii podziałów wewnętrznych to hobby części zagranicznych ekspertów, lecz zwykle nie różnią się one od wróżenia z fusów, zaś do ich rezultatów zawsze trzeba podchodzić z ogromną ostrożnością. Brak rzetelnych informacji należy przyjmować z pokorą, a praca analityka do spraw życia politycznego partii sprowadza się nieraz do kolekcjonowania drobnych kawałków pośrednich przekazów, oglądanych wielokrotnie z każdej strony.

Charakterystycznym dla życia politycznego ChRL zjawiskiem są „znikający ludzie". Znane postacie – nierzadko osoby z najwyższych kręgów władzy (funkcjonariusze partyjni, ministrowie, generalicja) czy miliarderzy – nagle „wyparowują" z przestrzeni publicznej. Posiadacze legitymacji KPCh mogą zostać zatrzymani przez służby partyjne i przekazani państwowym organom śledczym po miesiącach dochodzenia wewnętrznego, często z użyciem tortur. Dlatego o przyczynach ich zniknięcia niekiedy dowiadujemy się nawet po latach albo i nigdy. Stawiane potem zarzuty przybierają postać walki z korupcją, co jest ulubioną metodą prowadzenia „czystek" w KPCh przez Xi Jinpinga, lub wiążą się z odstępstwami od linii partyjnej, skandalami obyczajowymi czy oskarżeniami o szpiegostwo. Rekonstruując szerzej zakrojone działania, można następnie próbować odczytać ogólniejsze tendencje dotyczące życia politycznego partii, przy czym „znikanie" osób z pierwszych stron gazet świadczy o tym, że owo życie polityczne nie zanika – ale skrywa się za „bambusową kurtyną".

Sytuacje tego typu nie zawsze stanowią konsekwencję problemów natury politycznej – nieraz chodzi o zdrowie. Kondycja psychofizyczna przywódców jest owiana tajemnicą, a ludzie ci oficjalnie właściwie nigdy nie chorują – po prostu pewnego dnia umierają na przewlekłą chorobę, której *nigdy wcześniej nie doświadczyli*. Dlatego nieobecność kogoś z wierchuszki może faktycznie wynikać z jego stanu zdrowia. Niemniej pojawienie się informacji, że ktoś taki choruje, niesie sygnał, że jego dni w polityce są już policzone. Oprócz tego komunikat o chorobie lub zniknięcie z życia publicznego to zazwyczaj ostatni akt upadku politycznego, co oznacza, że z analitycznego punktu widzenia dowiadujemy się o tym za późno.

Na śledzenie stanu walk frakcyjnych między partyjnymi bonzami pozwala obserwowanie kariery osób na niższych szczeblach hierarchii, o których wiemy, że należą do ich frakcji osobistych. Najczęściej mowa o działaczach, z którymi dany lider wcześniej współpracował. Jeżeli ludzie jednego barona KPCh zaczynają awansować szybciej i w większej liczbie niż innego, to znaczy, że stosunek sił w kierownictwie zmienia się.

Trudniej tropić utratę wpływów przez kogoś z kierownictwa, ponieważ dymisje są często nieanonsowane. Odnotowując awans, trzeba każdorazowo sprawdzić, co dzieje się z osobą odchodzącą z danego stanowiska. Jeżeli człowiek ten nie jest w wieku emerytalnym i w ciągu pół roku nie otrzyma nominacji na równorzędną lub wyższą funkcję, to ma problemy polityczne lub naprawdę poważne kłopoty ze zdrowiem – przy czym w drugim z tych przypadków jego nazwisko wkrótce powinno pojawić się wśród partyjnych nekrologów. Trwanie na stanowisku, jak długo się da, to inna cecha systemu ChRL.

Przecieki i plotki

Bezcenną wiedzę zapewniają *przecieki* niepublicznych dokumentów informujących wyższe kadry KPCh o kierunku polityki lub przekazujących niekolorowany obraz sytuacji. Takie źródła trafiają poza Chiny na rozmaite sposoby. Katastrofalny stan państwa po kampanii wielkiego skoku poznano na Zachodzie dzięki tybetańskim partyzantom, którzy zdobyli wewnętrzny raport po ataku na transport Armii Ludowo-Wyzwoleńczej w 1961 r. Czasami dokumenty ujawniają anonimowi członkowie aparatu poprzez przekazanie ich zagranicznym dziennikarzom, ponieważ nie godzą się z kursem Pekinu. Tak było w wypadku tzw. *Xinjiang Papers*, które w 2019 r. pokazały skalę prześladowań Ujgurów i innych mniejszości.

Niekiedy można podejrzewać, że za kontrolowanym *przeciekiem* stały same organy partii. Przykładowo *Dokument 79* nakazuje spółkom państwowym z sektorów finansowego, energetycznego i innych zastąpienie w systemach informatycznych zagranicznego oprogramowania krajowym do 2027 r. W tym wypadku skuteczna implementacja decyzji wymaga jej powszechnej cyrkulacji, aby do zmian mogły się przygotować nie tylko spółki państwowe, lecz także firmy oferujące odpowiedni software. Z uwagi na stosunki z partnerami zagranicznymi KPCh nie chce jednak formalnie wprowadzać takiego nakazu.

Nie brakuje też sytuacji, kiedy nie wiemy, kto i dlaczego doprowadził do upublicznienia danego dokumentu. Co więcej, nie możemy nawet bezsprzecznie potwierdzić jego autentyczności. Tzw. dokument nr 9 (*Komunikat w sprawie obecnego stanu sfery ideologicznej*) należy wprawdzie do newralgicznych materiałów prezentujących sposób patrzenia kierownictwa KPCh na świat u progu rządów Xi Jinpinga, lecz do dziś jesteśmy skazani na domysły co do źródeł jego wycieku. Obcy wywiad? Przeciwnicy polityczni? A może to element sygnalizowania Pekinu?

Pojawiających się systematycznie plotek nie wolno nam traktować jako poważnych informacji. Doskonały przykład to książka *Xi Jinping i jego kochanki*, przedstawiająca barwne życie nie tylko genseka, lecz także licznych innych

przywódców. Jej anonimowi autorzy bez podania jakichkolwiek dowodów opisują w niej m.in. związki aktualnego przewodniczącego z agentką CIA, która miała kierować jego karierą. Niemniej plotki, skupiając się na konkretnym zagadnieniu, które wcześniej nie wyróżniało się w debacie, mogą wskazywać na napięcia wewnętrzne w Chinach. Nagminność i rozpowszechnianie się niepotwierdzonych pogłosek mimo cenzury i surowych kar dowodzą też dużej nieufności Chińczyków do oficjalnych środków masowego przekazu. Pamiętajmy przy tym, że władze również wykorzystują plotki w szeptanej propagandzie i kampaniach dezinformacyjnych.

Zamknięta dyskusja i rozmowa z przekaźnikiem

Do tradycyjnych metod odczytywania polityki Pekinu należą obserwacja mediów i dyskursu publicznego, a także osobiste relacje z dyplomatami, naukowcami i ekspertami. W obu tych obszarach chińska sfera informacyjna coraz bardziej ulega jednak wyjałowieniu z treści i coraz częściej powiela linię partii. Z wszechobecną i zaawansowaną technologicznie cenzurą w sieci pole do debaty sukcesywnie się zatem zawęża. O ile podważanie władzy KPCh w ChRL było zawsze zabronione, o tyle jeszcze kilkanaście lat temu w tamtejszej przestrzeni publicznej można było znaleźć wyrazy kontestowania działań skorumpowanych lokalnych urzędników, nieefektywności państwa w różnych sektorach czy wręcz aktywności organizacji pozarządowych i prawników walczących o prawa osób skonfliktowanych ze strukturami państwa. Wiele takich głosów tolerowano – stanowiły wentyl bezpieczeństwa dla niezadowolenia mieszkańców i zapewniały wgląd w ich nastroje.

Wraz z objęciem sterów przez Xi Jinpinga i zacieśnianiem kontroli nad ludnością możliwości wyrażenia zdania w prasie i internecie stopniowo się zmniejszają. Najlepiej ilustruje to dyskusja o gospodarce. Przez długi czas duża i zróżnicowana nisza debaty publicznej na ten temat, bogata w tytuły prasowe oferujące pogłębione i krytyczne artykuły dotyczące wyzwań stojących przed krajem w kontekście sytuacji ekonomicznej, została ograniczona czy wręcz zanikła. Pogłębiające się problemy gospodarcze i na rynkach finansowych popchnęły partię do cenzurowania dyskursu – pozwolono publikować jedynie treści stricte informacyjne lub pozytywne opinie. Mówienie o złej sytuacji ekonomicznej może wręcz skutkować represjami, o czym świadczy historia ekonomisty państwowego think tanku Zhu Hengpenga, aresztowanego za głoszenie dezaprobaty względem polityki gospodarczej Xi Jinpinga na zamkniętej grupie na komunikatorze. Wszystko to sprawia, że media – nawet te, które wcześniej cieszyły się względną niezależnością – coraz ściślej trzymają się linii KPCh, a ich przydatność analityczna spada.

Zbliżone trendy – choć o nieco innym charakterze – łatwo zauważyć w odniesieniu do chińskich intelektualistów i ekspertów. Kontakty z think tankami i instytucjami naukowymi są tradycyjnie istotnym sposobem odczytywania chińskich priorytetów politycznych, szczególnie w zakresie konkretnych elementów polityki zagranicznej. Wprawdzie Chińczycy „dostępni" dla zagranicznych badaczy najczęściej mają niewielką łączność z wierchuszką, lecz rozmowy z nimi umożliwiają odczytanie pewnego „klimatu intelektualnego" w Pekinie. Zaostrzenie walki ze szpiegostwem i kampanie dyscyplinujące wymierzone w ośrodki analityczne powodują, że możliwości prowadzenia bardziej otwartych dyskusji i poznania realnych opinii partnerów wciąż się kurczą. Bezpośrednie spotkania najczęściej sprowadzają się do poznania linii partyjnej – której eksperci stają się przekaźnikami – a przedmiotem analizy czynią niuanse w jej prezentowaniu. Tak samo ma się sprawa ze specjalistycznymi i naukowymi publikacjami, gdy dotyczą one choćby kwestii międzynarodowych.

Stosunkowo najwięcej swobody intelektualnej można znaleźć na niektórych uniwersytetach. Naukowcy wyrażający odmienne od partyjnych poglądy, przykładowo na politykę zagraniczną, sami zarazem przyznają, że są zamknięci w „złotej klatce" i nie mają przełożenia na centrum KPCh. Fakt ten trzeba brać pod uwagę, analizując wypowiedzi tamtejszych badaczy – dyskretnie kontestujących konfrontacyjny kurs Chin względem Zachodu, wskazujących na międzynarodową stabilność jako fundament ich interesów lub postulujących dystansowanie się od Rosji – regularnie docierające do zachodniej infosfery. Przekazy te, błędnie interpretowane na zewnątrz jako „sygnalizowanie strategiczne" ze strony Pekinu, są zwykle bądź przejawem odwagi cywilnej (co nierzadko spotyka się z cenzurą lub represjami), bądź świadomego dopuszczania przez partię głosów mających kreować atmosferę niejednoznaczności w odniesieniu do konkretnych poczynań. Nie są one natomiast w żadnej mierze oznaką dyskusji wewnątrz KC i nie przedstawiają jego prawdziwych intencji.

Kłamstwa duże, małe i statystyki

Zdobywanie wiarygodnych danych to problem każdej struktury biurokratycznej, której naczelną funkcją jest zbieranie, przetwarzanie i interpretowanie informacji w celu podjęcia decyzji dotyczących jakiegoś działania. W przypadku Chin mamy jednak do czynienia jeszcze z dwiema dodatkowymi trudnościami.

Po pierwsze sama KPCh ma kłopot z pozyskiwaniem rzetelnych danych. Słynna anegdota – a w zasadzie przeciek z WikiLeaks – mówi o tzw. indeksie premiera Li Keqianga, szefa rządu ChRL, który nie wierząc oficjalnym przekazom na temat PKB, miał mierzyć aktywność gospodarczą na podstawie

intensywności przewozów kolejowych, zużycia energii i wielkości nowych kredytów udzielanych w danym regionie.

Po drugie partia uznaje informację za narzędzie kontroli i efektywnej propagandy wewnętrznej i zagranicznej. Miarodajne dane, zwłaszcza statystyczne, to niezbędna składowa funkcjonowania nowoczesnego państwa: administracji, ale też biznesu i – szerzej – społeczeństwa. W efekcie w Chinach mamy do czynienia z reglamentacją informacji, w ramach której KPCh waży pomiędzy:

- propagandą,
- faktami, które nie mogą zbytnio odbiegać od rzeczywistości, aby nie doprowadzić do błędów systemowych,
- świadomością, że centrum jest oszukiwane przez struktury lokalne.

Dlatego większość statystyk musi być ręcznie korygowana, aby równocześnie były użyteczne politycznie i w miarę odzwierciedlały stan faktyczny, a co za tym idzie – pozwalały podejmować racjonalne i trafne decyzje.

Czasami da się wykryć nieścisłości między różnymi danymi i poznać zakres „korekty". W 2013 r. Narodowe Biuro Statystyczne (NBS) podało w raporcie, że rok wcześniej PKB ChRL wyniósł 51,9 bln renminbi, ale zsumowany PKB wszystkich 31 prowincji dał 57,6 bln renminbi – najpewniej wskutek chęci „wykazania się" lokalnych włodarzy. Oznacza to, że NBS „skorygował" dochód państwa o wielkość porównywalną ze średnim dochodem jednej prowincji – 5,7 bln renminbi. W 2017 r. Chen Qiufa, nowy szef prowincji Liaoning, przyznał, że tamtejsi urzędnicy przez lata fałszowali dane wysyłane do stolicy. Według Agencji Xinhua jeden z powiatów wykazał 2,4 mld renminbi dochodu, podczas gdy faktycznie nie przekroczył on 1,1 mld renminbi. W rzeczywistości każda jednostka czterostopniowego podziału administracyjnego ChRL dokonuje korekty otrzymywanych danych na własne potrzeby, równocześnie preparując informacje przekazywane wyżej. Na końcu NBS pod nadzorem KC decyduje, co można zakomunikować opinii publicznej.

Także Biuro popełnia błędy pozwalające wykryć „korektę". Zgodnie z Narodowym Spisem Powszechnym Ludności na rok 2020 w kraju żyło 253,38 mln dzieci w grupie wiekowej 0–14 lat (liczonych rocznikowo). Tymczasem według raportów NBS w latach 2006–2020 przyszło na świat ok. 239 mln Chińczyków, więc różnica wynosi – niebagatelne nawet w ChRL – 14 mln osób. Wyjaśnienie jest dosyć proste: otóż publikowane co roku dane o urodzeniach nie podlegają tak skrupulatnej analizie politycznej KC jak spis powszechny.

W ocenie rzetelności danych statystycznych pomagają też rozmaite *przecieki* trafiające za granicę. W 2021 r. wyciek z chińskiego odpowiednika bazy PESEL umożliwił skorygowanie dostępnych publicznie informacji na temat wielkości populacji ChRL. Okazuje się, że z dużym prawdopodobieństwem

liczy ona dużo mniej niż oficjalne 1,41 mld mieszkańców. Możliwe, że nawet poniżej 1,28 mld – ponieważ tylko tylu widnieje w rejestrze. Wartość ta zgadza się również z szacunkami niezależnych demografów.

Analiza licznych zmian przeprowadzonych na przestrzeni ostatnich dekad pozwala sformułować tezę, że kiedy Chiny nie znajdują się we „wrażliwym" momencie politycznym (np. transfer władzy, konflikt międzynarodowy, kryzys – jak ten gospodarczy z 2008 r. czy pandemia COVID-19), dane podawane przez NBS generalnie odzwierciedlają trend, choć nominalnie mogą być zawyżone lub zaniżone o kilka punktów procentowych. Jeżeli przykładowo rośnie bezrobocie, to NBS pokaże tę tendencję, lecz można iść o zakład, że obniży skalę zjawiska. Jeżeli natomiast wartości utrzymują się zbyt długo na jednym poziomie albo ich zmiany wyglądają na zbyt miarowe, to warto założyć, że są „ręcznie sterowane".

Przez kilka lat roczny wzrost PKB wahał się w wyjątkowo wąskim zakresie (+/-0,3 p.p.), co wydaje się nierealne nawet w odniesieniu do małej gospodarki, a co dopiero do takiej jak chińska, o ogromnej wielkości i dynamice. Chociaż w ChRL sferę tę kontroluje państwo i daleko idąca interwencja rządu może prowadzić do bardziej regularnego wzrostu w porównaniu z gospodarkami czysto wolnorynkowymi, to tak niewielkie wahania, jak te raportowane przez NBS, nie pojawiają się naturalnie. Dane podawane w okresach wrażliwych politycznie należy zaś w ogóle traktować z najwyższą podejrzliwością. Pamiętajmy jednocześnie, że sama wiedza o tym, które wartości zmanipulowano i w jakim stopniu, wskazuje, gdzie należy spodziewać się kłopotów.

Historia zmienną jest

Partia kontroluje rzeczywistość, kontrolując również przeszłość, co nie tylko ma istotne znaczenie dla badających dzieje najnowsze Chin, lecz także daje pewien wgląd w bieżącą politykę. Okres znajdujący się pod szczególną „opieką" KPCh zaczyna się od powstania Bokserów (1899–1901), ale pod rządami Xi Jinpinga jest stopniowo rozszerzany do pierwszej wojny opiumowej (1839–1842). Każde opracowanie dotyczące państwa i sytuacji międzynarodowej po roku 1839 podlega bardzo ścisłej ocenie Instytutu Badań nad Historią i Literaturą, będącego wydziałem KC. Opiniuje on publikacje pod względem zgodności z narracją partii, ale też sprawdza, czy realizują aktualne cele polityczne. Dlatego porównywanie oceny historycznej wydarzeń z przeszłości dokonywanej w różnych momentach ewolucji KPCh może uwidocznić zmiany obecnych priorytetów.

Partia nie pozostawia jednak bez nadzoru badań nad wcześniejszą historią Chin – muszą one odzwierciedlać materialistyczno-marksistowską interpretację rozwoju i uwzględniać walkę klas oraz nie mogą stać w sprzeczności z ideologią KPCh. Często chodzi jedynie o rytualne odniesienia, niemniej gdy jakieś

opracowanie dotyczące zamierzchłej przeszłości zaczyna być powszechnie interpretowane jako komentarz do teraźniejszości (nawet wbrew intencjom autorów), rządzący interweniują natychmiast. Tak stało się ze wznowieniem książki Chen Wutonga poświęconej cesarzowi Chongzhenowi (1611–1644) z dynastii Ming, którego wielu Chińczyków zaczęło porównywać z Xi Jinpingiem.

Najściślej kontrolowane pozostają dzieje samej KPCh. Praktycznie każdy jej przywódca od czasów Mao Zedonga doprowadził do opublikowania kolejnej wersji oficjalnej „skróconej" historii partii. Ostatnią – *Zwięzłą historię Komunistycznej Partii Chin* – zatwierdzoną przez KC, a przygotowaną wspólnie przez Wydział Propagandy oraz Instytut Historii i Literatury KC, wydano w 2021 r. w celu „wsparcia kampanii na rzecz nauki i edukacji historii partii". Poprzednie wersje o tym samym tytule powstały w 2001 i 2010 r. Choć poszczególne wydania drastycznie się różnią, to żadne nie mówi dużo o prawdziwej przeszłości KPCh. Są jednak bezcennym źródłem wiedzy o tym, jak kolejni przywódcy chcieliby, aby postrzegano historię partii, czy jakie stawiali przed sobą wyzwania.

Zarządzanie przez partyjną nowomowę

Jak już wspomniano, KPCh liczy już ponad 100 mln członków, w tym kilkanaście milionów działaczy kadrowych. W tak dużej organizacji nie da się nadzorować wszystkich mimo utrzymywania hierarchicznej struktury i dyscypliny. Dlatego istotną rolę odgrywa ideologia, która staje się narzędziem zarządzania – co wynika z przeświadczenia, że podobnie myślący ludzie zareagują w podobny sposób, kiedy napotkają podobny problem. Kształtując światopogląd towarzyszy, centrala może mieć pewność, że zdecydowana większość działaczy będzie przejawiać aktywność mieszczącą się w określonych przez kierownictwo ramach.

Organizacje polityczne utrzymują spójność światopoglądową na dwa sposoby. Jeden polega na akceptowaniu wyłącznie takich kandydatów, którzy w pełni utożsamiają się z fundamentem ideologicznym – ale to rozwiązanie optymalne tylko dla małych, elitarnych grup. Drugim, wybieranym przez organizacje masowe (jak KPCh), jest indoktrynacja członków. Dlatego należy śledzić zmiany ideologiczne i programy szkolenia politycznego działaczy, jako że wskazują one kierunek rozwoju samej partii.

Do formułowania nowych pomysłów i sygnalizowania kursu używa ona specjalnie tworzonych określeń językowych znanych jako *tifa*. Ich zidentyfikowanie, rozpoznanie znaczenia i śledzenie częstotliwości występowania może sporo powiedzieć o wewnętrznej ewolucji KPCh. Przykładowo kiedy centrala mówi działaczom regionalnym, że trzeba budować „kompleksowy system zarządzania cyberprzestrzenią" (*wǎngluò zònghé zhìlǐ tǐxì*), to ma na myśli, że w Pekinie powstały regulacje dotyczące treści internetowych, a zadanie członków

polega na zapewnieniu, że systemy techniczne kontroli nad siecią na szczeblu lokalnym będą dysponowały wystarczającymi zasobami kadrowymi, aby ściśle i właściwie egzekwować odnośne wytyczne.

„Kampanie ideologiczne" – niezwykle istotne narzędzie zarządzania ogromną strukturą KPCh i ChRL – ostatnio zaczęły być również obecne w polityce zagranicznej. Pojęcie mechanizmów ich działania jest niezbędne do zrozumienia „wielkich inicjatyw" Chin oraz intencji i celów ich władz. Co jakiś czas krajowy dyskurs polityczny dominuje nowa idea, najczęściej wychodząca od samego sekretarza generalnego. W niedawnych latach w wymiarze wewnętrznym chodzi o propagujące zaawansowane sektory przemysłu „nowe jakościowe siły wytwórcze" (*xīn zhí shēngchǎnlì*) i nakierowany na redukcję nierówności „wspólny dobrobyt" (*gòngtóng fùyù*), a w zagranicznym – kojarzone z Xi Jinpingiem – lansującą wizję pokojowego mocarstwa „wspólnotę losów ludzkości" (*rén lèi mìng yùn gòng tǒng tǐ*) czy rozpalającą wyobraźnię globalnie Inicjatywę Pasa i Szlaku (*yī dài yī lù*).

Na zewnątrz interpretuje się nieraz te idee – błędnie – jako szczegółowo planowane strategie, podczas gdy w rzeczywistości początkowo używane są jedynie do „popychania" KPCh w określonym kierunku. Po wysłaniu ideologicznego impulsu z samej góry partyjne „doły" starają się twórczo wypełniać go konkretną treścią, konkurując o względy centrum. Zapoczątkowane przemówieniem sekretarza kampanie zwykle owocują powstaniem setek artykułów i instytutów badających myśl lidera, a następnie – tysiącami oddolnych inicjatyw działaczy, mających ją konkretyzować w formie nowych ustaw, instrumentów oraz posunięć podmiotów państwowych i rządów lokalnych.

Ogłaszając nową koncepcję, Xi Jinping może nie mieć na myśli oferowania przez Big Techy „dobrowolnych" danin na cele społeczne podczas operacji „wspólnego dobrobytu", organizowania w całych Chinach maratonów humanoidalnych robotów realizujących ideę „nowych jakościowych sił wytwórczych" czy budowy dziesiątek połączeń kolejowych z Europą w ramach Inicjatywy Pasa i Szlaku. Często dopiero po odpowiedzi partyjnych „dołów" Pekin przemienia kampanie ideologiczne w realne strategie, ale w sensie generalnym służą one do makrozarządzania partią.

Propaganda i dyskurs wewnętrzny

Należy w tym miejscu odróżnić propagandę, czyli przekaz kierowany na zewnątrz KPCh lub do szeregowych członków partii, od wewnętrznego dyskursu jej aparatu i rozdzielić je. Partia komunistyczna to zbyt duża struktura, aby móc się z nią komunikować w sposób zamknięty. Nie licząc tajnych dokumentów skierowanych do działaczy od szczebla prowincjonalnego w górę, informacja

idąca od kierownictwa do owych „dołów" ma zazwyczaj charakter otwarty i publiczny. Równocześnie, mimo że stosuje się w niej hermetyczną nowomowę, przekazuje ona oczekiwania i dyrektywy centrali, które dopiero później będą przekształcane w określone kroki polityczne, prawne lub administracyjne. Należy zatem do najważniejszych źródeł pomagających interpretować zamierzenia KPCh, a co za tym idzie – wytyczania kursu państwa.

Dyskurs partyjny toczy się natomiast na zamkniętych posiedzeniach oraz za pośrednictwem „gazet wewnętrznych", znanych powszechnie jako *neican*. W rzeczywistości są to różnego rodzaju materiały (niektóre faktycznie mają formę gazetową) wytwarzane przez KPCh, a następnie dystrybuowane w partii i rządzie do konsumpcji wewnętrznej. Wykorzystuje się je głównie do rozpowszechniania wytycznych, monitorowania działaczy i urzędników państwowych oraz prowadzenia wśród nich edukacji politycznej. Przekazują one także wiadomości, które nie trafiają do mediów publicznych – zwłaszcza negatywne. Chociaż mówimy o materiałach niepublicznych, to ze względu na ich ilość i dosyć rozległy obieg część z nich trafia za granicę.

Innymi kanałami szerszego przekazu wierchuszki KPCh do mas członkowskich są przemówienia programowe i artykuły w prasie, która – mimo że ogólnodostępna – skierowana jest do aparatu partyjnego. Dobry przykład stanowi „Qiushi" (dosł. szukając prawdy) – oficjalny dziennik teoretyczny i magazyn informacyjny KPCh wydawany co dwa tygodnie przez Centralną Szkołę Partyjną i KC. To tutaj można wychwycić pierwsze sygnały wskazujące na zmianę polityki czy wprowadzenie nowych kampanii. Wynika to z faktu, że te ostatnie muszą najpierw znaleźć uzasadnienie światopoglądowe, a kiedy ono powstanie, to zostaje przekazane właśnie w „Qiushi". Co jakiś czas w periodykach tego typu umieszcza się też – najczęściej z kilkuletnim opóźnieniem – fragmenty niejawnych wystąpień liderów KPCh w sposób szczególny ją kierunkujących. Dają one wówczas wskazówki jedynie do retrospektywnej analizy poczynań partii, podkreślając zarazem znaczenie jej wewnętrznego dyskursu dla funkcjonowania ChRL.

Zagubieni w tłumaczeniu

Wydział Propagandy KC KPCh, którego nazwa (*Zhōngguó gòngchǎndǎng zhōngyāng wěiyuánhuì xuānchuán bù*) jest tłumaczona na angielski i inne języki jako „wydział publikacji", razem z innymi organami partii i państwa dba, aby wydawane po angielsku teksty były odpowiednio przełożone. Mają propagować ich przekaz w poprawnej formie gramatycznej i stylistycznej (co nie zawsze się udaje), ale przede wszystkim czynić go bardziej akceptowalnym lub narzucać konkretne określenia. Niekiedy chodzi o prestiż, dlatego od 1982 r. uparcie promuje się tłumaczenie stanowiska przewodniczącego ChRL (*Zhōnghuá rénmín*

gònghéguó zhǔxí) jako „prezydent". Chociaż chciano w ten sposób zasygnalizować partnerom odchodzenie od maoizmu w polityce zagranicznej, to również godnościowo brzmi lepiej, kiedy media podają, że „prezydent Chin spotkał się z prezydentem USA" niż że „prezydent USA spotkał przewodniczącego". Czasami, jak w przypadku nazwy samego Wydziału Propagandy, władzom zależy na ukryciu prawdziwej funkcji instytucji, zaś w innych sytuacjach używanie chińskiej nazwy w łacińskiej transkrypcji ma wyprzeć tę oryginalną i potwierdzać narrację Pekinu – taki powód stoi za obecną kampanią szerzenia nazwy Xizang zamiast Tybet.

Nierzadko jednak prawdziwy cel takiego postępowania to złagodzenie na zewnątrz ostrego tonu przekazu wewnętrznego. Dlatego podczas tłumaczenia pojęć mogących mieć negatywne konotacje w języku angielskim oficjalny przekład może się skłaniać ku bardziej neutralnym lub nawet pozytywnym sformułowaniom. Przykładowo termin, który da się przetłumaczyć jako „kontrola", w innych kontekstach znaczy „wskazówki" lub „zarządzanie".

Sam chiński zawiera zresztą dwuznaczności. Urzędowe tłumaczenia mogą je wykorzystywać, oferując mniej bezpośrednią lub mniej zdecydowaną interpretację w angielskim, co w pewnym stopniu pozwala na wiarygodne zaprzeczenie lub elastyczność. Inny zabieg polega na tonowaniu języka podważającego istniejące normy międzynarodowe. „Przyspieszenie transformacji globalnego systemu zarządzania" (*cùjìn quánqiú zhìlǐ tǐxì biàngé*) tłumaczy się więc jako „zachęcanie do ewolucji globalnego systemu zarządzania". Z powyższych powodów zawsze warto porównać tłumaczenie z oryginałem.

Hermetyczność zarówno języka chińskiego, jak i partyjnej debaty ideologicznej umożliwia Wydziałowi Propagandy kreowanie wizerunku ChRL niejako w oderwaniu od dyskursu wewnętrznego, a czasem w sprzeczności z nim. Te same sformułowania odnoszące się do relacji z USA czy Zachodem, w oryginale agresywne i mobilizujące do walki, w wydaniu skierowanym do zagranicznych audytoriów otrzymują wersję znacznie bardziej koncyliacyjną i pokojową. Takiej praktyce towarzyszą często równoległe działania propagandowe zorientowane stricte na odbiorców zewnętrznych, bazujące na – nieraz nieobecnych w debacie wewnątrzpartyjnej – odwołaniach do historii Chin. W zagranicznej narracji mają one maskować marksistowsko-leninowskie konotacje i sugerować inspiracje tradycyjną filozofią chińską, która jako mniej znana jest pozytywnie odbierana na Zachodzie.

W efekcie partii udaje się z sukcesem budować wizerunek oderwany od jej realnych intencji czy posunięć. Podobny mechanizm zauważamy w opisywaniu stosunku do Rosji: w dyskursie międzynarodowym określa się go jako „neutralność", a w propagandzie wewnętrznej – jako „niewzruszoną braterską relację" wymierzoną we „wrogie działania Zachodu". Ta dwoistość czyni ze zdolności

czytania chińskojęzycznych treści jeden z fundamentalnych elementów warsztatu analityka zajmującego się tym obszarem.

Badania opinii publicznej

Rolę opinii publicznej w kształtowaniu polityki wewnętrznej i zagranicznej KPCh trudno ocenić. Partia może ją cenzurować i manipulować nią, ale nie może jej ignorować. Da się wyciszyć negatywne komentarze lub spacyfikować protest kilkuset ludzi, ale przyczyny tych zachowań – jeżeli nie znikną – grożą szybkim wzrostem niezadowolenia, którego konsekwencji już się łatwo nie zdusi. Stąd też władze przywiązują ogromną wagę do badania opinii publicznej, do czego wykorzystują specjalistyczne jednostki w aparacie partyjnym. Problem w tym, że nikt z zewnątrz nie ma dostępu do tych sondaży, a i sama KPCh nie może być pewna, czy odzwierciedlają one rzeczywiste nastroje.

Nawet badania opinii publicznej wykonywane przez zagraniczne podmioty należy uznawać za niewiarygodne. Zgodnie z chińskimi regulacjami muszą bowiem być prowadzone we współpracy z lokalnymi partnerami, a rządzący mają zawczasu poznać i zaakceptować pytania. Większość respondentów nie wierzy w anonimowość ankiet – ani krajowych, ani tych dla instytucji zewnętrznych – i zakłada, że przynajmniej niektóre osoby przy nich pracujące są zatrudnione przez aparat bezpieczeństwa. Dlatego trzeba przyjąć, że znaczna część biorących udział w sondażach udziela odpowiedzi, jakich wedle ich mniemania rządzący by sobie życzyli. Nie sposób jednak ustalić, jak silnie zjawisko to zniekształca wyniki badań.

Próbę oceny nastrojów umożliwia też śledzenie dyskursu w chińskich mediach społecznościowych. Zapewne należą one do narzędzi, po które sięgają partyjni analitycy, mający wgląd do nieocenzurowanych archiwalnych baz danych tych platform. Obserwatorzy zewnętrzni zderzają się zaś z poważnymi problemami technicznymi z dostępem do chińskich social mediów w ogóle. Zgodnie z przepisami rejestracja w nich wymaga lokalnego numeru telefonu komórkowego, a czasami dodatkowo krajowego dowodu tożsamości. Aby wejść na daną stronę za granicą, często trzeba natomiast korzystać z serwisów VPN, ponieważ połączenia spoza ChRL są blokowane. Ale nawet posiadanie w pełni funkcjonalnego konta nie rozwiązuje następnego problemu: media społecznościowe w Chinach podlegają cenzurze, a władze wyciszają lub wzmacniają głosy zgodnie z bieżącymi zadaniami. Fakt, że propagandyści zwielokrotniają jakiś przekaz, nie musi oznaczać, że nie cieszy się on autentycznym poparciem przynajmniej części populacji, ale nierzadko brakuje narzędzi, aby to zweryfikować.

Symptomy niezadowolenia pojawiają się spontanicznie i szybko się je tłumi. Aby je zarejestrować, zanim zostaną „zniknięte", a uwaga Chińczyków

przekierowana, trzeba by prowadzić ciągły monitoring social mediów, co wymagałoby zasobów ludzkich i materialnych przekraczających zdolności wielu instytucji. W konsekwencji zazwyczaj odnotowywane są tylko zmasowane i nagłe, *viralowe* przejawy frustracji, które wywołują niewydolność cenzury i nierzadko docierają do setek milionów ludzi w kilka godzin, zanim zostaną usunięte z internetu.

Oznacza to zarazem, że liczne skromniejsze objawy sprzeciwu w sferze online pozostają niewidoczne. W rezultacie otrzymujemy zafałszowany obraz chińskiej opinii publicznej, ale nie możemy nawet ocenić skali nieprawidłowości. Kolekcjonowanie przykładów cenzury, „zniknięty̨ch" treści czy zablokowanych w wyszukiwarkach słów kluczowych i tagów daje jednak ciekawy wgląd w percepcję zagrożeń ze strony partii, jak również w jej bieżące priorytety.

Stan debaty w Polsce

Obserwacja skrytych za „bambusową kurtyną" Chin – z uwagi na ich złożony kontekst kulturowy i odmienność tamtejszego systemu politycznego – nigdy nie była prosta. Zmiany wdrażane przez Xi Jinpinga od 2012 r. czynią to zadanie jeszcze trudniejszym wskutek sukcesywnego odcinania społeczeństwa od wpływów zewnętrznych, a także zwiększenia kontroli KPCh nad całym aparatem władzy. Niesie to wymierne konsekwencje dla analityków: ściślejszy nadzór nad źródłami, autocenzurę rozmówców, ograniczenia w podróżowaniu po kraju oraz studiowaniu i życiu w nim.

Chiny wciąż są zglobalizowane i obecne w świecie, co siłą rzeczy pozostawia pewne możliwości wejrzenia za „bambusową kurtynę". Czas „reform i otwarcia", dający zagranicznym ekspertom unikatowy wgląd w ich dynamikę polityczną i społeczną, ustępuje jednak kolejnemu w historii okresowi zamknięcia na świat zewnętrzny. Pekin stara się też coraz bardziej kreować na arenie międzynarodowej swój pozytywny obraz, często zwracając się przeciwko zagranicznym krytykom i blokując im możliwości podróżowania do ChRL. Z barierami tymi muszą się liczyć nie tylko zawodowi badacze, lecz przede wszystkim osoby stawiające na tym polu pierwsze kroki.

Sama debata nad ChRL w Polsce cechuje się pewną polaryzacją, przy czym sytuacja nie odbiega drastycznie od tej w innych państwach europejskich i USA. Niektórzy analitycy patrzą na Chiny przede wszystkim przez pryzmat ich wielowiekowej kultury i tradycji – i to nimi starają się tłumaczyć fenomeny dzisiejszej ChRL. Chociaż podejście to daje cenne wskazówki i stanowi nieodzowną składową instrumentarium każdego badacza, to przesadna afirmacja kulturowej odrębności wpycha niekiedy ekspertów w pułapkę usprawiedliwiania autorytarnych rządów KPCh na płaszczyźnie cywilizacyjnej. Druga skrajność polega

na patrzeniu na omawiane państwo z użyciem przejaskrawionych klisz prezentujących partię komunistyczną jako agresywny monolit, w sposób planowy czy wręcz mechaniczny roztaczający władzę nad państwem i światem. W podejściu tym można zgubić liczne definiujące Chiny osobliwości, takie jak wewnętrzne życie polityczne KPCh, ogromne zróżnicowanie regionalne czy potężną zmienność – z natury buntowniczego i szukającego podmiotowości – społeczeństwa.

Stan badań nad ChRL w Polsce, szczególnie w ujęciach wykraczających poza stricte sinologiczną analizę jej kultury i historii, również podlega w znacznej mierze dużym politycznym cyklom zamknięcia i otwarcia. Krótki okres intensywnych kontaktów bilateralnych pomiędzy uznaniem ChRL przez PRL w 1949 r. a wybuchem chińsko-sowieckich antagonizmów w końcu lat 50. pozwolił wykształcić czołowych badaczy i dyplomatów, formujących przez wiele lat nasze spojrzenie na Chiny. Następujące później dekady ochłodzenia oficjalnych kontaktów, a potem powolne ożywienie relacji w latach 90. przyciągały do zagadnienia współczesnej polityki i gospodarki tego państwa stosunkowo nieliczne grono analityków znad Wisły.

Prawdziwy renesans zainteresowania Chinami czy wręcz modę na nie przyniósł początek XXI wieku, a zwłaszcza zwrócenie przez nie uwagi na Europę Środkowo-Wschodnią w kontekście formatu „16+1" i Inicjatywy Pasa i Szlaku po 2012 r. Zaowocowało ono gigantycznym zaciekawieniem językiem i studiami nad współczesną ChRL oraz setkami wymian studenckich, a w konsekwencji – wykształceniem całego pokolenia polskich badaczy, coraz silniej zaznaczających swoją obecność na gruncie nie tylko krajowym, lecz także europejskim. I choć to zainteresowanie ChRL wydaje się przygasać (nie bez związku z działaniami jej samej), fundament rozwoju polskiej analizy tego państwa w najbliższych latach i dziesięcioleciach należy uznać za solidny.

Biogramy autorów

Michał Bogusz – analityk w Zespole Chińskim, w OSW od 2018 r. Wcześniej przez dziewięć lat studiował i pracował w Chinach.

Kamil Całus – analityk ds. mołdawskich i rumuńskich, w OSW od 2012 r. Autor m.in. książki *Mołdawia. Państwo niekonieczne* (2020).

Krzysztof Dębiec – analityk w Zespole Środkowoeuropejskim, w OSW od 2018 r. Specjalizuje się w tematyce czeskiej i słowackiej. Wcześniej pracował m.in. w Ambasadzie RP w Pradze.

Maria Domańska – analityczka w Zespole Rosyjskim, w OSW od 2015 r. Wcześniej pracowała w MSZ (2006–2015), m.in. kierowała Wydziałem Politycznym Ambasady RP w Moskwie.

Adam Eberhardt – wiceszef Studium Europy Wschodniej Uniwersytetu Warszawskiego. W latach 2016–2022 dyrektor, a wcześniej przez osiem lat wicedyrektor OSW. Obecnie członek Rady OSW.

Joanna Hyndle-Hussein – analityczka ds. państw bałtyckich w Zespole Niemiec i Europy Północnej, w OSW od 1992 r.

Mateusz Gniazdowski – wykładowca Studium Europy Wschodniej UW. Wcześniej m.in. ambasador RP w Pradze (2022–2024), wicedyrektor OSW (2016–2022), kierownik Zespołu Środkowoeuropejskiego OSW (2010–2016).

Justyna Gotkowska – wicedyrektorka OSW oraz kierowniczka Zespołu Bezpieczeństwa i Obronności. Wcześniej wieloletnia koordynatorka Programu Bezpieczeństwa Regionalnego oraz analityczka w Zespole Niemiec i Europy Północnej. W OSW od 2008 r.

Wojciech Górecki – analityk w Zespole Turcji, Kaukazu i Azji Centralnej. W OSW od 1998 r., z przerwą w latach 2002–2007 (Ambasada RP w Baku) i 2014–2015 (Fundacja Solidarności Międzynarodowej). Autor książek reporterskich o Kaukazie i Azji Centralnej.

Tadeusz Iwański – kierownik Zespołu Białorusi, Ukrainy i Mołdawii OSW, wcześniej m.in. analityk ds. ukraińskich tamże (2011–2020) i pracownik Redakcji Ukraińskiej Polskiego Radia dla Zagranicy.

Jakub Jakóbowski – wicedyrektor OSW i kierownik Zespołu Chińskiego, wcześniej specjalista ds. gospodarki Chin i koordynator projektu Powiązania gospodarcze w Eurazji. W OSW od 2015 r.

Kamil Kłysiński – analityk ds. białoruskich w Zespole Białorusi, Ukrainy i Mołdawii, w OSW od 2007 r., z przerwą w latach 2013–2016 (Ambasada RP w Wilnie).

Wojciech Konończuk – dyrektor OSW od 2022 r., wcześniej m.in. wicedyrektor, kierownik Zespołu Białorusi, Ukrainy i Mołdawii oraz analityk w Zespole Rosyjskim tamże, a także pracownik Fundacji Batorego.

Anna Kwiatkowska – kierowniczka Zespołu Niemiec i Europy Północnej. W OSW od 2005 r., założycielka działu niemieckiego. Współautorka podcastu „Niemcy w ruinie?".

Agata Łoskot-Strachota – koordynatorka projektu Energia w Europie, w OSW od 2001 r. Specjalizuje się głównie w analizie europejskiej polityki energetycznej.

Marek Matusiak – koordynator projektu Izrael–Europa, wcześniej w OSW zajmował się m.in. problematyką Turcji i Kaukazu Południowego. Pracował też w polskich placówkach dyplomatycznych w Tbilisi i Stambule.

Sławomir Matuszak – analityk ds. ukraińskich w Zespole Białorusi, Ukrainy i Mołdawii OSW. Wcześniej pracował w Ambasadzie RP w Kijowie, gdzie kierował Wydziałem Ekonomicznym.

Marek Menkiszak – kierownik Zespołu Rosyjskiego OSW od 2006 r., wykładowca Studium Europy Wschodniej UW. Specjalizuje się w tematyce Rosji i obszaru poradzieckiego.

Olaf Osica – dyrektor Biura Strategii i Analiz m.st. Warszawy, w latach 2011–2016 dyrektor OSW. Doktor nauk społecznych i politycznych Europejskiego Instytutu Uniwersyteckiego we Florencji.

Andrzej Sadecki – od 2022 r. kierownik Zespołu Środkowoeuropejskiego OSW, wcześniej wieloletni analityk ds. Węgier i współpracy regionalnej w Europie Środkowej.

Krzysztof Strachota – koordynator projektu Środkowy Wschód, w latach 2001–2024 kierownik Zespołu Turcji, Kaukazu i Azji Centralnej. W OSW od 1999 r.

Marta Szpala – analityczka ds. Bałkanów Zachodnich i polityki rozszerzenia UE w Zespole Środkowoeuropejskim. W OSW od 2009 r.

Karol Wasilewski – od 2025 r. kierownik Zespołu Turcji, Kaukazu i Azji Centralnej OSW, wcześniej m.in. analityk ds. Turcji i kierownik programu Bliski Wschód i Afryka w Polskim Instytucie Spraw Międzynarodowych oraz doradca foresightowy w 4CF.

Andrzej Wilk – główny specjalista w Zespole Bezpieczeństwa i Obronności, w OSW od 1999 r. Zajmuje się badaniem wojskowych aspektów bezpieczeństwa międzynarodowego.

Piotr Żochowski – główny specjalista w Zespole Białorusi, Ukrainy i Mołdawii, w OSW od 2001 r. Specjalizuje się przede wszystkim w problematyce systemu instytucji bezpieczeństwa wewnętrznego państw Europy Wschodniej.